

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



LEWIS WALLACE

BEN-HUR

**Opowiadanie historyczne
z czasów
Jezusa Chrystusa**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ I

Dżabel-Zubleh, jest to pasmo gór około pięćdziesięciu mil długie, z którego, patrząc na wschód, widzi się Arabię. Głębokie parowy, napelniające się w deszczowej porze strumieniami pędzącymi do Jordanu lub do Morza Martwego, ogólnego zbiornika wód w tych stronach, utrudniają przebycie tych gór. Jednym z tych parowów, podążał w kierunku wschodnio-północnym podróżny ku płaskim jak stół równinom.

Człowiek ten mógł mieć lat czterdzieści pięć. Broda bujna, niegdyś czarna, dziś przyprószone siwizną, spadała mu na piersi; twarz ciemną, koloru brunatnego, osłaniał zawój zwany kefia, tak szczelnie, że spod niego zaledwie barwę oblicza i duże czarne oczy, często w niebo się wznoszące, można było dostrzec. Fałdzone ubranie, pospolicie na wschodzie używane, nie pozwalało widzieć całej postaci, tym bardziej, że siedział na roslym wielbłądzie, a nad jeźdźcem i zwierzęciem wznosił się niewielki namiot w rodzaju parasola, przytwierdzony do siódła.

Kiedy wielbłąd wychylił się z parowu, słońce już weszło na niebie i oświeciło pustynię. Ulegając wrodzonemu instynktowi, wyciągnął szyję i przyspieszył kroku, zmierzając ku wschodniemu horyzontowi.

Nikt nie puszcza się w pustynię dla przyjemności: ci, których zadanie życia lub interes tu pędzi, wiedzą, że ścieżki te choć prowadzą od źródła do źródła i od pastwiska do pastwiska zasłane są kośćmi trupów. Cóż więc dziwnego, że nawet serce najodważniejszego szejka, gdy wjedzie w królestwo piasków, szybszym uderza tętnem. I nasz podróżny nie wygląda na człowieka jadącego bez celu; nikt go nie ściga, bo ani razu nie spojrzął poza siebie; nie zdradza również obawy ni grozy, nie czuje, zda się, nawet samotności. Nagle, o godzinie dziesiątej, zwierzę zatrzymało się w biegu, wydając ryk pełen żalu i skargi. Jeździec zbudził się jakby ze snu, rozsunał firanki buraahu, spojrzął na słońce, potem na okolice, a zadowolony, zawołał: „nareszcie, nareszcie!” Po czym złożył ręce na piersiach, wznosił głowę i modlił się w milczeniu. Spełniwszy tę pobożną powinność, wyrzekł miłe dla wielbłąda słowa: ikh! ikh! które jest rozkazem, aby ukląkł. Z wolna, mrużąc z zadowolenia, usłuchał wierny towarzysz, a jeździec zsunął nogę po gładkiej szyi wielbłąda i stanął na piasku. Człowiek ten był proporcjonalnej budowy, niezbyt wysoki, ale silny; rozluźniwszy sznurek przytwierdzający kefię na głowie, odsłonił twarz, barwy, jak już się rzekło, prawie murzyńskiej. Czoło miał szerokie, nos orli, zewnętrzne kąty oczu podniesione; włosy bujne, o metalicznym odbłyску, spadły w licznych splotach na ramiona. Poznać w nim było Egipcjanina. Podróżny nasz miał na sobie kamis, czyli białą, bawełnianą koszulę z wąskimi rękawami, ozdobioną haftem koło szyi i na piersiach, a sięgającą kostek. Strój ten uzupełniał płaszcz brązowy, zwany abba. Na nogach miał sandały przytrzymane rzemykami z miękkiej skóry. Lecz rzecz niezwykle dziwna, że podróżny, chociaż sam był tylko w pustyni, nie miał przy sobie żadnej broni, ani nawet laski, którą pogania się wielbłąda. Świadczyło to o jego odwadze lub też o jego ufności w jakąś nadzwyczajną opiekę...

Stanąwszy na ziemię, zapragnął rozruszać długą podróżą ścierpięte członki i przeszedł się kilka razy w tę i ową stronę, nie oddalając się od miejsca, w którym spoczął jego wierny to-

warzysz podróży. Od czasu do czasu zatrzymywał się, a przecierając oczy rękoma, badał pustynię aż do ostatnich jej krańców; po każdym takim przeglądzie na jego twarzy pojawiał się wyraz zawodu, lekki, ale tłumaczący, że kogoś oczekiwał. Jakiż cel, jaki powód mógł zawieść tego człowieka w tak odległe ustronie?

Chociaż nie mógł ukryć wrażenia doznanego z zawodu, nie stracił jednak nadziei, że oczekiwany gość przybędzie; wyjął bowiem z pudła przypiętego do siodła gąbkę i małe naczynie z wodą do obmycia pyska, oczu i nozdrzy wielbłądowi. Po tym zaopatrzeniu wiernego towarzysza, wyjął z tego samego schowka płótno w białe i czerwone pasy, wiązkę cienkich drążków i grubą laskę. Gdy tą laską kilka razy poruszył, okazało się, że była ona dobrze obmyślonym sprzętem, gdyż składa się z kilku mniejszych części, dających się rozsunąć na długi kij, większy od człowieka. Tę wysoką podporę wbił podróżny w ziemię, a naokoło niej umieścił mniejsze drążki, na których rozciągnął płótno, i znalazł się jak w domu, może mniejszym niż dom emira lub szejka, ale bardzo wygodnym.

Zarządziwszy tak wszystkim, oddalił się na małą odległość i raz jeszcze bacznie popatrzył po okolicy, lecz nie spostrzegł nic prócz szakala kłusującego po równinie i orła białego szubującego ku zatoce Akaba.

Podróżny uległ widocznie uczuciu samotności, bo zwrócił się do wielbłąda i rzekł niskim głosem w języku nieznanym pustyni: „Dom masz daleko, lecz Bóg jest z nami. Ufajmy i czekajmy”.

Jakby uspokojony własnymi słowy, wyjął nieco fasoli z kieszeni u siodła, a włożywszy je do torby, zawiesił u pyska wielbłądowi, który chciwie jadł ulubiony sobie przysmak. Wędrownik przypatrywał się chwilę z zadowoleniem zwierzęciu i znów puścił oko na zwiady w przestrzeń piaszczystą, bezgraniczną, rozpaloną padającymi pionowo promieniami słońca.

– Przyjdą – rzekł wreszcie sam do siebie. – Ten, który mnie tu przywiódł i ich przywiezie. Trzeba, abym był gotowy na ich przyjęcie. – To mówiąc, wyjął przywiezione z sobą zapasy do wieczery. Składały się one z soku palmowego i wina w bukłaku, baraniny suszonej i wędzonej, chleba i sera. Nie brakło też owoców, jak granatowych jabłek syryjskich zwanych shami i wybornych daktyli. To wszystko zaniósł do namiotu, złożył jedzenie na kobiercu i nakrył je trzema kawałkami jedwabnego płótna, którymi lepsze towarzystwo na wschodzie, stosownie do przyjętego zwyczaju, przykrywa sobie kolana podczas jedzenia. Z liczby nakryć domyślić się było można liczby biesiadników.

Ukończywszy przygotowania, wyjrzał nasz podróżny znowu, zbadał horyzont i – o radości! ujrzał na wschodzie ciemny jakiś punkt. Widok tego punktu czy cienia wywarł na nim dziwne wrażenie, stanął jakby skamieniały z szeroko rozwartymi oczyma, dreszcz wstrząsnął jego członkami. Tymczasem spostrzeżony punkt rósł ciągle, niebawem miał wielkość ludzkiej ręki, dalej przybrał dokładniejsze kształty, a w końcu ukazał się całkiem wyraźnie drugi taki sam wielbłąd, jak poprzedni, duży i biały, z hondahem, czyli podróżną lektyką, jakich używają w Hindostanie.

Egipcjanin złożył ręce na piersiach i spojrzał ku niebu.

– Wielki jest Bóg! – zawołał, a oczy zaszyły mu łzami.

Przybyły zbliżył się i stanął. I on także w tej chwili zdawał budzić się ze snu. Obejmował wzrokiem wielbłąda, namiot i stojącego u wejścia człowieka, zatopionego w modlitwie. Widok ten wzruszył go widocznie – skrzyżował również na piersi ręce, pochylił głowę i modlił się w milczeniu. Po chwili zsiadł z wielbłąda, stanął na piasku i zbliżył się ku Egipcjaninowi, który również szedł mu naprzeciw. Przez chwilę patrzyli na siebie i uściśnęli się.

– Pokój tobie, sługo prawdziwego Boga – rzekł nowo przybyły.

– I tobie pokój, bracie w prawdziwej wierze! pokój tobie i powitanie – odpowiedział Egipcjanin gorąco. – Nowo przybyły był to człowiek wysoki i chudy, twarz jego szczupła, cery miedzianej, oczy zapadłe, błyszczące; białe włosy i broda spływały mu na piersi. Broni, również jak pierwszy, nie miał żadnej, a ubranie nosił, jakiego używają mieszkańcy Hindostanu:

Na głowie, ponad fezem, zwinięty w szerokie zwoje szal tworzył turban, suknie miał stylem podobne do szat Egipcjanina, tylko abba była krótsza, bo spod niej wychodziły szerokie spodnie u kostki ściągnięte. Na nogach, zamiast sandałów, nosił pantofle z czerwonej skóry, w palcach spiczasto zakończone. Prócz pantofli reszta jego ubrania była z białego płótna. Postawa cała pełna wspaniałości i powagi, gdy podniósł twarz z piersi Egipcjanina, w oczach jego błyszcząły łzy.

– Bóg jest wielki! – zawołał po przywitaniu.

– Błogosławieni ci, którzy Mu służą – dodał Egipcjanin. – Patrz, oto i trzeci przybywa.

Obaj zwrócili wzrok ku północy, skąd już całkiem wyraźnie widać było wielbłąda równie białego jak poprzedni i płynącego niby okręt. – Stali w milczeniu, aż nowy podróżnik przybył, zsiadł i zbliżył się do nich.

– Pokój tobie, mój bracie – rzekł ściskając Hindusa.

Mieszkaniec Hindostanu odrzekł: Niechaj się spełnia wola Pana.

Ostatni z podróżnych nie był wcale podobny do swych towarzyszy: budowa jego wątlesza, cera biała i rozwiane włosy tworzyły jakby aureolę wokół jego pięknej, wolnej od nakrycia głowy. W gorącym spojrzeniu ciemnoniebieskich oczu błyszcząły rozum i odwaga. Również jak tamci bez broni, spod zwojów fenickiego purpurowego płaszcza, z wielkim udrapowanego wdziękiem, wysuwała się tunika z krótkimi rękami, wycięta u szyi, zebrana sznurem w pasie, a sięgająca zaledwie kolan. Ręce, nogi szyję miał obnażone, a chociaż zdawał się liczyć ponad pięćdziesiąt lat, nic prócz powagi w obcowaniu nie znamionowało tego wieku, bo dusza i ciało urągały wpływowi czasu. Nie potrzeba mówić, z którego przybywał kraju, bo każdy odgadł w nim na pewno Greka.

Gdy ręce nowo przybyłego opadły z ramion Egipcjanina, ten rzekł głosem wzruszonym: Pierwszy stanąłem na miejscu przeznaczonym, czuję się więc wybranym na sługę mych braci: oto i namiot rozpięty, chleb do łamania gotowy, pozwólcie, niech czynię mą powinność.

To mówiąc, zaprowadził obu do namiotu, a zdjawszy sandały z ich nóg, umył je, po czym zwilżył ręce swych gości i otarł je ręcznikiem.

Gdy tak dopełnił pierwszych praw gościnności, obmył sam siebie i rzekł:

– Pomnijmy, bracia, że pełnimy służbę, do której potrzeba sił; wzmocnijmy więc ciało pożywieniem, a duszę opowiadaniem skąd i po co przybywamy.

To powiedziawszy, zaprowadził biesiadników na ucztę i posadził tak, że wzajemnie do siebie byli zwróceni. Równocześnie pochyliły się ich głowy, ręce skrzyżowały na piersiach i głośno odmówili prostą modlitwę:

„Ojcze wszystkich – Boże! – co tylko mamy, od Ciebie pochodzi; przyjm nasze dzięki i pobłogosław nam, pozwalając i dalej sprawować wolę Twoją”.

Wymówiwszy ostatnie słowa, spojrzeli ze zdumieniem po sobie, bo oto każdy mówił językiem nigdy pierwej nie słyszonym, a mimo to rozumiał co powiedział. Dusze ich zadrgały wielkim wzruszeniem, a po cudzie tym poznali, iż Bóg jest pośród nich.

Stosownie do ówczesnej rachuby, powyższe spotkanie miało miejsce w roku 747 po założeniu Rzymu, w miesiącu grudniu, a więc w zimie i to wyjątkowo ostrej jak na wybrzeże Morza Śródziemnego. Nasi podróżni gawędzili, jedząc i pijąc, a Egipcjanin, jako gospodarz, przemówił:

– Dla podróżnego nie ma nic słodsze na obczyźnie, jak usłyszeć własne imię z ust przyjaciela. Przed nami wiele dni wspólnego życia, czas nam się poznać, a jeśli taka wola wasza, niech zacznie ten, który ostatni do nas dołączył.

Z wolna, ostrożnie jakby licząc się z wyrazami, uczynił Grek zadość wezwaniu, i rzekł:

– To co mam powiedzieć, tak jest nadzwyczajne, iż nie wiem od czego zacząć i jak się wyrazić. Nie rozumiem często sam siebie, silnie jednak wierzę, iż to co czynię, jest wolą Pana, a służba dla Niego ciągłą radością. Kiedy rozważam otrzymane posłannictwo czuję niewysłowione szczęście i szczycę się nim.

Wzruszenie nie pozwalało mu mówić dalej, a towarzysze odczuwając jego słowa, spuścili oczy.

– Daleko stąd na zachód. – mówił Grek – dalej, leży kraina, której pamięć nigdy nie zagięnie, bo jej zawdzięcza ludzkość swe najczystsze zachwyty. Nie myślę ci mówić o sztukach pięknych, filozofii, wymowie, poezji i wojnie. O moi bracia, sława mej ojczyzny będzie po wsze czasy świecić mądrością zawartą w księgach, a głoszącą całemu światu wolę Tego, którego szukać idziemy. Kraina, o której mówię, to Grecja, a ja jestem Kasprem, synem Kleanteasa, Ateńczyka. Naród mój, ciągnął dalej, oddany był nauce i ja nie odrodziłem się od mych przodków. Dwaj nasi najślawniejsi filozofowie uczą o duszy ludzkiej i jej nieśmiertelności, wierzą w istnienie Boga i Jego najdoskonalszą sprawiedliwość. Liczne szkoły filozoficzne wiodły spór o te dwie zasady, a ja brałem je za przedmiot mych studiów, jako jedyne godne zastanowienia i badania. Przeczynałem, że istnieje związek między Bogiem a duszą, ale rychło spostrzegłem, że umysł ludzki może ten związek tylko do pewnego stopnia wyjaśnić, dalej wiedza jego napotyka na nieprzezwyciężone zapory, których bez pomocy nadzwyczajnej nie usunie. Tej pomocy wzywałem i szukałem, ale nikt nie odpowiedział na me wołanie; opuściłem więc szkoły i miasto.

Na te słowa wynędzniałą twarz Hindusa rozjaśnił poważny uśmiech zadowolenia.

– W północnej stronie mej ojczyzny, w Tessalii – mówił Grek – jest góra, sławna jako przybytek bogów; tam rządzi Zeus, którego Grecy czczą ponad wszystkie bogi; góra ta zowie się Olimpem. Tam udałem się, a znalazłszy jaskinię na zboczu góry, zamieszkałem w niej. Oddając się rozmyślaniam, błagałem każdym westchnieniem o objawienie. Ufność moja była wielka, wierząc w Boga niewidzialnego, ale wszechmocnego, wierzyłem w możliwość Jego odpowiedzi, gdy o nią całą duszą błagać będę.

– Ach, i otrzymałeś odpowiedź, nieprawdaż? – zawołał Hindus, wznosząc w górę ręce.

– Słuchajcie mnie, bracia – mówił Grek dalej, z trudnością opanowując wzruszenie. – Drzwi mojej pustelni wychodziły na morze, na zatokę Cermaik. Pewnego dnia ujrzałem człowieka spadającego z pomostu okrętu, który właśnie podniósł kotwicę i rozwinąwszy żagle, odbijał od lądu; mimo wypadku dopłynął ów człowiek do brzegu i znalazł u mnie schronienie i opiekę. Był to Izraelczyk, uczony w historii i prawach swego narodu; on mnie pouczył, że Bóg, którego wzywałem i czciłem, istnieje rzeczywiście i że przed wiekami był prawodawcą i królem Izraela. Cóż to było, jeśli nie objawienie, o którym marzyłem? Wiara moja nie była próżna: Bóg usłyszał wołanie moje i wysłuchał je.

– Jak wysłuchuje tych, którzy Go wzywają z wiarą – rzekł Hindus.

– Czemuż, niestety – dodał Egipcjanin – tak mało jest takich, którzy rozumieją objawienie!

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął Grek. – Człowiek ten, tak cudownie mi zesłany, powiedział mi jeszcze, że jak dotąd objawienie było tylko dla ludu Izraela i nadal pozostanie jego własnością; prorocy, którzy w pierwszych wiekach po objawieniu mówili z Panem, zostawili obietnicę, że On przyjdzie znowu, a to drugie Jego przyjście oczekiwane jest obecnie, każdej chwili, w Jerozolimie. Ten, który ma przyjść, będzie królem izraelskim.

– Jak to, nic nie uczyni Pan dla reszty świata? – zapytałem.

– Nie, odparł dumnie, my jesteśmy Jego wybranym ludem. Odpowiedź ta nie zniweczyła wcale moich nadziei; nie mogłem przypuścić, aby Bóg miał ograniczyć Swą miłość i miłosierdzie na jeden tylko naród, jakby na jedną rodzinę. Postanowiłem koniecznie zbadać tę tajemnicę i wreszcie udało mi się przełamać pychę Izraelity, który mi wyznał, że jego ojcowie byli tylko wybranymi sługami, przeznaczonymi do przechowania wiary w prawdziwego Boga, aby kiedyś świat poznał żywą prawdę i był zbawiony. Gdy Judejczyk mnie opuścił, zostałem sam; dusza moja przejęła się korną modlitwą i błaganiem, aby mi było danym oglądać Króla, gdy przyjdzie i oddać mu cześć. Raz w nocy, siedząc u drzwi mej jaskini, rozmyślałem i usiłowałem zbliżyć się do tajemnic mego istnienia, a przyświecała mi wiara w jednego Boga. Nagle, na ciemnej morza powierzchni ujrzałem gwiazdę; z wolna zwiększała się i wznosiła, zbliżając się

ku mnie; nareszcie stanęła nad moją głową, tuż u moich drzwi tak, że jej światło padało mi wprost na oblicze. Padłem na ziemię i usnąłem, a we śnie słyszałem głos mówiący:

– Kasprze! Wiara twoja zwyciężyła! Bądź błogosławiony! Z dwoma innymi, którzy przyjdą z dalekich krańców ziemi, zobaczycie Tego, który jest obiecany, abyście o Nim świadczyci, gdy będzie potrzeba cudów na potwierdzenie Jego prawdziwości. Wstań, idź, a ufając Duchowi, który cię prowadzić będzie, spotkasz ich.

Wstałem rano, a Duch towarzyszył mi wśród blasku światła jaśniejszego nad słońce. Wziąłem moje pustelnicze zapasy, ubrałem się jak dawniej i wyjąłem ukryty skarb, który z sobą niegdyś przyniosłem. Właśnie przepływał okręt, zawołałem nań, zabrał mnie i zawiózł do Antiochii, gdzie kupiłem wielbłąda i przybory do podróży. Przez ogrody i sady, zdobiące brzegi Orontesu, przybyłem do Emessy, Damaszku, Bostry i Filadelfii, a stamtąd tu. Oto, bracia, moja historia, niechże teraz posłucham waszej.

Egipcjanin i Hindus spojrzeli po sobie; pierwszy wznosił ręce, drugi skłonił głowę i rzekł:

– Brat nasz dobrze mówił, oby moje słowa równą były napełnione mądrością.

Zamilkł, a po chwili namysłu rzekł:

– Znać mnie będziecie, bracia, pod imieniem Melchiora. Mówię do was językiem, jeśli nie najstarszym na świecie, to najdawniej używanym w piśmie – myślę o indyjskim sanskrycie. Urodziłem się w Hindostanie braminem. Religia ta pozostawiła w duszy mojej dziwną próżnię. Szukałem przeto spokoju i ukojenia w samotności; szedłem wzdłuż Gangesu aż do źródła wód tegoż wśród gór Himalajskich. Tu więc, gdzie pierwotna jeszcze przyroda nęci mędrca samotnością, a wygnańca obietnicą bezpieczeństwa, postanowiłem przebywać tylko z Bogiem i wśród modlitwy i postu oczekiwać śmierci.

Tu zabrakło Melchiorowi głosu, a chude ręce splotły się jak do modlitwy. Po chwili mówił dalej.

– Pewnej nocy, chodząc w samotności, zawołałem z utęsknieniem: Kiedyż przyjdzie Bóg i wybawi mnie? Czyż jest odkupienie? Nagle światło oświeciło ciemności, a zmieniając się w gwiazdę, zbliżyło się ku mnie i zatrzymało się nad moją głową. Olśniony niezwykłą jasnością, padłem na ziemię i usłyszałem głos mówiący łagodnie: Miłość twoja zwyciężyła. Bądź błogosławiony, synu Indii! Odkupienie się zbliża. Z dwoma innymi, którzy przyjdą z dalekich stron świata, ujrzycie Odkupiciela i będziecie świadczyc o Jego przyjściu. Wstań rano i idź na spotkanie towarzyszy, a całą wiarę złóż w Duchu, który ciebie i ich wieść będzie.

– Od tego czasu światło pozostało ze mną; wiedziałem, że było ono znakiem obecności Ducha. Rano ruszyłem w drogę, którą tu przyszedłem, w otworze góry znalazłem kamień wielkiej wartości; który sprzedałem w Hurdwar. Przez Lahor, Kabul i Yezd przybyłem do Ispahanu, gdzie kupiłem wielbłąda. Stamtąd wiodła mnie gwiazda do Bagdadu, gdzie, nie zastawszy żadnej karawany, postanowiłem podróżować sam bez trwogi, bo Duch był i jest ze mną! O jakże wielka jest łaska, której doznaliśmy, jakże wspaniała, o bracia, chwała nasza! Zobaczymy Odkupiciela, będziemy mówić do Niego i oddamy Mu cześć! – Skończyłem bracia!

Greki, pełen uniesienia, głośno wypowiadał swoje zadowolenie; Egipcjanin zaś zaczął swą opowieść z charakterystyczną powagą:

– Pozdrawiam was, bracia moi. Cierpiełście wiele, dzieliłem waszą boleść, cieszę się wspólnie zwycięstwem. Posłuchajcie teraz mojej historii.

Napiwszy się wody z obok stojącego bukłaka, tak zaczął mówić:

– Urodziłem się w Aleksandrii, z rodu książąt i kapłanów, wychowanie odebrałem stosowne do mego rodu. Bardzo wczesnie uczułem niezadowolenie z nauki religii, tyczącej duszy po śmierci. Wierzyłem, że dusza ludzka do wyższych celów jest przeznaczona i tonąc w rozmyślaniach, ujrzałem jasno, że śmierć jest tylko punktem rozstania, po którym żli idą na potępienie, wierni zaś wierze i sprawiedliwości wznoszą się do wyższego życia, pełnego radości wiekuistej: życia z Bogiem i w Bogu. Opuściłem świat, poszedłem tam, gdzie nie było ludzi,

ale był Bóg. Udałem się w głąb Afryki. Na wysokiej górze, u której stóp wije się szeroka rzeka zamieszkałem. Dłużej niż rok góra ta była mi domem, owoc palm żywił ciało, modlitwa duszę. Pewnej nocy przechadzałem się wśród palm w pobliżu jeziora, wołając w myśli: ludzkość ginie, kiedyż przyjdiesz, o Boże? miałbym nie widzieć odkupienia? Zwierciadło wody świeciło gwiazdami, jedna z nich zdawała się poruszać i zniżać nad powierzchnię wody, od której nabrała nowego blasku, olśniewającego wzrok, i z wolna posunęła się ku mnie; zatrzymała się wreszcie nad moją głową tak blisko, że zdawało mi się, iż ją ręką dosięgnę. Padłem na ziemię i ukryłem twarz w dłoniach, a głos nieziemski dał się słyszeć: Dobre twoje uczynki zwyciężyły. Z dwoma innymi z dalekiego świata zobaczycie Zbawiciela i świadczyć o Nim będziecie. Wstań i idź na ich spotkanie, a gdy wszyscy przybędziecie do świętego miasta Jerozolimie, pytajcie ludzi, gdzie jest Ten, który się narodził król żydowski? Albowiem widzieliśmy Jego gwiazdę na Wschodzie, idziemy, aby Mu oddać cześć. A złość ufność w Duchu, który cię prowadzić będzie.

– Na potwierdzenie tych słów światło rozproszyło ciemności i zostało ze mną, rządziło mną i prowadziło. Gwiazda wiodła mnie wzdłuż rzeki do Memfis, gdzie zaopatrywałem się we wszystko co potrzebne na pustyni. Kupiłem wielbłąda i przybyłem bez odpoczynku przez Suez i Kufilch, przez kraje Moabu i Ammonu aż do tego miejsca. Bóg z nami, bracia!

Ulegając wewnętrznej sile, wszyscy trzej wstali i podali sobie ręce.

– Czyż może być wyraźniejsze i wznioślejsze powołanie? – mówił Baltazar. – Gdy znajdziemy Pana, bracia, wraz z nami wszystkie pokolenia cześć mu oddadzą!

Po tych słowach zapanowało milczenie przerywane westchnieniami i uświęcone łzami. Była to radość nieopisana, radość dusz u brzegów źródła życia, dusz spoczywających w Odkupicielu i upojonych obecnością Boga!

W końcu ręce ich opadły, wszyscy wyszli z namiotu, pustynia była spokojna jak niebo, słońce zachodziło, wielbłądy spały.

Za chwilę zwinięto namiot, resztki zapasów schowano do pudła, po czym podróżni wsiedli na wielbłądy, a Egipcjanin przewodniczył im. Jechali z wolna wśród chłodnej nocy; wielbłądy szły równym tempem. Podróżni jechali pogrążeni w głębokiej zadumie.

Księżyc wznosił się powoli, a trzy wysokie białe postacie cicho przesunęły się w jego świetle. Nagle w powietrzu nad nimi, nie wyżej niż wierzchołek najbliższego pagórka, zajaśniał płomień: serca podróżnych zabiły przyspieszonym tętnem, dreszcz przeniknął ich i wszyscy jakby jednym zawołali głosem:

„Gwiazda! Gwiazda! Bóg z nami!”

ROZDZIAŁ II

W otworze zachodniego muru Jerozolimskiego tkwiły dębowe drzwi zwane bramą Betlejmską lub Jopejską. Plac, znajdujący się przed tą bramą, jest jedną z najznacniejszych części miasta. Za dni Salomona był tu wielki handel, brali w nim udział kupcy z Egiptu i bogaci handlarze z Tyru i Sydonu. Od tego czasu minęło trzy tysiące lat, ale i dziś jeszcze odbywa się targi na tym miejscu.

Była trzecia godzina dnia (Żydzi liczyli godziny począwszy od wschodu słońca; pierwszą godziną była pierwsza po wschodzie słońca) i wiele ludzi już się rozeszło; jednakże tłok niewiele się zmniejszył. Między nowo przybyłymi szczególną uwagę budziła grupa składająca się z mężczyzn, kobiety i osła.

Mężczyzna stał przy osle, trzymając rzemień, na którym go prowadził; oparł się na kiju, który mu służył do popędzania osła i podpierania się. Ubiór jego taki jak wszystkich innych Żydów, tylko wydaje się być nowym. Sądząc z rysów twarzy, liczył około pięćdziesięciu lat, rozgląda się niepewnie i ciekawie, co dowodzi, że jest tu obcy. Osioł zajada wiązkę zielonej trawy, jakiej pełno na targu, i zadowolony nie zważa na to, co się dokoła niego dzieje, ani też na kobietę siedzącą na jego grzbiecie w miękko wysłanym siodle. Postać niewiasty okrywa z wierzchu lekka wełniana suknia, a biała zasłona osłania głowę i szyję. Od czasu do czasu uchylała nieco zasłony, aby spojrzeć dokoła.

Wreszcie zaczepił ktoś nieznanego męża:

– Czy nie jesteś Józefem z Nazaretu?

Mówiący stał tuż obok zapytanego.

– Tak mnie nazywają – odparł Józef, zwracając się ku pytającemu z powagą – A ty... ach! pokój tobie! wszakżeś mój przyjaciel rabbi Samuel.

Wzajemnie pozdrawiam cię – rzekł rabbi, a patrząc na kobietę, dodał po chwili: pokój tobie, twemu domowi i wszystkim przyjaciółom twoim.

Przy ostatnich słowach położył ręce na piersi, pochylił głowę ku kobiecie, która odsunawszy zasłony, ukazała oblicze jeszcze prawie dziecięce. Znajomi podali sobie ręce, jakby je mieli do ust podnieść, w ostatniej chwili jednak cofnęli uścisk, każdy pocałował swoją rękę, kładąc potem dłoń na czole.

– Na waszych szatach tak mało pyłu – rzekł rabbi – zapewne noc przepędziliście tu w mieście ojców naszych.

– Nie – odparł Józef – wczoraj zdążyliśmy przed nocą tylko do Betanii, tam nocowaliśmy, a o brzasku puściliśmy się dalej.

– A zatem macie jeszcze podróż przed sobą – czy może do Joppy?

– Nie tak daleko, tylko do Betlejem.

Zachowanie się rabiego, dotąd szczerze i przyjacielskie, zmieniło się teraz, oblicze nabrało groźnego, posępnego wyrazu, a z gardła ozwał się chrapliwy głos.

– Tak, tak – widzę – urodziłeś się w Betlejem i wiesz tam córkę, aby być wpisanym w księgi stosownie do rozkazu cesarza. Dzieci Jakuba są w niewoli, jak niegdyś w Egipcie, ale nie masz ani Mojżesza, ani Jozuego. Gdzież nasza potęga!

Józef odpowiedział, nie zmieniając ani głosu, ani postawy:

– Niewiasta ta, nie jest moją córką.

Rabbi nie zważając na to tłumaczenie, mówił dalej: – Cóż robią zeloci w Galilei?

– Jestem cieślą, a Nazaret mieścina – odparł Józef rozważnie – ulica przy której stoi ławka moja, nie prowadzi do żadnego większego miasta. Obrabianie drzewa i piłowanie desek zabiera mi tyle czasu, że nie mogę brać udziału w sporach stronnictw.

– Przecież jesteś Żydem – rzekł rabbi poważnie – jesteś Żydem, i to z pokolenia Dawida; nie sądzę, abyś chętnie płacił inną daninę, jak tę, którą dawny zwyczaj nakazał składać Jehowie.

Józef milczał, a jego przyjaciel mówił dalej: Nie żalę się bynajmniej na podwyższenie podatku... denar, to nic. Ale czymże jest ten podatek, jeśli nie obrażą naszej narodowości, jeśli nie uległością wobec tyrana. Powiedz. Powiedz mi, jestże to prawdą, że Juda mieni się Mesjaszem? Musisz to wiedzieć, bo żyjesz wśród jego uczniów.

– Słyszałem od jego zwolenników to samo – odpowiedział Józef.

W tej chwili uchylila się zasłona i twarz niewiasty zabłysła przed okiem rabiego, piękność jej rozjaśniała wejrzenie pełne uroku, a rumieniec oblał czoło i twarz, po czym zasłona ukryła wszystko. Rabbi zapomniał o czym mówił i cichym głosem rzekł: Córka twoja jest skromna.

– Nie jest moją córką – powtórzył Józef.

Ciekawość rabiego rosła, co widząc nazaretańczyk, dodał spiesźnie: jest córką Joachima i Anny z Betlejem, o których pewnie słyszałeś, gdyż cieszyli się dobrą sławą.

– Tak – potwierdził rabbi z uszanowaniem – znałem ich, ród wiedli od Dawida, znałem ich dobrze.

– Nie żyją już – mówił dalej Józef – umarli w Nazarecie i zostawili dom.

Oto ich córka, która nie mogąc inaczej dojść do swej własności, musiała podług naszego prawa, zaślubić najbliższego krewnego. Jest więc moją żoną.

– Teraz rozumiem, jako urodzeni w Betlejem, udajecie się tam stosownie do rzymskiego edyktu, aby swe imiona podać do spisu ludności.

Mówiąc te słowa, załamał rabbi ręce ze zgrozą, a spojrzawszy ku niebu, wołał: – Bóg Izraela żyje! w prawicy Jego zemsta! – To rzekłszy, odwrócił się i spiesźnie odszedł.

A także Józef z małżonką, ponieważ osioł ich się posilił, ruszył drogą w stronę Betlejem. Słońce silnie przypiekało, toteż Maryja zdjęła zasłonę, ukazując głowę bez nakrycia.

Miała więcej niż piętnaście lat. Twarz owalna, cery bladawej, nos kształtny, wargi nieco rozwarte i pełne, nadawały ustom wyrazu słodyczy, czułości i ufności; oczy duże niebieskie, ręce długie; śliczne, złote włosy spadały w cudnej z całością harmonii na jej ramiona. Z całej jej postaci bił blask niezwykłej czystości. Często zwracała wzrok ku niebu, a drżące jej usta wymawiały słowa modlitwy. Józef zwracał się od czasu do czasu ku niej, a widok jej napełniał go radością.

Tak przebyli wielką równinę i dotarli do wzgórza Mar Elias, a przeszedłszy przez dolinę, przybyli do Betlejem. Natłok ludu był wielki, a Józef widząc takie przepełnienie, zaczął się lękać, czy znajdzie pomieszczenie dla Maryi. Nie zatrzymując się dłużej i na nikogo nie zwracając uwagi, szedł dalej i stanął dopiero u drzwi gospody miasta przy rozstajnych drogach.

Aby dobrze zrozumieć, co się nazaretańczykowi wydarzyło w gospodzie, trzeba wiedzieć, że gospody na Wschodzie niczym nie były podobne do gospod ludów zachodnich. Nazywano je khnami z perskiego, a były to po prostu ogrodzone miejsca, ale bez domów i szalasów, często bez bramy lub jakichkolwiek drzwi.

Obierając miejsce na taką gospodę, myślano tylko o cieniu, ochronie osób, ich dobytku i wodzie. Takie były gospody, w których odpoczywał Jakub, gdy szedł po żonę do Padan-Aram, a podobne do nich można dziś jeszcze widzieć na oazach pustyni. Niektóre z nich, szczególnie przy gościńcach wiodących do wielkich miast, jak między Jerozolimą a Aleksandrią, były urządzone po książęcemu, były to zwykle fundacje królewskie. Tego rodzaju khany były wtedy domem i własnością szejka, który wywierał stąd wpływ na całe swoje pokolenie.

Ostatecznym przeznaczeniem takiej budowy mniej było pomieszczenie i ugoszczenie podróżnych, a raczej były one targowicami, twierdzami, punktami zbornymi dla kupców i rzemieślników – czasem tylko schronieniem dla spóźnionych lub zbłąkanych podróżnych; zresztą wśród tych murów, jak rok długi, załatwiano rozmaite sprawy sądowe i targowe, jak na miejskich rynkach.

W zwykłych gospodach nie było ani gospodarza, ani gospodyni, służącego lub kucharki; stróż u bramy przedstawiał cały zarząd i wszelką władzę. Nikt tu nie rozkazywał ani nikt nie podawał rachunków; wynikiem tego systemu było, że każdy przybywający przywoził żywność dla siebie i zwierząt lub nabywał je od kupców będących właśnie w gospodzie. Tak samo było z łóżkiem i posłaniem; właściciel i zarządca dawał tylko wodę, odpoczynek, opiekę i schronienie, a dawał je dobrowolnie i bezinteresownie.

W miejscowości takiej jak Betlejem, gdzie był jeden tylko szejk, nie mogło być więcej gospód; a nazaretańczyk, chociaż tu urodzony, nie mógł liczyć na gościnność w mieście, tym bardziej, że od dawna tu nie mieszkał. Co więcej, spis dla którego tu przybył, mógł trwać tygodnie, a nawet miesiące, gdyż rzymskie prowincjonalne władze odznaczały się taką powolnością, że weszła w przysłowie. Wobec tego niepodobna było zamieszkać u znajomych lub krewnych, a Józef w miarę jak zbliżał się do gospody, coraz popędzał osła, choć było pod górę, a droga była nabita ludźmi, którzy z wielkim hałasem prowadzili bydło, konie, wielbłądy. Widząc natłok obcych, Józef niepokoił się, czy znajdzie gdziekolwiek pomieszczenie, bo rzeczywiście tłum oblegał drzwi gospody, a podwórze jej, jakkolwiek obszerne, było przepelnione. Tuż u bramy siedział na dużym pniu cedrowym stróż gospody, włócznia jego o mur oparta, a pies leżał u stóp jego.

– Pokój Jehowy z Tobą – rzekł Józef, dotarłszy w końcu do stróża.

– Czego mnie życzysz i ja tobie życzę, a co posiędziesz, niech się mnoży tobie i dzieciom twoim – odparł stróż poważnie, nie ruszając się wcale.

– Urodziłem się w Betlejem – rzekł Józef rozważnie – czyliż nie znajdę miejsca dla..

– Nie ma.

– Słyszeliście może o mnie, jestem Józef z Nazaretu. Tu jest dom ojców moich, bo jestem z pokolenia Dawidowego.

Słowa te podtrzymywały nadzieję nazaretańczyka; jeśli one go zawiodą, każde inne nie zdadzą się na nic, nawet ofiara kilku syklów. Być synem Judy, to cenna rzecz – ale nierównie cenniejszą w opinii pokoleń było, być z domu Dawidowego – nie było nic zaszczytniejszego.

Z uszanowaniem powstał stróż z miejsca swego i rzekł: rabbi, nie mogę ci powiedzieć, kiedy te drzwi po raz pierwszy się otwały na powitanie podróżnego, dawniej to pewno niż tysiąc lat, a od tego czasu nigdy nie zamknęły się przed dobrym człowiekiem, jeśli tylko było miejsce, na którym by spoczął. Gdyśmy tak postępowali z obcymi, jakże inaczej mielibyśmy czynić ze swoimi? A jednak musi być prawda, kiedy stróż tego domu mówi potomkowi Dawida: „nie ma miejsca!” Dlatego pozdrawiam cię na nowo, a jeśli chcesz się sam przekonać, chodź ze mną, a pokażę ci, że nie ma miejsca w gospodzie: ani w izbach, ani w podwórzu, ani na dachu. Mogę cię zapytać rabbi kiedy przybyłeś?

– Dopiero przed chwilą.

Stróż uśmiechał się, mówiąc:

– Obcy, który mieszka pośród was, niechaj będzie jak jeden z was i będę go miłować jak siebie. – Czy nie tak mówi prawo, rabbi?

Józef milczał.

– Jeśli takie jest prawo, czyż mogę powiedzieć takiemu, który pierwiej przybył: Idź swoją drogą, bo oto przybył inny, który zajmie miejsce twoje?

– Józef słuchał mowy jego spokojnie.

– Gdybym nawet tak powiedział, czyliż miejsce to należałoby się tobie?

Patrz, jak wielu czeka od dziewiątej.

– Któż są ci wszyscy ludzie? – zapytał Józef, wskazując na tłum – i co ich tu sprowadza?
– To, co zapewne i ciebie, rabbi, edykt cesarski. – Tu stróż rzucił pytające spojrzenie na nazaretańczyka, potem mówił dalej – ta przyczyna ściągnęła większą część tych, którzy są w gospodzie. Prócz tego przybyła wczoraj karawana jadąca z Damaszku do Arabii i Dolnego Egiptu. To, co tu widzisz najbliżej, należy do tej karawany, tak ludzie, jak i wielbłądy.

Józef jeszcze nie ustąpił.

– Podwórze takie obszerne – rzekł.

Tak, ale całe założone tłumokami, pakunkami jedwabiu, korzenia i innymi towarami,
Tu twarz podróżnego zaszła smutkiem, oczy spuścił na dół i rzekł wzruszony: Nie dbam o siebie, ale mam żonę z sobą, noc ciemna, zimniejsza na tej wysokości niż w Nazarecie, nie może ona spędzić nocy pod gołym niebem. Czy nie znalazłoby się dla niej jakie miejsce w mieście?

– Ci ludzie – odrzekł stróż, wyciągnąwszy rękę w kierunku tłumu stojącego przed bramą – byli wszyscy w mieście i mówią, że wszystko jest zajęte. Znów Józef patrzył w ziemię, mówiąc na wpół do siebie: „ona taka młoda! jeśli jej uścielę postanie na wzgórzu, zimno ją zabije”.

Potem znów przemówił do stróża:

– Może znajdziecie jej rodziców Joachima i Annę z Betlejem, również z rodu Dawidowego?

– W młodości mojej znałem ich, byli to sprawiedliwi ludzie.

Mówiąc to, spuścił stróż oczy w zamyśleniu, nagle podniósł głowę i rzekł:

– Nie mogę zrobić miejsca dla ciebie, rabbi, ale bez dobrej rady nie puszcę cię. Ileż was osób jest?

Józef zamyślił się, a potem odpowiedział: – Tylko żona i ja.

– Dobrze, nie spędzicie nocy na dworze. Sprowadź żonę, a spiesz się, bo gdy słońce zajdzie za górę, szybko noc nadejdzie.

– Błogosławię ci błogosławieństwem podróżnego bez dachu, błogosławieństwo gościa nie ominie cię również.

Mówiąc to nazaretańczyk, spiesznie wrócił do Maryi, którą w czasie rozmowy ze stróżem gospody zostawił w pewnym oddaleniu, a wróciwszy z nią, rzekł:

– Oto ta, o której mówiłem.

Maryja miała twarz odsłoniętą.

– Niebieskie oczy i złote włosy – zauważył po cichu stróż, patrząc na Maryję – takim był młody Dawid, gdy śpiewał Saulowi.

Biorąc rzemienne lejce z rąk Józefa, rzekł do Maryi:

– Pokój Tobie, córko Dawida – a do Józefa – rabbi, pójdź za mną.

Szli wąskim przejściem, które wiodło przez podwórze gospody, a potem ku wapiennym wzgórzom, wznoszącym się za gospodą po zachodniej stronie.

– Prowadzisz nas do jaskini – zauważył Józef.

– Jaskinia, do której idziemy – rzekł, zwracając się do Maryi stróż – była schronieniem twojego dziada Dawida; sprowadzał on tu przed niebezpieczeństwem swoje bydło z pól, a żłoby ich są tu jeszcze, jak były za jego dni; później, gdy był królem, szukał w tej starej chacie zdrowia i odpoczynku. Lepiej odpocząć pod dachem, gdzie on sypiał, niż w podwórzu lub przy drodze. Ale oto i chatka przed jaskinią.

Chata była niska i ciasna, właściwie była wejściem do skały, z którą była złączona, i nie miała żadnego okna. Prócz wrót na wielkich zawiasach i ścian żółta polepionych gliną, nie było nic więcej.

W czasie, gdy odsuwano drewniane rygle, Maryja zsiadła z osła, a stróż, otworzywszy wrota, zawołał: chodźcie!

Podróżni weszli, rozglądając się wokoło, i wnet spostrzegli, że chata służyła tylko do zakrycia otworu jaskini czy groty, prawdopodobnie naturalnej, długiej około czterdziestu stóp,

dziewięć do dziesięciu wysokiej, a dwanaście do piętnastu szerokiej. Światło padało przez drzwi i dostatecznie oświetlało wnętrze, tak że można było widzieć nierówną, pełną wyboi podłogę, na której leżały resztki siana, słomy i innych domowych zapasów, zajmujących cały środek komory. Przy ścianach były niskie, kamienne żłoby dla owiec, bez żadnych zagrożeń ani klatek. Jakkolwiek śmieci i słoma pokrywały wszelkie zagłębienia podłogi, a pajęczyny wiszące tu i ówdzie, wyglądały jak kawałki brudnego płótna, miejsce to nie było gorsze od wnętrza gospody.

– Wejdźcie – rzekł przewodnik – cokolwiek tu znajdziecie, jest przeznaczone dla takich, jak wy podróżnych, bierzcie więc. Potem rzekł do Maryi:

– Możesz tu spocząć?

– Miejsce to jest święte – odpowiedziała.

– Żegnam was. Pokój z wami!

Gdy poszedł – podróżni zajęli się uporządkowaniem jaskini.

O oznaczonej godzinie przed wieczorem ustał hałas i ruch w gospodzie, a zapanowała uroczysta cisza: w tym bowiem czasie każdy Izraelita, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, zwracał się ku Jerozolimie, modląc się. Była to święta dziewiąta godzina dnia, w której składano ofiarę w świątyni na górze Moria. Gdy modlitwę skończono ruch na krótki czas rozpoczął się na nowo; jedni zasiedli do wieczerzy, drudzy zabierali się do spoczynku. Chwilę później światła pogasły, zapanowała cisza, i wszyscy poukładali się do snu.

Nagle, około północy, ktoś na dachu zawołał: Wstawajcie, bracia, wstawajcie i patrzcie, jak niebiosa goreją.

Na głos ten ludzie półsenni, siadali na posłaniu, patrzyli nic nie rozumiejąc, a spojrzawszy na niebo, budzili się od razu, lecz jeszcze niczego pojąć nie mogli. Ruch z dachu przeszedł na podwórze, wkrótce cała ludność z gospody i podwórza, patrzyła ze zdziwieniem na niebo.

I widzieli promień światła, zaczynający się na skłonie nieba poniżej najbliższej gwiazdy, skąd ukośnie padał na ziemię; u szczytu promienia świeciła modra gwiazda, rzucająca świetlaną smugę niby snop promieni. Z boków jasność spływała łagodnie, łącząc się z ciemnościami nocy, a rdzeń jej grzał jak słońce. Zjawisko zdawało się tkwić na najbliższej górze i tworzyło blade uwieńczenie szczytu wapiennych wzgórz. Było tak jasno, że ludzie widzieli wzajemnie swoje twarze i wyryte na nich zdziwienie.

Promień świecił ciągle, zdziwienie poczęło zmieniać się w bojaźń i lęk; bojaźliwsi drżeli, odważniejsi rozmawiali szeptem.

– Widziałeś kiedy coś podobnego? – pytał jeden.

– Zdaje mi się że światło wisi nad górą; nie mogę powiedzieć co to jest, nigdy czegoś podobnego nie widziałem – brzmiała odpowiedź.

– Czyżby to spadająca gwiazda? – zapytał inny niepewnym głosem.

– Skoro gwiazda spadnie, światło gaśnie.

– Już wiem – zawołał jeden – pasterze ujrzeni lwa i zaświecili ogień, aby go zatrzymać z dala od trzody.

Najbliższy sąsiad mówiącego odetchnął swobodniej i rzekł twierdząco: Tak, to co innego, gdyż dziś tyle trzód rozbiegło się w dolinie.

– Nie, nie! Gdyby wszystkie drzewa z całej judzkiej doliny na jeden stos złożono i zapalono, jeszcze by płomień nie był tak jasny.

Widząc, że nic się dalej nie dzieje groźnego, ludzie uspokoili się i nastąpiła cisza.

Bracia – przerwał ją wreszcie Żyd o sędziwym obliczu – powiadam wam, jasność ta, to drabina, którą ojciec nasz Jakub widział we śnie. Niech będzie błogosławiony Bóg ojców naszych.

ROZDZIAŁ III

O dwie mniej więcej mile na południowy wschód od Betlejem leży dolina oddzielona od miasta pasmem wzgórz. Rosną na niej drzewa karłowate: dęby, sosny i morwy. Ponieważ dolina ta zasłonięta jest od wiatrów północnych, służy czy to latem, czy też zimą za doskonałe pastwisko dla trzód, które tu pasterze zaganiają. Niedaleko od miasta znajdowało się wielkie schronisko dla owiec, dokąd mogli się pasterze wraz ze swymi trzodami schronić. Było to miejsce otoczone murem wysokości człowieka i ubezpieczone dokoła gęstymi krzakami cierniowymi, aby dziki zwierz, jak lew lub pantera, nie wpadł do owczarni i nie uczynił szkody. Poprzedniego dnia, w którym zaszły co dopiero opowiedziane wypadki, przybyła pewna liczba pasterzy ze swymi trzodami do doliny i od wczesnego już ranka brzmiały nawoływaniem, hukem siekier, beczaniem kóz i owiec, rykiem bydła i szczekaniem psów. O zachodzie słońca spędzano trzody do zagród, a gdy wieczór zapadł, pasterze zapalili wielki ogień niedaleko bramy, posilili się skromną wieczerzą i siedli, aby odpocząć i pogwarzyć, zostawiając zawsze jednego na straży.

Widok tych ludzi dziwne robił wrażenie – nie nakrywają nigdy głów, toteż twarde włosy sterczą wypalonymi przez słońce kępkami, brody kędzierzawe, splecione w warkocze zasłaniają szyję i piersi, dodając postaciom wyrazu dzikości. Za odzienie służą im skóry kozie lub baranie na zewnątrz włosem obrócone, grubym pasem w biodrach ujęte, a zostawiające ręce i nogi obnażone aż do kolan. Stroju dopełniały małe woreczki zwieszane z prawego ramienia, a zawierające zapasy żywności i kamienie do tradycyjnej procy, w którą każdy był uzbrojony. Obok każdego leżał kij pasterski, symbol powołania i broń przeciw napaści. Rozmawiali o swych trzodach i przygodach tego dnia, aż sen skleił ich powieki.

Noc była jasna, mroźna, gwiazdzista, bez żadnego wiatru. Atmosfera była czysta, jak nigdy, czuć było jakiś święty powiew, jakby przecucie, że niebo zbliży się ku ziemi, aby jej szepnąć wieść dobrą.

Przy wejściu do zagrody chodził miarowym krokiem będący na straży pasterz; czasem, usłyszawszy jakiś głos wśród śpiącej trzody lub krzyk szakala od strony gór, przystawał i nasłuchiwał. Północ się zbliżała. Poszedł więc ku ognisku, aby zbudzić zmieniającego go pasterza, gdy nagle oblała go niezwykła jasność, łagodna, niby księżycowa; ujrzał całą dolinę, pastwiska, trzodę, wszystko jak za jasnego dnia. Dreszcz wstrząsnął nim całym. Spojrzał w górę, nie widział gwiazdy, światło jakby z otwartego w niebie okna padało na ziemię; wielce przerażony począł wołać:

– Wstawajcie! Wstawajcie!

Psy zaczęły skomlić ze strachu.

Trzody zbiły się w jedną kupę.

Pasterze zerwali się na równe nogi i chwycili za broń.

– Co się dzieje? – pytali.

– Patrzcie! – zawołał stróż – Niebo w płomieniach!

Nagle jasność nabrała jeszcze siły, pasterze zakrywając oczy, padali na twarze; nagle usłyszeli głos pełen niepojętego uroku:

– Nie bójcie się.

Słuchali.

– Nie bójcie się, bo oto oznajmiam wam wielką radość, która napelni wszystkie narody ziemi.

Głos pełen słodyczy, spokoju, czysty, poruszył ich do głębi i napenił ufnością. Uklękli z czcią i ujrzeni wśród jasności postać ludzką w szacie nadzwyczajnej białości, ponad jej ramionami wznosiły się końce skrzydeł; nad głową postaci świeciła gwiazda, ręce wzniosła nad pasterzami, błogosławiąc im, a twarz jej była dziwnie spokojna i cudownie piękna.

Nieraz judejscy pasterze słyszeli i rozmawiali o aniołach, żadna też wątpliwość nie powstała w ich sercach, a w uniesieniu myśleli: „Chwała Boża jest pośród nas; Bóg posłał do nas Anioła, jak kiedyś posyłał do proroków Swoich”.

Anioł mówił dalej: Dziś narodził się wam Zbawiciel w mieście Dawidowym, którym jest Chrystus Pan.

I znów nastąpiła cisza, a słowa jego wyryły się w sercach pasterzy.

– A dla was jest znakiem to, że znajdziecie niemowlętko owinięte w pieluszki, położone w żłobie – mówił anioł.

Święty posłaniec nie mówił już więcej; został jednak jeszcze chwilę; a gdy pasterze stali oniemieli, pojawiły się niezliczone zastępy aniołów, chwających Boga, mówiących:

„Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Ten hymn pełen uroczystych tonów brzmiał długo i powtarzał się wiele, wiele razy.

Nareszcie anioł wznosił w niebo oczy, z wolna poruszył skrzydłami, roztaczając je poważnie, a były one wewnątrz białe jak śnieg i mieniące niby muszle morskie. Rozpostarłszy skrzydła, uniósł się lekko, bez trudu i zniknął wraz ze światłem. Długo jeszcze po jego odejściu słyhać było z górnych sfer hymn, w miarę oddalenia cichnący: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Gdy pasterze oprzytomnieli, patrzyli na siebie ze zdziwieniem, nareszcie jeden z nich rzekł: – To był Gabriel, posłaniec Pana do ludzi.

Wszyscy milczeli.

– Chrystus Pan się narodził; alboż nie tak mówił?

Wtedy drugi odzyskał mowę i odpowiedział: – Tak mówił.

– Wszak mówił także, że to się stało w mieście Dawidowym, a to jest Betlejem; przecież mamy znaleźć dziecię owinięte w pieluszki.

– I położone w żłobie.

Ten, który mówił pierwszy, patrzył zamyślony w ogień, nareszcie rzekł jakby nagłym opamiętaniem: – Jedno jest tylko miejsce w Betlejem. gdzie są żłoby jedno tylko, w jaskini w pobliżu za gospodą. Bracia, chodźmy zobaczymy to, co się stało. Kapłani, doktorowie i uczeni w Piśmie od dawna oczekują Chrystusa Mesjasza i oto narodził się, a Pan dał znak nam, po którym poznamy Go. Chodźmy oddać mu pokłon.

– Jakże zostawimy trzodę?

– Pan strzec jej będzie. Spieszmy się!

Wszyscy wstali i opuścili zagrodę.

Minęli góry, miasto i stanęli u bramy gospody, u której zastali stróża.

– Czegóż chcecie? – zapytał.

– Widzieliśmy dzisiaj wielkie rzeczy i usłyszeliśmy wielką nowinę.

– Widzieć... i myśmy widzieli, ale nic nie słyszeliśmy. I cóż słyszeliście?

– Chcemy iść do jaskini, aby się o wszystkim przekonać. Chodź z nami i zobacz własnymi oczami.

– Daremna droga!

– Bynajmniej, narodził się Mesjasz!

– Mesjasz? Skąd to wiecie?

– Chodź i patrz.

Stróż roześmiał się pogardliwie.

– Mesjasz? – powtórzył – po czym chcecie Go poznać.

– Urodził się dzisiejszej nocy i leży w żłobie. Tak nam oznajmiono. A jest tylko jedno miejsce w Betlejem, gdzie są żłoby.

– W jaskini?

– Tak jest...chodź z nami.

Przeszli podwórze gospody, nie zatrzymywani już przez nikogo, mimo że niektórzy w gospodzie nie spali i rozmawiali o światłości, którą w nocy widzieli.

Drzwi do jaskini stały otworem. Wewnątrz błyszczał przyćmionym światłem kaganek. Przybyli weszli śmiało do wnętrza.

Pokój wam! – rzekł stróż, zwracając się do Józefa. Oto przyszli ludzie, którzy szukają Dzieciątka, które narodziło się tej nocy, owinięte jest w pieluszki i leży w żłobie.

Promień radości przebiegł po obliczu Józefa. Zwróciwszy się ku wnętrzu jaskini wskazał ręką i rzekł:

– Tam oto!

I zaprowadził ich do żłobu, w którym leżało Dzieciątko. Przy świetle kaganka ujrzeni niemowlę i oglądał je w niemym podziwieniu. Dziecię nie ruszało się i było podobne do każdego innego nowo narodzonego dziecięcia.

– To jest Chrystus – rzekł jeden z pasterzy.

– Chrystus – powtórzyli wszyscy, padając na kolana i oddając Mu cześć. Jeden z nich powtarzał z uniesieniem: – Oto Pan, pełne są niebiosa i ziemia chwały Jego.

Ci prości ludzie całowali brzeg sukni Matki i z radością odeszli. Wracając przez gospodę, opowiadali wszystkim co ich spotkało, a idąc przez miasto i całą drogę z powrotem do trzód, śpiewali hymn Aniołów: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!” Wieść o narodzeniu Chrystusa Pana rozeszła się po całej okolicy, a światło, które widziano, potwierdzało opowieść. W następnych dniach ciekawe tłumy nawiedzały jaskinię, wielu wierzyło, ale większość naigrawała się i szydziła.

ROZDZIAŁ IV

Drogą od Shechem, jedenastego dnia po narodzeniu Dzieciątka, po południu, zbliżali się mędrcy do Jerozolimy; przeszedłszy strumień Cedron, spotykali mnóstwo ludzi, którzy stawali i ciekawie im się przypatrywali.

Geograficzne położenie Judei było bardzo korzystne, gdyż leżała na głównej drodze wiodącej przez pustynię. Kupcy, wędrujący tym szlakiem musieli przejeżdżać przez Jerozolimę, gdzie opłacali cło od przywiezionych towarów. Ruch w Jerozolimie był zatem znaczny; podobnie jak w Rzymie schodziły się tutaj wszelkie narodowości świata. Mimo to trzej mędrcy wzbudzali powszechne zainteresowanie, a nawet podziw.

Dziecko należące do gromadki kobiet, siedzącej przy drodze naprzeciw Królewskich grobów, widząc jadących, złożyło rączki, wołając: Patrzcie, patrzcie! jakież to piękne dzwonki! jakie wielkie wielbłądy!

Dzwonki były srebrne, a wielbłądy niezwyklej wielkości białości, ruszały się z nadzwyczajną powagą; zaopatrzenie u siodeł świadczyło o długiej podróży, a zarazem bogactwie ich właścicieli. Jednak ani dzwonki, ani wielbłądy, ani ubranie, ani zachowanie się podróżnych nie było tak dziwne, jak pytanie, które jadący na czele zadawał przechodniom.

Nasi podróżni zatrzymali się naprzeciw „grobów”, wprost owej gromadki niewiast.

– Dobre niewiasty – rzekł Baltazar, gładząc brodę i wychylając się spod namiotu – czy niedaleko już do Jerozolimy?

– Niedaleko – rzekła kobieta, za którą schroniło się dziecko. – Gdyby drzewa przy owej grocie były niższe, mógłbyś widzieć stąd wieże miasta.

Baltazar spojrział na Greka i Hindusa, a potem zapytał:

– Gdzież mamy szukać Tego, który się narodził, Króla Żydowskiego?

Kobiety popatrzyły po sobie, nie dając odpowiedni.

– Czy nie słyszeliście o Nim?

– Nie.

– A zatem opowiadajcie wszystkim, żeśmy widzieli Jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać Mu cześć.

To rzekłszy, pojechali dalej, pytając innych – również daremnie. Koło grotty Jeremiasza spotkali jadące liczne towarzystwo, które tak się zdziwiło pytaniem i powierzchownością podróżnych, że zawróciło z drogi i pojechało wraz z nimi do miasta.

Trzej podróżni byli tak zajęci swoim posłannictwem, że nie zwracali uwagi na wspaniałe widoki, który się im ukazał, gdy zbliżali się ku miastu. Liczny tłum ciekawych towarzyszył podróżnym. Stanęli nareszcie przed Bramą Damasceńską.

– Pokój tobie! – rzekł Egipcjanin czystym głosem.

Straż nie dała żadnej odpowiedzi.

– Przybywamy z dalekich stron, szukając Tego, który się narodził, Króla Żydowskiego. Czy możesz nam powiedzieć, gdzie Go znaleźć możemy?

Żołnierz podniósł przyłbicę i zawołał głośno w stronę strażnicy. W tej chwili wyszedł setnik. – Rozstąpcie się – zawołał na tłum; a gdy nie dość szybko usłuchano jego rozkazu, wysunął się naprzód, robiąc miejsce dziurytem na prawo i lewo.

– Czego chcecie? – zapytał Baltazara.

– Gdzie jest Ten, który się narodził Król Żydowski? – odrzekł Baltazar.

– Herod? – spytał Rzymianin zdziwiony.

– Herodowi Cezar dał królestwo, zatem nie Herod.

– Innego króla żydowskiego nie ma.

– Na wschodzie widzieliśmy gwiazdę Tego, którego szukamy, aby Mu oddać cześć.

Zmieszanie Rzymianina wzrosło.

– Idźcie dalej – odrzekł wreszcie – idźcie dalej... nie jestem Żydem... pytajcie o to doktorów w świątyni, albo kapłana Annasza, a jeszcze lepiej, samego Heroda. Jeśli jest jaki inny król żydowski, on będzie wiedział, gdzie jest.

To mówiąc, przepuścił cudzoziemców, którzy minęli bramę i wjechali w wąską uliczkę. Baltazar zaś rzekł do towarzyszy:

– Osiągnęliśmy cel naszego przybycia, przed północą całe miasto będzie wiedziało o naszym posłannictwie. A teraz ruszajmy do gospody.

Tego samego dnia o zachodzie słońca kilka kobiet prało bieliznę na stopniach schodów wiodących do stawu Siloam. Każda u nich klęczała, mając przed sobą duże wiadro. Siedząca na najniższym stopniu dziewczyna podawała wyżej siedzącym wodę. Kiedy tak były zajęte pracą, nadeszły dwie kobiety, aby nabrać wody w wiadra, które z sobą przyniosły.

– Pokój wam – rzekła jedna z przybyłych. Pracujące odpowiedziały również tym pozdrowieniem.

– Noc nadchodzi, czas skończyć – rzekła jedna z nich.

– Jeszcześmy roboty nie skończyły – odrzekła inna.

– Ale czas iść na spoczynek i...

– posłuchać ploteczek – przerwała druga.

– Co słyhać nowego.

– Jak to, czy nic nie wiecie?

– Nie, zgoła nic.

– Mówią, że się narodził Chrystus – rzekła przybyła i szybko opowiedziała co słyszała.

Ciekawy był widok rozjaśnionych twarzy praczek, które pousiadały na wiadrach odwróconych dnem do góry i słuchały, od czasu do czasu przerywając opowiadającej wykrzyknikami.

– Chrystus, co mówisz?!

– Tak mówią.

– Kto?

– Wszyscy o tym opowiadają?

– Można temu wierzyć?

– Dziś po południu przybyło trzech podróżnych przez Cedron, drogą od Shechem – opowiadała mówiąca, chcąc pokonać wszystkie wątpliwości.

– Każdy z nich jechał na wielbłądzie białym jak mleko, bez żadnej odmiany, i większym niż kiedykolwiek widziano w Jerozolimie. Zainteresowanie słuchaczek rosło, otworzyły oczy i usta z wielkiego zdziwienia. – Muszą być bogaci – mówiła dalej – bo siedzieli pod jedwabnymi namiotami, przytwierdzonymi do złocistych siodłał. Wszystko zresztą, uzdy, frędzle, lśniło się od złota, a srebrne dzwonki wydawały śliczną muzykę. Jeden z nich, jadący na przedzie, zatrzymywał się i wszędzie po drodze pytał dzieci, kobiet, przechodniów: „Gdzie jest Ten, który się narodził. Król Żydowski?” – Oczywiście nikt na to nie odpowiadał, nikt nie rozumiał czego chcieli, więc jechali dalej, a lud zdziwiony tłumaczył sobie pytania ich w najróżniejszy sposób. „Szukamy, bo widzieliśmy gwiazdę Jego na Wschodzie i przychodzimy oddać Mu cześć” – nikt tego zrozumieć nie zdołał.

– O to samo pytali Rzymianina w bramie, a on, nie mędrszy od prostego ludu po drodze, odesłał ich do Heroda.

– Gdzie są teraz?

– W gospodzie; tłumy ludu cisną się ustawicznie, aby ich widzieć.

– Kim oni są?

– Nikt tego nie wie. Mówią, że są to Persowie, mędrzy, którzy rozmawiają z gwiazdami – prorocy może... tacy, jak niegdyś Eliasza lub Jeremiasz.

– O kim to oni myślą, pytając o Króla Żydowskiego?

– Oczywiście o Chrystusie, który się narodził.

Jedna z kobiet, składając robotę, śmiała się i rzekła: Dobrze, gdy Go Zobaczę, uwierzę.

Inna idąc za przykładem poprzedniej, dodała: A ja nie uwierzę, aż ujrzę że wskrzesza zmarłych.

Trzecia rzekła spokojniej: Dawno był obiecany, toteż dość mi będzie, gdy Go ujrzę uzdrawiającego trędowatych.

Tak rozmawiając siedziały kumoszki długo, aż je noc i zimno zmusiły do pójścia do domu.

ROZDZIAŁ V

Tegoż samego dnia późno wieczorem, kiedy zaciągano pierwszą nocną straż, odbywało się na rozkaz króla Heroda wielkie zebranie w pałacu na górze Syjon. Przybyło na nie około pięćdziesięciu osób. A byli to znaczniejsi kapłani, uczeni w piśmie, doktorowie prawa, należący do rady królewskiej. Między nimi byli przedstawiciele rozmaitych sekt: faryzeusze, saduceusze i esseńczycy.

Komnata, w której odbyło się posiedzenie, znajdowała się w dolnej części pałacu, a była obszerna i urządzona na sposób rzymski. Posadzka marmurowa, ściany bez okien, malowane na safianowy, żółty kolor. Ława w kształcie litery U, zwrócona otworem do drzwi, zajmowała środek sali, a była pokryta szerokimi poduszkami z żółtego sukna. W zagięciu ławy, stał ogromny spizowy trójnóg, kunsztownie złotem i srebrem wykładany; nad nim zaś zwieszał się od stropu świecznik o siedmiu ramionach, z zatkniętym w każdym ramieniu kagankiem.

Mężowie, uczestniczący w naradzie, byli to ludzie podeszli w latach; długie ich brody, duże nosy, czarne błyszczące oczy nadawały im niezwykle przejmującego grozą wyrazu. Zachowanie się ich było pełne godności i powagi.

Na pierwszym miejscu siedział przewodniczący zebrania, po prawej i lewej stronie zajęła miejsce reszta członków. Szczególną uwagę zwracał przewodniczący: postaci wysokiej, przygarbiony i skurczony pod ciężarem lat, podobny do szkieletu. Biała szata zwieszała mu się w fałdach z ramion. Ręce, półzakryte rękawami z białego w czerwone pasy jedwabiu, złożył poważnie na kolanach. Gdy mówił, podnosił prawą rękę i wskazujący palec, aby swoim słowom dodać większego znaczenia. Szacunek wzbudzającą głowę okalały białe, jak jedwab cienkie włosy. Skronie mocno miał zapadnięte, toteż czoło wystawało niby skała, oczy bez blasku i niepewne, nos spiczasty, cała zaś niższa część twarzy ginęła w brodzie rozwianej a wspaniałej jak u Arona. Był to Hillel, Babilończyk. Mając już lat sto sześć, był jeszcze rektorem Wielkiej Rady.

Na stole przed nim leżał zwój pergaminowy, hebrajskim zapisany pismem, za jego siedzeniem stał paź, bogato ubrany, czekający na rozkazy.

Zgromadzenie rozpoczęło się przemową, potem nastąpiła rozprawa nad przedłożonymi do omówienia sprawami, a gdy doszli do ostatecznego wniosku, każdy przybrał wyraz jeszcze bardziej uroczysty, poważny zaś Hillel, nie ruszając się, zawołał na pazia:

– Hist!

Chłopiec zbliżył się z uszanowaniem.

– Idź, powiedz królowi, że możemy mu dać odpowiedź. – Chłopiec wyszedł spiesźnie.

Po chwili weszli dwaj żołnierze i stanęli po obu stronach podwoi; za nimi wstąpiła do komnaty dziwna postać – starzec w purpurowej sukni z brzegiem szkarłatnym; złota taśma, tak cienka, że się gięła jak skóra, przytrzymała szatę w pasie, sprzączki obuwia świeciły klejnotami. Wąska filigranowa korona błyszcząca na jego głowie. Zamiast pieczęci u naplecznika wisiał sztylet. Szedł kulejąc i opierając się ciężko na lasce. Nie podniósł oczu, aż doszedł do zgromadzonych; wtedy jakby pierwszy raz ujrzał, spojrzął dumnie wokoło, jak ktoś zdziwiony i szokujący nieprzyjaciela, ponurym, podejrzliwym i groźnym wejrzeniem. Był to He-

rod, zwany Wielkim, godny naśladowca rzymskich cesarów, dzierzący mimo podkopanego zdrowia despotycznie berło, człowiek podejrzliwy, zazdrosny i okrutny, sumienia zbrodniami obciążonego.

Gdy Herod wszedł, powstał ogólny ruch w zgromadzeniu – starsi kłaniali się nisko, grzeczniejsi wstawali i oddawali pokłon.

Po odebraniu hołdu, Herod podsunął się do trójnoga, stanął naprzeciw Hillela, który pozdrowił go pochyleniem głowy.

– Odpowiedź – rzekł król rozkazującym tonem do Hillela, oparłszy się dumnie obiema rękoma na lasce – odpowiedź!

Oczy patriarchy świeciły łagodnością, podniósł głowę, a patrząc śmiało w oblicze królewskie, rzekł wśród ogólnego milczenia.

– Niech pokój Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba będzie z tobą, o królu. Słowa te były jakby inwokacją, wstępem; potem innym tonem mówił dalej:

– Pytałeś nas, gdzie się ma narodzić Chrystus?

Król skinął głową twierdząco, ale złowrogięgo wzroku nie odwrócił od mędrca:

– Takie stawiałem pytanie.

– Więc dowiedz się, królu – mówię tu w swoim i całego zgromadzenia imieniu, bo wszyscy się na jedno zgadzamy: w Betlejem w Judei.

Tu Hillel spojrział na zwój pergaminowy, leżący na trójnogu, a wskazując nań drżącym palcem, rzekł: w Betlejem w Judei, bo napisane jest przez Proroki „I ty, Betlejem, ziemio judzka, nie jesteś ostatnią między księstwami judzkimi, bo z ciebie wyjdzie Ten, który oparuje cały naród izraelski”.

Twarz Heroda zmieniła się, oczy spoczęły na pergaminie – zamyślił się. Otaczający widząc gniewne oblicze pana, zadrżeli, tak on jak i oni milczeli, nareszcie król obrócił się i wyszedł z komnaty.

– Bracia – rzekł Hillel – oto jesteście wolni.

Zgromadzenie powstało i rozeszło się grupami.

– Symeonie – rzekł Hillel.

Człowiek liczący mniej więcej pięćdziesiąt lat, przybliżył się ku niemu.

– Zwiń święty pergamin i weź go z poszanowaniem.

Gdy rozkaz został spełniony, rzekł Hillel:

– Teraz podaj mi ramię, pójdę do lektyki.

Opuścili salę.

Tak odszedł sławny Killel i Symeon, syn jego, przyszły jego następca w mądrości, nauce i godności.

Tego samego wieczora, ale znacznie później, nasi trzej podróżni Mędrcy udali się w gospodzie na spoczynek. Kamienie, które służyły za węzłowia, tak wysoko podpierały głowy, że przez otwór w sklepieniu mogli patrzeć w ciemności nocy, a patrząc w migocące gwiazdy, myśleli i swoim niezwykłym powołaniu. Otóż byli już w Jerozolimie, pytali przy bramie o Tego, którego szukali, oznajmili jego narodzenie, teraz pozostaje im tylko znaleźć Go, a w tym zdali się zupełnie na Ducha. Ludzie, nadśluchujący głosu Boga lub wyczekujący znaku z Nieba, nie mogą spać. Wśród tego oczekiwania wszedł w ciemności sklepienia jakiś człowiek.

– Wstańcie! – rzekł – przynoszę rozkaz, któremu natychmiast trzeba zadość uczynić.

Wszyscy usiedli na posłaniach.

– Od kogo przybywasz? – spytał Egipcjanin.

– Od króla Heroda.

Każdy z podróżnych doznał niemiłego wzruszenia.

– Czyż nie jesteś stróżem gospody? – zapytał znów Baltazar.

– Jestem.

– Czego król chce od nas?
– Posłaniec jego jest tam, niechaj wam odpowie.
– Powiedz mu, aby oczekiwał naszego przybycia.
– Dobrze uczyniłeś, mój bracie – rzekł Grek, gdy stróż poszedł. – Widocznie rozniosła się wieść o naszym przybyciu i celu naszej podróży. Dowiemy się, z jaką posłaniec przyszedł wiadomością.

Wstali, włożyli sandały, przepasali szaty i poszli.

– Pozdrowiam was, życzę pokoju i przepraszam, ale król mój i pan posłał mnie z prośbą do was, abyście spieszenie udali się do pałacu, gdzie z wami pragnie pomówić na osobności.

Tak poseł spełnił swoje poselstwo.

Kaganek wisiał u wejścia gospody, przy jego świetle spojrzeli Mędrcy po sobie i poznali, że Duch jest z nimi. Wtedy Egipcjanin przystąpił do stróża i rzekł tak, aby go nikt nie słyszał: Wiesz, gdzie są złożone nasze wory w podwórzu i gdzie spoczywają nasze wielbłądy. Skoro pójdziemy, przygotuj wszystko do naszego odjazdu – w razie gdyby ten okazał się potrzeby.

– Idźcie w pokoju, możecie mi zaufać – odrzekł stróż.

– Wola króla, naszą wolą – rzekł Baltazar do posła – prowadź nas.

Szli wąskimi ulicami Jerozolimy, na których widać było, że Herod dbał o porządek i czystość. Idąc za posłem. Mędrcy pogrążyli się w milczeniu. W końcu stanęli przed bramą pałacu.

Przy świetle ogni, palących się dwóch wielkich kotłach, zobaczyli ogólne linie budowy oraz kilka ze straży opartych na broni. Przez przejścia pod arkadami, przez podwórza i kolumnady nie zawsze oświetlone, przez liczne schody, niezliczone komnaty i sale, szli nie pytani i nie zatrzymywani, aż ich zaprowadzono do wieży, niezwykle wysokiej. Tu przewodnik nagle zatrzymał się, a wstępując w otwarte podwoje rzekł:

– Wejdźcie, król jest tam.

Powietrze w komnacie, do której weszli, było przesiąknięte zapachem sandałowego drzewa, a całe urządzenie jej odznaczało się bogactwem. Posadzkę komnaty, raczej jej środek, pokrywał kobierzec o długim włosie, a na nim stał tron. Przybyli mogli zaledwie pobieżnie przypatrzeć się rzeźbionym i złożonym otomanom i łóżom, wachlarzom, dzwonom i muzycznym instrumentom, złotym świecznikom i murom malowanym na sposób grecki. Herod, ubrany jak wtedy, gdy zapytywał doktorów i prawników na zgromadzeniu, siedział na tronie i zwrócił całą uwagę przychodniów. Na brzegu kobierca, do którego się nieśmiało zbliżyli, oddali pokłon aż do ziemi, co widząc król, zadzwonił i kazał słudze wstawić krzesło naprzeciw tronu.

– Usiądźcie – rzekł uprzejmie.

– Od północnej bramy – mówił dalej, gdy usiedli, miałem doniesienie po południu o przybyciu trzech cudzoziemców, dziwnie ubranych i zdających się pochodzić z dalekich stron. Czyż wy nimi jesteście?

Egipcjanin za znakiem danym przez towarzyszy, odpowiedział kłaniając się nisko: Gdybyśmy byli inni, niż jesteście, potężny Herod, którego sława napełnia świat cały, nie posyłałby po nas. Nie możemy wątpić, iż jesteście tymi, których szukasz.

Herod przyjął to przemówienie skinieniem ręki.

– Któż wy jesteście? Skąd przychodzicie? – pytał i dodał znacząco: niech każdy mówi za siebie.

Po kolei zdali mu sprawę, opowiadając o krajach i miastach ojczystych, o drogach, którymi do Jerozolimy przybyli. Trochę rozczarowany Herod, zapytał wprost:

– O co pytaliście żołnierza i starszego przy bramie?

– Pytaliśmy ich, gdzie jest Ten, który się narodził Król Żydowski?

– Rozumiem teraz, dlaczego wzbudziliście tyle ciekawości, a i ja niemniej jestem zaciekawiony. Czyż jest inny król Żydów?

Egipcjanin rzekł bez trwogi.

– Jest, nowo narodzony.

Wyraz bólu skrzywił twarz monarchy, zdawało się jakby jakieś nieprzyjemne wspomnienie opanowało umysł jego.

– Nie u mnie, nie u mnie – zawołał.

W tej chwili widział zapewne blade straszne widma pomordowanych dzieci, pokonując jednak wzruszenie, rzekł:

– Gdzie jest ten nowy król?

– Tego właśnie pragniemy się dowiedzieć.

– Przynosicie mi dziwną wieść – zagadkę od Salomonowych trudniejszą. Tu zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej:

– Jak widzicie, jestem w podeszłym wieku, w którym ciekawość jest tak niepokonana jak w dzieciństwie; żartować z nią byłoby okrucieństwem. Powiedzcie, co więcej wiecie, a uczczę was jak sobie równych, jak król czci króla. Powiedzcie mi wszystko, co wiecie o nowo narodzonym, a pójdę z wami szukać Go, a gdy Go znajdziemy, zrobię co zechcecie, przywiodę Go do stolicy, nauczę sztuki panowania, użyję moich wpływów u Cezara na jego korzyść i chwałę. Przysięgam, że zazdrość nie powstanie między nami. Powiedzcie mi tylko, jakim sposobem, oddzieleni morzem i pustynią mogliście o Nim usłyszeć.

– Powiem ci prawdę, królu.

– Mów – rzekł Herod.

Baltazar powstał i rzekł głosem uroczystym.

– Widoczna w tym ręka wszechmogącego Boga.

Po twarzy Heroda przebiegł cień trwogi.

– On kazał nam przyjść tu, obiecując, że znajdziemy Zbawiciela świata; że go zobaczymy, oddamy Mu cześć i będziemy o Nim świadczyć, a jako znak każdemu u nas dane było widzieć gwiazdę Jego, a Duch Jego był z nami i teraz, o królu. Duch Jego jest i tu obecny.

Uczucie pełne zdziwienia opanowało trzech Mędrców. Grek z trudnością powstrzymywał swoją radość. Herod natomiast badał wzrokiem twarz każdego z nich, a zdawał się być coraz podejrzliwszy i więcej niezadowolony.

– Drwicie ze mnie – rzekł. – Nie mogę inaczej sądzić, chyba że powiecie mi co nastąpi po przyjściu nowego króla.

– Odkupienie.

– Od czego?

– Od grzechów.

– Jak?

– Mocą Bożą – przez wiarę, miłość i dobre uczynki.

– Więc... – tu wstrzymał się Herod, a z wejrzenia i wyrazu twarzy nikt nie mógł odgadnąć, z jakim uczuciem mówił dalej: jesteście więc posłańcami Chrystusa. Czy powiedzieliście już wszystko?

Baltazar skłonił się nisko na znak potwierdzenia i dodał:

– Sługami twymi jesteśmy, o królu.

Monarcha poruszył dzwonkiem, a gdy się sługa ukazał rzekł: Przynieś dary.

Sługa wyszedł, wrócił za chwilę, a klękając przed gośćmi, dał każdemu wierzchnią suknię, czyli płaszcz szkarłatany i niebieski oraz złoty pas. Mędrcy przyjęli dary, składając podziękowanie według wschodniego obyczaju.

Jeszcze słowo – rzekł Herod po ukończeniu ceremonii – mnie i starszemu żołnierzowi przy bramie mówiliście o gwieździe widzianej na wschodzie.

– Tak – rzekł Baltazar – Jego gwiazdę, gwiazdę Nowo Narodzonego.

– Kiedyż się ona ukazała?

– Wtedy, gdyśmy odebrali rozkaz i poselstwo.

Herod powstał, dając do zrozumienia, że posłuchanie skończone. Schodząc z tronu, zbliżył się ku nim i rzekł uprzejmie: Jeśli, jak wierzę, o mężowie pełni mądrości, jesteście posłańcami Chrystusa właśnie narodzonego, wiedzcie, że dzisiejszej nocy pytałem najświadomszych w tych rzeczach Żydów i oni jednogłośnie orzekli, że Chrystus ma się narodzić w Betlejem w ziemi judzkiej. A więc idźcie tam, mówię wam, idźcie i szukajcie małego Dzieciątka, a gdy znajdziecie, powiadomcie mnie, abym mógł pójść i oddać Mu cześć. Tymczasem w drodze nie doznacie żadnej przeszkody ni opóźnienia. Pokój wam! – To rzekłszy, v.stał i wolnym krokiem opuścił komnatę.

Natychmiast przewodnik wywiódł ich na ulicę i zaprowadził do gospody, w której bramię Grek rzekł: Udajmy się do Betlejem, jak nam radził król.

– Tak – zawołał Hindus – Duch goreje we mnie.

– Niech się tak stanie – dodał Baltazar żywo. – Wielbłądy gotowe do podróży.

Obdarzywszy stróża, wsiedli podróżni na siodła, spytali o drogę do Jopejskiej Bramy i pojechali. Bramę zastali otwartą na swe przybycie i udali się drogą, którą niedawno przybyli Józef i Maryja. Gdy zjechali z Hinnonu w dolinę Refaim, ukazało się światło, zrazu blade i niepewne. Serca podróżnych zabiły raźniej; światło się wzmogło, poczęło razić oczy, aż je przysłaniać musieli. Skoro zaś odważyli się znów na nie spojrzeć, było jak inne na niebie, ale szło przed nimi blisko i powoli. W zachwyceniu złożyli ręce do modlitwy.

Często wśród drogi powtarzali na przemian w uniesieniu: „Bóg z nami! Bóg z nami!” I szli za gwiazdą, aż stanęła nad stajenką w pobliżu Betlejem.

Kiedy w Betlejem wartę zmieniano, ranek zaczynał już świtać. Już wierzchołki gór kapały się w promieniach wychylającego się słońca, ale w dolinie panowała jeszcze głucha noc. Stróż na ganku starej gospody, drżąc od chłodu, słuchał uważnie pierwszych odgłosów, którymi budzące się życie wita ranną jutrzenkę. Nagle ukazało się światło idące wprost na dom. Zrazu zdawało mu się być pochodnią w czyjejs ręce; później sądził, że to meteor: gdy się jednak zwiększało i zmieniało w gwiazdę, krzyknął z przerażenia. W gospodzie na jego krzyk, kto żyw, wyszedł na dach. Zjawisko zbliżało się ciągle: skały, drzewa, droga poniżej światła były jasne, a światłość ta stała się olśniewająca. Bojaźliwsi padli na kolana, modląc się i zakrywając twarze; odważniejsi schylali się, przysłaniając oczy, i od czasu do czasu spoglądali na to co ich otaczało. Gospoda i jej okolica stanowiły jakby oświecony punkt. Odważniejsi, co patrzyli śmiało, widzieli gwiazdę stojącą prosto nad domem przed jaskinią, w której się narodziło Dziecię.

Wśród tej jasności przybyli i Mędrcy. U bramy zsiadli z wielbłądów i zażądali, by ich wpuszczono do środka. Po chwili, której stróż potrzebował do opanowania strachu, odsunął nareszcie zasuwę i otworzył bramę. Wielbłądy podobne do widm w tym nadnaturalnym świetle, dziwne ubrania, pełne uniesienia i oczekiwania twarze podróżnych, nie mogły uspokoić stróża, który cofnął się i chwilę nie był w stanie odpowiedzieć na zadane mu pytanie.

– Czy jesteśmy w Betlejem, w ziemi judzkiej? – Dopiero, gdy więcej ludzi nadeszło, stróż nabrał odwagi i odpowiedział:

– Nie, to jest gospoda, miasto leży dalej.

– Czy tu się narodziło Dziecię?

Otaczający spojrzeli po sobie, a niektórzy odpowiedzieli:

– Tak, tak.

– Zaprowadźcie nas do Niego – rzekł Grek niecierpliwie.

– Zaprowadźcie nas do Niego – wołał Baltazar, dodając z powagą: widzieliśmy gwiazdę Jego, teraz stanęła nad tym domem, idziemy oddać Mu cześć.

Hindus złożył ręce, wołając – Zaprawdę, żyje Bóg! Spieszmy, spieszmy! Zbawiciel znaleziony. Błogosławieni my wśród ludzi tego świata.

Ludzie z dachu zstąpili i szli za cudzoziemcami, przeszli podwórze i ogrodzenie. Na widok gwiazdy stojącej przed jaskinią, chociaż już mniej jasno świeciła, niektórzy cofnęli się, więk-

sza jednak część poszła dalej. Gdy cudzoziemcy zbliżyli się do jaskini, gwiazda ruszyła; skoro weszli w drzwi, wzniosła się ponad ich głowy, a gdy byli wewnątrz, zniknęła.

To wszystko potwierdziło przekonanie, że między gwiazdą a cudzoziemcami była, jakaś nadprzyrodzona łączność, co wkrótce spostrzegli i ci, którzy byli w jaskini. Gdy otwarto wrota, wtoczył się cały tłum do wnętrza, oświetlonego kagankiem, tak że podróżni ujrzeli Matkę z Dzieciątkiem, siedzącym na jej łonie.

– Twojeż to jest dziecię! – zapytał Baltazar Maryi; a Ona, która wszystko gorąco brała do serca, cokolwiek się jej Dziecięcia tyczyło, podniosła Je do światła, mówiąc:

– Oto mój Syn!

Na te słowa Mędrcy padli na ziemię, oddając Mu cześć i pokłon.

A jednak Dziecię to było jak inne dzieci, nad głową nie promieniała Mu światłość ani korona, usta milczały, a jeśli słyszało okrzyki lub modlitwy, nie dawało tego poznać, ale jak wszystkie dzieci, patrzyło na światło kaganka więcej i dłużej niż na ludzi. Po chwili wstali Mędrcy i wyszli, wróciwszy od wielbłądów, przyniesili dary, składające się ze złota, kadzidła i miry, które u stóp Dzieciątka złożyli.

To jest więc Zbawiciel, którego aby widzieć i cześć Mu oddać przybyli z dalekiego świata. Ubożuchny i opuszczony, wypchnięty ze społeczeństwa ludzkiego, leży na łonie matki – bezradne niemowlę. A jednak modlili się do Niego – pełni ufności, niezachwiani w wierze.

Wiarę swą opierali na znakach, danych przez Tego, którego zowiemy Ojcem. Jego opiece się oddali i nie roztrząsali rozporządzeń Jego rozumem niedowiarka. Tylko niewielu widziało znaki i rozumiało objawienie: Matka, Józef, pasterze i trzej Mędrcy. I ci uwierzyli. A zbliżała się chwila, iż się objawi Syn Boży: szczęśliwy ten, który weń wierzy!

ROZDZIAŁ VI

Musimy się przenieść myślą dwadzieścia jeden lat naprzód, do początku rządów Waleriusza Gratusa, czwartego z rzędu namiestnika, cesarskiego Judei. – Okres to pamiętny z powodu politycznych zaburzeń w Jerozolimie, będących niejako początkiem ostatecznego zerwania Żydów z Rzymem.

W tym czasie Judea uległa różnym zmianom, największe jednak zaszły w politycznym jej zarządzie. Herod zmarł w rok po narodzeniu Dziecięcia, a zmarł tak nędzną śmiercią, że świat chrześcijański nie bez słuszności wierzy, iż padł rażony gniewem Pańskim. Jak wszyscy wielcy despoci, którzy spędzili życie na udoskonaleniu władzy przez siebie stworzonej, śnił Herod o przekazaniu korony i tronu – o utworzeniu dynastii. W tym zamiarze zrobił testament i podzielił swoje posiadłości między swoich trzech synów: Antypasa, Filipa i Archeliusza – ten ostatni miał odziedziczyć tytuł. Testament musiał być przedłożony cesarzowi Augustowi, który potwierdził wszystkie rozporządzenia z wyjątkiem jednego, odmówił Archeliuszowi tytułu króla, dopóki by nań zdolnością i wierną poddańczą uległością nie zasłużył. Tymczasem mianował go egzarchą i pozwolił rządzić przez lat dziewięć, po których za złe obyczaje i nieudolność stłumienia powstałych zaburzeń został skazany na wygnanie do Galii.

Judea stała się prowincją rzymską. Dla większego upokorzenia Żydów prokurator nie mieszkał w Jerozolimie, ale w Cezarei, która tym samym stała się punktem centralnym prowincji. Ale nie tu koniec poniżenia; najbardziej pogardzoną z całego świata, Samarię, przyłączono do Judei i oba kraje tworzyły odtąd całość.

Wśród tej powodzi nieszczęść jedna pociecha, jedna tylko, pozostała upadłemu narodowi: najwyższy kapłan mógł zamieszkiwać w pałacu królewskim, utrzymywać coś na podobieństwo trybunału. Czym była jego władza, łatwo określić: sąd życia i śmierci należał do prokuratora, sprawiedliwość wymierzano w imieniu prawa rzymskiego. Dom królewski zajmowali też cesarscy urzędnicy i wojsko. Jednak dla marzycieli śniących o wolności pewną otuchą było to, że głównym panem pałacu był Żyd. Sama jego codzienna obecność przypominała im czasy, kiedy Jehowa rządził pokoleniami przez synów Aaronowych; obietnice i wieszczona Proroków, wszystko to karmiło nadzieję lepszej przyszłości i pozwalało cierpliwie oczekiwać przyjścia Judy, który miał rządzić Izraelem.

Judea była rzymską prowincją przez osiemdziesiąt i więcej lat – przez tak długi czas Rzymianie mogli zaiste przekonać się, że Żydami, mimo ich dumy, można dość łatwo rządzić, szanując jedynie ich religię. Trzymając się tej polityki, poprzednicy Gratusa wstrzymywali się od wszelkiego mieszania się w uświęcone ustawy poddanych. Inną drogą poszedł Gratus, a pierwszą oficjalną jego czynnością było odsunięcie arcykapłana Annasza, a powierzenie tej godności Ismaelowi synowi Fabusa.

Czy postanowienie to wyszło od Augusta, czy było pomysłem wielkorządcy, szybko okazało się, że było bardzo niepolityczne. W owym czasie były w Judei dwa stronnictwa: możnych, czyli arystokratów i separatystów, czyli stronnictwo ludowe; po śmierci Heroda złączyły się obydwie przeciwko Archelausowi i walczyły z nim pomyślnie w świątyni, w pałacu, w Jerozolimie i w Rzymie, często podstępными intrygami, a czasem i orężem. Nieraz święte

przybytki na Moria rozbrzmiewały okrzykami walczących; w końcu wygnanie nienawistnego Archelausa uczyniło zadość niechęci Żydów. Moźni nie cierpieli arcykapłana Joazara: separatyści, przeciwnie, byli jego gorliwymi zwolennikami. Skoro stan rzeczy, zaprowadzony przez Heroda, wraz z Archelausem runął, Joazar stracił również na znaczeniu, a moźni na jego urząd wprowadzili Annasza, syna Seta, co spowodowało zupełny rozdział stronictw, straszną ku sobie wrzących nienawiścią. W walce z egzarchą nauczyli się moźni intrygowania z Rzymem; mając zawsze swoje osobiste cele na oku, podsunęli tam myśl zamienienia Judei na rzymską prowincję. Ten niepatriotyczny krok oburzył separatystów i popchnął ich do rozpoczęcia walki, a przyłączenie Samarii wypadło na niekorzyść możnych, którzy, mniej liczni, stracili dawne znaczenie. Jakkolwiek bądź moźni potrafili utrzymać się przez pięćdziesiąt lat w świątyni i w pałacu, aż do przybycia Waleriusza Gratusa.

Annasz był najwierniejszym sługą swego cesarskiego protektora; rzymski garnizon zajmował fort Antonia, rzymska straż pilnowała pałacu; rzymski system podatkowy niszczył miasto i okolice: co dzień, co godzinę, w tysiączny sposób naród był grabiony i dręczony. Niezadowolone, rozpacz, ogarniały naród, jednak Annasz umiał je hamować. Gdy mimo to musiał na rozkaz Gratusa oddać swoją władzę Ismaelowi, przyłączył się do partii separatystów. Tym sposobem Gratus został osamotniony, a pożar, który przez lat pięćdziesiąt tłał pod dymiącymi zgliszczami, wybuchnął nowym płomieniem. W miesiąc po objęciu rządów przez Ismaela, uznał Gratus za stosowne wysłać silny oddział wojska, aby wzmocnić załogę fortu Antonia.

Mając w pamięci to, o czym przed chwilą mówiliśmy, przenieśmy się do ogrodów pałacu na górze Syjon. Było to koło południa, w drugiej połowie lipca, a więc w najgorętszej części lata.

Ogród otaczały budowle, wzdłuż których znajdowały się galerie i altany. Sam ogród zachwycał oko umiejętnie wyciętymi wśród trawników ścieżkami, pięknnością i ugrupowaniem drzew oraz najwyszukańszymi gatunkami palm, brzoskwiń i orzechów. Cały czworobok ogrodu nachylał się ze wszystkich stron ku środkowi, gdzie był basen marmurowy, zaopatrzone w kilku miejscach drzewczkami, a raczej zasuwami, którymi, gdy je podniesiono, wody skraplały pobliskie trawniki, chroniąc je od posuchy.

W pobliżu tego basenu, a raczej wodotrysku, w cieniu rozłożystych palm, siedziało dwóch chłopców żywo z sobą rozmawiających. Jeden mógł mieć około lat dziewiętnastu, drugi siedemnastu.

Obaj byli piękni, na pierwsze wejrzenie można ich było wziąć za braci, bo obaj mieli ciemne włosy i oczy i ogorzałe twarze.

Starszy siedział z odkrytą głową, płaszcz porzucił na ławę; tunika, sięgająca kolan zdradzała Rzymianina. W rozmowie jego z towarzyszem przebijiała duma arystokraty rzymskiego. I nie można się temu dziwić, gdyż w owych czasach tylko arystokracja miała poważanie. W wielkich walkach pierwszego Cezara z licznymi nieprzyjaciółmi ród Messalów wślawił się niezwykle bohaterskimi czynami. Później cesarz Oktawian Flawiusz, odwdzięczając się za przysługi oddane krajowi, obsypał całą rodzinę zaszczytami. Gdy Judea stała się rzymską prowincją, wysłał cesarzowi Messalę, ojca młodzieńca, którego widzimy siedzącego w ogrodzie, do Jerozolimy, aby administrował sprawami podatkowymi. Jako wysoki urzędnik cesarski, mieszkał Messala w pałacu królewskim wraz z arcykapłanem żydowskim. Wiedział młodzieniec, jak ważne stanowisko zajmuje jego ojciec i jakie stosunki łączą go z cesarzem. Stąd jego zarozumiałość.

Towarzysz Messali był szczuplejszy, suknie miał z cienkiego białego płótna, krojem przeważnie noszonym w Jerozolimie; sukienne nakrycie głowy tak było udrapowane, że od czoła spadało na plecy i przytrzymał je żółty sznur. Kto by baczniej badał rysy i cechy szczepowe, poznałby w nim natychmiast Żyda. Czoło Rzymianina było wysokie i wąskie, nos orli, usta wąskie, oczy zimne i schowane pod brwiami. Przeciwnie czoło Izraelity niskie i szerokie,

długi nos o rozwartych nozdrzach, małe usta, wygięte ku dołowi niby łuk bożka Kupidyna, oczy duże, twarz poważna. Uroda Rzymianina była klasyczna, Żyda przyjemna i olśniewająca.

– Nie mówiłeś, że nowy prokurator ma jutro przyjechać?

Pytanie to zadał młodszy chłopiec, a wypowiedział je po grecku, bo język ten dziwnym przypadkiem był używany we wszystkich politycznych kołach Judei, z pałacu przeszedł on do obozu i szkoły, skąd nie wiedzieć jak i kiedy dostał się nawet do świątyni, a nawet poza świątynię, bo do furt i cel.

– Tak, jutro – odpowiedział Messala.

– Któż ci to mówił?

– Słyszałem jak to mówił do mego ojca Ismael, nowy namiestnik pałacu – wy go nazywacie arcykapłanem. A także dowiedziałem się dziś rano od setnika z fortu. Mówił, że przygotowują wszystko na jego przyjęcie; żołnierze czyszczą hełmy i tarcze, złocą orły, wietrzą i czyszczą dawno nie używane komnaty.

Po chwili milczenia odezwał się znowu Messala.

– W tym ogrodzie żegnaliśmy się niegdyś, ostatnie twoje słowa były: Pokój Pana niech będzie z tobą! – Na to odpowiedziałem ci:

– Bogowie niechaj cię strzegą. – Czy pamiętasz tę chwilę? Ile to lat temu być może?

– Pięć – odpowiedział Żyd, patrząc w wodę.

– Zaiste, powinieneś mi być wdzięczny za życzenie – czy bogowie w tym pomogli, mniejsza o to, dość, że wyrosłeś pięknie. Grecy nazwaliby cię pięknym – trudno żądać więcej u progu młodości! Szkoda, że Jowisz zadowolony z Ganimeda, jednak jakież podczaszy byłby z ciebie dla cezara! Powiedz, mi, mój Judo, czemu przybycie prokuratora tak bardzo cię zajmuje!

Juda zwrócił swe piękne oczy na pytającego, ten wzrok tak był poważny i zamyślony, że zmusił Rzymianina do spojrzenia w oczy mówiącemu.

– Tak, pięć lat. Przypominam sobie pożegnanie: ty pojechałeś do Rzymu, patrzyłem na twój odjazd z płaczem, bo kochałem cię. Lata przeszły, wracasz wykształcony, wytworny, książęcy – tak, nie żartuję; a przecież – przecież – pragnąłbym widzieć cię takim, jakim cię pożegnałem.

– Naprawdę, w czymże się zmieniłem, w czymże nie jestem dawnym Messalą? „Zrozum dobrze przeciwnika, zanim mu odpowiesz”, mówi pewien sławny filozof. Pozwól więc, abym cię zrozumiał.

Chłopiec zarumienił się pod cynicznym spojrzeniem dawnego przyjaciela, nie mniej odpowiedział stanowczo:

– Jak widzę, umiałeś korzystać ze sposobności, od twoich nauczycieli wiele się nauczyłeś i nabrałeś wdzięku. Mówisz ze swobodą mistrza, a przecież mowa twoja boli. Mój Messala, gdy odjeżdżał, nie miał trucizny w duszy i za nic w świecie nie chciałby dotknąć przyjaciela.

Rzymianin uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby po usłyszeniu pochwały i podniósł głowę wyżej:

– O mój uroczysty Judo, nie wierzysz chyba w wyroczenie; porzuć więc ton wyroczeni bądź szczerzy. Czymże cię uraziłem?

Zapytany westchnął głęboko i rzekł, bawiąc się sznurkiem u pasa: – W ciągu tych pięciu lat i ja nauczyłem się czegoś. Hillel może nie sprosta logikowi, którego słuchałeś, a Symeon i Shammai są bez wątpienia nie tak sławni, jak twój mistrz przy Forum. Ich nauka jednak nie prowadzi na wątpliwe drogi; ci, co siedzą u ich nóg, wstają uzbrojeni poszanowaniem Boga i praw Izraela oraz napełnieni miłością wszystkiego. Pilność, z jaką uczęszczałem do Wielkiego Kolegium, studia nad tym, co tam słyszałem, nauczyły mnie, że Judea nie jest tym, czym była. Znam przestrzeń, jaka leży między niepodległym królestwem i małą prowincją, jaką jest Judea; byłbym niższym, podlejszym od Samarytanina, gdybym nie czuł poniżenia mej ojczy-

zny. Ismael nie jest prawnie arcykapłanem i nie może nim być, póki szlachetny Annasz żyje. A jednak jest on Lewitą, z rodu od wieków poświęconego na służbę Bożą.

– Tak, rozumiem nareszcie, Ismael, mówisz, jest intruzem. Messala przerwał, mówiąc z szyderskim śmiechem:

– Na pijanego Bachusa, co to jest być Żydem! Wszyscy ludzie i rzeczy, nawet niebo i ziemia zmieniają się, ale Żyd nigdy. Dla niego nic się nie cofa, ani nie idzie naprzód, jest zawsze tym, czym byli jego przodkowie. W tym piasku narysuję ci koło – tu! Teraz powiedz mi, czym więcej jest życie Żyda? Ciągłe tylko w koło, Abraham tu, Izaak i Jakub tam, a Bóg w środku. Ale prawda, koło, na Jowisza, zrobiłem za duże... muszę je na nowo narysować.

– Schylił się, położył duży palec na ziemi i ręką zatoczył koło.– Patrz, znak dużego palca to świątynia, linia reszty palców to Judea. Czyż poza tą małą przestrzenią nie ma nic, co by miało wartość? Może sztuka? Herod był architektem, wyklęście go. Malarstwo, rzeźba? Podziwiać je, to grzech. Poezję przykuliście do ołtarzy, wymowę kształcicie tylko w synagodze. Wojna? W wojnie, co w sześciu dniach zyskacie, w siódmym utracicie. Takie wasze życie, taki wasz widnokrąg. Czyż nie prawda? I któż może mi brać za złe, że się z was naśmiewam. Czymże jest wasz Bóg, jeśli mu wystarcza cześć takiego narodu? Czymże jest w porównaniu z naszym Jowiszem, który daje rzymskim orłom zwycięstwo i pozwala zawładnąć całym światem? Hillel, Symeon, Shammai – czymże oni wobec mistrzów, którzy uczą, że należy poznać wszystko, co tylko poznane być może?

Żyd wstał mocno zaczerwieniony.

– Nie, nie, zostań Judo, zostań! – zawołał Messala wyciągając ręce.

– Szydzisz ze mnie.

– Posłuchaj jeszcze trochę, wnet skończę – rzekł Rzymianin. – Wdzięczny ci jestem, że opuściłeś progi starego domu ojców twoich i przyszedłeś mnie powitać oraz odnowić miłość lat dziecięcych, jeśli to będzie w naszej mocy. Słusznie powiedział mój nauczyciel w swej pożegnalnej mowie: „Idź, a jeśli chcesz się wsławić, pamiętaj, że Mars panuje, a Eros przestał być ślepym.” Słowa te znaczą: że miłość jest niczym, a wojna wszystkim. Tak jest w Rzymie, gdzie małżeństwo jest pierwszym krokiem do rozwodu, cnota towarem dla kupca. Świat cały idzie tym śladem, dlatego padł Eros, a górą Mars! Więc... i ja będę żołnierzem, a ty. Judo? Lituje się nad tobą, bo czymże ty być możesz?

Żyd odsunął się od mówiącego, zwracając się ku stawowi; Messala zaś mówił dalej, coraz zwalniając mowę dla większego wrażenia:

– Tak, lituję się nad tobą, mój piękny Judo. Ze szkoły do synagogi, potem do świątyni, potem – o szczycie sławy – miejsce w Sanhedrynie! Życie bez czynów, bez wawrzynów; niech cię wspierają bogowie. Ale ja...

Juda podniósł właśnie wzrok na mówiącego i ujrzał rumieniec dumy oświecającej twarz Rzymianina, gdy mówił te słowa.

– Ale ja, ach! Jeszcze nie cały świat podbity, może są jeszcze wyspy nieznanne, a na północy dość dzikich narodów. Zresztą, wszak Aleksander nie dokonał wszystkiego, i droga na daleki Wschód zaświeci sławą dla kogoś... Patrz, ile zadań godnych Rzymianina.

Po chwili wytchnienia mówił dalej.

– Wyprawa do Afryki, potem na Scytów; dalej – legion! Tu często bywa kres kariery, ale nie mojej. Ja – na Jowisza! Co za myśl! Ja zmienię legion na prefekturę. Pomyśl tylko: żyć w Rzymie i mieć pieniądze! Pieniądze, to mieć: wino, kobiety, igrzyska, poetów przy uczcie, intrygi u dworu, zabawy przez cały rok. Do takiego trybu życia wiedzie – tłusta prefektura, i tak żyć myślę w Syrii! Judea jest bogata, a Antiochia warta być siedzibą bogów! Będę następcą Cyreniusza, a ty – ty będziesz dzielił szczęście moje.

Sofiści i retorycy tak licznie występujący na zgromadzeniach rzymskich i zajmujący się nauczaniem patrycjuszowskiej młodzieży, pochwaliliby mowę Messali, bo to co mówił, było nader popularne. Dla młodego Żyda, przeciwnie, wszystko to było niezrozumiałe, sprzeci-

wiające się zasadom, w których był wychowany. Prawa, zwyczaje i cele jego narodu zakazywały satyry i humoru, nic więc dziwnego, że słuchając przyjaciela, rozmaitych doznawał uczuć; naprzemian to był oburzony, to znów niepewny, jak rozumieć to, co ten mówił. Zrazu ton wyższości, obrażał go, rychło oburzenie zmieniło się w rozdrażnienie, w końcu jednak uszczypliwość wywołała gniew niepokonany. I nic dziwnego, za czasów Heroda patriotyzm żydowski był namiętnością, ledwie odrobiną obojętności pokrytą, a tak złączony z historią, religią i Bogiem, że każde szyderstwo w tym kierunku musiało oburzać i gniewać Izraelitę. Dlatego też Juda, w czasie wywodów Messala, zwłaszcza po przejściu do ostatniej paury, przeszedł straszliwe tortury. Dotknięty boleśnie w swych uczuciach religijnych i narodowych, rzekł z wymuszonym uśmiechem.

– Jak słyszałem, są ludzie, którzy umieją żartować ze swej przyszłości; co do mnie, bądź przekonany, mój Messalo, nie należę do nich.

Rzymianin popatrzył na niego, a potem rzekł:

Czemuż by prawda nie mogła się równie dobrze mieścić w żarcie jak w opowieści? Wielka Fulwia poszła pewnego dnia ryby łowić, i nałapała ich więcej niż całe towarzystwo; mówiono, że to dlatego, iż miała haczyk złocony.

– Więc nie żartowałaś?

– Widzę, że nie dość ci ofiarowałem – odparł prędko Rzymianin, a oczy jego zaświeciły szyderstwem. – Gdy mnie Judea na prefekturze z bogaci, zrobię cię arcykapłanem.

Żyd odwrócił się gniewnie.

– Nie opuszczaj mnie – rzekł Messala.

Juda stanął, wahając się.

– Cóż za upał? – zawołał patrycjusz – poszukajmy cienia.

Żyd odparł chłodno:

– Raczej przejdźmy się, lepiej by było, abym wcale tu nie przychodził. Szukałem przyjaciela, znalazłem...

– Rzymianina – rzekł szybko Messala.

Ręce Żyda zacisnęły się z gniewu, ale opanowując się, odszedł.

Messala również powstał, wziął płaszcz z ławki, zarzucił go na ramiona i poszedł za nim, a gdy się zrównali, położył rękę na ramieniu Judy i szli razem.

– Tą samą drogą i w ten sam sposób ręka w rękę, będąc dziećmi, chodziliśmy tędy. Chodźmy tak aż do bramy.

Na pozór Messala chciał być uprzejmym i grzecznym, nie mógł jednak pozbyć się szyderczego tonu, który stał się już właściwością jego ducha. Juda mimo to pozwalał na poufałość.

– Jesteś jeszcze chłopcem, a ja już mężczyzną, pozwól mi mówić z sobą, jak na męża przystoi.

Gdy Juda nie przeczył, zadowolenie Rzymianina stało się wyraźne, prawie zabawne. Mentor nauczający Telemaka, nie mógł być innym i swobodniejszym od niego, gdy rzekł:

– Czy wierzysz w Parki? Ach! zapomniałem, że jesteś saduceuszem, szkoda... już wasi esseńcy są rozumiejsi, bo wierzą w nie. Jak im nie wierzyć, kiedy one stają wiecznie na drodze każdego człowieka czynu! Powezmę zamiar, utworzę drogę, nagle gdy osiągnąłem cel, gdy świat trzymam w ręku – trask! Słyszę za sobą zgrzyt nożyczek i oto ona! Ona, przekłeta Atropos! Dlatego, czemu się na mnie rozgniewałeś. Judo, gdy mówiłem, że nastąpię po starym Cyreniuszu? Może myślałeś, że chcę się wzbogacić zniszczeniem, zrabowaniem Judei? A gdyby tak nawet było, czy sądzisz, że nie ma Rzymian, którzy by o tym nie marzyli? Jeśli ktokolwiek ma to uczynić, czemu by nie ja?

Na te słowa Juda przystanął i rzekł:

– Przed Rzymianami jeszcze inni cudzoziemcy rządzą Judeą, gdzie ich szukać, Messalo? Wszystko minęło, a Judea żyje! Co się raz zdarzyło, znowu zdarzyć się może!

Messala przybrał dawny szyderczy ton:

– Jak widzę, nie tylko esseńczycy wierzą w potęgę Parki! Witam cię i pozdrawiam w tej wierze!

– Nie, Messalo, nie należę do esseńczyków, nie zaliczaj mnie do nich. Wiara moja oparta na skale, która była fundamentem wiary mych ojców, jeszcze zanim żył Abraham, polega ona na przymierzu Pana z Izraelem.

– Za dużo namiętności w twej odpowiedzi. Judo. Nauczyciel mój zgorszyłby się bardzo, gdyby mnie kiedy ujrzał w takim uniesieniu. Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć, ale lękam się.

Gdy w milczeniu uszli kawałek drogi. Rzymianin rozpoczął na nowo:

– Myślę, że już ochłodziłeś i że potrafisz mnie posłuchać, zwłaszcza, że to co powiem, dotyczy ciebie samego. Chętnie chciałbym ci się przysłużyć, bo kocham cię – o ile mogę i umiem. Czemu, powiedz mi, nie miałbyś wyjść z tego ciasnego koła, które, jak ci to wykazałem, obejmuje wszystko, na co wasze prawa i obrządki pozwalają?

Juda milczał.

– Kim są mędrcy naszych czasów? – mówił dalej Messala. – Nie ci zaiste, którzy trawiają dni swoje na sprzeczkach o minione rzeczy, o Baala, Jowisza, czy Jehowę, o naukę i religię. Powiedz mi. Judo, jedno wielkie imię, wszystko mi jedno, gdzie je znajdziesz – w Rzymie, Egipcie, na Wschodzie, czy tu w Jerozolimie. Niech mnie Pluton porwie, jeśli to imię nie będzie imieniem człowieka, który zdobył sławę za pomocą materiału, jakiego mu obecna dostarczyła chwila. Rozumny jest ten, kto z okoliczności korzystać umie. Wszak nie inaczej czynił Herod? Nie inaczej pierwszy i drugi Cezar! A więc naśladowaj ich i zacznij zaraz. Rzym poda ci równie chętnie rękę jak Antyparowi z Idumei.

Żyd drżał, z oburzenia, a widząc, że brama ogrodu niedaleko, przyspieszył kroku, pragnąc jak najprędzej uciec.

– O Rzym, Rzym! – powtarzał półgłosem.

– Bądź mądry i roztropny – ostrzegał Messala – Porzuć szaleństwa Mojżesza wraz z podaniami, patrz na rzeczy, jakimi są. Popatrz w twarz rzeczywistości, a ona ci powie: że Rzym, to świat! Pytaj o Judeę, a usłyszysz, że ona jest tym, czym Rzym chce, aby była.

Stanęli u bramy. Juda usunął delikatnie rękę Messali z ramienia swego i przystanąwszy, rzekł ze łzami:

– Rozumiem cię, jesteś Rzymianinem, dlatego nie możesz mnie zrozumieć, bo jestem Izraelitą. Zadałeś mi dziś wielki ból, bo przekonałem się, że nigdy już nie będziemy przyjaciółmi, jak dawniej... nigdy, tu rozłączmy się i niech pokój Boga ojców moich będzie z tobą!

Messala podał odchodzącemu rękę, milczał chwilę, a gdy Juda zniknął, rzekł do siebie, podnosząc głowę:

– Niech i tak będzie. Eros umarł, Mars panuje.

ROZDZIAŁ VII

Wkrótce po tym pożegnaniu, ukazał się Juda u drzwi wejściowych domu znajdującego się przy tej ulicy, która się ciągnie od bramy, zwanej dziś św. Stefana, ku północnej stronie fortu Antonia, skąd kilku zakrętami zwraca się ku południowi. Ktokolwiek zna dobrze tę okolicę, czy to będąc pobożnym pielgrzymem, czy też ciekawym badaczem, przypomni sobie, że ta ulica jest częścią owej *via dolorosa*, która droższa i miłsza jest każdemu chrześcijańskiemu sercu, niż jakakolwiek inna droga na świecie. Poznanie tej drogi nie jest teraz naszym zadaniem, wystarczy, gdy się dobrze przypatrzymy domowi, stojącemu właśnie w tym punkcie, gdzie droga ku południu skręca. Budynek ten zwrócony był frontem na północny zachód, liczył około czterystu stóp szerokości i tyleż długości, tworząc, jak większa część okazalszych wschodnich gmachów, dwa wysokie piętra o regularnym kwadracie. Ulica, przy której stał dom, nie była szersza nad dziesięć stóp, a każdy przechodzień mógł widzieć, iż mury domu były z grubych, nie obrobionych, prosto z kamieniołomu wziętych głazów. Dziś powiedziano by, że budowa taka nosi cechę stylu fortecznego, gdyby nie ozdobne futryny okien i drzwi. Wiadomo, że wszelkie budowy wschodnie nie mają prawie zewnątrz okien; i tu z zachodniej strony były tylko cztery okna, z północnej dwa, wszystkie na drugim piętrze, wzniesionym nad kolumnadą pierwszego piętra.

Gdy Judzie otwarto furtkę, przeszedł ją, oddając szybko niski ukłon odźwiernemu i wszedł w wąski korytarz wybrukowany kamieniami, podobny do tunelu. Po obu stronach stały ławki kamienne, zbrudzone i wyżłobione od długiego używania.

Minąwszy korytarz, zeszedł z dwunastu lub piętnastu schodów na podwórze, które, z wyjątkiem wschodniej strony, gdzie stał tylko mur, otoczone było dwupiętrowymi domami. Tu krążyli w tę i ową stronę służący wśród hałasu trzeszczących kół młyńskich; na długich wyciągniętych sznurach wisiały suknie i bielizna; kury i gołębie przelatywały tu i tam; w zagrodach niżej położonych kozy, krowy, osły i konie używały spoczynku lub pasły się. Wszystko, cokolwiek tu było, nawet stojące na środku koryto z wodą, świadczyło, że to podwórze służyło do gospodarskich celów. Umieszczona we wschodnim murze brama wiodła dalej.

Minąwszy korytarz, podobny do poprzedniego, wszedł młodzieniec na drugie podwórze, obszerne, wysadzone krzewami i winem, utrzymywane w nadzwyczajnym porządku. W tej części pałacu panowała wielka czystość, nigdzie pyłu, nigdzie nawet żółtego liścia na krzaku, wszystko świadczyło o wysokim stanowisku rodziny zamieszkującej pałac.

Na to podwórze wszedł Juda, skręcił w prawo i szedł ścieżką, wiodącą wśród rozkwitłych krzewów, ku drzwiom zasłoniętym kotarą. Minąwszy drzwi, wszedł do komnaty. Ciemno już tu było, doszedł do tapczanu, rzucił się nań i ukrył twarz w dłoniach.

Gdy zapadł wieczór, stanęła w progu komnaty kobieta i zawołała nań po imieniu. Odpowiedział, a ona weszła.

- Już po wieczery i noc zapadła. Nie jesteś, synu mój, głodny? – spytała.
- Nie – odpowiedział.
- Czyś chory?
- Nie, śpiący jestem.

- Matka pytała o ciebie.
- Gdzież jest?
- W letnim domu, na dachu.

Odwrócił się i usiadł.

- Dobrze – Proszę cię, przynieś mi coś jeść.
- Co chcesz?

– Zostawiam to woli twojej, Amro. Nie jestem chory, ale nic mnie nie zajmuje. Życie nie wydaje mi się tak piękne jak dziś rano. Nowa boleść zraniła mi duszę, nowa to choroba. A ty, Amro, która mnie znasz tak dobrze, która zawsze byłaś mi pomocną, pomyśl o takim pożywieniu, które by mi zarazem było lekarstwem. Przynieś więc co sama uznasz za stosowne.

Pytania Amry i spokojny, sympatyczny głos jej dowodziły, że przywiązanie łączyło tych dwoje serc. Gdy mówił, położyła mu rękę na czole, a zadowolona jego prośbą, rzekła: postaram się.

Po chwili wróciła, przynosząc na drewnianej tacy dzban mleka, kilka ułomków białego chleba, delikatne z mielonej pszenicy ciasto, pieczone z ptaka, miód i sól. Na jednym rogu tacy stał srebrny puchar napełniony winem, na drugim świeciła ręczna lampa.

Teraz dopiero można przypatrzeć się oświetlonej komnacie. Ściany jej były gipsowane; powała belkowana, dębowa; podłoga układana ozdobiennie z cegieł niebieskich i białych, kunsztownie rżniętych, bardzo trwałych. Kilka krzeseł o rzeźbionych nogach, tapczan niebieskim sukniem, a w części koldrą w białe i niebieskie pasy okryty, stanowiły urządzenie pokoju.

Amra przysunęła krzesło do tapczanu, na którym spoczywał Juda, postawiła na nim tacę, a sama uklękła, aby mu służyć. Jej ciemną twarz łagodziło w tej chwili wejrzenie pełne prawie macierzyńskiej miłości. Mogła mieć około lat pięćdziesięciu. Biały turban okrywał jej głowę, ukazując końce uszu, w których tkwił znak jej służebnictwa, gdyż były one przekłute grubym szydłem. Była niewolnicą egipskiego pochodzenia; nawet uświęcona pięćdziesiątka nie uwolniła jej, a i ona danej jej wolności nawet nie przyjęłaby, gdyż młodzieniec, któremu służyła, był jej życiem i za nic by go nie opuściła. W niemowlęctwie wykarmiła go, w dziecięctwie wypiąstowała, a i teraz uważała się za nieodzownie potrzebną, zawsze uważając go za swoje dziecko.

Raz tylko przemówił w czasie wieczery.

– Czyż przypominasz sobie, Amro, – rzekł – Messalę, który dawniej po całych dniach u mnie przebywał?

– Przypominam go sobie.

– Wyjechał do Rzymu przed kilku laty, teraz powrócił. Byłem dziś u niego. Dreszcz wstrętu przebiegł po całym młodzieńcu.

– Wiedziałam, że coś zaszło – rzekła. – Nigdy nie lubiłam Messali, opowiedz mi wszystko.

Juda zamyślił się, a na jej powtórne zapytanie rzekł tylko: Bardzo się zmienił i nic już nie chcę mieć z nim wspólnego.

Skoro Amra wyniosła tacę, opuścił i on komnatę, udając się z tarasu w górę na dach.

Dach domu na Wschodzie rozmaitym służy celom. W czasie letnich dni mieszkańcy szukają chłodu i wypoczynku w cienistych komnatkach, za to, gdy wieczór zapadnie, wychodzą na dach, który służy im za miejsce zabawy, sypialnię, miejsce rodzinnych zebrań, modlitwy. Dlatego też tak wygodnie i z przepychem urządzali mieszkańcy Wschodu dachy swych domów. Szczytem przepychu były owe napowietrzne ogrody babilońskie. Juda przeszedł wolno platformę, dachu i wszedł do izby w wieży, a uchylając w półpodniesioną zasłonę, znalazł się wewnątrz pokoju. W czterech ścianach wieży mieściły się otwory, niby drzwi, przez które zaglądało niebo usiane gwiazdami. U jednego z otworów ujrzał kobietę opartą o poduszki tapczanu, całą w białych, lekkich draperiach. Na odgłos jego kroków wachlarz znieruchomiał w jej rękach, a gdy światło nań padło, zaświecił klejnotami, w które był oprawiony; podniosła się i zawołała:

– Juda, mój syn.

– Tak, matko, to ja przychodzę – odpowiedział, przyspieszając kroku. Gdy się do niej przybliżył, ukląkł; ona objęła go rękoma, całując i przyciskając do piersi.

Kobieta zajęła z powrotem miejsce na poduszkach, syn zaś usiadł niżej na tapczanie, opierając głowę na jej kolanach. Patrzyli poprzez dachy niższych sąsiednich domów na niebieskawą łańcuch dalekich wzgórz i na gwiaździste niebo. W dole spoczywało w głębokim spokoju miasto, tylko wiatr kołysał wierzchołkami drzew.

– Amra wspomniała mi, że cię coś niemiłego spotkało – mówiła z uśmiechem gładząc syna. – Póki byłeś dzieckiem, mogłeś się martwić drobnostkami, ale odkąd jesteś mężczyzną, nie wolno ci zapominać – tu głos jej nabrał rzewności – że kiedyś masz być moim bohaterem.

Mówiła językiem już prawie nieznanym w tym kraju, używało go niewiele rodzin; ale takie rody, które go używały, były zwykle starożytne, bogate w mienie – kochały one tę mowę tym goręcej, że wyraźniej odróżniała Hebrajczyka od poganina, a była językiem, którym Rebeka i Rachela rozmawiały z Beniaminem.

Dźwięk tego języka zdawał się wprowadzać go w głębsze zamyślenie, po chwili pochwycił rękę poruszającą wachlarz i rzekł:

– Dziś, matko, zmuszony byłem myśleć o rzeczach, które nigdy pierwej nie powstały w mojej głowie! Ale najpierw powiedz mi, błagam cię, czym ja mam być?

– Czyż nie mówiłam przed chwilą, że masz być moim bohaterem?

Nie widział jej twarzy, ale czuł dobrze, że żartuje, rzekł więc jeszcze poważniej.

– Jesteś bardzo, bardzo dobra, matko moja. Nikt mnie nigdy tak jak ty kochać nie będzie. – Mówiąc to, okrywał pocałunkami jej rękę.

– Zdaje mi się, że odgaduję, czemu wymijasz moje pytanie – mówił dalej. Dotąd życie moje należało do ciebie. Jakże łagodna i troskliwa była ta opieka, czemu nie może trwać zawsze! Wołaj Pana jest, abym był panem siebie – przyjdzie dzień rozstania, będzie to dzień straszny dla nas obojga. Bądźmy więc silni i odważni. Pragnę być twoim bohaterem, ale ty musisz mi ku temu wskazać drogę. Znasz prawo, które każe: aby każdy syn Izraela obrał jakiś zawód. Nie jestem wyjątkiem dlatego pytam: mam paść trzodę, uprawiać rolę, obracać żarna, być prawnikiem, czy uczonym w Piśmie? Pomóż mi, droga matko, powziąć postanowienie.

– Gamaliel nauczał dziś – rzekła w zamyśleniu.

– Podobno, ale nie słyszałem go.

– No, to może odwiedziłeś Symeona, mówią, że odziedziczył geniusz swej rodziny.

– Nie, nie widziałem go, byłem na rynku targowym, nie w świątyni, odwiedziłem młodego Messalę.

Jakiś odcień bólu w głosie uderzył matkę, przecucie przyspieszyło bicie serca, a ręka, poruszając wachlarz, zmartwiała.

– Messalę? – rzekła. – Cóż on mógł ci powiedzieć, co by cię zaniepokoiło?

– Bardzo się odmienił.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wrócił Rzymianinem?

– Tak.

– Rzymianin – mówiła w pół do siebie – znaczy na całym świecie tyle co władca i pan! Czy długo tam był?

– Pięć lat.

Zamilkła pełna smętnych myśli, wzrok jej tonął w przestrzeniach ciemnej nocy. Syn pierwszy przerwał milczenie.

– To co mówił Messala, matko moja, dość było gorzkie samo w sobie, ale sposób, w jaki się odzywał, był wprost nie do zniesienia.

– Domyślałem się, że dotknął cię boleśnie pod względem narodowym; nie uszanują oni niczego, a obłęd ten opanował ich poetów, senatorów i dworaków.

– Sądzę, że wszystkie wielkie narody są dumne – mówił dalej Juda, jakby nie zważając na przerwę – ale duma tego narodu przechodzi wszelką miarę, w tych czasach tak urosła, że wobec niej zaledwie zdołają się ostać bogowie.

– Bogowie... – rzekła szybko matka – wszakże jeden Rzymianin kazał sobie cześć boską oddawać, jak gdyby mu się ona z prawa należała!

– Przyznaję, że Messala miał zawsze spory zapas tej wady, gdy był dzieckiem: widziałem, jak się naigrawał z cudzoziemców, których nawet Herod raczył przyjmować z szacunkiem, o Judei nigdy jednak nie wyrażał się z pogardą. Dziś pierwszy raz w rozmowie ze mną szydził z naszego Boga i naszych obrzędów. Toteż uczyniłem tak, jakbyś zapewne rozkazała; zerwałem z nim na zawsze. Teraz, o matko moja, chciałbym jednak wiedzieć, czy Rzymianin ma prawo nami gardzić? Powiedz, czy naród nasz jest w czymkolwiek niższy od innych? Czy drzeć mam jak niewolnik w obliczu Cezara? Przede wszystkim powiedz mi, dlaczego nie mógłbym ubiegać się o wszelkie zaszczyty, na jakimkolwiek polu? Dlaczego nie mógłbym chwycić za miecz i sięgnąć po zmienne *wawrzyny* wojny? Czemu, gdybym miał dar poetycki, pieśń moja nie mogłaby opiewać wszystkiego co piękne? Wolno mi być pasterzem, kupcem, rzemieślnikiem, czemuż nie miałbym być artystą jak pierwszy lepszy Grek? Powiedz mi, matko, bo to jest źródłem moich obaw, czemu synowi Izraela nie wolno czynić tego, co czyni Rzymianin?!

Słowa te musiały zaniepokoić matkę, a jeszcze więcej ton i nacisk z jakim syn jej mówił; rychło jednak poznała, że miały one związek z rozmową na placu targowym, nie mniej, podniosła się szybko i z równym uczuciem odparła:

– Rozumiem, pojmuję, – jak długo Messala zostawał pod wpływem twojego towarzystwa, był prawie Żydem, gdyby pozostał do wieku młodzieńczego, byłby może prozelitą, bo taka jest siła otaczających nas okoliczności. Pięć lat pobytu w Rzymie nie mogły minąć bez znaczenia, nie dziwię się więc zmianie, jaka w nim zaszła; jednakże powinien mieć więcej względu na ciebie – tu głos nabral rzewnego dźwięku – mógł z tobą serdecznie postąpić. Twarda to i okrutna natura, która zapomina pierwszych związków serca!

Ręka jej opadła miękko na głowę syna, a igrając z jego kędziorami, wzrokiem szukała najwyższej gwiazdy na niebios sklepieniu. Jej narodowa duma równała się jego dumie, nie tylko jako echo wspólnych uczuć, ale jako wynik najdoskonalszego zrozumienia. Pragnęła dać mu odpowiedź, ale za nic w świecie nie chciała, aby ta odpowiedź zraziła go, najmniejsze podejrzenie własnej niższości mogło na całe życie osłabić jego umysł. Drżała z obawy, że temu zadaniu nie sprosta.

– To, czego żądasz, drogi Judo, przechodzi rozum i zakres kobiety – rzekła nareszcie – pozwól mi odłożyć rzecz do jutra, sprowadzę mądrego Symeona.

– O nie czyń tego, matko, nie odsyłaj mnie do rektora – zawołał Juda.

– Nie chciałam cię posyłać, wezwę go tutaj.

– I to nie, matko moja, ja nie szukam objaśnienia, wytłumaczenia; chcę, czego mi nikt prócz ciebie dać nie może: chcę postanowienia, które wynika z siły duszy człowieka.

Długim spojrzeniem objęła matka sklepienie niebieskie, jakby w górze szukała natchnienia, a zastanowiwszy się chwilę nad znaczeniem jego pytań, odparła:

– Żądając sami sprawiedliwości dla siebie, nie możemy odmawiać jej drugim. Lekceważąc zwyciężonego nieprzyjaciela, to obniżać wartość własnego zwycięstwa; jeśli przeciwnie nieprzyjaciel dosyć jest silny, aby nas gnębić, co więcej ujarzmić – tu zawahała się – szacunek samych siebie nakazuje nam uznawać jego waleczność.

Po tych słowach więcej do siebie niż do syna mówiła: Nie lękaj się przeto, mój synu! Prawdą jest, że ród Messali jest szlachetny, rodzina jego liczy wiele sławnych pokoleń. Już za rzymskiej rzeczypospolitej – jak to dawno, nie umiem powiedzieć, ale wiem, że byli senatorami, wojskowymi. Znam tego imienia wprawdzie jednego tylko konsula, nie mniej była to rodzina senatorska, posiadająca znaczenie w narodzie. Jeśli jednak dawniejszy twój przyjaciel przechwalał się swymi przodkami, mogłeś go zawstydić opowiadaniem o twoich. Jeśli się

szczyił starożytnością swego rodu, czynami lub bogactwem dziadów – a wszystko to wypowiedziane bez konieczności, świadczy o płytkim umyśle i próżnym sercu – ty, nie lękaj się porównania, mogłeś go pokonać w każdym punkcie.

Tu zatrzymała się chwilę, a po krótkim namyśle mówiła dalej:

– Długi szereg przodków jest dowodem szlachetności pochodzenia i rodu, ale Rzymianin, chępiący się dawnością swego rodu wobec Syna Izraelowego, zawsze w tym względzie ustąpić musi. Założenie Rzymu, to ich początek, najstarożytniejsze ich rody nie mają dawniejszych źródeł. Niejeden chępi się bez żadnego dowodu, opierając się jedynie na tradycji. Messala, zdaje mi się, należy do tych ostatnich. A my, jakie wobec tych roszczeń zajmujemy stanowisko?

Przy tych słowach odbłask szlachetnej dumy rozjaśnił jej oblicze, ale nocna pomroka i brak światła nie pozwoliły tego ujrzeć, a ona mówiła dalej:

– Wyobraźmy sobie, że Rzymianin wzywa do walki, przyjmuję ją i odpowiadam bez chępliwości, ale z pełnym zaufaniem.

Tu nagle głos jej zadrżał, myśl pełna rzewności i smutku zmieniła sposób dowodzenia:

– Ojciec twój, Judo, odszedł do ojców swoich, a przypominam sobie, jakby to dzisiaj było, dzień, w którym on i ja w towarzystwie przyjaciół i życzliwych udaliśmy się do świątyni, aby cię przedstawić Panu. Ofiarowaliśmy gołąbki, a ja imię twe podałam kapłanowi, który je zapisał w mej obecności. Tak więc imię twoje: „Juda, syn Itamara, z domu Hurów” zapisane jest na wieki w poświęconej księdze rodzin izraelskich. Nie mogę ci powiedzieć, kiedy ten zwyczaj rozpoczęto, zdaje się, że istniał przed wyjściem z Egiptu. Słyszałam od Hillela, że sam Abraham rozpoczął ów spis swoim i syna swego imieniem, gdy Pan wybrał go na ojca narodu izraelskiego. Naród nasz nieraz, niestety, był nieposłuszny prawu, zaniedbywał niektóre rozporządzenia, ale spisywanie nazwisk uważał za święty obowiązek. Raz tylko, na końcu drugiego okresu, były przerwane roczniki; gdy jednak naród wrócił po długim wygnaniu w ojczyście strony, Zorobabel uważał, za najświętszą powinność względem Pana, przywrócenie ksiąg i odtąd już od dwu tysięcy lat możemy śledzić bez przerwy rozwój i ciąg żydowskich pokoleń.

Tu zatrzymała się, jakby chcąc dać słuchaczowi czas do namysłu i obliczenia tak wielkiego upływu czasu, potem mówiła dalej:

– Wobec tylu wieków, cóż znaczy, chępienie się Rzymianina? Wobec takiego dowodu, synowie Izraelscy pasący trzody na starym wzgórzu Refaim, stokroć są dawniejszymi szlachcicami, niż którykolwiek potomek najszlachetniejszego rodu Marcjuszów.

– A ja, matko, kimże jestem według owych ksiąg?

– To co dotąd mówiłam, jest niejako wstępem do odpowiedzi, której się domagasz. W owych księgach mamy niezbite dowody, że jesteś w prostej linii potomkiem Hura, towarzysza Jozuego. Czy więc pochodzenie twego rodu nie jest dość starożytne, dość uświęcone szeregiem wieków? Jeśli ci jednak i to nie wystarcza, to poszukaj dalej, weź Torę i szukaj Księgi Liczb, a w siedemdziesiątym drugim pokoleniu po Adamie, znajdziesz praojca twego domu.

Cisza zaległa na chwilę w komnacie.

– Dzięki ci, matko – rzekł nareszcie Judo, biorąc obie jej ręce – dziękuję ci całym sercem. Miałem słusność, nie wzywając rektora, nie zdołałby mnie więcej zadowolić od ciebie, jednak powiedz mi, czy do uszlachetnienia rodu tylko czas się przyczynia?

– Zapominasz, mój synu, że nasze prawa nie tylko czas mają za sobą; najwyższym naszym zaszczytem nie przestaje być to: iż jesteśmy narodem wybranym?

– Ty, matko, mówisz zawsze o całym narodzie, ja zaś myślę o rodzinie – o naszej rodzinie, i pytam, czego ojcowie moi dokonali od czasów Abrahama? Co robili? Jakimi wielkimi czynami wzniesli się ponad poziom współbraci?

Słowa te zatrzwożyły matkę, zawahała się, myśląc, że może nie zrozumiała pytań. Lękała się, by nieodpowiednimi odpowiedziami nie zniweczyć przyszłości syna.

Myślę, synu – rzekła – że masz do czynienia z rzeczywistym, a nie urojonym nieprzyjacielem. Jeżeli Messala nim jest, powtórz mi wszystko o czym rozmawialiście, a nic nie ukrywaj.

Młodzieniec opowiedział dokładnie rozmowę swoją z Messalą, rozwodził się jednak szczegółowo nad pogardą, z jaką Rzymianin mówił o Żydach i ścieśnionym zakresie ich działania. Matka słuchała go w milczeniu, zastanawiając się nad tym co mówił. Syn jej udał się do pałacu na rynku targowym, wiedziony uczuciem przyjaźni spodziewał się znaleźć dawnego towarzysza zabaw takim, jakim był przy rozstaniu. Spotkał go zawód, bo zamiast chłopca, zastał mężczyznę nie wspominającego zabaw i igraszek przeszłości, ale rojącego o sławie, zwycięstwach i bogactwach w przyszłości. Juda nie umiał sobie z tego zdać sprawy, ale obraziło to jego dumę i obudziło naturalne poczucie godności narodowej. Spostrzegło to baczne oko matki, a że nie wiedziała, co stąd wyniknąć może, obudził się w niej z troskliwości o przyszłość syna niepokój; myśl, że jej dziecko mogłoby zmienić przekonanie, ulec wpływowi obcego narodu, zapomnieć wiary Ojców, napełniła ją trwogą. Widziała niebezpieczeństwo, i postanowiła mu zaradzić. Słowa jej nabrały pewnego namaszczenia i ducha poetyckiego.

– Nie było chyba narodu na ziemi – zaczęła – który w poczuciu swej godności nie sądził być przynajmniej równym każdemu innemu; zawsze zaś naród postępujący naprzód mienił się najwyższym. Gdy Rzymianin patrzy na Izraela z tego stanowiska, naśladuje tylko ciemnotę Egipcjanina, Asyryjczyków i Macedończyków; jeśli urąga Bogu, weźmie tę samą co tamci zapłatę.

W miarę jak mówiła, głos jej nabierał pewności: – Nie ma prawa, które narodom zapewniłoby jedynowładztwo i zwierzchność nad drugimi narodami, toteż próżnymi są wszelkie w tym względzie roszczenia i sprzeczki. Naród wzrasta, idzie drogą mu przeznaczoną, a gdy spełnił swe posłannictwo, umiera sam lub za przyczyną obcej siły. Naród, który zniszczył poprzednika, zajmuje jego miejsce i imię swe pisze na pomnikach tamtego – takie jest prawo historii. Gdybym miała odwagę uzmysłowić Boga i ludzkość jakim prostym obrazem, nakreśliłabym linię i koło. Linia oznaczałaby Boga, bo tylko Pan dąży zawsze prosto i naprzód; koło byłoby godłem człowieka, bo on postępuje, rusza się, ale w miejscu. Nie sądzę, aby losy i przeznaczenia narodów miały być równe, z pewnością nie ma dwóch jednakowych. Różnica jednak nie polega, jak wielu mniema, na większym lub mniejszym obwodzie kota, które narody zakreślają, ani w obszarze ziemi, którą zdobyły, ale na kierunku postępu, zbliżającego je do Boga, bo tylko ten naród jest wielki, który przy Nim stoi.

– Gdybym się tu w mym dowodzeniu zatrzymała, byłoby to stać na miejscu. Idźmy więc dalej, tym bardziej, że są pewne wyraźne znaki, podług których łatwo wymierzyć, czy w kole, które naród zakreśla, jest jaki postęp. Zaczniemy od porównania Rzymian z Hebrajczykami.

Najłatwiej ocenić stosunek narodu do Boga, gdy przypatrzymy się jego codziennemu życiu. Pominąwszy czas, w którym Izrael zapomniał o Bogu, Rzym nie znał go nigdy, a zatem nie ma tu porównania.

Twój przyjaciel – czyli raczej ten, który był twoim przyjacielem, twierdził, jeśli dobrze zrozumiałam, że nie mieliśmy ani poetów, ani artystów, ani wojowników, słowem, osądził, że brak nam wielkich ludzi. Abyś ocenił doniosłość takiego zarzutu, trzeba, abym ci powiedziała, kto właściwie jest wielkim człowiekiem. Jest nim ten, moje dziecko, czyje życie dowodzi, że był, jeśli nie wybranym wyraźnie przez Boga, to przynajmniej działanie jego było uświęcone wolą Bożą. Babilończyka przeznaczył Pan, aby był karą ojców naszych za to, że Mu nie byli posłuszni, i pozwolił Pan, aby ich uprowadził do niewoli. Persowi znów rozkazał, aby naród wybrany przywiódł do ziemi ojców. Większym zaś uczynił Pan Macedończyka, bo jemu dane było pomścić zburzenie Judei i świątyni. Szczególnie odznaczył tych ludzi Pan, wybierając ich za narzędzie do spełnienia najwyższych celów, a choć byli poganami, nie czyni to ujmę ich chwale. Tego objaśnienia nie zapomnij w dalszym ciągu mej mowy.

Ogólnie panuje mniemanie, że wojna jest najszlachetniejszym zajęciem człowieka, a owoce i zaszczyty na polu bitwy zdobyte, najwznioślejszymi. Chociaż świat tak sądzi, nie daj się

zwieść ułudzie. Póty istnieć będzie rozkaz czci Boga, póki będzie coś, czego rozumem objąć nie zdołamy. Czymże jest modlitwa barbarzyńcy, jeśli nie błagalnym jękiem wobec siły i przemocy, które jedynie uważa za boskie przymioty. Czymże jest Jowisz, jeśli nie uosobieniem potęgi w rzymskim bohaterze? Grekom należy się wielka sława, że pierwsi uznali rozum nad siłę; w Atenach mówców i filozofów więcej cenią od wojowników. Poetów zaś wieńczą niewiędnącymi wawrzynami. Ojcowie nasi ponad wszystko czcili Boga, a wyrazem ich wiary, zamiast jęku bojaźni, były Psalmy i Hosanna! Tak Hebrajczycy, jak Grecy pragnęli popchnąć świat naprzód i w górę, ale niestety! Rządy tego świata uważały za konieczny warunek swego istnienia wojnę. Dlatego też Rzymianie wynieśli Cezara ponad rozum, ponad Boga nawet i uważają w nim jedyne wyobrażenie potęgi.

Potęga Grecji rosła w miarę swobody ducha, a cały zastęp myślicieli świadczyć o niej będzie po wszystkie czasy. Tak wszechstronna była ich wiedza, że nawet zwycięzcy Rzymianie naśladowali ich we wszystkim, z wyjątkiem sztuki wojennej. Dzisiaj mówcy na Forum biorą sobie za wzór greckich mówców, w śpiewie rzymskim wyraźnie brzmi rytm grecki, a jeśli który z obywateli Rzymu otworzy usta na pochwałę cnoty lub zapaści się w badania tajemnic natury, to słowa jego będą albo przywłaszczeniem sobie myśli, albo też pokaże się, że jest uczniem i wyznawcą szkoły greckiej. W niczym, prócz wojny, Rzym nie może sobie rościć prawa do oryginalności. Jego cyrk i widowiska są greckimi w pomysłach. Aby się dzikiemu tłumowi podobać mogły, zbryzgano je krwią. Religia Rzymian, jeśli ich bałwochwalstwo można tak nazwać, jest zlepkiem nauk i obrzędów zapożyczonych od wszystkich podbitych narodów; ich najwyższą czcią otoczone bóstwa – Mars i Jowisz – z greckiego przecież Olimpu ród swój wiodą. Tak więc, mój synu, wśród ludów całego świata Izrael zjedna tylko Grecją walczyć może o pierwszeństwo. Z nią tylko współubiegać się o palmę zasługi, którą przystoi wieńczyć jedynie prawdziwy geniusz.

Miłość własna Rzymian tak ich oślepiła, że nie widzą nic prócz siebie a w ślepotach tak zaskorupili, że nie przebije jej żaden jaśniejszy promień. O niegodziwi rabusie! Ziemia pod ich stąpaniem drży jak boisko pod uderzeniem cep! Czemuż mój synu, muszę ci powiedzieć, że i my, tak jak inne narody, bliscy jesteśmy upadku! Zabrano nam już nasze dostojności, przywłaszczono najświętsze miejsca, a nikt przewidzieć nie może co dalej. Jednak to wiem i tego pewna jestem, że choć zgniotą Judeę jak ziarno kamieniem młyńskim i pożrą Jeruzalem, które jest kwiatem całego kraju, to chwała Izraela pozostanie światłem na niebiosach, a tego światła nie dosięgnie ręka ludzka, bo historia Izraela jest zarazem historią Boga. On sam pisał ją rękami ludzi wśród Izraela wybranych, mówił ich językiem, był obecny we wszystkim dobrym, które czynili, nawet w najmniejszym. Nie dość tego, był ich prawodawcą na Synaju, przewodnikiem w pustyni, wodzem wśród wojny, a królem w sądzie. I jeszcze dalej, kilka razy uchylił zasłony swego przybytku i w jasnościach niebiańskiej chwały mówił jak człowiek do człowieka, wskazując drogę cnoty i szczęścia, czyniąc obietnice świadczące o Jego wszechmocności i stałości w zachowaniu przymierza na wieczność zaprzysiężonego.

Czy wobec tego może być, aby ci, synu mój, z którymi Jehowa tak przebywał, nic od Niego nie przyjęli, żeby w ich życiu, sprawach i czynach, obok ludzkich zdolności, nie było jakiegoś śladu boskiego pochodzenia? Żeby ich geniusz, choćby po upływie wieków, nie był odbłyśkiem nieba?

Na jakiś czas cisza zaległa w komnacie, prócz szelestu wachlarza nic nie było słychać.

– Jeśli, mówiąc o sztuce, myślimy o malarstwie i rzeźbie to prawda – rzekła wkrótce – że Izrael nie ma artystów.

To wyznanie zrobiła z żalem, bo należąc do saduceuszów, wielbiła piękno w jakiegokolwiek by pojawiło się formie, czemu sprzeciwiali się najwięcej faryzeusze.

– Każdy sprawiedliwy musi nam jednak przyznać – mówiła dalej – że zřęczność naszą skřępowało przykazanie: „nie zrobisz sobie ani obrazu, ani podobizny.” Zakaz ten rozciągnęło prawodawstwo poza jego cel i czas. Nie należy też zapominać dwóch Izraelitów Bezaela i

Aholiaba, mistrzów budowniczych pierwszego przybytku, o których napisane jest, że byli biegłymi we wszystkich rodzajach rzemiosła, utworzyli złotych Cherubinów, zdobiących skrzynię Arki Przymierza. Postacie te były ze szczerego złota, skrzydłami swymi mają okrywać i ocieniać tron Boski, stoją naprzeciw sobie, twarzą zwrócone są ku skrzyni łaski. Któż śmie twierdzić, że postacie te, to nie arcydzieło sztuki?

– Ach! rozumiem teraz, czemu nas Grecy wyprzedzili – rzekł Juda

– a Arka?... Przekłęci niech będą Babilończycy, którzy ją zniszczyli.

– Nie, Judo, nie zniszczyli, ale zaginęła, a raczej ukryta jest gdzieś w bezpiecznej jaskini w górach; Hillel i Shammai, obaj tak wierzą i mówią; nadejdzie dzień który Pan uzna za dobry i znajdzie się Arka, ustawią ją, a Izrael będzie przed nią tańczył i śpiewał jak za dawnych dni. Ci zaś, którzy ujrzą oblicza Cherubinów, chociażby widzieli twarz Minerwy Fidiasza ze słoniowej kości zapragną uściskać rękę Żyda z uwielbienia dla jego geniuszu, zachowanego przez lat tysiące.

Uniesiona zapałem matka, wpadła mimowolnie w ton i gwałtowność mówcy, teraz jednak, aby odpocząć, czy schwycić wątek myśli, zatrzymała się chwilę.

– Jakże dobra jesteś, matko moja – mówił Juda z wdzięcznością – nigdy nie przestanę powtarzać tego. Ani Hillel, ani Shammai nie mogli lepiej i piękniej powiedzieć. Znów jestem wiernym synem Izraela.

– Pochlebco! – odparła – nie wiesz, iż powtarzam tylko to, co kiedyś mówił Hillel w rozmowie z pewnym rzymskim mędrcem?

– Być może, nie mniej mówiłaś z niezwykłym zapałem.

– Na czymże skończyłam? – zapytała matka z powagą – Mówiłam o pierwszeństwie w sztuce praocjów naszych, w sztuce rzeźbienia posągów. Ale rzeźba, mój Judo, nie sama sztukę stanowi, ani też sama sztuka w sobie nie zawiera wielkości. Lubię sobie wyobrazać wielkich ludzi dążących poprzez wieki do wielkich celów, dzielę ich na grupy i okresy; tu Hindusi, tam Egipcjanie, ówdzie Asyryjczycy; nad nimi słyszę unoszącą się muzykę trąb i szelest zwycięskich sztandarów, a tymczasem po prawej i lewej stronie stoją niezliczone pokolenia i patrzą na nich pełni czci i podziwu. Gdy ci znikają, występuje piękny Helleńczyk i wiedzie pochód z triumfalnym okrzykiem, wnet Rzymianin każe mu milczeć i mówi: precz! Co było waszym jest teraz moim. Świat leży zdeptany, a jam pan. Tymczasem z daleka, a na wprost szlaku, którym idzie pochód, świeci światło oświecające zarówno najodleglejszą przeszłość i najdalejszą przyszłość. Nie wiedzą walczący, a przecież ono ich wiedzie – bo to jest światło Objawienia. Któż niesie to światło? Ach, to stary ród Judy! Jakże na tę myśl krew szybko w żyłach krąży! W tym oświeceniu i my ich widzimy. Bądźcie po trzykroć błogosławieni, wielcy nasi ojcowie, słudzy Boga, stróże Przymierza! Wy to jesteście przewodnikami ludzkości, wy stoicie na czele w królestwie żywych i umarłych! Tam, obok nich, jest twoje miejsce, mój synu, a choćby każdy Rzymianin był Cezarem, zaprawdę, nie ustąpisz mu pierwszeństwa.

Juda był mocno wzruszony.

– Mów dalej, matko moja – wołał – słyszę niby trąby zwycięstwa i mnie się zdaje, że zbliża się Miriam z orszakiem swych niewiast, które tańczą i śpiewają.

Zrozumiała uczucia syna, a chcąc je wyzyskać, mówiła dalej: – Kiedy słyszysz hymny i waltomie, towarzyszące prorokini, daj wodze wyobraźni i stań wraz ze mną jakby u brzegu gościńca, którym uroczyście postępuje korowód wybranych wśród Izraela. Oto idą patriarchowie i ojcowie pokoleń – zda mi się, że słyszę dzwonki wielbłądów i ryczenie ich trzód. A tam, pośród gromady – któż to jest, co idzie sam? Starzec to, ale siły jego niezłamane, a oko świętym pała ogniem: to On, który oglądał Pana twarzą w twarz. Stoi sam, bo któż sprosta wojownikowi, poecie, mówcy, prawodawcy, prorokowi? Wielkość jego jest jak słońce w południe, światłość jego gasi wszelkie inne, choćby nawet sławę pierwszego i najszlachetniejszego z Cezarów. Za nim postępuje orszak sędziów, po nich królowie – a oto syn Jessego, bohater w wojnie, śpiewak pieśni nieśmiertelnych; dalej jego syn, mędrzy i bogatszy nad

wszelkie króle swego czasu, zaludnił pustynię i zbudował tam miasta, a nie zapomniał Jerozolimy, w której wybudował Panu na chwałę świątynię. Teraz schył głowę, mój synu, bo oto idą ci, którym podobnych nie ma. Oblicza ich wzniesione ku niebu, jak gdyby słyszeli głos Boży; szaty ich czuć zgnilizną grobów i pieczar. Wśród tego grona słyszysz głos kobiety, który wzywa: „Śpiewajmy Panu, bo oto zwyciężył z chwałą”. Ukorz się w prochu przed nimi, mój synu, bo ich językiem posługiwał się Pan, byli jego wysłańcami i sługami. Niebo stało im otworem: widzieli przyszłość narodów; widzenia swe uwiecznili pismem, a spełnienie przepowiedni świadczyło i świadczy, że byli mężami prawdy. Królowie bledli na ich widok; narody drżały na dźwięk ich głosu; żywioły były im posłuszne; w rękę ich spoczywało błogosławieństwo i klątwa. Patrz, oto wielki Tezbijczyk i Elizeusz! A tam znów trzech młodzieńców w piecu ognistym. A terez – ugnij, synu mój, kolana, bo oto zbliża się ten, z którego pokolenia ma się narodzić Mesjasz.

W ciągu tej mowy szybko poruszała wachlarzem, nagle ruch ustał, a ona przyciszonym głosem zapytała:

– Jesteś zmęczony, synu?

– Nie, matko moja – odpowiedział – słuchałem z zachwytem pieśni o Izraelu.

Zdawała się nie słyszeć pochwały i mówiła dalej, dążąc do wytkniętego celu.

– O ile sił starczyło, starałam się przypomnieć ci naszych wielkich ludzi – patriotów, prawodawców, wojowników, śpiewaków i proroków. Przypatrzmy się teraz najznakomitszym z Rzymian. Obok Mojżesza postawmy Cezara, obok Tarkwiniusza – Dawida, Sulę porównajmy z Machabeuszami, a najznakomitszych konsulów z sędziami, nareszcie Augusta z Salomonem i tu już koniec – bo kogóż, choćby w przybliżeniu, porównać można z prorokami, największymi z wielkich!

Tu uśmiech pogardy przebiegł po jej licu.

– Daruj, zapomniałam o wróżbicie, augurze, który ostrzegał Gajusza Juliusza przed Markiem Juniuszem Brutusem, widzę go jak szuka złej wróżby we wnętrzościach kury. Odwróćmy oczy od tak pospolitego obrazu, a wyobraźmy sobie Eliasza na wzgórzu przy drodze do Samarii, wśród dymiących ciał owych dwóch pięćdziesiątek wojowników, wysłanych przez króla, pożartych ogniem niebieskim na rozkaz proroka, który tym strasznym sposobem oznajmił synowi Achaba bliskość śmierci. Na koniec, mój Judo – jeśli wolno i jeśli przystoi w jakikolwiek sposób zestawić wielkiego Jehowę z Jowiszem, to zaiste dosyć jest osądzić uczynki i sprawy tych, którzy im służą i w imieniu owych bóstw działają. Co się zaś tyczy twojej własnej przyszłości...

Ostatnie wyrazy mówiła z wolna i drżącym głosem.

– To służ, mój synu, twemu Panu, a nie władcom Rzymu. Synowi Izraela nie przystoi żadna inna sława, jak sława służby Bożej, bo już w niej samej jest wszelka chwała i cześć.

– Jak to, więc nie mam być żołnierzem? – zapytał Juda.

– Czemuż by nie? Wszak Mojżesz nazywał Pana „Bogiem Zastępów”.

Długie milczenie zaległo komnatę.

– Masz więc moje pozwolenie – rzekła – ale pamiętaj, że masz służyć Panu, ale nie Cezarowi.

Przyjął z radością warunek, lecz senność obejmowała go z wolna, co widząc matka, podłożyła mu wezglówek pod głowę, nakryła troskliwie i ucałowawszy serdecznie, odeszła.

ROZDZIAŁ VIII

Każdy z nas, zły czy dobry, umrzeć musi; pamiętając o obietnicy naszej religii, mówimy też spokojnie: mniejsza o to, otworzymy oczy w Niebie. Do takiego cudownego przebudzenia w zaświatowej krainie podobne jest ocknienie się ze snu wśród przeświadczenia o szczęściu i przy dźwięku rozkosznej muzyki.

Takim było przebudzenie Judy, gdy się ocknął, słońce stało wysoko nad górami: gołębie napelniały powietrze trzepotaniem białych skrzydeł, a na południowo-wschodnim skłonie nieba widniała świątynia, niby złote zjawisko odbijające na ciemnym tle błękitu. Nie zwracał na to Juda uwagi, na piękny widok przelotnie rzucił wejrzenie, a całą uwagę zwróciła piętnastoletnia dziewczynka, siedząca na tapczanie u jego nóg i grająca na nebli opartej na kolanach. Słuchał z zachwytem kołysanki śpiewanej przy delikatnym towarzyszeniu akordów; gdy pieśń umilkła, dziewczynka złożyła ręce i zwróciła pytający wzrok na Judę. Ponieważ dziewczę to wchodzi w zakres naszego opowiadania, musimy się z nią i całą rodziną Hurów zapoznać.

Herod umierając, nagroził i obdarzył majątkami wiele osób, które miały z nim stosunki; jeśli popierający króla był potomkiem jednego ze sławnych pokoleń, szczególnie zaś z pokolenia Judy, bo bogactwo dawało mu zaszczytne miejsce w gronie książąt jerozolimskich. Wyróżnienie takie zapewniało mu hołd biedniejszych rodaków, a uszanowanie pogan, z którymi często łączyły Izraelitów interesy lub stosunki społeczne. Do tych szczęśliwych wybrańców losu należał także ojciec Judy; który w życiu publicznym jak też prywatnym cieszył się wielkim poważaniem i nosił tytuł księcia Jerozolimy. Pełen bojaźni Bożej, Żyd rzetelny, służył królowi wiernie i nieraz dał tego dowody. Jako pełnomocnik Heroda, odwiedził kilkakrotnie Rzym; tam zwrócił na siebie uwagę Augusta, który starał się pozyskać jego przyjaźń. To też w domu jego pełno było owych darów, które czynią zadość próżności tak królów, jak dworaków – mnogie purpurowe togi, krzesła Izę słoniowej kości, złote puchary; wartość zaś ich stanowiło właściwie to, że z cesarskiej pochodziły ręki. Mąż taki musiał być bogaty, ale zamożność jego nie była wyłącznie dziełem potężnych opiekunów, on sam, wielbiąc prawo nakazujące pracę, czynnym był wszędzie i w najrozmaitszych kierunkach. Liczni pasterze pasący trzody po dolinach i wzgórzach Libanu, zwali Hura swym panem; w miastach tak portowych, jak w głębi stałego lądu leżących posiadał liczne domy handlowe; okręty dostarczały mu srebra z Hiszpanii, a karawany ze Wschodu przywoziły mu dwa razy do roku jedwabie i korzenie. Szczerze i sumiennie wypełniał obowiązki, jakie nań wiara hebrajska nakładała; uczony był w Piśmie, do synagogi uczęszczał regularnie. Z rozkoszą przebywał w gronie mistrzów, uszanowanie zaś jego dla Hillela równało się czci. Nie był jednak małego serca; z gościnnością przyjmował cudzoziemców, skądkolwiek pochodzili, faryzeusze twierdzili, jakoby Samarytan u stołu swego przyjmował. Gdyby był poganinem i gdyby żył wspólnie z Herodem Attykiem, można by go uważać za współzawodnika tegoż. Zginął jednak na morzu w sile wieku, na jakie dziesięć lat przed drugim okresem naszej historii. Opłakiwała go cała Judea – o ileż więcej rodzina.

Poznaliśmy już matkę i syna, a także córkę, w chwili gdy śpiewała bratu. Imię jej było Tirza. Podobieństwo jej do brata było uderzające, miała te same regularne rysy. lecz pełne wdzięku i wyrazu niewinności. Ubrana była w szatę spiętą na prawym ramieniu, spadającą na pierś i plecy, a schodzącą się u lewego ramienia, trochę tylko osłaniającą kibić powyżej stanu i zostawiającą obnażone całkiem ręce. Dolną część szaty, układającą się w fałdy, przytrzymywał w stanie pasek. Włosy zgrabnie ułożone, pokrywała jedwabna czapeczka, z której spływała także szarfa, bogato haftowana i w delikatne ułożona fałdy, tak aby uwydatniła kształt głowy, nie powiększając jej rozmiarów. W uszach nosiła zausznice, na palcach pierścienie; naramienniki i obręcze czysto złote zdobiły jej ręce, a na szyi złoty naszyjnik, dziwnie misternymi łańcuszkami i wisiorkami z pereł przeozdobiony, dopełniał stroju. Kąty brwi i końce paznokci miała zabarwione, a włosy, w długie splecione warkocze, spadały na plecy, podczas gdy zwinięte pukle krótszych włosów zdobiły policzki. Patrząc na nią, nie można jej było odmówić wdzięku, wytworności i urody.

– Bardzo pięknie, moja Tirzo, bardzo pięknie – mówił Juda z ożywieniem.

– Podoba ci się?

– Tak, pieśń piękna i śpiewaczka także! Są w tej pieśni jakieś greckie oddźwięki. – Skąd się jej nauczyłaś?

– Przypominasz sobie owego Greka, który śpiewał w teatrze zeszłego miesiąca? Mówiono, że był śpiewakiem na dworze Heroda i jego siostry Salome. Śpiewał zaraz po występie atletów i cała sala była jeszcze pełna wrzawy, ale po pierwszym tonie wszystko ucichło i żadne słowo nie uszło mej uwagi – tak więc pieśń tę mam od niego.

– Ależ on śpiewał po grecku.

– A ja po hebrajsku.

– Teraz rozumiem i dumny jestem z mej siostrzyczki. Może umiesz jeszcze jaką równie piękną pieśń?

– O tak, jeszcze wiele, ale dajmy temu spokój; Amra przysłała mnie, abym ci powiedziała, że tu przyniesie śniadanie, nie potrzebujesz więc schodzić. Przybędzie tu zapewne zaraz, bo sądzi, żeś chory, żeś miał jakiś wypadek wczoraj. Co to było? Powiedz mi, abym pomogła Amrze w leczeniu cię; ona zna leki Egipcjan, ale niewiele pomocne, jak zaś mam wiele recept od Arabów, które...

– Jeszcze mniej są pomocne niż Egipcjan – rzekł, potrząsnawszy głową Juda.

– Tak sądzisz? Nie myślę ci się sprzeciwiać – odpowiedziała Tirza, podnosząc rękę do lewego ucha – nie będziemy mieć z nimi nic do czynienia, bo oto mam coś pewniejszego i lepszego... amulet, który pochodzi od jakiegoś perskiego czarodzieja i jest nie wiem od jak dawna w naszej rodzinie. Patrz, napis już całkiem zatarty.

To mówiąc, podała mu zausznicę; on wziął klejnot do ręki, popatrzył i oddał jej, śmiejąc się:

– Choćbym miał umrzeć, Tirzo, nie używałbym amuletu, bo to jest zabytek bałwochwalstwa, zakazany każdemu wiernemu synowi i córce Abrahama. Weź go, ale nie noś więcej.

– Zakazane! Ależ to być nie może – rzekła – matka naszego ojca nosiła ten amulet każdego szabatu, przez całe życie. Wyleczył on, nie wiem ilu chorych – ale z pewnością więcej niż trzech. Jest nawet aprobowany – patrz nosi pieczęć rabina.

– Nie wierzę w amulety.

Podniosła na niego oczy ze zdziwieniem.

– Cóżby na to powiedziała Amra?

– Rodzice Amry byli stróżami ogrodów nad Nilem i bałwochwalcami.

– Ależ Gamaliel.

– On twierdzi, że to są bezbożne wymysły pogan, Tirza patrzyła na amulet z zalem i nieufnością.

– Cóż mam z nim zrobić?

– Noś go, siostrzyczko. Zdobci cię, upiększa, chociaż zaprawdę i bez niego piękna jesteś.

Zadowolona, założyła amulet właśnie, gdy Amra wносиła tacę z miednicą, wodą i ręcznikami.

Ponieważ Juda nie był faryzeuszem, więc umywanie nie zabrało mu wiele czasu; a gdy niewolnica odeszła Tirza podjęła trud uczesania brata. Skoro ułożyła jego kędziory stosownie do swego gustu, odwiązała metalowe zwierciadełko, które jak wszystkie kobiety tego kraju, nosiła u paska i podała je bratu, aby ją pochwalił i ujrzął, jak jest piękny. Wśród tego zajęcia zaczęli znów rozmawiać.

– Co powiesz na to Tirzo – wyjeżdżam...

Przerażona, załamała ręce.

– Wyjeżdżasz... kiedy... gdzie... dlaczego?...

– Otóż i trzy pytania jednym tchem! Co za ciekawość! – Po chwili rzekł poważnie. – Wiesz zapewne, że prawa nasze każą mi obrać jakiś zawód, zajęcie; nasz zacny ojciec został mi tak w tym, jak we wszystkim najlepszy przykład. Gardziłabyś mną sama, gdybym w lenistwie używał owoców jego pracy i wiedzy. Jadę do Rzymu.

– Weź mnie z sobą!

– Przecież oboje nie możemy opuścić matki, musisz z nią pozostać.

– Niestety! Ale czyż koniecznie musisz jechać? Wszak tu w Jerozolimie możesz się nauczyć wszystkiego, czego potrzeba kupcowi – jeśli myślisz temu zawodowi się poświęcić.

– Właśnie nie jest to moim zamiarem. Prawo nie wymaga, aby syn był tym, czym ojciec.

– Czymże innym możesz być?

– Żołnierzem – odpowiedział z dumą.

Łzy zaćmiły jej oczy.

– Zginiesz...

Jeśli taka by była wola Boża, niech i tak będzie. Tirzo, nie wszystkich żołnierzy zabijają. Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby go od powziętego zamiaru powstrzymać chciała.

– Jesteśmy tak szczęśliwi, bracie mój... zostań w domu.

– Dom nie zawsze będzie, czym jest. Ty sama niedługo opuścisz go.

– Nigdy!

Uśmiechnął się na to zapewnienie.

– Niedługo przyjdzie jaki książę Judy lub innego pokolenia, zabierze moją Tirze, pojedzie z nią, aby była światłem innego domu. Wtedy cóż się ze mną stanie?

Odpowiedziała łkaniem.

– Wojna, to także przemysł – mówił z namysłem – aby się jej nauczyć, potrzeba iść do szkoły, a nie ma lepszej nad obóz rzymski.

– Przecież nie będziesz walczył dla Rzymu? – pytała, wstrzymując z obawą oddech.

– Więc nawet i ty nienawidzisz ich! Cały świat nienawidzi Rzymu. Staraj się zrozumieć moją odpowiedź Tirzo: tak, będę walczył dla Rzymu, jeżeli za to nauczy mnie, jak i kiedy walczyć przeciw niemu.

– Kiedy chcesz jechać?

Nagle posłyszeli kroki powracającej Anny.

– Cicho! – rzekł Juda. Niech nie wie, jakie mam zamiary. Wierna niewolnica przyniosła śniadanie i postawiła na stoliku przed nimi, a biorąc biały ręcznik na ramię, pozostała, aby im służyć. Zmaczali palce w naczyniu z wodą i właśnie obcierali je ręcznikiem, gdy dał się słyszeć gwar na ulicy. Poznali wojskową muzykę, która zbliżała się ku północnej stronie domu.

– To żołnierze z pretorium. muszą ich widzieć! – krzyknął młodzieniec, zrywając się z tapczanu w stronę, skąd dolatywał hałas. Za chwilę stał oparty o parapet z dachówki, strzegący narożnika dachu od północno-wschodniej strony domu. Stał tak zajęty, że nie zauważył, jak Tirza stanęła obok niego opierając rękę na jego ramieniu.

Miejsce, które zajmowali na dachu, było na najwyższym szczycie domu i górowało nad wszystkimi domami wschodniej strony miasta, tak że mogli widzieć całą przestrzeń aż do wieży Antonia. Ulica, najwyżej na 10 stóp szeroka, była gdzieniegdzie przecięta mostami,

które, tak jak dachy, wypełniły się ludźmi, kobietami i dziećmi przywabionymi muzyką. Właśnie nazwa muzyka nie nadawała się na określenie tego huk i przejmującego pisku drewnianych, dętych instrumentów. Za kilka chwil wychyliły się szeregi wojowników, tak że rodzeństwo, stojące na dachu pałacu Hurów, mogło widzieć cały pochód. Najpierw szła w dużych odstępach przednia straż lekko zbrojnych w proce i łuki; dalej oddział ciężko uzbrojonej piechoty, z wielkimi tarczami i długimi włóczniami; za nimi postępowała muzyka, po niej zaś konno oficer wraz z przyboczną strażą. Po straży postępował jeszcze oddział ciężko zbrojnej piechoty, posuwając się w zwartym szyku, wypełniając ulice od muru do muru, tak iż zdawał się być bez końca.

Muskularne członki wojowników, rytmiczny ruch tarcz od prawej ku lewej stronie, blask łuskowatych pancerzy, sprzączek i hełmów, pióra chwiejące się na wysokich szyszakach, szelest powiewających chorągwi, żelazne piki, śmiały, pewny, rytmicznie wymierzony krok, postawa groźna i baczna, zgodność ruchu całej masy, podobna do niezmiennego ruchu maszyny – wszystko to robiło na Judzie wielkie wrażenie, które łatwiej odczuć niż opisać. Jednak głównie zwracały jego uwagę najpierw: orzeł legionu, pozłocista podobizna ptaka, osadzona na wysokim drągu. Wiedział, że gdy znak ten wynoszone z izby fortu, oddawano mu niezwykłą cześć. Drugim punktem, zwracającym na siebie uwagę patrzącego, był wódz, jadący sam w środku wojska. Jechał w pełnej zbroi, z odkrytą głową; u lewego biodra miał krótki miecz, w ręce trzymał buławę dowódcy. Koń zamiast siodła, okryty był purpurowym czapakiem, ozdobionym złotymi frędzlami. Uzda zaś i lejce żółte, jedwabne, przetykane złotym haftem, dopełniały bogatego stroju rumaka.

Jeszcze jeździec był daleko, a już zauważył Juda, że sama jego obecność wzbudzała gniew i oburzenie w przypatrującej się masie ludu. Jedni opierając się o poręcz dachu, drudzy stojąc dumnie, grozili mu pięściami; inni jeszcze szli za nim, krzycząc; ci zaś, którzy stali na mostach, pod którymi przejeżdżał oddział, krzyczeli i pluli nań z góry; kobiety nawet ciskały odważnie sandałami, często tak zręcznie, że go trafiały. Gdy zbliżył się dowódca, krzyki stały się wyraźne: rozbójnik, tyran, pies rzymski! Precz z Ismaelem! Oddajcie nam Annasza.

Skoro jeździec był już blisko, dostrzegł Juda, co zresztą łatwo mu było zrozumieć, że wódz nie dzielił wspaniałej obojętności żołnierzy; twarz jego była ponura i groźna, a spojrzenie, które zwracał na prześladowców, pełne wzgardy i groźby, niejednego zmusiło do odwrotu.

Wiedział młodzieniec, że za przykładem pierwszego Cezara, dowódcy, dla oznaczenia swej godności, ukazywali się publicznie w wawrzynowym wieńcu na głowie. Domyślił się więc po tej odznace, że ma przed sobą Waleriusza Gratusa, nowego prokuratora Judei!

Jakkolwiek bądź Rzymianin ten wśród burzy prześladowania, której niczym nie wywołał, wzbudził współczucie w sercu młodego Żyda. Chcąc mu się lepiej przypatrzeć, zbliżył się bardziej do poręczy i oparł rękę na dachówce. Zapewne musiała już dawno być nadłamana, zewnętrzna bowiem poręcz oderwała się z łoskotem, lecąc wprost na jeźdźcę. Dreszcz przestachu wstrząsnął na ten widok młodzieńcem. Wyciągnął mimowolnie rękę, aby pochwycić pocisk, co mu nadało pozór rzucającego. Wysiłek chwycenia nie udał się, owszem, wzmocnił siłę pędu, a Juda w przerażeniu krzyknął z całej siły, co zwróciło uwagę całej straży i samego przywódcy. W tej chwili odłamek balustrady uderzył w odkrytą głowę Gratusa, który spadł z konia i leżał martwy.

Tłum stanął, straż zsiadła z koni, spiesząc okryć dowódcę tarczami. Ludność przekonana, że Juda umyślnie rzucił pocisk, jęła krzykiem popierać odwagę młodzieńca, stojącego nad poręczą. On sam przerażony tym co się stało i następstwami, których nietrudno było się domyśleć, stał jakby przykuty do miejsca. Zgubny powiew, niby szept złego ducha, przebiegł z zadziwiającą szybkością z dachu na dach wzdłuż linii pochodu, porywając ludność zapałem do walki i oporu. Rękami chwyтали za dachówki i od słońca spalone kawałki gliny, z której szczyty dachów w większości były zrobione, ciskając je ze ślepą namiętnością na legiony na

dole stojące. Grad cegieł obsypał żołnierzy. Wnet powstała bitwa, w której, jak łatwo było przewidzieć, zwyciężyli wyćwiczeni w wojnie żołnierze.

Juda, z twarzą pobladłą od przerażenia, zwrócił się ku siostrze i zawołał zrozpaczony:

– O Tirzo, Tirzo! co się z nami stanie!

Nie wiedziała biedna co się stało; słyszała wprawdzie krzyki walczących, widziała wrzenie walki, lecz nie знаła przyczyn całego zajścia, a tym samym nie domyślała się, aby ktokolwiek z jej ukochanych mógł znajdować się w niebezpieczeństwie.

– Co się stało? Co to wszystko znaczy? – pytała przerażona.

– Zabiłem dachówką namiestnika rzymskiego.

Twarzyczka jej pokryła się śmiertelną bladością. Zarzuciła bratu ramiona na szyję i wpa-trywała mu się, pełna boleści, nie mówiąc ani słowa, w oczy. Pod wpływem tego wzroku nabrał otuchy.

– Nie zrobiłem tego umyślnie, Tirzo – rzekł – to był przypadek.

– Jak myślisz, cóż nam uczynią?

Spojrzał na zwiększający się popłoch na ulicy i dachach, a obraz ponurego i groźnego Gratusa przypomniał mu się z całą wyrazistością. Jeśli żyje, gdzież kres jego zemsty? Jeśli nie żyje, jakaż wściekłość legionistów? Nie mając gotowej odpowiedzi, spojrzał na dół właśnie w chwili, gdy straż pomagała dowódcy wsiąść na konia.

– Żyje, żyje, Tirzo! Błogosławionym niechaj będzie Bóg ojców naszych! Uspokojony, zwrócił się do Tirzy, mówiąc:

– Nie bój się, wytłumaczę, jak to się stało, przypomnę zasługi ojca i oszczędzą nas.

Zwrócili się ku letniemu domowi, gdy nagle dach zadrżał pod ich stopami, a uszu ich doleciały uderzenia pałek i trzask wyłamywanych bram. Z podwórza słychać było okrzyki rozpaczcy, płacz i jęk przerażonych kobiet. Następnie usłyszeli zbliżające się kroki gromady ludu, klątwy i błagania. Wnet żołnierze, wyłamawszy północną bramę, stali się panami pałacu, a Judę ogarnęło straszliwe przecucie, że to jego szukają, a z nim myśl o ucieczce, ale dokąd? Chyba tylko, gdyby miał skrzydła, mógłby uciec. Tirza z obłąkanymi od strachu oczyma chwyciła jego rękę, pytając:

– Judo, co to wszystko znaczy?

On wiedział, co to znaczy – mordowano służbę... a jego matka!... Któż wie, czy który z do- słyszanych głosów rozpaczcy nie był jego głosem! Okropność!... Przecież zdobył się na siłę woli i rzekł:

– Tirzo, zostań tu i czekaj na mnie, pójdę zobaczyć co się dzieje.

Ale jego głos drżący od trwogi, nie mógł uspokoić dziewczyny, która się tym goręcej tuliła do niego.

Nagle, wyraźnie, już nie w wyobraźni, poznał głos matki. Nie czekając dłużej, objął siostrę i rzekł:

– Chodź, spieszmy!

Taras powyżej pierwszych schodów zapełniony był żołdactwem; jedni rabowali, drudzy z dobytymi mieczami wpadli do pokojów, mordując i raniąc. Tu i ówdzie klęczące kobiety błagały o łaskę, opodal jedna w podartej szacie, z długim rozwianym włosom, walczyła, szamocząc się z trzymającym ją siepaczem. Krzyk jej straszliwy, górujący ponad wrzawą, doleciał aż na dach. Do niej to biegł Juda, wołając: „matko matko!” Ale zaledwie dotknął jej rąk, po- chwycono go i oderwano od niej. Wśród jęków, hałasu i wrzawy usłyszał, jak ktoś zawołał:

– To on!

Głos ten nie był mu obcy, spojrzał... i zobaczył Messalę.

– Jak to, ten ma być zabójcą? – rzekł jeden z legionistów. – Ależ to zaledwie wyrostek!

– Bogowie! – odparł Messala. – Czyż koniecznie trzeba być starym, aby pałac nienawi- ścią? Oto macie go, a wraz z nim matkę i siostrę!... całą rodzinę!

W uczuciu miłości dla matki i siostry, zapomniał Juda o sprzeczce, jaką miał z Messalą, więc błagał:

– Pomóż im, Messalo! Pomnij na naszą przyjaźń w dzieciństwie. Ja, Juda, proszę cię, błagam. – Rzymianin udał, że nie słyszy; a potem zwrócił się do oficera.

– Nie jestem tu już potrzebny. Na ulicy jest więcej do roboty. Niech przepada Eros, górą Mars!

I wyszedł, Juda zrozumiał wykrzyknik i z goryczą w duszy modlił się, mówiąc:

– Gdy nadejdzie godzina Twojej pomsty, o Panie, niech moją będzie ręka, która ją wykona.

Przewyciężając samego siebie, zbliżył się do oficera i błagał:

– Panie, kobieta, której jęki słyszysz, jest moją matką. Ocal ją wraz z córką! Bóg jest sprawiedliwy; odda ci miłosierdzie za miłosierdzie. Słowa te wzruszyły wojownika, bo zawołał:

– Do fortecy z kobietami! Nie czyńcie im krzywdy, zażądam ich od was! Weźcie sznury – rzekł dalej do tych, którzy pilnowali Judy – związać mu ręce i wyprowadzić stąd; nie ujdzie on kary.

Nieszczęśliwą matkę wyniesiono. Tirza, skamieniała z bólu, poszła ze strażą bez oporu. Juda pożegnał je wzrokiem pełnym bólu i zakrył twarz rękoma, jakby chciał tę straszną chwilę zachować wiecznie w pamięci. Płakał pod osłoną rąk, nikt jego łez nie widział.

Wśród bólu i przerażenia zaszło coś, co nazwać można cudem. Dotąd usposobienie młodego Izraelity było prawie kobiece – wiódł bowiem szczęśliwe życie, prócz miłości dla matki i siostry innych uczuć nie znał. Teraz, gdy podał ręce, aby je związane, znikły urojenia dziecięce; nagle dojrzał, stał się mężczyzną.

Na odgłos trąby, która zabrzmiała w podwórzcu, opuścili żołnierze tarasy. Wielu nie śmiało ukazać się z łupem w szeregu, porzucali więc zdobycz na ziemię, zasiewając drogę najcenniejszymi przedmiotami. Gdy Juda opuścił dom i znalazł się na ulicy, już wojsko stało w uformowanym szyku.

Matkę, córkę i wszystkich domowników wyprowadzono północną bramą, której gruzy utrudniały przejście. Łatwo sobie wyobrazić jęki i płacz służby, z której wielu urodziło się w domu, który teraz opuszczali. Rozpacz ich była rozdzierająca serce. Gdy wreszcie wyprowadzono z domu konie i bydło, zrozumiał Juda, jaka była zemsta prokuratora. Wszystko zabrano, a nawet gmach odarto z ozdób, aby służył na przestrożę tym, którzy by mogli zamarzyć o zniesieniu niewoli lub usunięciu namiestnika rzymskiego. Los rodziny Hurów miał im być przestrożą, a ściany ich domu miały świadczyć o tym co zaszło po wsze czasy.

Dowódca stał ciągle przed gmachem, bo oddział żołnierzy nie zdołał jeszcze naprawić bramy na tyle, aby ją było można zamknąć.

W ulicy walka ustawała; na dachach gdziekolwiek tylko tumany kurzawy, świadczyły, że jeszcze wre. Wojsko stało w szeregach, tak jak przedtem, lśniące od pancerzy. Biedny jeniec zapomniał o sobie, tęsknymi oczami na próżno szukał wśród gromady niewolników matki i Tirzy.

Nagle zerwała się z sieni jedna z kobiet i szybko pobiegła ku bramie; kilku ze straży puściło się z krzykiem za nią, ale nadaremnie. Ona podbiegła do stóp Judy, obejmowała jego kolana, a czarne, grube, ziemią zwalone włosy czyniły ją straszną. Mimo to serce Judy odgadło wierną niewolnicę:

– O Amro, pocziwa Amro – rzekł do niej – niechaj cię Bóg wspiera, ja ci pomoc nie mogę!

Od wielkiego łkania nie mogła wymówić ani słowa, a on pochylił się nad nią i szeptać powiedział: Żyj, Anno, dla Tirzy i matki mojej, oddaję ci je w opiekę, a gdy wrócę...

Gdy domawiał tych słów, żołnierz pochwycił kobietę, lecz wyrwała mu się i wpadła w bramę, przebiegła przez korytarz i znikła w podwórzcu.

– Puśćcie ją! – krzyknął dowódca – zapieczętujemy bramę, niech umiera z głodu.

Murarze замуrowali bramę, po czym przeszli na stronę wschodnią, gdzie również obwarowano wejście. Pałac Hurów, w którym dotąd kwitło szczęście, stał pusty i głuchy.

Po ukończeniu dzieła zniszczenia, powrócił oddział wojska do fortu, gdzie prokurator odpoczywał po doznanym wstrząśnieniu, lecz wkrótce zajął się zasądzeniem winowajców.

Nazajutrz oddział wojska udał się do opustoszałego pałacu, aby opieczętować woskiem wejścia i na każdej z czterech stron przybić kartę z łacińskim napisem:

To jest własność cesarska.

Rzymianie byli przekonani, że ogłoszenie takie było najodpowiedniejsze.

I znów upłynął dzień jeden, a drogą z Jerozolimy do Nazaretu o godzinie dziewiątej z rana wiódł dziesiętnik małą garstkę jeńców. Nazaret było wówczas małą wieśką, wznoszącą się na stoku wzgórza. Jedyna jego ulica była raczej ścieżką wydeptaną stopami przechodniów i kopytami trzód. Od południa znajdowała się dolina Esdrelon, a u jej wschodniego wzgórza widać było wybrzeże Morza Śródziemnego, uroczę okolice Jordanu i górę Hermon. Dolinę tę zdobiły ogrody, oliwne laski, winnice, sady, a grupy palm dodawały jej czysto wschodniego wyglądu. Domy miasteczka ubogie – jednopiętrowe, czworokątne, z płaskimi dachami, gęsto oplecione szerokolistnym winem, widniały z daleka. Krajobraz wywoływał weselsze wrażenie, bo sroga posucha, niszcząca Judeę, nie przekracza granic Galilei.

Trąba obejmująca o zbliżającym się oddziale, wywarła czarodziejski wpływ na mieszkańców miasteczka. Wszystkie bramy i drzwi napełniły się tłumem ciekawych.

I nic w tym dziwnego. Nazaret leżało z dala od głównych gościńców, na których łatwiej o nadzwyczajne wypadki. I tutaj nie chowano życzliwych uczuć dla Rzymian; ciekawość jednakże zagłuszyła nienawiść. Oddział zwrócił się ku studni.

Głównym przedmiotem zainteresowania był więzień. Biedny, szedł pieszo, z odkrytą głową, prawie nagi, z rękoma w tył związanymi. Aby nie próbował ucieczki, przywiązano go do konia, tumany zaś pyłu towarzyszące pochodowi, zasłaniały go często żółtą chmurą. Widziano przecież, że był bardzo młody, że stopy miał skrwawione i upadał ze zmęczenia.

Pochód zatrzymał się u studni, dziesiętnik wraz ze swymi ludźmi zsiadł z konia, a więzień padł na ziemię jak nieżywy. Wtedy ujrzeni zgromadzeni, że to prawie jeszcze chłopiec; serca ich zadrgały litością, ale nie śmieli jej okazać.

Podczas gdy żołnierze gasili pragnienie, tłum – albo im pomagał w opatrzeniu koni, albo patrzył ze współczuciem na więźnia, nie wiedząc, jak mu pomóc. Nagle jedna z obecnych niewiast zawołała: patrzcie, oto idzie cieśla, on nam poradzi. I rzeczywiście drogą od Seforis szedł człowiek już wiekowy. Spod nakrycia głowy wychylały się włosy białe, a długa, jeszcze bielsza broda spadała na grubą szarą suknię. Szedł wolno, bo był podeszły w latach i dźwigał narzędzia swego rzemiosła: siekiere, piłę, i nóż ciesielski. Poznać można było, że wracał z dalekiej drogi. Zbliżywszy się do studni, przyjrzał się zgromadzonemu tam tłumowi.

– O rabbi, dobry rabbi! – wołała kobieta, podbiegając ku niemu. – Patrz, oto więzień! My nie śmiemy, ale ty zapytaj, co on za jeden, co uczynił i co z nim zamyślają zrobić.

Oblicze rabiego nie zdradzało żadnego wzruszenia, a jednak zbliżył się do dowódcy i spojrzał na więźnia.

– Pokój Pana niechaj będzie z tobą – zagadnął poważnie.

– Wzajemnie, niech łaska bogów strzeże cię – odrzekł dziesiętnik.

– Czy z Jerozolimy przybywacie?

– Tak.

– Czy więzień wasz młody jeszcze?

– Co do lat, tak.

– Mogę zapytać, jaka jego wina?

– Jest mordercą.

Wyraz ten ze zgrozą i zdziwieniem powtarzali obecni, a rabbi pytał dalej:

– Jest on synem Izraela?

– Żydem jest – rzekł krótko Rzymianin.

Chwiejne, niepewne uczucie, któremu ulegali w części widzowie, nabrało siły – gdy usłyszeli, że zbrodniarz z ich jest narodu.

– Nie rozumiem się na waszych pokoleniach, ale rodzina jego nie jest mi obcą – mówił dalej dziesiątnik. – Może słyszeliście kiedy o księciu jerozolimskim Hurze – zwano go zwykle Ben-Hurem – a żył za czasów króla Heroda.

– Znałem go – odparł Józef.

– A więc, oto jego syn.

Z każdej strony słyhać było słowa zgrozy lub współczucia, to skłoniło dziesiątnika do nawiązania dalszej rozmowy.

– Przedwczoraj na ulicach Jerozolimy o mało młodzieniec ten nie zabił szlachetnego Gratusa, rzucając mu na głowę dachówkę, jak mniemam, z dachu pałacu swoich ojców.

Po słowach tych nastąpiła cisza, wśród której Nazarejczycy patrzyli na młodego Ben-Hura jakby na rodzaj dzikiego zwierzęcia.

– I zabił go? – pytał dalej rabbi.

– Nie.

– Czy już zasądzony?

– Tak na dożywotnie galery.

– Niechaj go wspiera Pan – rzekł Józef z głębokim wzruszeniem w głosie.

Podczas tej rozmowy zbliżył się młodzieniec, który przyszedł z Józefem, a dotąd nie zwrócił na siebie uwagi obecnych; położył przyniesioną siekierę i podszedłszy ku studni, wziął stojące na kamieniu naczynie z wodą i podał skazanemu. Uczynił to wszystko tak spokojnie i z taką godnością, że zanim straż mogłaby przeszkodzić, gdyby przeszkodzić w ogóle chciała, już stał przy więźniu i podawał mu wodę do picia.

Miękkie dotknięcie ramienia zbudziło nieszczęsnego Judę. Podniósł oczy i ujrzał twarz, której nigdy już więcej nie miał zapomnieć. Była to twarz młodzieńca równego mu prawie wiekiem, otaczały ją pukle złotawokasztanowych włosów, a wejrzenie ciemnoniebieskich oczu było pełne miłości i świętej powagi, a zarazem woli tak potężnej, że żadna siła oprzeć się temu wejrzeniu nie mogła. Dnie i noce w cierpieniu spędzone, doznana krzywda, napełniły duszę Judy goryczą i żalem. Zdawało mu się, że nie ma w nim nic prócz zemsty, którą całemu poprzysiągł światu. Teraz, o dziwo, wystarczyło jedno spojrzenie, aby zapomniał o wszystkim i stał się znów ufającym dzieckiem. W milczeniu przyjął napój i w milczeniu zaspokoił pragnienie.

Gdy Juda zaspokoił pragnienie, ręka młodzieńca spoczywająca dotąd na ramieniu więźnia, spoczęła na jego czole, zdawała się błogosławić go, po czym młodzieniec odniósł dzban na poprzednie miejsce, zabrał siekierę i powrócił do Józefa. Oczy wszystkich wieśniaków, zwrócone były na niego.

Po napojeniu koni i odpoczynku, ruszono z miejsca. Nic się na pozór nie zmieniło, a jednak serce dziesiątnika uległo niepojętemu uczuciu; sam podniósł więźnia z ziemi i pomógł mu wsiąść na konia za jednym z żołnierzy. Nazarejczycy powrócili do swoich domów, a z nimi rabbi Józef i młodzieniec.

Było to pierwsze spotkanie Judy z Synem Najświętszej Maryi Panny.

ROZDZIAŁ IX

Miasto Misenum, którego nazwę nosiło również pobliskie wzgórze, leżało o kilka mil od dzisiejszego Neapolu, w kierunku wschodnio-południowym. Dziś tylko ruiny świadczą o jego świetnej przeszłości. W 24 roku Pańskim po narodzinach Chrystusa Pana gród ten był jednym z najznacześniejszych na zachodnim wybrzeżu Italii.

Podróżny, który by w owym roku przybył na wzgórze, ujrzałby zatokę neapolitańską równie uroczą wówczas jak dzisiaj; zachwyciłby się niezrównanym wybrzeżem, przerażałby dymiącym kraterem, słuchał szmeru fal i wodząc oczyma to na Ischię, to na Capri, podziwiałby łagodny błękit nieba. Widok piękna utrudziłby oczy jego, jak słodycz podniebienie, szukałby odmiany. Zachwyciłby wzrok jego nareszcie widok, którego dzisiaj już nie ma – na dole kołysała się na falach część floty rzymskiej, druga zaś część stała u brzegów na kotwicy. Otwarta brama wiodła z ulicy miasta na groblę, wysuniętą na znaczną długość w morze.

Pewnego chłodnego poranka we wrześniu, ujrzał strażnik, strzegący bramy portowej, zbliżające się towarzystwo z dwudziestu do trzydziestu osób złożone. Najliczniejszymi w tym gronie byli niewolnicy, niosący pochodnie, wprawdzie dymiące raczej niż płonące, ale pełne wonnego zapachu indyjskiego nardu. Panowie szli, wiodąc się pod rękę; na czele postępował mężczyzna liczący około pięćdziesięciu lat, łysawy, z wieńcem laurowym na rzadkim włosach, a zdawał się być przedmiotem jakiejś szczególnej czci. Wszyscy mieli białe wełniane togi, szeroko obłożone purpurą. Stróż rzucił tylko okiem i poznał, że byli to dostojnicy wysokiego rodu i że odprowadzali po uczcie nocnej przyjaciela swego na okręt. Zasłyszana rozmowa utwierdziła go w tym domyśle.

– Nie, mój Kwintuszu – rzekł jeden z nich, zwracając się do uwieńczonego męża. – Fortuna nie lada figla nam płata, zabierając ciebie tak rychło. Zaledwie wczoraj przybyłeś i znów ruszasz na morze; nie miałeś nawet czasu przywyknąć od nowa do chodzenia po lądzie.

– Na Kastora! – rzekł drugi, winem odurzony – nie narzekajcie; nasz Kwintusz popłynie, aby odzyskać to, co w grze ostatniej nocy utracił. Inaczej gra się w kości na pokładzie płynącego okrętu, inaczej na wybrzeżu – wszak prawda, Kwintuszu?

– Nie bluźń bogini szczęścia! – dorzucił inny – nie jest ona ani ślepą, ani niestałą. Zabiera wprawdzie Kwintusza spośród nas, ale zwróci go nam obsypanego nowymi zwycięstwami.

– Grecy zabierają go nam – przerwał drugi – ich więc obwiniajmy, a nie bogów.

Tak rozmawiając, minęło towarzystwo bramę i weszło na groblę w zatoce, oświetloną porannym słońcem. Staremu żeglarzowi szmer i pluskanie fal wydało się najmiłszym pozdrowieniem; odetchnął też całą piersią, wciągając woń morza miłszą nad zapach nardu, a wzniosłszy rękę, zawołał:

– Nie brałem udziału w bitwie pod Antium, lecz pod Preneste. A oto wiatr zachodni! Dzięki ci, fortuno, matko moja!

Towarzysze powtórzyli okrzyk, a niewolnicy wywijali pochodniami.

– Widzicie, oto przybywa... zbliża się! – mówił wskazując na przyplływającą galerę z drugiej strony grobli. – Czyż żeglarzowi potrzeba innej kochanki? Zaprawdę, Gajuszu, twoja Lukrecja nie jest od niej wdzięczniejsza.

Zachwyconym okiem patrzył na zbliżający się okręt, który usprawiedliwiał jego dumę. Białe żagiel powiewał z niskiego masztu, wiosła to się zniżały, to znów wznosiły, chwilę ważyły się nad powierzchnią fal, po czym znów opadały, równym, miarowym ruchem, niby skrzydła.

– Tak, szanujcie bogi! – rzeki dalej, z oczami utkwionymi w okręt.

– Oni zsyłają nam sposobność, a biada, jeśli jej wyzyskać nie umiemy. Co się zaś tyczy Greków, zapominasz, Lentuluszu, że piraci, których mam poskromić, są właśnie Grekami. Jedno zwycięstwo nad nimi więcej znaczy niż sto nad Afrykaninami.

– Więc droga twoja wiedzie na Morze Egejskie?

Oczy i serce żeglarza były jeszcze przy okręcie.

– Jakaż lekkość i wdzięk! Jak mało troszczy się o fale, jak ptak latający w przestworzu! – mówił w uniesieniu, ale wnet dodał: – Daruj, Lentuluszu, że nie odpowiedziałem na twe pytanie. Tak jest, płynę na Morze Egejskie, a ponieważ odjazd mój bliski, powiem wam, ale zachowajcie to dla siebie: nie chciałbym abyście przy spotkaniu robili wyrzuty duumwirowi, bo jest moim przyjacielem. Handel między Grecją a Aleksandrią nie jest słabszy od handlowych stosunków tego miasta z Rzymem. Obecnie w tym kraju panuje wielki nieurodzaj, mieszkańcy bowiem zaniedbali obchodu świąt zielonych, za co mszcząc się Tryptolemus. dał im żniwo niewarte zbioru. Te zdarzenia wywołały większy ruch handlowy, nie znoszący ani dnia przerwy. Może słyszeliście o piratach chersońskich, krążących po wodach euksińskich; na Bachusa, są to śmiałki, jakich mało! Wczoraj więc doszła do Rzymu wiadomość, że flota ich opłynęła brzegi Bosforu, zatopila bizantyjskie i chalcedońskie galery, a rozbójnicy, nienasyconym tym powodzeniem, wpłynęli na Morze Egejskie. Otóż kupcy handlujący zbożem i mający okręty we wschodnich portach Morza Śródziemnego, zadrżeli z przerażenia, słysząc o tych nieszczęściach, i udali się do samego cesarza, prosząc o pomoc. Otrzymali posłuchanie, a dziś wypływa z Rawenny sto galer, a z Misenum – zatrzymał się jakby dla pobudzenia ciekawości przyjaciół i dokończył dumnie: – jedna.

– Szczęśliwy Kwintuszu! Winszujemy ci!

– Wyróżnienie poprzedza zapewne awans – możemy cię pozdrowić duumwirem.

– Kwintusz Ariusz duumwir brzmi lepiej niż... Kwintusz Ariusz trybun.

Takimi lub podobnymi życzeniami zasypywano go zewsząd.

– Cieszę się wraz z innymi – rzekł na koniec przyjaciel, ceniący przede wszystkim wino, – ale będąc praktycznym, zaczekam z życzeniami aż się, dowiem, kochany duumwirze, czy ten awans wpłynie korzystnie na twoje wykształcenie w grze w kości. Wtedy dopiero ocenię, czy bogowie chcieli ci dobrze, czy źle usłużyć... w tej sprawie.

– Stokrotnie wam dziękuję, przyjaciele moi! – rzekł Ariusz.

– Gdybyście mieli latarnie, mniemałbym, żeście augurami, ale zaiste idę dalej, bo was zowią wróżbitami i dowiodę, że cudownie odgadujecie! Patrzcie i czytajcie!

Wydobył z fałd swej togi zwitek papieru i podał go im, mówiąc: Oto co otrzymałem ostatniej nocy przy stole od Sejana.

Imię to miało już wówczas wielkie znaczenie w świecie rzymskim, a nie było jeszcze shańbione, jak się to później stało.

– Sejan! – zawołali wszyscy razem, otaczając tego, który czytał, co minister napisał.

„Sejan do C. Cecyliusza Rufusa, Duumwira.

Rzym XIX. Kal. Sept.

Cezar otrzymał dobre wieści o Kwintuszu Ariuszu, trybunie. Nadto chwalono odwagę, której dał dowody na wodach zachodnich: przeto wołą jest Cezura, aby bezzwłocznie przeniesionym został na Wschód.

Również wołą jest Cezara, abyś natychmiast doskonale uzbroił sto statków pierwszej klasy o trzech rzędach wioseł, i wyprawił je przeciw piratom, którzy zjawili się na Morzu Egejskim;

Kwintusz zaś ma objąć komendę nad flotą tak zaopatrzoną. Twoją jest rzeczą dalsze szczegóły tego rozkazu wykonać.

Potrzeba jest nagła, jak się o tym przekonasz z raportów danych do przeczytania; zawierają one wskazówki dla ciebie i wymienionego Kwintusza. Sejan.”

Ariusz nie słuchał treści listu, uwagę jego pochłaniał całkowicie okręt wyłaniający się coraz wyraźniej na falach morskich. W spojrzeniu, które nań rzucał, gorzał zapał i uniesienie; wreszcie uniósł koniec swej togi, a w odpowiedzi na ten znak rozwinięto szkarłatną flagę i kilku żeglarzy ukazało się równocześnie na pokładzie, aby zwinąć żagle. Obrócono belkę podtrzymującą kotwicę, a ruch wiosła podwoił się; galera pędziła ku brzegowi. Z prawdziwym zadowoleniem patrzył Ariusz na sprawność swych ludzi.

– Na boginie! – rzekł jeden z towarzyszy, oddając zwój papieru, – nie przystoi nam mówić, że przyjaciel nasz będzie dopiero wielkim, bo zaprawdę już nim jest. Będziemy mieli czym karmić miłość naszą ku niemu. Azali masz jeszcze co do powiedzenia nam?

– Nic więcej – odparł Ariusz. – To czegoście się ode mnie dowiedzieli, jest już w Rzymie przestarzałą nowiną. Co do reszty, duumwir jest dyskretny i dowiem się dopiero na statku, gdzie na mnie czeka opieczętowany pakunek, a w nim podane bliższe szczegóły spotkania i mojego połączenia się z flotą. Gdybyście jednak mieli zamiar złożenia ofiar jakiemu bóstwu, proście u ołtarza za przyjacielem rozwijającym żagle i wiosłującym gdzieś w kierunku Sycylii. Ale oto zbliża się statek – dodał zwracając się ku galerze. Zajmują mnie jego kierownicy, wszakże z nimi płynąć i walczyć będę. Tymczasem podziwiamy ich zręczność i sztukę, bo niełatwe jest przybicie do brzegu tak ukształtowanego jak ten, na którym stoimy.

– Jak to, więc wcale nie znasz tego okrętu?

– Nie widziałem go nigdy i nie wiem, czy mi znajomych już ludzi przywiezie.

– Jest to bezpieczne?

– To rzecz małej wagi. Na morzu zapoznajemy się łatwo, a w chwili niebezpieczeństwa rodzi się tak miłość, jak nienawiść.

Galera należała do klasy statków szybko pływających; była długa, wąska, mało w wodzie zanurzona. Wspaniały i zgrabnie wygięty tram statku, przecinając fale niby nożem, pruł wodę szybko, i wyrzucał z wdziękiem przy zbliżaniu się do brzegu dwa strumienie wody na dwie wysokości człowieka, skraplając cały pokład. Poniżej tramu sterczało mocno żelazem okute rostrum, czyli dziób, służący w walce do obrony. Boki galery otoczone były silnym gzymsem, tworząc niejako uzupełnienie przedpiersia. Poniżej tego gzymesu mieściły się w trzech rzędach otwory do wiosła zaopatrzone ochronami z wołowej skóry, służące do zasłonięcia wiosłujących. Takich otworów było tak z lewej, jak prawej strony po sześćdziesiąt. Dalszą ozdobę statku stanowiły wysokie maszty. Dwie wielkie i grube liny przeprowadzone przez cały pokład okrętu, służyły do zapuszczania kotwic.

Takie proste urządzenie pokładu wskazywało, że główna siła statku polegała na wiosłach. Maszt umieszczony niezupełnie w środku, ale trochę ku przodowi galery, podtrzymywały liny i sznurki splecione w drabinę.

Towarzystwo stojące na grobli mogło widzieć prócz majtków, którzy tylko co zwinęli żagle i siedzieli beczynnie na rejach, jednego tylko człowieka w hełmie i z tarczą. Sto dwadzieścia dębowych wiosła co dzień pumeksem i wodą czyszczonych lśniło w świetle i pracowało ruchem ciągłym, rytmicznym, jakby jedną i tą samą poruszane ręką. Dzięki tej dokładności, galera sunęła szybkością nieustępującą dzisiejszym parowcom.

Ten szybki ruch statku przeraził nieobeznanych z żegluga towarzyszy trybuna. Nagle człowiek, stojący na pokładzie, podniósł rękę i dał właściwy znak, a wszystkie wiosła podniosły się i zatrzymały chwilę w powietrzu, aby wnet w dół opaść. Woda zaszumiała i zagotowała się, statek zatrzeszczał w swych spojeniach i stanął od razu. I jeszcze jeden znak ręką, a

znów wiosła podniosły się i opadły; tym razem jednak ruch ich był przeciwny, a statek okręcił się z lewej ku prawej stronie, jakby wkoło własnej osi, i zbliżył się bokiem do wybrzeża.

Nagle zabrzmiała trąbka, a wszystkimi otworami okrętu weszła na pokład załoga w pełnej zbroi, stalowych hełmach, ze świeącymi tarczami i oszczepami. W chwili, gdy żołnierze szli ku przodowi statku, jakby do walki, majtkowie chwycili liny i kołysali się na rejach głównego masztu. Oficerowie i muzykanci zajęli przeznaczone miejsca bez hałasu i niepotrzebnego zgiełku. Gdy okręt zbliżył się zupełnie do brzegu, spuszczone pomost; a trybun zwrócił się do swych towarzyszy i rzekł z powagą, której pierwej nie okazywał:

– Czas myśleć o obowiązku, przyjaciele moi! – Zdjął wieniec z głowy i oddał amatorowi gry w kości. – Weź ten mirt, ulubieńcze kości – rzekł. – Jeśli wrócę, spróbuję odzyskać moje sesterce; jeśli zwycięstwo nie będzie moim, nie wrócę tu więcej, a wtedy wieniec zawieszisz w twoim atrium.

Potem roztworzył ramiona i każdego kolejno uściskiem zegnał.

– Bogowie niechaj ci sprzyjają, Kwintuszu – mówili.

– Bywajcie zdrowi! – odpowiedział.

Niewolnikom, pochylającym na pożegnanie pochodnie, skinął ręką; potem zwrócił się ku pięknej galerze. Gdy stanął na pomoście, zagrały trąby, a na maszcie ukazała się purpurowa chorągiew, godło dowódcy floty.

ROZDZIAŁ X

Trybun stojąc na pokładzie, trzymał w ręku otwarty zwój papieru z rozkazem duumwira i rozmawiał z dozorcą wioślarzy, zwanym hortatorem.

- Jaką rozporządzasz siłą?
- Dwustu pięćdziesięciu dwu wioślarzy i dziesięciu nadliczbowych.
- Ile robisz zmian?
- Osiemdziesiąt cztery.
- Jak często i w jakim porządku?
- Zwykle zmieniają się co dwie godziny.

Trybun zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

– Ten podział pracy zdaje mi się za ciężki; zmienię go, ale jeszcze nie teraz, bo trzeba nam płynąć dniem i nocą bez przerwy.

Następnie zwrócił się do kierującego żaglami:

– Wiatr mamy pomyślny; rozwiń żagle, aby wioślarzom ulżyć w pracy!

Gdy ci, do których dotąd mówił, odeszli, zapytał głównego sternika:

- Ile lat służysz?
- Trzydzieści dwa.
- Na których morzach sprawowałeś dotąd obowiązki?
- Między naszym Rzymem a Wschodem.

– Jesteś człowiekiem jakiego mi potrzeba. – A przeglądając jeszcze raz otrzymane rozkazy, dodał:

– Opłyniesz przylądek Camponella drogą ku Mesynie, dalej skierujesz wzdłuż zagięcia kalabryjskiego, aż ujrzysz Melito po lewej stronie. Potem – znasz gwiazdy nad Morzem Jońskim?

– Znam.

– Od Melity więc steruj na wschód ku Cyterze. Jeśli bogowie użyczą pomocy, nie zarzucimy kotwicy aż w zatoce Antemonium.

Ariusz był zaiste wielce roztroptym człowiekiem. Wprawdzie złożył bogom liczne ofiary, wiedział jednak dobrze, że szczęście więcej zależy od rozwagi i rozumu człowieka, niż od darów i ślubów ofiarowanych bogom. W czasie uczty dawanej na jego cześć siedział u stołu pijąc i grając w kości; teraz powietrze morskie zbudziło w nim żeglarza. Nie myślał więc spocząć, dopóki by nie poznał dokładnie okrętu; wiedza i umiejętność bowiem najlepiej chronią od przypadków. Zaczął od dozorującego wioślarzami, dalej zapoznał się z całą służbą: żaglownikiem, sternikiem, magazynierem, nadzorcą kuchni, a nareszcie z oficerami załogi, z którymi zwiedził nawet kwatery. Nic nie uszło jego uwagi, a gdy skończył, on sam znał dokładnie i jedynie cały stan przygotowań do dalekiej drogi i zaopatrzenie galery na wszelkie przypadki. Gdy wszystko to spełnił, postanowił zapoznać się dokładnie z ludźmi, którzy mieli wykonywać jego rozkazy. A było to rzeczą niezmiernie trudną i wymagającą dużo czasu. Wziął się do niej bezzwłocznie i we właściwy sobie sposób.

Okolo południa tegoż dnia, galera przecinała fale morskie w okolicy Paestum; wiatr zachodni ciągle dął w żagle ku zadowoleniu dowódcy. Ustawiwszy strażę, wzniesiono ołtarz na pokładzie, posypany solą i jęczmieniem; po czym trybun złożył uroczyste modlitwy i śluby na cześć Jowisza, Neptuna i wszystkich Oceanid, wylewając wino i paląc kadzidło. Po tym uroczystym akcie, zasiadł mądry wojownik w kajucie i stamtąd postanowił przypatrywać się załodze.

Kajuta znajdowała się w środkowym przedziale galery, miała sześćdziesiąt pięć stóp długości, a do trzydziestu wysokości; światło padało z góry trzema otworami; dach opierał się na słupach gęsto ustawionych; w środku zaś widoczny był maszt najeżony siekierami, toporami, dzidami i pociskami. Do kajuty z pokładu na prawo i lewo wiodło dwoje prostopadłych ruchomych schodów, tak że mogły być spuszczone lub podniesione i wtedy zamykały otwory.

Łatwo zrozumieć, że miejsce to było niejako sercem okrętu, domem całej załogi, jej jadalnią, sypialnią, miejscem ćwiczeń, a zarazem odpoczynku po spełnieniu obowiązku, jeśli w ogóle o spoczynku można było mówić.

W zagłębieniu kabiny wznosiła się na kilku stopniach platforma, gdzie siedział dozorca wiosłarzy; przed nim stał stół rezonansowy na którym młotkiem wybijał takt wiosłującym. Po prawej stronie miał klepsydrę, czyli zegar wodny, podług którego znaczył odpoczynki i zmiany tak wiosłarzom jak straży. Nad nim, na wyższej platformie, oddzielonej złoconą poręczą, zasiadał trybun, panując nad wszystkim. Miejsce to było zaopatrzone w łoża stół i wysłane krzesło, z oparciem z tyłu i poręczami. Krzesło to było darem cesarza i odznaczało się wytwornością.

Stąd siedząc w wielkim krześle, zawinięty w płaszcz wojskowy, z mieczem u pasa, przypatrywał się Ariusz wszystkiemu, co mógł dojrzeć, sam zaś nie mniejszą zwracał na siebie uwagę swych podwładnych. Wszystko go zajmowało, najdłużej jednak zatrzymywał wzrok na wiosłarzach. Wzdłuż boków kajuty widać było trzy rzędy ławek, przytwierdzonych do ścian, statku – tak przynajmniej wyglądało to z daleka. Po bliższym zbadaniu były to raczej trzy stopnie wiodące w górę, tak że druga ławka była nad pierwszą, a trzecia nad drugą. Dla sześćdziesięciu wiosłujących z każdej strony było dziewiętnaście oddziałów, rozdzielonych od siebie przestrzenią kilka stóp. Dwudzieste zaś siedzenie umieszczone było nad najniższym siedzeniem pierwszej ławki. To urządzenie dawało każdemu wiosłarzowi dosyć wolnego miejsca, do swobodnego robienia wiosłem.

Wiosłarze pierwszej i drugiej ławki czy rzędu, siedzieli; przeciwnie trzeciego rzędu, ponieważ mieli dłuższe wiosła, musieli stać. Rączki wiosel były wypełnione ołowiem dla ułatwienia pracy. Wiosła wisiały na rzemieniach i aby nimi pracować, potrzeba było wielkiej zręczności; nagła fala mogła każdej chwili porwać niebacznego wioslarza i rzucić w morskie odmęty. Otworami dla wiosel przeznaczonymi dochodziła dostateczna ilość świeżego powietrza, światło zaś padało na nich z góry przez kratę. Położenie wiosłarzy mogło być o wiele gorsze; nie trzeba jednak przypuszczać, aby było przyjemne. Zabroniono im pomiędzy

sobą wszelkich stosunków. Codziennie zajmowali swoje miejsca, nie mówiąc do siebie ani słowa. Krótkich odpoczynków używali na spanie i jedzenie. Nigdy wśród nich nie słyszano śmiechu lub śpiewu; westchnienie lub głuchy jęk tłumaczyły jedynie ich myśli i uczucia – byli to skazańcy. Życie tych nędzarzy podobne było do podziemnego strumienia, sączącego się wolno, lecz nieustannie, wciąż ku temu samemu ujściu.

O Synu Najświętszej Panny! Dziś sprawiedliwość ma serce – a Tobie stąd chwała i cześć! – W owe jednak czasy twardy był los niewolników w fortcach, kopalniach, przy budowlach, na wojennych i handlowych galerach.

W pierwszym zwycięstwie, które Juliusz odniósł na morzu, zasługi tak wiosłujących jak załogi były równe. Na owych ławach wiosłarzy zasiadali ludzie różnych narodowości, głównie brano ich z jeńców wojennych, wypróbowanych w sile i wytrwałości. Obok Brytyjczyka zasiadał Lezbijczyk, za nimi mieszkaniec Krymu. Nierzadko spotkać można było Scytę, Gala

lub Tebańczyka. Wśród rzymskich przestępców byli Goci, Longobardowie, Żydzi, Etiopczycy i barbarzyńcy z wybrzeży Makotis. Siedzieli tu obok siebie ludzie rozmaitych narodowości: Brytowie, Libijczycy, Longobardzi, Żydzi, zbrodniarze rzymscy, Scytowie, Galowie, Etiopczycy, Ateńczycy, Hiberreńczycy (dzisiejsi Irlandczycy), Cymbrowie i dzicy barbarzyńcy rozmaitych innych krajów.

Praca wioślarzy nie wystarczała, aby mogła zająć ich umysły, choćby te umysły były jak najprostsze i najcięższe. Nawet w czasie burzy ruchy ich były zawsze jednakie, równe, automatyczne. Nieszczęśliwi ci ludzie tracili w niewolnictwie władzę umysłową; byli więc posłusznymi, nie zdając sobie sprawy z niczego, wykonywali rozkazy mechanicznie; żyli wspomnieniami, a przyszłości nie widzieli przed sobą żadnej. Do niedoli swej z czasem się przyzwyczajali.

Trybun siedział w wygodnym krześle i rozmyślał o wszystkim, tylko nie o niedoli tych nieszczęśliwych, przykutych do ław i wiosł niewolników. Ruchy ich dokładne, miarowe, zaczynały go nużyć swą jednostajnością. Wtedy zwracał uwagę na poszczególnych wioślarzy. Nie wołano ich po imieniu; natomiast przy siedzeniu każdego znajdował się numer, który umieszczono zamiast nazwiska. Trybun nie tylko był wielkim wojownikiem, ale i bystrym znawcą ludzi. Wodząc badawczym wzrokiem po skazańcach, spojrzął na numer sześćdziesiąty. Właściciel tego numeru miał na sobie, jak wszyscy inni jego towarzysze, przepaskę przez biodra. Nie wyróżniał się niczym od innych, tylko młodością; nie liczył bowiem więcej nad lat dwadzieścia. I ta właśnie okoliczność zwróciła uwagę Ariusza;

nie mniejszą silna, muskularna budowa młodzieńca. Ariusz zwiędzał często rzymskie sale gimnastyczne, w których kształcili się młodzieńcy na atletów, mających występować później w owych sławnych rzymskich cyrkach. Był więc w tym względzie znawcą.

– Na bogi – rzekł sam do siebie – człowiek ten robi niezwykle wrażenie. Powierzchność wielce obiecująca, muszę się o nim dowiedzieć bliższych szczegółów.

W tej chwili obrócił się młodzieniec w jego stronę.

– Żyd! – zawołał Ariusz – taki młody! – Pod badawczym wzrokiem trybuna rumieniec oblał twarz młodzieńca; wstrzymał na chwilę ruch wiosłem, lecz w tej chwili uderzyła głośniejszą pałeczka hortatora w stół, jakby dla napomnienia; szybko opuścił młodzieniec wiosło i od nowa ze zdwojoną siłą począł pracować. Po chwili znów spojrzął na trybuna – i, o dziwo, ujrzał na twarzy jego dobrotliwy uśmiech.

Tymczasem galera wpłynęła w cieśninę Mesyńską, a opłynąwszy miasto tejże nazwy, zwróciła się na wschód, zostawiając za sobą zadymiony i groźny szczyt Etny.

Ile razy wracał Ariusz na platformę, zajmował się wioślarzem i mówił sam do siebie: Chłopiec to rozumny i sprytny. Żyd – to nie barbarzyńca... Muszę o nim zasięgnąć wiadomości.

Czwartego dnia podróży „Astrea” – tak się nazywała galera – płynęła już na Morzu Jońskim. Niebo było jasne, a wiatr był pomyślny.

Ariusz przypuszczał, że może spotka się z flotą jeszcze przed wyspą Cyterą, wyznaczoną na spotkanie, i dlatego prawie ciągle przebywał na pokładzie.

– Zresztą zajmował się dokładnie wszystkim, co dotyczyło powierzonego mu statku i był z dzielności załogi bardzo zadowolony. Skoro zaś zasiadł na krześle w kabinie, myśl jego zwracała się niezmiennie do wioślarza pod sześćdziesiątym numerem.

– Czy znasz człowieka, który właśnie wstał z ławki? – spytał nareszcie hortatora w chwili, gdy następową zmianą wioślarzy.

– Numer sześćdziesiąty? – zapytał dozorca.

– Tak.

Dozorca popatrzył na młodzieńca.

– Jak wiesz, o panie – odpowiedział – okręt zaledwie przed miesiącem wyszedł z rąk budowniczego, a ludzie są równie dla mnie nowi jak sam statek.

– Jest Żydem – zauważył zamyślony Ariusz.
– Szlachetny Kwintuszu, jesteś wielkim znawcą ludzi.
– I jest bardzo młody – mówił dalej Ariusz.
– Pomimo tego jest to nasz najlepszy wiosłarz, nieraz zauważyłem, że wiosło gięło się w jego dłoniach.

– Jakiego jest usposobienia?
– Mało wiem o nim, ale jest posłuszny. Raz tylko wniósł do mnie prośbę.
– Jaką?
– Prosił mnie, abym go przeniósł z prawej strony okrętu na lewą.
– Jakąż podał przyczynę?
– Zauważył, że ludzie, pracujący zawsze z jednej strony, kaleczą. Zresztą łatwo w czasie boju i niespodziewanych obrotów mógłby się stać niezdatnym do służby, nie umiejąc użyć drugiej ręki.

– Na bogi! To myśl nowa i słuszna. Cóż jeszcze więcej zauważyłeś?
– Okazuje zamiłowanie do porządku, którego nie znaleźć u jego towarzyszy!
– W tym jest Rzymianinem.
– Nie znasz nic z dziejów jego życia?
– Zgoła nic.

Trybun zamyślił się i odszedł na swoje miejsce.

– Jeśli będę na pokładzie w czasie zmiany wiosłarzy, a on będzie wolny – rzekł, zatrzymując się – przyślij go do mnie.

W dwie godziny później stał Ariusz pod chorągwią okrętu. Znajdował się w usposobieniu człowieka oczekującego niezwykłych wypadków i nic więcej nie mogącego uczynić, jak czekać. Filozofia twierdzi, że ludzie o wyrobionym charakterze zachowują w takich wypadkach spokój. Sternik siedział na swoim miejscu. Kilku z załogi okrętu spało w cieniu żagli twarzym snem. Wyżej na maszcie siedział strażnik. Ariusz podniósł właśnie wzrok z solarium, służącego wówczas do kierowania statkiem, gdy ujrzał zbliżającego się ku sobie wiosłarza.

– Dozorca nazwał cię szlachetnym Ariuszem i mówił, iż jest wolą twoją, abym do ciebie przyszedł; więc jestem.

Ariusz spojrzał z podziwem na smukły wzrost i muskularną budowę młodzieńca, i myślą błędził po arenie cyrkowej. Śmiałe wystąpienie przybyłego wywarło jeszcze inne wrażenie; w głosie jego było coś, co świadczyło o życiu spędzonym wśród uszlachetniających okoliczności. Oczy młodzieńca jasne i otwarte, miały wyraz raczej ciekawy niż wyzywający. Mimo że trybun utkwiał w nim bystre, pytające i rozkazujące spojrzenie, nie stracił młodzieniec nic ze swego wdzięku; na twarzy nie odbiło się żadne uczucie psujące jej harmonię i piękność, nie było na niej ani groźby, ani złośliwości; nic prócz śladów, jakie wyciska wielka i długa boleść, którą złagodził czas, tak jak łagodzi jaskrawość świeżego malowidła. Wszystko to nie uszło uwagi Rzymianina i sprawiło, że nie przemawiał jak pan do niewolnika, ale jak starszy do młodszego; rzekł więc:

– Hortator mówił mi, że jesteś najlepszym wiosłarzem.
– Hortator jest bardzo dobry – odparł młodzieniec.
– Czy dawno służysz?
– Prawie trzy lata.
– Zawsze przy wiosłach?
– Tak, nie pomnę dnia, w którym bym wiosła nie miał w ręku.
– Praca to ciężka, mało który mąż podola jej dłużej roku, a ty – jesteś jeszcze prawie chłopcem.

– Szlachetny Ariusz zapomina, iż duch wiele może, on wzmacnia słabego, podczas gdy silny upada pod brzemieniem.

– Po mowie twojej sędzę, iż jesteś Żydem.

– Przodkowie moi, o wiele wcześniej od pierwszych Rzymian zwali się Hebrajczykami.
– Zacięta duma twego narodu nie wygasła w tobie – rzekł Ariusz, spostrzegłszy, że twarz wiosłarza spłonęła rumieńcem.

– Duma nigdy nie jest tak głośna, jak wtedy, gdy brzęczy kajdanami.

– Co cię tak czyni dumnym?

– To, że jestem Żydem.

Ariusz uśmiechnął się.

– Nie byłem nigdy w Jerozolimie – rzekł – ale słyszałem o jej księżętach. Znałem jednego z nich, był on kupcem i wiele odbywał morskich podróży, ale zaiste urodzony był na króla.

– Do jakiego należysz stanu?

– Jeśli mam odpowiedzieć z ławki wiosłarza, to niewolnikiem jestem, ojciec zaś mój był jednym z księząt Jerozolimy, a jako kupiec zwiedził wiele mórz. Znał go i ugaszczał wielki August w swych gościnnych komnatach.

– Jego imię?

– Itamar z domu Hurów.

– Ty – synem Hura!

Po chwili milczenia spytał:

– Cóż cię tu przywiodło?

Juda spuścił głowę, pierś jego wezbrała boleśnie, gdy nareszcie zdołał się opanować, spojrzął w oczy trybunowi i rzekł:

– Oskarżono mnie o zamach na życie Waleriusza Gratusa, prokuratora.

– Ty – zawołał Ariusz z rosnącym zdziwieniem, cofając się o krok. – Tyś to owym zbrodniarzem?! – Rzym cały oburzony był na tę wiadomość, dowiedziałem się o tym zdarzeniu na okręcie pod Bodinum.

Obaj spojrzeli po sobie w milczeniu, nareszcie Ariusz odezwał się pierwszy:

– Sądziłem, że rodzina Hurów zgładzona z powierzchni ziemi.

Straszne wspomnienia wzięły nareszcie górę nad dumą młodzieńca, lzy zrosiły jego policzki.

– Matko, matko! Tirzo moja mała! Gdzie wy jesteście? – Trybunie, szlachetny trybunie, gdybyś ty wiedział o nich! – mówił składając błagalnie ręce.

– Powiedz, jeśli wiesz, powiedz, czy żyją – a jeśli żyją, gdzie są! W jakim znajdują się położeniu! O! proszę cię, powiedz mi.

Przysunął się bliżej Ariusza, tak blisko, że rękami dotykał płaszcza trybuna.

– Trzy lata przeszły od owego straszego dnia – błagał dalej – trzy lata, w których każda godzina była mi życiem pełnym nędzy, życiem, w którym nic nie widziałem, jak bezdenną przepaść, w której nie miałem innej ulgi jak pracę. W tym czasie nie wymówiłem do nikogo ani słowa. Czemuż zapomniani nie mogą sami zapomnieć! Czemuż obraz wydartej siostry, ostatnie spojrzenie matki nie dają mi chwili spokojnej, ukryć się przed nimi nie mogę. Czuliem tchnienie zarazy i trzask okrętu wśród bitwy; słyszałem wyjące wśród burzy bałwany i śmiałem się, podczas gdy inni modlili się; pragnąłem śmierci, bo w niej widziałem wyzwolenie. Z każdym uderzeniem wiosła starałem się dzień ów zapomnieć. Wszystko na próżno! Słyszałem je wzywające mnie wśród nocy, widziałem chodzące po morzu. O powiedz mi, powiedz, że pomarli, a uspokoisz mnie, bo zaiste nie mogą one być szczęśliwe, kiedym dla nich zgubiony! Cóż może być wierniejszego i stalszego na miłość matki! A Tirza – oddech jej, to jak woń białej lilii. Była ona jakoby najmłodszą latoroślą palmy – taka świeża, czuła nadobna i wdzięczna! Ona każdy dzień mój czyniła porankiem, była mi słońcem, muzyką, czarem! I moja to ręka pograżyła ją w otchłań nieszczęścia! – Ja!...

– A więc wyznajesz swą winę? – zapytał Ariusz surowo.

Dziwną była zmiana, jaka na te słowa zaszła w twarzy Ben-Hura. Głos zaostrzył się, ręce mocno zaciśnięte podniosły się w górę, nerw każdy drgał, a oczy gorzały.

– Słyszałeś o Bogu mych ojców – rzekł – o nieśmiertelnym Jehowie? Na jego wszechmoc i istnienie, na miłość, jaką od początku wieków otaczał Izraela, przysięgam ci, żem niewinny!

Trybun zdawał się być wzruszonym.

– O szlachetny Rzymianie! – mówił dalej Ben-Hur. – Wierz mi choć trochę i spuść promień światła w ciemności, które mnie otaczają i coraz się zwiększają,

Ariusz odwrócił się i mierzył pokład szerokimi krokami.

– Przecież nie ukarano cię bez sądu? – zapytał, nagle przystanąwszy.

– Tak.

Rzymianin podniósł głowę ze zdumieniem.

– Jak to... bez sądu? Bez świadków? A któż cię zasądził?

Rzymianie, jak wiadomo, byli właśnie w czasie upadku ich potęgi zwolennikami wszelkich formalności prawnych.

Związano mnie sznurami, wepchnięto do podziemia w wieży nie widziałem nikogo. Nikt nie mówił ze mną, a nazajutrz żołnierze uprowadzili mnie na brzeg morski i odtąd jest galernikiem!

– Cóżbyś mógł na swe uniewinnienie przytoczyć?

– O wiele! Najpierw byłem chłopem – za młodym na spiskowca, dalej Gratus był mi zupełnie nieznany. Gdybym myślał o zamordowaniu go, toż byłbym obrał inny czas i miejsce. Zważ, że jechał na czele legionu, w biały dzień i nie mógłbym pomyśleć o ucieczce. Zresztą pochodziłem ze sfer sprzyjających Rzymowi, ojciec mój był nieraz wyróżnionym za usługi oddane Cesarowi. Posiadaliśmy znaczny majątek, którego ani dla siebie, ani dla matki i siostry nie chciałbym narazić na pewną stratę. Nie miałem w końcu żadnego powodu do nienawiści, a przeciwnie wszelkie inne względy: majątek, rodzina, sumienie i prawo – prawo, które jest życiem i tchnieniem każdego syna Izraelowego – raczej wstrzymałoby moją rękę, gdyby nawet tak szalona myśl powstała w mojej głowie. Nie, nie byłem wariatem i wolałbym umrzeć niż się zhańbić, a i dziś wolałbym ponieść śmierć, – wierzaj mi.

– Któż był przy tobie, gdy cios padł?

– Stałem na dachu domu ojców moich. Tirza była ze mną, ona piękna – uosobienie dobroci. Razem opieraliśmy się o poręcz chcąc widzieć wjazd nowego prokuratora i jego legion. Nagle dachówka nakrywająca poręcz usunęła się spod mojej ręki i padła na Gratusa. W pierwszej chwili zdawało mi się, żem go zabił i przerażenie moje nie miało granic.

– Gdzież wtedy była twoja matka?

– W swojej komnacie na niższym piętrze.

– Cóż się z nią stało?

Ben-Hur złożył ręce i ciężko westchnął.

– Nie wiem – widziałem, jak ją wraz z córką uprowadzono i oto wszystko co powiedzieć mogę. Z domu wypędzono wszystko, nawet nierozumne zwierzęta, i opieczętowano bramy, aby już nikt więcej nie wrócił. Gdybym tylko mógł widzieć, gdzie one są... zaprawdę, one były niewinne! Rzeknij jedno słowo, a przebaczę – ach! Daruj szlachetny trybunie, że taki niewolnik jak ja, na całe życie do wiosła przykuty, śmie mówić o przebaczeniu!

Ariusz słuchał uważnie, przywołując na pomoc doświadczenie całego swego życia w obchodzeniu się z niewolnikami: jeśli udawał uczucia, które nim owładnęło, wtedy kłamał; jeśli mówił prawdę, był niewinny, a postąpiono z nim i całą rodziną niegodnie i padł ofiarą ślepo działającej siły.

Poświęcono całą rodzinę, aby pomścić wypadek, któremu nikt nie był winien. Myśl ta wzruszała trybuna do głębi. Żeglarze nazywali go „dobrym trybunem”, a dla wielu względów w opowiadaniu skazańca można było na dobroć tę liczyć. Może znał i nie lubił Waleriusza Gratusa, a może znał także starszego Hura? Juda w swym opowiadaniu dotknął tych punktów, ale bez wyraźnego skutku.

Trybun zdawał się być w niepewności; był on na okręcie wszechwładnym panem; wrażeń jakie na nim opowiadanie skazańca zrobiło, było dodatnie i wierzył. Pomimo tego posta-

nowił nie spieszyć się, a raczej spieszyć do Cytery, bo byłoby nierozważnie pozbyć się w tej chwili tak doskonałego wiosłarza; wołał więc zaczekać, aby dowiedzieć się cokolwiek więcej – przekonać się, czy to jest księżę Ben-Hur; wiedział bowiem z doświadczenia, że wszyscy niewolnicy kłamią.

– Dobrze, – rzekł – wróć na swoje miejsce.

Ben-Hur skłonił się i spojrział raz jeszcze w twarz swego pana, a nie ujrawszy więcej nic, co by mu dodać mogło nadziei, z wolna odchodził – nagle zatrzymał się i rzekł:

– Jeśli kiedy jeszcze pomyślisz o mnie, trybunie, pomnij, że błagałem jedynie o wieść o moich – o matce i siostrze, o nic więcej.

Po tych słowach odszedł.

Ariusz powiódł za nim zachwyconym okiem, myśląc: – gdyby go ćwiczyć, co by to była za ozdoba areny! Co za biegacz! Co za ramię do szermierki! Stój! – zawołał nareszcie.

Ben-Hur stanął, a trybun podszedł ku niemu.

– Powiedz mi, co byś zrobił, gdybyś był wolnym?

– Szlachetny Ariusz urąga mej niedoli – rzekł Juda drżącym od wzruszenia głosem.

– Nie, na bogi, nie!

– Odpowiem więc chętnie: oddałbym się pierwszej powinności mego życia, nie znalazłbym innej: zanim matka i siostra nie wróciłyby do domu ojców naszych, nie pomyślałbym o spoczynku. Każdy dzień, każdą godzinę poświęciłbym ich szczęściu. Nie miałyby nade mnie wierniejszego niewolnika, bo zaprawdę straciły wiele, ale na Boga przodków moich więcej im oddam!

Rzymianin nie spodziewał się takiej odpowiedzi, na chwilę stracił wątek swych myśli, potem rzekł:

– Przemawiam do twej szlachetności – rzekł. – Gdyby matka twoja lub siostra nie żyły, lub na zawsze zaginęły, powiedz, co byś wtedy uczynił?

Widoczna bladłość pokryła twarz Ben-Hura; z rozpaczą patrzył na morze, dopiero gdy się stał panem swych uczuć, zwrócił się do trybuna i zapytał:

– Jaki bym zawód obrał?

– Tak.

Powiem ci prawdę, trybunie. W przeddzień owego strasznego nieszczęścia, o którym ci mówiłem, otrzymałem pozwolenie zostania żołnierzem. Nie zmieniłem i dziś mego postanowienia, a ponieważ na całej ziemi jest dziś tylko jedna szkoła wojenna, poszedłbym do niej.

– A więc na arenę! – zawołał Ariusz.

– Nie, do rzymskiego obozu.

– Pierwej jednak musiałbyś się zapoznać z używaniem broni.

Nigdy przełożony nie powinien radzić podwładnemu; Ariusz spostrzegł, że popełnił błąd i w oka mgnieniu zmienił głos i postępowanie.

– Odejdź – rzekł rozkazującym tonem – a nie buduj nic na tym co ci mówiłem, może żartuję z ciebie, albo – tu spojrział w przestrzeń – albo, gdybyś się zmiany mógł spodziewać, to przyjdzie ci wybrać między sławą gladiatora lub służbą żołnierza. Do pierwszej może ci pomóc łaska Cezara, gdy tymczasem w wojsku nie znajdziesz ani pomocy, ani uznania, bo nie jesteś Rzymianinem.

Za chwilę pochylał się Ben-Hur znowu nad wiosłem na zwykłym swym miejscu.

Gdy serce lżejsze, każde zajęcie łatwiej się spełnia, toteż i wiosłowanie nie zdało się Judzie tak ciężkim; nadzieja, niby śpiewne ptaszkę zagościła w jego sercu. Ostrzegające słowa trybuna: może tylko żartuję z ciebie – odsuwał z myśli, ile razy mu się przypomniały. Jedyną myślą, która go zaprzętała, było, że go trybun zawołał, że wysłuchał dziejów jego żywota. Nad jego ławką zaświecił jasny promień nadziei, pełen obietnic, a on modlił się:

– Boże, jestem wiernym synem Izraela, narodu, któryś ukochał przed wiekami. Pomóż mi, błagam Cię!

ROZDZIAŁ XI

W zatoce Antemonium, na wschód od wyspy Cytery zebrało się sto galer. Odbyszy przegląd floty, odplłynął trybun na czele tejże ku Naksos, największej z Cyklad, a sterzącej niby kamień przydrożny między Azją i Grecją. Z tego wzniesienia panował trybun nad wszystkimi okrętami, jakie by na wodach tych ukazać się mogły; każdej chwili mógł ścigać piratów, gdyby się tylko pojawili, czy to na Morzu Egejskim, czy na Śródziemnym.

Gdy flota w pełnym szyku płynęła ku górzystym wybrzeżom wyspy, spostrzeżono galere przebywającą z północy. Ariusz popłynął na jej spotkanie i okazało się, że był to statek handlowy, płynący wprost z Bizancjum, a jego dowódca udzielił trybunowi wielce użytecznych informacji. Piraci pochodzili z najdalszych wybrzeży Euxinu, byli nawet między nimi tacy, którzy rodzili się w Tanais, leżącym nad ujściem rzeki tej nazwy, która prawdopodobnie zasila bagna Meotejskie.

Wszelkie przygotowania robili oni w jak największej tajemnicy, dopiero kiedy się ukazali w Zatoce Trackiej, po zniszczeniu stojącej tam floty, zdradzili swą obecność i zamiary. Później już rozbijali wszelkie okręty i mniejsze statki, skoro się tylko ukazały na wodach Hellepontu. Eskadrę ich stanowiło sześćdziesiąt dobrze uzbrojonych i obsadzonych załogą galer. Dowódcą był Grek, równie jak cała służba okrętu dobrze obeznany ze wschodnimi wodami. Dokonywali niezmiernych grabieży, a postrach padł nie tylko na żeglarzy, ale i na miasta na lądzie, które pozamykały bramy i nocną straż postawiły na murach. – Nic dziwnego, że handel prawie zupełnie podupadł. – Gdzież się teraz mogli znajdować piraci?

Na to nader ważne pytanie odebrał trybun dość zadowolającą odpowiedź.

Po zrabowaniu Hefestii na wyspie Lemnos, nieprzyjaciel uciekł wprost ku grupie wysp Tessalskich i zniknął między Eubeą i Helladą. Takie były wieści.

Ludność wyspy Naksos, ściągnięta na szczyty wzgórz rzadkim widokiem stu galer w jedną eskadrę złączonych, ujrzała, jak nagle przednia dywizja zawróciła ku północy, a za jej przykładem poszły następne, zawracając się na tym samym miejscu jak kawaleria w kolumnie. Wieści o piratach znane były powszechnie, toteż patrzący śledzili wzrokiem białe żagle, aż znikły między Rhene i Syros, z uczuciem wdzięczności i uspokojenia; bo co Rzym ujął silną ręką, przestawało być strasznym i groźnym.

Trybuna ucieszyły ruchy floty nieprzyjacielskiej. Fortuna widocznie mu sprzyja, gdyż otrzymał szybko pewne wiadomości. W dodatku zwabił nieprzyjaciela na wody, gdzie go czekała niechybna zguba. Mimo to rozmyślał nad wszelkimi możliwymi wypadkami; wiedział jak wielkie zniszczenie może zrządzić choćby tylko jedna galera na takim obszarze jak Morze Śródziemne.

Na Morzu Egejskim leży wyspa Eubea i tworzy wzdłuż wschodnich wybrzeży Grecji jakby wał forteczny. Między tą wyspą a Grecją znajduje się kanał sto dwadzieścia mil długi, ale bardzo wąski, w najwęższym miejscu zaledwie jedną ósmą mili szeroki. Miasta leżące wzdłuż wybrzeży słynęły bogactwem i wzbudzały niewątpliwie chciwość korsarzy. Ariusz przypuszczał, że uda mu się zamknąć ich od południa i północy, i na wodach wąskiego kanału wyła-

pać. Flota Ariusza płynęła bez przerwy nie zbliżając się do brzegu, prawie do północy, kiedy sternik ujrzał rysującą się na niebie górę Ocha i oznajmił brzeg Eubei.

Na dany znak ruch wiosła ustał; Ariusz rozdzielił galery na dwa oddziały po pięćdziesiąt galer liczące; jeden z nich wysłał ku południowemu ujściu kanału, drugi dla okrężenia wyspy i zamknięcia północnego ujścia.

Żaden z owych dwóch oddziałów nie dorównywał załogom korsarskim, co do liczby, a jednak przewyższał każdą w niejednym względzie, przede wszystkim zaś w karności, która niepodobna jest do osiągnięcia wśród zbiorowiska ludzi, zapewne dzielnych, ale poza obrębem prawa żyjących. Mniemał przezorny Ariusz, że jeżeli jeden oddział ulegnie liczebnej przewadze korsarzy, mógł drugi na nieprzyjaciela natychmiast uderzyć i pokonać go.

Ben-Hur siedział tymczasem na swoim miejscu, wiosłując bez przerwy, lub odpoczywając co sześć godzin. Odpoczynek w zatoce Antemonium pokrzepił go, wiosło wydawało mu się lżejsze, a dozorca nie miał mu nic do zarzucenia.

Ogólnie ocenia się za mało swobodę umysłu, jaką daje świadomość obecnego położenia i dalszego losu. Bolesnie jest chodzić bez celu, jakby w ciemnościach. Do pewnego stopnia przyzwyczajenie stąpiło w Ben-Hurze to uczucie, jednak wiosłując ciągle, godzina za godziną, czasem dzień i noc, czuł przecież, że statek posuwa się prędko po szerokim morzu. Trapiła go nieświadomość, gdzie był i dokąd płynie. Rozmowa z trybunem wzbudziła w jego sercu nadzieję nowego życia, a w miarę tego rósł niepokój duszy. Im ciaśniejszy zakres działania, tym większa bywa niecierpliwosć wydobycia na wierzch. Tego więc doświadczył Ben-Hur. Kilka razy, już... już chciał przemówić do dozorca siedzącego na platformie, co wywołałoby ogólne zdziwienie.

Gdy znikł ostatni promień zachodzącego słońca, galera płynęła ciągle ku północy; Ben-Hur nie dostrzegł zmiany kierunku, aż nagle zaleciała go z pokładu woń kadzidła.

– Trybun jest u ołtarza – pomyślał. – Czyżby się zanosilo na bitwę?

Od tej chwili zwracał uwagę na wszystko co go otaczało.

Był on już w niejednej bitwie, nie widząc jej właściwie nigdy. Ze swej ławki słyszał ją pod sobą i nad sobą, rozpoznawał każdy głos i ruch, jak słuchający poznaje śpiewaka po głosie. Z tych uzbieranych spostrzeżeń wiedział, że pierwszym przygotowaniem do walki – tak u Greków, jak i u Rzymian, było złożenie ofiary bogom. Wprawdzie czyniono toż samo przy zaczęciu podróży, jednak obecnie nie zachodził ten wypadek, przyczyna musiała być inna i była dla niego rodzajem ostrzeżenia. Bitwa dla wszystkich towarzyszy niedoli miała wielkie, ale inne znaczenie niż dla załogi. Nie straszyły ich bowiem niebezpieczeństwa; a porażka, bitwa przegrana mogła zmienić ich położenie, mogła im dać wolność lub zmienić złych panów na lepszych.

Na całym okręcie zawrzał ruch; zaświecono kaganki i zawieszono je przy schodach, po których trybun wyszedł na pokład i wydawał rozkazy. Wnet załoga stanęła pod bronią, zniesiono i złożono na pokładzie dziury, strzały w olbrzymich kołczanach, bomby z zapalnej oliwy i kosze bawełnianych kul, luźno jak knoty świec skręconych. Wkrótce ujrzał Ben-Hur trybuna wstępującego na platformę i przyodziewającego zbroję i hełm. Nie mógł dłużej wątpić o znaczeniu tych przygotowań i musiał się przysposobić na zniesienie największego upokorzenia. jakie go w służbie spotkać musiało.

Do ławy każdego wiosłarza przytwierdzony był łańcuch z ciężkimi kajdanami, w które hortator chodząc od numeru do numeru zamykał każdego z osobna. W razie nieszczęścia nie było dla nich ratunku.

Jakby w oczekiwaniu zbliżającej się chwili, głucho milczenie zaległo w kabinie, przerywał je jedynie odgłos wiosła, obracanych w skórzanych pochwach. Każdy wiosłarz odczuwał hańbę kajdan. Ben-Hur najdotkliwiej ze wszystkich. Za każdą cenę chciałby uniknąć tej hańby; brzęk żelaza zapowiedział zbliżanie się dozorca ku jego ławce. Wnet przyjdzie kolej na niego; azali... trybun nie uczyni z nim wyjątku?

Myśl ta może wydawać się zarozumiałością lub samolubstwem, opanowała ona jednak Ben-Hura z taką siłą, iż wierzył, że Rzymianin sprzeciwi się temu, a czyn ten będzie świadczą o uczuciach tego człowieka. Jeśli przed bitwą zwróci uwagę na niego, będzie to dowodem, jeśli nie pewnego postanowienia, to zawsze będzie to wyróżnieniem z pomiędzy towarzyszy niedoli, i pozwoli nieszczęśliwemu mieć nadzieję lepszej przyszłości.

Strasznym dla Ben-Hura było oczekiwanie, krótka chwila wydała mu się wiekiem. Z każdym poruszeniem wiosła zwracał wzrok na trybuna, który, skończywszy przygotowania, legł na posłaniu i zdawał się pragnąć odpoczynku. Na ten widok gorzko się zaśmiał nasz skazaniec i pełen oburzenia postanowił nie patrzeć więcej w tę stronę.

Hortator zbliżył się tymczasem ku numerowi przedostatniemu, a brzęk łańcuchów zadzwonił złowrogo. Wreszcie numer sześćdziesiąty! Z rozpaczliwym spokojem zatrzymał wiosło i wyciągnął nogę ku przelożonemu; wtem... trybun poruszył się, siadł i dał znak dozorcycy.

Straszny przewrót dokonał się w sercu Żyda. Wzrok trybuna przeniósł się z hortatora na niego; opuścił więc wiosło, a cały okręt ukazał mu się w jaśniejszym świetle. Nie słyszał co mówiono, ale po co miał słyszeć, widział tylko, że łańcuch wisiał u ławy i że dozorca wróciwszy na swoje miejsce wybijał takt, którego tony nigdy mu się tak pięknymi nie wydawały. Toteż oparłszy pierś na rączce wiosła, posunął je z całej siły, zginając prawie do złamania, a rzemień rozciągał się, jakby miał pęknąć. Dozorca zbliżył się do trybuna, i uśmiechając się, wskazał na numer sześćdziesiąty.

– Co za siła! – rzekł,

– Co za duch! – odparł trybun. – Zaprawdę, on lepszy bez łańcucha, nie zakładaj mu go już nigdy.

To mówiąc, wyciągnął się znów na posłaniu.

Statek płynął dalej prawie bez pomocy wiatru, samą siłą wioseł. Ludzie nie pełniący służby, spali snem twardym na swych posłaniach, załoga na pokładzie.

Raz, dwa razy – luzowano Ben-Hura, ale nie mógł spać. Nic też dziwnego; trzy lata ciemności, a w tym czasie jeden jedyny promień słońca! Jak rozbitek, rzucony na morskie głębiny, zbliżał się wreszcie do lądu; zaiste, w takiej chwili sen ucieka. Zdawało mu się, że skończyły się udręczenia, że znajduje się w domu ojców swoich w gronie rodziny. Czuł się szczęśliwy, jak nigdy dotąd. Messala, Gratus, Rzym i wszystkie gorzkie wspomnienia przedstawiały mu się jako przeżyta choroba.

ROZDZIAŁ XII

Wszystko na pokładzie zbudziło się ze snu. Dowódcy zajęli swe stanowiska, a załoga chwyciła za broń i udała się na pokład. Przyniesiono kołczany ze strzałami, a przy głównych schodach ustawiono wiadra z oliwą i ogniste kule. Zawieszono również dodatkowe kaganki i wiadra napelnione wodą. Wioślarze stali gromadnie, ale pod strażą i w pobliżu swego dozorczy. Między nimi, za zrzędzeniem Opatrzności, stał i Ben-Hur. Nad głową słyszał zmieszany gwar ostatecznych przygotowań, jak żołnierze załogi zaopatrywali żagle, rozwijali siatki, odwiązywali maszyny i wdziewali zbroje zaopatrzone byczą skórą. Wkrótce ucichło wszystko, spokój pełen niepewności i oczekiwania zapanował na galerze, spokój, który nazywa się gotowością.

Na znak z pokładu, a podany hortatorowi przez niższego oficera stojącego na schodach, wszystkie wiosła zatrzymały się nagle.

Cóż to ma znaczyć?

Żaden ze stu dwudziestu niewolników do ławek przykutych nie zadał sobie tego pytania, bo i cóż ich to obchodzić mogło? Patriotyzmu, miłości honoru, poczucia obowiązku nie znali, doznawali raczej uczucia właściwego ludziom rzuconym na ślepo w samo ognisko niebezpieczeństwa, któremu bezradni – zaradzić nie mogą. A choćby i myśleli o tym, co się stać może, nie mogliby spodziewać się lepszej przyszłości. Zwycięstwo ścieśni tym więcej ich kajdany; los ich złączony jest z losem okrętu: utonie – to i oni w głębokościach morskich śmierć znajdą, spłonie – to i ich śmierć w płomieniach.

Żaden ze skazańców nie ważył się spytać o położenie, ani kto był nieprzyjacielem, bo to by na próżno. Zresztą, jakie by wzbudziły się uczucia w tych ludziach, gdyby wrogowie Rzymu byli ich braćmi, rodakami? Zważywszy to, zrozumiemy, dlaczego Rzymianie przykuwali tych nieszczęśliwych do ławek!

Nie było nawet czasu o tym myśleć. Uwagę Ben-Hura zajął szum, uczyniony wiosłami, a „Astrea” zachwiała się jakby groźnymi kołysana bałwanami. W tej chwili przypomniał sobie gotowość załogi do walki, a krew zawrzała w jego żyłach.

I znowu dano sygnał z pokładu, zanurzono wiosła, a galera posunęła się nieznacznie wśród głębokiej ciszy. Nie słyhać głosu z zewnątrz, cisza wewnątrz, a jednak każdy gotował się na uderzenie, które lada chwila mogło nastąpić. Sam statek zdawał się to samo odczuwać i spsobiał się jak tygrys do skoku.

Rosło napięcie; Ben-Hur nie miał pojęcia o przebytej przestrzeni. Nareszcie, w tej ciszy, odezwała się trąbka bojowa pełnym, czystym głosem. Hortator uderzał młotkiem w stół, a wioślarze pracowali całymimi siłami. Galera trzeszczała w spojeniach i pędziła jak strzała. Nagle nastąpiło gwałtowne uderzenie, wioślarze na platformie przy hortatorze zachwiali się; wielu padło, statek cofnął się i znowu całą siłą płynął naprzód. W tejże chwili rozległ się krzyk przerażonych ludzi głuszący trąby, Ben-Hur usłyszał łamanie się okrętu, a po chwili rozległy się z pokładu okrzyki tryumfu. Rzymianie zwyciężyli, zatopili okręt nieprzyjacielski; a kim byli ci, których morze pochłoneło? jakim mówili językiem? z jakiego pochodzili kraju?

Któż by o to pytał... „Astrea” płynęła naprzód! Kilku z załogi, umoczywszy bawełniane kule w oliwie, zapaliło je, co pobudziło do zacieklejszej walki.

Wrzask rósł ciągle, na prawo, na lewo, z tyłu, a wśród tego zgiełku słychać było od czasu do czasu trzask, po nim krzyki trwogi, świadczące, że jeszcze jeden okręt zatopiono, a jego załoga walczy z bałwanami. Jeszcze los bitwy nie był rozstrzygnięty. Od czasu do czasu znoszono na dół rannego Rzymianina i składano na ziemi.

Czasem kłęby dymu, nasycone wonią palącego się ludzkiego ciała, tłoczyły piersi. Wtedy Ben-Hur, dusząc się od gorąca i dymu, odgadywał, że przepływali w pobliżu okrętu, palącego się wraz z wioślarzami przykutymi do ławek.

Tymczasem „Astrea” była w ciągłym ruchu, nagle stanęła. Przednie wiosła wypadły z rąk, a wioślarze pospadali z ławek; z pokładu niósł się straszliwy łomot i uderzenie o siebie dwóch okrętów. Po raz pierwszy łoskot przygłuszył pobudkę hortatora; ludzie w trwodze wpadali do kabiny, jakby szukali schronienia.

Wśród ogólnego zamieszania padło nagle u stóp Ben-Hura ciało cudzoziemca. To barbarzyńca jasnowłosa, syn północy, a śmierć porwała go wśród rabunku i zemsty. Ale jakim sposobem dostał się tutaj? Czyżby jakaś żelazna ręka rzuciła go z nieprzyjacielskiego pokładu? Nie, to niepodobna! A więc „Astrea” miałaby być pokonana? Może to być, aby Rzymianie walczyli na własnym pokładzie? Dreszcz przerażenia przebiegł Żyda na myśl, że Ariusz znajduje się w niebezpieczeństwie. Boże! gdyby miał zginąć! Boże Abrahama nie dopuść tego! Czyżby wszystkie jego nadzieje miały pozostać tylko nadziejami? Matka, siostra, rodzina, ziemia święta... miały ich nigdy nie zobaczyć?! Zamieszanie rosło z każdą chwilą, spojrzął wokół, w kabine wszystko w nieładzie – wioślarze do ław przykuci ubezwładnieni, ludzie toczący się i biegający na ślepo tam i z powrotem, jeden tylko hortator niewzruszony na swym stanowisku, wybijał takt, którego nikt nie słuchał, oczekiwał dalszego rozkazu trybuna. Był on uosobieniem owej sławnej i potężnej rzymskiej karności, która ujarzmiła cały znany wówczas świat.

Przykład niewzruszonego dozorca spowodował, że Ben-Hur zaczął rozmyślać nad swoim obecnym położeniem. Honor i powinność przykuwały Rzymianina do platformy – ale cóż jego to obchodzić mogło? Ława niewolnika była miejscem, z którego nie wstyd uciekać; umierając teraz, poświęciłby się na próżno. Nie, on powinien żyć; życie jest jego obowiązkiem, jeśli nie zaszczycem, jest własnością jego narodu, jego rodziny – matki i siostry. Stanęły one przed nim jak żywe; widział, jak wyciągały ku niemu ręce; słyszał ich błagania. Niestety! Rzymski wyrok potępił go, a póki ten miał znaczenie, ucieczka nie przyniosłaby mu pożytku. Tak, na całym szerokim świecie nie było miejsca, gdzieby go nie dosięgła karząca ręka wszechwładnego pana czy to na morzu, czy na lądzie. Pragnął wolności zgodnej z prawem, bo tylko wolnym obywatelem mógł zamieszkać w Judei i wypełnić obowiązki, którym się poświęcił: dla niego nie ma życia gdzie indziej. O Boże! jakże czekał i błagał o taką wolność. Jakże opóźniła się, a jak radośnie witał ją w obietnicy trybuna. Wszak nic innego ten wielki człowiek nie mógł mieć na myśli. A gdyby dobroczyńca ten miał teraz mamie zginąć? Umarły nie może przecież wrócić, aby wybawić z więzów żyjącego. Nie, to się stać nie może – Ariusz nie powinien umrzeć; gdyby tak się stać miało, to lepiej zginąć z nim razem, niż żyć nadal niewolnikiem na okręcie.

Jeszcze raz spojrzął Ben-Hur wkoło siebie. Na pokładzie szalała walka, nieprzyjacielskie okręty cisnęły na boki „Astrei”. Niewolnicy na ławach, nie widząc straży, która poszła na górę, targali swe łańcuchy, a przekonawszy się o daremności swych usiłowań, dzikim i szalonym wyciem rozdzierali powietrze. Karność zniknęła, przestraszył złamał wszelki porządek, a jednak nie... bo oto hortator, spokojny jak zawsze, siedział na krześle i wydawał rozkazy, lecz nikt nie zwracał na nie uwagi. Bez innej broni prócz młotka do uderzeń, dopełniał swymi nawoływaniem ogólny zgiełk. Ben-Hur raz jeszcze rzucił nań okiem i wybiegł... nie żeby uciekać, ale by szukać trybuna.

Jednym skokiem znalazł się na pokładzie i ujrzał niebo krwawą gorejącą luną, straszliwą walkę, napierające na „Astreeę” okręty, i morze pokryte szczątkami rozbitych statków. Napastników była moc nieprzeliczona. Rzymian szczupła garstka. Zaledwie objął wzrokiem ów straszny widok, uczył, że się zapada i leci w tył. W jednym mgnieniu oka cały kadłub galery z trzaskiem się rozpadł, a morze jakby na to tylko czekało, zapieniło się, zaszumiało i zalało go. Ben-Hura otoczyła nieskończona ciemność.

Chociaż posiadał wiele siły, która budzi się w człowieku w chwili grożącego życiu niebezpieczeństwa, to ciemność i szum wody obezwładniły go tak, że stracił prawie przytomność.

Prąd wody popychał nim jak kłosem drzewa ku kabynie, gdzie by utonął, gdyby nie opór tonącego statku, który go dźwignął w górę. Czując, że wraz z drobniejszymi szczątkami wypływa na wierzch, uczepił się jakiegoś przedmiotu i z nim płynął.

Czas, który przeżył pod wodą wydał mu się o cały wiek dłuższy, niż był w rzeczywistości. Gdy zaś uczył, że jest na powierzchni wody, odetchnął głęboko, świeżym powietrzem napełnił płuca, a otarłszy wodę z włosów i oczu, wydostał się wyżej na deskę, która go ocaliła, i opierając się na niej, obejrzał się wokoło. Bliski był śmierci pod wodą, ale i na niej czekała go ona w każdej chwili.

Nad wodą ścielił się, jak mgła przezroczysta, dym od płonących statków. Bitwa była skończona, ale kto był zwycięzcą, niepodobna było odgadnąć. Od czasu do czasu przesuwały się przed jego oczyma okręty, zaciemniające na chwilę purpurowe blaski pożarów. Poprzez chmury dymu, kurzawy i mgły dolatywał go trzask nacierających na siebie statków; niebezpieczeństwo zagrażało mu ciągle. W chwili, gdy „Astreeę” pochłonęły bałwany, na pokładzie znajdowały się prócz jej własnej załogi dwie inne, nieprzyjacielskie. Wszystkich morze pochłonęło, wielu jednak wypłynęło na powierzchnię wód i wiodło dalej bój zacięty, którego w głębokościach morza najprawdopodobniej nie zaprzestano. W śmiertelnym uścisku walczyły z sobą ze straszliwą zaciętością. W rękach wielu walecznych błyszczały oszczepy i dziuryty, którymi starali się przeciwnikowi zadać jeszcze ostatni cios. I słychać było szum wód wzburzonych szamotaniem się walczących. A morze, ów wspólny grób dla przyjaciół i nieprzyjaciół, tutaj czarne ciemnością nocy, ówdzie płomienne od gorejących okrętów. Ben-Hura walka ta nie obchodziła. Czy ci, czy tamci zwyciężą, zawsze to nieprzyjaciele, a każdy z nich zabiłby go bez wahania, choćby tylko dlatego, by mu wydrzeć deskę, na której płynął. Trzeba się było spieszyć, aby opuścić złowrogie strony.

Jednak nim to zdążył uczynić posłyszał szybki ruch wiosła i ujrzał galereę płynącą w jego stronę. Wysoki maszt wydawał się podwójnie wysokim, a ciemne światła, igrające na złoceńniach i ozdobach czyniły go podobnym do węża, poruszającego szumiącą i pieniającą się wodę.

Szybko objął Ben-Hur myślą grożące mu niebezpieczeństwo, a trzymając się szerokiej deski, obliczał sekundy i czuł, że nawet pół sekundy może go ocalić lub zgubić. Nagle na powierzchni wody, a w odległości ramienia, ukazał się hełm niby złoty promień, za nim dwie ręce, dwie silne ręce, które na pewno nie puściłyby raz pochwyconej podpory. Na pierwszy widok Ben-Hur cofnął się z przerażenia, ale hełm zanurzył się i wypłynął znowu, a ręce na próżno obejmowały wymykającą się falę, nagle luna oświeciła bladą twarz i szeroko rozwarte usta tonącego. Oczy nie były zamknięte, ale patrzyły błędnie, oblicze trupiej bladości przedstawiało straszny obraz; jednak Ben-Hur, przypatrzawszy się krzyknął radośnie; a gdy głowa znowu się zanurzyć miała, chwycił za łańcuch podtrzymujący pod brodą hełm nieszczęśliwego i przyciągnął do deski.

Był to Ariusz, trybun.

Chwilę długą woda wrzała i wirowała około Ben-Hura, musiał więc użyć wszystkich sił, aby utrzymać ciało, a zwłaszcza głowę trybuna nad powierzchnią wody. Obok nich przepłynęła galera, pozostawiając ich poza obrębem swych wiosła. Płynęła pośród tonących, pomiędzy głowami nakrytymi hełmami i bez hełmów.

Wtem głuchy trzask doleciał uszu Ben-Hura; obejrzał się i z niemalym zadowoleniem zobaczył, że „Astrea” była pomszczona.

Walka trwała dalej; opór zmienił się w ucieczkę, ale kto zwyciężył? Dobrze pojmował Ben-Hur, jak wiele ta okoliczność zawazyć mogła na szali jego wolności i w ocaleniu trybuna. Wciągnął lepiej Ariusza na deskę, tak że go podtrzymała, sam zaś starał się utrzymać go w tej pozycji.

Z wolna poczynało dzień. Ben-Hur powitał dzień z dwoma odmiennymi uczuciami; nadziei i trwogi. Zwyciężyli Rzymianie, czy korsarze? Gdyby ostatni, trybun będzie zgubiony.

Nareszcie nadszedł poranek, cichy i spokojny. Po lewej stronie ujrzał łąd, lecz za daleko oddalony, aby go móc dosięgnąć, a w oddaleniu tu i ówdzie pływali ludzie, równie jak on – rozbitki. Zwęglone i dymiące szczątki zniszczonych okrętów plamiły białe przestworze morza, w dali leżała galera z podartym żaglem, zgruchotanym masztem, zniszczoną ozdobną balustradą i beczynnymi wiosłami. Dalej jeszcze widniały ruchome punkty, może uciekające lub ścigane statki, a może tylko białe, chyże ptaki.

Minęła godzina, w Ben-Hurze rosła trwoga – jeśli pomoc nie przyjdzie szybko Ariusz może umrzeć. Tak spokojnie leżał, że zdawał się już umarłym. Ben-Hur z wielkim trudem zdjął z niego pancerz – przyłożywszy ucho do jego piersi usłyszał bicie serca, a ten dowód życia dodał mu odwagi. Czekał, a obyczajem swego narodu krzepił swą nadzieję modlitwą.

Przyjście do przytomności po topieniu się jest stokroć boleśniejsze niż samo tonięcie; taką boleść przechodził Ariusz, zanim ku wielkiej radości Ben-Hura, zdołał przemówić.

Stopniowo zaczął od mało znaczących pytań, jak i gdzie się znajduje, kto i jak go ocalił, ale zaraz przypomniał sobie bitwę. Wątpliwość w zwycięstwo zbudziła wszystkie jego obawy i czyniła nieznośnym spoczynek, jakiego używał na ciągle ruchomej desce. Z wolna uspokajał się i stawał się rozmowniejszy.

– Nasze ocalenie, jak sądzę, zależy głównie od wyniku bitwy. To, coś uczynił dla mnie, uznaję w zupełności; ocaliłeś mi życie z narażeniem twojego. Cokolwiek się stanie, zapewniam ci moją wdzięczność. Nie poprzestanę na tym; jeśli los sprzyjać nam będzie i zdołamy stąd szczęśliwie się wydostać, obsypię cię łaskami, jak przystoi na Rzymianina mającego możność i władzę wywdziękowania się. Czy jednak twą dobrą wolą i ofiarą wyświadczyłeś mi dobrodziejstwo, tego nie wiem jeszcze i dlatego – tu się zawahał – musisz przyrzec, że oddasz mi największą przysługę, jaką człowiek człowiekowi wyświadczyć może – a to przyrzeczenie musisz natychmiast wykonać.

– Jeśli to, czego żądać będziesz, nie jest zakazane przez nasz Zakon, spełnię twą wolę – odrzekł Ben-Hur.

Ariusz zatrzymał się chwilę.

– Jesteś rzeczywiście synem Hura, Żyda? – zapytał.

– Jest, jak rzekłeś.

– Znałem twego ojca.

Juda przybliżył się do trybuna, bo głos jego był słaby – przysunął się więc i słuchał chciwie, spodziewając się, że nareszcie usłyszy co o swoich.

Znałem i kochałem go – ciągnął dalej Ariusz.

Tu nastąpiła chwila milczenia, zdaje się, że jakaś nowa myśl go zajęła.

Niepodobna – mówi dalej – abyś ty, jako jego syn, nie słyszał o Katonie i Brutusie. Byli to wielcy ludzie, a największymi okazali się w chwili zgonu. Umierając zostawili przykład i prawo, droższe nad wszystko. Po nich nie żyć żadnemu Rzymianinowi w hańbie i w niewoli. Czy słuchasz?

– Słucham.

– Każdy obywatel Rzymu nosi pierścień; stosownie do przyjętego zwyczaju, mam i ja taki, który nakazuje ci zdjąć – to mówiąc wyciągnął rękę do Ben-Hura, a ten uczynił zadość rozkazowi.

– Włóż pierścień na swój palec.

Ben-Hur i w tym był posłuszny.

– Ta drobnostka może ci wielkie oddać przysługi – odezwał się Ariusz po chwili – mam posiadłości i pieniądze, nawet w Rzymie liczą mnie do bogatych. Nie mam rodziny, ale gdy pokażesz ten pierścień memu wyzwolencowi, który zarządza w czasie mej nieobecności moim majątkiem, usłucha cię we wszystkim. Znajdziesz tego człowieka w mej willi pod Misenum, a skoro mu opowiesz, w jaki sposób i gdzie otrzymałeś ten klejnot, uczyni zadość wszelkim twym żądaniom. Jeśli przeciwnie żyć będę, uczynię więcej dla ciebie, wyzwolę i wrócę cię do domu i rodziny. Jeśli wybierzesz inną drogę, dopomogę ci do osiągnięcia tego stanowiska, jakie osiągnąć zapragniesz. Czy słyszysz?

– Słyszę.

– A więc złóż przysięgę, na bogi;

– Nie, szlachetny trybunie, tego nie uczynię bom Żyd.

– Więc zaprzysięgnij na twego Boga lub użyj jakiegokolwiek najświętszej w twej wierze formuły, ale przyrzecz, że uczynisz to, co ci teraz każe. Czekam, a ty złóż obietnicę.

– Szlachetny Ariuszu – ze słów twoich sędzę, że żądasz, coś bardzo ważnego. Powiedz mi więc pierwej, czego żądasz?

– Czy wtedy wykonasz przysięgę?

– Gdybym to przyrzekł, już byłbym zobowiązany, a – tu nagle Ben-Hur przerwał mowę wykrzyknikiem: Błogosławiony Bóg ojców moich, bo oto okręt przybywa!

– Z której strony?

– Od północy.

– Czy umiesz rozpoznać po znakach do kogo statek należy?

– Nie, byłem tylko wioślarzem.

– Czy ma flagę?

– Nie widzę dotąd żadnej.

Ariusz zatonął w myślach i milczał.

– Czy okręt ciągle płynie w tym samym kierunku?

– Ciągle.

– Szukaj oczyma chorągwi.

– Nie ma jej.

– Jak to i żadnego innego znaku?

– Żagiel galery, zwinięty, trzy ławy, a płynie szybko: to wszystko, co widzę.

– Gdyby to był rzymski okręt zwycięski, wywiesiłby mnóstwo chorągwi, a zatem musi to być okręt nieprzyjacielski. A wiesz, co teraz będzie? – mówił dalej. – Słuchaj, póki mogę mówić. Jeśli to okręt korsarski, życie twoje ocalone, nie dadzą ci wolności i każą znów wioślować, ale cię nie zabiją. Ze mną postąpią inaczej,

Tu zawahał się.

– Ja – rzekł nareszcie – za stary jestem, abym zniósł hańbę. Niech mówią w Rzymie, że Kwintusz Ariusz zginął w boju wraz ze swym okrętem, jak przyszło rzymskiemu wodzowi. Oto co chcę, abyś uczynił, skoro okręt nieprzyjacielski tutaj się zbliży: zrzuć mnie z tej deski w morze i utop. Czy słyszałeś? Złóż przysięgę, że to uczynisz!

– Nie, tego nie uczynię! – rzekł Ben-Hur stanowczo. Prawo dla mnie świętsze. Zakon nasz czyni mnie odpowiedzialnym za twe życie. Odbierz ten pierścień – to mówiąc zdjął sygnet z palca – weź go, cofnij wszystkie twe obietnice na wypadek ocalenia zrobione. Wyrok, który mnie posłał na galery, uczynił mnie niewolnikiem, ale teraz już nim nie jestem, więcej – nie jestem również twym wyzwolencem. Czuję się, przynajmniej na tę chwilę synem Izraela i panem siebie. Weź swój pierścień.

Nie wzruszyło to Ariusza, który milczał zacięcie.

– Nie chcesz? – rzekł Juda – Więc nie w złości ani z pogardy, ale aby uwolnić się od nienawistnego mi zobowiązania, oddaję twój dar morzu. Patrz trybunie.

I cisnął pierścień w odmęt: Ariusz usłyszał plusk padającego w morze pierścienia, chociaż nie spojrział w tę stronę.

– Postąpiłeś nierozważnie – rzekł – jest to, w twoim zwłaszcza położeniu, czyn szaleńca. Śmierć moja nie tylko od ciebie zależy; życie to nic, którą mogę przerwać bez ciebie, a gdy to uczynię, cóż się z tobą stanie? Ludzie z postanowieniem śmierci, wołają ją ponieść z obcej ręki, bo dusza, o której istnieniu zapewnia Platon, oburza się na samobójstwo! Oto wszystko. Gdybyś ty mnie prosił o podobną przysługę, nie odmówiłbym. Teraz obydwaj jesteśmy zgubieni, a pierścień, był jedynym dowodem mej ostatniej woli i mógł ci dać szczęście. Ja zejść ze świata oplakując wydartą mi chwałę i zwycięstwo; ty będziesz żył, aby umrzeć trochę później z wyrzutem niespełnionego świętego obowiązku – dla nierozumnych przesądów. Boleję nad tobą!

Ben-Hur widział wszelkie następstwa swego czynu wyraźniej niż kiedykolwiek, ale nie zawahał się.

– W ciągu trzech lat mej niewoli, ty, trybunie, pierwszy spojrzaleś na mnie łagodnie. Czy tak? Nie, o nie, był jeszcze ktoś – na tę myśl głos Judy zniżył się, oczy zwilżyły, a przed oczyma duszy ujrzał tak wyraźnie, jak gdyby była tuż przed nim, twarz młodzieńca, co go napoił u starego źródła w Nazarecie. Przemógłszy wzruszenie, mówił dalej: – Jeśli twoje spojrzenie nie było pierwszym objawem współczucia w mej ciężkiej niedoli, to w każdym razie ty pierwszy spytałeś kim jestem; a jeśli w ostatniej przygodzie uratowałem cię z myślą, że twe ocalenie może mi przynieść jakąś korzyść, to mylisz się, wierz mi, proszę. Co więcej, widzę coraz wyraźniej, że Bóg użył mi szczęścia, jakiego pragnę tylko za pomocą sprawiedliwych środków. Idąc za głosem i przeświadczeniem sumienia, raczej umarłbym z tobą, niż bym się stał twoim mordercą. Takie jest moje postanowienie i choćbyś mi ofiarował cały Rzym, gdyby był twoją własnością i mógłbyś nim rozporządzać, jeszcze nie zabiłbym ciebie. Wasz Katon i Brutus wydają się nieświadomymi dziećmi wobec Hebreów, którzy Żydowi nadali prawa.

– Czyż prośba moja nic nie znaczy?

– Rozkaz miałby większe znaczenie, ale i ten mnie nie wzruszy.

Umilkli i obaj czekali. Ben-Hur spoglądał często w stronę przybywającego okrętu. Ariusz spoczywał z zamkniętymi oczyma, obojętny.

– Jesteś pewny – pytał Ben-Hur – że przybywający statek jest nieprzyjacielski?

– Tak sądzę – brzmiała odpowiedź.

– Staje i spuszcza łódź.

– Czy widzisz chorągiew?

– Czy nie ma innego godła, po którym mógłbym rozpoznać, czy to jest rzymski okręt?

– Gdyby statek był rzymskim, miałby hełm powyżej masztu,

– Nabierz więc otuchy, widzę hełm – Ariusz nie wierzył jeszcze.

– Ludzie płynący łodzią ratują tonących, piraci nie znają litości, nie czyniliby tego.

– Mogą potrzebować wioślarzy – odparł Ariusz wspominając, jak sam zbierał tonących w tym celu.

Ben-Hur nieustannie przypatrywał się ruchom płynących.

– Okręt rusza się rzekł.

– W jakim kierunku?

– Po prawej stronie od nas stoi opuszczona prawdopodobnie galera; ku niej płynie statek. Tak jest, zrównał się z nią i wysłał ludzi na pokład.

Słyszając te słowa, Ariusz otworzył oczy i ożywił się.

– Dziękuj twemu Bogu – rzekł do Ben-Hura, spojrzawszy na galere – a i ja winienem podziękę moim. Gdyby to był statek korsarski, zatopiłyby pokonaną galere, a nie starał się jej

ratować; po tym czynie i hełmie na maszcie poznają Rzymian. A zatem moje jest zwycięstwo, a Fortuna nie opuściła mnie. Jesteśmy uratowani, daj więc znak ręką, wołaj ich, niech przybywają prędko. Będę duumwirem... a ty... znałem twego ojca i miłowałem go; był on naprawdę księciem i przekonał mnie, że Żyd nie jest barbarzyńcą. Zabiorę cię z sobą, uczynię mym synem. Tak więc dziękuj twemu Bogu i wołaj na wiosłujących. Spiesz się, a prędko, bo musimy puścić się w pogoń, aby ani jeden rozbójnik nie uszedł. Spiesz się! spiesz na bogi!

Juda wsparłszy się na desce, machał ręką i wołał z całej siły; wkrótce ściągnął uwagę kierujących małą łódką, która szybko przybyła po nich.

Na galerze przyjęto Ariusza z wszystkimi honorami należnymi bohaterowi, ulubieńcowi Fortuny. Leżąc na tapczanie, wysłuchał szczegółów zakończenia walki, a gdy zebrano rozbitków, wywieszono na nowo flagę komendanta i spieszenie skierowano ku północy, aby się połączyć z resztą floty i dokonać zwycięstwa. We właściwym czasie owe pięćdziesiąt okrętów wysłanych na morze, zamknęły odwrót uciekającym piratom i zniszczono ich, biorąc dla większej sławy Ariusza, dwadzieścia nieprzyjacielskie galery do niewoli.

Na wybrzeżu Misenum witano radośnie powracającego Ariusza, a towarzyszący mu młody człowiek zwrócił szybko uwagę przyjaciół trybuna, który na ich zapytanie opowiedział szczegółowo historię swego ocalenia, starannie omijając wszystko, co się do przeszłości młodego Żyda odnosiło. W końcu przywołał Ben-Hura do siebie i rzekł, kładąc rękę na jego ramieniu:

– Zacni przyjaciele moi, oto mój syn i dziedzic mego majątku, jeśli woła jest bogów, abym jakiś majątek pozostawił. Będzie on nosił moje imię, a polecam go wam, prosząc byście go miłowali, jak mnie miłujecie.

Adopcję przeprowadzono szybko o ile na to formalności pozwoliły; tym sposobem dotrzymał dzielny Rzymianin przyrzeczeń danych Ben-Hurowi, i wprowadził go w świat cesarski. W miesiąc po powrocie Ariusza obchodzono w Rzymie w teatrze Scaurusa jego zwycięstwo nad piratami. Po jednej stronie gmachu wisiały chorągwie, proporce, sztandary, wśród których najwidoczniejsze były dwadzieścia dzioby okrętowe ze zdobytych galer, zaś nad tym wszystkim widniał napis, ogłaszający osiemnastu tysiącom siedzącym w teatrze, następujące słowa:

Kwintusz Ariusz duumwir
zabrał piratom
w zatoce „Euripus”

ROZDZIAŁ XIII

Jesteśmy w mieście Antiochii, w miesiącu lipcu 23 roku po narodzeniu Jezusa Chrystusa; miasto to zwano królową Wschodu, bo było najpotężniejszym po Rzymie, jeżeli nie najludniejszym z miast.

Mniemanie, jakoby źródłem występków owego czasu był starożytny Rzym, jest co najmniej wątpliwe. Ktokolwiek sprawą tą się zajmował, spostrzeże, że zepsucie płynęło ze Wschodu na Zachód; a miasto Antiochia, siedlisko starożytnej asyryjskiej potęgi i wspaniałości, w tym kierunku wpływ wywierało.

Było przed południem, gdy galera kupiecka opuściła modrawe wody morza i wpływała do ujścia rzeki Orontes. Skwar był wielki, lecz wszyscy podróżni, opuściwszy kabiny, stali na pokładzie, a między nimi Ben-Hur.

Przebyte pięć ciężkich lat zmieniły młodego Żyda w dojrzałego mężczyznę, a chociaż nosił suknię z białego płótna osłaniającą jego kształty, to jednak łatwo było dostrzec, że miał piękną postawę. Od godziny stał w cieniu żagli, a kilku podróżnych jego narodowości na próżno próbowało nawiązać z nim rozmowę. Odpowiadał na pytania po łacinie w sposób poważny i czcigodny. Czystość wymowy, skromność i inteligencja pobudzały ciekawość słuchających. Ci, którzy mu się uważniej przypatrzyli, zauważyli pewną niezgodność między wyglądem a jego arystokratycznym zachowaniem się. I tak, ręce miał za długie, a gdy, chcąc zachować równowagę na kołyszącym się statku, chwycił się czegośkolwiek w pobliżu, ruch ręki i widoczna w niej siła zwracały na się uwagę otaczających. Tak więc wraz z ciekawością kim i czym był, rodziło się przekonanie, że człowiek ten przechodził już niezwykle koleje.

Galera zatrzymała się w jednym z portów Cypru i zabrała stamtąd Żyda podeszłego już w latach. Jego ujmująca powierzchowność zachęciła Ben-Hura do zadania mu kilku pytań, na które podróżny odpowiedział w sposób budzący zaufanie, i wnet nawiązała się między obydwoima ożywiona rozmowa.

W chwili, gdy galera wpłynęła w zatokę Orontesu, spotkała się z dwoma statkami, które równocześnie wpływały na wody rzeki. Na mijających się statkach wywieszono mnóstwo małych chorągiewek żółtego koloru, jakby na znak powitania. Podróżni dziwili się tym znakom i najrozmaitsze robili przypuszczenia. Gdy wreszcie jeden z nich zapytał owego sędziwego Żyda, co chorągiewki oznaczać miały, odpowiedział:

- Flagi te nie oznaczają narodowości, ale są godłem właściciela tych okrętów.
- Czy ten posiada wiele galer?
- Bardzo wiele.
- Czy znasz go?
- Łączyły mnie z nim niegdyś interesy.

Podróżni patrzyli na mówiącego, jak gdyby prosili go, aby dalej opowiadał. Ben-Hur zaś słuchał uważnie.

– Żyje on w Antiochii – mówił dalej Hebrajczyk z właściwą sobie powagą – bogactwa jego zwróciły nań uwagę, a to co o nim mówią, nie zawsze jest dla niego życzliwe. Niegdyś żył w Jerozolimie księżę pochodzący ze starożytnego domu Hurów.

Na te słowa próżno Juda usiłował się opanować, serce biło mu jak młotem.

– Książę ten był kupcem i miał zmysł do handlu, stał na czele wielu przedsiębiorstw, rozgałęzionych aż po krańce Wschodu i Zachodu. Po wielkich miastach zakładał filie, a jedną z takich filii w Antiochii zarządzał wierny i stary sługa domu Hurów, Simonides, który, mimo greckiego nazwiska, był Izraelitą. Pan domu, głowa rodu, zatonął na morzu, ale interesy szły dalej pomyślnie, gdy nagle nowym nieszczęściem Pan dotknął tę rodzinę. Jedyne, jeszcze niedorosły syn księcia wykonał zamach na życie prokuratora Gratusa na jednej z ulic Jerozolimy, a gdy zamach nie udał się, znikł na zawsze. Rzymianie wywarli zemstę na całym domu i nikt tego imienia nie został przy życiu. Pałac opieczętowano i gnieźdzą się w nim gołębie, skarby zabrano jak też wszystko, co było własnością Hurów. Tym więc sposobem prokurator przyłożył złoty plaster na swoją ranę; było się czym zaiste wyleczyć.

Słuchający roześmiali się, a jeden z nich rzekł:

– To znaczy, że majątności zatrzymał dla siebie?

– Tak mówią – odparł Żyd – opowiadam rzecz, jak ją słyszałem, ale dla dopełnienia dodaję, że Simonides, ów zastępca księcia w Antiochii, wkrótce potem otworzył handel na własną rękę. Idąc za przykładem dawnego pana, posyłał karawany do Indii; a teraz posiada dostateczną ilość galer tworzącą na morzu prawdziwie królewską flotę. Mówią, że mu się wszystko udaje; jeśli traci wielbłądy, to ze starości; jego okręty nie toną nigdy, a gdyby rzucił wiór w rzekę, to wypłynąłby sztabą złota.

– Od jak dawna się to dzieje?

– Z jakie dziesięć lat.

– Mówią, że prokurator zajął tylko tę część mienia książąt, która była pod ręką, jak konie, bydło, domy, posiadłości, galery i inne dobytki. Pieniądzy zaś nie odnaleziono, chociaż musiały być znaczne. Co się z nimi stało, pokrywa niezbadana tajemnica.

– Nie dla mnie – rzekł z ironią jeden z podróżnych.

– Rozumiem cię – odpowiedział Żyd – inni przypuszczają to samo, a ogólnie sądzi się, że owe skarby są podstawą majątku Simonidesa. Prokurator podziela lub podzielał tę wiarę, bo dwa razy w ciągu lat pięciu więził kupca i brał go na tortury.

Juda schwycił z całej siły linę, na której się opierał.

– Mówią – ciągnął dalej opowiadający – że w ciele tego człowieka nie ma ani jednej całej kości. Ostatni raz widziałem go siedzącego w krześle i obłożonego poduszkami, kalekę.

– Więc tak straszliwie przechodził męki! – zawołało kilka osób naraz.

– Żadna choroba nie zdołałaby takiego wytworzyć kalectwa, a przecież cierpienie nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Nic więcej nie wyznał, tylko tyle, że wszystko co posiada, jest jego prawną własnością, której godziwie używa. Od jakiegoś czasu prześladowanie ustało; pozwolenie na handel otrzymał z podpisem samego Tyberiusza.

– Musiał się dobrze opłacić, ręczę.

– Te okręty, które widzieliście należą do niego – mówił dalej Żyd, puszczać mimo uszu poprzednią uwagę, jednego ze słuchaczy – a ich wioślarze mają w zwyczaju witać się wzajemnie żółtymi flagami, co ma znaczyć: mieliśmy szczęśliwą podróż!

Tu skończyło się opowiadanie.

Gdy okręt pruć już fale rzeki. Juda rzekł do Żyda: – Jak nazwałś tego, który był panem Simonidesa?

– Zwał się Ben-Hur i był księciem Jerozolimy.

– Co się stało z książecą rodziną?

– Chłopca wysłano na galery, gdzie prawdopodobnie marnie zginął; rzadko bowiem kto dłużej jak rok wiosłem pracuje. O wdowie i córce nic nie słyszałem; ci, którzy może wiedzą co o nich, nie chcą o tym mówić; uważam za prawdopodobne, że zmarły w jakim podziemnym lochu.

Juda zbliżył się do steru, a tak był pogrążony w myślach, że nie patrzył ani na piękne wybrzeże rzeki, pełne sadów słynnych syryjskich drzew owocowych, ani na pyszne wille ocienione winogradem. Nie widział również przepływającej floty, nie słyszał śpiewów i okrzyków wioślarzy bądź to witających, bądź też żegnających ojczyste wybrzeże. Niebo lśniło najcudowniejszym słońcem, a upalne promienie złościły ziemię i wodę: nigdzie cienia, prócz w jego duszy i na jego życiu.

Gdy zbliżyli się ku miastu, wszyscy podróżni wylegli na pokład, aby nic nie stracić z pięknego widoku, jaki się przed ich oczami roztaczał. Znany nam już sędziwy Żyd przyjął na siebie obowiązek objaśniającego:

– Rzeka płynie w tym miejscu ku zachodowi – opowiadał. – Tam! – to mówiąc, wskazał na południe palcem – wznosi się góra Kazyus albo, jak ją tutejsi ludzie nazywają, góra Orontes, a tamta naprzeciw tej, to góra Amnus. Między tymi wzgórzami ścieli się równina Antiochii, dalej widać góry, skąd królewskimi wodociągami sprowadza się wodę do skraplania ulic miasta i dla potrzeb mieszkańców. Lasy tych gór pełne są jeszcze ptactwa i dzikiego zwierza.

– A gdzie jezioro? – zapytał ktoś.

– Ku północy, można tam konno dojechać, ale łatwiej i wygodniej łodzią, gdyż odnoga rzeki z nim się łączy.

– Gaj Dafny! – mówił dalej, zwracając się do kogoś innego – ktoś opisze jego piękność! Pamiętajcie, że założył go i ukończył Apollo, jest on jego ulubionym mieszkaniem i chętniej w nim przebywa niż na Olimpie. Ileż to ludzi udaje się tam, aby gaj przynajmniej raz ujrzeć, i nie mogą go potem zapomnieć. Nie darmo mówi przysłowie: lepiej być robakiem i żywić się morwami Dafny, niż siedzieć u królewskiego stołu.

– A zatem nie radzisz nam odwiedzać tych miejsc?

– Skądże. Chcecie, idźcie. Wszyscy tam chodzą: filozofowie, młodzieńcy, kobiety, kapłani. Wiem, że pójdziecie i wy; dam więc wam radę. Nie szukajcie mieszkania w mieście, byłaby to strata czasu, idźcie wprost do wsi w pobliżu gaju. Wiedzie tam droga poprzez ogród skraplany wodą wodotrysków. Oto i miasto! a tuż najświetniejsze dzieło Ksereusza, mistrza architektury. Ta część grodu była wzniesioną na rozkaz Seleucydów, 300 lat spoiły ją nierozdzielnie ze skałą, na której jest zbudowana.

Warownia zasługiwała na pochwały; była wysoka, silnie zaopatrzona licznymi narożnikami. Szczyt murów jeży się czterystu wieżami, a każda jest zbiornikiem wody – ciągnął dalej Żyd. Patrzcie dalej ponad wysokim murem, ujrzycie w oddaleniu dwa wzgórza. Na dalszym szczycie wznosi się cytadela, gdzie przez cały rok stoi kwatera legion rzymski. Na przeciwnym szczycie widnieje świątynia Jowisza, a obok niej pałac posła i wielu dygnitarzy. Forteca to nie do zdobycia.

W tej chwili wioślarze zaczęli zwijać żagle, a Żyd mówił dalej: Patrzcie! Oto most, który wiedzie do Seleucji; tu kończy się żegluga. Poza mostem zaczyna się wyspa, na której Kalinikus wybudował nowe miasto łącząc je ze starymi tak silnymi mostami, że ich ani czas, ani powódź, ani trzęsienia ziemi nie zdołały nadwerżyć. Co się tyczy samego miasta, mogę tylko tyle powiedzieć, że ktokolwiek je widział, z radością przez życie całe wspomina.

Zamilkł. W tej samej chwili okręt wolno zawrócił i płynął wzdłuż wybrzeża, zbliżając się ku budzącym podziw murom. Nareszcie rzucono liny, wstrzymano wiosła. Podróż się skończyła. Ben-Hur zbliżył się do sędziwego Żyda i rzekł:

– Przebacz, że cię na chwilę zatrzymam, nim się pożegnamy.

Podróżny skłonił głowę w milczeniu.

– Historia o kupcu zaciekała mnie bardzo; zdaje mi się, że go nazwałeś Simonidesem?

– Tak, jest Żydem mimo greckiego nazwiska.

– Chciałbym go poznać, a nie wiem gdzie go szukać?

Nieznamy spojrział bystro w oczy mówiącemu i rzekł:

– Chcąc ci oszczędzić zawodu, wolę ostrzec, że Simonides nie pożyczka pieniędzy.

– Ja również nie pożyczam ich nigdy, odparł Ben-Hur, śmiejąc się z domyślności podróżnego, który spuścił głowę w zamyśleniu i rzekł po chwili:

– Można by słusznie sądzić, że najbogatszy kupiec w Antiochii mieszka odpowiednio do swego stanu. Tymczasem tak nie jest. Aby mieszkanie jego odnaleźć, idź wzdłuż brzegu rzeki, aż tam do tego mostu, przy nim bowiem mieszka Simonides, w domu, który stanowi niejako skarpe podpierającą łuki mostu. Sądzę, że nie zabłądzisz.

– Dziękuję ci.

– Pokój ojców naszych niechaj będzie z tobą.

– I z tobą. – Rozstali się.

Dwaj tragarze obładowani bagażami Ben-Hura czekali na wybrzeżu na jego polecenia.

– Do cytadeli! – zawołał, a rozkaz ten zdradził jego wojskowe stanowisko.

Dwie wielkie ulice, krzyżujące się pod kątem prostym, dzieliły miasto na cztery równe części. U zbiegu dwóch ulic z północy ku południowi stała dziwna, wielka budowa, zwana Nimfeum. Gdy do niej doszli, Ben-Hur zdziwił się jej wspaniałością, chociaż wprost z Rzymu przybywał. Na prawo i na lewo wznosiły się pałace ozdobione marmurowymi węższymi i szerszymi podcieniami, z których jedne były przeznaczone dla jadących, inne dla pieszych lub bydła. Dach ocieniał całą drogę, a liczne wodotryski, szemrząc wesoło, zmniejszały upalne gorąco.

Ben-Hur nie był usposobiony do podziwiania tego widoku. Nieustannie myślał o historii Simonidesa. Gdy zbliżyli się do Omphalus, pomnika, zajmującego całą szerokość ulicy i złożonego z czterech pięknie ornamentowanych łuków, które Epifanes sam sobie poświęcił – zmienił nagle zamiar i rzekł do tragarzy:

– Nie udam się dziś jeszcze do cytadeli, zaprowadźcie mnie raczej do gospody najbliższej miasta, wiodącego do Seleucji.

Tragarze zawrócili i wkrótce Ben-Hur znalazł się w starej i obszernej gospodzie odległej na rzut kamieniem od mieszkania Simonidesa. Noc całą spędził na dachu, a nie odstępowała go radosna myśl: teraz nareszcie usłyszę cośkolwiek o moim domu, matce i małej, drodzej Tirzy; a jeśli jeszcze żyją na tej ziemi, muszę je odszukać!

ROZDZIAŁ XIV

Zaraz nazajutrz, nie myśląc wcale o zwiedzaniu miasta, postanowił Ben-Hur odszukać mieszkanie Simonidesa; w tym celu wszedł przez silnie obwarowaną bramę w ulicę wiodącą na most Seleucyjski. Z niemałym trudem wydostał się z tłumu i znalazł się na szerokim wybrzeżu położonym poniżej mostu; zaskoczył go tam dziwny widok.

Blisko, tuż przy moście stał dom kupca. Na zewnątrz wyglądał jak stos sinych, nieobrobionych gładów, bez żadnego stylu, podobny, jak słusznie mówił podróżny, do skarpy wzmacniającej łuki mostu. Dwoje ogromnych drzwi łączyło legarami tę dziwną budowę z wybrzeżem, a kilka silnie okratowanych otworów pod dachem stanowiło okna. Wśród szpar między kamieniami rosły chwasty, a gdzieś tam porastał ciemnymi kępami mech, odbijając się barwą od szarego tła kamieni. Drzwi stały otworem, przez jedno wnoszono, przez drugie wynoszono towary, a pośpiech znać było we wszystkim.

Na wybrzeżu leżały stosy różnego rodzaju juków, worów, pak, a wśród nich gromady niewolników zajętych pracą.

Na wodach rzeki, pod mostem, stała cała flota galer, na jedne ładowano towary, z drugich wyładowywano. Żółte chorągiewki powiewały z każdego statku, podczas gdy ludzie zajęci handlem biegali od jednego do drugiego okrętu.

Po drugiej stronie mostu wznosiły się mury, sterczały fantastyczne szczyty, wieżyczki owych rzymskich pałaców, które, jak mówił ów podróżujący Żyd, zajmowały każdą piędź ziemi tej ulubionej przez Rzymian wyspy. Nie zatrzymały one uwagi Ben-Hura, myślał tylko, że nareszcie usłyszy o swej rodzinie, jeśli Simonides był rzeczywiście sługą jego ojca. Czy tylko zechce się przyznać do tych stosunków? Przyznanie się do nich było zarazem wyrzeczeniem się bogactw i potęgi kupieckiej tak sławnej i znanej na lądzie i na morzu. Naturalnym i dalszym tegoż następstwem musiałoby być opuszczenie stanowiska w najświetniejszej chwili i dobrowolny powrót do niewoli, Ben-Hur czuł dobrze trudność położenia.

Mimo, że położenie to dobrze rozumiał, nie tracił odwagi, którą czerpał w przeświadczeniu w swe prawa. Jeśli historia, którą słyszał, była prawdziwa, Simonides wraz ze swym majątkiem był jego własnością. Co prawda, o bogactwa nie chodziło mu wcale i dlatego postanowił dać mu wolność i nie żądać obrachunku, byleby mu powiedział cośkolwiek o losie matki i Tirzy.

Uspokojony tą myślą, wszedł do domu.

Wnętrze wyglądało, jak skład najróżnorodniejszych towarów, a chociaż było mało światła i powietrze duszne, ludzie pracowali tam rażno przy świetle latarni. Wśród składających towary widział i takich, którzy zbijali skrzynie, mające się ładować na statki. Wąskim przejściem wśród rozstawionych skrzyń i worów szedł wolno, myśląc nad tym, czy rzeczywiście człowiek, którego uzdolnienia tak wiele miał przed sobą dowodów, mógł być niewolnikiem jego ojca? Jeśli tak, do jakiej należał klasy? Był Żydem i synem sługi? A może dłużnikiem lub jego synem? Kto wie, może był złodziejem i jako taki został w niewolę za kradzież sprzedany? Podobne myśli nie zmniejszały jednak uznania dla kupca, ale zwiększały ją z każdą chwilą.

Po długim i mozolnym przesuwaniu się pośród towarów, wszedł nareszcie po schodkach na dach owego głównego składu towarów i ujrzał przed sobą na jego dachu drugi dom, zupełnie niewidzialny od frontu, bo go zasłaniał filar mostu. Dach ów był podobny do tarasu, zwłaszcza, że był pełen kwiatów. Od tego pięknego otoczenia odbijał niby olbrzym kwadratowy dom o jednym tylko otworze to jest bramie, do której wiodła wśród rozkwitłych krzaków perskich róż starannie utrzymywana ścieżka. Ben-Hur postępował za przewodnikiem i oddychał słodką wonią kwiatów.

Minąwszy długi, ciemny korytarz, znaleźli się przed spuszczoną zasłoną, a przewodnik zawołał:

– Cudzoziemiec pragnie widzieć się z panem.

Czysty, dźwięczny głos odpowiedział z wewnątrz: Niech wejdzie w imię Boga.

Rzymianin nazwałby komnatę, do której wszedł gość, atrium. Ściany jej były podzielone na przedziały z półkami, niby nowożytnie biura, a każdy przedział napełniony był papierowymi zwojami o żółkłych od czasu i używania napisach. Pomiedzy przedziałami, pod i nad półkami, były listwy z białego niegdyś drzewa, teraz szerniałe i popsute, świadczące o ciągłym używaniu. Powyżej przedziałów widniał gzyms złożony, a nad nim wznosiło się sklepienie w załomy. Posadzkę pokrywał szary fryzyjski kobierzec, tak gruby, że noga prawie w nim tonęła, głośząc wszelki odgłos kroków.

W komnacie znajdowały się dwie osoby – mężczyzna spoczywający w krześle o wysokim oparciu, szerokich poręczach, miękkimi obłożony poduszkami; po lewej zaś jego ręce stała oparta o krzesło dorastająca dziewczyna. Na ten widok Ben-Hur uczył jak krew napłynęła mu do twarzy; chcąc przeto ukryć zmieszanie i okazać szacunek, schylił się głęboko. Tym sposobem nie spostrzegł wrażenia, jakie zrobił na obecnych i wzniesienia rąk, jakim go powitał siedzący. Zanim podniósł głowę, nagłe wzruszenie minęło równie szybko, jak przyszło, i zobaczył oboje w tej samej pozycji, z tą tylko zmianą, że ręka dziewczyny opadła

na ramię starca, a oboje przypatrywali mu się bacznie.

– Jeśliś Simonidesem i Żydem – tu chwilę zatrzymał się Ben-Hur – niech pokój Boga Abrahama, ojca naszego, będzie z tobą i twoimi.

– Jestem, o którym mówisz i Żydem z urodzenia – odpowiedział dziwnie dźwięcznym głosem. Ja, Żyd Simonides, pozdrawiam cię wzajemnie i proszę o oznajmienie mi, kogo przyjmuję?

Ben-Hur słuchał patrząc ze zdziwieniem, bo zamiast silnej postaci człowieka ujrzał raczej bezkształtną masę, wsuniętą w poduszki i pokrytą grubą, przeszywaną kołdrą z ciemnej materii. Na tym korpusie wznosiła się regularnych rozmiarów głowa – idealna czaszka zwycięzcy lub senatora, tak piękna, że mogłaby Michałowi Aniołowi służyć za model na Cezara. Białe włosy w cienkich kędziarach spadały ku białym brwiom, od których tym silniej odbijała ciemność oczu. Innymi słowy, głowa i twarz znamionowały męża, który raczej poruszyłby świat, niżby się dał poruszyć światu; męża któryby jeszcze dwanaście razy zniósł takie tortury, jak te, które go kaleką uczyniły, nie wymówiwszy słowa skargi, nie wydawszy jęku; męża, który zdołałby oprzeć się wszystkiemu – prócz miłości. Do takiego więc człowieka wyciągnął Ben-Hur otwarte ręce, jakby mu chciał ofiarować ten pokój, o który sam przyszedł prosić.

– Jestem Juda, Syn Itamara, ostatniego z domu Hurów, księcia Jerozolimy.

Prawa ręka kupca, spoczywająca na kołdrze, długa, chuda, świadcząca o przebytych cierpieniach, zamknęła się na te słowa kurczowo. Poza tym nic nie zdradziło w nim jakiegoś wewnętrznego uczucia, bo odpowiedział spokojnie.

– Chętnie widzę w moim domu książąt Jerozolimy czystej krwi. Estero, podaj młodzieńcowi siedzenie.

Dziewczyna przysunęła taboret; a gdy podniosła głowę, oczy ich spotkały się.

– Pokój Pana z tobą – rzekła skromnie – siądź i spocznij. Zajmując dawne swe miejsce przy krześle, nie starała domyślać się celu, w jakim przybył. Domyślność, cenna cnota nie-

wieścicia, wtedy nabiera wartości, gdy litość i miłosierdzie są jej źródłem. Ta właściwość jest główną duchową różnicą między mężczyzną a kobietą, jeśli uczucia te nie są jej obce. Estera odgadła więc, że zadaniem jej będzie leczyć ranę, którą życie nowo przybyłemu zadało.

– Ben-Hur nie usiadł, ale rzekł z uszanowaniem: Szlachetny Simonidesie, śmiem prosić cię, abyś mnie nie uważał za natręta. Wczoraj, płynąc na statku, usłyszałem, iż znalazłeś mego ojca.

– Tak jest, znałem księcia Hura. Byliśmy współnikami w przedsiębiorstwach dozwolonych kupcom, a tym wolno ciągnąć zyski z morza i pustyni. Usiądź więc, proszę, a ty, Estero, podaj gościowi czarę wina. Nehemiasz wspomina jednego z domu Hurów, mówiąc, iż posiadał pół Jerozolimy; zaprawdę, wielce to stary ród! Jeszcze za dni Mojżesza i Jozuego kilku z nich znalazło łaskę w obliczu Boga, a tym samym cieszyło się Jego względami. Jeśli więc jesteś prawdziwym potomkiem tej rodziny, niepodobna, abyś wzgardził czarą prawdziwego sorehu, wzrosłego na południowych wzgórzach Hebronu.

Gdy skończył, Estera stała już przed Ben-Hurem z pełnym pucharem wina. Dziewczyna podawała napój ze spuszczonego oczyma, a on odbierając puchar, dotknął lekko jej ręki. Spojrzania ich spotkały się po raz wtóry, a on zauważył, że postać jej była drobna, gdyż sięgała zaledwie jego ramienia, i mimo to, a może właśnie dlatego była bardzo zręczna; twarz zaś jej jaśniała urodą i słodyczą, oczy świeciły łagodnym blaskiem. Toteż młodzieniec pomyślał, że jest ładna i dobra i że tak wyglądałaby Tirza, gdyby żyła, biedna Tirza! Głośno zaś rzekł:

– Czy kupiec ten twoim jest ojcem?

– Jestem Estera, Simonidesowa córka – rzekła z godnością.

– Ojciec twój nie weźmie mi za złe, że się wstrzymam od przyjęcia tego kielicha z twoich rąk i nie skosztuję płynu, który zawiera, dopóki nie wysłucha do końca moich słów. Mam również nadzieję, że i twojej nie stracę łaski; dlatego stań, proszę, obok mnie.

Estera uczyniła, jak żądał, oboje zwrócili się do kupca, a młodzieniec rzekł głosem, który cechował pewność siebie:

– Ojciec mój umierając, miał przy sobie wiernego sługę twego nazwiska, Simonidesie; powiedziano mi, że ty nim byłeś.

– Estero, Estero! – zawołał kupiec surowo – tu, nie tam. Jako dziecię twjej matki i moje, zostań przy mnie; przy mnie jest twoje miejsce.

Dziewczyna powiodła okiem z ojca na gościa: wolno postawiła puchar na stole i posłusznie stanęła przy krześle. Zachowanie jej było pełne zdziwienia i przestachu.

Simonides podniósł lewą rękę, a biorąc jej dłoń spoczywającą na jego ramieniu, rzekł spokojnie: postarzałem się wśród stosunków z ludźmi – postarzałem przedwcześnie. Jeśli ten, który ci mówił to, o czym wspomniałeś, był moim przyjacielem i znał dobrze dzieje mego życia, a sądził mnie pobłaźliwie, to chyba zrozumiesz, że muszę być podejrzliwym i niedowierzającym! Niech wielki Bóg Izraela wspiera tego, kto u schyłku życia ma zdawać sprawę ze swego postępowania. Ukochanych mam mało, ale ich mam, a wśród nich jest jedna dusza, która – tu podniósł spoczywającą na ramieniu rękę do ust – która dotąd niepodzielnie należała do mnie, i taką była mi pociechą, że zeszedłbym do grobu, gdyby mi ją zabrano.

Estera schyliła głowę dotykając policzkiem jego twarzy.

– Inna moja miłość, to tylko wspomnienie, ale mogę o niej powiedzieć, że jest jakby błogosławieństwem Bożym, gdyż obejmuje całą jedną rodzinę – tu głos kupca zniżył się i zadrżał – gdybym tylko wiedział, gdzie ich szukać!

Twarz Ben-Hura zapłonęła rumieńcem, i zawołał gwałtownie: matka moja i siostra, wszak o nich mówisz?

Estera spojrzała na niego, jak gdyby do niej zwracał swe słowa, ale Simonides uspokoił się i odrzekł chłodno:

– Posłuchaj do końca. Ponieważ jestem tym, czym jestem, muszę w imię ukochanych, o których mówię, zanim odpowiem na pytanie twoje dotyczące się moich stosunków z księciem

Hurem, żądać od ciebie dowodów, kim ty jesteś. Ta sprawa musi poprzedzić tamtą. Mów, czy masz pisemne świadectwo lub żyjących świadków?

Pytanie to było słuszne i Simonides miał niezaprzeczone prawo je zadać, niemniej Ben-Hur poczerwieniał i odwrócił się niepewny. Simonides nie przestawał nalegać, mówiąc:

– Dowody, dowody, mówię. Pokaż je – daj mi je w rękę.

Ben-Hur, niestety, nie miał na to odpowiedzi, nie spodziewał się takiego żądania; a teraz, kiedy żądano od niego dowodów, nie posiadał ich: matka i siostra nie istnieją i nikt zresztą nie wie, że on żyje. Wprawdzie znało go wielu, ale cóż to znaczy! Gdyby nawet Kwintusz Ariusz był tu obecny, cóżby mógł więcej powiedzieć niż to, że go znał i że wierzył, iż był synem Hura? Zresztą ten dzielny Rzymianin nie był już między żyjącymi. Juda czuł się zawsze osamotniony, ale teraz uczucie to ogarnęło go zupełnie. Stał z zaciśniętymi rękoma, odwróconą twarzą, zdrętwiały z bóleści. Simonides szanując każde cierpienie, czekał w milczeniu.

– Simonidesie – ozwał się na koniec młodzieniec – na potwierdzenie mego wyznania mógłbym jedynie opowiedzieć dzieje mego życia; ale nie uczynię tego, jeśli mi nie przyrzeczesz wstrzymać się od wszelkiego sądu i nie zechcesz mnie słuchać bez uprzedzenia.

– Mów tylko śmiało – odrzekł Simonides – mów, ja słuchać będę tym chętniej, że nie przeczyłem, jakobyś nie był tym, kim się mienisz.

Ben-Hur opowiedział więc swoje życie pokrótce, z taką wymową, jaką daje poczucie prawdy i przeświadczenia. Przytaczamy dalszy ciąg jego losów, gdyż część, aż do przybycia do Misenum, jest Czytelnikowi już znana.

– Cesarz kochał i szanował mego dobroczyńcę, obsypując go bogatymi dary, które pomnażali jeszcze kupcy ze Wschodu, tak że stał się najbogatszym wśród najbogatszych. A jednak, czy zdoła Żyd zapomnieć swej wiary lub miejsca urodzenia, zwłaszcza jeśli jest nim Święta Ziemia ojców naszych? Zaczny ten człowiek przyjął mnie za syna, stosownie do ustaw i praw swego narodu; ja zaś pragnąłem odwdziżyć mu się i zaiste nie było chyba dziecka, które więcej by szanowało ojca, niż ja jego. Pragnął widzieć mnie uczonym: chciał mi dać najslawniejszych nauczycieli sztuki, filozofii, wymowy. Odmówiłem, bo czy jako Żyd mogłem zapomnieć Pana Boga, chwałę proroków lub świętego grodu na wzgórzach, stolicy Dawida i Salomona? Spytasz może, czemu przyjąłem dobrodziejstwa Rzymianina? Kochałem go, a prócz tego spodziewałem się za jego pomocą i potężnym wpływem zgłębić tajemnicę okrywającą los matki i siostry. Oprócz tego obowiązku miałem jeszcze drugi cel, o którym nie mówiłbym wcale, gdyby mnie nie opanował – poświęciłem się sztuce wojennej. Walczyłem nie tylko w szkołach szermierki i w cyrkach, ale w polu i obozie, a wszędzie zdobyłem rozgłos dla mego imienia, lecz imię to nie było imieniem mych ojców. Wieńce (a jest ich wiele na murach willi w pobliżu Misenum) odbierałem jako syn duumwira, i tylko jako taki jestem znany Rzymianom. Dla tego drugiego celu, opuściłem Rzym i przybyłem do Antiochii w zamiarze towarzyszenia konsulowi Maksencjuszowi w przygotowywanej wyprawie przeciwko Fartom. Ponieważ jestem już mistrzem we władaniu bronią, pragnę jeszcze nauczyć się strategii. Konsul dopuścił mnie do swego najbliższego otoczenia. Tymczasem, gdyśmy wczoraj wpłynęli na wody Orontesu, spotkaliśmy dwa statki z żółtymi flagami; a pewien towarzysz podróży, współwyznawca z Cypru, powiedział nam, że twoją są własnością, opowiedział też pokrótce twoje dzieje. Mówił o twoim szczęściu w handlu, o licznych karawanach i ich cudownych przygodach; a nie przypuszczając jak bardzo mnie to obchodzić może, wspominał: żeś Żydem i dawnym sługą księcia Hura. Znane mu też było zdarzenie z Gratussem i jego względem ciebie okrucieństwa i ich przyczyna.

Na to wspomnienie Simonides pochylił głowę, córka zaś chcąc złagodzić jego boleść, czy ukryć swe podwójne współczucie, przytuliła głowę do piersi ojca, który zaraz podniósł oczy i rzekł czystym, rzewnym głosem:

– Słucham.

– Widzę zacny Simonidesie – mówił Ben-Hur, przysuwając się ku niemu, a całą duszę zdawał się wlewać w te słowa – widzę że cię nie przekonałem i że cień podejrzenia pada jeszcze na mnie.

Nie wzruszyło to kupca, nie wyrzekł ani słowa, był zimny jakby wykuty z marmuru.

– Widzę jasno trudności mego położenia – ciągnął dalej Ben-Hur – wszystko, co mówię z czasu mego pobytu w Rzymie, mogę udowodnić; dość mi odwołać się do konsula, goszczącego obecnie w waszym mieście, ale, niestety, nie mogę dostarczyć dowodu, którego żądasz. Nie mam nic, co świadczyłoby, że jestem synem mego ojca; a ci, którzy mogliby mi pomóc, może zgubieni – a może umarli!

To mówiąc, zakrył twarz rękoma; Estera wstała, a podając mu wzgardzony puchar, rzekła:

– Oto wino z krainy, którą kochamy wszyscy, wypij proszę! Głos ten był słodki, niby głos Racheli czerpiącej wodę ze studni pod Naborem, a oczy jej pełne łez, co widząc Juda, wypił i rzekł:

– Córkko Simonidesa, serce twe pełne dobroci i miłosierdzia, kiedy je wraz z ojcem okazujesz nieznanemu. Bóg nasz niechaj ci błogosławi. Dziękuję ci.

Potem, zwróciwszy się do kupca, mówił dalej:

– Nie mając dowodów cofam zadane ci pytania i odchodzę, nie chcąc dłużej cię trudzić. Jednak, zanim odejdę, powiedzieć muszę, iż nie miałem zamiaru zamienić cię w sługę, ani czyniłem to dla majątku. Cokolwiek byś mi wyznał, odpowiedziałbym: zachowaj owoce twego rozumu i pracy, używaj ich w spokoju – nie potrzebuję ich. Gdy sprawiedliwy Ariusz odpływał w podróż, która miała być jego ostatnią, uczynił mnie spadkobiercą swego książęcego mienia. Jeśli więc kiedy pomyślisz o mnie, pamiętaj, że ci jedno tylko stawiałem pytanie, które przysięgam na proroków i Jehowę, twój i mój Boga, było jedynym celem mego tutaj przybycia. Pytałem cię: co wiesz i możesz mi powiedzieć o mojej matce i mojej siostrze Tirzy – Tirzy, która w piękności i wdzięku podobna była do tej, która jest osłodą twego żywota. Pytam raz jeszcze, powiedz, co wiesz o nich!

Łzy płynęły po licach Estery, ale ojciec zdawał się być nieubłagany i odrzekł spokojnym głosem:

– Powiedziałem, że znałem księcia Hura; słyszałem o nieszczęściach jego rodziny i dziś jeszcze czuję boleść, której na wieść tę doznałem. Sprawca ich niedoli stał się później moim prześladowcą; co więcej, robiłem najstaranniejsze poszukiwania, nie zaniedbałem niczego, aby ich odszukać, wszystko na próżno – nie ma ich!

Ben-Hur westchnął głęboko.

– A więc i ta nadzieja stracona! – rzekł, walcząc z boleścią – przywykłem do zawodów. Daruj, proszę, mojemu natręctwu; a jeśli cię obraziłem, przebaczone, pomnąc na me cierpienia. Prócz zemsty, nie mam już w życiu innego celu.

Bywajcie zdrowi!

Doszedłszy do kotary osłaniającej wejście, obrócił się raz jeszcze i rzekł:

Dzięki wam obojgu!

– Pokój niech będzie z tobą – rzekł kupiec.

Estera zanosila się od łkania, a on zniknął za zasłoną.

Zaledwie Ben-Hur opuścił komnatę, ocknął się Simonides, jakby ze snu, oblicze ożywiło się, przyćmione światło oczu zabłysło w całej pełni i rzekł promiennie radością:

– Estero, zadzwoń, a prędko!

Dziewczyzna, zbliżywszy się do stołu, zadzwoniła.

Równocześnie jeden z przedziałów ściany usunął się i ukazały się drzwi w murze, przez które wszedł człowiek i pokłoniwszy się nisko, zbliżył się do kupca.

– Zbliź się, Malluchu – mówi pan głosem przyspieszonym. – Powierzam ci poselstwo, które musisz spełnić, choćby nawet słońce zagasło. Słuchaj: przez skład towarów przechodzi teraz młodzieniec wysoki, zręczny i po izraelsku ubrany; idź za nim, cień jego niech mu nie

będzie wierniejszy od ciebie. Co wieczór doniesiesz mi, gdzie jest, co robi, w jakim przebywa towarzystwie; rób to tak – abyś bez obawy zdradzenia się mógł słyszeć jego rozmowy; powtórzysz mi je dokładnie, tak jak i wszystko, co mi może dać poznać jego zwyczaje i usposobienie. Rozumiesz, czego chcę? A teraz idź, a gdyby miał opuścić miasto, towarzyszy mu, a pamiętaj że jestem mu przyjacielem. Gdybyś z nim wdawał się w rozmowę, mów o wszystkim, poza tym, żeś moim sługą. A teraz spiesz się – spiesz!

Człowiek skłonił się i zniknął.

Simonides śmiejąc się, zatarł wyschłe ręce.

– Co to za dzień, córko moja – rzekł – co za dzień, chcę go zapamiętać dla jego szczęśliwości. Z uśmiechem zapisz tę datę i w radości zapamiętaj go, Estero.

Wesołość ta zdawała się jej dziwna, a chcąc zwrócić uwagę na jej niestosowność, odparła smutnie:

– Biada mi, jeślibym kiedy dzień ten zapomnieć miała!

– Zaiste, masz słuszość, córko moja! – rzekł, patrząc na nią – bo dziś dwudziesty dzień czwartego miesiąca. Tego dnia pięć lat temu twoja matka” droga moja Rachel, padła na ziemię i żyć przestała. Gdy mnie takim kaleką, jak jestem, do domu przyniesiono, zastałem ją, umarłą z boleści i przerażenia. Była mi ona jak krzak mirry, jak zapach nardu, wypełniające dni mego żywota. Pogrzebaliśmy ją w pięknym miejscu, w grobie wykutym w górze skalistej... spoczywa tam samotna. Odchodząc pograżyła mnie w ciemności, lecz poprzez noc smutku przedarło się trochę światła, wzrosło ono z latami i stało się jasnością poranka. Dzięki Ci, Panie, że w mojej Esterze żyje Rachel, którą utraciłem:

Po chwili wznosił głowę i rzekł w zamyśleniu:

– Czy dzień dzisiejszy nie jest jasny?

– Był jasnym, gdy wszedł tu młodzieniec.

– Przywołaj Abimelecha, aby zniósł mnie do ogrodu, bym mógł widzieć rzekę i statki. Tam powiem ci, czemu usta moje pełne są uśmiechu, język mój pełen śpiewu, a umysł podobny jagnięciu igrającemu na łące.

Na odgłos dzwonka wszedł sługa i na rozkaz Estery przewiózł krzesło na kółkach aż na dach niższego domu, zwany ogrodem. Wśród róż i kwiatów starannie pielęgnowanych, ustawiono krzesło tak, aby starzec mógł widzieć szczyty pałaców z przeciwległej wyspy, koniec mostu i dalsze wybrzeże, a na ruchliwych wodach rzeki rój okrętów, mieniących się w słońcu rozmaitymi barwami. Służący zostawił ich samych.

Hałas robotników i zgłęb tłumy przechodniów na moście znajdującym się ponad jego głową, nie przeszkadzały wcale Simonidesowi; nawykł on do nich i były mu równie obojętne jak otaczający go widok, o tyle tylko zajmujący, o ile zysk obiecywał.

Estera siedząc na poręczy krzesła, gładziła rękę ojca i czekała na opowiadanie, które, zdobywszy siłą woli potrzebny do tego spokój, tak rozpoczął.

– W czasie opowiadania tego młodzieńca pilnie śledziłem, jakie wrażenie zrobił na tobie i zdaje mi się, że zdołał cię pozyskać.

– Jeśli, mój ojcze, pytasz, czy mu wierzę, to odpowiem, że tak.

– Dla ciebie jest on więc zaginionym synem księcia Hura.

– Jeśli nim nie jest – tu zawahała się.

– A jeśli nim nie jest, Estero?

– Byłam, ojcze, twą służebnicą od czasu, kiedy Pan powołał matkę moją, u twego boku słyszałam i widziałam wiele, a wszystko, to nauczyło mnie podziwiać twą mądrość w postępowaniu z różnymi ludźmi szukającymi sprawiedliwego zysku. Dlatego powiem, że – jeśli młodzieniec ten nie jest księciem, którym się być mieni – to nigdy kłamstwo nie było podobniejsze prawdzie.

– Na chwałę Salomona, córko moja, to co mówisz, ważne jest. Wierzysz więc zarazem, że ojciec twój był sługą jego ojca.

– O tym, zdaje mi się, mówił jako o rzeczy zasłyszanej. Jakiś czas wzrok Simonidesa zatrzymał się na okrętach, mimo że w tej chwili wcale o nich nie myślał.

– Jesteś dobrym dzieckiem, Estero, i posiadasz iście izraelską przebiegłość, a wiek twój daje ci też prawo i siłę słyszenia smutnych dziejów mego żywota. Słuchaj więc, a będę ci mówił o matce, sobie i innych minionych zdarzeniach, których nie znasz. Zdarzenie to tajono zarówno przed moimi rzymskimi prześladowcami, jak przed tobą, aby dusza twoja urosła jako kwiat do słońca. Urodziłem się w dolinie Hinonu na południowym stoku góry Syjon. Rodzice moi byli izraelskimi niewolnikami hodującymi figowe i oliwne drzewa oraz winnice królewskie opodal stawu Siloa. W dziecinnych latach pomagałem im, a że należeli do klasy ludzi na wieczną niewolę skazanych, sprzedano mnie księciu Hurowi, który po Herodzie był najbogatszym i najznakomitszym w Jeruzalem. Najpierw pracowałem w ogrodzie, potem pan mój przeniósł mnie do swego składu towarów w Aleksandrii w Egipcie, gdzie doszedłem pełnoletności. Jako pełnoletni, służyłem mu lat sześć, w siódmym roku, stosownie do praw Mojżesza, miałem zostać wolnym.

Estera z lekka klasnęła w dłonie.

– A więc nie jesteś niewolnikiem jego ojca!

– Słuchaj dalej, córko moja, i dowiedz się, że byli w owym czasie w przedświątecznych uczeniach w Piśmie, którzy występowali przeciwko temu prawu i twierdzili, że dzieci w niewoli zrodzone, mają pozostać w stanie swych rodziców. Powstały spory między uczonymi, ale książę Ben-Hur, najsprawiedliwszy z ludzi, przestrzegający prawa Zakonu, wiedział, że jestem kupionym hebrajskim sługą i stosownie do ducha prawa, otrzymałem wolność na mocy pisanego i opieczętowanego dokumentu, który dotąd posiadam.

– A moja matka? – pytała Estera.

– Za chwilę powiem, córko, i przekonasz się, iż snadniej mi było zapomnieć o sobie, niż o niej. Przy końcu mej służby przybyłem do Jerozolimy, aby uroczystie święcić Wielkanoc. Pan mój podejmował mnie już jako gościa; pokochałem go jeszcze serdeczniej i prosiłem, aby mnie przyjął między swe sługi. Zgodził się i służyłem mu wiernie drugie lat siedem, ale już jako płatny najemnik z narodu izraelskiego. W jego imieniu i zastępstwie odbywałem w interesach liczne podróże morskie na okrętach i lądowe karawanami na Wschód. Byłem w Suzie, Persepolis i jeszcze dalej, aż w krajach jedwabiu (w Chinach). Były to, moja córko, nieraz bardzo niebezpieczne podróże, ale Pan błogosławił mi we wszystkim. Wielkie były zyski, które przywoziłem panu, ale większą była mądrość, którą zdobyłem sobie, a ona to dopomagała mi do objęcia tego, co mi przypadło... Pewnego dnia gościłem w domu pana mego w Jeruzalem; w czasie uczty weszła służąca, niosąc na tacy kilka bułek i kawałków chleba, a najpierw zbliżyła się do mnie. Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem i pokochałem twoją matkę, zabierając w dalekie strony miłość w sercu. Miłość ta rosła ciągle, a po jakimś czasie prosiłem księcia, aby mi ją dał za żonę. Od niego dowiedziałem się, iż była niewolnicą na wieki, jednak, jeśli ona zechce, uwolni ją, aby mi dogodzić. Ona mnie kochała, ale tak się czuła szczęśliwą w swoim stanie, że nie chciała przyjąć wolności. Błagałem i namawiałem, odjeżdżałem i wracałem w długich odstępach czasu, wszystko na próżno. Zawsze odpowiadała mi, że zostanie moją żoną, ale wtedy, gdy się stanę towarzyszem jej niewoli. Jeśli nasz praojciec Jakub służył dla swej Racheli dwa razy po siedem lat, czemużbym nie miał tego uczynić dla mojej? Ale matka twoja chciała więcej, żądała bowiem, abym się stał niewolnikiem na całe życie. – Odszedłem oburzony, ale wróciłem, bo oto patrz! Mówiąc to, odwrócił dolną część muszli usznej.

– Widzisz bliznę, którą zostawiło żelazo?

– Widzę, i rozumiem, jak miłowałaś moją matkę?

– Czy ją miłowałem, Estero! Droższa mi była niż Sulamitka Królowi-psalmiście, piękniejsza i czystsza nad wody wodotrysków zdobiące książęce ogrody, nad źródła żywej wody, nad strumienie Libanu. Na moje prośby pan mój zawiódł mnie do sędziów, a potem przed dom swój, gdzie

do drzwi przybił żelaznym sztydłem ucho moje, przez co wróciłem do niewoli i zostałem własnością pana na wieki. Tak zdobyłem moją Rachelę. Czy widziano kiedy miłość równą mojej?

Estera, schyliwszy się, objęła go rękoma i dłuższy czas w milczeniu myśleli tak złączeni o zmarłej.

– Pan mój zatonął na morzu; była to pierwsza boleść w moim domu – mówił dalej kupiec. Żałobą okrył się dom jego w Jerozolimie; mój w Antiochii, bo wówczas była ona już miejscem mego zamieszkania. Po śmierci zacnego pana zostałem głównym zarządcą jego majątku i posiadłości. Osądź więc, jak bardzo mnie kochał i jak mi ufał! Pospieszyłem do Jerozolimy, aby wdowie zdać rachunki, a ona zostawiła mi rządy. Ze zdwojoną gorliwością oddałem się pracy, a w interesach powodziło się dobrze i majątek się powiększał. Dziesięć lat minęło; wtedy spadło nieszczęście, o którym wspominał młodzieniec, zwać je wypadkiem prokuratora Gratusa. Rzymianin uważał to za zamach na jego życie i pod tym pozorem zabrał, za pozwoleniem Rzymu, ogromny majątek wdowy i dzieci. Nie poprzestał na tym. Bojąc się, aby kiedy wyrok nie był cofnięty, usunął wszystkich członków rodziny. Od tego strasznego dnia do dziś nie istnieje rodzina Hurów. Syna, którego dzieckiem widziałem, skazano na galery; wdowę i córkę zamknięto prawdopodobnie w jakimś lochu któregoś z grodów judejskich, a wiadomo, że takie więzienie jest raczej zamkniętym i zapieczętowanym grobem. Zeszli z oczu ludzkich, jakby ich pochłonęło morze. Nie dojdzie uszu naszych wieść, jak umarli, ani nawet – czy umarli.

Oczy Estery zalały się łzami.

– Dobre masz serce, Estero, dobre jak niegdyś twoja matka – oby nie zazała losu wielu dobrych serc, oby je nie podeptali niemiłosierni i okrutni. Ale słuchaj dalej. U dałem się do Jerozolimy, aby się dowiedzieć o mojej dobrodziejce, ale u bram miasta chwycono mnie i wtrącono do więzienia w twierdzy Antonia. Za co? nie wiedziałem, dopóki sam Gratus nie przyszedł, żądając pieniędzy Hurów, o których wiedział, że żydowskim zwyczajem mogą być, na wystawiony przeze mnie weksel, ściągnięte z całego świata. Żądał, abym podpisał jego rozkaz i poczynił stosowne kroki do zgromadzenia i odebrania sum. Odmówiłem. Czyż nie posiadał już domów, ziemi, dóbr, okrętów, wszystkich ruchomych majątności tego, który był moim panem? Miałże jeszcze posiąć pieniądze? – Nie! – Wiedziałem, że jeśli Bóg pobłogosławi, potrafię odbudować ich majątek; odmówiłem więc spełnienia życzenia tyrana. Skazał mnie na tortury; silną wolą zdołałem je znieść, on nie zyskał nic, a ja wróciłem do domu i zacząłem handel w imieniu Simonidesa z Antiochii, a nie Ben-Hura z Jerozolimy. Wiesz, Estero, jak mi się wiodło, wiesz, że miliony księcia rosły cudownie w moim ręku; wiesz także, jak w trzy lata później schwytano mnie na drodze do Cezarei i wtrącono znów do więzienia. Gratus chciał mnie torturami zmusić do przyznania, że moje majątności i pieniądze podlegały jego zaborowi; wiesz, że i to mu się nie udało. Kaleką wróciłem do domu i zastałem Rachelę umarłą ze zmartwienia i zgryzoty; ale Pan, Bóg nasz, panuje, bo jestem żywy. Od samego cesarza kupiłem sobie przywilej i pozwolenie handlowania na całym świecie. Dziś, niech będzie pochwalony Bóg, który w Niebie tron Swój buduje i wiatrami kieruje! Dziś, Estero, to czym zarządzałem, pomnożyło się w talenty, których starczy na wzbogacenie nawet samego Cezara.

Z dumą podniósł głowę, oczy ich spotkały się i wyczytali w nich wzajemnie swoje myśli.

– Co mam czynić z tym skarbem, Estero? – zapytał wreszcie, nie spuszczać z niej oczu.

– Ojczy – odparła cichym głosem – czyż właściciel nie pytał właśnie o niego?

Spojrzenie jego jasne i czyste spoczywało ciągle na córce.

– A ciebie, moje dziecko, mam w nędzy pozostawić?

– Nie jestem twoim dzieckiem, a jego niewolnicą? Czy nie mówi Pismo o mężnej niewieście: siła i godność strojem jej i przyszłość na tym zbuduje.

Promień niewysłowionej radości rozjaśnił twarz jego i rzekł:

– Pan Bóg w rozmaity sposób obdarował mnie, ale ty, Estero, jesteś najdoskonalszym darem Jego ręki.

Mówiąc to, przycisnęła ją do piersi i okrywał pocałunkami.

– A teraz – mówił dalej – dowiedz się, czemu dziś rano się śmiałem. Młodzieniec ten, to obraz ojca swego w młodości. Duch mój pragnął go powitać; czułem, że minęły dni smutku i próby, zaledwie zdołałem powstrzymać okrzyk radości, a ręce pragnęły ująć go i pokazać wielkie i potężne zyski, usta chciały wyrzec: oto wszystko twoje, a ja służę twym, gotowym do odejścia. I wierz, Estero, byłbym to uczynił, gdyby mnie trzy myśli nie były wstrzymały. Najpierw postanowiłem przekonać się, czy to rzeczywiście syn mego pana; jeśli zaś nim jest, muszę poznać jego duszę. Pomyśl tylko, Estero, ilu wśród tych, co się urodzili bogatymi, umie używać dostatków; ilu jest takich, w których ręku bogactwo przynosi tylko przekleństwo. – Tu się zatrzymał, ręce zadrżały, głos stał się namiętny. – Zważ, Estero, straszne cierpienia, jakich doświadczyłem z rąk Rzymian – gdy oni śmiali się, słysząc moje jęki. Przypatrz się memu połamanemu ciału i przypomnij lata przeżyte w ułomnej i jakby obcej postaci; wspomnij o matce złożonej w samotnym grobie, z duszą równie złamaną jak moje ciało; zastanów się nad cierpieniami rodziny mego pana, jeśli kto z nich żyje; nad okropnościami, które musiały poprzedzić ich zgon, jeśli już żyć przestali: rozważ to wszystko i powiedz, zaklinam cię na miłość Nieba, czy być może, aby nie miał spaść ani włos z głowy, ani kropla krwi na zadośćuczynienie i karę za tak strasliwą zbrodnię? Nie mów do mnie słowami kapłanów – nie mów, że zemstę zostawił sobie Pan. Wszakże On sam karze lub nagradza po Swej woli, wszak liczniejszych ma wojowników niż proroków. Albo czyż nie od niego pochodzi prawo: oko za oko, ręka za rękę, noga za nogę! Ach, o zemście marzyłem całe lata, modliłem się o nią, przygotowywałem ją. W zwiększającym się mieniu czerpałem cierpliwość, myśląc i obiecując sobie, że jako żywo, tym bogactwem kupię karę na złoczyńców. Toteż, gdy młodzieniec mówił o ćwiczeniu się w wojennym rzemiośle i o tajemnym celu, odgadłem, że tym celem jest zemsta! Tak, Estero, trzecia myśl, która mnie uczyniła twardym na jego prośby, chociaż napełniła radością po jego odejściu, to myśl o zemście.

Estera pieszcząc jego zwiędłe ręce, zdawała się uprzedzać myślą okoliczności i rzekła: Odszedł, a czy powróci?

– Wierny sługa mój Malluch jest z nim i przywiedzie go na czas.

– A rychło to będzie, ojcze?

– Niedługo. On sądzi, że wszyscy świadkowie wymarli; tymczasem żyje jeszcze ktoś, kto pozna, czy jest on synem mego pana.

– Czy jego matka?

Nie. moja córka, postawię tego świadka przed obliczem jego; tymczasem ufajmy Panu. – Zmęczyłem się, przywołaj Abimelecha.

Estera uczyniła zadość woli ojca i wrócili do domu.

ROZDZIAŁ XV

Ben-Hur opuścił dom kupca z przekonaniem, że do dawnych rozczarowań przyjdzie mu doliczyć nowe; im droższa mu były matka i siostra, tym ciężej myśl o nich go przygniałała. Opanowała go wraz z poczuciem zupełnego osamotnienia na tej ziemi, które więcej niż każde inne czyni ludzi obojętnymi na wszystko, co ich otacza.

Z trudnością precyzyjnie się wśród ludzi i skrzyń z towarami i wyszedł na wybrzeże. W tej chwili przyszły mu na myśl słowa podróżnego: lepiej być robakiem i żywić się morwami Dafny, niż gościem u stołu królewskiego. Odwrócił się i poszedł spiesznym krokiem do oberży.

– Pytasz o drogę do Dafny? – rzekł stróż zdziwiony pytaniem Ben-Hura. – Więc nie byłś tu nigdy? Zaprawdę, nazwij dzień dzisiejszy najszczęśliwszym w życiu! Nie bój się zbłądzić. Pierwsza droga na lewo w kierunku południowym wiedzie prosto na górę Sulpius, na której szczycie ujrzesz świątynię Jowisza i amfiteatr. Stamtąd idź prosto aż do trzeciej krzyżującej się drogi zwanej kolonadą Heroda, od której zwróć się na prawo i idź w tym kierunku aż do bramy Epifanesa, skąd już droga sama zawiedzie cię do Dafny. Niech cię strzegą bogowie!

Zarządziwszy swym bagażem, ruszył Ben-Hur w drogę.

Kolonadę Heroda znalazł łatwo, stamtąd przeszedł do spiżowej bramy, gdzie włączył się w tłum ludzi wszelkich narodów ziemi, trudniących się handlem.

Było koło czwartej godziny, cały tłum zdążył do sławnego gaju Dafny. Droga była podzielona dla pieszych, jeźdźców i wozów, jedna część dla dążących do gaju, druga wracających stamtąd.

Po obu stronach brzegu rozścielały się śliczne trawniki zdobne gdzieniegdzie grupami dębów i sykomorów. Przy drodze dla wracających znajdowały się piękne, winem ocienione domki, zapraszające do odpoczynku. Chodniki dla pieszych były wybrukowane czerwonymi, kamiennymi płytami, drogi zaś dla jeźdźców i wozów usypano z piasku, który był mocno ubity, że nie było słyhać ani turkotu, ani nawet stapania kopyt końskich. Niemalą ozdobą tych miejsc były wodotryski; zbudowali je rozmaici królowie, którzy zwiedzali tę okolicę, nadając jej swoje imiona. Cała ta piękna aleja ciągnęła się więcej niż cztery mile w kierunku południowo-wschodnim.

Głęboko pogrążony w myślach, nie zwracał Ben-Hur uwagi na otaczający go przepych, ani na tłum, z którym szedł. Ale i Rzymianie, zwiedzający tę prowincję, zachowywali się dość obojętnie; bo i cóż mogli widzieć piękniejszego, czego w doskonalszej formie nie widzieliby w Rzymie? Minał idące wolniej tłumy i doszedł do Heraklei, małej wioski w połowie drogi między miastem a gajem. Czując się trochę zmęczony, zwolnił kroku, wskutek czego zaczął się zajmować tym, co go otaczało. Zauważył, że ludzie, w tę samą stronę dążący, byli różnego wieku, płci i stanowiska, a wszyscy w świątecznych strojach. Jedni byli ubrani w szaty białe, inni w ciemne; jedni nieśli chorągwie, drudzy poruszali dymiącymi kadzielnicami; jedni szli wolno, śpiewając hymny, inni postępowali przy odgłosie muzyki fletni i bębnow. Jeśli ludzie w ten sposób co dzień odwiedzają gaj i grotę Dafny, jakże piękne musi być to miejsce! Uderzano w dłonie i słyszał radosne okrzyki, a patrząc w kierunku wyciągniętych rąk, ujrzał na wzgórzu drzwi poświęconej groty. Śpiewano głośniejsze, a muzyka stała się żywsza. Młodzieniec porwany ogólnym prądem, uniósł się zapałem, mimo że kształcony w Rzymie, nie był do tego skłonny.

Wejście stanowiła świątynia w czysto greckim stylu, przed nim znajdował się szeroki plac wyłożony marmurowymi płytami. Tu stał Ben-Hur, a wkoło niego poruszał się niczym fala różnorodny tłum. Przed sobą ujrzał starannie utrzymaną ścieżkę, przerywaną ogród i ginącą w lasu, nad którym modrą zasłoną unosiła się mgła.

W zwykłym usposobieniu Ben-Hur nie poszedłby do gaju bez przewodnika, a przynajmniej dowiedziałby się co jest godne zobaczenia – ale w wielkim rozgoryczeniu przybył zupełnie nieprzygotowany. Bezwiednie szedł wraz z całą procesją. Był tak obojętny, że nie przyszło mu na myśl spytać się, dokąd idą; przeczuwał jednak, że ścieżka, którą szli, wiedzie do jednej ze świątyń, która była głównym, najbardziej przyciągającym punktem gaju. Przypomniały mu się słowa podróżnego: – lepiej być robakiem i karmić się morwami Dafny, niż być gościem u stołu królewskiego. – Zastanawiając się nad myślą tego zdania, doszedł do pytań domagających się odpowiedzi: czy życie w gaju jest tak bardzo słodkie? na czym polega piękność tego miejsca? może w uroku głębokiej, niezbadanej filozofii? albo może jest to coś rzeczywistego; coś, co się da pojąć zmysłami każdego człowieka? – Wszak tysiące wyrzekają się świata, aby tu zamieszkać? Czy ci znaleźli tajemnicę owego czaru? Czy wystarcza im to na wypełnienie życia?... Jeśli gaj daje im zadowolenie, czemuż nie miałbyż jemu dać spokoju duszy? Był Żydem, to prawda; ale czyżby rozkosze były dla wszystkich oprócz dzieci Abrahama? Pobudzony tymi myślami postanowił przypatrzeć się wszystkiemu i zbadać wszystko, nie zważając na otaczający go tłum.

W tym przedsięwzięciu samo niebo zdawało się mu sprzyjać, było pogodne, niebieskie. Cudne promienie słońca złociły cały widnokrąg, dodając nowego czaru.

Nagle od strony lasu doleciał go powiew wiatru wraz ze słodkim zapachem róż i wonnych korzeni; zatrzymał się wraz z innymi i patrzył, skąd ów powiew pochodził.

– Czy tam jest ogród? – zapytał wreszcie sąsiada.

– Prawdopodobnie odbywają się tam jakieś religijne obrzędy – odparł ten w rodzinnym jego języku, co zdziwiło Ben-Hura i zapytał:

– Jesteś Hebrajczykiem?

Człowiek odparł z uśmiechem:

– Urodziłem się w miejscu oddalonym na rzut kamienia od targu jerozolimskiego.

Ben-Hur pragnął nawiązać dłuższą rozmowę, ale tłum ruszył właśnie z miejsca, spychając go ze ścieżki wiodącej do lasu, a pociągnął z sobą nieznanego. Ten miał na sobie zwykłe suknie, kij w rękę, brązowy płaszcz przy szyi przytrzymany żółtymi sznurami. Twarz jego wyraźnie żydowskiego typu, świadczyła, że miał prawo tak się ubierać i wryła się w pamięć młodzieńca.

Rozstali się w miejscu, w którym ścieżka skręcała ku lasowi, umożliwiając odłączenie się od gwarnej procesji. Ben-Hur skorzystał z tej sposobności i wszedł najpierw w zarośla, które na pierwszy rzut oka zdawały się być w stanie natury, tymczasem po kilku krokach spostrzegł, że i tu przyroda nosiła ślady mistrzowskiej ręki. Krzewy obsypane były kwiatami lub dźwigały owoce; w cieniu drzew, rozścielała się łąka usiana różnobarwnymi kwiatami. Bzy i róże, lilie i tulipany, oleandry i inne drzewa, wszystko kwiecie zdobiące ogrody dolin, otaczających gród Dawidowy, napępniało powietrze słodką swą wonią czy to o brzasku porannym, czy w zmroku wieczoru. Dla uzupełnienia obrazu szczęśliwości, której tu liczne nimfy i najady (boginie mórz, rzek i źródeł) używały, szemrał wśród kwiatów przejrzysty strumień, wijąc się w tysięcznych zakrętach.

Ze wszechstron, wśród gęstwiny drzew, słychać było gruchanie gołębi i synogarlic, gwizd kosów, co wśród gałęzi patrzyły i zdawały się jakby czekać jego przybycia. Słowik w liściach ukryty siedział spokojnie, chociaż gość tych czarownych miejsc zbliżył się ku niemu na długość ramienia. Nieco dalej spod nóg Ben-Hura pierzchła przepiórka, wiodąc wśród szczybiotu całe swe stadko.

Usiadł w cieniu cytrynowego drzewa, kąpiącego swe szare korzenie w wodach strumienia, wśród liści w gniazdku siedziała sikorka. Ptaszyna zdawała się patrzeć mu w oczy; mimowolnie pomyślał: naprawdę, ptaszek ten tłumaczy mi, czym jest to miejsce, bo mówi: nie boję się ciebie, gdyż prawem tego uroczego ustronia jest miłość!

Tak było w rzeczywistości i prawem, które tutaj rządziło, była miłość; ale, niestety! miłość bez prawa.

– Boże Izraela! – zawołał głośno, powstając z rozplamioną twarzą – Matko! Tirzo! przeklęta niech będzie chwila, w której, mimo że was utraciłem, czułem się szczęśliwy!

Wybiegł z gęstwiny i stanął nad kanałem, płynącym w sztucznie utworzonym łożysku, czasem tylko śluzami wstrzymywanym. Ścieżka przywiodła go na most, z którego ujrzał mnóstwo innych mostów, a każdy w innym zbudowany stylu.

U stóp swoich widział stojące wody, jak w stawie, dalej te same wody szemrzące po kamieniach, by wkrótce utworzyć nowy zbiornik i nową kaskadę, co się powtarzało tak daleko, jak oko jego sięgnąć mogło. Wszystko to, mosty, stawy, wodospady, mówiło wyraźnie jak rzeczy martwe mówić mogą, że są tu na rozkaz pana, posłuszne woli bogów.

Naprzeciw Ben-Hura widniał lasek cyprysowy, drzewa jego wznosiły się niby kolumny proste i sztywne, jak maszty okrętowe. W miarę jak się zapuszczał w cieniste zakręty gaju, coraz wyraźniej dolatywała go wesoła trąbka, a za chwilę ujrzał leżącego w trawie człowieka, w którym poznał Żyda, spotkanego na drodze do świątyni. Człowiek ten wstał, a zbliżywszy się do niego, rzekł uprzejmie:

– I znowu pokój tobie!

– Dziękuję ci – odrzekł Ben-Hur i spytał: – Czyli idziesz w tę samą stronę co ja?

– Idę na wyścigi, a jeśli to droga twoja...

– Na wyścigi!

– Tak, trąbka, którą właśnie słyszałeś, wzywa współubiegających się.

– Przyjacielu – rzekł Ben-Hur – wyznaję moją nieznajomość gaju, a jeśli pozwolisz mi iść z tobą, rad będę.

– Szczęśliwym mnie to czyni. Słuchaj, oto turkot wozów jadących na wyścigi.

Ben-Hur słuchał chwilę, a potem położył rękę na ramieniu Żyda i rzekł: Jestem synem duumwira Ariusza, a ty?

– Jestem Malluch, kupiec z Antiochii.

– Dobrze, zacny Malluchu, trąbka, turkot kół i sposobność zabawy zajmują mnie. Znam się na tym wszystkim, a areny rzymskie znają mnie. Spieszmy na wyścigi.

Malluch zauważył po krótkim wahaniu: – Duumwir był Rzymianinem, a syn jego w ubraniu żydowskim?

– Szlachetny Ariusz był mi przybranym ojcem – powiedział Ben-Hur.

– A tak – rozumiem.

Wyszli z lasku na pole przecięte drogą podobną do wyścigowego toru. Właściwy tor jednak był z miękkiej ubity ziemi i polany wodą. Po obu stronach ograniczały go liny przytwierdzone lekko do gładkich tyk. Dla wygody widzów i tych, których interesy łączyły się z wynikiem wyścigów, było kilka miejsc ocienionych namiotami i zaopatrzonych w amfiteatralne siedzenia. W jednym z takich usiedli i nowo przybyli, a Ben-Hur liczył wozy w miarę jak przybywały: naliczył ich dziesięć.

– Życzę im szczęścia – rzekł przyjaźnie. – Nie sądziłem, aby tu na Wschodzie zaprzęgano więcej niż parę koni; tymczasem widzę, że tu macie ambicję i walczyacie nawet królewską czwórka. Przypatrzmy się.

Osiem czwórek przyjechało to stępem, to truchtem, wszystkie dobrze kierowane; dziewięta zbliżała się galopem. Ben-Hur mówił w zachwycie:

– Zwiedzałem stajnie cesarskie, ale klnę się na pamięć naszego ojca Abrahama, nie widziałem nic podobnego!

Ostatnia czwórka mijała ich właśnie z trzaskiem, gdy nagle coś się zwickło i ktoś krzyknął w tłumie. Ben-Hur spojrział w stronę skąd hałas dochodził i ujrzał powstającego z miejsca starca groźnego, z wzniesionymi rękoma i zaciśniętymi pięściami. Oczy jego błyskały gniewem, a wspaniała biała broda spadająca na piersi, dodawała mu powagi. Mimo to kilku z najbliższych siedzących śmiało się.

Przecież powinni uszanować siwy włos starca! Kim jest ten człowiek? – zapytał Ben-Hur.

– To człowiek mający wielkie znaczenie na pustyni, w pobliżu Moabu; posiada liczne trzody wielbłądów i stada koni, mające wywodzić się od sławnych rumaków faraona; ma godność szejka, a nosi imię Ilderim – odparł Malluch.

Tymczasem woźnica usiłował uspokoić czwórkę, ale na próżno, co szejka wprawiło w gniew.

Niech go porwie Abaddon! – krzyczał gniewnie szejk. – Spieszcie, biegnijcie dzieci! – Słowa te zwracał do towarzyszącego mu orszaku złożonego zapewne z ludzi jego szczepu.

– Słyszycie?! Przecież one tak jak i wy, dzieci pustyni! Chwytajcie je! chwytajcie!

Konie pędziły na oślep.

– Przeklęty Rzymianin! – wołał szejk, grożąc pięścią.

– Czyż nie twierdził, że potrafi je prowadzić! – Klął się na wszystkie swe łańskie bogi, że będą w jego ręku szybować jak orleża, a słuchać, jak posłuszne baranki. Przeklęta matka łgarza, która go zwie synem. Co on robi! Przypatrzcie się im, niezrównanym biegunom! A on! no niech tylko spróbuje batem je skarcić! Nie mógł więcej mówić, słowa uwieźły w gardle i stały się chrapliwym rżeniem. – Spieszcie, chwytajcie je, nie bójcie się! Jedno słowo z pieśni, którymi was matka kołysała w namiocie, wystarczy, aby je uspokoić! O szalony, czemu zawierzylem Rzymianinowi! czemu je oddałem w ręce cudzoziemcowi! – wołał znowu starzec. Gniew zapierał mu oddech, przyjaciele starali się go uspokoić, inni zaś wstrzymali rozbiegane rumaki.

Ben-Hur rozumiał i żałował szejka; czuł, że coś więcej niż duma właściciela i trwoga o wynik wyścigów szarpie jego sercem, pojmował raczej, że te uczucia płyną z przywiązania do zwierząt, a równają się najwyższej namiętności.

Zresztą były to konie przesliczne, bo maści jasnokasztanowatej bez najmniejszej skazy, a tak doskonale zbudowane, że zdawały się mniejszymi, niż rzeczywistość były.

Nad małymi głowami sterczały delikatne uszy; szerokie i wypukłe czoła wznosiły się nad dobrze osadzonymi oczami, a z rozwartych chrap niby błysk płomienia ukazywało się chwilami czerwono zabarwione ciało. Szyje ich gięły się wdzięcznym łukiem, a delikatna i bujna grzywa osłaniała z lekka piersi niby jedwabna zasłona. Nogi od kolan do pęciny miały płaskie jak dłoń i suche jak nogi gazeli, ale z mocno rozwiniętymi mięśniami, bo inaczej nie dźwignęłyby całego pięknego tułowia; kopyta lśniły się niby błyszczący agat. Wspinając się lub rwąc naprzód, śmigały w powietrzu lub zamiatały ziemię długimi, gęstymi i lśniącymi ogonami.

Szejk zwał swe rumaki nieocenionymi i zaiste mówił prawdę.

Gdy się Ben-Hur uważnie przypatrzył koniom, rozumiał stosunek właściciela do nich. Wzrosły one pod jego okiem, dbał o nie jak o rodzone dzieci; ozdabiały jego sny, stając się ulubionym marzeniem. Wzrosły one w namiocie wśród jego dzieci i przy jego ognisku, a przywiódł je do miasta, aby zwyciężyły pysznych i zniechędzonych Rzymian. Ani chwili nie wątpił w zwycięstwo, byle tylko znalazł woźnicę nie tylko zręcznego w swej sztuce, ale silnego duchem, bo jego rumaki ulegną tylko potężnej sile woli. Na wstępie czekał go bolesny zawód, nie umiał zbyć tego sromu wzgardliwym uśmiechem i przestać na oddaleniu niezręcznego najemnika, jak uczyniłby człowiek z zachodniej cywilizacji. Nie, on, jako Arab, szejk swego pokolenia, dotknięty był w najdroższych swych uczuciach, wpadł w srogi gniew i wzniecił tak straszliwy wrzask w swym otoczeniu, że rozbrzmiewało nim powietrze.

W tej też chwili nowe zjawisko zajęło uwagę widzów. Na torze ukazał się wóz odmienny od poprzednich, bo konie i woźnica były już przystrojone tak, jak miały wystąpić w cyrku we właściwym dniu wyścigów. Wyścigi bowiem, które się w gaju Dafny odbywały, były raczej próbą innych, które miasto miało urządzać na cześć konsula.

Wóz, jakiego w starożytnym świecie używano, miał dwa niskie koła na szerokich osiach, dźwigające otwarte z tyłu pudło. Taki był pierwotny wóz, z czasem jednak zmysł artystyczny upiękniał i zmienił go w pyszny rydwan.

Woźnice byli przebiegli i ambitni. Zwykle używali pary koni w nadzwyczajnych tylko uroczystościach, jak igrzyska olimpijskie lub inne równie świetne występy, czwórkę. Dla odróżnienia konie zewnętrzne w zaprzęgu nazwano licowymi, wewnętrzne jarzmowymi. Z doświadczenia wiedzieli, że pierwszym warunkiem powodzenia była swoboda ruchów i dlatego też uprzęż była nadzwyczaj prosta i lekka: składała się ona z rodzaju drewnianej ramy czy pierścienia okalającego szyję zwierzęcia, do której przytwierdzano uzdę i lejce. Do kierowania wozem służył kawałek okutego lub masztowego drzewa, umocowany poprzecznie przy końcu dyszla i połączony z obręczą chomąt za pomocą lin przeciągniętych przez kółka u chomąt.

Dotąd przypatrujący się tłum zachowywał się spokojnie; ostatni dopiero woźnica miał szczęście. W miarę jak się zbliżał do miejsca, z którego patrzył Ben-Hur, rosły głośne okrzyki, klaskanie w dłonie, co oczywiście zwracało uwagę na wóz i jego właściciela. Konie jarzmowe były czarne, licowe białe jak śnieg, a wszystkie cztery rzymskim obyczajem z ogonami krótko ustrzyżonymi, zaś w splecionych grzywach były żółte i czerwone wstążki.

Nareszcie jadący zbliżył się o tyle, że go każdy dobrze mógł widzieć i musiał przyznać, że słusznie wzbudził tak wielki podziw. Już same koła wozu były arcydziełem w swoim rodzaju, silne sztaby żelaza okalały zresztą lekkie koła, których szprychy z zębów słoniowych ułożone zgodnie z ich naturalnym zgięciem nadawały tak pożądanego pędu. Dzwon koła z błyszczącego hebanu przytrzymywały brązowe skuwki, osie zaś, stosownie do całości koła, zdobiły fantastyczne łby tygrysie. Pudło wozu było z pozłacanej wikliny.

Oczywiście, że piękne konie i wóz zwróciły uwagę Ben-Hura i na woźnicę.

Początkowo dokładnie nie widział Ben-Hur ani twarzy, ani całej postaci, a jednak nie była mu obca, przypominała kogoś z dawnego minionego czasu.

Któż to może być? myślał ciągle, aż nareszcie wóz zbliżył się truchtem. Po przyjęciu i po wspaniałości wozu można było sądzić, że woźnica był albo ulubieńcem rządu albo księciem. Nie było to nieprawdopodobne, bo i królowie nie wstydzili się ubiegać o wieniec przeznaczony dla zwycięzcy. Wszak Neron i Kommodus poświęcali się sztuce powożenia, toteż Ben-Hur zbliżył się do poręczy oddzielającej siedzących od tłumu i patrzył pełen powagi, ale i wzruszenia.

Teraz ujrzał postać jadącego w całym jej wdzięku. Nie jechał sam, towarzyszył mu, stosownie do praw, mąż zwany w języku greckim myrtios, będący zwykle namiętnym zwolennikiem wyścigów. Ben-Hur mógł widzieć tylko woźnicę, który stał na wozie kilka razy opasany lejcami; a była to naprawdę piękna postać! Okrywała go jasno czerwona tunika, w prawej ręce trzymał bicz, w drugiej, trochę wzniesionej i wyciągniętej, lejce. Postawa woźnicy była zręczna i pełna życia, a oklaski i okrzyki przyjmował z posagową obojętnością. Ben-Hur stał także jak posąg, ale skamieniały ze wzruszenia, przecucie i pamięć nie zawiodły go – woźnicą był Messala!

Wybór koni, wytworność wozu, postawa, śmiałość woźnicy – więcej – zimny, ostry wyraz i orle rysy – przekonały Ben-Hura, że nic się nie zmieniło w Messali, że był on zawsze równie zarozumiały, jak odważny, równie ambitny, lekceważący i drwiący z najświętszych rzeczy.

Gdy Ben-Hur zszedł z trybuny, jakiś Arab wstał i zawołał:

Ludzie Wschodu i Zachodu, słuchajcie! Pozdrawia was zacny szejk Ilderim! Przywiódł on tutaj czwórkę rumaków wiodącą ród od koni mądrego Salomona, aby się ścigał z najlepszymi.

Potrzebuje silnego męża, który by nimi kierował, a kto się z tego ku zadowoleniu pana mego wywiąże, tego obsypie bogactwem.

– Tu – i tam w mieście, gdzie tylko gromadzą się dzielni, ogłoszcie wieść tę. Tak mówi mój pan, szejk Ilderim Dobrotliwy!

Ogłoszenie wywołało wielkie wzruszenie, wśród tłumu i pod namiotami, a niebawem rozniosło się w całej Antiochii. Ben-Hur wodził oczyma od szejka do herolda, a Malluch przypuszczał przez chwilę – że polecony mu młodzieniec zechce się podjąć sprawy. – Odetchnął więc, gdy ten się odwrócił do niego i zapytał:

– Zaczny Malluchu, dokądże teraz się zwrócimy?

– Jeślibyś chciał iść śladem tych, co pierwszy raz zwiedzają te miejsca, należałoby ci pójść posłuchać wyroczni i dowiedzieć się swej przyszłości – odparł zapytany.

– Mówisz, że mógłbym się zapytać o moją przyszłość, jest w tym coś, co trąci pogaństwem, jednakże chodźmy do boginii.

– Nie lękaj się, synu Ariusza, boginie Apollina łatwo te rzeczy urządzają. Nie potrzebujesz wdawać się w rozmowę mistyczną z Pytią lub Sybillą, ale kupisz liść papirusowy, świeżo zerwany, a gdy go zanurzysz w wodę pewnego źródła, wyczytasz na nim swą przyszłość.

Widocznie rzecz ta straciła urok dla Ben-Hura, bo rzekł posepnie:

– Są ludzie, którzy nie mają co troszczyć się o swoją przyszłość.

– Wolisz więc iść do świątyni?

– Świątynie te są greckie?

– Tak je zowią, bo są na grecki sposób zbudowane.

– Helleni są mistrzami w sztukach pięknych, ale w architekturze wolą piękno ściśle w formę ujęte niż wdzięk różnaitości i dlatego wszystkie ich świątynie są do siebie podobne. Jak się zwie krynica, o której mówiłeś?

– Kastalia.

– Słynie ona w całym świecie, chodźmy ją zwiedzić.

W czasie drogi mógł Malluch przypatrzeć się swemu towarzyszowi i zauważyć, że jego poprzednia swoboda znikła zupełnie. Nie zwracał uwagi na przechodniów, ani podziwiał piękne rzeczy, mijał je milcząco i w jakimś uroczystym spokoju.

Messala zajmował myśli Ben-Hura i wydawało mu się, że zaledwie godzinę temu, jak go oderwano od matki, że nie dawniej, jak przed godziną Rzymianie zrabowali i opieczętowali dom jego ojców! Stały mu przed oczyma owe lata pozbawione nadziei – spędzone na galerze, gdzie przy bezmyślnej pracy nie miał innego marzenia, innej myśli, jak zemstę. W tej zemście pierwsze miejsce zajmował Messala. Dla Gratusa, myślał sobie, może jeszcze znalazłbym iskrę litości, ale dla Messali nigdy! Chcąc wzmocnić swe postanowienie, przypomniał sam sobie: Któż, jeśli nie on wskazał nas prześladowcom? kto, jeśli nie on, gdym błagał o pomoc – nie dla siebie – wyśmiał mnie i odstąpił w nieszczęściu? On, i zawsze on! Toteż i marzenia kończył zawsze Ben-Hur jedną i tą samą prośbą: o Panie, dobry Boże Ojców moich, daj mi w dniu, w którym go spotkam, zemstę godną mnie i jego.

Teraz spotkali się. – Może uczucia młodzieńca byłyby litościwymi i mniej gorzkimi, gdyby spotkał Messalę w nędzy i poniżeniu, ale tak nie było, przeciwnie, spotkał go wśród przepychu i zaszczytów.

Co Malluch brał za chwilowe niezadowolenie, było raczej rozmyślaniami nad tym, gdzie mu przyjdzie spotkać się z Messalą, i w jaki sposób uczyni to spotkanie pamiętnym.

Powoli doszli do alei wysadzonej dębami, była ona miejscem wygodnym dla przechadzających się w tę i ową stronę. Tu podążali konni, tam piesi, ówdzie niewolnicy, niosący kobiety w lektykach. Od czasu do czasu pędziły z szumem wozy. Aleja ta schodziła z lekka w dół ku pięknej zielonej dolinie, na której z jednej strony stała ściana. Tu ujrzeli słynną Kastalską krynicę.

Z niemałym trudem przecisnęli się przez zbite szeregi tłumu, a Ben-Hur ujrzał strumień czystej wody, który szumiąc i pieniając się tryskał ze skały i wpadał w czarny, marmurowy zbiornik zakończony lejkiem, w którym ginęły spienione wody.

W pobliżu zbiornika, pod niewielkim wyźłobieniem w skale, siedział stary, z siwą brodą, zakapturzony kapłan, prawdziwy typ pustelnika. Patrząc na otaczające go tłumy, trudno by zgadnąć, co je tu przywiodło – czy źródło, czy też kapłan. Widzieli go wszyscy, i on widział i słyszał ich wszystkich, ale z ust jego nikt słowa nie usłyszał. Od czasu do czasu ktoś z przechodniów podawał mu monetę, a on w zamian dawał, mrugając przebiegle oczami, liść papirusowy. Obdarowany spieszył zanurzyć liść w wodzie krynicy, a gdy go wyjął, niósł na słońce i w jego promieniach czytał na powierzchni papirusu wierszowany napis. Jeszcze Ben-Hur nie zdołał zasięgnąć rady wyroczeni, a nowi i wielce zajmujący goście przybywali od strony łąki. Przybycie ich wzbudziło podziw i ciekawość wszystkich zgromadzonych, a także i Ben-Hura.

Konny jeździec wiódł najpierw wielkiego i białego jak śnieg wielbłąda, a ten dźwigał na sobie wielki, purpurowy, złotem przetykany namiot, szeroko nakrywający tył zwierzęcia. Dwaj inni konni ludzie z wysokimi dzidami w ręku, postępowali z wolna za wielbłądem.

– Cóż to za szczególny wielbłąd! – rzekł ktoś z tłumu.

– To przybywa jakiś obcy książę – zauważył inny.

– Raczej król.

– Król jechałby na słoniu!

– Wielbłąd – i to biały – rzekł ktoś inny. Na Apollina, przyjaciele, przybywający to nie książęta ani królowie, ale jak widzicie to kobiety, a zdaje się, że jest ich dwie.

Gdy tak się o nich spierają, zbliżyli się cudzoziemcy.

Wielbłąd równie był piękny z bliska jak z daleka i nikt z patrzących nie widział nigdy większego i wspanialszego zwierzęcia. Miał śliczne, czarne oczy, a sierść białą i delikatną, budowa zaś zachwycała znawców giętkością i wyrobionymi mięśniami. Któż widział kiedy równie cicho stąpającego wielbłąda! Jakże go zdobi ten dom cały jedwabny, złotymi posyty frędzlami? A jak cudnie dzwonią drobne dzwoneczki uprząży, gdy postępuje cicho i lekko jakby nie czuł żadnego ciężaru.

Nic dziwnego, że oczy wszystkich zwrócone na przybyłych, zdawały się pytać, kim byli owi nieznajomi – kobieta i mężczyzna pod baldachimem.

Jeśli starzec ten był księciem to zaprawdę nikt nie mógłby czasowi zarzucić niesprawiedliwości lub względności dla możliwych tego świata. Patrząc na twarz wychylającą się spod turbanu, zapadłą i chudą, z cerą mumii, tak że nie można z niej było wyczytać, jakiej narodowości był cudzoziemiec, miało się żywy dowód, że dla wszystkich, bez różnicy stanu, jest kres życia. Jedynym cenniejszym przedmiotem, który miał na sobie, był kosztowny szal.

Kobieta towarzysząca starcowi siedziała wschodnim obyczajem cała w przejrzystych otulona zasłonach. Powyżej łokcia na obnażonych pięknych ramionach błyszczały naramienniki kształtu zwiniętej żmii. Na palcach opartej o namiot ręki połyskiwały pierścienie, a delikatnie zakończone paznokcie świeciły barwą perłowej masy. Głowę jej zdobiła przejrzysta siatka przetykana koralami i monetami podtrzymująca śliczne czarne włosy. Z wzniesionego siedzenia patrzyła na zgromadzonych ludzi i tak im się bacznie przypatrywała, że zdawała się nie spostrzegać ciekawości, jaką swą osobą wzniewała i wbrew przyjętemu w wyższych stanach zwyczajowi, nie zasłaniała twarzy.

A była to zaiste piękna twarz. Lica jej świeże i młode, cera ni tak biała jak u Greczynki, ni śniada jak u Rzymianki; raczej jak południowe słońce, przyświecające falom Nilu, a rumieniec, jak światło czerwonego płomyka, krasił jej lica. Przyjęty na Wschodzie zwyczaj czernienia powiek, powodował, że jej oczy już i tak duże wydawały się jeszcze większymi. Przez wpół otwarte usta ukazywały się lśniąca białością zęby. Jeśli do tego dodać wdzięk, z jakim się zachowywała, przyznać trzeba, że była prawdziwie piękna.

Widocznie tak ludzie, jak miejsce podobały się pięknej pani, bo powiedziała kilka słów do na wpół ubranego Etiopczyka, który jej towarzyszył, a ten zawiódł wielbłąda bliżej krynicy i kazał mu uklęknąć, po czym wziął kubek z jej ręki i podszedł go napełnić u źródła. Równocześnie rozległ się turkot kół i tętent pędzących koni. Z krzykiem przerażenia poczęli wszyscy uciekać, chroniąc się przed końskimi kopytami.

– Baczość! – krzyknął Malluch – Rzymianin chce nas przejechać.

Ben-Hur zwrócił się w stronę, skąd dochodził hałas i ujrzał pędzącego Messalę na swoim wozie zaprzężonym w piękną czwórkę prosto na tłum otaczający źródło. Tym razem ujrzał go jeszcze wyraźniej i bliżej.

Ludzie rozbiegając się w różne strony, odsłonili wielbłąda, który, mimo że kopyta końskie już go prawie dosięgały, leżał najspokojniej; widocznie tak był przez długie lata pieszczony, że nie znalazł niebezpieczeństwa. Etiopczyk załamywał ręce, a starzec w namiocie myślał o ucieczce, ale złamany wiekiem, a także i dla powagi, która u niego stała się już drugą naturą, nie ruszył się z miejsca. Kobiety omal nie stratowano, gdy Ben-Hur najbliżej stojący, zawołał na Messalę:

– Stój! Patrz, gdzie jedziesz!

Patrycjusz śmiał się, Ben-Hur widząc, że jedyny ratunek jest w szybkim działaniu, podbiegł do wozu i chwycił za uzdę lewego konia od jarzma, wołając: Tak to mało cenisz życie ludzkie, psie rzymski!

Włożywszy całą siłę, wstrzymał na miejscu rozhukane rumaki; wóz się zachwiał i o mało się nie wywrócił. Messala nieomal nie podzielił losu myrtilosa, swego towarzysza, który spadł z wozu jak kloc na ziemię. Gdy niebezpieczeństwo tak szybko minęło, tłum wybuchnął śmiechem.

Teraz dopiero wyszła na jaw bezprzykładna bezczelność Rzymianina, który rozluźniwszy lejce okalające go w pasie, zebrał je w jedną rękę i zsiadłszy z wozu, zbliżył się do wielbłąda. Tu spojrzął na Ben-Hura i rzekł, zwracając się do starca i do kobiety.

– Błagam was o przebaczenie – błagam oboje. Zwiąż się Messala i knę się na starą matkę ziemię, że nie widziałem ani was, ani wielbłąda. Co zaś się tyczy tych ludzi, to może za wiele ufałem mej zręczności, bo chciałem się zabawić ich kosztem, a tymczasem oni się śmieją ze mnie. Niechaj i tak będzie.

Łaskawe spojrzenie i obojętny gest, z jakim wskazał otaczających, zgodne były ze słowami i podobały się wszystkim. Zrobiła się cisza, bo każdy chciał słyszeć, czy jeszcze co nie powie, co widząc Messalę, kontent ze zwycięstwa, kazał towarzyszowi odjechać z wozem, a sam zwrócił się do niewiasty, mówiąc:

– Kim jest dla ciebie ten czcigodny mąż, o którego przebaczenie, jeśli go jeszcze nie otrzymał, z pokorą upraszam; jesteś jego córką?

Ona nie odparła nic.

– Na Pallas, piękna jesteś! Oby Apollo nie omylił się, biorąc cię za tę ukochaną, którą utracił! Jakież kraj nazywasz ojczystym? Nie odwracaj oblicza, w twoim oku goreje słońce Indii, a kąty ust twoich zdobią wszelkie krasy egipskiej miłości. Nie zwracaj oczu na tamtego niewolnika, raczej, piękna pani, okaż mi miłosierdzie; powiedz, że otrzymałem przebaczenie.

Podczas gdy mówił te słowa, zwróciła się do Ben-Hura pytając go z uśmiechem:

– Nie raczysz się zbliżyć?

Gdy uczynił zadość życzeniu, mówiła dalej: – Weź ten kubek i napełnij go u źródła, bo ojciec mój spragniony jest.

– Sługą twym jestem – odparł Ben-Hur, a spełniwszy rozkaz, stanął naprzeciw Messali. Wejrzenia ich skrzyżowały się, wzrok Żyda pełen był nienawiści. Rzymianina zaś tryskał swobodą i zuchwalstwem.

– O pani, równie piękna jak okrutna! – rzekł Messala kłaniając się jej ręką. – Jeśli cię Apollo nie porwie w wyższe regiony, ujrysz mnie niebawem. Nie znam twej ojczyzny, nie wiem więc na jakiego zakląć cię boga i jakiemu cię polecić, wzywam więc wszelakie bogi i im cię oddaję!

Ponieważ właśnie myrtios nadjeżdżał z wozem, poszedł w tamtą stronę. Oczy kobiety towarzyszyły mu i nie było w nich śladu urazy. Przyjęła podaną przez Ben-Hura wodę, ojciec wypił, a ona do ust swoich przytknąwszy kubek, przychyłając się z wdziękiem pełnym czaru, podała go Ben-Hurowi.

– Przyjm, prosimy, tę czarę, pełna jest błogosławieństw – a wszystkie dla ciebie!

W tej chwili wielbłąd dźwignął się, stanął na nogi i ruszył, a starzec dodał jeszcze, zwracając się do Ben-Hura:

– Zbliź się – a gdy ten z uszanowaniem przystąpił, mówił dalej:

– Oddałeś dziś przysługę cudzoziemcowi. Jeden jest tylko Bóg, w Jego imieniu dziękuję ci. Jestem Baltazar Egipcjanin. W wielkim gaju palmowym opodal wioski Dafny, mieszka szejk Ilderim Dobrotliwy w namiotach, a my jesteśmy jego gośćmi. Szukaj nas tam, otrzymasz gościnne i wdzięczne przyjęcie.

Ben-Hur słuchał z pokorą czystego głosu starca i podziwiał szlachetną godność jego zachowania. Ścigając wzrokiem za odjeżdżającymi, zobaczył raz jeszcze Messalę, równie wesołego i obojętnego, jak pierwej.

ROZDZIAŁ XVI

Można przyjąć za zasadę, iż nie ma pewniejszego sposobu niepodobania się drugim jak postąpić dobrze tam, gdzie oni źle czynili. Na szczęście nie ma reguły bez wyjątku. Malluch był wyjątkiem, a scena, którą widział, podniosła tylko jego wyobrażenie o Ben-Hurze i musiał uznać, że był on odważny i zręczny. Gdyby prócz tego przekonania mógł jeszcze coś z wewnętrznych uczuć młodzieńca odgadnąć, dzień ten byłby ważny dla Simonidesa.

Malluch miał już coś do przekazania swemu panu, bo wiedział na pewno, że polecony mu był Żydem i przybranym synem sławnego Rzymianina. Prócz powyższego odkrycia, inne jeszcze zaczęło kiełkować w umyśle wysłannika, a było nader ważne: zdawało mu się bowiem, że między Messalą a synem duumwira był jakiś związek. Jaki on jednak jest i w jaki sposób się dowiedzieć, oto nad czym się zastanawiał, a co wydało mu się niełatwe. Tymczasem Ben-Hur sam przyszedł mu z pomocą, a położywszy rękę na jego ramieniu, wyprowadził go z tłumu, który znowu zajmował się kapłanem i jego mistycznym źródłem.

– Zaczny Malluchu – zaczął – powiedz mi, czy może człowiek zapomnieć swoją matkę?

Pytanie było krótkie, urwane i było jednym z tych pytań, które wprowadzają zapytanego w niemałe zakłopotanie. Malluch spojrzał na Ben-Hura, chcąc mu z twarzy wyczytać, co właściwie leży w tym pytaniu; ale zamiast odpowiedzi, której się spodziewał, ujrzał duże czerwone plamy na policzkach, a w oczach ślady wstrzymywanych łez. Na ten widok odpowiedział zrazu mechanicznie: „Nie”. – A po chwili, gdy zaczął przychodzić do siebie, dodał: – Jeśliś Izraelitą, nigdy! – Oprzytomniawszy zaś zupełnie, rzekł rozważnie: – Pierwszą nauką moją w synagodze była Schema, drugą zaś były słowa Siracha syna, które brzmią: – Szanuj ojca twego z całej duszy, ale pamiętaj o boleściach twej matki!

Czerwone plamy na obliczu Ben-Hura silniej rozgorzały, gdy rzekł:

– Wyrazy te przypomniały mi złote dzieciństwo moje, a dowiodły, żeś sprawiedliwym Żydem, Malluchu. Wierzę i ufam ci.

Mówiąc to, zdjął Ben-Hur rękę z jego ramienia i zebrał nią zwoje swej szaty u piersi i przycisnął serce, jakby pragnął stłumić cierpienie lub uczucie równie dotkliwe jak boleść.

Ojciec mój – mówił dalej – nosił wielkie imię i szanowano go w Jeruzalem, gdzie mieszkał. W chwili zgonu mego ojca matka była jeszcze w kwiecie wieku, a nie dość powiem, gdy ją nazwę dobrą i piękną, bo na ustach jej było prawo miłości; czyny jej podziwiał każdy, a przyszłość zdawała się uśmiechać szczęściem. Miałem i małą siostrę, oboje tworzyliśmy rodzinę tak szczęśliwą, że słowa starego mędrca, który naucza: – że Bóg nie mogąc być wszędzie, stworzył matki, – wydały mi się jakby do mojej rodzicielki zastosowane. Pewnego dnia zdarzył się znakomitemu Rzymianinowi wypadek w chwili, gdy na czele kohorty koło naszego przejeżdżał domu. Żołnierze wyłamali natychmiast bramy naszego pałacu i pochwycili nas. Odtąd nie widziałem już więcej ani matki, ani siostry. Nie wiem, czy żyją, ani co się z nimi stało. Ale Malluchu, człowiek ten, który o mało nas nie przejechał, był w chwili naszego rozłączenia, i wydał nas siepaczom; – słyszał błagania mojej matki za dziećmi i gdy nas rozrywano – śmiał się. Trudno zaiste powiedzieć, co się trwałej przechowuje w pamięci: miłość czy nienawiść. Dziś, Malluchu, poznałem go z daleka...

Mówiąc te słowa, chwycił towarzysza za ramię, i mówił dalej:

– Malluchu, on zna tajemnicę, za którą dałbym życie moje! On może powiedzieć, gdzie jest i w jakich okolicznościach; jeśli ona – nie – jeśli one – ach! wielka boleść zmieniła je w jedno, jeśli rozstały się z życiem, to wiem co było ich zgonu przyczyną, a on może mi wskazać, gdzie ich zwłoki na mnie czekają.

– A on tego nie chce?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo jestem Żydem, a on Rzymianinem.

– To i cóż? Wszak i Rzymianie mają języki, a Żydzi choć wzgardzeni, posiadają sposoby wzruszenia ich.

– Nie takich jak on. Nie, zresztą jest to tajemnicą państwa. Majątek mego ojca zabrany i rozdzielony.

Malluch zrozumiał doniosłość sprawy i kiwając głową, zapytał:

– Czy poznał cię?

– Nie mógł. Wysłano mnie na śmierć i dawno policzony jestem między umarłych.

– Dziwię się, żeś się na niego nie rzucił! – wykrztusił z namiętnością Malluch.

– To mogłoby mi odebrać możliwość dojścia do celu. Mogłem go zabić, a wiesz dobrze, Malluchu, że śmierć lepiej jeszcze przechowuje tajemnicę niż zbrodnie shańbiony Rzymianin.

Kto tyle ma powodów do zemsty, a nie korzysta z takiej okazji, ten musi być pewnym przyszłości i mieć w zapasie lepsze zapatrywania i stanowisko. Malluch przestał być towarzyszem z obowiązku, a zmienił się przywiązanego sługę, bo Ben-Hur ujął go swą postawą, a on służył mu dobrym sercem i poszanowaniem.

Po krótkiej przerwie mówił Ben-Hur dalej:

– Nie odbiorę mu życia, dobry Malluchu; przed tą ostatecznością broni go tajemnica, którą posiada, a także pragnę go ukarać i ukarzę, jeśli mi pomożesz

– On Rzymianinem! – rzekł Malluch bez wahania – a ja z rodu Judy Pomogę ci, idę z tobą. Jeśli chcesz przyrzeczenia, stwierdzą je przysięgą.

– Podaj mi rękę, to wystarczy.

Gdy uściskali sobie ręce, rzekł Ben-Hur z lżejszym sercem: – To, czym cię obarczę, nie jest ani trudne, ani obciążające sumienie. Chodźmy.

Szli opisaną już drogą, a Ben-Hur pierwszy przerwał milczenie.

– Znasz szejka Ilderima Dobrotliwego?

– Znam.

– Gdzież jest jego gaj palmowy, albo raczej, jak daleko do wioski Dafny.

W Malluchu zbudziła się właściwa jego rasie podejrzliwość; przypomniał sobie podarek i słodkie słówka pięknej kobiety i zapytał sam siebie, czyżby Ben-Hur zapomniał z miłości ciężkiej troski o matkę, jednak odpowiedział: gaj palmowy odległy jest od wioski o dwie godziny konnej jazdy, a o jedną na wielbłądzie.

– Dzięki ci, ale nie tu koniec moich pytań; powiedz mi jeszcze, czy te wyścigi, o których wspomniałeś, już ogłoszono i kiedy mają się odbyć?

Słowa te, jeśli niezupełnie uspokoiły Mallucha, to go mocno zaciekawiły, bo widział poza nimi jakiś dalszy zamiar; odrzekł więc z zajęciem:

– O tak, będą wyścigi i to wspaniałe, chociaż wyprawia je właściwie prefekt jako człowiek prywatny na cześć konsula Maksencjusza, który tu gości w celu dalszych przygotowań do wyprawy na Partów. Prefekt jest bardzo bogaty i mógłby wyścigi sam na swoją rękę urządzić, woli jednak podzielić koszty z bogatymi mieszkańcami Antiochii, którzy znów pragną przysłużyć się wielkiemu konsulowi. Przed miesiącem już rozesłano heroldów na wszystkie strony świata, a ci ogłosili wyścigi i otwarcie cyrku. Samo imię prefekta daje dostateczną rękojmię, zwłaszcza na Wschodzie, a cóż dopiero gdy do rozgłosu tego imienia dołączy się Antio-

chia! Wszystkie miasta i wyspy pospieszą na tę wieść, spodziewając się królewskich nagród i zobaczyć niewidziany dotąd przepych.

– A cyrk?... Słyszałem, że mało ustępuje cyrkowi Maksimusa.

– Mówisz oczywiście o tym, który jest w Rzymie. Nasz ma dwieście tysięcy miejsc siedzących dla widzów, a tamten o siedemdziesiąt pięć tysięcy więcej. Tutejszy jest marmurowy, rzymski również; niczym więcej się nie różnią.

– Czy obowiązują te same prawa?

Malluch uśmiechnął się i rzekł:

– Gdyby Antiochia ośmieliła się mieć jakąś odrębność, czy Rzym byłby takim wszechwładnym panem, jak jest? Oczywiście, że prawa przyjęte w cyrku Maksimusa rządzą i tutaj, prócz małego szczegółu. Tam nie wyjeżdża na raz na tor więcej wozów niż cztery, tutaj wszystkie bez względu na liczbę.

– To stosownie do greckiego obyczaju – rzekł Ben-Hur.

– Tak, Antiochia jest raczej grecka niż rzymska.

– Wóz i konie; co do tego nie ma żadnych ograniczeń.

Odpowiadając, spostrzegł Malluch, że na twarzy Ben-Hura osiadł wyraz zadowolenia.

– Jeszcze jedno, Malluchu, kiedyż odbędzie się uroczystość?

– Ach! przepraszam, omalże zapomniałem o najważniejszej rzeczy – odparł – jeśli bogowie sprzyjać będą, mówiąc stylem rzymskim, konsul przybędzie pojutrze, a szóstego dnia jego pobytu odbywać się będą igrzyska.

– Trochę to mało czasu, ale musi starczyć! Ostatnie słowa wymówił z naciskiem. Na wielkich Proroków Izraela! wezmę znów lejce w rękę. Ale stój! jeszcze jedno pytanie, czy pewne jest, że Messala będzie współzawodniczyć.

Malluch zrozumiał teraz zamiary Ben-Hura i plan upokorzenia Rzymianina. Nie byłby jednak prawdziwym potomkiem Jakuba, gdyby mimo nienawiści do wszystkiego co rzymskie, i mimo obudzonego zainteresowania nie usiłował obliczyć wszelkich trudności. Toteż głos jego drżał, gdy pytał: – Masz ty dostateczną w takich przedsięwzięciach wprawę?

– Nie lękaj się, przyjacielu. W cyrku Maksimusa od lat trzech nikt, gdy ja występowałem, nie otrzymał wieńca zwycięzcy. Spytaj się, spytaj najlepszych i najśmielszych pomiędzy nimi, a potwierdzą moje słowa. Cezar sam oddawał mi na ostatnich wyścigach swoje rumaki w rękę, abym z nimi stanął przeciw całemu światu.

– A ty nie uczyniłeś zadość temu życzeniu? pytał Malluch z przejęciem.

– Ja... jam Żyd... – Ben-Hur zdawał się drzeć, gdy mówił. – A chociaż noszę suknie Rzymianina, nie chciałem przyjąć zobowiązania, które by ubliżyło imieniu ojca mego wobec kapłanów i rządców świątyni. W palestrze, szkole szermierki, mogłem się ćwiczyć, ale w cyrku byłby to zuchwalstwem wobec praw naszych. Jeśli tu stanę do wyścigów, to klnę się, że nie czynię tego dla żadnej nagrody.

– Czekaj, nie przysięgaj – zawołał Malluch. – Nagroda to dziesięć tysięcy sestercji. To majątek wystarczający na całe życie!

– Nie dla mnie, choćby go prefekt pięćdziesiąt razy potroił. Co mówię, więcej niż to, więcej niż dochody cesarów, od pierwszego roku ich panowania bardziej mnie pociąga zabawa, w której pragnę upokorzyć mego wroga. Nad wszelkie dostatki wyżej stawiam zemstę, a ona dozwolona prawem.

Malluch uśmiechnął się i skinął głową, jakby mówił: Dobrze, dobrze wiesz, że Żyd pojmuje Żyda.

– Messala będzie się ścigał – dodał – już się wielokrotnie zobowiązał do wyścigów ogłoszonymi na ulicach, po łaźniach, teatrach, w pałacu i w obozie. Zresztą, nie może się cofnąć, bo imię jego już zapisane na tablicach wszystkich młodych marnotrawców całej Antiochii.

– A więc zakładają się na niego... czy tak, Malluchu?

– Oczywiście, i dlatego codziennie przyjeżdża tu na ćwiczenia!

– A więc to na tym wozie i tymi końmi ma stanąć w szranki. Ach! jakże ci jestem wdzięczny, Malluchu! jakże się cieszę! A teraz wiedz mnie do gaju palmowego i prowadź do szejka Ilderima Dobrotliwego.

– Kiedy?

– Dziś. Jego konie, jak myślisz będą mogły być na jutro zamówione?

– A więc ci się podobały?

– Widziałem je tylko chwilę – odparł Ben-Hur z zapałem – bo gdy nadjechał Messala, już nic prócz niego nie widziałem, przecież i tak ujrzałem dosyć, bo wiem, że rumaki te są chwałą pustyni. Podobne widziałem tylko w stadach Cezara, a kto raz takie konie zobaczy, pozna je wszędzie. Jutro, gdy cię spotkam, możesz mnie nie pozdrowić, a przecież zdradzi cię ruch. Wyraz oblicza i postawa. Tak samo, z tą samą pewnością jak ciebie, poznam bieguny pustyni. Jeśli to, co o nich mówią, jest prawdą, a ja potrafię ujarzmić je siłą mego ducha, to...

– Wygram sestercje – przerwał – śmiejąc się Malluch.

– Nie – odparł prędko Ben-Hur – raczej zrobię to, co przystoi potomkowi Jakuba i upokorzę publicznie mego wroga, ale – dodał niecierpliwie – tracimy drogi czas na rozmowie; pomysłmy raczej, jak najszybciej dostać się do namiotów szejka.

Malluch zastanowił się chwilę i rzekł:

– Najlepiej idźmy prosto do pobliskiej wsi; jeśli tam uda się najać dwa wielbłądy, to za godzinę będziemy na miejscu.

– Spieszmy więc.

Wieś była pełna pałaców, otoczonych pięknymi ogrodami, wśród nich liczne książęce gospody otwierały gościnne wrota. Nasi znajomi najęli wielbłądy i puścili się w podróż do palmowego gaju.

Okolica, którą przejeżdżali była pagórkowata, ale bardzo dobrze uprawiana. bo był to właściwie ogród Antiochii. Wyzyskano tu każdą piędź ziemi, a pochyłości wzgórz, niby tarasy oplecione winnymi latoroślami, wabiły przechodnia nie tylko cieniem, ale i pysznymi gronami winnych jagód, błyszczących barwą purpury i dojrzałością. Spomiędzy grząd, zasadzonych melonami, wśród sadów brzoskwiniowych i figowych, pod cieniem pomarańcz i cytryn widniały białe chaty rolników. Wszędzie witała podróżnika urodzajność, pogodna córa pokoju, mówiąca, że tu jej mieszkanie; nie jeden ulegał temu urokowi i decydował się nawet na płacenie podatków Rzymowi, byle tu pozostać. Z dala spomiędzy gałęzi drzew, tu i ówdzie wychylały się szczyty gór Taurusu i Libanu, a wśród całego krajobrazu – niby srebrna wstęga – Orontes toczył swoje wody.

Dotarli do rzeki i odtąd trzymali się jej biegu, mijając zamieszkane doliny i spadziste wzgórza. Chociaż rozłożyste dęby, sykomory, mirty, wawrzyny, krzewy garbarskiej mącznicy i wonne jaśminy wieńczyły brzegi Orontesu i zdawały się go ocieniać, to przecież fale rzeki były srebrzyste i czyste, bo promienie słońca, padając prostopadle, muskały miłośnie fale wolno płynącej wody. I spokój tych miejsc byłby do snu podobny, gdyby nie statki nieustannie krążące po jego wodach. Cały ten widok wzbudzał wspomnienie morza, dalekich narodów, wspaniałych grodów i bogactw krain nieznanych. Ileż to marzeń wywołać zdoła biały żagiel, co wzdęty wiatrem wiedzie na morze, a zwinięty w domowe zaprasza progi! Wśród podobnych myśli jechali młodzi przyjaciele, aż do zatoki utworzonej wodami rzeki, a spokojnej i czystej niby szklana szyba. W zaokrągleniu zatoki rosło stare drzewo palmowe, które Malluch, skracając w bok, minął a chwytając Ben-Hura za rękę, rzekł:

– Patrz! oto gaj palmowy!

Nigdzie, nawet w oazach „Szczęśliwej Arabii” lub w pysznych rezydencjach królów Ptolemeuszów nad Nilem, nie znalazłoby się tak pięknego krajobrazu jak ten, który ukazał się oczom Ben-Hura. Zdawało się, że samo miejsce chce przyczynić się do wzmocnienia jego ducha. U nóg ścielił się miękki kobierzec traw – niezwykle zjawisko w gorącej Syrii; przez listowie niezliczonych starych drzew daktylowych, istnych patriarchów swego rodu, migotało

niebieskie niebo. Czy gaj Dafny piękniejszy jest nad to miejsce? – zapytywał Ben-Hur sam siebie, a palmy jakby odgadywały jego myśli i pragnęły zjednać go dla siebie, zdawały się, gdy je mijał, chwiać koronami i chłodzić czoło jego.

Patrz – rzekł Malluch, wskazując olbrzymie drzewo palmowe – każdy pierścień na jego pniu oznacza rok życia, policz je od korzenia do gałęzi, a nie zdziwisz się, gdy ci szejek powie, że ten gaj zasadzono, gdy w Antiochii nikt jeszcze o Seleucydach nie słyszał.

Patrząc na palmę, na wdzięk, z jakim się pnie i pochyła, niepodobna, aby się duch poetycki w człowieku nie rozbudził.

Takich uczuć doznawał także Ben-Hur, gdy mówił:

– Kiedy dziś widziałem szejka Ilderima na arenie, wydał mi się bardzo pospolitym i zwyczajnym człowiekiem. Przełożeni świątyni w Jerozolimie patrzyliby chyba z pogardą na niego; kto wie nawet, czyby go nie uważali za psa z rodu Edomitów. Jakimże więc sposobem jest właścicielem gaju i jakim sposobem zdołał go ustrzec od grabieży rzymskich gubernatorów?

– Jeśli krew uszlachetnia się i doskonali w biegu czasów, to, synu Ariusza, wielkim człowiekiem jest stary Ilderim, chociaż jest Edomitą – mówił Malluch z zapalem. – Cały szereg szejków poprzedza Ilderima, a jeden z nich, nie umiem powiedzieć, który i kiedy, spełnił uczynek miłosierdzia, ratując jednego z królów syryjskich w ucieczce przed ścigającym go wrogiem. Dzieje mówią, że go wspomógł tysiącem jeźdźców obeznanych równie dobrze z kryjówkami i ścieżkami pustyni, jak pasterze ze wzgórzami, na których pasą trzody. Ucieczka się powiodła, a miejsce, na którym stoimy, jest właśnie sławne potyczką, z której ów król wyszedł przy pomocy synów pustyni zwycięsko i zasiadł na tronie. Wtedy, pamiętając o przyszłości, wezwał syna pustyni na to miejsce, rozkazał rozłożyć namioty, sprowadzić rodzinę i trzody, i cały ten kraj od najbliższych gór z jeziorem i drzewami dał jemu i jego dzieciom na wieki w posiadanie. Nikt odtąd nie powążył się zaprzeczyć im prawa własności, a późniejsi władcy nieraz duże odnosili korzyści, utrzymując dobre stosunki z pokoleniem, któremu błogosławił Pan na ludziach i koniach, wielbłądach i bogactwach. A nie poskąpił im władzy, bo oto stali się panami jedynej drogi między miastami i wolno im rzec do kupca: „jedź w pokój!” albo „stój!” a stało się, jak rozkazali. Nawet prefekt rzymski w cytadeli, co panuje nad Antiochią, szczęśliwym zowie dzień, w którym Ilderim Dobrotliwy, tak dla swych dobrych uczynków zwany, przybywa z żonami, dziećmi, wielbłądami i służbą, aby za przykładem ojców naszych Abrahama i Jakuba, opuściwszy gorzkie źródła swej ojczyzny, odpocząć w cieniach tego uroczonego gaju.

– Jakże to być może – przerwał Ben-Hur, który słuchał opowiadania, nie zważając na zwolniony chód wielbłąda – widziałem przecież jak szejek targał brodę, przeklinając sam siebie, że powierzył swoje konie Rzymianinowi. Wszak gdyby Cezar to słyszał, z pewnością mógłby powiedzieć: nie chcę takiego przyjaciela, weźcie go sprzed oczu moich.

– Uwaga twoja słuszną jest – odpowiedział Malluch z uśmiechem. Ilderim nie jest przyjacielem Rzymu. Przed trzema laty Partowie jadąc drogą od Bosry do Damaszku, wpadli na karawanę, niosącą oprócz innych towarów kasę podatkową jednego obwodu i zabrali wszystko. W napadzie tym ludzie karawany śmierć ponieśli, ale to łatwo by przeoczyli rzymscy urzędnicy, gdyby skarb cesarski nie poniósł szkody. Tak poszukali straty na dzierżawcach podatków, którzy za nią odpowiadali, że poskarżyli się Cezarowi, który znów nałożył grzywnę na Heroda. Herod zajął posiadłości Ilderima, twierdząc, że ten przez zdradę nie dopełnił swego obowiązku, jako właściciel drogi. Szejek odwoływał się do Cezara, ale odebrał tego rodzaju odpowiedź, od której dotąd boleje serce starca, oczekując chwili zemsty, może nie-dalekiej.

– Ach! mój Malluchu, nie podoba on Cezarowi.

– O tym pomówimy innym razem, ale oto odtąd zaczynają się gościnne progi szejka, dzieci przemawiają do ciebie.

Wielbłądy stanęły, Ben-Hur ujrzał kilka małych dziewcząt, zapewne były to córki wieśniaków syryjskich, a podawały w koszyczkach daktyle. Owoce świeżo zerwane zapraszały do jedzenia, Ben-Hur wziął kilka; człowiek zaś siedzący na drzewie, które mijali, zawołał: pokój wam i pozdrowienie!

Podziękowawszy dzieciom, ruszyli obaj przyjaciele dalej, pozwalając wielbłądom iść, jak same chciały.

– Musisz wiedzieć – mówił dalej Malluch, jedząc daktyle, że kupiec Simonides pokłada we mnie zaufanie i nieraz wzywa mej rady. Ponieważ żyję w jego domu, więc znam wielu jego przyjaciół, a ci wiedząc, iż pan mi ufa, mówią przy mnie otwarcie. Tym sposobem zna mnie i szejk Ilderim.

Opowiadanie Mallucha zwróciło uwagę Ben-Hura na chwilę w inną stronę, a przed oczyma jego duszy stanął obraz wdzięczny, czysty i jakby błagalny Estery, Simonidesowej córki. Jej wielkie, ciemne oczy, błyszczące blaskiem właściwym żydowskiemu typowi, jakże skromnie spojrzały na niego! Na chwilę zdało mu się, że widzi ją, że słyszy jej krok, gdy się zbliżała z winem, i głos, gdy mówiła, podając kubek. Współczucie, które mu okazała było tak wyraźne, że słowa stawały się zbyteczne. Jakże miłe było to wspomnienie! Jednak, gdy się zwrócił do Mallucha, pierzchnęło ono wobec rzeczywistości.

– Przed kilku tygodniami – mówił dalej Malluch – stary Arab przybył do Simonidesa w mojej obecności. Widząc, że był czymś mocno podniecony, chciałem odejść, ale nie pozwolił, mówiąc: jesteś Izraelitą, możesz więc zostać i usłyszeć dziwną opowieść. Nacisk, z jakim wymówił słowo „Izraelita”, zadziwił mnie i zaciekawił. Zostałem więc, powtórzę ci w skrócie co mówił, bo zbliżamy się już do namiotów i szczegółowo może on sam ci opowie. Przed wielu laty przybyło do jego namiotów na pustyni trzech cudzoziemców, a każdy z innego narodu: Grek, Hindus i Egipcjanin. Białe ich wielbłądy były większe i piękniejsze niż mu się kiedy zdarzyło widzieć. Wyszedł ku nim i przyjął ich gościnnie na nocleg. Nazajutrz rano wstali i modlili się w niezrozumiały dla szejka sposób, wzywając Boga i Jego Syna w sposób dziwnie tajemniczy. Po śniadaniu Egipcjanin opowiedział gospodarzowi, kim byli i skąd przybywali. Każdy z nich z osobna widział gwiazdę, każdy słyszał głos rozkazujący im iść do Jerozolimy i tam pytać: „gdzie jest Ten, co się narodził, Król Żydowski?” Uczynili zadość wezwaniu, a od Jerozolimy wiodła ich gwiazda aż do Betlejem, gdzie w jaskini znaleźli nowo narodzone dziecko. Wierząc, że Dziecię jest obiecany im królem, padli przed nim na kolana, oddawszy cześć i kosztowne dary. Spełniwszy rozkaz Pana, dosiedli wielbłądów i nigdzie nie odpoczywając, przybyli do szejka. Uciekli przed Herodem, który, jak mówili, byłby ich zabił, gdyby mu wpadli w ręce. Wierny prawu gościnności, przechował ich szejk rok cały; po czym każdy z nich, zostawiwszy kosztowne dary, odjechał w swoją stronę.

– A to naprawdę zadziwiające zdarzenie – zawołał Ben-Hur.

– O co to oni mieli zapytać w Jerozolimie?

– Kazano im pytać: gdzie jest Ten, co się narodził, Król Żydowski.

– I nic więcej?

– Zdaje mi się, że było jeszcze coś więcej, ale nie pamiętam.

– I znaleźli dziecko.

– Tak, i oddali mu cześć.

– Ależ to cud. Malluchu.

– Ilderim jest zycznym człowiekiem; a choć jest wrażliwy jak każdy Arab to niepodobna przypuszczać, aby kłamał.

Malluch opowiadał z niezwykłym przejęciem. Wielbłądy zostawione same sobie, zeszły z drogi na trawę.

– Ilderim nic więcej nie wie o tych ludziach? – pytał Ben-Hur. – Co się z nimi stało?

– Owszem, wie i to właśnie było powodem jego przybycia do Simonidesa w dniu, o którym ci mówiłem, bowiem wieczorem dnia poprzedniego zjawił się z niego Egipcjanin.

– Gdzie?

– Tu, u wejścia namiotu, do którego jedziemy.

– I zdołał go poznać?

– Tak, jak ty dziś rano poznałeś konie po ruchach i całej postaci.

– I po niczym więcej?

– Jechał na tym samym wielkim białym wielbłądzie, wymówił nazwisko Baltazara Egipcjanina, jak przed laty.

– To nowy cud Wszechmogącego – rzekł Ben-Hur wzruszony. Zdziwiony tym uniesieniem Malluch, zapytał:

– Dlaczego?

– Wszak nazwałeś Egipcjanina – Baltazar?

– Tak.

– Czyż nie pamiętasz, że to samo imię podał nam dziś starzec u krynicy? Przypomnienie to wzruszyło i Mallucha.

– Prawda, zaiste – odparł – nawet wielbłąd ten sam, a ty ocaliłeś temu człowiekowi życie.

– Kobieta zaś – rzekł Ben-Hur jakby do siebie – kobieta, to jego córka?

Zamyślił się i można by przypuścić, że nowe, bardziej od Estery pożądane zjawisko, gości w jego duszy – ale tak się nie stało.

– Powiedz mi jeszcze – mówił dalej – czy ci trzej mieli pytać: gdzie jest Ten, który ma być królem Żydów?

– Niezupełnie tak. Słowa były: co się narodził. Król Żydowski. Tak mówił i słyszał szejk na pustyni, i odtąd czeka przyjscia tego króla, i nikt nie obali jego wiary w tym względzie.

– Jak ma przyjść – czy jako król?

– Tak, i los Rzymu wypełni się, twierdzi szejk.

Ben-Hur milczał chwilę, próbując opanować swoje uczucia.

– Starzec ten jest jednym z wielu milionów – rzekł z wolna – z wielu milionów, wśród których każdy ma krzywdę do pomszczenia. Ta dziwna jego wiara karmi go winem i chlebem nadziei, bo któż, jeśli nie Herod, może być królem Żydów, póki istnieje Rzym? Ale wracając do opowiadania, czy słyszałeś co mu Simonides odparł?

– Jeśli Ilderim jest zacny, to Simonides jest mądry – mówił Malluch – słuchałem... Nagle przerwał... Ale słuchaj no, ktoś nas dogania.

Jakoż zbliżał się hałas, turkot wozu i odgłos końskich kopyt, a niebawem ukazał się także szejk Ilderim, konno w orszaku swoich ludzi; między wiedzionymi końmi była i owa czwórka wraz z wozem. Szejk jechał z pochyloną głową, a biała broda spadała mu na piersi. Nasi dwaj znajomi, zwróciwszy się ku niemu, uprzedzili go, pozdrawiając go uprzejmie.

– Pokój wam! Witaj mój przyjacielu Malluchu, witaj; ufam, iż nie wracasz, ale przybywasz z dobrą wieścią dla mnie od zacnego Simonidesa, którego niech zachowa długie lata przy życiu wielki Bóg ojców jego! Wróćcie więc i chodźcie ze mną. Mam chleb i napój, a jeśli wolicie, mamy napój i mięso z młodego kozłęcia. Chodźcie.

Towarzyszyli więc szejkowi aż do namiotu, a gdy zsiadali, gospodarz już stał u wejścia, trzymając w ręku tacę z trzema kubkami napełnionymi jasnożółtawym likworem. Naczerpał tego napoju z bukłaku umieszczonego u stropu namiotu.

– Pijcie – rzekł serdecznie do przybyłych – w napoju tym jest umocnienie mieszkańców namiotów.

– Każdy wziął kubek, wypił do dna, zostawiając tylko pianę, a szejk mówił:

– Wejdźcie teraz w Imię Boże.

Gdy weszli, Malluch wziął na bok szejka i mówił z nim na osobności, a skończywszy, zbliżył się do Ben-Hura i rzekł:

– Już rozmówiłem się z szejkiem, jutro rano da ci konie i jest twoim przyjacielem. Zrobiłem dla ciebie, co mogłem – reszta należy do ciebie; ja zaś muszę wrócić do Antiochii, bo

obiecałem dziś wieczór z kimś się widzieć. Jutro powrócę na naradę, a może będę mógł, jeśli wszystko dobrze pójdzie, zostać tu aż do końca wyścigów.

Rozstali się wśród wzajemnych błogosławieństw, a Malluch skierował wielbłąda w stronę Antiochii.

ROZDZIAŁ XVII

Księżyc oblewał bladym światłem obwarowany szczyt góry Sulpius. Dwie trzecie mieszkańców Antiochii używało na dachach chłodnego wietrzyku nocy lub też, gdy wiatr nie wiał, chłodziło się wachlarzami. Simonides również siedział na tarasie w swoim krześle i patrzył na rzekę i na spokojnie kołyszące się statki stojące na kotwicy. Mur poza nim, rzucał cień daleko, aż poza drugi brzeg Orontesu. Nad nim, na moście, huczała wciąż wrzawa tłumnie idących ludzi. Przed nim stała Estera z tacą ze skromną wieczerzą, podając mu pieczone lekkie ciasto pszeniczne, miód i czarkę mleka, w którym maczał miodem nasycone ciastka.

– Coś nie widać dziś Mallucha, gdzieś się bałamuci – rzekł zdradzając swoje myśli.

– Sądzisz, iż wnet przyjdzie? – pytała Estera.

– Jeśli nie poszedł za nim na morze lub w pustynię, to przyjdzie – mówił Simonides z pełnym przekonaniem.

– Może tylko napisze – zauważyła.

– Nie, Estero, gdyby nie mógł wrócić, już bym list odebrał: a ponieważ go nie mam, wiem, że musi przyjść... i przyjdzie.

– Mam nadzieję, iż stanie się, jak rzekłeś – odpowiedziała z pewnym wzruszeniem w głosie Estera.

Nie uszło to bacznej uwadze starca... może to odcień smutku, może życzenia... Najmniejszy ptaszek nie spocznie na najwspanialszym drzewie tak, by nie poruszył najdelikatniejszych strun jego życia, owych niewidzialnych nici stanowiących rdzeń życia. Tak i umysł ludzki bywa równie czuły na najlżejsze słowo.

– Czy pragniesz, aby przyszedł, Estero? – zapytał.

– Tak – rzekła, podnosząc oczy na ojca.

– Czy możesz mi powiedzieć dlaczego? – badał dalej.

– Bo – mówiła wahając się – bo ten młodzieniec jest... tu zatrzymała się.

– Naszym panem. Zapewne to chciałaś powiedzieć.

– Tak.

– A ty sądzisz jednak, że nie powinienem pozwolić, aby odszedł nie dowiedziawszy się iż może wrócić, kiedy mu się będzie podobać i wziąć wszystko, nas – i wszystko, co posiadamy – majątki, wozy, okręty, niewolników, i ten potężny kredyt, który jak płaszcz ręką powodzenia, owego najpotężniejszego z aniołów, dla mnie ze szkarłatu, złota i najcieńszego srebra utkany?

Słuchała w milczeniu.

– I to cię wcale nie wzrusza? – zapytał z lekkim odcieniem goryczy. – Dobrze, dobrze, Estero, wiem z doświadczenia, że lżejsza jest każda rzeczywistość niż jej przecucie, gdy je widzimy poprzez, ciemną chmurę, co zalega duszę – nawet tortura. Stosownie do tego mniemania może i niewola, do której wrócimy. słodsza będzie niż się spodziewany. Czemu nie? Zaczynam nawet mieć upodobanie w myśli, że szczęście naszego pana jest zaiste nadzwyczajne. Majątek nic go nie kosztuje – ani troski, ani jednej kropli potu, ani nawet jednej twórczej myśli: przyszedł do gotowego w zaraniu młodości. Co więcej, pozwól Estero, że pozwolę

sobie na trochę próżności, otrzymuje jeszcze to, czego nie kupi na targu za żadną cenę – bo otrzymuje ciebie, dziecię moje, ukochanie moje, kwiecie rozkwitły na grobie mej utraconej Racheli.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował raz za siebie, drugi raz za zmarłą matkę.

– Nie mów tak – rzekła, gdy ręka ojca opadła z jej szyi. – Myślmy o nim inaczej, boleść i cierpienie dobrze mu są znane, nie zechce nas gnębić i obdarowuje wolnością.

– Masz Estero bystry umysł i nieraz opierałem się na twym zdaniu, gdy szło o osądzenie kogoś stojącego przed nami, tak jak on stał. Ale, ale – tu głos nabrał ostrego brzmienia, przynosząc mu w darze nie tylko te członki, które mnie udźwignąć nie zdołają, nie tylko ciało już do ludzkiej postaci niepodobne, nie tylko tyle daję mu od siebie.... o nie i tysiąc razy nie! Daję mu duszę, co zwyciężyła tortury i rzymską złośliwość, gorszą od męczarni. Przynoszę umysł, którego oczy widzą złoto dalej, niż kiedy żeglowały korabie Salomona, co więcej – siłę potrzebną do zdobycia tego złota. Weź, Estero, rękę moją, zatrzymaj ją palcami, aby nie uleciało z duszy przedwczesne słowo – bo zaprawdę przynoszę mu jeszcze umysł zdolny do tworzenia nowych pomysłów i planów. – Zatrzymał się i zaśmiał głośno. – Tak, Estero, zanim nowy księżyc widzialny w tej chwili w podwórzach świątyni, na świętym wzgórzu przejdzie w kwadrę, mógłbym tak uczynić, że cały świat byłby poruszony i zdziwiony. Bo wiedz, moje dziecko, że posiadam zdolność cenniejszą nad inne, lepszą niż zdrowe i silne ciało, cenniejszą od odwagi i woli, więcej wartą niż doświadczenie, słowem najlepszy owoc długiego żywota, dar Boga najwyższy, który jednak – tu zatrzymał się i roześmiał się znowu, ale bez goryczy, a raczej z zadowoleniem – który jednak nawet u możnych w małej jest cenie, a którego w tłumie nie szukać – mam zdolność pociągania ludzi do siebie i moich celów, co więcej, zdolność zmuszenia ich do działania podług mojej woli, poruszania setek i tysięcy. Tej sile ulegając, kapitanowie moich okrętów przepływają morza i zwożą uczciwy zarobek; jej służy w tej chwili Malluch, pilnując młodzieńca, co może być naszym panem.

Wtem dały się słyszeć kroki na tarasie.

– Nie mówiłem, Estero, oto jest – i otrzymamy wiadomości. Dla ciebie, dziecię moje, świeżo rozkwitła lilio, dla ciebie proszę Pana Boga naszego, który zbłąkanej owcy izraelskiej nie zapomina, aby te wieści były dobre i uspokajające. Dowiemy się, czy pozwoli nam odejść i być wolnymi – tobie, z twoją pięknnością, mnie z moimi zdolnościami.

Malluch zbliżył się do krzesła.

Pokój tobie, zacny panie – rzekł oddając niski pokłon – i tobie Estero, najlepsza z córek.

Stał przed nimi z uszanowaniem, a z postawy i przemówienia trudno było określić, jaki był stosunek, który ich łączył. Jedno zdawało się stosowne dla sługi, drugie pozwalało odgadywać w nim przyjaciela. Simonides, odpowiedziaławszy pozdrowieniem, przystąpił, jak zwykł czynić zawsze, wprost do przedmiotu.

– Cóż nam powiesz o młodzieńcu, Malluchu?

Spokojnie i w najprostszych słowach opowiedział wysłaniec zdarzenia dnia ubiegłego, a nikt mu nie przerywał, póki nie skończył. Słuchający nie poruszył nawet ręką w ciągu opowiadania, siedział tak nieruchomo, że gdyby nie blask szeroko rozwartych oczu i nie głębokie od czasu do czasu westchnienie, można by go wziąć raczej za posąg, niż za żyjącego człowieka.

– Dziękuję ci, dziękuję ci, Malluchu – rzekł serdecznie, gdy tamten skończył – spełniłeś dobrze polecenie. Nikt nie zrobiłby lepiej. Co sądzisz o pochodzeniu młodzieńca?

– Jest Izraelitą z pokolenia Judy.

– Jesteś tego pewny?

– Najzupełniej!

– Z tego, co opowiadałeś, to mało ci mówił o swoim życiu.

– Nauczył się ostrożności, a nawet wydał mi się podejrzliwy i odrzucał wszelkie moje usiłowania w celu pozyskania jego zaufania. Dopiero w powrocie od kastalskiej krynicy do wsi Dafny zmienił postępowanie.

– Chodziliście do tych miejsc zgorzenia, po co?

– Zapewne, tak jak to czynią prawie wszyscy, co tam idą – z ciekawości. Co więcej, wszystko co tam widział, nie zajmowało go wcale, o świątynie zapytał za ledwo, czy greckie? Wierzaj, zacny panie, młodzieniec ten ma boleść w duszy, przed którą chciałby się ukryć i poszedł do gaju, aby tę boleść tam pogrzebać, jak grzebiemy umarłych naszych.

– Dobrze byłoby gdybyś odgadł – rzekł Simonides cichym głosem, a potem dodał głośniejszym:

– Wiesz, Malluchu, że plagą naszych czasów stała się rozrzutność. Biedni czynią się biedniejszymi, małpując bogatszych; majątni żyją, jak książęta. Nie spostrzegłeś śladów tej namiętności w młodzieńcu? W ogóle, powiedz, czy nie wydawał pieniędzy i czy te pieniądze były izraelskimi czy rzymskimi?

– Nie wydawał, zacny panie, żadnych.

– Przecież tam, gdzie tyle jest sposobności do szaleństw, tyle do jedzenia i picia, musiał cię wspaniale częstować... Wiek jego, jeśli nie co innego, zdawałby się pozwalać nawet na wybryki.

– W mej obecności ani jadł, ani pił.

– W tym co mówił i czynił, czy nie odgadłeś przewodniej myśli jego działania? Wszak wiesz, że dla rozważnych łatwo jest zajrzeć do duszy niby przez szerokie szpary.

– Pozwól, abym zrozumiał – rzekł Malluch niepewny.

– Dobrze, wszak wiesz, że w rzeczach ważnych, dotyczących nas samych, nie mówimy ani postępujemy bez ważnego powodu. Co w tym względzie odkryłeś?

– Co do tego, mogę cię, Simonidesie, najdokładniej objaśnić. On oddał się w zupełności odszukaniu matki i siostry – i to przede wszystkim zajmuje umysł jego. Prócz tego chowa nienawiść do Rzymu, który go skrzywdził, a ponieważ między Messalą a tą krzywdą jest pewna łączność, więc obecnie korzysta ze sposobności, aby go upokorzyć. Spotkanie u krynicy dało już niejako tę sposobność, ale nie skorzystał z niej, bo była za mało jawną.

– Messala ma wielkie znaczenie – rzekł poważnie Simonides.

– Prawda... najbliższe ich spotkanie będzie w cyrku.

– A potem?

– Syn Ariusza zwycięży.

– Skądże to wiedzieć możesz?

Malluch uśmiechnął się przebiegle.

– Sądzę z tego, co mówił.

– Czy tylko z tego?

– O nie, mam lepszy dowód, wierzę w siłę jego ducha.

– A ta zemsta, Malluchu, jaki jest jej cel? Tyczy się ona kilku, którzy mu krzywdę wyrządzili, czy też obejmuje obszerniejsze pole? Co więcej – jest uczucie jego uniesieniem chłopca, czy też bólem dojrzałego męża? – Wiedz, Malluchu, że pragnienie zemsty, zakorzenione w umyśle, jest tylko słabym i sennym marzeniem, które biały dzień łatwo rozproszy; przeciwnie, zemsta, mająca siłę namiętności, to choroba serca, która tłoczy się do mózgu, żywiąc się jednym i drugim.

Mówiąc to, zdradzał Simonides pierwszy raz podczas tej rozmowy jakieś rozdrażnienie uczucia. Mówił prędko, z zaciśniętymi rękoma i zapalem człowieka opisującego chorobę, którą zna dobrze.

– Rozumiem cię, panie – odparł Malluch – właśnie to, z czego wnioskować mogę, że młodzieniec ten jest Żydem, to gorącość jego nienawiści. Mimo że miał się na baczności, której się nauczył przez tyle lat przeżytych w otoczeniu rzymskim, nie zdołał uczuć tych pokryć. Przecież widziałem, jak buchnął jasny płomień nienawiści, gdy mnie pytał o uczucia Ilderima

dla Rzymu, drugi raz, gdy mu opowiedział historię szejka i Mędrca, powtarzając pytanie: Gdzie jest ten, który się urodził Król Żydowski?

Simonides szybko podniósł głowę, oczekując dalszych słów sługi.

– Mów, cny Malluchu, powtórz jego słowa, niechaj osądzę wrażenie, jakie tajemnica ta na nim wywarła.

– Chciał słowa wiedzieć wyraźnie i dokładnie, czy pytano: ma być, czy też ma się urodzić królem? Zdaje mi się, iż zastanawiał się nad wielką różnicą leżącą w tych zdaniach.

Simonides słuchał uważnie.

– Potem – mówił Malluch dalej – powiedziałem mu, co o tej tajemnicy sądzi Ildenm, mianowicie, że w królu tym wypełnią się losy Rzymu, Młodzieniec zarumienił się na te słowa i rzekł: Któż, jeśli nie Herod będzie królem Żydów, póki Rzym stoi!

– Jakże to rozumiał?

– Że, aby inne rządy powstać mogły, Rzym wpierv upaść musi. Simonides patrzył czas jakiś na okręty, co się z wolna kołysały na wodzie i ich cienie, a podniósłszy oczy, zakończył rozmowę.

– Dosyć, Malluchu, wiem co chciałem; zjedz wieczerzę i gotuj się z powrotem do palmowego gaju: potrzeba, abyś pomógł młodzieńcowi w jego przedsięwzięciach. Przyjdź tu rano, dam ci list do Ilderima. – Potem przyciszonym głosem, jakby sam do siebie, mówił: – może i sam będę w cyrku.

Gdy Malluch po wypowiedzeniu wzajemnych błogosławieństw opuścił taras, Simonides wypił mleko i zdawał się być duchowo odświeżonym i swobodniejszym.

– Odnieś jedzenie, Estero – rzekł – bo oto już spożyłem.

Wypełniła zlecenie, a na rozkaz ojca zajęła swe zwykle miejsce przy poręczy jego krzesła.

– Bóg jest dobrym dla mnie, bardzo dobrym – rzekł gorąco. – Zwyczajem Jego jest osłaniać się tajemnicą, a jednak czasem pozwala nam dojrzeć i zrozumieć drogi swoje. Stary jestem i wnet może będę musiał odejść; ale teraz w jedenastej godzinie dni moich, w chwili, gdy nadzieja moja zdawała się obumierać, zsyła mi obietnicę, umacniającą siły moje. Widzę wielką część drogi już przebytą i takie okoliczności, że zaiste zbliża się jakby odrodzenie całego świata. Wiem też, dlaczego dane mi było zgromadzić tak wielkie bogactwa, znam ich cel i przeznaczenie. Zaprawdę, dziecię moje, czuję nowe życie.

Estera przysunęła się bliżej, jakby pragnęła myśli ojca na inne sprowadzić tory.

– Król urodził się – mówił ciągle do niej – i musi już być bliski połowy życia ludzkiego. Baltazar mówi, że był dziecięciem na łonie matki, gdy Go widział, składając cześć i dary; a Ilderim utrzymuje, że minęło już w grudniu dwadzieścia siedem lat od chwili, gdy Baltazar z towarzyszami przybył do namiotu i prosił o ukrycie przed Herodem. Wkrótce więc ukaże się król, dziś, jutro nadejdzie dzień Jego. O święci ojcowie Izraela, ileż szczęśliwości mieści się w tej nadziei! Już słyszę łomot padających murów więzień i powszechny bunt przeciw dawnemu porządkowi rzeczy. Ziemia otwiera swe łono i pochłonie Rzym. Narody oddychają i wznoszą hymn wolności, bo oto nie ma już światowładnej Romy! Tu zaśmiał się sam do siebie. – I cóż, Estero, słyszałaś kiedy coś podobnego? Na samo przypomnienie ogarnia mnie poetyckie uniesienie śpiewaka i zapal Miriam i Dawida. Myśli moje, przykute zwykle do cyfr i zajęć wyrobnika, pełne są radosnego gwaru cymbałów, dźwięku harf i krzyków, którymi otaczający witają nowego króla na tronie. Ale nie czas jeszcze takim oddawać się myślom, trzeba aby, gdy przybędzie, zastał tyle pieniędzy i ludzi, ile ich potrzebować będzie jako człowiek urodzony z niewiasty: iść więc musi zwykłymi ludzkimi drogami, jak ty i ja. Aby zachować pieniądze, musi mieć straż i kraty; aby wojować, musi znaleźć wodzów dla swych zastępów. Czy rozumiesz mnie, dziecię moje? Czy widzisz, jaka droga otwiera się przede mną i młodzieńcem, naszym panem? Na końcu tej drogi przyświeca nam obu chwała i zemsta i... i... – Tu wstrzymał potok wyrazów, uderzony samolubstwem zamiarów, w których ona nie zajmowała żadnego miejsca ani udziału, ani korzyści, dodał więc całując ją: – i szczęście dla dziecka twojej matki.

Ona milczała ciągle. Wtedy Simonides przypomniał sobie, że nie każdy zapatruje się na rzeczy jednakowo, i że to, co jednego cieszy, drugiemu strasznym się wydaje; przypomniał sobie nareszcie, że była dziewczyną.

– O czym myślisz, Estero? – rzekł zwykłym tonem – Jeśli masz jakie życzenie, to wypowiedz je, póki jeszcze władza w moim ręku. – Władza, jak wiesz, to przemijająca istota, a skrzydła jej zawsze do lotu rozwinięte.

Z prawdziwie dziecinną prostotą odpowiedziała:

– Poślij po niego, mój ojcze! Poślij dziś po niego i nie pozwól, aby szedł do cyrku.

– Ach tak! – rzekł przeciągłym głosem, i patrzył znów na rzekę, gdzie cienie, ponieważ księżyc zaszedł daleko poza szczyt góry, stawały się coraz ciemniejsze; nad miastem świeciły jedynie blado migocące gwiazdy. Mamyż zajrzeć śmiało w serce Simonidesa i ujrzeć, że go boleśnie zraniło uczucie zazdrości? A jeśli ona na wieczność pokochała młodego pana! Myśl ta powracała uparcie, chociaż nie chciał jej przepuścić, tłumacząc sobie, że jest za młoda; mimo woli jednak jej ulegał. Wiedział, że miała lat szesnaście, pamiętał dobrze ostatni dzień jej urodzin. Byli wtedy właśnie w warsztacie okrętów, bo spuszczano tego dnia szalupę, a żółta flaga na galerze, oznaczająca jej zaślubiny z falą morza, nosiła napis – Estera. Dzień ten spędzili razem; jakże miłe zostawił wspomnienie! Dziś rzeczywistość zrobiła mu niespodziankę, bo chociaż wiemy, że są rzeczy nieuniknione, rzeczy które się spełnić muszą, niemniej zbliżenie ich jest nam przykre. Są to najczęściej rzeczy dotyczące nas samych – czy to, że się starzejemy, czy, co gorsze, że umrzeć musimy. Jedna z takich bolesnych rzeczy wsunęła się do jego serca, jeszcze to niby cień, a przecież dość rzeczywista, aby wydrzeć z piersi westchnienie podobne do jęku. Nie dość, że młoda dziewczyna w całej krasie wieku miała zostać jego niewolnicą, ale jeszcze miała mu złożyć w darze uczucia swego serca, których siłę i urok znał jej ojciec tak dobrze, bo dotąd jego tylko były udziałem. Złowroga potęga, która zwykła nas dręczyć obawami i troską, nie uczyniła by tego w połowie. W tej chwili cierpienia czcigodny starzec nie czuł nic prócz bólu i zapomniał o swym wielkim zadaniu i tajemniczym królu, a pytał swej córki z drzeniem: – Czemu, Estero, czemu nie mam pozwolić, aby szedł do cyrku?

– To nie jest miejsce dla syna Izraela, mój ojcze.

– Skądże wzięło się u ciebie takie rabinistyczne zapatrywanie, Estero! Czy to wszystko?

Pytanie trafiło w samo serce, które głośno odezwało się o swe prawa – tak głośno, że na razie nie zdołała odpowiedzieć. Dziwne i przyjemne uczucie ogarnęło ją całą.

– Młodzieniec otrzyma majątek – rzekł starzec serdecznie, biorąc jej rękę – będzie miał okręty i pieniądze, wszystko, Estero, wszystko... A przecież nie czułbym się ubogim, bo miałbym ciebie, ciebie, której miłość tak podobna do miłości Racheli. Powiedz mi, dziecko moje, czy i to on posiędzie?

Pochyliła się nad nim i oparła twarz o jego głowę.

– Powiedz, Estero, nie lękaj się. Świadomość uczyni mnie silniejszym, bo w świadomości tkwi także siła.

Wyprostowała się na to wezwanie i rzekła, jakby była usposobieniem prawdy. – Uspokój się, ojcze, nie opuszczę cię nigdy. Gdyby on nawet miał posiadać miłość moją, pozostaną na zawsze twoją służebnicą.

To rzekłszy, złożyła pocałunek na jego rękę.

– Co więcej – mówiła dalej – widok jego jest mi miłym, a głos pociąga serce i drzę, gdy myślę, iż jest w niebezpieczeństwie. Tak, ojcze, choć raz jeszcze chciałabym go widzieć. Przecież miłość bez wzajemności nie może być doskonałą, dlatego czekać będą w spokoju, pomnąc, żem twoją i mojej matki córką!

– Jesteś mi prawdziwym błogosławieństwem Pana! – mając ciebie, Estero. będą bogatym, choćbym wszystko inne utracił. A i to przyrzekam na święte imię pana, że nie pozwolę, abyś cierpieć miała.

Wezwany sługa wsunął krzesło kaleki do komnaty, sen atoli nie kleił jego powiek; po wzruszeniach dnia rozmyślał o przyjściu króla, podczas gdy ona spała snem niewinności.

ROZDZIAŁ XVIII

Naprzeciw domu Simonidesa, po drugiej stronie rzeki, wznosił się pałac, który miał być dziełem słynnego budowniczego króla Epifanesa i odpowiadał pojęciu, jakie w ogóle o tego rodzaju budowlach mieć możemy. Styl jednak tego gmachu odznaczał się pewną kolosalnością, która się nie zgadza z dzisiejszymi zasadami klasycznej architektoniki, a tym samym zbliżał się do stylu perskiego, nie zaś do greckiego, tak chętnie naśladowanego w Rzymie. Mur, okalający całą wyspę wzdłuż wybrzeża, wybudowany był w podwójnym celu, bo miał chronić i od wylewu i od nieprzyjaciela; czynił jednak całe to miejsce posepnym i nikt nie lubił tu stale przebywać. Z tego powodu zbudowano dla legatów rzymskich inną rezydencję na zachodnim stoku góry Sulpius, poniżej świątyni Jowisza. Nie wszyscy wierzyli, aby niezdrowe położenie miało być powodem opuszczenia pałacu, przeciwnie, utrzymywano, że wybudowanie pałacu na górze przedstawiało większe niebezpieczeństwo, bo było obwarowane tak potężnymi murami, że je twierdzą zwano. To przypuszczenie wiele miało prawdopodobieństwa tym bardziej, że pałac na wyspie nie był nigdy zupełnie opuszczonym; przeciwnie, utrzymywano go w stanie świetności i gościli w nim zwykle, przejeżdżające przez Antiochię znakomitości, jak konsulowie, wodzowie lub sąsiedni królowie. Ponieważ w całym tym gmachu jedna nas tylko obchodzi komnata, pozostawiamy resztę wyobraźni czytelnika, jeśli zechce zwiedzić ogrody, łaźnie, korytarze i cały labirynt komnat, aż do pawilonów na dachu. Urządzenie tego wszystkiego było nader zbyt kowne; nie należy bowiem zapominać, że to pałac w grodzie „wspaniałego Wschodu”.

Komnatę, do której teraz wejdzimy, nazwano by dzisiaj salonem. Była ona obszerna, posadzka lśniła marmurem, a światło wpadało oknami zaopatrzonymi w kolorową mękę, zastępującą terazniejsze szyby. Jednostajność ścian urozmaicały posągi Atlasa i jego cór w rozmaitych postawach, podtrzymując gzyms zdobiony rozmaitymi arabeskami i mieszaniną barw: niebieskiej, zielonej, purpurowej i złotej. Wzdłuż ścian znajdował się dywan z indyjskiego jedwabiu i wełny kaszmirskiej utkany.

Umeblowanie stanowiły stoły i stołki dziwaczego egipskiego kształtu.

Niech więc Simonides myśli o oczekiwanym królu i układa, w jaki sposób mu dopomoże, a Estera niech śpi wśród złotych snów. My, przejdźmy most na rzece, bacznie strzeżoną bramą, mińmy iście babilońską liczbę krętych korytarzy, podwórzy i wejdźmy do owej złoconej komnaty.

Od stropu zwiesza się pięć świeczników, po jednym w każdym rogu, a piąty, największy, w środku. Świeczniki te, niby piramidy lamp płonących, rzucały światło jaskrawe na demoniczne oblicza Atlasów i różnobarwne ozdoby gzymsu. Przy stołach zgromadziło się około stu osób, którym się przypatrzeć musimy.

Wszyscy byli młodzi, niektórzy jeszcze nawet chłopcy. Bez żadnej wątpliwości są to Italczycy. a najwięcej Rzymian, bo mówią czystą łaciną i noszą suknie, jakich używają w domu mieszkańcy wielkiej stolicy nad Tybrem. Tuniki ich, o krótkich rękawach, nadają się wybor- nie do klimatu Antiochii, a krój ich szczególnie wygodnym się zdaje w dusznej atmosferze komnaty; togi i suknie, niektóre bogato i nie bez znaczenia purpurą lamowane, leżą na dywa-

nie porzucone. Gdzieniedzie wśród tych szat widać śpiących, wygodnie rozciągniętych młodzieńców. Czy ich powaliło zmęczenie po skwarnym dniu, czy hojne na cześć Bachusa libacje, nie chcemy rozstrzygać.

Gwar tu nieustanny. Słysząc czasem wybuchy śmiechu, to głośne oznaki gniewu lub radości – ale wszystko przygłusza stuk, czy odgłos, dziwnie dla nieobeznanego brzmiący. Przybliżwszy się do stołów, odkrywamy tajemnicę, bo zebrane tu towarzystwo zabawia się ulubioną grą w kości lub warcaby. Kim są ci goście?

– Miły Flawiuszu – mówi jeden z grających, trzymając kość w palcach – widzisz moją suknię tam na dywanie naprzeciw nas. To całkiem nowa suknia, a sprzączka, co ją spina na ramieniu, ze szczerego złota i duża jak moja ręka.

– To i cóż? – odparł Flawiusz, grą tylko zajęty. – Widziałem takich dużo; może twój płaszcz nie stary, ale nie jest też nowy. Cóż zresztą?

– Nic. Tylko dałbym tę suknię temu, kto by mi pokazał człowieka wiedzącego wszystko.

– Ba – jeśli tylko tyle, to taniej mieć go możesz, bo wskażę ci kilku, nawet takich co purpurę noszą, a podejmą się uczynić ci zadość. Grajże!

– Oto – wygrałem.

– Czy tak? Na Jowisza! No i cóż? Czy zagramy jeszcze?

– Dobrze, niech i tak będzie.

– Jaka stawka?

– Sestercja.

Każdy z nich zapisał sobie sumę na tabliczce, a gdy układali dalszą grę Flawiusz wrócił do poprzedniej uwagi swego towarzysza.

– Człowieka, który by wszystko wiedział! Na Herkulesa, jeśli by takich łatwo znaleźć, to wyrocznie chleb tracą. Czegóż byś chciał od takiego potwora?

– Musiałby mi dać odpowiedź na jedno pytanie, a potem, na Jowisza, kark bym mu skręcił.

– Jakież to pytanie?

– Chciałbym, aby mi powiedział godzinę... nie, minutę, w której Maksencjusz jutro przyjedzie.

– Doskonale posunięcie... mam cię!... Dlaczegoż minutę?

– Nie stałeś nigdy z odkrytą głową na syryjskim wybrzeżu, gdzie wylądował? Na ojca Romulusa, nie tak parzą ognie Westy, a ja wiem, że umrę, ale chcę umierać w Rzymie. Ha! na bogi, pokonałeś mnie, Flawiuszu! Przegrałem. O Fortuno, jakże zmienne twoje łaski!

– Czy gramy?

– Muszę przecież odegrać moją sestercję.

– Niech i tak będzie.

I grali dalej, a gdy blask dzienny począł walczyć ze światłem lamp, siedzieli jeszcze przy tym samym stole. Należeli oni, jak i większa część tegoż towarzystwa, do świty konsula; bawiąc się, czekali na niego.

W czasie powyższej rozmowy nowe towarzystwo weszło do sali i niepostrzeżone przez nikogo zbliżyło się do głównego stołu. Nowo przybyli wracali widocznie z dopiero co ukończonej uczy. Kilku ledwie trzymało się na nogach; jeden, w wieńcu na głowie, zdawał się być przewodniczącym, a może fundatorem całej zabawy. Nie wydawał się być pijanym, przeciwnie, gorące wino podniosło tylko wdzięk jego czysto rzymskiej urody. Głowę niósł wyniosłe, krew rumieniła mu usta i policzki, oczy jasnym świeciły blaskiem, ale sposób, w jaki niósł toż był trochę za zuchwały jak na człowieka trzeźwego. Szedł śmiało ku stolowi, robiąc miejsce swemu otoczeniu z pewną bezwzględnością. Gdy stanął i popatrzył na grających, wszyscy rzucili się ku niemu z głośnym okrzykiem powitania.

– Messala! Messala! – wołali.

Ci, co się znajdowali dalej, powtórzyli ten okrzyk ze swego miejsca. Za chwilę całe towarzystwo zbliżyło się ku środkowi.

Messala przyjął to powitanie na pozór obojętnie; przecież pragnął skorzystać z tej sposobności i przekonać wszystkich, jak bardzo był lubiany i z jakich przyczyn.

Zdrowie twoje. Druzusie! – rzekł do najbliższej grającego. Pozwól mi swojej tabliczki na chwilę.

Podniósł do oczu woskową tabliczkę, przeliczył zapisane zakłady i rzucił je z pewnym rodzajem wzgardy na stół, mówiąc:

– Denary i tylko denary – moneta rzeźników i fernali. – Na pijanego syna Semeli, na co to Rzym schodzi, gdy wnuk Cezara czuwa noce całe, aby mu nędzny denar Fortuna przyniosła!

Potomek Druzusa zaczerwienił się po uszy, a otaczający zagłuszyli jego odpowiedź, spiesząc do stołu wśród wykrzykników na cześć Messali.

– Mężowie znad Tybru! – mówił znowu Messala, odbierając kubek z kośćmi od stojącego obok młodzieńca. Kto jest ulubieńcem bogów? Rzymianin. Kto narodom nadaje prawa? Rzymianin. Kto prawem miecza panuje nad światem?

Tu już całe towarzystwo wyprzedziło go w odpowiedzi i zawołało chórem:

– Rzymianin, Rzymianin!

– A przecież... a przecież – rzekł z wolna, aby tym łacniej uwięzić ich uwagę – a przecież jest ktoś lepszy od najlepszego Rzymianina.

Zamilkł i wstrząsnął dumnie swą patrycjuszowską głową, jakby chcąc słowa swoje jeszcze zaostrzyć; a gdy towarzysze milczeli, powtórzył pytanie:

– Czy słyszycie, jest ktoś lepszy od najlepszego Rzymianina!

– Herkules! – zakrzyknął ktoś z tłumu.

– Bachus! – podsunął jakiś satyryk.

– Jowisz – Jowisz! – wołali wszyscy.

– Nie – odparł Messala – szukajcie raczej wśród ludzi.

– Powiedz jego imię, nazwij go – krzyczeli.

– Nazwę – rzekł, gdy okrzyki przycichły. – Ten, który do doskonałych przymiotów Rzymianina dodaje przymioty człowieka Wschodu. Ten, który zwycięzców Zachodu uczy sztuki korzystania wschodnich zdobyczy, słowem, uczy rozkoszy Wschodu.

– Na Apollina. to przecież ten najlepszy, to jeszcze zawsze Rzymianin! – zauważył ktoś wśród głośnego śmiechu i oklasków, świadczących, że przemowa Messali zainteresowała wszystkich.

– Wschód – mówił dalej – nie zna bogów, ale za to wielbi wino, kobiety i Fortunę, a najwięcej tę ostatnią; dlatego też hasło nasze brzmi: – Kto się odważy na to co ja? Wszędzie da się to hasło zastosować, czy to w bitwie, czy w senacie, a najbardziej przystoi temu, kto szukając najlepszego, nie zadrży przed najgorszym.

Mówca zmienił teraz głos, przybierając lekki, przyjacielski wyraz, bez zatarcia owej wyższości, która go cechowała i którą mu dopiero co przyznano.

– W wielkiej skrzyni na cytadeli mam pięć talentów w doskonałej monecie, a oto kwity na nie. Mówiąc to, wyjął z tuniki rolkę pergaminów i rzucił je na stół. Cisza panowała zupełna, a wszystkich oczy zwróciły się ku niemu.

– Suma ta jest miarą tego, na co się mogę odważyć. Kto z was odważy się na tyle? Milczycie... więc suma za wielka? Dobrze – cofam jeden talent. Cóż, jeszcze nikt? Chodźcie więc i grajcie o trzy talenty – tylko o trzy... i to nie? A więc stawiam dwa... jeszcze nie? – Niech będzie jeden – jeden bodaj na cześć rzeki, nad którąście światło dzienne ujrzeli – Rzym wschodni przeciw zachodniemu! Barbarzyński Orontes przeciw świętemu Tybrowi!

– Orontes przeciw Tybrowi – powtórzył z pogardliwym uśmiechem. Jednak nikt się nie ruszył, co widząc Messala, rzucił kubek na stół i śmiejąc się schował kwity.

– Ha, ha, ha! Wiem już, na olimpijskiego Jowisza, dokąd dążycie: chcecie robić lub powiększyć majątki i po to przybyliście do Antiochii. Hola, Cecyliuszu!

– Oto jestem. Messalo – zawołał człowiek za nim stojący – jestem tu i ginę w tłumie, zebrząc na próżno o drachmę, aby zapłacić wściekłego wiosłarza, co mnie tu przywiózł. Niech mnie porwie Pluto, jeśli ci nowo przybyli mają wszyscy choć obola przy sobie.

Słowa te wywołały szalony śmiech, który rozległ się po całej sali: jeden Messala pozostał poważnym i zimnym.

– Idź – rzekł do Cecyliusza – idź, skąd przybywamy, i niechaj służba przyniesie wina, kubki i puchary. Skoro ci nasi rodacy, co tu przybyli szukać fortuny, nie mają sakiewek, to na syryjskiego Bachusa, chcę się dowiedzieć, czy mają przynajmniej dobre żołądki. Spiesz się!

Potem zwrócił się do Druzusa z głośnym śmiechem: – Ha, ha, przyjacielu! Nie gniewaj się, żem się źle wyraził o tobie, jako krewnym Cezara, z powodu denara. Użyłem, widzisz, tylko imienia, aby was wypróbować, latorośle Rzymu. Chodź Druzusie. chodź! – To mówiąc, wziął kubek i wstrząsnął kośćmi: – No! na zgodę i szczęście, zagrajmy, wymień jakąkolwiek sumę.

Obejście Messali miało w sobie wiele ciepła i serdeczności. Druzus zmiękł w jednej chwili.

– Na nimfy, niech i tak będzie – rzekł śmiejąc się. – Będę z tobą rzucał kości o denara.

Przez, stół patrzył na grających młodzieniec, raczej wyrostek; nagle Messala zwrócił się do niego i zapytał:

– Coś ty za jeden?

Chłopiec cofnął się.

– Na Kastora i jego brata! nie chciałem cię obrazić. Zwyczajem jest, między ludźmi tym ściślejsze prowadzić rachunki, im sprawa mniejszej wagi. Potrzebuję więc pomocnika; chceszże mi służyć?

Młodzieniec dobył tabliczki i gotów był do rachunku.

Sposób obejścia Messali ujmował wszystkich!

– Czekaj no, czekaj, Messalo! – wołał Druzus. – Panuje wprawdzie przesąd, że nie należy rozmawiać, gdy się ktoś właśnie do rzucania kości zabiera, ale nie mogę powstrzymać ciekawości.

– Zaczynaj od pytania, a ja rzucone kości kubkiem zakryję, abyś ich nie widział, ot tak. – Mówiąc to, nakrył kości kubkiem.

Druzus pytał: – Czy widziałeś kiedy Kwintusza Ariusza?

– Duumwira?

– Nie, jego syna.

– Nie wiedziałem wcale, że duumwir miał syna.

– Mniejsza o to – rzekł Druzus obojętnie – ale to prawda, Messalo, że Pollux nie był chyba podobniejszym Kastorowi, jak ty Ariuszowi.

Na uwagę tę zawtórowało dwadzieścia głosów:

– Prawda, prawda! Takież oczy, takież twarz.

– Cóż znowu! – rzekł ktoś pogardliwie – Messala jest Rzymianinem, a Ariusz Żydem.

– To prawda – potwierdził ktoś trzeci – jest Żydem.

Już zaczynała się wywiązywać utarczka na słowa, co widząc Messala, odezwał się pośrednicząc: – Nie ma jeszcze wina, Druzusie; co się zaś tyczy Ariusza, chętnie wierzę twemu zdaniu, ale pragnąłbym coś więcej o nim się dowiedzieć.

– Zaraz powiem, a klnę się na bogi, że – czy jest Rzymianinem, czy Żydem, nie mówię tego, aby ci uchybić, Messalo, ale – Ariusz jest pięknym, odważnym i rozumnym. Nie przyjął ofiarowywanych mu względów Cezara, w ogóle otacza się tajemnicą i trzyma się od nas w oddaleniu, jakby się czuł lepszym lub gorszym. W palestrze i szkole szermierki nie miał równego sobie; walczył i zwyciężał modrookich olbrzymów znad Renu lub byki z Sarmacji, jakby to były wiązki miękkiej łożyny. Duumwir zostawił mu wielki majątek, że jednak ma zamiłowanie do broni, wojna jest jego żywiołem. Maksencjusz przyjął go do swego orszaku i miał z nami płynąć, ale gdzieś się zapodział w Rawennie. Wiem jednak, że przybył cało – dziś rano słyszałem o nim. I znowu zamiast przyjść do pałacu lub cytadeli, zakwaterował się w gospodzie i jak zwykle, zniknął.

Z początku słuchał Messala obojętnie, w miarę jednak, jak mówił opowiadający, coraz to więcej zaciekawiał; a na końcu zdjął rękę z kubka i zawołał: Hej, Kajuszu! Słyszysz?

Na to jeden z młodzieńców, stojących w pobliżu, a był nim ów towarzysz Messali na torze wyścigowym, zadowolony z wezwania, odpowiedział:

– Nie byłbym przyjacielem twoim, gdybym nie słyszał.

– Spodziewam się, że pamiętasz człowieka, który cię dziś z wozu strącił?

– Alboż to na przypomnienie nie czuję stłuczenia w ramieniu! – i poparł swe słowa wzruszeniem ramion.

– No, to dziękuj losowi, który mi pozwolił znaleźć twego nieprzyjaciela. Słuchaj dalej:

Tu Messala zwrócił się do Druzusa:

– Opowiedz nam co więcej o tym, co jest Żydem i Rzymianinem równocześnie. Na Feba, to zestawienie doskonalszym jest i może wytworzyć połączenie lepsze od centaury! Jakże się ubiera?

– Po żydowsku!

– Słyszysz, Kajuszu – mówił Messala – ten człowiek po pierwsze: jest młody, po drugie, ma twarz rzymską, po trzecie, nosi suknie żydowskie, po czwarte, pokonuje konie, przewraca wozy, stosownie do okoliczności. Pomóżże memu przyjacielowi, Druzusie, i powiedz, że ten Ariusz posiada różne języki, bo inaczej nie mógłby być dziś Żydem, jutro Rzymianinem; wątpię jednak, czy włada świetnym językiem Aten?

– Mogę cię upewnić Messalo, że mówi tak czysto, iż mógłby nawet walczyć na Istmusie.

– Słyszysz, Kajuszu? – mówił Messala – potrafi zgrabnie rozmawiać z kobietą po grecku; to już mego rachunku punkt piąty. Cóż ty na to?

– Ty go znalazłeś Messalo – odparł Kajusz – albo sam o sobie zwątpić muszę.

– Przepraszam cię, Kajuszu i was wszystkich, co tu jesteście, że rozmawiam zagadkami – rzekł Messala ujmująco. – Na wszystkie bogi, nie będę nadużywał długo waszej grzeczności, ale pomóżcie mi zagadkę tę rozwiązać. Patrzcie! – tu znów rękę na kubku położył i śmiejąc się, mówił dalej. – Patrzcie tu tak blisko mam Pytie i ich tajemnicze wróżby! Zdaje mi się, że mówiłeś o jakiejś tajemnicy między Ariuszem a jego synem, wszak tak?

– Historia jego nie jest tajemnicą odparł Druzus – a wszyscy wiedzą, że gdy Ariusz ojciec popłynął w morze, aby ścigać korsarzy, nie miał żony, ani rodziny. Wrócił zaś z chłopcem, tym, o którym mówimy, i następnego dnia adoptował go.

– Adoptował go? – powtórzył Messala. – Powieść twoja zajmuje mnie! Gdzież duumwir mógł znaleźć chłopca?

– Na to chyba nikt ci nie zdoła odpowiedzieć, Messalo. Chyba sam Ariusz, Słyszałem, że duumwir wśród bitwy stracił głowę, inna galera znalazła go walczącego z bałwanami na kruchej desce i w towarzystwie młodego chłopca, który mu życie ocalił. Opowiadał mi tę historię jeden z tych, którzy na owej ratunkowej znajdowali się galerze; stąd nie może prawdziwości słów tych zaprzeczyć. W końcu dodam, że mówiono, jakoby towarzysz duumwira był Żydem.

– Żydem?... – powtórzył Messala.

– I niewolnikiem.

– Jak to, Druzusie, niewolnikiem?...

– Gdy ich na okręt zabrano, duumwir miał zbroję trybuna, a ów ubranie wiosłarza.

Messala już się nie opierał o stół.

– Wiośl... – połknął wyraz i spojrzał wkoło wzrokiem po raz pierwszy w życiu zmieszonym. W tej chwili właśnie wszedł szereg niewolników do sali, jedni nieśli wielkie amfory i czary z winem, inni koszyki z owocami, i cukrami, inni jeszcze puchary i kubki, a prawie wszystko srebrne.

Widok ten dodał Messali natchnienia i siły; za chwilę stał na stołku i mówił dźwięcznym głosem:

– Mężowie znad Tybru, pozwólcie nam zmienić oczekiwanie wodza na ucztę Bachusa. Kogo wybieriecie na przełożonego?

Druzus wstał.

– Komuż przystoi być pierwszym wobec fundatora? – rzekł. Odpowiedzcież Rzymianie!
Zgromadzeni potwierdzili wybór okrzykiem.

Messala zdjął wieniec z głowy i podał go Druzusowi, a ten wszedł na stół i w obliczu wszystkich uwieńczył Messalę, czyniąc go panem uczyty.

– Razem ze mną przyszło kilku przyjaciół wprost z uczyty. Aby ta nowa biesiada zaczęła się zgodnie ze starym, świętym obyczajem, należy tu przynieść tego, którego najzupełniej zmógł słodki sok winnej jagody.

Wiele głosów wołało: Oto on, oto on!

Nareszcie dźwignięto z podłogi młodzieńca, tak nadzwyczajnej piękności, że zaiste mógłby przedstawić samego bożka pijaństwa, tylko – korona spadłaby mu z głowy, a ręka nie zdołałaby utrzymać tyrsu.

– Posadźcie go na stół – rzekł przełożony.

Nie mógł siedzieć.

– Pomóż mu, Druzusie.

Druzus wziął nieprzytomnego w swe ramiona.

Potem zwrócił się Messala do upitego i rzekł wśród ogólnego milczenia: O Bachusie, największy z bogów, sprzyjaj nam dzisiaj; a w moich i moich towarzyszy imieniu złożę ten wieniec na twoim ołtarzu w gaju Dafny.

Pochylił się, włożył znów wieniec na głowę, zdjął kubek, który pokrywał rzucone kości, i rzekł z uśmiechem: Patrz, Druzusie, moim jest denar.

Okrzyki wstrząsnęły salą, aż posągi Atlasów zadrżały. Orgia się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ XIX

Szejk Ilderim miał wielkie znaczenie, którego nie mógł i nie chciał zachwiać przez nieodpowiednie stanowi swojemu wystąpienie. Musiał dbać o sławę swego pokolenia, jak to przystoi księciu patriarsze, najbogatszemu z książąt na całej pustyni wschodnio-syryjskiej. Dzięki tej przezorności, uchodził i w miastach za najmożniejszego władcę na całym Wschodzie.

Sława ta była słuszną, gdyż rzeczywiście bogatym był w pieniądze, sługi, wielbłądy, konie i wszelką trzodę... Nic też dziwnego, że mając dostatki, lubił pewną wystawność i zbytkową wygodę, wysoko na Wschodzie cenioną, która go podnosiła nie tylko w oczach własnych, ale dawała mu znaczenie u obcych. Gdy gościł w gaju palmowym, jeszcze większą się otaczał wytwornością. Miał tam trzy duże namioty. Jeden z tych namiotów był przeznaczony dla niego samego, drugi dla gości, a trzeci dla ulubionej żony i jej orszaku. – Prócz owych głównych namiotów, były i mniejsze, które zajmowali słudzy i ludzie stanowiący orszak szejka. Ludzi tych wybrał sam Ilderim z najodważniejszych; byli to ludzie silni i waleczni, umiejący się obchodzić z koniem, łukiem i oszczepem.

Wprawdzie mienie Ilderima nie podlegało w gaju żadnemu niebezpieczeństwu, ale jednak, będąc z przyzwyczajenia, które jest drugą naturą ludzką, ostrożnym, umieścił wielbłądy, kozy i krowy w miejscu, które otaczały namioty, aby lew lub złodziej o zdobycz się nie pokusił. Czynił to także dlatego, aby porządku i karności nigdy nie rozluźniać.

Nie zmieniając nigdy sposobu życia, zachował Ilderim obyczaje swego narodu, a życie w gaju było tylko dalszym ciągiem życia w pustyni, prawdziwie patriarchalne, jakim żyli dawni pasterze izraelscy.

Każdym razem, gdy przybywał na nowo do gaju, ceremonia osiedlin odbywała się zawsze w niezmienny sposób. Ilderim zatrzymywał konia na miejscu, które mu się wydało najdogodniejszym i wbijał w nie dzidę, mówiąc: tu rozbijecie namiot, wejście będzie od południa, jezioro przed wejściem, a u stóp tych oto palm, dzieci pustyni, będziemy co dnia podziwiać zachód słońca.

Wymawiając słowa te, zbliżył się do grupy, składającej się z trzech wielkich palm, po jednej z nich potarł ręką, jak gdyby głaskał grzywę konia lub ukochane dziecko. Któż więcej jak szejk może mieć prawo wstrzymywać karawanę i oznaczyć miejsce do rozbicia namiotu? Toteż natychmiast wyjęto włócznię z ziemi, a w otwór, który pozostał, utkwiono pierwszy pal jako podporę namiotu; dookoła tegoż wbito w równych odstępach osiem innych pali w trzech rzędach. Skoro pale już tkwiły w ziemi, kobiety i dzieci przystąpiły i rozpakowały tkaniny i kobierce, które na grzbietach wielbłądów się znajdowały. Któż, jeśli nie niewiasty miały się zająć tą pracą? Wszak to one strzygły brunatną sierść kóz, one przędły z niej nici, a z nici utkały płótno. Wszakże to one przyszywały potem kosztowne tkaniny i stworzyły szczelnie chroniący dach.

Ileż to śmiechu, ile żartów brzmiało w orszaku szejka, gdy rozciągano tkaniny od pala do pala, przymocowując je trwałej kółkami. A gdy nareszcie obwieszono ściany kosztownymi matami i stanął namiot taki sam, jak na pustyni, i wydał im się piękny, czekano tylko na pochwałę dobrotliwego pana! Gdy wszedł i obejrzał sobie położenie namiotu, wejście, jezioro,

słońce i drzewa palmowe, rzekł, zacierając z zadowolenia ręce: bardzo dobrze! Przystosujcie sobie legowiska, jako umiecie, a wieczorem będziemy doprawiać chleb arakiem, a mleko miodem; każde ognisko otrzyma jagnię. Bóg z wami! Nie zabraknie nam wody, bo jezioro będzie naszym źródłem, a trzody i juczne zwierzęta znajdują dostateczną paszę. Bóg z wami, dzieci moje! Idźcie!

Z radosnymi okrzykami rozbiegło się wszystko, aby i sobie przystosować mieszkanie. Kilku pozostało, aby urządzić wewnątrz szejkowego namiotu. Służebni zawiesili kotarę u głównego pala, dzieląc tym sposobem cały namiot na dwie połowy; pierwszą, po prawej stronie, miał zamieszkać Ilderim, drugą jego rumaki. Koniuszowie wprowadzili w przegrodę pieszcząc i głaskając zwierzęta, jak najmilsze dzieci. Około środkowego słupa ułożono broń: piki, pociški, luki, strzały i tarcze; nad nimi wisiała szabla władcy kształtu księżycy na nowiu. Światło dzienne ubiegało się o lepsze z blaskiem klejnotów, którymi była wysadzana rękojeść. Na przeciwnej ścianie namiotu lśniły uprząże koni, a świetność ich przypominała świetność liberii sług królewskich. Suknie pana, jego szaty wełniane i sukienne, tuniki i barwiste chusty na zawoje zajmowały mniej widoczny zakątek.

Tymczasem kobiety zajęły się rozpakowywaniem jak i rozłożeniem tapczanów, szejkowi równie niezbędnych, jak jego własna broda, spadająca na piersi. Zbierając się do tej ważnej roboty, rozłożyły drewnianą ramę z trzech części prostokątnych złożoną, zwracając otwór do drzwi. Ramę tę pokryły następnie poduszkami i kapą z brązowej złotem przerabianej tkaniny, tworząc siedzenie; w rogach prostokątu umieściły oparcia i wałki obleczone w niebieskie i purpurowe sukno. U stóp tapczanu rozłożyły kobierzec aż do wejścia. Potem napełniły wodą dzbany i zawiesiły skórzane wory z mocnym napojem na właściwych miejscach. Któryż Arab nie nazwałby Ilderima najszcześniejszym z ludzi?

Taki był namiot, u którego progu zostawiliśmy Ben-Hura. Słudzy czekali na rozkazy pana, jeden zdejmował mu sandały, drugi rozwiązywał rzymskie trzewiki Ben-Hura, po czym obaj zrzucili kurzem pokryte płaszcze podróżne, a włożyli cienkie płócienne opończe.

Witam cię w Imię Boga, wejdź i spocznij – rzekł gospodarz serdecznie do gościa językiem używanym na rynku jerozolimskim, prowadząc go do tapczanu.

– Ja usiądę tutaj – mówił dalej, wskazując miejsce – a mój gość tu.

Służebnica natychmiast na dany znak ułożyła poduszki i wałki, aby stanowiły wygodne wezglowie; po czym obaj usiedli, a ona umyła im nogi wodą z jeziora przyniesioną i otarła rącznikami umyślnie na ten cel przygotowanymi.

– U nas, na pustyni mówią – zaczął Ilderim, głaszcząc brodę i dzieląc ją cienkimi palcami – że chęć do jądła wróży długie życie. Czy chcesz jeść?

– Stosownie do tego co mówisz, czcigodny szejku, powinien bym żyć setki lat, bo oto jestem u drzwi twoich jako lew zgłodniały – odparł Ben-Hur.

– Nie odprawię cię jako lwa, ale przecież dostaniesz najlepsze jagnię z mojej trzody.

Ilderim klasnął w ręce.

– Idź do cudzoziemca w gościnnym namiocie i powiedz mu, że ja, Ilderim, życzę mu pokoju.

Sługa skłonił się.

– Powiedz mu również – ciągnął dalej Ilderim – że wróciłem z gościem, z którym łamać będę chleb, jeśli więc Baltazar Mądry zechce wspólnie z nami się podzielić, to będzie nas trzech; a dla ptaków jeszcze zostanie.

Sługa opuścił namiot, gospodarz rzekł:

– Wypocznijmy teraz.

Mówiąc te słowa, usiadł Ilderim na dywanie sposobem, jakim dotąd siadają kupcy w bazarze w Damaszku, a umieściwszy się wygodnie, rzekł poważnie. Gdy jesteś moim gościem, piłeś ze mną, a wkrótce masz spożywać sól, nie obrażę cię, gdy zapytam: kim jesteś?

– Szejku Ilderimie – rzekł Ben-Hur, spokojnie znosząc jego badawcze spojrzenie. – Nie myśl, proszę, iż sobie lekceważę twoje słuszne pytanie; przypomnij sobie jednak, czy nigdy w twoim życiu nie było chwili, w której by odpowiedź na takie pytanie nie była zbrodnią przeciw sobie samemu?

– Na wspaniałość Salomona, zaiste, było tak! – odparł Ilderim.

– Zdrada samego siebie, bywa często zdradą całego pokolenia!

– Dzięki, dzięki ci, czcigodny szejku – zawołał Ben-Hur z zapalem. – Nigdy nie dałeś lepszej odpowiedzi. Z niej widzę, poprzestaniesz na zapewnieniu, iż nie zawiodę zaufania, o które błagam, co więcej, będziesz je wyżej cenil niż opowieść mego nędznego żywota.

Szejk skłonił się, a Ben-Hur spiesznie skorzystał ze sposobności i mówił dalej:

– Ponieważ raczysz mnie wysłuchać, więc oznajmiam ci, iż nie jestem Rzymianinem, a imię, które noszę, nie jest moje.

Ilderim na te słowa chwycił się za brodę i spojrział bystro spod gęstych i zsuniętych brwi na gościa.

– Dalej – mówił Ben-Hur – jestem Izraelitą z pokolenia Judy.

Szejk podniósł brwi.

– Co więcej, szejku, jestem Żydem i żywię żal do Rzymu, wobec którego twoja krzywda jest zaprawdę troską dziecka.

Starzec gładził brodę z nerwowym pośpiechem, a brwi zsunął tak mocno, że zasłaniały blaski jego oczu.

– Na koniec przysięgam ci na przymierze, które Pan z narodem moim zawarł, że jeśli mi pomożesz do zemsty, której pragnę, pieniądze i sława wyścigów twoimi będą.

Brwi Ilderima rozsunęły się, głowa podniosła, twarz nabierała swobodnego wyrazu, słowem, niepodobna było nie spostrzec zadowolenia ogarniającego Araba.

– Dosyć – rzekł. – Jeśli język twój kłamcą jest, to zaiste i Salomon nie byłby wobec ciebie bezpiecznym. Że nie jesteś Rzymianinem i jako Żyd masz nienawiść do Rzymu, wierzę: i na tym mi dość. Inna rzecz, czy posiadasz potrzebną zręczność i wprawę? Umiesz ty prowadzić konie w zaprzęgu? A cóż dopiero takie konie? Czy potrafiś je opanować na tyle, aby cię znały, aby szły na twe skinienie aż do ostatniego tchu, aby w niebezpieczeństwie życia jeszcze ci były posłuszne? Ten dar, synu mój, nie każdemu jest dany, a zaprawdę znałem króla, co rządził milionami ludzi i był ich samowładnym panem, a przecież konie słuchać go nie chciały... Pojmujesz, że nie mówię to o tych pospolitych zwierzętach, które są niewolnikami – nie, nie myślę tu o koniach z krwi i kształtu a pozbawionych ducha – ale o zwierzętach moich. One! One to królowie i księżęta swego rodzaju, one, potomkowie faraonowych stadnin. – One, zwierzęta – a przecież towarzysze i przyjaciele moi, co dzielą mój namiot i moje posłanie, a wzrosły wśród dzieci moich. To obcowanie i wychowanie wyrobiło w nich pewne przymioty ludzkie; z instynktami zwierzęcymi łączą nasz dowcip, ze zmysłami naszą duszę, a pragnienie sławy, miłość, nienawiść i ofiara siebie, czyni z nich bohaterów czasu wojny. Wychowałem je w wielkim celu, a oddaję ci je w opiekę, jakbym oddawał kochaną i kochającą kobietę. Hej jest tam który?

Wszedł sługa.

– Przyrowadź araby.

Wezwany uchylił zasłony, dzielącej namiot i ukazały się konie, które zatrzymały się na chwilę, nie ufając zaproszeniu.

– Chodźcie! – zawołał Ilderim. – Czego się wahacie, czyż nie wiecie, że nie posiadam nic, co by nie było wasze? Zbliżcie się!

Konie z wolna i poważnie weszły do mieszkania swego pana.

– Synu Izraela – rzekł szejk – wasz Mojżesz wielkim był człowiekiem, ale – ha, ha, ha! Nie mogę się wstrzymać od pogardliwego śmiechu, gdy pomyślę, że pozwolił ojcom twoim używać pracowitego wołu i powolnego osła, a zabronił posiadać konia. Ha, ha, ha! Zaprawdę

nie byłby chyba tak uczynił, gdyby widział moje konie. O tego – i tego! – Mówiąc te słowa, kładł rękę na głowie najbliższego zwierzęcia i głąskał je z dumą.

– To, co mówisz, nie jest prawdą – rzekł Ben-Hur gorąco. – Mojżesz był zarówno wojownikiem, jak prawodawcą, od Boga umiłowanym. Czyż wojować, walczyć nie znaczy to samo, co kochać stworzenia pokrewne tak, jako i tamte?

Zgrabny łeb koński z wielkimi oczami, łagodnymi, jak oczy lani a przysłoniętymi spadającą na czoło grzywą, o małych spiczastych i naprzód wysuniętych uszach, przysunął się w tej chwili ku Ben-Hurowi, aż oparł się na jego piersi i rozwierając nozdrza, zdawał się pytać: – Któż ty za jeden? Młodzieniec poznał jednego z czwórki na wyścigach widzianej. – Powitał mądre zwierzę, wyciągając doń rękę.

– O bluźniercy, aby ich dni przeminęły! – mówił szejk z uczuciem człowieka, własnej broniącego sławy. – Ośmielają się mówić, że nasze konie pełnej krwi pochodzą z nizejskich pastwisk w Persji. Prawda, pierwszemu Arabowi dał Bóg niezmierną przestrzeń piasku, kilka łysych wzgórz i rozsiane gdzieniegdzie gorzkie źródła, mówiąc: – Patrz, oto twój kraj. – Biedny człowiek żalił się swej nędzy, a Pan ulitował się i rzekł: – Nie lękaj się bo otrzymasz podwójne błogosławieństwo! – Arab złożył dzięki i z wiarą poszedł szukać obiecaney pomysłności. Przeszedł kraj wokoło – i nie znalazł nic; poszedł w głąb pustyni i szedł nią, gdy nagle w sercu pustyni ujrzał zieloną wyspę, a wśród bujnej zieloności stada wielbłądów i koni. Odtąd chował te zwierzęta starannie i strzegł z miłością, jakiej były godne jako najlepsze dary Przedwiecznego. Z tej zielonej wyspy pochodzą wszystkie konie na ziemi, nawet te na pastwiskach nizejskich. Później dostały się aż na północ do nizin, gdzie dmą wiatry od morza „zimnych wichrów”. – Wierz, że to wszystko jest prawdą, a gdyby nią nie było, to niech już żaden amulet nie ma siły dla Araba. – Jednak posiadam i dowody. Klasnął w dłonie.

– Przynieś mi rodowody koni – rzekł do sługi, który wszedł właśnie.

Tymczasem zabawiał się szejk końmi, głaszcząc i pieszcząc je, nie pomijając żadnego. Wnet weszło sześciu ludzi ze szkatułkami z cedrowego drzewa, ozdobnymi i okutymi rzeźbionym mosiądzem.

– No – rzekł Ilderim, skoro je postawiono na kobiercu: – Nie chciałem wszystkich, tylko rejestry tych tu koni, podajcie je więc, a resztę odnieście.

Skoro otworzył szkatułkę, ujrzał Ben-Hur, iż była napełniona tabliczkami z kości słoniowej. Pewna ilość tabliczek nawleczona była na pierścień ze srebrnego drutu, a że nie były grubsze od opłatków, więc na każdej obrączce znajdowały się takich tabliczek tysiące.

– Słyszałem – rzekł Ilderim, biorąc kilka pierścieni w rękę – słyszałem, z jakim staraniem i trudem starsi i uczeni w Piśmie zapisują w świątyni świętego miasta imiona nowo narodzonych, aby każdy syn Izraela mógł wykazać swych przodków od samego początku, choćby nawet od Patriarchów. Moi ojcowie, niechaj ich pamięć przez wieki kwitnie, nie mieli sobie za grzech stosowanie tego zwyczaju do swych niemych sług. Zobacz tabliczki! Ben-Hur wziął pierścienie, a zdejmując z nich tabliczki zobaczył, że są zapisane grubymi arabskimi hieroglifami, które na powierzchni kości rozpaloną wypalano igłą.

– Czy potrafisz je przeczytać, synu Izraela?

– Nie – chcąc, bym je ocenił, musisz mi wytłumaczyć te zawile znaki.

– Wiedz zatem, że każda tabliczka nosi imię zrebienca czystej krwi zrodzonego moim ojcem przez ciąg lat tysiąca, wraz z nazwiskiem jego rodziców. Przypatrz się szczególnie datom, abyś tym bardziej uwierzył.

Niektóre tabliczki były już całkiem starte, a wszystkie pożółkłe od starości.

– W tej to szkatule, mogę to śmiało powiedzieć, mam dokładną i udowodnioną historię rodu tych moich ulubieńców. Wiem, skąd pochodzą, tak te, co przy mnie stoją, jak ten, co się od ciebie domaga pieszczoty. – Tak, wierzaj mi, jak one tu weszły na moje wezwanie, tak przychodziły do ojców moich, pod taki sam namiot jeść z ich rąk i przyjąć pieszczotę, i dziękowały za nią, jak dzieci, bez słów. A teraz synu Izraela, musisz mi wierzyć, gdy powiem: że

gdym ja panem pustyni, to one mymi dostojnikami. Zabierz mi je, a stanę się jako człowiek chory, opuszczony przez karawanę w pustyni i na śmierć skazany. – Im zawdzięczam, iż wiek nie osłabił grozy, która jest postrachem złoczyńców na drogach między miastami i zaprawdę tak pozostanie, póki nimi jeździć będę. Ha, ha, ha! Ileż cudów mógłbym ci opowiedzieć z dziejów ich przodków! Kiedyś ucznię to, na dziś dość będzie, gdy powiem, że nigdy nie ustały w pogoni, ani je dopędzono w ucieczce! Ale pamiętaj, że było to na piaskach pustyni i pod siodłem. Teraz inna rzecz, troska moja jest wielka, bo oto pierwszy raz mają iść w jarzmie i tyle warunków potrzeba do powodzenia. A jednak mają dumę, szybkość i wytrwałość – to wiele i dlatego, jeśli znajdą pana, zwyciężą. Synu Izraela! Jeśli ty nim będziesz, przysięgam, że dzień, który cię tu przywiódł, szczęśliwym będzie. Mów teraz o sobie.

– Pojmuję teraz – rzekł Ben-Hur – dlaczego Arab kocha konia najbardziej zaraz po swoich dzieciach. Pojmuję także, że dlatego konie arabskie najlepszymi są na świecie. Na co jednak, czcigodny szejku, mam mówić o mojej zręczności? Wszak słowa i obietnice ludzkie tak łatwo zawodzą, daj mi lepiej twoją czwórkę w ręce i pozwól jutro przejechać się nią po równinie.

Twarz Ilderima rozjaśniała radością i chciał coś rzec, gdy go wstrzymał Ben-Hur, mówiąc:

– Wstrzymaj się chwilę i pozwól mi wypowiedzieć całą moją myśl. Wiele rzeczy nauczyłem się od sławnych mistrzów w Rzymie, nie przypuszczając wcale, abym ich nauki tak szybko i w takiej okoliczności mógł spożytkować. Oto ta nauka mówi mi, a ty, czcigodny szejku, przyznasz mi pewnie, że ci synowie pustyni jakkolwiek posiadają szybkość orła a wytrwałość lwa, to przecież mogą zawieść twe nadzieje, jeśli się nie przyzwyczają razem chodzić w jarzmie. Bo pomyśl tylko, każdy z nich musi mieć jakiś szczególniejszy, przymiot lub właściwą sobie wadę. I lak jeden z czterech koni musi być najszybszy, a jeden najpowolniejszy, bystry biegnie do zwycięstwa, leniwy ciągnie ku porażce, przyczyną dzisiejszego niepowodzenia było właśnie to, że woźnica nie mógł najgorszego do zgodnego biegu z najlepszym doprowadzić. Moja próba może się równie nie udać, ale cię przed tym ostrzegę i to ci przysięgam. Dlatego też mówię ci, że jeśli zdołam rumaki twoje ujeździć tak, aby szły za moją wolą, cztery jak jeden, to wygrasz wieniec i sestercje, a ja nasycę się zemstą. Cóż na to powiesz?

Ilderim słuchał, gładząc brodę przez chwilę; w końcu rzekł z uśmiechem:

– Mamy na pustyni przysłowie, które mówi: Jeśli ugotujesz potrawę czczymi słowami, dam ci morze masła. – Ale ja mam o tobie lepsze wyobrażenie – jutro będziesz miał konie.

W tej chwili jakiś ruch dał się słyszeć u drzwi namiotu.

– Oto wieczera, a i przyjaciel mój Baltazar zbliża się, zapoznasz się z nim; opowiada on rzeczy, które się nigdy nie sprzykrzą Izraelicie. – Po tych słowach odwrócił się do sługi i rzekł:

– Zabierzcie rejestry i odprowadźcie rumaki na miejsce.

Uczynili, jak im rozkazano.

Jeśli czytelnik przypomni sobie ucztę mędrców przy ich spotkaniu się na pustyni, to łatwiej zrozumie przygotowania do wieczery w namiocie Ilderima. Cała różnica polega na lepszej usłudze i obfitości potraw i naczyń. Na kobiercu przed tapczanem położono trzy maty, po czym przyniesiono stół na stopę wysoki, postawiono go, i nakryto suknem. Na boku, pod nadzorem służebnej, rozłożono gliniane przenośne ognisko, a raczej piec, w którym pieczono chleb, czyli ciasto na gorąco podawane, a sporządzone z mąki na żarnach mielonej. Zgrzyt tego narzędzia umieszczonego w sąsiednim namiocie, dochodził uszu gości.

Tymczasem Baltazar zbliżył się do tapczanu, przy którym oczekiwali go Ilderim i Ben-Hur. Obszerna, powłóczysta szata okrywała starca, krok niepewny, ruchy powolne i ostrożne czyniły go zależnym od ramienia sługi, który go prowadził.

– Pokój tobie, przyjacielu – rzekł Ilderim – pokój i powitanie. Egipcjanin podniósł głowę i odparł: Życzę ci również pokoju, tobie i twoim.

Niech błogosławieństwo prawdziwego, jedyne Boga, będzie z wami.

Zachowanie się starca, łagodne i poważne, wzbudziło szacunek w sercu Ben-Hura; słowa błogosławieństwa i pochylenie głowy jemu były przeznaczone, bo gdy je wymawiał, oczy sędziwego gościa, zapadłe ale świecące, spoczęły na jego twarzy. Spojrzenie to przeciągłe i badawcze, wzbudziło w duszy młodzieńca nowe i tajemnicze uczucie, a tak silne, że w ciągu całej wieczery musiał patrzeć na pomarszczoną i bladą twarz starca, chcąc wyczytać myśli jego. Ile razy poszedł za tym popędem ciekawości, czy serca, zawsze ujrzał wyraz słodki, spokojny i ufny, jaki nas zachwyca u niewinnych dzieci. Zrozumiał więc, że wyraz ten nie był przelotnym ani udanym, ale właściwym starcowi.

– Oto ten, Baltazarze – rzekł szejk – który dziś z nami chleb łamać będzie.

Egipcjanin spojrział na młodzieńca i znów wyglądał, jakby niepewny i wątpiący, co widząc szejka, mówił dalej: przyobiecałem oddać mu konie moje jutro na próbę, jeśli mu pójda za ręką, poprowadzi je w cyrku.

Baltazar patrzył ciągle tak samo.

– Jest mi dobrze polecony – mówił dalej Ilderim, zdziwiony milczeniem przyjaciela – dowiedz się, że jest synem szlachetnego wodza rzymskiego Ariusza, chociaż – tu szejk zawahał się, jednak skończył z uśmiechem – chociaż powiada, że jest synem izraelskim z pokolenia Judy, a ja, na wielkość Boga, ja wierzę temu, co mówi.

Baltazar nie mógł dłużej milczenia swego nie wytłumaczyć i rzekł:

– Dziś, Dobrotliwy szejku, życie moje było w niebezpieczeństwie i byłbym je niewątpiwie postradał, gdyby nie młodzieniec – żywy obraz tego, jeśli nie ten sam – który mnie uratował, gdy wszyscy odbiegli. – To rzekłszy, obrócił się wprost do Ben-Hura i zapytał: – Czy ty nim jesteś?

– Nie mogę temu wprost zaprzeczyć – odparł skromnie. – Ja to bowiem wstrzymałem konie tego śmiałka, gdy nadjeżdżały na twego wielbłąda u krynicy kastalskiej, a córka dała mi kubek.

Tu wyjął kubek spoza swej tuniki i podał go Baltazarowi.

Twarz Egipcjanina wypogodniała radością.

– Pan zesłał mi dziś ciebie u krynicy – rzekł drżącym głosem, wyciągając rękę do Ben-Hura – a teraz sprowadza cię tutaj. Składam Mu dzięki, a ty oddaj Mu cześć, bo oto mogę ci okazać wdzięczność i uczynię to: kubek twoim jest i zachowaj go.

Ben-Hur przyjął dar, a Baltazar domyślając się ciekawości Ilderima z jego wejrzenia, opowiedział zdarzenie u krynicy.

– Jak to? – rzekł szejk do Ben-Hura – nie rzekłeś mi nic o tym, co starczyło za najlepsze polecenie. Czyż nie jestem Arabem? Czyż nie jest on moim gościem? Nie wiesz, że prawo gościnności mówi, iż złe lub dobre gościowi wyświadczony jest zarazem mnie uczynione? Gdzież zaiste miałeś odebrać zasłużoną nagrodę, jeśli nie tu? Czyż ręką, jeśli nie moją, dać ci ją miała?

Głos jego przy końcu mowy zaostrzył się bardzo.

– Daruj, czcigodny szejku, i nie zapominaj proszę, że nie przyszedłem tu po żadną nagrodę ani wielką, ani małą. Co więcej, pragnę, być wolnym od posądzenia: tę samą bowiem przy-sługę oddałbym każdemu ze sług twoich.

– Ależ to mój przyjaciel, gość – nie sługa, czyż nie widzisz w tym wielkiego szczęścia, wielkiej łaski losu? – Potem zwracając się do Baltazara, mówił dalej: klnę się na wszechmoc Boga: on nie jest Rzymianinem.

Służba kończyła właśnie przygotowania do wieczery, na nich więc zwrócił szejk uwagę. Jeśli czytelnik pamięta historię, którą Baltazar opowiedział na pustyni, to wyobrazi sobie łatwo, jakie wrażenie bezinteresowność Ben-Hura na nim zrobić musiała. On także pojmował poświęcenie się dla wszystkich bez różnicy, a odkupienie, które mu było w nagrodę obiecanie, odkupienie, którego oczekiwał, miało być również odkupieniem wszystkich. Toteż czyn Ben-

Hura, a bardziej jego zapewnienie, że poniosłby ofiarę swego życia dla każdego, wydało mu się jakby echem jego własnej duszy. Zbliżył się więc do młodzieńca i rzekł:

- Jak chciał szejk, żeby cię nazywać? Zdaje mi się, że to było jakieś rzymskie imię?
- Ariusz, syn Ariusza.
- A przecież nie jesteś Rzymianinem.
- Cała moja rodzina była żydowska.
- Mówisz, że była, czyżby pomarli?

Pytanie tak proste, a przecież w kłopot wprowadzające. Szczęściem Ilderim uwolnił Ben-Hura od odpowiedzi, wzywając do wieczerzy.

Młodzieniec poprowadził Baltazara bliżej stołu, gdzie wszyscy usiedli wschodnim oby-
czajem; przyniesiono naczynia do umycia rąk i ręczniki do otarcia, po czym na dany przez
szejka znak, słudzy powstali cicho, a głos Egipcjanina drżący świętym wzruszeniem, rozległ
się w namiocie:

– Ojcze wszystkich, Boże! Wszystko co posiadamy, pochodzi od ciebie. Przyjmij nasze
dzięki, pobłogosław nam, abyśmy nadal wolę Twoją sprawować mogli!

Było to to samo dziękczynienie, które niegdyś, przed laty Baltazar odmówił wspólnie z
braćmi Kasprem, Grekiem i Melchiorem – Hindusem, na pustyni i które rozmaitymi wypo-
wiedzianymi językami, było dla nich dowodem obecności Bożej.

Stół, przy którym zasiedli, pełen był pożywnych i delikatnych specjałów Wschodu. Były
tam ciasta prosto z pieca, jarzyny z ogrodów, mięso osobno lub z jarzynami, mleko, miód i
masło, a wszystko w obfitości. Biesiadnicy spożywali i pili w milczeniu, bo byli głodni, a nie
używali ani noży, ani widelców, ani kubków, ani talerzy. Rozmawiano z początku mało, do-
piero po uczcie rozmawiano z podwójną ochotą.

W takim towarzystwie, w którym zasiadł Arab, Żyd i Egipcjanin, a wszyscy wierzący w
Boga – jakież mógł być przedmiot rozmowy, jeśli nie Bóg? Któż zaś miał o Nim mówić, jak
nie ten, który Je widział zapowiedziane przez gwiazdę, słyszał w głosie i czuł w obecności
tego Ducha, co go tak cudownie prowadząc, świadczyć o sobie nakazał!

ROZDZIAŁ XX

Z powodu cieni, jakie okoliczne góry rzucały po zachodzie słońca na gaj palmowy, nie było owego przyjemnego mroku, który stanowi przejście między dniem a nocą. Wobec tak szybko zapadającej nocy słudzy wnieśli do namiotu cztery mosiężne świeczniki i postawili je na rogach stołu. Przy tym jasnym oświetleniu, prowadzono dalej rozmowę narzeczem syryjskim, jakiego w tej części świata powszechnie używano.

Egipcjanin opowiadał dzieje owego spotkania na pustyni i zgodził się z szejkiem, iż w grudniu minęło dwadzieścia siedem lat od owej chwili, kiedy on i jego towarzysze, uciekając przed Herodem, stanęli u namiotu, prosząc o schronienie. Słuchano opowiadania z zajęciem, nawet słudzy starali się pochwycić chociażby fragmenty. Ben-Hur zaś słuchał, jak człowiek, który się spodziewa objawienia rzeczy, mającej znaczenie dla całego świata, a szczególnie dla narodu izraelskiego. W umyśle jego, jak to wnet zobaczymy, powstał zamiar mogący zmienić kierunek jego życia, może nawet zmienić je całkiem. W miarę, jak Baltazar opowiadał, potęgowało się wrażenie, jakie odczuwał. Przy końcu stały się uczucia jego głębokie, bez cienia wątpliwości; pragnął jednak dowiedzieć się więcej o następstwach owego zdarzenia.

Tutaj musimy czytelnikowi wyjaśnić, że opowiadanie nasze przypada na czas nauczycielskiego wystąpienia Syna Najświętszej Maryi Panny. Raz jeden widzieliśmy Go od owej chwili, kiedy ten sam Baltazar oddawał Mu cześć, jako Dziecięciu na łonie Matki, w jaskini koło Betlejem. Odtąd aż po koniec opowiadania naszego, ciągle będziemy spotykali Dziecię, a bieg opowiadanych wypadków będzie nas ciągle zbliżał do niego, aż poznamy Go jako Boga-Człowieka, Zbawiciela świata.

To, co mówił Baltazar, nie było nowością dla szejka Ilderima, słyszał to od trzech Mędrców w okolicznościach niedopuszczających wątpliwości – sam naraził się na niebezpieczeństwo, gdyż pomoc uciekającym przed gniewem pierwszego Heroda, była bardzo niebezpieczną rzeczą. Teraz jeden z owych trzech podróżnych siedział przy jego stole, jako pożądny gość i umiłowany przyjaciel. Szejk Ilderim wierzył więc święcie opowiadaniu, chociaż główny przedmiot tegoż nie obchodził go tak silnie i żywo jak Ben-Hura. I nic dziwnego on był Arabem, nie zajmowały go tak gorąco następstwa tego zdarzenia, i brał je raczej ogólnie! Inaczej Ben-Hur, który był Izraelitą, dla niego prawdziwość i następstwa tego zdarzenia miały szczególne znaczenie, które pojmował ze swego narodowego stanowiska.

Od lat najmłodszych słyszał o Mesjaszu, w szkole uczono go o wszystkim, cokolwiek wiedziano o Nim, który miał być chwałą wybranego ludu. Prorocy, od pierwszego do ostatniego, przepowiadali Go – w synagogach, szkołach, w świątyni, publicznie i prywatnie; nauczyciele głosili narodowi zbliżający się czas Jego przyjścia. Toteż wszystkie dzieci Abrahama, gdziekolwiek je losy rzuciły, na krańcach nawet świata, oczekiwały Mesjasza; a ożywieni tą wiarą w Jego przyjście, sposobili się na nadzwyczajne mogące zajść wypadki. Między Żydami krążyło mnóstwo najrozmaitszych podań o Mesjaszu; powstawały o to sprzeczki, dysputy, a wszystkie tyczyły się głównie jednego punktu – kiedy On przyjdzie? Tym się zajmowali kanzodzieje i uczeni.

W naszym opowiadaniu pragniemy tylko opisać, w jakim usposobieniu duchowym oczekiwano Mesjasza. Ten ogół, ten wybrany lud, nie wątpił, że Mesjasz przyjdzie i będzie Królem Żydowskim – królem politycznym, jak Cezar. Z pomocą narodu zdobędzie mieczem świat, potem rządzić nim będzie w imię Boga, tak aby im było dobrze, bez względu na ucisk innych. Na tej wierze i nadziei oparli się faryzeusze i separatyści – ci ostatni byli stronictwem czysto politycznym – budowali gmach jak najfantastyczniejszych nadziei: Bóg sam – takim oddawali się bałwochwalczym marzeniom – jako rządca, stanie się ich sługą.

Ben-Hura zachowały dwie okoliczności od podobnych zuchwałych uproszczeń.

Najpierw ojciec jego należał do saduceuszów, których w owych czasach uważano jako liberałów, mających swoje osobne przekonania, szczególnie błędne w pojęciu nieśmiertelności duszy. Za to trzymali się litery prawa Mojżeszowego bardzo wiernie, gardząc wszelkimi późniejszymi do tych ksiąg dodatkami rabinów. Niezaprzeczalnie byli oni sekta, religia ich zaś była raczej filozofią niż wiarą. Nie wyrzekli się przyjemności życia, a nawet przyjmowali niektóre zapatrywania ogólnoludzkie, szukając związków z innymi narodami. W polityce stanowili czynną i gorliwą opozycję przeciw separatystom.

Po wtóre spędzone pięć lat w Rzymie nie minęły bez wpływu na młodzieńca. Miasto to było wówczas punktem, gdzie się schodziły wszelkie narodowości, a zarazem i stolicą wszelkiego rozkosznego używania. Na rzymskim forum, tworzyły się bezustannie tłumy ludu. Chociaż nie mógł tłumów tych porównywać ze zgromadzającym się około Wielkanocy w Jerozolimie ludem izraelskim, to jednakże patrząc na owe trzykroćpięćdziesiąt tysięcy liczące tłumy cyrku Maximusa, musiał stawić sobie pytanie: czy ten lud, przybyły tu ze wszystkich zakątków świata, nie jest godzien Boskiego zmiłowania? Ale jak wielu innych, tak i Ben-Hur wierzył tylko w wyzwolenie polityczne, a nie duchowe; w miejscowościach jak Bodinum, Aleksandria, Ateny i Jerozolima, modlono się nie o Mesjasza, którego by wszystkie wieki jako Boga chwaliły, ale o władcę, który by rządził silną dłonią. Wszystkie przez Rzym podbite państwa, albo zazdroszczące mu potęgi, oczekiwały jego upadku, po którym wszystko miało się przeistoczyć na korzyść uciemionych.

Ben-Hur podzielał przekonania nieprzyjaciół Rzymu, tym bardziej, że przebyte pięć lat w stolicy dały mu sposobność przypatrzenia się niedoli ujarzmionego świata. Wierzył też, iż rany ludzkości są ściśle polityczne i mogą być tylko mieczem uleczone, pragnął dojść do znaczenia w wojsku, żeby móc wziąć na siebie część owego zadania. Znał rzemiosło wojenne, o ile tyczyło robienia bronią, doskonale, był wyćwiczonym żołnierzem, ale nie tu kończy się zadanie wojny, ma ona wyższe cele, obszerniejsze pola, a kto chce wśród niej znaleźć sławę, musi umieć więcej niż zastawiać się tarczą lub godzić mieczem. Na polach walki zadanie wodza jest najtrudniejsze i najszczytniejsze: tutaj musi okazać siłę woli, musi umieć ujarzmić wolę całej armii. Wódz, to człowiek walczący, zbrojny całym wojskiem. To pojęcie wskazało mu cel życia tym piękniejszy, że go upiększała myśl zemsty łatwiejszej w boju, niż w czasie pokoju.

Sądźmy, że po tym objaśnieniu łatwiej zrozumiemy uczucia Ben-Hura, słuchającego opowiadań Baltazara, które dotyczyło dwóch najczulszych strun jego duszy, dwóch czynników w nim działających. Serce jego biło szybko i coraz szybciej; nie wątpił już też ani chwili, że opowiadanie aż do szczegółów było prawdziwe i że Dziecię było obiecany Mesjaszem. Mając to przekonanie, nie mógł sobie nie postawić dwóch pytań: najpierw: czemu Izrael nic nie wie o tym objawieniu? Po wtóre, czemu on sam nic o tym nie wiedział? Chcąc sobie te wątpliwości wytłumaczyć, postanowił wypytać Baltazara.

– Gdzie się znajduje obecnie Dziecię? Jaka będzie jego misja?

– Nie umiem ci odpowiedzieć na te pytania – rzekł Baltazar swoim prostym, poważnym sposobem. – Gdybym wiedział, gdzie On jest, zaiste poszedłbym tam, choćby mnie morza i góry od Niego oddzielały!

– Czy usiłowałeś odnaleźć Go? – pytał Ben-Hur.

Na to pytanie uśmiech przebiegł po twarzy Egipcjanina.

– Pierwszym moim staraniem po opuszczeniu schronienia na pustyni – tu spojrział z wdzięcznością na Ilderima – było dowiedzenie się, co się stało z Dziecięciem. Minął rok, to prawda, jednak nie śmiałem sam się udać do Judei, gdzie Herod żądny krwi, wciąż jeszcze panował. Wróciwszy do Egiptu, znalazłem kilku przyjaciół, a ci uwierzyli w cuda, które im opowiadałem i radowali się wraz ze mną z przyjścia na świat Odkupiciela. Ci słuchali mnie zawsze z równym zapalem, a nawet kilku z nich poszło szukać Dziecięcia do Betlejem. Odnaleźli gospodę i jaskinię, ale na próżno szukali owego stróża i zarządcy gospody, który strzegł bramy w noc narodzenia, w ową noc, w którą nas gwiazda do stajenki przywiodła. Słyszeli, iż król Herod wezwał go do siebie, i już go odtąd ludzkie oko nie widziało.

– Musieli przecież odnaleźć innych jakich świadków.

– Tak, znaleźli krwawe dowody, bo całą wieś w żałobie i smutku, matki płaczące nad niemowlętami swymi. Trzeba ci wiedzieć, że Herod, dowiedziawszy się o naszej ucieczce, posłał siepaczy swoich, aby wymordowali wszystkie nowo narodzone dzieci w Betlejem i całej okolicy. Ani jedno nie uszło miecza, a moi wysłańcy wrócili przekonani, że cudowne Dziecię zginęło w rzezi niemowląt.

– A więc nie żyje! – zakrzyknął Beh-Hur przerażony. – Nie żyje, mówisz?

– Nie, mój synu, nie powiedziałem tego. Mówili to moi wysłańcy, a nie wierzyłem wówczas i nie wierzę dzisiaj.

– Otrzymałeś więc później lepsze wiadomości?

– Nie, o nie! – rzekł Baltazar, schylając głowę. – Duch towarzyszył nam i zawiódł nas tylko do Dziecięcia. Gdyśmy wyszli z jaskini, oddawszy cześć i dary Dziecięciu, najpierw zwróciliśmy wzrok ku niebu, szukając gwiazdy, ale na próżno – nie było jej. Zrozumieliśmy, że odtąd zostawieni jesteśmy sami sobie, bo ostatnim natchnieniem Bożym, jakie pamiętam, było to, które nas do szejka zaprowadziło.

– Tak – rzekł szejk, nerwowo głaszcząc brodę. – Powiedzieliście mi, że was przysłał Duch, pamiętam to.

– Nie mam odtąd żadnych wiadomości – mówił Baltazar, widząc zasmucenie Ben-Hura. – Ale, synu mój, dużo o tym myślałem, a myślałem natchniony wiarą, która, upewniam cię, biorę Boga na świadka, jest w moim sercu tak silną teraz, jako była w chwili, gdy usłyszałem głos Ducha u wód jeziora. Jeśli chcesz posłuchać, powiem ci dlaczego wierzę w życie Dziecięcia.

Obaj, Ilderim i Ben-Hur, prosili o dalsze objaśnienie i zdawali się skupić całą uwagę swej duszy, aby nie tylko słyszeć, ale rozumieć to, co mówił. Służba niemniej od panów słuchała ciekawie, wszyscy więc zbliżyli się do tapczanu. W całym namiocie uroczysta zapanowała cisza, aby z opowiadania nic nie uronić.

– My trzej wierzymy w Boga – począł Baltazar, pochylając głowę – a On jest Prawdą, jest Bogiem! Góry mogą się w proch rozpaść, morza wyschnąć od powiewu południowych wiatrów, ale słowa Jego trwać będą wieczyście, bo On jest Prawdą.

Słowa mówiącego brzmiały uroczyście:

– Głos, który był Jego głosem, mówił do mnie u jeziora: – Błogosławionym bądź synu Mizraima! Odkupiciel przyjdzie. Z dwoma innymi, co od krańców świata przybędą, ujrzycie Zbawiciela. I stało się! Widziałem Zbawiciela – niech będzie błogosławione Imię Jego! Odkupienie zaś, które stanowiło drugą część obietnicy, dopiero przyjdzie. Czy pojmujecie teraz? Gdyby Dziecię nie żyło, odkupienia by być nie mogło! Obietnica nie spełniłaby się i Bóg – nie, nie mogę tego powiedzieć, usta moje nie wyrzekną bluźnierstwa.

Tu w świętym oburzeniu podniósł ręce ku niebu.

– Dziecię przyszło na świat, aby spełnić dzieło odkupienia. Dotąd obietnica nie odwołana, nawet śmierć nie odłączy Go od Jego dzieła, aż obietnica wypełniona będzie. To jest podstawą mojej wiary, a teraz słuchajcie dalej.

Tu zatrzymał się czcigodny starzec, jakby osłabiony mową.

– Może skosztujesz wina? Mam je oto pod ręką – rzekł Ilderim z uszanowaniem.

Baltazar wypił i wzmocniony mówił dalej:

– Zbawiciel, którego widziałem, urodził się z niewiasty, jako równy nam i podległy wszelkim cierpieniom, nawet śmierci. Tu jest początek, przypatrzmy się dziełu, które na niego czeka. Nie jest to zadanie, któremu tylko mąż sprostać może, mąż mądry i silny – a nie dziecko, nieprawdaż? Aby się mężem stać, musiało dziecko dojrzeć, jako my dojrzewamy. A teraz pomyślmy tylko, jakie niebezpieczeństwa grozić mu mogły w czasie tego długiego czasu, między dzieciństwem a dojrzałością. Wszelkie potęgi były mu wrogie, Herod był Mu nieprzyjacielem strasznym, a czymże byłby Mu Rzym? A Izrael, czy by Go przyjął, czy nie, zawsze byłby w niebezpieczeństwie. Czy pojmujecie teraz? Był inny sposób ocalenia Go w dzieciństwie, jak wychowanie w ukryciu? Dlatego mówię i umacniam sobie wiarę: On żyje, ale ukrywa się, aby przybyć we właściwym czasie i spełnić obietnicę Boską. Oto podstawy mej wiary, czyż nie słuszne?

Małe, bystre oczy Araba zabłyśły zrozumieniem, a Ben-Hur, pocieszony w swym smutku, rzekł serdecznie: Nie myślę ci zaprzeczać, ale cóż dalej?

– Alboż to nie dosyć, mój synu? Znalazłszy powody i rozważywszy je – mówił dalej spokojniej – zrozumiałem, iż wolą jest Boską, aby Dziecię pozostało w ukryciu; uzbroiłem więc w cierpliwość moją wiarę i czekam. – Tu podniósł oczy jaśniejące świętą wiarą i ufnością, mówiąc półprzyciemnie: „czekam, a On żywie i zachowuje swą tajemnicę! Chociaż nie dozwolone mi jest pójść do Niego, ani nazwać wzgórza, czy doliny, którą zamieszkuje, to przecież wiem, że żyje czy jako kwiat lub właśnie dojrzewający już owoc, dość mi, kiedy wiem, że żyje, bo wierzę i pewny jestem obietnicy Pana.

Uczucie czci nappełniło duszę Ben-Hura, a w tym uczuciu gasną wszelkie wątpliwości.

– Gdzież, sądzisz, może przebywać? – spytał cichym głosem jako zwykle ten, co czuje na ustach swych świętą pieczęć milczenia.

Baltazar spojrział nań łagodnie i odpowiedział jeszcze z odblaskiem uniesienia:

– Nad Nilem, w moim domu, co stoi tak blisko rzeki, że płynąc wodą, widzisz nie tylko dom, ale i odbicie jego w przejrzystych falach, otóż w tym domu siedziałem przed kilku tygodniami i pograżyłem się w głębokiej zadumie. Człowiek, mający trzydzieści lat mówiłem sobie, powinien mieć pole życia swego już uprawione i zasiane, bo potem idzie lato, a w nim nie ma czasu na zasiew. Dziecię nie ma jeszcze dwudziestu siedmiu lat, ale czas zasiewu już blisko. Jak widzisz, postawiłem sobie to samo, co ty mój synu, pytanie, a w odpowiedzi wybrałem się tu jako do miejsca bliskiego ziemi, danej od Boga ojcom twoim. Gdzież miałby się ukazać, jak nie w Judei? Gdzież miałby rozpocząć Swe dzieło, jak nie w świętej Jerozolimie? Któż pierwej godzien otrzymać błogosławieństwa, jakie przyniesie, jeśli nie dzieci Abrahama, Izaaka i Jakuba? Wszak oni ukochanymi dziećmi Pana! Gdybym otrzymał rozkaz szukania Go, to poszedłbym do wsi i miasteczek wzdłuż gór Judei i Galilei, kędy się spuszczały w dolinę Jordanu. On jest tam i stojąc w drzwiach Swego domu lub na szczycie wzgórza, patrzył dziś na zachodzące słońce, myśląc, że oto jeden dzień bliżej do chwili, w której sam stanie się światłem ziemi.

Baltazar umilkł z podniesioną w stronę Judei ręką. Słuchacze, nawet nieoświeceni słudzy, czuli się ogrzani jego zapałem i jakby w obecności jakiejś tajemniczniej istoty. Uczucie to trwało chwilę, milczenie panowało głębokie, nareszcie przerwał je Ben-Hur:

– Widzę, czcigodny Baltazarze – rzekł – że otrzymałeś wiele łask, widzę również, że posiadasz mądrość. Nie jest w mojej mocy powiedzieć ci, jak ci wdzięczny jestem za to, co mi oznajmiłeś. Oczekuję wielu rzeczy i zaczerpnąłem od ciebie wiary, ale uzupełnij twe dzieło i powiedz, proszę, jakie będzie posłannictwo Tego, którego oczekujesz i którego ja od dziś oczekiwać będę, jak przystoi wierzącemu synowi Judy. Mówisz, że ma być Zbawicielem, czy będzie zarazem Królem Żydowskim.

– Synu mój – rzekł łagodnie Baltazar – posłannictwo Jego jest dotąd postanowieniem, w łonie Boga spoczywającym. Wszystko, co myślę, wysnuwam z owych wyrazów, które wymówił głos, i z modlitwy, która została wysłuchana. Mam o nich mówić?

– Wszak tyś nauczycielem.

– Ludzie upadli brakiem wiary. Upadek ten był przyczyną mej troski – zaczął Baltazar – ona zrobiła ze mnie kaznodzieję w Aleksandrii i wioskach nad Nilem, ona zapędziła mnie w samotność, gdzie mnie Duch nawiedził. Cierpiałem nad nędzą ludzi – nie ludzi jednej warstwy społecznej, ale nad nędzą wszystkich. Upadek ich tak był straszny, iż czułem, że tylko Bóg może przeprowadzić dzieło odkupienia. Błagam Go więc, aby przyszedł i abym Go mógł ujrzeć: – Dobre twoje uczynki zwyciężyły! Odkupienie zbliża się, a ty ujrzysz Zbawiciela! – Czyż nie tak mówił głos? Poszedłem, przez gwiazdę wiedziony, aż do Jerozolimy. Któż ma być odkupiony? Cały świat. W jaki sposób On przyjdzie? Wzmocnij twą wiarę, mój synu, bo oto powiem ci. Ludzie mniemają, że nie będzie pomyślności, póki Rzym ze wzgórz swoich nie zniknie, a jednak nie mniemam, aby tak być miało. Gdyby Rzym miał zniknąć, znaczyło by to, że złe nie ma, jak sądziłem, źródła w nieznanomości Boga, ale płynie ze złych rządów panujących. Mam powtarzać, że rządy ludzkie nie są nigdy rządami religijnymi? Słyszałeś o wielu królach, którzy by lepszymi byli od swych poddanych? Nie, i stokroć nie! Odkupienie nie może mieć politycznych celów, nie może znosić jednych władców, aby drugim miejsce zgotować. Gdyby tym zajmować się miało, mądrość Boska przestałaby być niedoścignioną. Mówię ci, wprowadź jako ślepy do ślepego: Ten, który przyjdzie, będzie Zbawicielem dusz! Odkupienie oznacza, że Bóg zejdzie na ziemię. A na to, aby mógł na niej zamieszkać, panować musi cnota.

Na twarzy Ben-Hura widoczne było rozczarowanie, pochylił głowę, a choć nie był przekonany, nie chciał sprzeciwiać się wywodom Egipcjanina. Inaczej Ilderim.

– Na wielkość Boga – rzekł namiętnie – sąd taki sprzeciwia się wszelkim pojęciom. Drogi, którymi świat idzie, są stałe i nie dadzą się zmienić! W każdym narodzie musi być ktoś, przy kim jest władza, inaczej niemożliwe byłyby zmiany.

Baltazar przyjął zarzut poważnie.

– Mądrość twoja, szejku, jest światową, a zapominasz, że Odkupienie ma nas właśnie z więzów świata wyzwolić. Ujarzmić ludzkość dla siebie pragnie król, Bóg chce pozyskać duże ludzkie.

Ilderim wstrząsnął przecząco głową, a Ben-Hur podjął się odpowiedzi za obu:

– Ojcze, pozwól się tak nazywać – rzekł – o kogo miałeś się pytać w Bramie Jerozolimskiej?

Szejk spojrział na mówiącego z wdzięcznością.

– Miałem się pytać – odpowiedział Baltazar spokojnie: – Gdzie jest Ten, który się narodził Król Żydowski.

– I widziałeś go w Betlejemskiej jaskini?

– Widzieliśmy Go, oddaliśmy Mu cześć i dary – Melchior złoto, Kasper kadzidło, a ja mirrę.

– Gdy mówisz o rzeczach, które się stały, ojcze, słucham cię i wierzę – mówił Ben-Hur – ale w rzeczach, które przyjąć mają, nie mogę zrozumieć, jakiego króla widzisz w Dziecięciu – nie mogę oddzielić panującego od jego władzy i obowiązków.

Synu – rzekł Baltazar – zazwyczaj zastanawiamy się nad rzeczami, które przypadek do nóg nam rzucił, przeciwnie na rzeczy trochę oddalone zaledwo przelotne rzucamy spojrzenie. Tak i ty – widzisz tylko tytuł... król żydowski; a ja ci mówię, zechciej podnieść wyżej oczy, sięgnij aż do tajemnicy poza tytułem, a znikną twoje powątpiewania. O tym tytule powiem jeszcze słowo. Lud twój izraelski miał niegdyś lepsze dni – dni, w których Bóg nazywał twój naród Swoim narodem, obcował z nim przez Swe proroki. W owych czasach obiecał mu Zbawiciela, którego widziałem, i wtedy obiecał Go, jako Króla Żydowskiego – ukazanie się więc Jego

musi się zgadzać z obietnicą, choćby ze względu na świat. Rozumiesz teraz powód mego pytania u bramy? Sądzę, że tak – idę więc dalej. Może się zastanawiasz nad godnością Dziecięcia, czy myślisz, że wielkim zaszczytem jest być następcą Heroda? Czyż Pan nie mógł Swemu Ukochanemu lepszego zgotować losu? Możesz, wyobrażając sobie Wszechmocnego ojca, przypuścić, aby zechciał dla Swego Syna zapożyczać tytułu od grzesznych ludzi? Albo czemuż w takim razie nie kazał mi pytać u bramy o Cezara? Wierzaj mi, jeśli chcesz poznać istotę tego, o czym mówimy, to patrz wyżej, błagam cię i pytaj raczej: nad kim będzie królem Ten, którego oczekujemy? W odpowiedzi na to pytanie jest klucz tajemnicy, której nikt nie zrozumie bez Niego.

Tu wzniosł oczy pobożnie do nieba i mówił dalej: – Jest królestwo na ziemi, chociaż nie jest ziemskie – obszar jego większy niżli obszar ziemi – większy niż ziemia i morza, gdyby je nawet jak młotem złoto rozciągnąć. Istnieje ono rzeczywiście, tak jak istnieją nasze serca, a my żyjemy od kolebki do grobu, nie widząc ich. Żaden człowiek nie pozna tego królestwa, czyli nie pozna duszy swej, bo ono nie stworzone dla jego duszy. Chwała zaś tego królestwa jest tak wielka, że sobie jej wyobrazić niepodobna... jest jedyną, z niczym nieporównaną.

– To, co mówisz ojcze, jest dla mnie zagadką – rzekł Ben-Hur – nigdy nie słyszałem o takim królestwie!

– Ani ja – dodał Ilderim.

– I ja o nim nie mogę nic więcej powiedzieć – rzekł znów Baltazar, spuszcżając oczy. – Jakie to królestwo jest, dlaczego takie jest i jak się tam dostać – nikt się nie dowie, póki nie przyjdzie Dziecię, aby objąć swą własność. Dziecię przyniesie klucz od niewidzialnej bramy, otworzy ją dla wybranych, którymi będą ci, którzy kochają, bo oni tylko będą odkupieni!

Tu nastąpiło długie milczenie, a Baltazar uważał je snąć za najstosowniejsze, aby zakończyć rozmowę, więc rzekł:

– Czcigodny szejku, jutro lub pojutrze udam się na jakiś czas do miasta, albowiem córka moja pragnie widzieć przygotowania do igrzysk. Czas wyjazdu, oznajmię później; ciebie zaś, synu mój, zobacę jeszcze, a teraz pokój wam!

Wstali od stołu, a szejk i Ben-Hur patrzyli za Egipcjaninem, aż go wyprowadzono z namiotu.

– Szejku Ilderimie – powiedział wtedy Ben-Hur – dziwne zaiste rzeczy słyszałem dzisiaj, pozwól mi iść nad jezioro, abym o tym wszystkim mógł rozmyślać.

– Idź, a ja przyjdę później.

Umyli ręce; sługa na dany znak przyniósł obuwie Ben-Hura, po czym tenże wyszedł.

ROZDZIAŁ XXI

W pobliżu namiotów rósł mały gaj palmowy, rzucający cień częściowo na wodę, częściowo na ziemię. Pośród drzew śpiewał słowik pieśń godową, toteż Ben-Hur zatrzymał się i słuchał. Kiedy indziej czarujący śpiew ptaszka spłoszyłby posępne myśli młodzieńca; dziś opowieść Egipcjanina, choć pełna cudowności, przygniatała go takim ciężarem, że podobny tragiczowi ciężko obładowanemu, nie zdolny był odczuć najpiękniejszej muzyki, aż nie wróciłby mu zwykły spokój.

Noc była cicha, najłżejszy wietrzyk nie marszczył powierzchni wody; a nad głową jego świeciły gwiazdy, każda na swoim miejscu, a dokoła było lato – na wodzie, na ziemi, na niebie.

Wyobraźnia Ben-Hura była podniecona, uczucia jego wzburzone, wola niepewna.

Palmy, niebo, powietrze, zdawały mu się należeć do stref południowych, gdzie Baltazar szukał ukojenia w bólu nad nieszczęściem ludzkim. Jezioro ze swą gładką powierzchnią zdawało mu się być Nilem, nad którego brzegiem czcigodny mąż modlił się i ujrzał Ducha w jasności. Po dłuższej chwili uspokoił się nieco i począł rozmyślać.

Cel życia rozjaśnił się przed nim. We wszelkich dotychczasowych zamiarach była przepaść, której ani ominąć, ani zapełnić nie mógł – a przepaść tak szeroka, że drugi jej brzeg tylko niewyraźnie dostrzegał. Gdy nareszcie zostanie żołnierzem lub nawet wodzem, cóż uczyni?

Rozumie się, że powstanie przeciw Rzymowi zawsze mu się uśmiechało, ale przebieg wszelkich powstań jest zawsze jednakowy. Najpierw, aby ludzi do niego zachęcić, potrzeba powodu; po wtóre, trzeba im wykazać praktyczny cel mający być zakończeniem dzieła. To pewne, że walczy wściekle ten, co knuje zemstę; ale jeszcze lepiej ten, komu krzywda dodaje bodźca, bo taki spodziewa się w zwycięstwie znaleźć balsam na swą ranę, nagrodę za waleczność, wdzięczność za trudy, a w razie śmierci – wiekopomne imię w pamięci rodaków.

Zastanowiwszy się nad powodem i celem, wiedział Ben-Hur, że trzeba będzie obejrzeć się za stronnikami i mieć ich w pogotowiu. Naturalnie szukałby ich między rodakami, wszak krzywdy Izraelowi uczynione były krzywdami każdego z synów Abrahamowych, a każda z nich mogła się świętą sprawą wydawać i budzić najwyższy zapał i uniesienie.

A więc powód był; a cel – cóż by nim być mogło?

Niezliczone dni i godziny strawił na obmyślaniu tej części swego zadania, ale zawsze dochodził do tegoż samego nieokreślonego wyniku, obiecującego wolność narodową, ale jakąś mglistą i niewyraźną. Byłaby ta obietnica wystarczającą? Nie mógł się zdobyć na zaprzeczenie zupełne, bo w tej wątpliwości zamrzeć musiałaby jego nadzieja; lękał się powiedzieć: tak – bo własne doświadczenie mówiło inaczej. Mógł zaręczyć, że Izrael zdoła zwyciężyć Rzym? Znał potęgę wroga, wiedział, że posiada najpotężniejsze i najrozliczniejsze środki obrony. Związek powszechny ludów jedynie – może by zwyciężył, ale byłoby to możliwe? Chyba tylko w takim razie, gdyby wśród jednego z ujarzmionych i gnębionych narodów powstał bohater, który by sławą zwycięstw nappełnił całą ziemię. Gdybyż taki znalazł się wśród Izraela, jakąż by była chwała Judei! – gdyby nowego Aleksandra mogła pokazać Macedonii! Ale, niestety,

wśród rabinów może by znalazł ten i ów odwagę, ale o karności nie mogło być mowy. I oto przyszedł mu na myśl słowa Messali w ogrodzie Heroda: wszystko, co zdobędziecie w sześciu dniach, straciecie w siódmym.

Tym sposobem, ile razy zbliżył się w myślach do tego punktu, cofał się przed przepaścią: a ponieważ często się to zdarzało, przestał myśleć o całej sprawie i zostawił jej rozwój przypadkowi. Czy bohater przyjdzie i wystąpi za jego życia, Bóg jeden wie. Łatwo pojąć, jakie na taki umysł wyrzucić musiało wrażenie opowiadanie Mallucha. Słuchał go z dziwnym zadowoleniem i uczuciem, zaczął myśleć, że bohater już jest. I koniec trwogi, bo oto wódz – to syn z wielkiego pokolenia Lewiego to Król Żydowski! A poza nim świat cały z bronią.

Ponieważ jest królem, będzie więc i królestwo! Będzie wojownikiem sławnym jako Dawid; rządy jego będą mądre i wspaniałe jak Salomonowe; królestwo będzie potęgą, przed którą Rzym rozpadnie się na kawałki. Aby to się stało, musi być wojna straszna, okropność spustoszenia i śmierć – dalej dni spokojne i panowanie Judy na wieki.

Serce Ben-Hura biło szybko, bo oto ujrzał na chwilę Jerozolimę stolicą świata, a Syjon miejscem tronu powszechnego władcy.

Uniesionemu przysłą wielkością swjej ojczyzny Ben-Hurowi wydało się nadzwyczajnym szczęściem, gdy się dowiedział, że w namiocie, do którego dążył, jest człowiek, co widział tego króla. I nic dziwnego, od niego miał się dowiedzieć wszelkich szczegółów, a mianowicie o czasie, w którym przyjsie króla nastąpi.

Gdyby to miało się stać wkrótce, po cóż by szedł do Maksencjusza? Raczej trzeba mu się zająć organizacją i uzbrojeniem pokoleń, aby Izrael był w pogotowiu na ową oczekiwaną chwilę.

Młodzieniec dowiedział się, jako wiemy, historii tej od Baltazara, lecz czy odczuwał zadowolenie?

Grubszy jeszcze cień, niż ten, który rzucały palmy, zaległ jego duszę, cień wielkiej niepewności, tycający się raczej królestwa niż króla.

– Jakież będzie to królestwo? – pytał Ben-Hur sam siebie.

Takie to powstały pytania, które dotyczyły posłannictwa Dziecięcia, a nikt nie umiał na nie odpowiedzieć. Dla wielu były one nie rozstrzygnięte za dni Jego, i dziś jeszcze są przedmiotem sporów, zagadką dla tych, którzy nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć, że w śmiertelnym ciele mieszka nieśmiertelna dusza.

– Jakże będzie to królestwo? – pytał.

Ben-Hur znał tylko słowa Baltazara: „Na ziemi, ale nie z ziemi; nie dla ciała, ale dla duszy a mimo to królestwo niespożytej chwały”.

Cóż dziwnego, że dla młodzieńca słowa te były ciemną zagadką.

– W sprawie tej nic nie zdoła ręka ludzka! – zawołał w rozpacz – ani król takiego królestwa potrzebuje ludzi, ani pracowników, ani doradców, ani żołnierzy. Świat terażniejszy musi zginąć, aby powstać na nowo, do tych nowych rządów muszą się stworzyć nowe zasady – zasady nie potrzebujące zbrojnych rąk... a cóż może zastąpić tę siłę?

Pamiętaj o tym czytelniku, że to, co dzisiaj uznajemy za rządzącą zasadę, on nawet nie przeczuwał: nie znał ani on, ani świat ówczesny potęgi chrześcijańskiej miłości, tym bardziej, że nikt jeszcze nie ogłosił światu, że miłość więcej zdziałać może dla pokoju i porządku państwa, niż przemoc.

Gdy tak marzył, uczuł rękę na swoim ramieniu.

– Chcę ci coś powiedzieć, synu Ariusza – rzekł Ilderim, stanąwszy obok niego – ale tylko słowo, bo muszę wrócić, a noc już późna.

– Witam cię, szejku.

– Wierz wszystkiemu, co słyzałeś – mówił Ilderim jednym tchem wszystkiemu prócz tego, co się odnosi do królestwa, które Dziecię, gdy przyjdzie ugruntuje... Co się tego tyczy, wstrzymuję się z sądem, póki nie usłyszysz Simonidesa, kupca – męża szanowanego w An-

tiochii, z którym cię zapoznam. Egipcjanin opowiedział mi swe marzenia, które są za wzniosłe dla ziemi. Simonides jest mądrzejszy i roztropniejszy. On ci przytoczy przepowiednie proroków, wskaże księgi i strony, i to tak dokładnie, że nie zdołasz zaprzeczyć, iż Dziecię będzie rzeczywiście Królem Żydowskim. Wierzaj, na wspaniałość Boga, że będzie królem podobnie jak Herod, tylko lepszym i wspanialszym. Wtedy to zakosztujemy słodyczy zemsty, a teraz – pokój tobie!

– Chwilkę jeszcze szejku!

Nie wiadomo, czy Ilderim słyszał, czy nie, ale nie wstrzymał się.

– I znów Simonides – rzekł Ben-Hur z goryczą – zawsze Simonides... Simonides tu, Simonides tam; to ten, to ów go nazywa. Czyliż jestem w mocy sługi mego ojca! A przynajmniej, zdaje się, umie trzymać to co moje, bo jest chyba bogatszym, jeśli nie mądrzejszym od Egipcjanina. Na skrzynię Przymierza! Nie przystoi chyba szukać wiary u niewiernego! Ja też nie myślę iść do niego. Ale... słyszę śpiew! Głos kobiety czy anioła! Przybliża się tu.

Po spokojnej powierzchni jeziora płynęła ku namiotom łódź, a w niej siedziała śpiewaczka. Głos melodyjny, jak ton fletu, płynął po falach i coraz się zbliżał i stawał się donośniejszy. Wkrótce słyhać już było miarowe uderzenie wiosł wnet dały się odróżnić i zrozumieć wyrazy w języku greckim, jedynym dość wykształconym z ówczesnych, by zdołał wyrazić namiętne uczucia i prośby.

Przy ostatnich dźwiękach pieśni minęła śpiewaczka gaj palmowy, rzucając jakby od niechcienia wyraz: bądź zdrów! Słowo to, drżące boleścią i słodyczą rozstania, dobiegło uszu Ben-Hura; a gdy łódka przepłynęła przed oczami jego wyrwało się z jego piersi głębokie westchnienie.

– Poznają ją po pieśni – rzekł sam do siebie – to Baltazarowa córka. Jakże piękna jej pieśń, a jakże piękna ona sama!

– Jaka ona piękna! – powtórzył w duszy, a serce przyspieszonym zabiło tętnem.

W tej chwili, niby z wód jeziora, wyłoniła się inna postać, młodsza, a równie piękna – niby dziecię jeszcze, ale tym miłsza, choć mniej namiętna.

– Estera – pomyślał radośnie – oto gwiazda, której pragnąłem. Odwrócił się i z wolna szedł ku namiotowi.

Życie jego było pasmem cierpień i uczuć zemsty, nie było w nim miejsca na miłość.

A jednak obie postacie przychodziły mu na pamięć.

ROZDZIAŁ XXII

Nazajutrz po rozpustnej w pałacu hulatyce, wszyscy patrycjusze legli na kanapach. Mógłby przybyć Maksencjusz, mogło całe miasto wyjść na jego spotkanie; mogły legiony zejść z góry Sulpius w paradzie i rozwinąć przepych, jakiego dotąd na całym Wschodzie nie widziało, nic nie zdołałoby zbudzić pijanych, śpiących snem twardym i leżących, gdzie padli, albo gdzie ich niewolnicy ułożyli. Prędzej by lalki woskowe, wyrabiane w jednym z ówczesnych zakładów artystycznych, w taniec się puściły, niż ci bez siły leżący młodzieńcy mogli uczestniczyć w uroczystościach przyjęcia Maksencjusza. Już o świcie powstał Messala, zdjął z głowy wieniec na znak, że uczta skończona; owinał się w suknię swoją, a rzuciwszy na koniec dokoła wzrokiem, opuścił salę w milczeniu. Uczynił to z powagą tak wielką, że sam Cyceron nie mógł z większą powagą opuszczać posiedzenia senatorów, na którym toczyła się całonocna dysputa.

W trzy godziny później wyszło z jego komnaty dwóch gońców, każdy z depeszą zapieczętowaną do Waleriusza Gratusa, mieszkającego dotąd w Cezarei. Jeden i drugi otrzymali równobrzmiące listy i polecenia. Jeden miał płynąć morzem, drugi jechać lądem. Już z tych ostrożności widzimy, jak ważne i pilne było ich posłannictwo.

List ten brzmiał:

Antiochia, XII koi. Jut.

MESSALA DO GRATUSA

Muszę ci opowiedzieć dziwne zdarzenie, a chociaż są to obecnie tylko przypuszczenia, niemniej mam nadzieję, że cię zajmie i usprawiedliwi śmiałość, że cię nim trudzę.

Pozwól, iż najpierw odświeżę twoje wspomnienia. Przypomnij sobie, że przed wielu laty istniała rodzina księcia jerozolimskiego, niezmiernie starożytna i bogata – imię rodziny było Hur. Jeśli masz słabą pamięć, to rana, jaką jeśli się nie myślę, masz na głowie, dopomoże ci do przypomnienia sobie prawdziwości słów moich.

Aby większe wzbudzić zajęcie, dodaję jeszcze następujące szczegóły: Dla ukarania za usiłowany zamach na twoje życie – oby bogowie, dla spokoju twego sumienia, nie dopuścili nigdy udowodnienia, iż to się stało przypadkiem schwymano rodzinę, a majątek jej skonfiskowano. Ponieważ postępowanie to uprawnił nasz Cezar, równie sprawiedliwy, jak mądry – niechaj ołtarze jego wiecznie kwiaty zdobią! – nie potrzebujemy się wstydzić na wspomnienie o sumach, które nam z onego źródła przypadły, a za które nie przestanę ci być wdzięcznym, a przynajmniej tak długo, dopóki z nich czerpać będę.

Znając twą mądrość, przypominam ci dalej, że tą rodziną Hurów rozporządziłeś w sposób, jaki obydwaj razem uznaliśmy za najodpowiedniejszy naszym celom. Może nie zawadzi ci przypomnieć, że dla tych celów trzeba było tajemnicy, a tym samym i wydania rodziny na nieuniknioną, ale naturalną śmierć. Pamiętasz zapewne, coś uczynił z siostrą i matką zbrodniarza i spodziewam się, że zaspokoisz moją ciekawość, gdy cię zapytam, czy one żyją, czy

umarły? Daruj, że cię o to pytam, ale znając twoją uprzejmość, nie wątpię, że ciekawość moją zaspokoisz. Muszę ci również przypomnieć ważne zdarzenie dotyczące niniejszej sprawy, mianowicie że ów rzeczywisty zbrodniarz skazany został na całe życie na galery. Wszak tak brzmiał rozkaz. Wypadek, który ci opisuję, jest tym dziwniejszy, że sam widziałem na własne oczy i czytałem poświadczenie dowodzącego galera trybuna przyjęcia go między niewolników.

Myślę, że ciekawość twoją zdołałem nareszcie obudzić!

Jeśli się weźmie w rachubę przeciętną miarę długości życia galerników, to nasz wyrostek powinien był przed pięciu laty umrzeć. – Tak byłem o tym przekonany, że od pięciu lat używałem majątku, który mu po części zawdzięczam. Mówiąc to, nie mam zamiaru usuwać się od obowiązków wdzięczności względem ciebie.

Teraz zbliżam się do jądra rzeczy.

Ostatniej nocy, gdy przewodniczyłem uczcie dawanej przez Rzymian – wierzaj mi, nadzwyczajną jest ich młodość i nieświadomość, wzbudzali naprawdę politowanie we mnie – naraz z ust ich usłyszałem dziwną historię. Maksencjusz konsul przybywa dziś, jak wiesz, aby przygotować wyprawę przeciw Fartom. Wśród ambitnej, towarzyszącej mu młodzieży, jest syn zmarłego duumwira Kwintusza Ariusza. – Miałem sposobność wypytać się o niego szczególnie i dowiedzieć się, że gdy Ariusz wypłynął na wyprawę przeciw piratom, po których rozgromieniu zyskał w końcu dni swoich zaszczyty, nie miał żadnej rodziny. Skoro wrócił, przeciwnie, przywiózł sobie dziedzica. Teraz, mój miły, zachowaj spokój, jak przystoi na właściciela tylu talentów w sestercjach, będących w obiegu! Bo... synem i dziedzicem, o którym mówię, jest ten, którego posłałeś na galery, ten sam Ben-Hur, który powinien był umrzeć jakie pięć lat temu. Tymczasem wbrew swej powinności, wrócił z majątkiem i znaczeniem, a prawdopodobnie i obywatelstwem rzymskim. Ty na twym stanowisku możesz się nie lękać, ale ja nie czuję się bezpiecznym. A dlaczego? Któż lepiej od ciebie może to wiedzieć?

Jakże ci się to wszystko wydaje?

Gdy Ariusz, ojciec przybrany adoptowanego, walczył z piratami, okręt jego zatonął i z całej załogi dwóch tylko uratowało się ludzi, Ariusz i jego przyszły dziedzic.

Ci, którzy ich zabrali na pokład, mówią, że towarzysz trybuna był młody i nosił strój galernika.

To, przyznasz, byłoby dostatecznie przekonywające, ale chcąc, abyś nie lekceważył leją wielce miłej sprawy, dodaję, że wczoraj miałem szczęście – złożyłem już za to fortunę dzięki czynne votum – miałem, jak mówię, szczęście – widzieć tego tajemniczego syna Ariusza twarzą w twarz i mam zaszczyt ci oznajmić, że jakkolwiek nie poznałem go z razu, jest on nim. Tak jest, to ten sam Ben-Hur, który całe lata był towarzyszem moich zabaw dziecięcych, ten sam Ben-Hur, który jako mąż, choćby najpospolitszego był urodzenia i charakteru, myśli w tej chwili o zemście – tak bym i ja zrobił – o zemście, którą jedynie śmierć przeciwnika nasyć może! O zemście za ojczyznę, matkę, siostrę, siebie, a nawet... przytaczam to na końcu, jakkolwiek pisząc do ciebie, na początku umieścić byłem powinien za zrabowany majątek!

A teraz, mój dobroczyńco i przyjacielu, zważywszy, że sestercje w niebezpieczeństwie, a strata ich największą stratą, jaka może spotkać człowieka na tak wysokim jak Ty stanowisku, sądzę, że przestałeś się uśmiechać lekceważąco, a zaczniesz myśleć, co począć w tych okolicznościach...

Uważam za niestosowne dawać ci jakiegokolwiek rady; pozwól raczej, że się oddam pod Twą opiekę, albo, co jeszcze lepiej, bądź mi nauczycielem, poradź, co mam czynić?

Wyobrażam sobie, z jakim uczuciem czytasz niniejszy list, to z powagą, to z uśmiechem, a potem kończą się wątpliwości i sąd pada to na tę, to na ową stronę: bo mądrość Twa równa mądrości Merkurego, a siła woli – woli Cezara.

Już wzeszło słońce na niebie, a za godzinę wysyłam dwóch gońców każdy z kopią tego, co tu piszę – jeden uda się lądem, drugi morzem, bo tak ważne wydają mi się szczegóły, których ci udzielam donoszące o ukazaniu się nieprzyjaciela w tej części naszego rzymskiego świata.

Widziałem go wczoraj w gaju Dafny; jeśli dotąd tam nie jest to musi być gdzieś w sąsiedztwie, co ułatwia mi nadzór nad nim. Że go pilnuję, to pewna i gdybyś mnie zapytał, gdzie nieprzyjaciel teraz się znajduje, to mógłbym Ci odpowiedzieć z wszelką pewnością że go można znaleźć w starym gaju palmowym, pod namiotem zdrajcy szejka Ilderima. Mam nadzieję, że ten stary Arab niedługo już będzie uchodzić naszemu ramieniu i nie zdziwisz się, jeśli pierwszym wymiarem sprawiedliwości za rządów Maksencjusza będzie wsadzenie starego Araba na okręt i wysianie go do Rzymu.

Tak się rozpisuję o Żydzie, bo ważnym jest, abyś znał położenie i pomyślał nad dalszym postępowaniem. O tym zaś przekonany jestem i słusznie pochlebiam sobie, że list mój świadczy o tej mądrości, która w każdym dziele ludzkim każe zważać na czas, miejsce i środki.

Jeśli na miejsce dalszego działania obierzesz Antiochię, to racz powierzyć tę sprawę kochającemu cię przyjacielowi i posłusznemu uczniowi.

Messala

Prawie w tym samym czasie, kiedy Messala, stojąc w drzwiach, wyprawiał swoich gońców (a była to wczesna godzina), wszedł Ben-Hur do namiotu Ilderima. – Wykąpał się już w jeziorze, zjadł śniadanie i ukazał się w krótkiej tunice, bez rękawów, zaledwo kolan sięgającej. Szejk spoczywał na tapczanie i pozdrowił go, z miejsca nie wstając: Pokój tobie, synu Ariusza – rzekł z wyrazem zachwytu, bo nigdy wcześniej nie widział równie silnej i zręcznej męskiej postaci. – Pokój tobie, konie gotowe, ja także, a ty?

– Nawzajem życzę ci pokoju, dziękując za tyle względów. Jestem również gotów.

Ilderim klasnął w dłonie.

– Przeprowadźcie konie! Usiądź, proszę.

– Czy konie już w uprzęży?

– Nie.

– Kiedy tak, to pozwól, abym się tym sam zajął – rzekł Ben-Hur – trzeba, abym się zapoznał z arabczykami. Muszę je znać nie tylko po imieniu, szejku, abym z każdym z osobna mógł rozmawiać, ale jeszcze muszę zbadać ich usposobienie i działać podobnie jak z ludźmi. Tych, co odważni, należy wstrzymywać, a chwalić i pochlebstwem zachęcać tych, co z natury mało mają śmiałości. Każ, aby mi przyniesiono uprzęż.

– Czy chcesz mieć i wóz? – pytał szejk.

– Nie, dziś jeszcze nie użyję wozu, ale raczej każ przyprowadzić, jeśli możesz, piątego, równie rączego konia jak tamte, a niech wcale nie będzie siodłany.

Zdziwienie Ilderima wzrosło i wnet zawołał na sługi.

– Każ przynieść uprzęż na czwórkę – rzekł – a uzdę dla Syriusza.

Ilderim wstał i mówił:

– Syriusz, to mój ulubieniec, a ja jego. Od lat dwudziestu to mój towarzysz we wszelkich przygodach na pustyni. Pokażę ci go.

To mówiąc, zbliżył się do zasłony dzielącej namiot, podniósł ją, przepuszczając Ben-Hura. Wszystkie konie szły do szejka. Jeden z nich z małą główką, świecącymi oczami, z szyją jak łuk wygiętą, a pokrytą bogatą miękką grzywą, zarżał wesoło, gdy ujrzał swego pana.

– Dobry koń – mówił szejk, gładząc śliczną sierść rumaka – dzień dobry, ci, miły koniu! – a zwracając się do Ben-Hura, dodał: – Oto Syriusz, ojciec tej czwórki; a Mira matka ich, czeka naszego powrotu, bo jest za droga, aby narażać ją na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Zresztą wątpię, synu Ariusza, czy by stado zniosło jej nieobecność. Jest ona sławą swego ro-

du. Dziesięć tysięcy jeźdźców, synów pustyni, pyta co dzień: słysześ o Mirze? – A gdy usłyszą odpowiedź pomyślną, odpowiadają: Bóg jest łaskawy! błogosławiony niech będzie Pan.

– Wszak Mira i Syriusz, to imiona gwiazd, nieprawdaż szejku – pytał Ben-Hur, przechadzając się wśród koni i do każdego wyciągając rękę.

– Czemuż nie! – odparł Ilderim. – Byłeś kiedy w nocy na pustyni?

– Nie.

– W takim razie nie możesz mieć pojęcia, ile my Arabowie gwiazdom zawdzięczamy. Nic więc dziwnego, że z wdzięczności dajemy ich imiona naszym ulubieńcom. Ojcowie moi mieli zawsze Mirę w stadzie, jak ja ją mam, a dzieci jej również są gwiazdami. Ten tu nazywa się Rigel, tamten Antares, ów Attair, ten do którego się teraz zbliżasz, to najmłodszy Aldebaran, najmłodszy, ale nie najmniej cenny, o nie! Poniesie cię przeciw wichrom, choćby szumiały w uszach jak Akaba, pójdzie gdzie każesz synu Ariusza, a klnę się na wielkość Salomona, zaniesie cię nawet w paszczkę lwa, jeśli taka będzie twoja wola i odwaga.

Przyniesiono uprząż, a Ben-Hur własną ręką ubrał konie, po czym je również własną ręką wyprowadził z namiotu i przysposobił lejce.

– Przyprowadzić Syriusza – rzekł.

Żaden Arab nie zdołałby osiąść z większą lekkością wierzchowca jak to uczynił Ben-Hur.

– Teraz lejce.

Podano mu je starannie rozdzielone.

– Czcigodny szejku – zawołał – otom gotów; przewodnik niech poprzedza mnie w pole i każ tam zawieść sługom wody.

Na początek szło wszystko bardzo dobrze. Konie się nie strachały i zdawało się jakoby już się porozumiały z nowym jeźdźcem, co wypełniał swe zadanie spokojnie i z tą pewnością siebie, która zawsze budzi zaufanie. – Jechał w ten sam sposób i zachowywał ten sam porządek, w jakim konie iść miały w zaprzęgu, z tą tylko różnicą, że dosiadł Syriusza, a nie stał na rydwaniu. Ilderim widząc to postępowanie, nabrał otuchy, czesał swą brodę, uśmiechając się z zadowoleniem i pomrukiwał: – To nie Rzymianin, to mi zuch, klnę się na wielkość Boga!

– Szedł za nim między namiotami: kobiety i dzieci, cała ludność namiotu biegła za nim, dzielając zajęcie, jeśli nie zaufanie.

Skoro Ben-Hur przybył na pole, przekonał się, że teren był doskonały do ujeżdżania; toteż natychmiast rozpoczął ujeżdżanie, zrazu wolno w prostej linii, a potem zataczając szerokie koło. Następnie puścił rumaki truchtem, później spróbował kłusa, na koniec zaczął ścieśniać koło, jeżdżąc w tę i ową stronę, w prawo, w lewo, a prawie bez ustanku. Tak minęła godzina, po czym zwolnił jadąc ku Ilderimowi.

– Dzieło skończone – rzekł – potrzeba tylko jeszcze ćwiczeń. – Mogę ci życzyć szczęścia, gdy takie posiadasz sługi, jak te – mówił dalej, zsiadając i idąc ku koniom – patrz, jak ich sierść jest lśniąca, bez skazy, a oddychają równo, spokojnie jak na początku. Winszuję ci i chyba coś nadzwyczajnego by zaszło, gdybyśmy nie mieli zwyciężyć i...

Tu zatrzymał się, zarumienił i skłonił, bo dopiero teraz ujrzał u boku szejka opartego na łasce Baltazara i dwie niewiasty osłonięte welonami. Na jedną z nich spojrzął jeszcze raz, myśląc w duszy z drżeniem serca: To ona... to Egipcjanka. – Ilderim zaś dokończył zaczęte zdanie Ben-Hura.

– Gdybyśmy nie mieli zwyciężyć i pomścić się. – A potem rzekł głośno:

– Nie boję się, ale cieszę, bo ty, synu Ariusza, jesteś tym, którego potrzebuję. Niech tylko koniec będzie równy początkowi, a zobaczysz, czym napełnione są ręce hojnego Araba.

– Dzięki ci, czcigodny szejku – rzekł Ben-Hur skromnie – każ koniom wody przynieść.

Sam poił konie, po czym dosiadłszy Syriusza, na nowo począł ujeżdżanie, przechodząc od stępa do truchtu, od truchtu do kłusa, a nareszcie puścił im zupełnie wodze. Ujeżdżanie coraz się więcej stawało zajmujące; widzowie nie szczędzili pochwał, podziwiając ujęcie lejca; zachwycali się również nieporównaną czwórka, zawsze jednako i miarowo idącą, czy to w pro-

stej linii, czy w rozmaitych zwrotach. W ruchach tych pięknych zwierząt była jedność, równość, siła i zręczność; nie było po nich znać ani wysiłku, ani pracy. Nic ich biegowi nie można było zarzucić, tak jak lotowi w rodzinne kraje wracających jaskółek.

Wśród ćwiczeń i podziwu obecnych, zjawił się Malluch i zbliżył się do szejka.

– Mam do ciebie, szejku, poselstwo – rzekł, korzystając z chwili, która mu się najstosowniejszą do przemówienia wydała – mam poselstwo od Simonidesa kupca.

– Od Simonidesa! – zawołał szejk. – Oby Abaddon pobił wszystkich jego nieprzyjaciół.

– Poleciał mi najpierw pozdrowić cię w imię Boga – mówił Malluch a potem wręczyć te pisma z prośbą byś je bezzwłocznie przeczytał.

Ilderim przełamał na miejscu pieczęcie, którymi zwój był zaopatrzony, wyjął z osłony płóciennej dwie ćwiartki pergaminu i czytał co następuje.

SIMONIDES DO SZEJKA ILDERIMA

Przyjacielu!

Przyjm najpierw zapewnienie, że w głębi mego serca zajmujesz poczesne miejsce.

Pod twoim namiotem bawi młodzieniec miłej postaci, mieni się synem Ariusza i jest nim mocą adopcji.

Jest on drogi sercu mojemu.

Dzieje jego żywota wielce są dziwne. Przybądź jutro do mnie, abym je opowiedział i naradzimy się nad tym, co dalej czynić należy.

Tymczasem uczyn zadość jego prośbom, jeśli się godności twej i jego nie sprzeciwiają. Gdyby usługi twe należało wynagrodzić, uczynię to.

Co piszę o moich uczuciach dla młodzieńca, zachowaj dla siebie.

Innym twoim gościom wyraz moje pozdrowienie. On, jego córka i wszyscy, którzy z wami pozostają, gośćmi mymi w czasie igrzysk cyrkowych będą. Miejsca już zamówione.

Pokój tobie i twoim.

Jakże inaczej, przyjacielu, mógłbym się zwać, jak twoim przyjacielem.

Simonides

SIMONIDES DO SZEJKA ILDERIMA

Przyjacielu!

Posyłam ci przestrożę ze skarbca mego doświadczenia.

Znakiem pewnym, ostrzeżeniem nieomylnym dla każdego nie-Rzymianina, mającego pieniądze i dobra, które można by w danym razie zabrać, jest przybycie w miejsce jego zamieszkania kogoś z dygnitarzy – taką okoliczność radzę brać za przestrożę.

Dziś przybywa konsul Maksencjusz.

Pozwól, abym cię ostrzegł.

Jeszcze jedno słowo przestrogi:

Jest spiszek przeciw tobie, przyjacielu, należą do niego Herodowie, bo masz posiadłości wielkie w ich okręgu.

Miej się na baczności!

Wyślij dziś ludzi pewnych na drogi, wiodące na południe od Antiochii, i każ im przeszucać każdego posłańca wracającego lub w tamtą stronę idącego. Jeśli znajdą jakie pisma, dotyczące się ciebie lub twoich spraw, niech je przejmą.

Jeszcze wczoraj powinien być otrzymać tę wiadomość; nie będzie jednak za późno, gdy szybko działać będziesz.

Gońcy dziś opuścili Antiochię, twoi jeźdźcy znają krótsze drogi i mogą ich uprzedzić.

Nie ociągaj się.

Spal to pismo po przeczytaniu.

Twój przyjaciel.

Simonides

Ilderim przeczytał każde pismo po dwa razy, po czym złożywszy je w płócienny pokrowiec, włożył za pas.

Ćwiczenia na polu wnet się skończyły – a trwały razem dwie godziny. Na zakończenie przywiódł Ben-Hur czwórkę stępem do Ilderima.

– Jeśli pozwolisz, szejku – rzekł – wrócę z arabszymi do namiotu, a po południu znów je wyprowadzę.

Ilderim zbliżył się do Ben-Hura, siedzącego na Syriuszu, i mówił: Synu Ariusza, oddaję ci moje konie zupełnie, czyn z nimi aż do wyścigów, co uznasz za stosowne. Zrobiłeś z nimi w ciągu dwóch godzin więcej, niż Rzymianin – oby szakale obgryzły jego kości – w tyłu tygodniach! Wygramy – klnę się na Boga, wygramy.

Dopóki nie opatrzone koni, Ben-Hur pozostał w namiocie, potem orzeźwił się kąpielą w jeziorze, wypił z szejkiem kielich mocnego napoju, a ubrawszy się w suknie żydowskie, poszedł z Malluchem do gaju.

Tu rozmawiali obydwoj, niektóre zaś szczegóły ich rozmowy należą do całości naszego opowiadania. Między innymi mówił Ben-Hur:

– Dam ci upoważnienie do odebrania moich tłumoków zostawionych w gospodzie z tej strony rzeki w pobliżu mostu wiodącego do Seleucji. Dostaw mi je dziś, jeśli możesz, ale powiedz, zacny Malluchu, czy nie za wiele żądam od ciebie?

Malluch podjął się chętnie i ofiarował swoje usługi nadal.

– Dziękuję ci, dziękuję – odparł Ben-Hur – trzymam cię za słowo. Jesteśmy synami jednego narodu, a Rzym naszym wspólnym wrogiem. W dodatku jesteś przebiegły i wprawny w załatwianiu spraw, a lękam się, że Ilderim nie potrafiłby tego.

– Arabowie rzadko podobne posiadają zdolności – rzekł Malluch poważnie.

– Nie odmawiam im pewnej przebiegłości, Malluchu, ale lepiej być ostrożnym. – Aby zapobiec jakiej przeszkodzie lub podejściu przy wyścigach, będę spokojniejszy, gdy się udasz do zarządu cyrkowego i dowiesz się, czy szejek dopełnił wszelkich żądanych warunków. Co więcej, oddałbyś mi wielką przysługę, gdybyś otrzymał dokładny odpis praw i reguł obowiązujących w tutejszym cyrku. Musiałbym również wiedzieć, jaki wziąć kolor, a przede wszystkim chcę znać numer miejsca, z którego mam ruszyć. Mniej mi na tym zależy, czy będę miał Messalę po prawej, czy po lewej stronie, ale chciałbym go mieć blisko. Dlatego postaraj się o to Malluchu. Czy w ogóle masz dobrą pamięć?

– Nigdy mnie nie zawiodła, gdy jej, jak dziś, pomagało serce.

– Skoro tak, to ośmielę się obarczyć cię jeszcze jednym poleceniem:

Uważałem wczoraj, że Messala szczyli się wielce swoim rydwanem, co mnie nie dziwi, bo rzeczywiście chyba tylko cesarski go przewyższa. – Czy nie mógłbyś jakim sposobem, może pod pozorem obejrzenia jego piękności, przekonać się, czy jest lekki czy ciężki? Chciałbym mieć dokładną jego wagę i miarę, a jeżeli to ci się nie uda, to w każdym razie przynajmniej będziesz mógł mi powiedzieć dokładną wysokość osi. Czy rozumiesz? Nie chciałbym aby miał jakkolwiek oczywistą wyższość nade mną, ale za to nie dbam o przepych. Jeśli go zwy-

ciężę, tym niżej on upadnie i tym większy będzie mój tryumf. Jeśli jednak ma nade mną jaką wyższość lub korzyść, chciałbym znać takową.

– Teraz już wiem – odparł Malluch, chcesz abym wysokości osi od jej punktu środkowego aż do ziemi wymierzył?

– Właśnie tak, a raduj się Malluchu, bo to już ostatnie moje zlecenie, teraz wróćmy do namiotu.

U wejścia do namiotu zastali służbę napelniającą gąsiory mocnym napojem. Napili się wina dla ochłody, a Malluch wkrótce wrócił do miasta.

W czasie ich nieobecności wysłał Ilderim dobrze zaopatrzonego jeźdźca z rozkazami do straży przydrożnej, stosownie do rady Simonidesa. Był to doświadczony wierności Arab; polecenie miał ustne, nie wioząc żadnego pisma.

Następnego dnia wrócił Ilderim do namiotów około godziny trzeciej. Za ledwie zsiadł z konia, zbliżył się do niego człowiek wyraźnie arabskiego pochodzenia i rzekł: szejku, kazano mi oddać ci tę paczkę z listem i prośbą, abyś pismo natychmiast odczytał – jeśli zechcesz dać odpowiedź, zaczekam jak długo każesz.

Ilderim obejrzał natychmiast wręczony mu zwój papieru – pieczęć była złamana, a adres brzmiał: Do Waleriusza Gratusa w Cezarei.

– Niech go porwie Abbadon! – wrzasnął szejk, widząc, że list pisany po łacinie. Gdyby pismo było po grecku lub po arabsku, przeczytałby je; tak, za ledwo odcyfrował wielkimi literami podpis Messali.

– Gdzie jest młody Żyd – zapytał.

– Na polu z końmi – odpowiedział sługa.

Szejk włożył pismo, a schowawszy paczkę za pas, wsiadł znów na konia i popędził w stronę, gdzie Ben-Hur odbywał ćwiczenia. W tej chwili jakiś nieznajomy zbliżał się od strony miasta.

– Szukam szejka Ilderima, zwanego Dobrotliwym – rzekł przybyły.

Język i ubranie zdradzały w nim Rzymianina. Ilderim nie czytał wprawdzie po łacinie, język ten rozumiał i z godnością odpowiedział: – Jam jest szejk Ilderim.

Nieznajomy spuścił oczy i podniósł je znów, mówiąc z udaną swobodą:

– Słyszałem, że potrzebujesz woźnicy na wyścigi.

Usta Ilderima ściągnęły się pod białym wąsem ironicznym uśmiechem.

– Idź swoją drogą – odparł – mam już woźnicę – i odwrócił się; tymczasem nieznajomy wstrzymał go, mówiąc:

– Szejku, niezmiernie lubię konie, mówią powszechnie, że masz najpiękniejsze na świecie.

Pochlebstwo udobruchało starca, wstrzymał się, już miał ulec, ale namyślił się i rzekł: – Nie dziś, nie dziś, kiedy indziej pokażę ci je chętnie, ale teraz jestem bardzo zajęty.

Po tych słowach pojechał w pole, a nieznajomy powrócił do miasta z uśmiechem zadowolenia, bo spełnił dane mu polecenie.

Odtąd co dzień aż do dnia wyścigów czasem jeden, czasem dwóch lub trzech ludzi przychodziło do Ilderima, ofiarując się za woźniców.

Przysyłał ich Messala, pilnując w ten sposób Ben-Hura.

ROZDZIAŁ XXIII

Szejk czekał, póki Ben-Hur nie skończył ćwiczeń, a przypatrywał się z wielkim zadowoleniem, bo widział, że idą w pełnym biegu tak, jakby wszystkie jednakową posiadały szybkość, słowem szły jak jeden, a tak iść powinna czwórka.

– Dziś po południu oddam ci Syriusza – mówił Ben-Hur do szejka, głaszcząc szyję starego arabczyka – oddam ci go, a wezmę wóz.

– Już teraz? – zapytał Ilderim.

– Takim jak te rumakom, dzień jeden wystarczy; mają nieledwie rozum człowieka i lubią ćwiczenia. Ten – mówił wskazując ręką najmłodszego – nazwałeś go jak mniemam Aldebaranem, jest najszybszy. Na torze wyścigowym prześcignąłby inne o trzy długości konia.

Ilderim gładził brodę i rzekł zmrużając oczy: – Aldebaran jest jak mówisz, najszybszy, a któryż najpowolniejszym?

Ten – Ben-Hur wskazał biczem na Antaresa. – Ten, ale mimo to zwycięży, bo zważ szejku, będzie biegać cały dzień, a dopiero o zachodzie dojdzie do największej szybkości.

– I znowu masz słusność – rzekł Ilderim.

– Jedną mam tylko obawę, szejku.

Szejk spowaźniał i jakby posmutniał.

– Rzymianin żąda zwycięstwa, nieraz przekroczy prawo, nie dbając o uczciwość. W czasie jakichkolwiek igrzysk wszyscy pamiętają o tym, używają różnych sposobów, ale przy wyścigach wozowych dopuszczają się podejść, o których trudno mieć pojęcie – od konia do woźnicy, od woźnicy do pana, wszystko spiskuje. Dlatego uważaj na twoje konie, czcigodny szejku i od dziś dnia do dnia wyścigów nie daj nikomu obcemu nawet spojrzeć na nie. Jeśli chcesz być spokojnym, uczyni więcej, strzeż je zbrojną ręką i czujnym okiem, wtedy nie będę się obawiał końca.

U drzwi namiotu zsiadli z koni.

– Rozkazy twoje będą wypełnione, przysięgam na wielkość Boga, że żadna obca ręka nie zbliży się do nich. Dziś postawię straż. Ale synu Ariusza – tu Ilderim wyciągnął pismo, otworzył je z wolna, a gdy się zbliżyli do tapczanu i usiedli, dodał: – synu Ariusza, spojrzysz tu i pomóż mi twoją łaciną.

Tu podał pismo Ben-Hurowi.

– Oto czytaj – a czytaj głośno, tłumacz na język swój ojczysty, bo znieść nie mogę łaciny.

Ben-Hur, zajęty tylko gonitwami, począł czytać obojętnie: – Messala do Gratusa – zatrzymał się, przeczucie ścisnęło mu serce, a Ilderim zauważył wzruszenie.

– Czekam.

– Ben-Hur przeprosił i miał kartę, która była jednym z dwóch egzemplarzy listu pisanego do Gratusa przez Messalę, wysłanego po uczcie w pałacu.

Początek listu dowodził tylko, że piszący nie pozbył się zwyczaju szyderstwa i naśmiewania, ale gdy doszedł do części przypominającej Gratusowi przeszłość, zadrżał i po dwakroć

stanął, aby zapanować nad sobą. Skoro czytał: przypominam dalej, że rozporządziłeś rodziną Hurów – zatrzymał się i westchnął głęboko

– w sposób, jaki obydwaj uznaliśmy za najodpowiedniejszy naszym celom. Może nie zawnadzi ci przypomnieć, że tym celom trzeba było tajemnicy, a tym samym wydania ich na nieuniknioną, ale naturalną śmierć.

Tu Ben-Hur przerwał czytanie, pismo wypadło mu z ręki, a zakrywszy twarz, zawołał:

– Nie żyją – nie żyją! Zostałem więc sam.

Szejk milczał, ale nie był obojętny na cierpienia młodzieńca: teraz zaś wstał i rzekł: – Widzę synu Ariusza, że winienem cię przeprosić, czytaj sam, a gdy będziesz dość silnym, aby mnie powiadomić o treści tego listu, poślij po mnie, na wezwanie wrócę.

Wyszedł z namiotu i podobno nigdy jeszcze w życiu nie zdarzyło się Arabowi delikatniej postąpić. Ben-Hur rzucił się na tapczan i puścił wodze swej boleści. Przyszedłszy do siebie, podjął list i czytał dalej: Pamiętasz zapewne, coś uczynił z siostrą i matką zbrodniarza i spodziewam się, że zaspokoisz moją ciekawość, gdy cię zapytam, czy żyją, czy umarli? – Zdziwiony Ben-Hur czytał jeszcze raz, nie wierząc oczom, a nareszcie zawołał: „nie wie, czy umarli. Błogosławione Imię Pana! Jeszcze jest nadzieja”. – Umocniwszy się w swym przekonaniu, przeczytał list do końca.

– Żyją! – rzekł po namyśle – bo on wiedziałby o ich śmierci. Powtórne uważniejsze odczytanie dodało mu jeszcze nadziei, posłał więc po szejka.

– Przybywając do twego gościnnego namiotu, szejku – mówił spokojnie, gdy Arab usiadł, a byli sami – nie miałem zamiaru mówić więcej o sobie, jak było potrzeba do upewnienia cię, że mi możesz śmiało powierzyć swoje konie. Nie chciałem ci więc opowiadać dziejów mego życia. Gdy jednak okoliczności, które dały mi w ręce to pismo, są tak ważne i dziwne – czuję, że mam obowiązek zaufać ci zupełnie. Do tego działania popycha mnie zresztą pewność, że obu nam grozi jeden i ten sam nieprzyjaciel i że wspólnie i zgodnie przeciw niemu działać musimy. Teraz odczytamy pismo, a ja ci treść jego wytłumaczę: jeśli zaś myślałeś, że jestem słaby i dziecinny, ufam, iż cofniesz to mniemanie.

Szejk słuchał uważnie do miejsca, w którym była wzmianka o nim:

– Widziałem wczoraj Żyda w gaju Dafny – brzmiał ustęp – jeśli go tam obecnie nie ma, to musi być gdzieś w sąsiedztwie, co ułatwia mi dozór nad nim. Że go pilnuję, to pewna, i gdybyś mnie zapytał, gdzie nieprzyjaciel teraz się znajduje, to mógłbym odpowiedzieć z wszelką pewnością, że go można znaleźć w starym gaju palmowym.

– A, a krzyknął Ilderim tonem raczej zdziwionym niż zagniewanym. Równocześnie targał brodę.

– W starym gaju palmowym – powtórzył Ben-Hur – pod namiotem zdrajcy szejka Ilderima.

– Ja... zdrajcą – krzyknął gniewnie starzec, broda i usta mu drgały, a żyły na czole i szyi nabrzmiały i groziły pęknięciem.

– Jeszcze chwilę szejku – rzekł Ben-Hur z błagalnym gestem. Takie jest zdanie Messali o tobie, to jeszcze nic, ale posłuchaj groźby: Mam nadzieję, że ten stary Arab niedługo już będzie uchodzić naszej silnej ręce i nie zdziw się, jeśli pierwszym wymiarem sprawiedliwości za rządów Maksencjusza będzie wsadzenie Araba na okręt i wysłanie go do Rzymu.

– Do Rzymu! Mnie – Ilderima – szejka dziesięciu tysięcy zbrojnych jeźdźców – mnie do Rzymu! – wołał Ilderim, zerwawszy się na równe nogi, wyciągnął ręce z palcami skurczonymi jak szpony, z oczami świeącymi jak oczy u węża.

– Na Boga – nie, na wszystkie bogi prócz rzymskich, gdzie, kiedy skończy się to zuchwalstwo? Wolny jestem i naród mój wolny jest! Mamy szaleni wolnością umierać niewolnikami? Lub, co gorzej, mamy ginąć jak psy tarzające się u stóp pana? Mam lizać rękę, która mnie chłoszcze? A to, co moją jest własnością ma przestać być moim? Czyż nie jestem sam sobie panem i mam życie zawdzięczać Rzymianinowi? Gdyby mi młodość wróciła! Gdybym mógł

zrzucić z siebie jako ciężar niepotrzebny choć dwadzieścia lat, a gdyby tylko dziesięć, gdyby choć pięć! Mówiąc to zgrzytał zębami, załamywał ręce nad głową, a nareszcie jakby pod wrażeniem nowej jakiejś myśli przeszedł szybko namiot, zawrócił i chwyciwszy Ben-Hura za ramię mówił: – Gdybym był jak ty synu Ariusza – młodym, silnym, doświadczonym w wojennym rzemiośle, gdybym miał taki jak ty powód do zemsty, powód, co może uświęcić nienawiść i zemstę.

– Gdybym – precz z udawaniem! – Synu Hura – gdybym mówię, synu Hura...

Na to imię krew zawrzała w młodzieńcu zdziwił się, i zmieszany patrzył obłąkanym wzrokiem na starca, a ten znów w nim miał utkwione oczy.

Synu Hura, mówię, gdybym był na twoim miejscu, a miał połowę twej krzywdy do dźwignia, nie spocząłbym. – Tu słowa starca płynęły niby lawa wulkanu. – Do moich własnych krzywd dodałbym krzywdy i ucisk całego świata i poświęciłbym się zemście. Od kraju do kraju szedłbym z pochodnią buntu i zapalał ludzkość do mojej zemsty. Gdziekolwiekby o wolność walczone, tam byłbym; nie byłoby bitwy przeciw Rzymowi, w której bym nie walczył. Stałbym się Fartem, gdybym nie mógł inaczej. Nie starczyłoby mi ludzi, to klnę się na wielkość Boga, zawarłbym sojusz z wilkami, szukał przyjaźni z lwami i tygrysami, w nadziei, że je przeciw wspólnemu wywiodek wrogowi. Nie wybierałbym broni, a myśl, że Rzymian pokonam, napełniałaby radością me serce, rzeź byłaby mi umiłowaną kochanką. Nie oszczędzałbym zaprawde nikogo, ale nie błagałbym również o łaskę. Niech w ogniu ginie wszystko co rzymską własnością, niech miecz gładzi wszystko co w Rzymie zrodzone. Gdybym był tobą! Modliłbym się nocą do bogów, dobrych czy złych zarówno, aby mi użyczili swych straszliwych potęg, burz, upału, zimna i wszelkich bezimiennych trucizn, co trują powietrze, wszelkich tych sposobów, od których giną ludzie na lądzie i morzu – Och nie mógłbym spać...

Ben-Hur zrozumiał z całego potoku słów starca tylko tyle, że miotał nim gniew i pragnął zemsty.

Ach! Nareszcie znalazł się ktoś, co go znał i wołał tym nazwiskiem, nie żądając dowodu. I to kto? – Arab nie dawno przybyły z pustyni.

Skądże to wiedział? Czy z listu? Nie. List mówił tylko o nieszczęściach rodziny i jego samego, ale nie było wspomnienia, że to on był ofiarą, której ucieczka tak przstraszyła prześladowców... Właśnie miał szejkowi wytłumaczyć związek tych rzeczy, ale oto widzi, że to zbyteczne, i nowa nadzieja zakwitła w jego sercu, dając mu potrzeby spokój.

– Czcigodny szejku, powiedz najpierw, jakim sposobem otrzymałeś to pismo?

– Ludzie moi, co pilnują dróg między miastami – rzekł – odebrali je posłańcowi.

– Czy to ogólnie wiadomo, że są twymi ludźmi?

– Nie. Dla świata są to rabusie, których mam chwycić i karać.

– Szejku! Nazwałeś mnie synem Hura, imieniem mego ojca, a ja sądziłem, że mnie nikt nie zna na świecie. – Powiedz, skąd to wiesz?

Ilderim zawahał się chwilę, potem rzekł: – Wiem, że tak jest, ale więcej nie mogę powiedzieć.

– Czy ci to nie wolno?

Arab nic nie odpowiedział, odszedł, ale widząc wyraźną boleść Ben-Hura wrócił i rzekł: – Nie mówmy więcej o tym, udaję się do miasta, a po powrocie może powiem. Daj mi list.

Ilderim włożył ostrożnie pismo w osłonę i rzekł z zapalem:

– Cóż mówisz? – pytał, czekając na konia, którego kazał sobie przyprowadzić. – Rzekłem ci, co bym uczynił, gdybym był tobą, a ty nie odpowiedziałeś, co czynić zamierzasz?

– Chciałem odpowiedzieć i odpowiem – rzekł Ben-Hur zmienionym od wzruszenia głosem – wszystko co rzekłeś, uczyniłbym, wszystko co leży w zakresie ludzkiej mocy. Od dawna poświęciłem się zemście; nie było w tych pięciu latach jednej godziny, jednej chwili, w której

bym nie myślał o niej. Nie miałem ani odpoczynku, ani młodzieńczych ucies i radości. Rozkosze Rzymu nie nęciły mnie, a jeśli w tym grodzie przebywał, to na to, aby się zemsty nauczyć. Szukałem najznakomitszych mistrzów i nauczycieli – niestety – nie krasomówstwa lub filozofii, bom na nie nie miał czasu. Marzyłem inaczej, uczyłem się robienia bronią, a szukałem gladiatorów popisujących się w cyrku; oni byli mi nauczycielami. Na polach walki, wodzów miałem za mistrzów, przynosiłem im chlubę i dumni byli ze mnie. Tak więc, szejku, jestem żołnierzem, ale do rzeczy, o których marzę, muszę być wodzem i z tą myślą chcę iść przeciw Partom, a potem, jeśli Pan doda sił – jeśli wrócę – tu podniosł ręce do góry i mówił gorąco – wtedy będę śmiercią dla tysięcy Rzymian. – Oto, szejku moja odpowiedź.

Ilderim objął go za szyję, a całując, mówił namiętnie: Gdyby Bóg twój, synu Hura, nie miał wysłuchać naszych modłów, to snadź nie byłby Bogiem żywym. Teraz zaś przyjmij moją przysięgę, a z nią majątek, ludzi, konie i wielbłądy, co więcej, pustynię, gdzie tak snadno ukryć przygotowania. Słyszysz?... przysięgam! Na teraz dosyć słów, odjeżdżam, lecz ujrysz mnie lub usłyszysz przed nocą.

Wyrzekłszy te słowa, zwrócił nagle konia i wnet zniknął na zakręcie drogi wiodącej do miasta.

Przejęty list objaśniał Ben-Hurowi wiele rzeczy nader ważnych. Jasno dowodził, że piszący brał czynny udział w usunięciu rodziny Hurów w zbrodnicy zamiarze, że pochwalił i przyjął plan wiodący do tak wytkniętego celu; że wziął część dóbr uległych konfiskacie i takowych używał; że się przeraził niespodziewanym zjawieniem tego, który w jego mniemaniu, był głównym zbrodniarzem; że się na koniec lękał o swe stanowisko i gotów był uczynić wszystko, co by mu wspólnik z Cezarei doradził.

List ten wpadł w ręce Hura, o którym przeważnie była mowa, zapowiadał nowe niebezpieczeństwa, ale był zarazem dowodem winy prześladowców. Nie dziw więc, że zaledwie Ilderim opuścił namiot, począł Ben-Hur namyślać się nad dalszym działaniem, czując, że sprawa nie cierpi zwłoki. Nieprzyjaciele jego byli potężni i zręczni, jak rzadko kto na Wschodzie; bali się go wprawdzie, ale i on miał powody do obawy. Chciał rozważyć wszelkie dane, jednak uczucia tak potężnie wzruszone, nie łatwo uspokoić. Nie małą radością drżało serce jego na myśl, że matka i siostra są jeszcze między żyjącymi. Zapominał, że myśl ta była tylko przypuszczeniem, i sądził, że skoro żyje ktoś, kto wie, gdzie się znajdują, to i koniec nie-szczęść już blisko. Było czym się wzruszać zaiste; przeczucie, że Bóg ujmie się za nim i wiara w czystość swej sprawy uspokajały go, dodawały siły i roztropności.

Gdy z kolei rozważał słowa Ilderima, zdziwił się, skąd Arab mógł tyle wiedzieć o nim, gdy jasną mu było rzeczą, że ani Malluch, tym mniej Simonides, nie mogli mówić wbrew swemu interesowi. Czyżby Messala odkrył Ilderimowi tajemnicę! Nie, zgoła nie, wszak podobna otwartość mogła być dla niego wielce niebezpieczna. Wszystkie przypuszczenia nie wiodły do celu: pozostawała zawsze Ben-Hurowi pociecha, że ktokolwiek to był, musiał być mu życzliwym i chyba pozna go niebawem. Trochę cierpliwości, a wszystko pójdzie pomyślnie... Kto wie, może wyjazd szejka tyczy się właśnie tej osoby, list zaś gotów przyspieszyć rozwiązanie! A jednak przykro czekać, gdy się nie wie, w jakim stanie, wśród jakich okoliczności matka i siostra czekają uwolnienia! Gdyby mógł wiedzieć, czy mają nadzieję, że się spełni czego oczekują? Szczęściem, że żadna wina nie ciążyła na jego sumieniu!

Pragnąc uciec od dręczących myśli poszedł do gaju. Tutaj rozmawiał ze zbierającymi daktyl robotnikami, którzy go owocem uprzejmie częstowali; tam znów przypatrywał się gnieźdzącym się wśród szerokich liści ptaszkom lub przysłuchiwał się miłemu brzęczeniu pszczołek, zbierających skwapliwie słodki nektar z kwiatków.

U jeziora zatrzymał się na dłuższą chwilę, a patrząc na toń przejrzystą, tak podobną do rozkosznego marzenia, przypomniał sobie piękną Egipcjankę, sędziwego jej ojca, którego opowiadania jeszcze nie zdołał pojąć. Myśl jego zwróciła się do owego Króla Żydowskiego, którego ten szanowny człowiek tak pewnie obiecywał i którego niecierpliwie oczekiwał.

Tu umysł jego zatrzymał się, bo znalazł tajemnicę, której zgłębienie tak go zajęło, że zapomniał o osobistych troskach i bólach. Nie ma skuteczniejszego lekarstwa na wszelkie ziemskie utrapienia, jak wzniesienie się duchem w sfery zaziemskie, do rzeczy oderwanych, wobec których znikają troski codziennego żywota; a takiego uniesienia nie znał Ben-Hur, odepchnął więc naukę Baltazara o królestwie nowego króla. Jako saduceusz, nie mógł zrozumieć królestwa duchowego, wydało mu się to twierdzenie nieuchwytnym marzeniem, wyrosłym w wyobraźni starca. Za to królestwo Judzkie było mu zupełnie zrozumiałe, tym więcej, że kiedy już raz istniało, to i powrócić mogło. Duma jego chętnie wyobrażała sobie nowe królestwo potężniejszym, bogatszym, wspanialszym, niż dawne; czemużby jego król nie miał być mądrzejszym i wspanialszym od Salomona? Czemużby on nareszcie nie miał służyć u jego boku, czemużby, nie mógł wówczas wykonać swej zemsty? W takich myślach zatopiony, wrócił do domu.

Spożywszy obiad, kazał wytoczyć wóz, aby go przy świetle słonecznym obejrzeć. Ścisłe biorąc wyraz – obejrzeć – nie odpowiada czynności, jaką rozpoczął. Było to raczej badanie, przy którym nic nie uszło jego uwagi. Z radością, której znacznie później lepiej zrozumiemy, spostrzegł, że wóz był zbudowany raczej na grecki niż na rzymski sposób, co pod wielu względami było dla niego korzystniejsze. W ogóle był cięższy, co nie znaczyło wiele wobec siły arabczyków; za to był szerszy między kołami, niższy i trwalej zbudowany.

Gdy skończył oględziny, założył konie do rydwanu i udał się na miejsce ćwiczeń, gdzie godzinami całymi wprawiał je w ruch i chodzenie w jarzmie. Wróciwszy wieczorem, czuł się znacznie spokojniejszy i postanowił nie czynić nic przeciw Messali, zanim zwycięży lub przegra na wyścigach. Z jakąż radością myślał o spotkaniu się z przeciwnikiem w obliczu całego Wschodu! Ani na chwilę nie przypuszczał, aby mogło być więcej dorównujących im współzawodników. Pewny był zwycięstwa, polegając na swej zręczności i doskonalszych rumakach. Myśląc o tym, powtarzał w duszy: – Nieprawdaż, biada mu! Słyszysz Antares, wszak zginie, przepadnie? Aldebaran, syn pustyni stratuje jego rumaki, Rigel i Antares, królowie igrzysk, co wy na to? Wszak prawda, niechaj drży z przerażenia! Tak, tak, dzielne rumaki.

Przemawiając sam ze sobą, przechadzał się między końmi, pieścił je nie jak pan, ale jak starszy z rodzeństwa.

O zmroku usiadł Ben-Hur u drzwi namiotu, czekając na Ilderima, który jeszcze nie powrócił z miasta. Czekał cierpliwie i bez niepokoju, bo nie wątpił, że otrzyma jakąś wiadomość. Byłże to spokój wskutek zadowolenia z odbytych ćwiczeń, czy odświeżenia po kąpieli w zimnej wodzie lub smacznie zjedzonej wieczerzy, czy naturalne przeobrażenie, następujące po chwilowym upadku ducha? To pewne, że czuł się pod opieką Opatrzności, która go dotąd wspierała.

Naraz usłyszał stapanie końskich kopyt i wnet Malluch stanął przed nim.

– Synu Ariusza – rzekł serdecznie – pozdrawiam cię imieniem szejka Ilderima i proszę, abyś natychmiast udał się do miasta, gdzie cię oczekuje.

Nie pytając o nic, poszedł Ben-Hur do stajni, Aldebaran wyciągnął ku niemu głowę, jakby ofiarując swoje usługi, ale młodzieniec pogłaskał go tylko i wziął innego, nie należącego do czwórki wyścigowej. Wkrótce obaj byli w drodze, jadąc prędko, lecz w milczeniu.

W pobliżu mostu seleucyjskiego przebyli rzekę i wjechali do miasta od zachodu, nadkładając w ten sposób dużo drogi, ale Ben-Hur czynił to z ostrożności, do której miał aż nadto wiele powodów.

Wnet przybyli do wybrzeża, gdzie mieszkał Simonides, a gdy stanęli pod mostem u drzwi wielkiego składu, rzekł Malluch do towarzysza:

– Jesteśmy u kresu, zsiądź.

Ben-Hur poznał miejsce i zapytał:

– Gdzież mam szukać szejka?

– Chodź za mną, a ujrzysz go.

Sługa odebrał od jeźdźców konie, Ben-Hur zaś znalazł się u drzwi domu kupca; zanim się zdołał zastanowić nad swym postępowaniem, usłyszał już głos z wewnątrz:

– Wejdz w imię Boga.

ROZDZIAŁ XXIV

Malluch został u progu. Ben-Hur wszedł do tej samej komnaty, w której pierwszy raz widział kupca. Nic się tu nie zmieniło, tylko tuż przy krześle stał mosiężny, polerowany słup, w drewnianą podstawę wpuszczony, wyższy od najrośniejszego mężczyzny, a dźwigający z pół tuzina, a może więcej srebrnych palących się lamp. Przy tym oświetleniu wyraźnie odznaczały się półki zdobiące ścianę, złożone gałki gzymsu i sklepienie mieniące się fioletową minką.

Ben-Hur wstrzymał się niedaleko wejścia, czując na sobie wzrok Simonidesa, Ilderima i Estery.

Mimo woli spojrzął po nich, jakby szukając odpowiedzi na postawione w myśli pytanie: czego ci ludzie mogą chcieć ode mnie? Zanim na nie zdołał odpowiedzieć, już drugie mu się nasuwało; są to przyjaciele czy wrogowie?

Tu oko jego spoczęło na Esterze.

Mężczyźni odpowiedzieli na jego spojrzenie wzrokiem pełnym dobroci, w jej twarzy było przecież coś więcej jak dobroć – coś tak duchowego, że nie da się określić słowami; spojrzenie to wzruszyło go do głębi.

Synu Hura. – Tu gość zwrócił się do mówiącego.

Synu Hura – mówił Simonides, powtarzając to wezwanie z wolna i z pewną deklamacją, jakby tym przemówieniem chciał dodać słowom uroczystego znaczenia. – Oby pokój Boga ojców naszych był z tobą – tu wstrzymał się, a potem dodał: – Życzę ci tego od siebie i moich.

Mówiący siedział na krześle, ale jego ciemne oczy patrzyły prosto spod białych brwi, blask ich dodawał jeszcze powagi tej królewskiej głowie i bladej twarzy, co pozwalały odwiedzającemu go zapominać o połamanych członkach i zniszczonym ciele tego człowieka. Nastąpiła chwila milczenia, po czym kupiec złożył pokornie ręce na piersi.

Ruch ten i pozdrowienie nie mogły być niezrozumiałymi, więc Ben-Hur wzruszony przemówił:

– Simonidesie, życzenie pokoju z wdzięcznością przyjmuję. Oddając ci je wzajemnie jako syn ojcu, niemniej czuję, że nam się porozumieć trzeba.

Słowami tymi chciał delikatnie usunąć stosunek pana do sługi, zawiązując inny, wyższy i świętszy.

Simonides opuścił z wolna ręce, a zwróciwszy się do córki rzekł: podaj panu krzesło córko moja.

Spiesznie uczyniła zadość życzeniu ojca, przyniosła krzesło i stanęła zmieszana patrząc kolejno to na ojca, to na młodzieńca. Czekali, z obawą co dalej nastąpi. Milczenie stawało się coraz przykrzejsze, przerwał je Ben-Hur, przysuwając krzesło do nóg kupca i mówiąc:

– Tu moje miejsce – usiadł.

Oczy jego spotkały się ze wzrokiem Estery na jedną krótką chwilę, ale ta chwila zrobiła ich lepszymi. On poznał, że mu jest wdzięczną; ona była pewna, że jest wspaniałomyślny i pełen pobłażania.

Simonides skinął na znak przyzwolenia i rzekł oddychając swobodniej:

– Estero, przynieś mi papiery. – Dziewczyna zbliżyła się do jednej z framug w ścianie, otworzyła ją, wyjęła zwój papierów i podała je ojcu.

– Dobrze rzekłeś, synu Hura – zaczął Simonides rozwijając papiery – porozumieć nam się trzeba. Przeczuwając twe żądanie – a byłbym je sam postawił, gdybyś tego nie uczynił, przedkładał ci dowody, które ci wszystko wytłumaczą, a mianowicie stan majątkowy i nasz wzajemny do siebie stosunek. Czy chcesz teraz czytać?

Ben-Hur wziął papiery, rzucił jednak okiem na Ilderima.

– Niech cię obecność szejka nie wstrzymuje, rachunki potrzebowały świadka, imię jego jest już na nich, wie więc o wszystkim i jest twoim przyjacielem. Czym był dla mnie, będzie i dla ciebie.

Mówiąc to Simonides, patrzył na Araba i skinął mu uprzejmie głową, na co tenże odpowiedział również skinieniem głowy, a nareszcie rzekł: Jest jakoś powiedział!

– Wiem jak doskonała jest przyjaźń twoja – odparł Ben-Hur – i pragnę stać się jej godny. Później przeczytam uważnie twe rachunki, Simonidesie; teraz daj mi ich główny zarys, jeśli cię to zbytnio nie utrudzi.

Simonides wziął znów papiery w rękę.

– Estero, stań przy mnie i odbieraj przeczytane kartki, inaczej mogłyby się pomieszać.

Uczyniła zadość życzeniu ojca, a stojąc obok, położyła rękę na jego ramieniu, co czyniło wrażenie jakby oboje zdawali sprawę.

– Oto – mówił Simonides – pierwszy dokument, wykazuje jakie pieniądze miałem od twojego ojca, a oto drugi na sumy, które wydarłem Rzymianom; nic prócz pieniędzy nie dało się uratować, a i to tylko dzięki naszemu żydowskiemu systemowi rozmieszczania majątku na weksle. Sumy ocalone ściągnąłem z Rzymu, Aleksandrii, Damaszku, Kartaginy i innych miejsc, leżących w obwodzie handlowym, suma ta wynosi sto dwadzieścia talentów monetą żydowską.

To rzekłszy, oddał kartkę Esterze, a wziął drugą mówiąc:

– Z tą sumą stu dwudziestu talentów – zacząłem interesy: z niej wyrósł mój kredyt – wyrażam się tak, aby ci następnie wykazać korzyści, z pomocą tych pieniędzy otrzymane.

Tu odczytał z pojedynczych kartek rozmaite pozycje rachunków, które ogółem tak się przedstawiały:

W okrętach	60	talentów
W towarach na lądzie	110	
W transporcie	75	
W wielbłędach i koniach	20	
Na składach	10	
W rachunkach bieżących	54	
<u>W gotówce</u>	224	
Razem	553	talenty

Do tego, to jest, do pięćset pięćdziesięciu trzech talentów; dolicz kapitał, który mi twój ojciec powierzył, a otrzymasz sześćset siedemdziesiąt trzy talenty!

– Wszystko to twoje i jesteś najbogatszym człowiekiem na świecie.

Wziął papiery z rąk Estery, zostawiając sobie tylko jeden; zwinął je razem i oddał Ben-Hurowi z pewnym odcieniem nie obrażającej nikogo dumy, bo pochodziła raczej z zadowolenia po spełnionym obowiązku lub odnosiła się tylko do osoby młodego pana bez względu na swoje zasługi.

– I nie ma takiej rzeczy pod słońcem – mówił dalej niskim głosem – której byś nie mógł osiągnąć, ani dzieła, którego byś nie zdołał dopełnić.

Była to chwila coraz bardziej zajmująca dla obecnych; Simonides skrzyżował znów ręce na piersiach, Estera i Ilderim zdawali się w milczeniu rozważać, że w chwilach wielkiego powodzenia człowiek największą przechodzi próbę.

Ben-Hur wziął pergamin i walcząc ze wzruszeniem, rzekł: – Wszystko to zdaje mi się światłem z nieba rozjaśniającym tę noc tak straszną i długą, że sądziłem iż się nigdy nie skończy. Najpierw dziękuję Panu, który mnie nie opuścił, potem tobie, Simonidesie. Wierność twoja zwyciężyła okrucieństwo ciemnych i czyni zaszczyt ułomnej ludzkiej naturze. Rzekłeś, iż nie ma na ziemi dzieła, którego bym nie mógł dokonać, spróbuję czy to potrafię! Mógłby inny człowiek w tak szczęsnej jak obecna chwila, przewyższyć mnie we wspaniałości? Zaiste nie dopuszczę do tego i ciebie, szejku, wzywam na świadka wraz z tobą, Estero, która jesteś dobrym aniołem swego ojca! Słuchajcie!

Tu wyciągnął rękę ze zwojem papirusowym ku Simonidesowi.

– Rzeczy, których spis zawierają te papiery – okręty, domy, towary, wielbłądy, konie, pieniądze, od najdrobniejszych do największych, oddaję tobie, Simonidesie, czyniąc je twoimi, przeznaczam je tobie i twoim na wieki!

Estera uśmiechnęła się przez łzy, Ilderim szybko i gwałtownie gładził brodę, oczy jego świeciły niby drogie kamienie, tylko Simonides był spokojny.

– Przeznaczam je tobie i twoim na wieki – ciągnął Ben-Hur dalej, pokonując wzruszenie – ale pod jednym warunkiem.

Obecni wstrzymują oddech.

– Chcę, aby sto dwadzieścia talentów, które były własnością mego ojca, wróciły do mnie.

Twarz Ilderima rozchmurzyła się na te słowa.

– Dalej żądam, abyś mi dopomógł w szukaniu matki i siostry, używając w tym celu wszystkich środków, jakie się okażą potrzebne,

Simonides uległ wzruszeniu, a wyciągnawszy rękę mówił: Coraz to lepiej poznaję cię, synu Hura i wdzięczny jestem Panu, iż cię takim przywiódł. Jeśli wiernie służyłem ojcu twemu za życia, jeśli równie wiernym zostałem jego pamięci, toć i ciebie nie zawiodę, a jednak tego warunku przyjąć nie mogę. Tu wziął pozostałą kartę i mówił dalej;

– To coś odczytał, nie jest końcem rachunków, są jeszcze inne – oto są, czytaj je głośno!

Ben-Hur uczynił zadość żądaniu.

SPIS NIEWOLNIKÓW HURA SPORZĄDZONY PRZEZ ZARZĄDCĘ SIMONIDESA

1. Annah Egipcjanka w pałacu jerozolimskim.
2. Simonides, pełnomocnik w Antiochii.
3. Estera, teść córka.

Nigdy nie powstała w umyśle Ben-Hura myśl, że córka niewolnika jest niewolnicą podług prawa, a Estera w jego marzeniach była zawsze rywalką Egipcjanki, przedmiotem w danym razie godnym miłości. Na tę niespodziewaną wiadomość spłonął rumieńcem i spojrzął na nią nieśmiało: widząc, że i jej twarz oblana szkarłatem, spuścił oczy, a mniąc kartę papirusu, mówił żywo:

– Zaprawdę bogatym jest człowiek posiadający 600 talentów i może zaiste czynić co chce, cenniejszym jednak od pieniędzy jest umysł, który je zebrał i serce, którego bogactwo nie zepsuło. Nie lękajcie się, zacny Simonidesie i ty piękna Estero. Szejk Ilderim poświadczy, że w chwili, w której was jako niewolników poznałem, otrzymaliście wolność, pospieszę to i pisemnie poświadczyć.

– Zaiste, niewolę zdołałbyś słodką uczynić, o synu Hura, jednak pomyliłem się, mówiąc, żeś mocen wszystko uczynić, bo to pewne, że nie masz prawa zrobić nas wolnymi. Jam niewolnikiem po wsze czasy, ojciec twój przybił ucho moje do drzwi, jak to widzisz.

– Czyż ojciec mój mógł to uczynić?

– Nie poważaj się sądzić go – przerwał Simonides – uczynił to na prośbę moją, bo tak żądała moja Rachel, matka tego dziecka, i nie chciała być moją żoną, dopóki bym nie był jej równy.

– Była niewolnicą po wsze czasy?

– Tak.

Ben-Hur mierzył szerokimi krokami pokój w szersz i wzdłuż, wyraźnie cierpiał nad swą niemocą.

– Byłem wpierw już bogatym – rzekł stając nagle. – Byłem bogaty darem dobrotliwego Ariusza, teraz przybywa mi nowa fortuna wraz z tym, który ją zebrać potrafił. Czyżby Opatrzność działała w tym bez celu? Poradz mi Simonidesie, wskaż, pomóż ujrzeć sprawiedliwość i uczynić jej zadość. Dopomóż, abym był godny imienia mego, stań się tym w rzeczywistości, czym jesteś podług prawa, a wdzięcznym ci będę po wsze czasy.

Twarc Simonidesa zdawała się jaśnieć od wewnętrznego zadowolenia.

– Synu pana mego! Uczynię więcej, służyć ci będę całą mocą mego umysłu i serca. Ciało nie mam już, poświęciłem je tobie, ale umysł i serce twoimi są. Przysięgam ci to na ołtarze Boga naszego i na te ofiary, co na nich płoną! Uczyni mnie jednak prawnie tym, czym jestem.

– Cóż mam uczynić? – rzekł gorąco Ben-Hur.

– Skoro mnie uczynisz zarządcą, pełnomocnikiem twego majątku, wtedy działać pocznę.

– Od tej godziny jesteś nim i uważaj się za takiego. Czy mam to uczynić pisemnie?

– Dość twego słowa; tyle dawał twój ojciec, nie chcę więcej od syna. Teraz zaś, kiedyśmy się porozumieli..

– Tak, jam gotów – rzekł Ben-Hur.

– A ty, córko Racheli, nie masz nic do powiedzenia? rzekł Simonides, zdejmując rękę jej ze swego ramienia.

Estera zostawiona samej sobie, stała chwilę zapłonią i milcząca, potem zbliżyła się do Ben-Hura i dziwnie łagodnie rzekła:

– Nie jestem zaniejsza od mojej matki, gdy jej zabrakło, pozwól, o panie, abym pielęgnować mogła ojca mego!

Ben-Hur wziął z wolna jej rękę, położył ją na krawędzi krzesła Simonidesowego, mówiąc: Dobre z ciebie dziecko, niechaj się stanie jako chcesz.

Kupiec podniósł jej rękę na swe ramię i cisza zaległa komnatę.

Mimo zaszyłych zmian Simonides spojrział wzrokiem pana w koło siebie, a potem rzekł spokojnie:

– Estero, późno już, wiele jeszcze mamy do omówienia, każ przynieść napoje, by nam sił nie zabrakło do pracy, która nas czeka.

Dziewczyna zadzwoniła na służbę i wnet wniesiono wino i chleb, które sama obniosła, częstując gości.

– Jakkolwiek porozumieliśmy się – rzekł Simonides – nie sądzę, aby już wszystko między nami było załatwione. Życie nasze ma odtąd płynąć jak dwie rzeki, które połączyły wody swoje w jedno. Jeśli bieg ich ma być swobodny, trzeba nam z nieba wszelkie usunąć chmury. Kiedyś odszedłeś od drzwi moich z uczuciem niezadowolenia i przekonaniem, że nie chcę uznać tych praw, które ci właśnie przyznałem w najszerszym znaczeniu. Że tak uczyniłem, to prawda, bo poznałem cię; Estera i Malluch zaświadczą chętnie, że nie spuściłem cię odtąd z oka.

– Malluch! – zawołał Ben-Hur zdziwiony.

– Kto tak jak ja przykuty do krzesła, ten musi mieć daleko sięgające ręce i dużo tych rąk, jeśli chce coś znaczyć na świecie, z którego tak okrutnie został usunięty. Mam więc wielu ludzi, Malluch zaś najlepszy z wielu... Czasem znów – tu rzucił okiem na szejka „pożyczam

dobrego serca u drugich”, jak u Ilderima Dobrotliwego, męża pełnego zacności i odwagi. Pozwól, niech i on ci powie, czym kiedy zapomniał o tobie.

Ben-Hur spojrzał na Araba, a Ilderim skinął głową i zmrużył oczy na znak potwierdzenia.

– Trudno, panie – mówił dalej Simonides – poznać człowieka bez próby. Gdym cię ujrzał, widziałem obraz twego ojca: skąd mogłem jednak wiedzieć, jakim jesteś człowiekiem? Wszak zdarzają się ludzie, dla których majątek bywa przekleństwem. Więc wysłałem Mallucha, aby mnie zastąpił i był w tej służbie moimi oczami i moimi uszami. Uczynił zadość mej woli, same dobre przynosił mi wieści; nie bierz mu tego za złe, proszę.

– Uczynił dobrze i nie mam żalu do niego – odparł Ben-Hur – ani do was, bo mądrość kierowała waszymi czynami.

– Słowa te miłe są sercu memu – rzekł kupiec z uczuciem – bardzo miłe, nie boję się nieporozumienia i niechaj rzeki płyną już sobie, jak im Bóg każe!

Po przerwie mówił dalej:

– Tkacz siedzi u krosien i puszcza czótenko, sukna przybywa, rosą desenie i figury, a on marzy i myśli... Tak rosła w mych rękach fortuna i dziwiłem się jej wzrostowi, pytając samego siebie jakim sposobem? Widziałem, że starania innych, równie pilne jak moje, nie osiągają przecież celu, piaski pustyni zasypywały nieraz całe majątności kupców, mnie przeciwnie, burze pędziły okręty, innym druzgotały się. Co więcej, ja tak zależny od innych, przykuty do krzesła, prawie martwa bryła, nie poniosłem nigdy straty z winy wykonawców mych rozkazów – nigdy nie byłem oszukany. Tak służyły mi żywioły, a ludzie byli mi wierni.

– Zaiste, rzecz to godna zastanowienia – mówił Ben-Hur.

– Tak jak rzekłem i w końcu przyszedłem do tego przekonania, że Bóg jest w tym, a dziś pytam wraz z tobą, jaki jest Jego cel, jaka Jego wola? Nic się nie dzieje bez zamiaru. Nie wątpię też nigdy, że przyjdzie dzień, który On uzna za stosowny, w którym wskaże mi cel i ujrzę go również wyraźnie, jakbym ujrzał biały dom widniejący na wzgórzu. Dziś wierzę, iż to się już stało!

– Wiele lat temu, z moją rodziną – matka twoja, Estero, piękna jako poranek nad starym Oliwetem, była ze mną – siedzieliśmy przy drodze północnej wiodącej do Jerozolimy, w pobliżu grobów królewskich. Na drodze ujrzeliśmy trzech jeźdźców na dużych białych wielbłądach, tak pięknych, że nigdy im równych nie widziano w świętym mieście. Byli to ludzie obcy z dalekich przybywający stron. Pierwszy wstrzymał wielbłąda i zapytał mnie: „Gdzie jest ten, który się narodził, Król Żydowski?” Do pytania, jak gdyby dla większego zdziwienia mego dodał: „Widzieliśmy Jego gwiazdę na wschodzie i przybywamy oddać Mu cześć”. Nie zrozumiałem, co chciał powiedzieć, ale szedłem za nimi aż do bramy Damasceńskiej. W ciągu całej tej drogi zadawali przechodniom toż samo pytanie, a nawet strażnikowi u bramy. Wszyscy równie się dziwili jak ja, a powszechnie mówiono, że słowa te tyczą się przepowiedni Mesjasza – szczegółów już wiele zapomniałem, a rzeczy chyba się nie zmieniły. My ludzie, a nawet najuczeńsi między nami, jesteśmy jako dzieci. Drogi Jego odmienne są od naszych, a kroki Jego na ziemi często wieki całe oddzielają. Czy widziałeś Baltazara?

Tak i słyszałem jego opowiadanie – odparł Ben-Hur.

– Cud, prawdziwy cud! – wołał Simonides. – Gdym słyszał to opowiadanie, zdało mi się, iż ono jest odpowiedzią i ujrzałem jasno cel Opatrzności. Skoro przybędzie król ubogi, pozbawiony przyjaciół, bez orszaku, wojska, miast i zamków, czy nie będzie za późno? Zanim więc przyjdzie, zanim Rzym może runąć, trzeba założyć królestwo. A ty, panie, ty silny, w broni wyćwiczony, bogaty, czy widzisz powód, dla którego Bóg cię zesłał? Czy cel Jego nie może być twoim? Powiedz, panie, czy może człowiek urodzić się dla większej chwały?

Ostatnie pytanie stawiał Simonides z całą siłą wewnętrznego przekonania.

– Tak ci się wydaje, bo nie pomnisz – rzekł Ben-Hur gorąco, że królestwo, które głosi Baltazar, ma być królestwem duchowym.

Simonides był Żydem, dumnym ze swej narodowości, toteż odparł z ironią w głosie:

– Baltazar był świadkiem cudownych rzeczy – cudów. Gdy o nich mówi, kornie przed nim schylam głowę, bo je widział i słyszał. Jest jednakże synem Mizraima, nawet nie prozelitą, trudno więc przypuścić, aby miał szczególną wiedzę, zwłaszcza w tłumaczeniu postanowień Bożych, dotyczących się narodu izraelskiego. Prorocy mieli światło wprost z nieba, tak jak i on – proroków jest wielu, on jeden, a Jehowa zawsze ten sam. Miałbym nie wierzyć prorokom? Estero, przynieś mi Torę.

Nie czekając, aż córka przyniesie księgę, mówił dalej:

– Zresztą czy nie mamy świadectwa całego narodu? Przejdź od Tyru, co leży nad morzem ku północy, do stolicy Edomu, co jest na południu pustyni, a nie znajdziesz wyznawcy Schemy. ani takiego, co by składał jałmużnę w świątyni, ani takiego, który jadł baranka wielkonoconego, żeby ci nie powiedział, że oczekuje królestwa i króla. Dzień przybycia jego, będzie dniem szczęścia, a królestwo, jako królestwo ojca naszego Dawida. Spytasz, skąd mają tę wiarę? Wskażę ci i to.

Właśnie wróciła Estera, niosąc kilka pergaminowych zwojów, starannie owiniętych ciemnobrązową materią, złotymi znakami pokrytą.

– Trzymaj, córko, zwoje; podasz mi je, gdy zażądam – rzekł ojciec łagodnym głosem, jakim zwykle do córki się odzywał, potem mówił dalej:

– Trwało by to długo, zbyt długo, gdybym chciał wymieniać imiona świętych, którzy za wolą Opatrzności zajęli miejsce proroków. Nie mieli ci następcy świętego ognia Eliasza lub Elizeusza, jednak pisali i nauczali po powrocie z niewoli, a światła pożyczali od pochodni Malachiasza, tego ostatniego z rodu proroków. Hillel i Shammai mają i teraz imię jego na ustach, nauczając młodzież. Zapytajmy ich o królestwo: Któż jest panem trzód w księdze Ezechiela? Któż jeśli nie król, o którym mówimy? Tron gotów na jego przyjęcie, schodzi na ziemię, a inni królowie spadają z tronów swych, prześladowcy Izraela wrzuceni będą w jaskinie podziemne między słupy ogniste.

Śpiewak psalmów mówi: „Wejrzyj, Panie, na lud Swój, oddaj Izraelowi króla jego, daj go w czasie, jaki uznasz, o Boże, daj go, aby rządził Izraelem, dziećmi Twymi... I zmusi narody ziemi pod jarzmo swoje i służyć mu będą. I będzie sprawiedliwym królem, od Boga naznaczonym... będzie rządził ziemią słowem Jego na wieki”. Posłuchaj Ezdry, tego drugiego Mojżesza, gdy opowiada swe nocne widzenia, i spytaj kim jest ten lew, co ludzkim głosem przemawia do orła, który oznacza Rzymianina: „Kochałeś kłamców i zgwałciłeś miasta pracujących i obaliłeś ich mury, chociaż nie czynili nic złego. Dlatego znikniesz, aby ziemia była odnowiona, podniosła się i uwierzyła, w sprawiedliwość i litość Tego, który ją uczynił. Odtąd oczy jego nie widziały orła. Zaprawdę, panie, dość byłoby tego świadectwa; jednak gdy droga do źródła otwarta, czemużby doń nie dotrzeć? Podaj wina, Estero, a potem Torę.

– Wszak wierzysz, panie, w proroków? – pytał pijąc. – Wiem, że wierzysz, bo taką była wiara ojców twoich. Podaj mi, Estero, księgę widzeń Izajaszowych.

Wziął zwój, który dla niego rozwinęła i czytał: „Lud, który chodził w ciemnościach, ujrzał światłość wielką; mieszkającym w krainie cienia śmierci, światłość im weszła. Albowiem maluczki narodził się nam, syn jest nam dany, i stało się panowanie na ramieniu Jego. Rozmnożone będzie państwo Jego, a pokojowi nie będzie końca: na stolicy Dawidowej i na królestwie Jego siedzieć będzie; aby je utwierdził i umocnił w sędzie i w sprawiedliwości, odtąd i aż na wieki. Zawistna miłość Pana Zastępów uczyni to”.

Wierzysz prorokom, panie? Teraz, Estero, podaj mi słowa Pana do Micheasza.

Dziewczyna podała zwój, którego żądał.

..A ty – czytał – a ty. Betlejem Efrata. malutkieś jest między tysiącami Judzkimi; z ciebie mi wynijdzie. który będzie panującym w Izraelu, a wyjścia Jego od początku, do dni wieczności”. – Zaiste, On to był dziecięciem, które widział Baltazar. On, któremu oddał cześć w jaskini. Wierzysz, panie. Prorokom? Podaj mi, Estero, słowa Jeremiasza.

Wziąwszy zwój podany, czytał:

„Oto dni przychodzą, mówi Pan: a wzbudzę słowo dobre, którym mówił do domu Izraela i do domu Judy. W onym dniu i w onym czasie uczynię, że spłodzi Dawid płód sprawiedliwości, a będzie czynił sąd i sprawiedliwość na ziemi. W one dni będzie zbawień Juda i Jeruzalem mieszkać będzie bezpiecznie; a to jest imię, którym go nazwą: Pan sprawiedliwy nasz. Bo to mówi Pan: – Nie zginie z Dawida mąż, który by siedział na stolicy domu Izraelowego”. – Czyż nie wyraźnie jest tu mowa o królu i czy możesz, panie, nie wierzyć w proroków? Teraz, córko, podaj mi przepowiednie tego syna Judy, na którym nie ma żadnej plamy.

Podawała mu księgę Daniela.

– Słuchaj panie – rzekł: „Patrzyłem tedy w widzeniu nocnym, a oto z obłoki niebieskimi jako syn człowieczy przychodził i aż do starowiecznego przyszedł: i stawili Go przed oblicze Jego. I dał Mu władzę, i cześć, i królestwo: i wszystkie narody, pokolenia i języki służyć Mu będą, władza Jego, władza wieczna, która nie będzie objęta: a królestwo jego, które się nie skazi”. Czyżbyś nie wierzył prorokom, panie mój?

– Zaiste, dosyć już, wierzę – wołał Ben-Hur.

– Tak, ale to nie dosyć – mówił Simonides – jeśli król przyjdzie ubogi, czy mu coś udzielisz, panie, ze swej wspaniałości?

– Zaiste, tak, i to do ostatniego sykla i do ostatniego tchnienia mej piersi. Czemużby jednak miał przyjść ubogim?

– Podaj, Estero, słowa Pana, które słyszał Zachariasz – rzekł Simonides.

Estera zaś podała zwój.

– Posłuchaj, panie, jak król przybędzie do Jerozolimy: „Raduj się wielce, córko Syjonu, wykrzykuj, córko Jeruzalem: oto król twój przyjdzie tobie sprawiedliwy i zbawiciel, on ubogi, a wsiadając na oślicę i na źrebię, syna oślicy”.

Ben-Hur patrzył w dal.

– Co widzisz, panie?

– Rzym! – odparł ponuro. – Rzym i jego legiony. Walczyłem z nimi i znam ich potęgę.

– Ach! – rzekł Simonides – ty będziesz wodzem legionów króla i wśród milionów wybierać będziesz.

– Wśród milionów? – zawołał Ben-Hur ze zdziwieniem.

Simonides milczał chwilę, a potem rzekł:

– Nie dręcz się, panie, potęgą Rzymu. – Tu Ben-Hur spojrział na kupca pytająco. – Pokazałem ci króla ubogo przybywającego do stolicy i widziałeś go po prawej, a Rzym po lewej i rzekłeś: czyż może on zwyciężyć?

Zaprawdę, odgadłeś, takimi były moje myśli.

– O mój panie – ciągnął Simonides nie masz pojęcia, jak potężny jest Izrael. Ty sobie go wyobrazasz niby starca płaczącego nad rzekami babilońskimi. Nie myśl tak, a udaj się do Jerozolimy koło Wielkiej Nocy, stań nad brzegiem Ksystu, albo na ulicy Berber i stamtąd przypatrz się narodowi. Obietnica Pana, uczyniona Jakubowi, gdy opuszczał Padam Aram, stała się prawem. Naród nasz nie przestał się mnożyć, nawet w niewoli, czy to pod jarzmem Egipcjan, czy pod rzymskim, i jest zaprawdę wielkim narodem. Tak, wierzaj mi, panie; chcąc poznać siłę, na jaką może liczyć nowy król, nie trzeba rachować najbliższych, ale i tych, co w najodleglejszych stronach wiarę w jednego Boga wyznają. Zwyczajem jest mówić i myśleć o Jerozolimie jak o Izraelu, tymczasem jest on jako złoty haft na koronacyjnym płaszczu Cezara, kamieniem świątyni, sercem w ciele. Odwróć twe oczy od legionów rzymskich, choć potęga ich tak wielka, a porachuj szeregi wiernych, co czekają na dawne hasło: „Izraelu, spiesz do namiotów!” Zlicz tych, co żyją w Persji, a są dziećmi tych, co woleli pozostać na obczyźnie, i tych, co zamieszkują brzegi Afryki i Egiptu. Porachuj, panie, Hebrajczyków osiadłych dla zysku na Zachodzie w Bodinum i Hiszpanii, nie zapomnij, synu Izraela, czystej krwi prozelitów w Grecji i na wyspach rozsianych wśród wód Oceanu, dalej w Poncie, w Antiochii, a i tych, co żyją w samych nieczystych murach Rzymu. Mało to czcicieli liczy Pan wśród tych,

co niedaleko nas na pustyni w namiotach mieszkają, lub tych, co wzdłuż Nilu osiedli! I nad Morzem Kaspijskim i w starym kraju Gog-Magog żyją nasi bracia jako odłam tych, którzy rokrocznie, uznając Boga, składają dary w świątyni – i tych policzymy! Gdyśmy tak skończyli rachunek, spójrz, panie, na szereg mieczy oczekujących wodza, bo oto królestwo czeka na Tego, który ma uczynić sąd i sprawiedliwość na całej ziemi, tak w Rzymie, jak na Syjonie, a ostatnie słowo to pewność, że co może Izrael, to może i Król.

Obraz nakreślony z zapalem był dla Ilderima niby pobudka wojenna; wołał też z żalem, powstając: – Ach, gdybym był młodym! Ben-Hur natomiast siedział nieruchomy i nie dziw, mowa kupca była wezwaniem go do poświęcenia mienia i życia tajemniczej Istocie, która była źródłem nadziei tak Simonidesa, jak pobożnego Egipcjanina. Myśl ta nie była nowa, owszem nieraz, jak wiemy, obijała się o jego uszy, czy to w rozmowie z Malluchem w rozkosznym gaju Dafny, czy to wyraźniej, gdy Baltazar wykladał mu swoje pojęcie o królestwie, później jeszcze wśród cieni starego gaju, gdzie właściwie przyszedł do postanowienia dość przykrego i bolesnego. Dziś rzeczy miały się inaczej, dziś widział, że Pan jest w tym dziele, cała zaś sprawa świętą. Czuł, że się przed nim otwarła jakby brama dotąd zamknięta, a oświecająca go nagłym światłem, wzywającym go do służby, co była niby spełnieniem jego marzeń. Służba to w daleką wiodąca przyszłość, pełna nagród za spełnioną powinność, słodka i miła dla jego słusznej dumy. Brakło tylko jeszcze jednego skinienia.

– Wszystko co mówisz, Simonidesie, uznaję – rzekł Ben-Hur – przypuszczam, że król przyjdzie i założy królestwo podobne Salomonowemu; przypuszczam także, że oddam siebie i wszystko co posiadam Jemu i Jego sprawie, co więcej, wierzę nawet, że cały bieg mego życia i szybki wzrost twego majątku były zrządzeniem Bożym w najwyższym celu, – to jednak nie znaczy, abyśmy mieli działać na ślepo. Nasuwa się pytanie, czy mamy czekać na króla i jego wezwanie, czy już zacząć działać? Masz wiek i doświadczenie za sobą, mów! Simonides nie ociągał się z odpowiedzią.

– List, który trzymam w ręku – rzekł – nie zostawia nam wyboru. Jeślibyśmy nie działali, ulegniemy Messali i Gratusowi, wpływ nasz w Rzymie nie pokona ich, a tutaj zabraknie sił. Gdy cię raz schwyca, zginąłeś, a jakie jest ich miłosierdzie, wiem najlepiej. Na to wspomnienie zadrżał starzec.

– Panie mój! – mówił dalej, zwalczając wzruszenie – ty sam pobudzasz mnie do działania.

Ben-Hur zdawał się nie rozumieć tych słów, Simonides mówił dalej:

– Gdym był młody, jakież świat cudowny widziałem przed sobą.

– Nie brakło ci mimo to siły do poświęcenia.

– Tak, dała mi tę siłę miłość.

Simonides potrząsnął głową i rzekł: – Myślisz o ambicji?

– Wszak ambicja nie przystoi synowi Izraela...

– Pozostaje więc zemsta.

Zdało się, że iskra zapalna padła na serce, ręce zadrżały i Ben-Hur odparł szybko: – Tak, masz słuszność, zemsta jest prawem Żyda.

– Wielbłąd, pies nawet pamięta krzywdę – dorzucił Ilderim.

Simonides nie zwlekając, pochwycił zerwaną nić swych myśli:

– Tak, zanim król przyjdzie, jest coś do zrobienia. Nie wątpimy, że Izrael będzie Jego prawą ręką, ale niestety to ręka pokoju nie zna przebiegłości, ni dzieła wojny.

Wśród milionów nie ma jednej wyćwiczonej ręki, nie ma wodza. Nie mogą tu liczyć Herodowego żołdactwa, bo ono jest na to, aby nas uciskać. Położenie i stan kraju są takimi, jak je chce mieć Rzymianin. Rządy jego wydały spodziewane owoce ucisku. Czas przeobrażenia już nadszedł, niech pasterz wdziewie zbroję, weźmie miecz i dzidę, a pasący trzody niechaj się zmieniają w lwy walczące. Ktoś stanąć musi przy królu i zająć miejsce po jego prawicy! Któż nim ma być, czy nie ten, kto pracę tę podejmie i jej podoba?

Twarz Ben-Hura rozjaśniła się na tę myśl i rzekł:

– To widzę jasno, że rzecz spełnić należy, ale jak?

Simonides wypił wino, które mu Estera podała, i odpowiedział:

– Szejk i ty, panie, będziecie wodzami, każdy w odrębnym zakresie. Ja pozostanę tu, jak zawsze, bacząc, aby nie wyschło źródło pomyślności. Ty udasz się do Jerozolimy, stamtąd na puszczy, aby tam zebrać rozproszonych, a zdolnych do broni synów Izraela. Podzielimy ich w dziesiątki i setki, ustanawiając wodzów i ćwicząc w ustronnych miejscach w robieniu bronią. Na to wszystko ja dostarczę środków. Zacziesz od Perei, pójdziesz stamtąd do Galilei, skąd tylko krok do Jerozolimy. W Perei masz pustynię poza sobą, a Ilderima w pobliżu. On będzie pilnował dróg, aby na nich nic nie zaszło, o czym byś nie miał wiadomości, a wielkie usługi będą, które ci odda. Zanim wszystko będzie w gotowości, nikt prócz nas nie będzie miał celu. Ja będę waszym sługą. Z Ilderimem już mówiłem, a ty, panie, powiedz co o tym myślisz?

Ben-Hur spojrział na szejka.

– Jest tak, jak rzekł – odparł Arab – jemu wystarcza moje słowo, tobie złożę przysięgę, przysięga, która zwiąże mnie i moje pokolenie wraz z całym mieniem, aby ci służyło w potrzebie.

Wszyscy troje, Simonides, Ilderim i Estera patrzyli wyczekująco na Ben-Hura.

– Każdemu człowiekowi – rzekł smutnie – przeznaczony jest jakiś kielich szczęścia, prędzej lub później skosztuje z niego – tylko nie ja, tak się dzieje... Tak, Simonidesie i szejku, pojmuje was. Jeśli uczynię po waszej woli i pójde wskazaną drogą, żegnaj mi szczęście, żegnaj nadziejo, którą się tak cieszyłem! Jeśli przejdę przez otwierającą się przede mną bramę, zamknie się za mną na zawsze, bo Rzym stoi przy niej na straży. Siepacze ich prześladować i ścigać mnie będą. a groby w pobliżu miasta i jaskinie w górach staną mi się mieszkaniem, kędy jeść i spoczywać będę.

Łkanie żalosalne przerwało mowę młodzieńcowi. Wszyscy zwrócili się w stronę Estery, a ta ukryła twarz na ramieniu ojca.

– Zapomniałem o tobie, Estero – rzekł łagodnie Simonides ze wzruszeniem.

– Łatwiej znieść ciężką dolę – mówił Ben-Hur – skoro się znajdzie litość nad sobą. Pozwól mi mówić dalej.

I znów słuchali wszyscy.

– Sam rzekłeś, że nie mam wyboru i muszę objąć zadanie, któreście mi przeznaczyli; a jeśli tu śmierć mi zagraża, to czemuż nie mam zaraz się wziąć do dzieła?

– Czy mamy spisać tę ugodę – pytał Simonides przyzwyczajony do załatwienia handlowych spraw.

– Polegam na twym słowie – rzekł Ben-Hur.

– I ja – dodał Ilderim.

W tak prosty sposób zawarto związek, co miał zmienić życie Ben-Hura. On też pierwszy się odezwał, mówiąc:

– A więc stało się.

– Oby Bóg Abrahama wspierał nas! – zawołał Simonides.

– Jeszcze słowo, przyjaciele moi – rzekł Ben-Hur – pozwólcie mi rozporządzać sobą aż do wyścigów. Nie jest prawdopodobne, aby Messala zdołał mnie zgubić przed odpowiedzią prokuratora na ów list. Odpowiedź ta przed siedmiu dniami od wysłania pisma nadejść nie może. Tymczasem rozkosz spotkania się z nim w cyrku kupiłbym za każdą cenę.

Ilderim chętnie zgodził się na to ze względu na swoje ukochane konie. Simonides znów patrzył na sprawę ze strony praktycznej i dlatego powiedział:

– To opóźnienie ma swoją dobrą stronę i pozwoli mi oddać ci przysługę. Zdaje mi się, że wspomniałeś o sukcesji Ariusza. Czy to są posiadłości ziemskie?

– Willa pod Misenum i domy w Rzymie.

– W takim razie radzę sprzedać własność, a pieniądze bezpiecznie przechować. Daj mi bliższe objaśnienie, a wnet przygotuję pełnomocnictwo i wyślę umocowanego do tej sprzedaży człowieka. Przynajmniej jeden raz więcej uda się nam uprzedzić cesarskich rabusiów.

– Objaśnienia mieć będziesz jutro.

– A zatem dzieło dnia dzisiejszego skończone! – rzekł Simonides. Ilderim skłonił głowę dodając: i dobrze spełnione.

– Estero, jeszcze chleba i wina! Szejk Ilderim uszczęśliwi nas, jeśli zechce, zostając do jutra. A ty, panie?

– Każ przyprowadzić konie – rzeki Ben-Hur – wrócę do gaju. Gdy teraz pojedę, nieprzyjaciel nie spostrzeże mnie, a i twoje arabszczyki rade mi będą – dodał zwracając się do Ilderima.

Już dniało, gdy Ben-Hur z Malluchem stanął u drzwi namiotu.

ROZDZIAŁ XXV

Następnej nocy koło godziny czwartej, stał Ben-Hur z Esterą na tarasie głównego składu towarów. Poniżej na wybrzeżu panował wielki ruch, pakowano skrzynie, paki i tłumoki: ludzie biegali tu i tam, podobni przy światłach pochodni do fantastycznych duchów opisywanych w czarodziejskich baśniach Wschodu. Ładowano towary na galere, która miała niedługo odpłynąć. Simonides nie opuścił dotąd kantoru, gdzie do ostatniej chwili wydawał rozkazy kapitanowi.. Polecił mu sterować bez przerwy do rzymskiego portu Ostii, gdzie miał wysadzić na ląd jednego z podróżnych. Stamtąd już wolniej winien płynąć do Walencji na hiszpańskim wybrzeżu.

Podróżny, to właśnie ów pełnomocnik, wysłany do uregulowania spuścizny po Ariuszu. Skoro odwiążą liny okrętu i ten wypłynie na pełne morze, Ben-Hur będzie już nieodwołalnie związany z dziełem omówionym ostatniej nocy. Jeśli żałuje danego przyrzeczenia, to zaiste mało ma przed sobą czasu do zerwania umowy, a jednak jest panem i dość mu powiedzieć słowo.

Takimi mogły być jego myśli w tej chwili, gdy stał z założonymi rękoma i patrzył na scenę u stóp jego się rozgrywającą z wyrazem człowieka walczącego ze sobą. Łatwo przypuścić, że młody, piękny, bogaty i zaledwo wyrwany z kół rzymskiego towarzystwa, nie bez żalu rzucał świat, wabiący go więcej, niż jakaś może urojona powinność lub chęć sławy, połączonej z niebezpieczeństwem i wygnaniem. Może widzi oczyma duszy trudności prawie nie do zwalczania, bezowocność walki z Cezarem. Z drugiej strony tajemnica osłaniająca przyjście króla i jego samego, a poza tym stracony spokój, sława, bogactwa, co go nęciły jak towary na targu: nade wszystko zaś uczucie nowe, zbudzone widokiem domu i przyjaciół, z którymi jakże miło mógł pędzić życie! Ci tylko, którzy sami długie dni wygnania znają, mogą ocenić siłę pokusy, wabiącej młodzieńca.

Dodajmy to tego podszepty światowe, przewrotne, słodkie słówka, które mówią: „żyj, uważaj!” przedstawiając zarazem tylko słoneczne strony życia, w których pewne znaczenie miała i słodka towarzyszka Ben-Hura.

- Byłaś, Estero, kiedy w Rzymie?
- Nie – odparła.
- A pragnęłabyś tam być?
- Zdaje mi się, że nie.
- Dlaczego?
- Lękam się Rzymu – odparta z drżeniem w głosie.

Spojrzał na nią, przy nim zdawała się małą jak dziecko. W zmroku nie widział jej twarzy, kształty jej nawet niewyraźnie się rysowały. A przecież przypomniała mu Tirze i nagła opadowała go tkliwość wraz ze wspomnieniem tej, co tak samo stała u jego boku, na szczycie domu owego strasznego dnia, w którym się stało nieszczęście. Biedna Tirza! Gdzie ona teraz być może? Estera skorzystała na tych wzbudzonych wspomnieniach; nie była jego siostrą, ale niewolnicą, jednak nie zdołał jej za służkę uważać, przeciwnie, zdawało się, że dlatego dla niej jest serdeczniejszym i względniejszym.

– Nie mogę sobie wyobrazić Rzymu jako miasta pałaców, świątyń i przepelnionego tłumem ludzi; wydaje mi się raczej potworem, co posiadał nasz piękny kraj i grozi ludziom śmiercią i zagładą. Potwór to straszny i nic mu się oprzeć nie zdoła, bo żarłoczny jako zwierzę i łaknie krwi: – Dlaczego...

Tu zatrzymała i zmieszana patrzyła w ziemię.

– Mów dalej – rzekł Ben-Hur tonem zachęcającym.

Przysunęła się do niego, spojrzała w górę i rzekła:

– Czemu, panie chcesz wejść w nieprzyjaźń z Rzymem? Czemu z nim raczej nie zawrzeć przymierza i być spokojnym? Wszak w życiu tyle spotkało cię złego, znosiłeś wiele i uszedłeś mnogich zasadzek. Cierpienia zatruiły twą młodość, czemuż resztę twych dni chcesz oddawać na łup boleści?

Dziewczęca postać zbliżała się ku niemu; oblicze, coraz to bledsze, nabierało błagalnego wyrazu, nareszcie pochyliła się nad nim, a on zapytał łagodnie:

– Cóż chcesz, abym uczynił Estero?

Wahała się chwilę, a potem zapytała:

– Czy twa posiadłość pod Rzymem jest domem?

– Tak.

– I pięknym?

– I bardzo pięknym. Jest to pałac wśród ogrodów, rozrzuconych drzew, krętych ścieżek. Wśród cienistych krzewów biją wodotryski i stoją milczące posągi. Wzgórki otaczające wieńczy winogrod; gdy wstąpisz na nie, ujrzysz Neapol, Wezuwiusz i błękitne morze, gdzieniegdzie ruchomymi bielejące żaglami. Cezar posiada letnią willę w pobliżu, ale w Rzymie mówią, że stara willa Ariuszów o wiele piękniejsza.

– I żyć tam można w spokoju?...

– Nigdy dzień letni, ani noc księżycowa nie były spokojniejsze nad pobyt w tym miejscu. Chyba, że goście chwilami napelnia willę zgiełkiem. Teraz, kiedy dawnego właściciela zabrakło, a ja jestem tutaj, nic nie ma ci ciszy i spokoju. Nic tam nie słychać prócz szeptu sług, szczebiotu ptaków lub szmeru wodotrysków. Wszystko tam głucho i jednostajne; całą rozmaitość stanowi szelest spadających liści, pękających pączków lub wędnących kwiatów, i słońce to zachodzące. Życie tam dla mnie, Estero, było za spokojne; nieraz wyrzucałem sobie próżniactwo, myśląc, że tyle spraw czeka na mnie, ja zaś otaczam się jedwabnymi więzami i może wkrótce... zakończę życie nie zdziaławszy nic.

Oczy jej spoczęły na rzece.

– Czemu się pytałaś – zapytał.

– Mój łaskawy panie...

– Nie mów tak, Estero, nie mów tak! Zwij mnie przyjacielem, bratem, jeśli chcesz, ale nie nazywaj mnie panem, bo nim ani jestem, ani być chcę. Zwij mnie bratem.

W cieniu nocy nie mógł ujrzeć jej zarumienienia, ani blasku oczu, co w dal na rzekę patrzyły.

– Nie mogę pojąć – rzekła – jak można wybierać życie...

– Walki z przemocą i przelew krwi – dokończył zdanie za nią.

– Tak – potwierdziła i dodała: Zamiast spokojnego życia w pięknej willi.

– Jesteś w błędzie Estero. jeśli sądzisz, że czynię to z upodobania. Wierzaj mi, że nie mam wyboru: zostanę tu, czeka mnie śmierć niechybna; pójdę tam, może mnie spotkać koniec ten sam. Cóż łatwiej, jak podać zatruty kielich, namówić śmiałka, co pchnie sztyletem, albo świadka, co fałszywie przysięgnie. Messala i Gratus wzbogacili się mieniem mego ojca, a dziś utrzymanie w rękach grabieży jest dla nich ważniejsze, niż było w chwili zaboru. Nie można przypuszczać, aby ta sprawa dała się godnie załatwić, bo musieliby się przyznać do swej zbrodni. Zresztą – zresztą, Estero, gdyby mi przyszło od nich kupić tę zgodę, nie wiem, czy chciałbym. Nie wierzę, abym kiedy znalazł spokój, tym mniej mogę go znaleźć w roz-

kosznych gajach i czarującym powietrzu, pod marmurowymi portykami starej willi. Nie znalazłbym go nawet, gdybym tam miał istotę, co cierpliwą miłością słodziłaby ciężar dni moich, dźwigając wspólnie z mną dołę. Nie ma dla mnie spokoju, póki nie odnajdę moich! Muszę więc mieć się na baczności, a gdy i jeśli je znajdę, i one opowiedzą swe cierpienia, mógłbym znieść, aby winny nie był ukarany? Jeśli je zabito, czy mogę pozwolić, aby morderca uszedł? O nie! Sumienie nie pozwoliłoby mi zasnąć, najczystsza miłość z całym czarem nie zdołałaby mi przywrócić spokoju.

– A więc nieszczęścia nie da się uniknąć? – spytała drżącym od wzruszenia głosem – i nic zgoła nie można w tej sprawie odmienić?

Ben-Hur wziął jej rękę. – Więc także troszczysz się bardzo o mnie?

– O bardzo – odparła po prostu.

Ręka jej była gorąca i ginęła w jego dłoni, tak że czuł jej drżenie. Stała mu w myśli Egipcjanka, tak zupełnie różna od tej małej, taka słuszną, śmiałą, zalotnie pochlebnią i pełną dowcipu. Jej piękność tak urocza, zamajaczyła na tle nocy, a młodzieniec podniósłszy do ust rękę Estery, spuścił ją, mówiąc:

– Będiesz dla mnie Tirzą, Estero.

– Któż to jest Tirza?

– Takie imię nosi moja mała siostrzyczka, porwali ją Rzymianie; zanim ją znajdę, nie mogę spocząć, ani być szczęśliwym.

W tej chwili padł na nich promień światła od strony tarasu, odwrócili się i ujrzeli Simonię, którego z krzesłem właśnie wtaczano. Zbliżali się ku niemu, a w dalszej rozmowie on już głównie zajmował miejsce.

Tymczasem na wybrzeżu odcięto liny galery, która jak ptak popłynęła ku morzu przy blasku pochodni i wśród radosnych okrzyków wiosłarzy. A Ben-Hur?.... Został. – On i jego losy związane nieodwołalnie ze sprawą króla, którego przyjscia oczekiwano.

ROZDZIAŁ XXVI

Po południu w przeddzień wyścigów przeprowadzono konie i wóz Ilderima do miasta i umieszczono je w pobliżu cyrku pod baczną strażą ludzi szejka. Korzystając ze sposobności, zwinął Ilderim tabor i wysłał go ze wszystkim, co do niego należało: ludźmi, końmi, wielbłądami, z wszelkimi sprzętami, w głąb pustyni. Cała ta karawana wyglądała niby wędrówka pokoleń; ludzie wzdłuż drogi śmiali się patrząc na ten różnobarwny pochód, a Ilderim, zwykle drażliwy, tym razem dziwny zachowywał spokój. Jeśli więc, jak mógł słusznie mniemać, śledzą go szpiedzy Messali, to szydercze śmiechy tłumu nie mogły go ziębić ani parzyć. Jutro już będzie od nich daleko. Dopóki człowiek jest przedmiotem szyderstwa, nigdy pewnym siebie być nie może. Wiedział o tym dobrze ostrożny Arab. W tej chwili nie ma szejka domu, namioty zwinięte, gaj palmowy opustoszały, a za dwanaście godzin nikt, najszybszy koń ani wielbłąd, nie dogoni tego, który jest panem pustyni i mieni się swą własnością.

Tak Ben-Hur, jak Ilderim wiedzieli dobrze, że Messala jest wrogiem groźnym, nie lekceważyli go sobie, na razie jednak byli pewni, że do wyścigów nic się nie zmieni. Jeśli, czego się spodziewali, Ben-Hur odniesie zwycięstwo, wtedy biada im, użyje on wszelkiego wpływu, aby im szkodzić, choćby na własną rękę, bez pomocy Gratusa. Jako ludzie roztropni i przebiegli, zwrócili na wroga baczną uwagę, ułożyli plan postępowania i pewni byli, że unikną niebezpieczeństwa. Mimo to, lub właśnie dlatego, jechali w dobrym usposobieniu i pewni jutrzejszego powodzenia.

W drodze spotkali Mallucha, który ich oczekiwał. Wierny sługa Simonidesa niczym nie zdradził, iż wie cokolwiek o stosunku Ben-Hura z kupcem, a tym bardziej, że wie lub się domyśla ich związku z Ilderimem. Po zwykłych powitaniach wyjął kartkę pergaminu i podał ją szejkowi, mówiąc: – Oto ogłoszenie dotyczące porządku wyścigów i igrzysk; są tam wymienione twoje konie oraz porządek, w jakim po sobie występować będą ścigający się. Nie pozostaje nic, jak życzyć ci zwycięstwa. Po czym zwrócił się do Ben-Hura i rzekł:

– I tobie, synu Ariusza, składam życzenia. Nic już nie przeszkadza spotkaniu się twemu z Messalą, bo wszystkie warunki dotyczące wyścigów załatwione. Mam w tym względzie uroczyste zapewnienie zarządcy wyścigów.

– Dziękuję ci, Malluchu – odparł Ben-Hur. Malluch mówił dalej:

– Barwę masz białą, Messala zaś wystąpi w szkarłacie i złocie. Przyznasz, że ta sprzeczność podniesie jeszcze wrażenie. Barwy już ogłoszone, chłopcy roznoszą wstęgi po ulicach, a jutro wszyscy Arabowie i Żydzi przywdzieją je i ujrzysz galerie cyrku mniej więcej w równej połowie w biel i szkarłat przybrane.

– Na galeriach być może, ale nie na scenie głównej ponad Porta Pompae.

– To pewna, że tam przeważać będzie szkarłat i złoto, ale gdy zwyciężymy... – Na samą myśl roześmiał się Malluch i mówił dalej: – Gdy zwyciężymy, dygnitarze drzeć będą! No, a co za zakłady! Na nich chyba źle wyjdą, bo gardzą wszystkim, co nie rzymskie: będą stawiać dwa, trzy i pięć razy na Messalę, jako na Rzymianina. Zniżając głos, dodał: nie przystoi Żydowi, co uczęszcza do świątyni i ma w niej pewne znaczenie, w ten sposób pieniędzmi obrać; ale powiem ci w zaufaniu, że mieć będę przyjaciela, co zasiądzie zaraz za krzesłem kon-

sula i zajmie się przyjmowaniem zakładów po trzy. pięć, dziesięć przeciw jednemu, stosownie do tego, jak ich ogarniać będzie zapał i roznamietnienie. Dałem mu w tym celu sześćset syklów.

– Malluchu, zapomniałeś jeszcze o czymś – zauważył Ben-Hur – Rzymianin będzie się zakładał tylko na rzymską monetę. Dlatego idź. odszukaj swego przyjaciela, daj mu sestercji ile zechcesz, ale z zastrzeżeniem, ażeby przyjmował zakłady tylko z Messalą i jego stronnikami pod hasłem: Ilderima czwórka przeciw Messali!

Malluch pomyślał chwilę, a potem rzekł:

– Słusznie, zwróci to uwagę na ciebie.

– Tego właśnie pragnę, Malluchu.

– Rozumiem, rozumiem.

– Tak. Malluchu, jeśli mi chcesz doskonale usłużyć, to staraj się zwrócić uwagę publiczną na mnie i na Messalę.

Malluch odparł prędko: – Wiem, co zrobić.

– Więc czyń.

– Będziemy ofiarowywali nadzwyczajne zakłady; a jeśli je przyjmą, tym lepiej.

– Mam nie starać się odebrać zabranego mi mienia? – mówił Ben-Hur jak do siebie. – Może nie nadarzy się inna sposobność; zresztą gdybym mógł zgnieść nie tylko dumę, ale i szczęście wroga, zaiste, ojciec nasz Jakub nie poczytałby mi tego za złe.

Wyraz silnej, niepokonanej woli zarysował się na pięknej twarzy jego, dodając znaczenia następującym słowom:

– Niech tak będzie Malluchu, a nie zatrzymaj się na sestercjach, niech stawiają i talenty, jeśli się znajdzie ktokolwiek, co się na tak wielką odważy sumę. Pięć, dziesięć, dwadzieścia talentów, a nawet pięćdziesiąt, gdyby stawiającym był Messala.

– To zbyt wielka suma i musiałbym mieć zapewnienie.

– Będziesz je miał. Idź do Simonidesa i powiedz mu, że życzę sobie, aby to załatwił. Powiedz mu także, że postanowiłem zgubić mego nieprzyjaciela; nie chcę więc ominąć tak dobrej sposobności, jaka się właśnie nadarza. Będę próbował; po naszej stronie niechaj będzie Bóg ojców naszych! Idź, zacy Malluchu, nie pozwól ujść sposobności. Wielce zadowolony Malluch, pozdrowił Ben-Hura i szybko odjechał, ale za chwilę wrócił raz jeszcze.

– Przepraszam rzekł do Ben-Hura – o mało nie zapomniałem jeszcze jednego. Nie mogłem sam dostać się do wozu Messali, ale wyręczył mnie ktoś inny, a ten twierdzi, że oś jego kół jest na szerokość dłoni od twojej.

– Na szerokość dłoni, to dużo – zakrzyknął Ben-Hur z radością, a potem pochylił się ku Malluchowi, mówiąc:

– Choć jesteś synem Judy i wiernym twej wierze, zdobądź sobie miejsce na galerii tuż przy bramie Tryumfu, w pobliżu balkonu ponad kolumnadą, i patrz dobrze. Gdy tamtędy przejeżdżać będziemy, patrz dobrze, bo jeśli mi się uda, ale wołę raczej zamilczeć! Tylko bądź tam i patrz dobrze!

W tej chwili nagle zakrzyknął Ilderim.

– Ha! Na wielkość Boga, co to znaczy?

Przybliżył się do Ben-Hura z palcem na ostatnim wierszu ogłoszenia.

– Czytajże! – rzekł Ben-Hur.

– Nie, czytaj raczej sam.

Wziął więc Ben-Hur kartę podpisaną przez prefekta prowincji jako urządzającego igrzyska. Pismo to zastępowało miejsce dzisiejszego programu i podawało szczegóły rozmaitych rozrywek do igrzysk przyłączonych. Najpierw, jak głosił program będzie procesja wielce wspaniała, na cześć Komosa, po czym rozpoczną się igrzyska, wyścigi piesze, skakanie i walki szermierzy. Dalej następowały imiona zawodników, wraz z ich narodowością i wymienieniem szkół, w których się kształcili. Prócz tego wspomniano, gdzie i kiedy już występowali, jakie nagrody zdobyli i jakie obecnie będą rozdane. Suma pieniędzy przeznaczona do wygra-

nia ozdobnym była wypisana pismem, co dowodziło, że minęły czasy, kiedy zwycięzca dbał tylko o wieniec i sławę, a nie o bogactwo.

Tę część programu przebiegł Ben-Hur szybko, wreszcie doszedł do ogłoszenia wyścigów, które z wolna przeczytał. Zaczynało się ono zapewnieniem zwolenników tego sportu, że ujrzą coś czego jeszcze nigdy nie widziano w Antiochii, walkę oresteańską. Miasto urządzało widowisko na cześć konsula, a sto tysięcy sestercji i wieniec laurowy stanowiły nagrodę. Potem następowały szczegóły. Tylko sześć czwórek mogło się ubiegać, a dla większego efektu miały wszystkie razem wystąpić. Na końcu był spis zaprzęgów.

I. Zaprzęg Lizypa Koryntczyka. Dwa szpaki, jeden kasztanowaty, drugi kary. Rumaki te biegały w Aleksandrii ostatniego roku, potem w Koryncie, gdzie zwyciężyły, woźnicą sam Lizyp. Barwa żółta.

II. Zaprzęg Messali z Rzymu – dwa siwe, dwa kare konie, biegały i zwyciężyły ostatniego roku w cyrku Maksimusa. Woźnica Messala. Barwa szkarłat ze złotem.

III. Zaprzęg Kleantesa Ateńczyka – trzy siwe konie, jeden gniady. Zwyciężyły przed rokiem w Bizancjum. Woźnicą Kleantes. Barwa zielona.

IV. Zaprzęg Diceusza z Bizancjum. Dwa kare konie, jeden siwy i jeden kasztan, zwyciężyły tego roku w Bizancjum. Woźnicą Diceusz. Barwa czarna.

V. Zaprzęg Admetusza Sydończyka – wszystkie konie siwe. Trzykrotnie zwyciężył w Cezarei. Woźnica Admetusz. Barwa niebieska.

VI. Zaprzęg Ilderima szejka pustyni, kasztanowaty, biega po raz pierwszy. Woźnicą Ben-Hur, Żyd. Barwa biała.

Woźnicą Ben-Hur, Żyd.

Dlaczego to imię zamiast Ariusza?

Ben-Hur podniósł oczy na Ilderima, bo zrozumiał jego poprzedni wykrzyknik. Obaj doszli do jednakowego wniosku i wiedzieli, że była w tym ręku Messali...

Z zapadającym nad Antiochią zmierzchem rozlały się wzdłuż kolumnady Heroda niezliczone tłumy ludu. składające się ze wszystkich narodowości świata. Rozmaitość stroju i języka, którą się ten tłum odznaczał, nie była właściwością tylko Antiochii, przeciwnie, stanowiła ona raczej charakterystyczną cechą całego cesarstwa rzymskiego, dążącego do zlania wszystkich narodowości w jedną całość. – Dlatego starano się zapoznać je ze sobą. Zgodnie z tym zadaniem, ludy należące do państwa rzymskiego, przenosząc się z miejsca na miejsce, zabierały z sobą stroje narodowe, obyczaje i swych bogów. Osiadały potem, gdzie im się podobało, wiodły interesy, budowały domy i ołtarze, żyjąc jak w ojczystych stronach.

Jeden szczegół uderzał w oczy każdego, kto owej nocy przebiegał ulice Antiochii. Prawie każdy wśród tłumu przybrany był w barwę jednego z mających w cyrku wystąpić woźniców. Czy były to szarfy, czy inne jakieś odznaki, jak wstążka lub pióro, zawsze ich barwa oznaczała sympatie dla jednego z współubiegających się woźniców, który tę barwę sobie obrał. I tak zielone mieli przyjaciele Kleantesa, Ateńczyka: czarne, stronnicy woźnicy z Bizancjum. Zwyczaj ten był prawdopodobnie równie stary, jak same wyścigi nad Orontesem. Od razu można było spostrzec, że barwy zielona, biała i szkarłat ze złotem przeważały.

Najciekawszym jednak punktem dla nas jest w tej chwili pałac na wyspie i tam się udamy. Pięć wielkich świeczników znanego nam salonu właśnie zaświecono. Zebranie prawie takie same jak poprzednie w czasie nocnej orgii. Na tapczanach leżą jak wówczas śpiący młodzieńcy, a od stołów słychać stukot kości. Większa część towarzystwa jest zupełnie beczynna. Chodzą bez celu, ziewają nerwowo i wymieniają obojętne uwagi: czy będzie jutro pięknie? Czy przygotowania do wyścigów skończone? Czy prawa cyrkowe w Antiochii różnią się czymś od rzymskich?–Prawdę mówiąc, młodzieńcy się nudzili – już dosyć się napracowali... Gdybyśmy ich tabliczki

mogli przejrzeć, ujrzelibyśmy, że są wypełnione zapiskami zakładów na wszelkie igrzyska; na gonitwy piesze, mocowanie się, boksowanie z wyjątkiem wyścigów wozowych.

Dlaczego to?

Oto, czy uwierzysz czytelniku, nie ma nikogo, kto chciałby choć denara postawić przeciw Messali.

Całe towarzystwo, znajdujące się w sali, jego tylko nosiło barwę.

Nikt nie myślał, aby on mógł być zwyciężony.

Alboż nie jest niezrównany we wszelkich ćwiczeniach? Alboż nie przeszedł cesarskiej szkoły? Czyż konie jego nie zwyciężyły w cyrku Maksimusa? A potem, czyż on nie jest prawdziwym Rzymianinem?!

W rogu tapczanu leży wygodnie Messala. Wokół niego siedzą lub stoją jego wielbiciele, zabawiając go pytaniami. Naturalnie, jeden jest tylko przedmiot rozmowy.

Właśnie wchodzi Druzus i Cecyliusz.

– Ach! – woła młody książę, rzucając się na tapczan u stóp Messali. – Na Bachusa, a tom się zmęczył!

– Skądże przybywasz?

– Chodziłem po mieście, w górę ku Omfalowi, a potem znów na dół, sam nie wiem jak daleko. Mówię ci, że całe tłumy ludzi płyną, nigdy dotąd niewidziane; cały świat zobaczymy jutro w cyrku.

Messala wybuchnął pogardliwym śmiechem.

– Głupcy! Nie widzieli nigdy igrzysk cyrkowych urządzonych przez Cezara, więc nęca ich tutejsze. Cóżże widział i słyszał więcej Druzusie?

– Nic.

– Czyżbyś zapomniał? – rzekł Cecyliusz.

– Co? – pytał Druzus. Pochodu białych?

– Masz słuszność, zapomniałem – zawołał Druzus, podnosząc głos. – Wielkie dziwo! Spotkaliśmy oddział białych z chorągwią – ha! ha! jakie to śmieszne.

I oparł się ze śmiechem na dywanie.

– No, mówże dalej, okrutny Druzusie – nalegał Messala.

– Ależ to szumowiny pustyni, Messalo, to nędzarze, co jedzą flaki na podwórzu Jakubowej świątyni w Jerozolimie. Cóż oni nas obchodzić mogą...

– Druzus lęka się być wyśmianym – rzekł Cecyliusz – ale ja się nie boję, Messalo.

– Mówże więc.

– A więc zatrzymaliśmy oddział i...

– Ofiarowaliśmy im zakład – przerwał Druzus mówiącemu – i wyobraź sobie, ha, ha, ha! jeden z tłumu, z tak chudą twarzą, że skóry jej nie starczyłoby na przynętę, którą się wabi karpie, i... ha, ha, ha! ten nędzarz oświadczył, że przyjmie zakład. Wyciągnąłem tabliczkę i spytałem: Na kogóż chcesz się zakładać? Odpowiedział: „Na Ben-Hura, Żyda”. Na to mu rzekłem znów: „O ile się zakładamy?” Odpowiedział... ale daruj Messalo, nie mogę mówić od śmiechu ha, ha, ha! na pioruny Jowisza! ha, ha! – Słuchający uciszyli się.

Messala patrzył na Cecyliusza.

– Dawał sykla – rzekł tenże.

– Sykla, sykla! – Sala zabrzmiała pogardliwym śmiechem.

– Cóż uczynił Druzus? – pytał Messala.

Tymczasem w pobliżu drzwi wejściowych dał się słyszeć jakiś hałas, wszyscy zwrócili uwagę w ową stronę, a Cecyliusz zatrzymał się na chwilę, a potem dodał:

– Szlachetny Druzus wyciągnął tabliczkę i przyjął zakład.

– Biały, Biały!

– Niech wejdzie!

– Tędy. tędy!

Podobne wykrzykniki ozwały się w sali i przerwały rozmowę. Rzymianie, grający w kości, opuścili grę; śpiący zbudzili się, przecierali oczy i wyciągali tabliczki, otaczając gromadnie przybyłego.

– Stawiam zakład!

– I ja...

– I Ja...

Z takim hałasem powitany, był ów poważny Żyd, towarzysz podróży Hura od Cypru. Wszedł on do sali spokojnie, z godnością. Suknię miał białą również jak turban na głowie. Kłaniając się i uśmiechając, posunął się wolno od głównego stołu. Doszedłszy tam, zebrał suknie wokół siebie, usiadł i skinął ręką. Blask brylantów, błyszczących na palcu, przyczynił się niemało od uspokojenia wrzawy, tak że wnet zalegała cisza.

– Rzymianie, szlachetni Rzymianie! Pozdrawiam was! – rzekł.

– Na Jowisza, kto to może być – pytał Druzus.

– Kto ma być? Pies żydowski... nazywa się Sanbalat i jest dostawcą wojskowym; mieszka w Rzymie, bardzo bogaty, a doszedł do bogactwa, zawierając ugody na dostawę tego, czego nigdy nie dostawił i nie dostawi. Myśli on zawsze o wyrządzeniu złego lub krzywdy, a naci, którymi człowieka omota, cieńsze są od pajęczyny. Ale teraz klnę na wszystko, złupimy go!

Messala powstał i przystąpił wraz z Druzusem do grona otaczającego dostawcę.

– Słyszałem na ulicach – mówił kupiec, wyciągając tabliczki i rozkładając je na stole – że tu w pałacu panuje wielkie niezadowolenie, bo nikt nie chce się zakładać przeciw Messali. Widzicie moją barwę, przystąpmy więc do rzeczy. Cóż stawiacie?

Pewność siebie Żyda wprowadziła w zdumienie słuchaczy i wszyscy milczeli.

– Spieszcie się! – mówił – bo konsul czeka na mnie. Ostatnie słowa zrobiły wrażenie.

– Dwa przeciw jednemu – wołało z pół tuzina głosów.

– Co? – zawołał dostawca zdziwiony – tylko dwa przeciw jednemu i to stawiacie na Rzymianina!

– Więc trzy.

– Trzy mówicie, tylko trzy – ja stawiam na Żyda. Dajcie cztery.

– Niech będzie cztery! – zawołał ktoś.

– Pięć – dajcie pięć – wołał natychmiast Izraelita.

– Pięć, dajcie pięć – dla honoru Rzymu!

Zapanowała głucha cisza.

– Niech będzie pięć – odezwał się głos.

Zrobił się ruch, zamieszanie i sam Messala ukazał się.

– Niech będzie pięć – rzekł.

Sanbalat z uśmiechem zabrał się do pisania.

– Gdyby Cezar jutro umarł, jest ktoś godny następstwa po nim, co ma odwagę. Daj sześć!

– Zgoda na sześć – odparł Messala.

I znów zabrzmiały okrzyki głośniejsze od poprzednich.

– Zatem sześć przeciw jednemu – powtórzył Messala. – Taka to różnica między Rzymianinem a Żydem. Ponieważ ją obecnie znamy, zapisz natychmiast sumy.

– Sanbalat spisał ugodę i podał tabliczkę Messali do podpisania.

– Czytaj głośno – wołali obecni.

Messala czytał:

Ugoda: Messala, Rzymianin, zakłada się z Sanbalatem z Rzymu, iż zwycięży Ben-Hura, Żyda. Zakład o dwadzieścia talentów, Messala stawia sześć przeciw jednemu.

Świadkowie

Sanbalat

Po przeczytaniu warunków, zapanowała w sali cisza; wszyscy jakby skamienieli ze zdziwienia. Messala patrzył na tabliczkę, obecni zaś na niego. Czuł te spojrzenia i zrozumiał położenie. Niedawno w tej samej komnacie podobnie poczynił, podobne propozycje robił swoim współbiednikom. Gdyby nie podpisał ugody, przepadłaby jego popularność – podpisać nie mógł, bo stu talentów nie posiadał, ani nawet czwartej części tej sumy. Zbladł więc i oniemiał. Nareszcie znalazł drogę wyjścia.

– Skąd ty, podły Żydzie – rzekł – możesz mieć 20 talentów? Pokaż mi je zaraz.

– Sanbalat uśmiechnął się z wyrazem wyższości, a podając kartę Messali, rzekł krótko: – Tu.

Messala czytał:

W Antiochii 16 Tammuz.

Właściciel niniejszego pisma, Sanbalat z Rzymu, złożył u mnie pięćdziesiąt talentów w monecie cesarskiej.

Simonides

– Pięćdziesiąt talentów – powtarzano wśród ogólnego osłupienia.

Nagle Druzus wystąpił z tłumu i krzyknął:

– Na Herkulesa! Pismo łże i Żyd łże. Któż prócz Cezara może taką rozporządzać kwotą! Za drzwi z tym bezwstydnym oszustem! Precz z białym!

W słowach Rzymianina przebijał gniew, a słowa jego powtarzano z wściekłością. Sanbalat zaś nie zmienił pozycji; przeciwnie, zdało się, że w miarę wrzasku, uśmiech jego nabierał szyderstwa i jakiegoś groźnego wyrazu. Nareszcie zabrał głos Messala:

– Powiedz, czy ci nie dawałem sześć przeciw jednemu? Czy tak, Żydzie?

– Tak – odparł Żyd spokojnie.

– Kiedy tak, to wolno mi także postawić warunki.

– Dobrze, ale z zastrzeżeniem, że suma nie będzie mała.

– Napisz więc pięć zamiast dwudziestu.

– A posiadasz tyle?

– Klnę się na matkę bogów, pokazać mogę kwity.

– Słowo tak mężnego Rzymianina jest mi dostateczną rękojmią, jednak wolę sumę parzystą, daj sześć, a napiszę.

– Pisz!

Zamienili karty ugodowe, Sanbalat wstał, rzucając wzrokiem pełnym pogardy na całe zgromadzenie; nikt lepiej od niego nie znał tych, z którymi miał do czynienia.

– Rzymianie! – rzekł – proponuję jeszcze jeden zakład, kto się odważy? Stawiam na białego pięć przeciw pięciu i wzywam obecnych.

Znowu zdziwienie ogarnęło wszystkich.

– Jak to? Czyliż wam nie wstyd, że jutro w cyrku rozgłosi się, iż pewien pies żydowski wszedł do komnaty pałacu, pełnej Rzymian szlacheckiego rodu – co więcej, wśród nich był potomek samego Cezara, ów pies ofiarował zakład na pięć talentów i nie było jednego między wielkimi, który by zakład przyjął.

Pocisk nie chybił celu, Druzus syknął z bólu i zakrzyknął:

– Niech się stanie, jak chcesz, bezwstydniku. Napisz zakład i zostaw na stole; jutro, gdy się przekonamy, że możesz taką rozporządzać kwotą, to ja Druzus, przyjmę zakład.

Sanbalat pisał znów; wstając zaś, rzekł równie spokojnie jak zawsze:

– Patrz, Druzusie, oddaję ci skrypt; skoro podpiszesz, przyślij go do mnie przed zaczęciem wyścigów – będę przy krześle konsula ponad Porta Pompae Pokój tobie, pokój wszystkim!

Pokłonił się i wyszedł, nie zważając na szydercze okrzyki, które mu towarzyszyły aż do drzwi.

Jeszcze przed nocą rozniosła się wieść o nadzwyczajnym zakładzie, doszła nawet uszu Ben-Hura, choć znajdował się przy swej czwórce. Łatwo pojąć, z jaką radością dowiedział się, że Messala cały swój majątek postawił na kartę. Tej nocy spał snem spokojnym.

ROZDZIAŁ XXVII

Cyrk w Antiochii wznosił się na południowym brzegu rzeki prawie naprzeciw wyspy, i nie różnił się niczym od ówczesnych podobnych budowli.

Widowiska starożytne były właściwie darem Cezara lub jego rządu, chciano nimi pozyskać sobie serca ludu. Chcąc ten cel osiągnąć, budowano gmachy obszerne, mogące pomieścić tłumy. Już wcześniej rano w przeddzień uroczystości wszystkie pobliskie okolice cyrku były zajęte, bo obawiano się, by nie zabrakło miejsc.

O północy otwarto wejścia, tłum zajął siedzenia sobie przeznaczone i żaden z widzów nie opuściłby zdobytego miejsca za żadną cenę, jedno chyba trzęsienie ziemi mogłoby go poruścić, wszak zdobył je z takim trudem! Chętnie też w ławkach przepędzali noc, o świcie spozżyli śniadanie; trudy te bynajmniej nie ostudziły ich niecierpliwości i gorącego pragnienia wytrwania aż do końca.

Znakomitsze osobistości miały miejsca zamówione i udawały się do cyrku dopiero około pierwszej godziny dnia. Moźniejszych niesiono w lektykach, towarzyszyła im służba w bogatych szatach.

Okolo drugiej godziny napływ przybywających od miasta stał się podobnym do rwących i nieprzerwanych wód strumienia.

W chwili, gdy zegar słoneczny wskazywał na cytadeli godzinę drugą, legia w całej parady, z rozwiniętymi sztandarami zstąpiła z gór Sulpius, aby się udać do cyrku. Zaledwie ostatnia kohorta znikła za miastem, wyludniła się Antiochia, tak że miasto stało pustką. A jednak mimo obszerności cyrku wszyscy mieszkańcy nie mogli się tam pomieścić. Tłum, który nie znalazł pomieszczenia w cyrku, stał na brzegu rzeki i czekał przybycia konsula. Gdy nareszcie mąż ten stanął na lądzie, a legion oddał mu powinne honory, cała uwaga widzów skupiła się na jego osobie, odwracając się na chwilę od cyrku.

O trzeciej godzinie widzowie byli już zebrani, trąby wezwały do spokoju; równocześnie oczy przeszło stutysięcznego tłumu zwróciły się ku wschodniej części budowy.

Tu była brama, szeroko sklepiona, zwana Porta Pompae; ponad nią wznosiła się trybuna ozdobiona sztandarami z godłem cesarstwa, w niej zaś zasiadł konsul, zajmując honorowe miejsce. Po obu stronach łuku, stanowiącego bramę, znajdowały się miejsca zwane karcerami, czyli przegrody, zamknięte bardzo silnymi drzwiami, umocowanymi do filarów bramy. Ponad przegrodami wznosił się mocny i wystający gzyms, uwieńczony niską balustradą, służącą za oparcie widzom, zajmującym siedzenia tam umieszczone i amfiteatralnie urządzone. To miejsca dygnitarzy, których wspaniałe ubiory dodawały widowisku świetności, tym bardziej, że ich siedzenia ciągnęły się nieprzerwanym wieńcem przez całą wschodnią szerokość cyrku. Do tej galerii wiodły osobne schody i strojne bramy; zdobiły one budowlę, a w dodatku dźwigały podpory służące do rozpięcia velarium, czyli purpurowego namiotu, który miał ocieniać tę przestrzeń wystawioną na upał.

Czytelnik dla lepszego zrozumienia planu budowy cyrku, niech się przeniesie myślą do tegoż i usiądzie w łoży obok konsula i zwróci się twarzą ku zachodowi, gdzie się cała akcja koncentruje. Na prawo i lewo będzie miał główne bramy i wieże obsadzone strażą.

Wprost tak siedzącego widza znajduje się arena, czyli równa eliptyczna płaszczyzna, wysypana piaskiem i świecąca od słońca złocistą barwą. Na tej arenie odbywać się będą wszelkie widowiska, prócz pieszych gonitw. Dalej, w kierunku zachodnim sterczą na murowanych podstawach trzy niskie stożkowate kolumny z szarego kamienia, głębokimi zdobne żłobieniami. Ileż to oczu spocznie dnia tego na tych kolumnach! Wszak one oznaczają pierwszą i ostatnią metę, czyli początek i koniec wyścigów. Poza kolumną wznosi się ołtarz, a poza nim zaczyna się mur, zwany spina. Mur ten ma szerokość dziesięć do dwunastu stóp, wysokość pięć do sześciu, i ciągnie się wzdłuż do stu metrów, zakończają go zaś drugie kolumny, oznaczające metę. Ci, którzy biorą udział w wyścigach, wchodzi podług przepisu z prawej strony startu, a tym samym mają zawsze mur po lewej. Tym sposobem punkt rozpoczęcia i ukończenia wyścigów jest zawsze na wprost trybuny konsula, miejsce to jest najpożądanse ze wszystkich.

Jeśli czytelnik, zajmujący w myśli miejsce na trybunie obok konsula ponad Porta Pompae, spojrzy na dalsze zabudowanie i urządzenie cyrku, zajmie go najpierw mur gruby na piętnaście do dwudziestu stóp, zdobny takąż samą balustradą, jak ta co wieńczy karcery, a zamykający całe wnętrze cyrku od zachodu. Kto chciałby tą galerią obejść całą arenę, spostrzeże wnet, że trzy razy jest przzerwana trzema bramami, z których dwie znajdują się na północy, a jedna na zachodzie. Ta zachodnia brama najwspanialej jest przystrojona i zwie się bramą tryumfalną, gdyż po zakończeniu widowiska nią wychodzą zwycięzcy w wieńcach wawrzynowych i w towarzystwie straży honorowej, wśród rozmaitych uświęconych tradycją obrzędów.

Zachodni kraniec muru zaokrąglą się w półkole i mieści obok głównego balkonu dwie poślednie galerie, zaopatrzone w ławki wznoszące się coraz wyżej, a przeznaczone dla pospolitszych widzów. W chwili, o której mówimy, roją się te galerie różnobarwnym tłumem ludzkich postaci, oczekujących rozpoczęcia igrzysk.

Nareszcie zabrzmiał głos trąbki na znak, że przedstawienie się rozpoczyna. Od strony wschodniej, poniżej Porta Pompae, słychać muzykę i z wolna ukazuje się pochód uroczysty. Tuż za muzyką postępuje mistrz uroczystości (editor) za nim obywatele i urzędnicy miasta w wieńce i szaty odświętne przybrani. Dalej niosą na złożonych noszach lub wiozą na niskich, czterokołowych wózkach, także w złoto i kwiaty przybrane, opiekuńcze bóstwa. Bohaterowie zaś dnia tego, mianowicie ci, którzy będą brać czynny udział w igrzyskach, idą najbliżej tego orszaku. Stroje ich, zastosowane do obecnej chwili i roli, szczególnie zwracają uwagę widzów.

Pochód z wolna przechodzi arenę, zajęcie widzów wzrasta, bo zaprawdę widok to piękny i wspaniały. – Okrzyki coraz głośniejsze, coraz gorętsze i szumią niby woda pieniają się przed płynącą łodzią.

Tłum przyjmuje swych ulubieńców, z niezwykłym zapalem, woła ich po imieniu, zarzuca gradem kwiatów i wieńców.

Gdy się ukazały wozy, widzowie powstawali na ławkach, hałas i uniesienie dochodzą szczytu. Każdemu woźnicy towarzyszy konny jeździec, tylko Ben-Hur nie ma towarzysza, śnać nie ufał nikomu i jedzie z odkrytą głową, gdy wszyscy inni bogatymi hełmami przysłonili swe czoła. W miarę, jak się wozy zbliżały do drugiej mety, gdzie na galeriach biały przeważał kolor, zapal wzrastał niesłychanie, lud rzucał kwiaty, a powietrzem wstrząsały okrzyki:

– Ben-Hur! Ben-Hur!

– Messala! Messala! – wołano z balkonów, a dwa wrogie imiona rozbrzmiewały równocześnie.

Gdy pochód przeszedł i znikł, widzowie wrócili na miejsca i dalej toczyli przerwane rozmowy:

– Ach, na Bachusa, jakież on piękny! – mówi kobieta, zapewne Rzymianka, bo jej włosy zdobi szkarłatna wstęga.

– Co za piękny wóz – odpowiada jej sąsiad, do tegoż należący stronnictwa – cały z kości słoniowej i złota. Niech go Jowisz wspiera!

Tuż obok nich lub raczej za nimi, całkiem inne dają się słyszeć zdania:

– Sto syklów na Żyda – woła ktoś głosem przejmującym i donośnym.

– Wstrzymaj się, przyjacielu – szeptem umiarkowańszy – nie spiesz się, dzieci Izraela nie celują w walkach i igrzyskach, takie sprawy leżą w mocy Pana.

– Masz słuszną odpowiedź jednak sam, czy widziałeś kiedy pewniejszego woźnicę? Patrz, co za siła w ręku.

– Co za konie! – mówił trzeci.

– Wszystko to drobnostki, najważniejsza – dorzucił czwarty – że podobno ma być biegły we wszelkich rzymskich harcach.

Kobieta w pobliżu siedząca dopełniła miary pochwałą, gdy rzekła: Wierzajcie, piękniejszy jest nawet od Rzymianina.

Uwaga ta dodała bodźca zapalonemu krzykaczowi, który ze zdwojoną siłą zawołał: sto syklów na Żyda!

– Głupi wariat z ciebie – ostrzegł jakiś Antiochijczyk z ławki więcej ku przodowi posuniętej – albo nie wiesz, że pięćdziesiąt talentów postawiono przeciw niemu, sześć przeciw jednemu na Messalę? Schowaj, radzę ci, twoje sykle, jeśli nie chcesz, by się ciebie wyparł ojciec Abraham.

– Głupia gadanina? Ten osioł z Antiochii taki mądry, a nie wie, że Messala sam o siebie się zakładał.

Takie i podobne krążyły tam rozmowy, a nie zawsze odznaczały się wytwornością.

Gdy skończył się pochód i wszyscy pod Porta Pompae się rozeszli, Ben-Hur odetchnął swobodniej, bo widział, że mu nie brak stronników i że cały Wschód będzie świadkiem jego spotkania się z Messalą.

Około godziny trzeciej, licząc według naszego czasu, program igrzysk był już wyczerpany, zostawały jedynie wyścigi wozów. Rządca mając wzgląd na wygodę publiczności, zarządził pauzę. Otwarto więc vomitoria, większość widzów wyszła do portyku, gdzie mieściły się sale, niby nasze dzisiejsze restauracje. Pozostali na miejscach ziewali, rozmawiali i oglądali swe zapiski zakładowe.

Tymczasem, korzystając z pauzy, weszła do cyrku trzecia część publiczności, składająca się z tych, którzy li tylko wyścigom wozów przypatrzeć się chcieli. Ci łatwo przy opróżnieniu cyrku zajęli dawno zamówione miejsca, nie zwracając na siebie prawie uwagi. Między tymi był też Simonides ze swym towarzystwem i zajął miejsce w pobliżu drugiej bramy naprzeciw konsula.

Zaledwie czterej słudzy wnieśli kupca w lektyce, a już stał się przedmiotem ogólnej ciekawości. Imię jego podawano sobie z ust do ust, aż doszło do ław w zachodniej stronie cyrku. I nic dziwnego – tyle rzeczy nadzwyczajnych, złych i dobrych, opowiadano sobie o nim, o jego nieszczęśliwych losach, że to wszystko czyniło zeń jakąś na wpół fantastyczną istotę.

Ilderim miał tu również wielu znajomych, zewsząd go witano. Baltazar jednak i dwie osłonię, towarzyszące mu kobiety ogólną, jako nieznaną, wzbudziły ciekawość. Widzowie w cyrku rozstąpili się z uszanowaniem, dozorca przestrzegający porządku wskazał nowo przybyłym miejsca tak bliskie sobie, że mogli swobodnie rozmawiać. Od areny siedzieli również niedaleko, bo tuż przy balustradzie. Ku wygodzie przyniesiono im bogate poduszki do oparcia, a kosztowne podnóżki pod nogi.

Towarzyszkami trzech starców były Iras i Estera. Młoda Izraelitka, spojrzawszy po zgromadzeniu, przestraszyła się i mimowolnie szczerzej się zasłoniła. Egipcjanka, przeciwnie, spuściła welon na ramiona, ukazując twarz z wyrazem tej udanej obojętności, co znamionuje pewne towarzyskie obejście.

Nowo przybyli rozglądali się dość ciekawie, zaczynając od konsula i jego otoczenia. Jeszcze nie skończyli przeglądu, gdy weszło na arenę kilku ze służby cyrkowej, by przez środek rozciągnąć sznur mocno nakredowany, umacniając go między balkonami wprost kolumn startu.

Prawie równocześnie z innymi przeszło do Porta Pompae sześciu ludzi, z których każdy stanął w jednej z przegród, zwanych karcerami. Zewsząd witano tych zwiastunów wyścigu głośnymi okrzykami, a mimo wrzawy niektóre słowa można było zrozumieć.

– Patrzcie, patrzcie! Oto zielony idzie do czwartego numeru po prawej, tam zaś miejsce Ateńczyka.

– Gdzie Messala? – wszak on ma numer drugi!

– Gdzie Koryntczyk?

– Patrz raczej na białego – tam po lewej! Patrz, idzie ku numerowi pierwszemu.

– Pleciesz, to miejsce czarnego, biały ma drugi numer.

– Masz słusność.

Ludzie, co w tej chwili tak bardzo zajmują gawiedź cyrkową, to straż współzawodników, przybrana w kolor woźnicy, któremu ma towarzyszyć. Skoro strażnik zajął swe miejsce, tym samym każdy z widzów wiedział, którą przegrodę zajmie jego ulubieniec.

– Czy widziałeś kiedy Messalę? pytała Egipcjanka Esterę.

– Nie – odparła Żydówka ze wstrętem, bo wszakże ten, o kim mowa, to wróg Ben-Hura, a może i jej ojca.

– Piękny jest, jak Apollo – mówiła Iras, a oczy jej świeciły jak klejnoty zdobiące jej piękny wachlarz.

Estera patrzyła na nią, zadając sobie w duszy pytanie: jest tak pięknym jak Ben-Hur?

Równocześnie usłyszała, jak Ilderim mówił do Simonidesa: On zajmuje drugi karcer po lewej stronie od Porta Pompae.

Sądząc, że to mowa o Ben-Hurze, zwróciła się w stronę, skąd głos ją doszedł, i zmówiła krótką, lecz gorącą modlitwę, po czym jeszcze starannie otuliła się welonem.

Niebawem grono to powiększył Sanbalat, skłonił się poważnie przed Ilderimem, który właśnie kręcił brodę i ciekawie patrzył na niego. Widząc to przybyły, rzekł wesoło:

– Wracam z karceru; konie twoje, szejku, dzielnie się trzymają i pewno zwyciężą.

Ilderim odparł z prostotą: jeśliby miały ulegnąć, niechże Bóg uchowa, aby Messala był zwycięzcą.

Tu Sanbalat zwrócił się do Simonidesa, a wyciągając tabliczkę mówił:

– Znowu ci przynoszę coś zajmującego. Wiesz już, że wczoraj stanął zakład z Messalą; dziś zaś przed zaczęciem wyścigów miał się zgłosić drugi, i oto go mam.

Simonides wziął tabliczkę, przeczytał, zliczył stawki i rzekł:

– Spodziewałem się tego, bo dziś przysłali do mnie z pytaniem, czy masz u mnie dostateczne sumy. – Pilnuj tabliczek, gdybyś miał przegrać... wiesz, gdzie mnie szukać. Jeśli wygrasz – tu twarz kupca nabrała groźnego wyrazu – jeśli wygrasz, pilnuj, przyjacielu, aby podpisani nie umknęli; wyciągnij z nich do ostatniego sykla, bo oni nie mieliby również litości nad nami.

– Spuść się w tym na mnie.

– Nie usiądziesz z nami? – pytał Simonides.

– Cenię twą łaskę – odpowiedział zaproszony – lecz lękam się opuścić konsula, bo wtedy młody Rzym zaraz by podniósł głowę, a może i nowe porobił zakłady. Zostańcie w pokoju.

Już też i pauza miała się ku końcowi, wnet trębacze zagrali pobudkę, nieobecni spieszenie wrócili na miejsca. W tejże chwili kilku ze służby ukazało się na arenie, wstąpili najpierw na mur graniczny, czyli spinę, po czym udali się na wzniesienie w pobliżu drugiej mety na zachodnim końcu i złożyli tamże siedem drewnianych kul. Z kolei wrócili do pierwszej mety i również na jej podwyższeniu umieścili siedem innych kawałków drzewa, podobnych kształtami do ryb.

– Na co te kule i ryby, szejku? – pytał Baltazar.
– Albożeś nigdy nie widział wyścigów?
– Nigdy, i zaledwie wiem, po co tu jestem.
– To są znaki potrzebne do obliczeń; po każdym ukończonym biegu będą zdejmować po kuli i po rybie, jak to niebawem zobaczysz.

Już wszystko gotowe, tuż przy zarządcy stoi trębacz w paradnym mundurze, trąbę trzyma przy ustach i gotów dać sygnał rozpoczęcia. Wszelki szmer ustał, umilkły nawet rozmowy, oczy wszystkich zwróciły się ku zachodowi i drzwiom karcerów, gdzie w pogotowiu stoją woźnice i rydwany.

Niezwykły rumieniec na twarzy Simonidesa zdradzał, że i on niemały brał udział w ogólnym podnieceniu. Ilderim, wbrew zwyczajowi, szarpał brodę Z wyraźną niecierpliwością.

– Uważaj – rzekła piękna Egipcjanka do Estery – uważaj, byś nie przeoczyła chwili, kiedy wyjeżdżać będzie piękny Rzymianin.

Młoda dziewczyna nie słyszała tego napomnienia, bo spoza zwojów zasłony, z bijącym sercem, oczy i duszę wysłała naprzeciw Ben-Hurowi.

Karcerzy były umieszczone w półkolistej budowie, wysuniętej ku prawej stronie w taki sposób, że punkt środkowy tej elipsy znajdował się w połowie przestrzeni, a naprzeciw miejsca, z którego wyruszano. Dzięki temu urządzeniu, każdy karcer był równie odległy od już wspomnianej, nakredowanej liny.

Trąbka odezwała się ostro a krótko, równocześnie służba przyboczna, po jednym ze służby każdego rydwanu, wysunęła się zza kolumn, aby być w pogotowiu, gdyby który zaprzęg nie dał się w porządku utrzymać.

I jeszcze raz odezwała się trąbka, oddźwierni otworzyli podwoje karcerów. Najpierw ukazało się widzom pięciu konnych towarzyszy woźniców, gdyż jak wiemy, Ben-Hur nie chciał nikogo. Spuszczono nakredowaną linę, aby ich przepuścić, po czym ją natychmiast podniesiono. Jakkolwiek jeźdźcy ci byli pięknie ubrani, na krótko przecież zwrócili na siebie uwagę widzów, bo wszyscy z wyczekiwaniem patrzyli ku karcerom, skąd słyhać było rzenie koni. Na dany znak oddźwierni głośno wywołali po imieniu zapaśników; publiczność na galeriach nie hamując niecierpliwości, wołała z całych sił:

– Na arenę! Na arenę!

Z karcerów, niby nabój z palnej broni, wypadło sześć zaprzęgów. Olbrzymie zgromadzenie, jednym wiedzione uczuciem, niby siłą elektrycznego prądu, powstało z niepohamowaną szybkością; stawano na ławkach, napelniając cyrk i powietrze okrzykami podziwu i obawy. Oto nareszcie tak niecierpliwie oczekiwana chwila! Chwila milsza i droższa nad wszystko, chwila widziana w snach, marzeniach i zakładach, odkąd igrzyska zostały ogłoszone.

– Oto on – tam – patrz! – wołała Iras wskazując Messalę.

– Widzę go – odparła Estera, patrząc na Ben-Hura.

W tej chwili zrozumiała, że w obliczu zgromadzonych tłumów najłatwiej pogardzić życiem i spełnić czyn bohaterski – chwila zapału urąga nawet śmierci.

Zawodników można było widzieć ze wszystkich stron cyrku, lecz wyścigi jeszcze się nie rozpoczęły, gdyż rydwany nie minęły liny. Zaporę tę stawiano po to, aby wszystkie zaprzęgi równocześnie dostały się na arenę. Niełatwe to zadanie minąć linę! Zbytni pośpiech może przyprawić o wypadek tak konie, jak i ludzi, bo nic łatwiejszego jak się w linę wplątać; przeciwnie, jadąc za wolno, można pozostać w tyle, lub co gorsza, stracić korzyść wielce cenioną, zdobycie najbliższego miejsca tuż przy murze stanowiącym środek areny, czyli linę wewnętrzną.

Widzowie znając doskonale owe pierwsze trudności i niebezpieczeństwa, z zapartym oddechem oczekiwali szczęśliwego przebycia liny. Arena lśniąca piaskiem niby złotem, zaprasza zapaśników, a każdy z nich dwie tylko rzeczy ma na myśli; linę i tor przy murze. Oczywiście, że wszyscy wyruszą równocześnie – byle się nie splątali!

Przestrzeń dzieląca ich od liny wynosiła zaledwie sto pięćdziesiąt stóp, tym też pewniejszego oka i silniejszej potrzeba ręki. A tu tyle przedmiotów rozprasza uwagę! Tysiące widzów na balkonach, wśród nich jakże wielu takich, których wejrzenie i poklask sercu najmilsze!

Zapańnicy wyruszyli, każdy marzy o torze przy wewnętrznej ścianie i każdy drży na myśl, że może mu się to nie udać. Mimo obawy nikt się nie zawaha, bo każde wahanie, to wstyd w obliczu tylu widzów. Ci ostatni zdają się odczuwać te troski; nie szczędzą zachęty w oklaskach, co szumią niby wzburzone morze, dla wszystkich jednakowo.

Odezwała się trąbka – krzyki widzów się wznowiły i oto rydwany już przy linie, a spuszczone ją w sam czas, gdyż jeden z rumaków Messali już o nią kopytem zahaczył. Szczęściem wypadek ten nie miał gorszego następstwa. Rzymianin wstrząsnął długim batem, zwolnił lejce, pochylił się naprzód i z okrzykiem zwycięskim zajął tor przy murze.

– Jowisz z nami! – zabrzmiały okrzyki stronników Messali.

Wtem, gdy Messala zawracał, brązowa głowa, zakończająca oś wozu, zaczepiła o konia lejcowego z czwórki Ateńczyka tak nieszczęśliwie, że biegun padł i powalił się na konia jarzmowego. Oba rumaki splatały się, szamocąc rydwanem. Tysiące ludzi oniemiało z przerażenia. Rzymianie przecież w pobliżu konsula zwycięskim odezwali się okrzykiem.

– Jowisz z nami! Głos Druzusa górował nad wszystkimi.

– Zwycięży! Jowisz z nami! – brzmiało nieustannie.

Sanbalat tymczasem stał z tabliczką w ręku i właśnie miał się zwrócić ku hałasującym, gdy łomot i trzask zmusiły go do spojrzenia na arenę.

Ateńczyk tak podstępnie wstrzymany, miał tylko woźnicę z Bizancjum po prawej, ku niemu więc chciał zwrócić swój zaprzęg, ale na nieszczęście Koryntczyk jadący po lewej zaczepił o jego rydwan, wywrócił wóz, rzucając woźnicę pod konie. Trzask, okrzyk przerażenia i złości, to jedna chwila; i biedny Kleantes runął pod kopyta swej czwórki. Estera zakryła oczy z przerażenia. Tuż za Messalą jechali woźnice z Koryntu, Biznacjum i Sydonu.

Sanbalat powiódł wzrokiem za Ben-Hurem, a zwracając się do Druzusa i jego towarzyszy, rzekł:

– Sto sestercyj na Żyda!

– Przyjmuję – odparł Druzus.

– Jeszcze sto na Żyda! – krzyknął Sanbalat.

Zdawało się, że go nikt nie słyszał. Po chwili wołał znów, na próżno, bo to, co się działo na dole, już zajęło umysły; stronnicy zaś Messali krzyczeli nieprzerwanie:

– Messala! Messala! Jowisz z nami!

Gdy Estera odważyła się znowu spojrzeć na arenę, już kilku ludzi podniosło połamany wóz, inni nieśli nieszczęśliwego woźnicę. Wszystkie ławki zajęte przez Greków brzmiały przekleństwem i błaganiem o pomstę. Nagle Estera opuściła ręce, serce zabiło radośnie, bo ujrzała, że Ben-Hur na samym przedzie swobodnie jechał tuż obok Rzymianina, a za nimi w grupie reszta zawodników.

Gonitwa była w całej pełni, ścigający się wyteżyli wszystkie swe siły; cisza panowała w cyrku.

Ben-Hur zajmował na początku wyścigów lewą stronę na krańcu. Zrazu, po opuszczeniu ciemnego karceru, oślepił go – jak zresztą wszystkich innych – blask areny; nie trwało to długo, wnet zobaczył przeciwników i odgadł ich zamiary. Oczywiście, że na Messalę, który był więcej niż przeciwnikiem, szczególniejszą zwrócił bacność. Na pięknej twarzy Rzymianina spostrzegł ten sam właściwy mu wyraz pogardy, znany mu od dawna. Czuł, że jest okrutny, przebiegły, chytry i namiętny, że nie unosi go zapał, ale podłe wyrachowanie, czyniące gotowym do spełnienia wszystkiego; dalej odgadywał, że w duszy wroga tkwią postanowienia pyszne, że pragnie upokorzyć go, choćby przyszło przypłacić to własnym życiem. Niemniej i

Ben-Hur pragnął przeciwnika swego upokorzyć, ale nie było w tym ani podstępu, ani jakiegokolwiek zdrady. Stał spokojnie na wozie i postępował według z góry powziętego planu.

Małą rozdzieleni przestrzenią, zbliżali się obaj do drugiej mety.

Piedestał, na którym stały kolumny, był w tym miejscu, zaokrąglony, wkoło niego pod przeciwległymi galeriami znajdował się tor wyścigowy. Objechanie tego miejsca uważano za bardzo trudne i przynoszące woźnicy prawdziwy zaszczyt. Na tym zakręcie miał niegdyś polec Orestes. Widzowie oczekiwali tego widowiska z najwyższym zajęciem; tak głębokie milczenie zaległo cały cyrk, że po raz pierwszy usłyszano turkot kół i tętent koni. W tej chwili dopiero ujrzał Messala Ben-Hura, poznał go, oczy zabłyśły nienawiścią, pogardą i zuchwalstwem.

– Precz z Erosem, górą Mars! – zakrzyknął, poruszając bat wprawna ręką. – Precz z Erosem, górą Mars – powtórzył po raz drugi i uderzył batem rumaki Ben-Hura, które dotąd bata nie znały.

Czyn ten niesłychanej brutalności widziano zewsząd i wzbudził wśród widzów niesmak; cisza zaległa jeszcze większa, lecz trwało to tylko chwilę, nagle z balkonów i galerii zerwały się krzyki i groźby oburzonego ludu, niby grzmot pełen grozy.

Prerażona czwórka uskoczyła w bok, i nie dziw! Wszakże te konie były pieszczonymi dziećmi szejka. Ręka człowieka darzyła je tylko pieszczotami, budząc ufność i uległość bez granic. Komuż nieznane posłuszeństwo koni arabskich? Komuż nie nasuwa się myśl, że często człowiek niżej pod tym względem stoi od zwierzęcia? Ale jeśli rumak arabski nie opuści pana w niebezpieczeństwie, urągając nawet śmierci, to jednak nie pozwoli się niesłusznie karać. I teraz w chwili, gdy Messala śmiał konie dotknąć batem, uskoczyły w bok, jakby przed widmem śmierci.

Niby wichur poszły naprzód, porywając wóz za sobą. Każdy z widzów zadrżał, sam tylko Ben-Hur zdaje się nie czuć trwogi, czemuż to zawdzięcza? Zaiste, każde doświadczenie raz nabyte, cennym staje się w życiu, a ręka wprawiła się pracą wioślarza. Czymże jest wstrząśnięcie rydwanu, jeśli je porównamy ze straszliwym przez bałwany rzucaniem okrętu? Dzięki temu doświadczeniu, utrzymał się w miejscu raz zdobytym, puścił czwórkę swobodnie, przemawiał do koni pieszczotliwymi wyrazami i szczęśliwie objechał niebezpieczny zakręt, i za nim wzburzenie publiczności się uśmierzyło, czuł się panem położenia. Tak więc nie dość, że przy zbliżeniu do pierwszej mety był na równi z Messalą, ale dzielił z nim sympatię i podziw. Czując to zapamiętały Rzymianin, nie śmiał mimo zuchwałości powtórzyć swego niegodnego czynu.

Gdy wozy mijaly metę, Estera mogła ujrzeć twarz Ben-Hura i spostrzegła, że była blada, głowę jednak trzymał wyżej niż zwykle, co mu nadawało wyrazu spokojności.

Tak ukończono pierwszy bieg; natychmiast jeden ze służby cyrkowej wstąpił na zachodnie ramię granicznego muru i zdjął pierwszą kulę. Równocześnie ze wschodniego podwyższenia zdjęto rybę.

Wkrótce w ten sam sposób zniknęła druga kula i druga ryba, a następnie trzecia kula i trzecia ryba. Już objechali trzy razy, Messala trzymał się zawsze wewnętrznej strony toru, Ben-Hur pędził tuż przy nim, poza nimi zaś reszta współzawodników. Tym sposobem wyścigi te były raczej podobne do podwójnych wyścigów, tak bardzo lubianych w Rzymie za ostatnich Cezarów, i zdawało się, że Messala i Ben-Hur ścigają się razem przeciw reszcie zapaśników. W cyrku tymczasem usiłowano zaprowadzić porządek, krzyki jednak obiegały z szybkością równającą się szybkości walczących rydwanów.

W piątym biegu udało się Bizantyńczykowi zdobyć na krótko miejsce obok Ben-Hura.

Szóste okrążenie objechano w tymże porządku, tylko szybkość rosła, i krew zapaśników coraz szybciej grała. Ludzie i zwierzęta czuli bliski koniec i wagę zwycięstwa.

Uwaga widzów, skupiona ciągle na Rzymianinie i Żydzie, z pewną oznaką sympatii dla ostatniego, zaczęła się zamieniać w obawę. Na wszystkich ławach widzowie wychylali się ku arenie, zwracając twarze ku ścigającym się.

Ilderim już nie szarpał brody, a Estera już się nie lękała.

– Sto sestercji na Żyda! – wołał Sanbalat do Rzymian, otaczających konsula.

Zajęcie było tak wielkie, że nikt nie odpowiedział.

– Talent, pięć lub dziesięć talentów, wybieraj! – wołał wyzywająco, wstrząsając tabliczkami.

– Wezmę twoje sestercje – odpowiedział jeden z najmłodszych Rzymian, zabierając się do pisania.

– Nie czyń tego – ostrzegł przyjaciel.

– Czemu?

– Nie widzisz, iż Messala doszedł już do najwyższej szybkości i wolno puścić lejce? Nieprawdaż? Popatrz teraz na Żyda.

Pierwszy patrzył i rzekł, tracąc odwagę:

– Na Herkulesa! Ten pies trzyma jeszcze lejce całą siłą. Widzę, widzę! Jeśli bogowie nie pomogą naszemu przyjacielowi, zwycięży go Izraelita. A jednak nie, jeszcze nie! Jowisz z nami! Jowisz z nami.

Krzyk rósł z ust każdego, co władał językiem łacińskim, aż się zatrzęsło velarium nad głową konsula.

Jeśli było prawdą, że Messala osiągnął największą szybkość, to wysiłek ten nie był bezskutecznym, bo odniósł jakąś korzyść, prześcigał bowiem przeciwnika. Konie jego pędziły ze zwieszonymi głowami, z galerii zdało się, że brzuchami dotykają ziemi, nozdrza ich z wysiłku buchały krwią, oczy zdawały się wychodzić z orbit. Bieg ich był bez wątpienia świetny, ale czy wytrzymają długo, wszak to dopiero początek szóstego koła! I pędzą dalej, już, już, zbliżają się do drugiej mety, gdy Ben-Hur zwraca swe konie poza powóz Rzymianina.

Radość stronnictwa rzymskiego nie miała granic, krzyczeli, ryczeli prawie, powiewając chustkami i wstęgami szkarłatnego koloru, a Sanbalat coraz więcej tabliczek zapisywał.

Malluch na wyższej galerii, ponad Bramą Tryumfu, z trudnością zachowywał spokój. Przypomniał sobie wprawdzie wzmiankę Ben-Hura, że coś się wydarzy u zakrętu zachodnich kolumn, ale już je pięć razy objechali i nic się nie stało; pocieszał się, że szósty raz zmieni stan rzeczy, niestety, Ben-Hur zaledwie utrzymuje się przy boku wroga.

Na wschodniej stronie cyrku towarzystwo Simonidesowe zachowywało się spokojnie, ale kupiec pochylił głowę. Ilderim targał brodę i spuścił tak powieki, że spoza nich zaledwie widać było źrenice. Estera z trudnością oddychała, jedna Iras nie traciła humoru.

U końca szóstego objazdu walczący zrównali się znowu i tak dotarli do pierwszej mety. Messala lękając się stracić miejsca, zbliżył się teraz do muru tak blisko, że w każdej chwili mógł o niego roztrzaskać rydwan. Gdy minęli zakręt, nie można już było rozróżnić, który którego jechał, bo jedną tylko zostawili kolejne.

W przejeździe Estera spostrzegła, że twarz Ben-Hura była bledsza.

Simonidesa, jako znawcę ludzi, nie przestraszyła ta zmiana, owszem rzekł do Ilderima: zdaje mi się, szejku, że Ben-Hur ma jakiś zamiar. Na twarzy jego widzę postanowienie.

Ilderim odpowiedział:

– Patrz, przyjacielu, jak moje konie są spokojne! Klnę się na wspaniałość Boga, myślałbyś, iż się nie goniły jeszcze. A teraz patrz.

Na podwyższeniu jedna już tylko była kula i jedna ryba; wszyscy odetchnęli głęboko, bo oto zbliżał się początek końca.

Sydończyk spróbował wydostać się naprzód – na próżno, nie zdołał utrzymać się i poprzestał na próbie. Następnie pozostali spróbowali tego samego, ale na próżno; odtąd stracili zna-

czenie w igrzysku. Wszystkie stronnictwa, prócz rzymskiego, ze zgodą zaiste trudną do zrozumienia, złożyły swe nadzieje w Ben-Hurze i objawiały na zewnątrz uczucia wołaniem:

„Ben-Hur! Ben-Hur!” – aż echo okrzyków odbijało się o łożę konsula.

Zapał wzrastał, cały cyrk zdawał się czuć nad Ben-Hurem, zewsząd dawano mu rady.

Z ławek ponad nim, gdy je mijał, wołano:

– Spiesz się Żydzie!

– Do muru teraz!

– Puść arabów! Puść im wodze i popędź!

– Nie daj się przegonić na zakręcie. Teraz lub nigdy.

Znad balustrady wyciągano błagalnie ku niemu ręce.

Czy nie słyszał, czy nie mógł inaczej, ale ciągle jechał za Messalą, a tuż już druga meta – on jeszcze w tyle.

Teraz, aby dobrze objechać, zaczął Messala skręcać na lewo, co oczywiście zmniejszyło szybkość pędu. Nie lękał się tego, wszak tyle ołtarzy wzbogacił darami, a geniusz rzymski i tu zwycięży! Oto już trzy kolumny, sześć stóp dalej, czeka go bogactwo, nagrody i zwycięstwo, osłodzone zadowoleniem płynącym z chęci zemsty. Wszystko to stanie się jego własnością!

W tej chwili jest tego pewny i już nabiera pewności, że zwycięży.

Równocześnie spostrzegł Malluch na galerii, że Ben-Hur nachylił się nad arabami i puścił im wodze. Rozwinął długi bat, dotąd nieużywany i świsnął nim razy kilka ponad grzbietami koni. Bat nie skarcił zwierząt, ale był im podniętą i groźbą. Snać Ben-Hur zamierza działać, bo oczy jego błyszczą, twarz ogniem pała, wyrażając nieugiętą i niepokonaną wolę, co niby wezbrany strumień gotowa wszelkie pokonać przeciwności. Cała czwórka zrozumiała rozkaz, zrównała się z Rzymianinem, który słysząc złowróźbny tętent, zdawał się nie chcieć widzieć ani odgadywać zamiaru wroga. W tej stanowczej chwili widzowie nie szczędzili zachęcających okrzyków, a jednak ponad wszystkie górował głos Ben-Hura, przemawiającego do koni starym językiem armaickim, językiem szejka.

– Rażno Atair! Dalej Rigel! Jak to Antares, miałżebyś zwalniać? Dzielne konie! Ho, Aldebaran! Słyszysz, jak śpiewają dzieci i kobiety w namiocie! One sławią gwiazdy, co się zwą: Atair, Antares, Rigel i Aldebaran! Skoro pokonamy wroga, sława nasza żyć będzie przez wieki. Dobrze – dzielnie! Jutro wrócimy do ojczyzny – do namiotu! Hej rażno Aldebaran! Pokolenie oczekuje nas, pan wzywa nas! Dalej! Ho! Dzielnie! Pokonaliśmy pyszałka! W prochu leży ręka, co nas biła! Naszą jest chwała! Ha, ha! Dzieło skończone. Ho, ho stójcie!

I mówił prawdę – tak, zwycięstwo odniesione, a zaprawdę nigdy prościej i szybciej nie dokonano równie świetnego igrzyska! W chwili przeznaczonej do spełnienia czynu, Messala objechał metę, Ben-Hur chcąc go minąć musiał przejechać tor wyścigowy. Dokładnie obliczywszy, mógł tego dokonać tylko w prostym kierunku, czyli zmniejszając koło, skrzyżować się z przeciwnikiem. Tysiące widzów odgadło zamiar, tysiące wspierały go życzliwymi okrzykami, tysiące były świadkami powodzenia. Zaprzęg przeleciał pędem, lecz wymijając, zaczepił osią koło zewnętrzne u rydwanu przeciwnika. Jedna błyskawiczna chwila, a już trzask i łomot razi tysiące uszu, a potem prędzej niż się da powiedzieć, już tylko białe i żółte drzazgi z owego pysznego rydwanu Messali zalegają część areny. Lecz nie dość na tym, on sam, pyszny Messala, we własne uplatany lejce, padł głową naprzód.

Okropność tego widoku nabrała jeszcze grozy, gdy Sydończyk ani powstrzymać swych koni, ani je w bok skierować nie zdołał. Pędził więc na Rzymianina całą siłą pędu, przeleciał mimo i wpadł między rozszalałe ze strachu konie pokonanego.

Wśród walki splątanych koni, trzasku i łomotu kół, chmur pyłu i piasku, usiłował się dźwignąć Messala, na to tylko, aby ujrzeć dwóch pozostałych zapaśników pędzących za Ben-Hurem, który bynajmniej nie zwolnił biegu.

W chwili stanowczej widzowie powstawali, a wychylając się poza balustradę, miotali przekleństwa lub wybuchali okrzykami radości. Jedni patrzyli na tratowanego koźmi Messalę,

który leżał pod szczątkami rydwanu – wielu sądziło, że nie żyje – inni, i to znaczna większość, ścigali wzrokiem Ben-Hura; nie wielu jednak zauważyło, jak się rzecz cała odbyła, tym bardziej, że zaczepienie koła i zdruzgotanie rydwanu było dziełem jednego mgnienia oka. Za to zmiana wyrazu jego twarzy, zapal duszy, bohaterskie postanowienie i energia ruchu, siła wejrzenia, nie uszły uwagi tłumów, cudne to były igrzyska! Zwycięzca, niby pół-bożek, rumaki jako lwy jednym skokiem dosięgały przeciwnika, a rydwan zdawał się mieć skrzydła! Bizantyńczyk i jego towarzysz byli wpół drogi, gdy Ben-Hur stał już u mety.

Zwycięstwo odniesione!

Konsul podniósł się ze swego siedzenia, lud zachrypłym głosem krzyknął jeszcze, a zarządca, wstąpiwszy na arenę, uwieńczył zwycięzcę.

Gdy młody Żyd spojrział w górę, ujrzał Simonidesa i całe towarzystwo. Wszyscy dawali mu znaki radości, wznosząc ręce i powiewając chustkami. Jedna Estera siedziała nieruchomo, Iras zaś powstała uśmiechnięta i poruszała znacząco wachlarzem. Były to dowody łaski przeznaczone właściwie dla Messali, gdyby on zwyciężył.

Na zakończenie uroczystości urządzono wspaniałą pochód odprowadzający zwycięzcę Bramą Tryumfalną, z okrzykami uniesienia i radości.

Ważny ten dzień minął i należy do przeszłości.

Ben-Hur i Ilderim przeprawili się natychmiast na drugą stronę rzeki, gdyż o północy postanowili wyruszyć w drogę, by dopędzić karawanę trzydzieści godzin wcześniej wyprawioną. Szejk nie posiadał się z radości i pragnął po królewsku obdarzyć Ben-Hura: tymczasem młodzieniec nie chciał przyjąć żadnej nagrody, twierdząc, iż za wszelką nagrodę starczy mu pokonanie wroga. Długie były z obu stron sprzeczki, bo obaj walczyli wspaniałomyślnością.

– Pomyśl – mówił szejk – co uczyniłeś dla mnie. W każdym czarnym namiocie od Akaby do Oceanu i dalej, poza Eufrat i morze Scytów, wszędzie brzmieć będzie sława mojej Miry i jej pokolenia; a ci, co ją sławić będą, i mnie pochwałać będą i zapomną, zem u schyłku dni moich. Wszyscy, którzy broń noszą, a nie mają pana nad sobą, koło mnie zbierać się będą, a liczby moich wojowników policzyć się nie da. Ty nie wiesz, co to jest być władcą pustyni, władcą, jako ja nim będę! Daniny i haracze, które u stóp mych złożą narody i ich króle, pomnożą się dziesięć razy. Gdybym miał wolę ubiegać się o względy Cezara – posiadałbym, klnę się na miecz Salomona! Ty zaś, coś tyle uczynił, nie chcesz nic przyjąć!

Ben-Hur odparł spokojnie:

– Szejku, czyż mi nie dosyć twej ręki i serca. Czyż nie lepiej uczynisz, gdy użyjesz wzrostu twej potęgi i mienia na poparcie króla, który przyjdzie? Nowe dzieło potrzebuje tak wiele, a jeśli dziś odmawiam, to nie tracę prawa do prośby na dni przyszłe.

Gdy się tak sprzeczali, przybyło dwóch posłańców, Malluch i jakiś nieznajomy. Pierwszego wpuszczono natychmiast.

Pocziwiec nie taił radości swej z przebiegu sprawy, a potem rzekł:

– Pan mój, Simonides, przysyła mnie, abym powiedział, iż niektórzy Rzymianie wzbraniaли się wypłacić zakładów.

Ilderim zerwał się, krzycząc na całe gardło: Na wielkość Boga! Niech rozstrzyga cały Wschód, czy wyścig nie był sprawiedliwie wygrany?

– Tak, zacny szejku – rzekł Malluch – ale protestu ich nie uwzględniono i sumę wypłacono.

– Rzeczywiście?

– Gdy podnieśli zarzut, że Ben-Hur zaczepił osią koła rydwanu Messali, zarządca roześmiał się i przypomniał zuchwały postępek tegoż, gdy skarcił konie u zakrętu mety.

– Co słyhać o Ateńczyku?

– Nie żyje.

– Umarł!... powtórzył Ilderim. – A Messala?

– Żyje, ale to życie stanie mu się ciężarem, bo jak twierdzi lekarz, nigdy nie odzyska władzy w nogach.

Słyszając to Ben-Hur, spojrzął w niebo w milczeniu; widział już oczyma duszy Messalę przykutego do krzesła, podobnie jak Simonides, i dźwiganego ramionami sług. Czcigodny zarządca dóbr jego znosi swe kalectwo z godnością, na którą chyba nie zdobędzie się człowiek tak pyszny i dumny jak Messala.

– Dalej kazał mi Simonides oznajmić – mówił Malluch – że Sanbalat ma kłopoty, bo Druzus i ci, którzy u niego podpisali zakłady, ociągają się z wypłatą należności. Druzus wytoczył nawet sprawę przed Maksencjusza, a ten odesłał ich aż do samego Cezara. Messala również odmówił wypłaty, czym zniecierpliwiony Sanbalat, poszedł za przykładem Druzusa i oparł się o konsula i Cezara, stąd cała sprawa się odwlecze. Życzliwi nam Rzymianie twierdzą, że protesty winny być unieważnione. Zdanie to podziela wielu. Całe miasto gorszy się takim postępowaniem.

– Cóż na to Simonides? – pyta Ben-Hur.

– Pan śmieje się i jest dobrej myśli. Jeśli Rzymianin zapłaci, to będzie zrujnowany; jeśli nie, to czeka go niesława. Cesarskie sądy rozstrzygną. Obrazić cały Wschód, to znaczyłoby, dać zły obrót wojnie z Partami; obrazić szejka Ilderima, to oburzyć całą pustynię, którą wiodą wszystkie drogi Maksencjusza. Dlatego kazał cię Simonides upewnić, iż Messala zapłacić musi.

Ilderim cieszył się i radował, mówiąc:

– Ruszajmy, nie tracąc czasu, sprawę tę zostawmy do załatwienia Simonidesowi. Chwała jest przy nas. Każ natychmiast przyprowadzić konie. Ilderim i Ben-Hur, zadowoleni z przebiegu sprawy, zabierali się do wyjścia, które było pierwszym krokiem w ich wspólnym powołaniu i dla którego odtąd tylko żyć mieli.

– Czekaj – rzekł Malluch – zapomniałeś, że jest jeszcze drugi posłaniec, czy chcesz się z nim widzieć?

– Całkiem o nim zapomniałem.

Malluch oddalił się, a równocześnie zbliżył się chłopiec zręczny, delikatny i wytwornie ubrany; ujrawszy szejka, przykląkł na kolano, mówiąc:

– Iras, Baltazarowa córka, dobrze znana czcigodnemu Ilderimowi, dała mi poselstwo złożenia ci, szejku powinszowania z powodu zwycięstwa czwórki twoich rumaków.

– Córka mego przyjaciela umie być uprzejmą – odparł szejk, mrużąc oczy z zadowoleniem nie wolnym od próżności – oddaj jej ten klejnot na znak, jak wielką radość sprawiło mi jej poselstwo.

Tu zdjął pierścień z palca i podał go chłopcu.

– Uczynię, jak każesz, szejku – mówił chłopiec. – Nie na tym wszakże koniec mego poselstwa, bo Egipcjanka prosi szejka, by oznajmił młodzieńcowi imieniem Ben-Hur, że ojciec jej zamieszkał teraz na pewien czas w pałacu Iderne. Tam Iras oczekiwać będzie młodzieńca o godzinie czwartej. Jeśli Ilderim uczyni zadość jej prośbie, wdzięczność jej równa będzie wielkiemu zaszczytowi, który ją spotka.

Szejk spojrzął na Ben-Hura, a widząc, że twarz jego wyrażała radość i zachwyt, spytał:

– Cóż chcesz czynić?

– Jeśli pozwolisz, szejku, radbym odwiedzić piękną Egipcjankę.

Ilderim roześmiał się i rzekł: Czyż godzi się odmawiać kobiecie?

Słyszając te wyrazy w pół zezwalające, rzekł Ben-Hur posłańcowi:

– Powiedz tej, która cię posłała, że ja, Ben-Hur, przyjdę ujrzeć ją w pałacu Iderne jutro o dziewiątej.

Chłopiec wstał z klęceczek i niski złożony pokłon, odszedł.

O północy Ilderim wyruszył w drogę ku pustyni, zostawił konia i przewodnika dla Ben-Hura, upominając, by wkrótce za nim podążył.

Następnego dnia Ben-Hur poszedł na spotkanie Iras i wkrótce stanął przed pałacem Iderne.

Wszedłszy z ulicy, minął przedsionek i udał się krytymi schodami do portyku. Skrzydlate lwy pilnowały przejścia, w środku olbrzymi ibis wyrzucał w górę wodę, co skraplała podwórze. Lwy, ibisy, mury, przypominały Egipt, tym więcej, że wszystko, nawet balustrada schodów, wykute było z szarego kamienia.

Powyżej przedsionka wznosił się portyk z tak pięknymi, lekkimi kolumnami, że tylko ręka Greka mogła wykonać takie arcydzieła.

Ben-Hur, zatrzymawszy się chwilę w cieniu portyku dla przypatrzenia się piękności kolumn, wszedł do pałacu przez ogromne, roztwarte, jakby na jego przyjęcie, podwoje. Poza tą bramą znalazł się w korytarzu wysokim choć wąskim; podłoga wyłożona była ciemnymi wypalonymi ceglami, ściany tą samą pomalowano barwą. Ta prostota pełna smaku zapowiadała tym wspanialsze wnętrza.

Postępował z wolna, chcąc zebrać wszystkie zmysły; wszak za chwilę znajdzie się w obecności Iras. Ona czeka go ze śpiewem, czarującym opowiadaniem, fantastycznymi marzeniami, rozmową pełną dowcipu, kaprysu i tego uśmiechu, co rozjaśnia jej spojrzenie.

Gdy minął przejście, znalazł się u zamkniętych podwoi; zbliżywszy się do nich, zauważył, że otworzyły się same, bez najmniejszego szelestu, zdaje się nawet, że bez dotknięcia ich ręką. Było to dziwne, ale Ben-Hur nie zastanawiał się nad tym, tym bardziej, że nęcił jego oko wspaniały widok, który się przed nim roztaczał.

Jeszcze w cieniu korytarza, lecz już na progu podwoi, ujrzał przed sobą atrium rzymskiego domu, urządzone z bajecznym przepychem i wytwornością.

Jak wielką przestrzeń miał przed sobą, trudno powiedzieć, z powodu złudzenia, jakie sprawiają doskonale proporcje i głębokość perspektywiczna, którą ówczesni artyści tak umieli wyzyskać. Najpierw zwróciła uwagę przepyszna posadzka mozaikowa, przedstawiająca Ledę pieszczącą łabędzia – dalej spostrzegł, że cała posadzka mozaikowa same mitologiczne przedstawiała obrazy... Komnata pełna była sprzętów, najrozmaitszego przeznaczenia, a każdy z nich to istne dzieło sztuki. Tu i ówdzie stały bogato rzeźbione stoły, i do nich przystosowane sofy i wezglowia. Meble dalej od ścian stojące odbijały się w lśniącej posadzce niby w czystej wodzie jeziora, wraz z malowaniami ścian i bogatymi rzeźbami sufitów. Na środku znajdował się otwór otoczony wgłębieniami, przez które wpadało światło słoneczne, i błękit nieba dziwnie z tej odległości bliski. Wprost otworu, złożona krata strzegła impluwium. Kolumny, podtrzymujące strop w rogach komnaty świeciły w słońcu jak płomienie; odbicie to zdawało się tworzyć nieskończoną świetlaną głębię. Szczególną uwagę Ben-Hura zwróciły między innymi dziwnie piękne świeczniki wieloramienne, posagi i wazy, tworząc wnętrza tak wspaniałe, że można by je przenieść do pałacu na Palatyńskim Wzgórzu, który niegdyś Cyce-ro kupił od Krasusa, a nawet i do jeszcze słynniejszej swą pięknnością willi Skaurusa w Tuskulum.

Tak przypatrując się i podziwiając wszystko, chodził Ben-Hur po pustej komnacie; marzenia czarowne dodawały mu cierpliwości. Nie dziwił się opóźnieniu i ani wątpił, że Iras, skoro będzie gotowa, przyśle po niego służbę, lub przyjdzie sama, tym bardziej, że atrium służyło do przyjęć w każdym dobrze urządzonym domu rzymskim.

Chodził więc wzdłuż, wszcz, wkoło ścian, stawał pod otworem w stropie, przypatrując się niebu i jego lazurowej głębi. To znów opierając się o kolumnę, podziwiał efektowne światłocienie, co zmniejszały w miarę oddalenia otaczające przedmioty. Nikt jednak nie przychodził. Zaczęło mu się dłużyć, nic więc dziwnego, że rozmyślał, czemu Iras nie przybywa? Nie znalazłszy na razie odpowiedzi, wrócił znów do podziwiania czarującego otoczenia, chociaż ono coraz to mniej go zajmowało. Od czasu do czasu wysyłał ucho na zwiady, a gdy żaden ruch ani szmer nie dolatywał, niecierpliwość brała górę. Krew krążyła silniej, pulsa biły coraz prędezej, nareszcie otaczająca go cichość i milczenie poczęły budzić podejrzenie i nieufność. Nie dał się opanować tym uczuciom, odsunął je z uśmiechem, pocieszając się miłą nadzieją: pewnie bawi w gotowalni, pragnie być piękną – jeszcze jedno pociągnięcie pędzla koło powiek, a

może ujrzę ją. Może... o radości! Może wije wieniec dla mnie! – Tak rozmyślając, usiadł u stóp wspaniałego świecznika, a przypatrywaniem skracał chwilę ciężkiego oczekiwania. Był to rzeczywiście sprzęt nader piękny. Spiżowa kolumna wznosiła się na podłużnej, również spiżowej podstawie, zaopatrzonej kółkami i zdobnej delikatnymi ornamentami po rogach i bokach. U stóp kolumny, na wzniesionym poniżej ołtarzu, niewiasta składała ofiarę; z palmowych zaś liści, zdobiących kapitel kolumny, spływały cienkie łańcuszki zakończone lampami. Całość była arcydziełem w swoim rodzaju. Ben-Hur podziwiał świecznik i inne piękności atrium; lecz cisza nużyła go coraz bardziej – nasłuchiwał, wstawał, zawsze na próżno, nie słysząc żadnego głosu, pałac głuchy jak grób.

Czyżby się pomylił? Nie – to niepodobna!

Posłaniec przyszedł od Egipcjanki, a to pałac Iderne! W tejże chwili przypomniał sobie nie bez obawy, jak dziwnie i tajemniczo otworzyły się podwoje! – To dziwne, trzeba wrócić i obejrzeć!

Poszedł, a odgłos jego kroków, chociaż stapał lekko, odbijał się głośnie echem i wzbudzał w nim samą lęk. Cóż to, miałby się obawiać? – Postąpił, doszedł do drzwi, niestety, sztuczna rzymska klamka odmówiła za pierwszym dotknięciem posłuszeństwa. Próbuje raz drugi, na próżno; krew zastygła mu w żyłach z gniewu i oburzenia. Uderza z całej siły, podwoje ani drgnęły! – Uczucie niebezpieczeństwa owładnęło młodzieńcem, stoi niepewny i pyta sam siebie: Kto w Antiochii mógł chcieć wyrządzić mu krzywdę? – Messala!...

A ten pałac Iderne? W przedsionku widział wprawdzie Egipt, w portyku Ateny, ale tu, tu w atrium? Tu Rzym, wszystko wokoło zdradzało rzymskiego właściciela. Miejsce to było na głównej ulicy miasta, chyba nikt by się nie odważył tak publicznie popełnić gwałt i zbrodnię, czegoś jednak nie można się spodziewać po tak zuchwałym wrogu, jak Messala? Tak, tak, to jego ręka, to jego pomysł, wszak to czyn godny jego zuchwalstwa, a ja – myślał Ben-Hur – ja dałem się złapać jak dziecko, boć całe atrium ze swą wytwornością jest tylko złoconą klatką więźnia! – Nie dziw, że skoro zrozumiał swe położenie, trwoga powlokła wszystko czarną barwą. Uczucie to gniewało go i upokarzało – postanowił bądź co bądź bronić się jeszcze.

Z atrium prowadziło wiele drzwi na prawo i lewo, zapewne do sypialnych komnat; spróbował je Ben-Hur otworzyć. Na próżno, wszystkie szczelnie zamknięte. Stukanie mogłoby sprowadzić ludzi, krzyk wstyd żołnierzowi. Położył się więc na wezłowie i rozmyślał.

Coraz jaśniej widział, że jest więźniem, ale czym? Oczywiście Messali. Na tę myśl obejrzał się i uśmiechnął niedowierzająco, bo zaprawdę nie był bezbronny, wszak każdy przedmiot może mu posłużyć za broń.

To przypuszczenie obaliło poprzednie; nie, to niepodobna, nie myślano z nim walczyć, ptaki tylko giną w złoconych klatkach. Myśl ta podnieciła wściekłość i szaloną chęć obrony. Jak to, on, żołnierz, on, zwycięzca, miałby się nie bronić? Czy mu brak siły, czy nie może zdruzgotać łoża, na którym spoczywa i uczynić zeń taran nie do zdobycia? Czyż rozpacz sił nie podwaja? Zresztą Messala przyjsć tu nie może! On nie będzie więcej chodził, bo jest kaleką jak Simonides. To prawda – przecież dla chcącego nie ma niepodobieństwa, może się kimś posłużyć, może użyć ręki zbrodniarza. Myśl ta wydała się Ben-Hurowi prawdopodobną, wstał i próbował otworzyć drzwi. Raz, nawet dwa razy zawołał; echo tylko odpowiedziało, wzbudzając dziwną obawę w sercu więźnia. Jeszcze miał dość siły do uspokojenia się, postanowił poczekać chwilę, a potem wyłamać drzwi.

W takich okolicznościach umysł opada i wznosi się niby morze, co się naprzemian burzy i uspokaja. Nagle, nie wiedząc jak i dlaczego, przyszedł do przekonania, że całe to zdarzenie jest dziełem przypadku lub pomyłki. Niepodobna, by pałac tak wspaniały nie miał właściciela, tym bardziej musi się ktoś nim zajmować, musi być jakiś dozorca, a ten przed nocą zjawić się powinien. A zatem cierpliwości!

To postanowiwszy, czekał.

Minęło znowu pół godziny – Ben-Hurowi czas ten wydał się niesłychanie długim. Tymczasem podwoje, którymi wszedł, otworzyły się jak pierwiej, tak samo cicho i tajemniczo.

W chwili, gdy się to stało, Ben-Hur siedział na przeciwnej stronie komnaty odwrócony od wejścia. Gdy usłyszał kroki, zdziwił się, ale pomyślał:

– Ach! Nareszcie przyszła! – Odetchnął radośnie i wstał.

Dziwna rzecz, krok idącego był ciężki, towarzyszył mu stukot sandałów. Złożone kolumny zasłaniały go od wejścia, z wolna posunął się i przystanął za jedną z kolumn. Równocześnie usłyszał głosy ludzi, a jeden z nich ostry, gardłowy. Co mówiono, nie mógł zrozumieć, gdyż nie znał języka, którym mówili. Nie było to żadne z narzeczy znanych na wschodzie lub południu Europy.

Obejrzeni komnatę z jednej strony, po czym przeszli na lewo i Ben-Hur mógł się im dobrze przypatrzeć. Było ich dwóch, jeden szczególnie silnie zbudowany, ale obaj wysocy, jednakowo w krótkie tuniki ubrani. Nie wyglądali na panów tego domu ani nawet na sługi. Dotykali rękoma otaczające ich przedmioty, widocznie wszystko było im nowe i dziwne, znać, że to ludzie pospolici; komnata zdawała się być ich obecnością sprofanowana. A jednak obejście ich było swobodne, poruszali się śmiało, co świadczyło, że przyszli tu na pewne i mieli coś do załatwienia. Ale co?

Chodząc tu i tam, rozmawiali i raz się zbliżyli, to znów oddalili od chroniącej Ben-Hura kolumny. Opodał, gdzie promień padał na mozaikę posadzki i wspaniały posąg, przystanęli w świetle, aby się dziełu sztuki przypatrzeć.

Ben-Hur tak był tym wszystkim rozdrażniony, że teraz, gdy w wysokim silnym mężu poznał owego Normana, co go uczył w Rzymie szermierki i co świeżo odniósł zwycięstwo jako atleta w cyrku, doznał wrażenia graniczącego z trwogą. Patrząc na tę twarz pełną blizn, oraz wyrazu najdzikszych namiętności, na obnażone członki, silne i wyrobione mięśnie, myśl osobistego niebezpieczeństwa przeszła chłodem każdą żyłę młodzieńca. I nie dziw, instynkt zachowawczy ostrzegł, że wszelkie okoliczności za dobrze obmyślono, aby mogły być przypadkowymi. Nie ma się co łudzić, tu idzie o jego życie; a on wobec zbirów jest nieledwie karłem. Towarzysz mniej był straszny, młody, oczy i włosy miał ciemne, wyglądał na Żyda. Obaj nosili suknie właściwe szermierzom, gdy idą na arenę, co wszystko dowodziło, że tak ich, jak i jego w jakimś do tego pałacu sprowadzono celu. Z każdą chwilą jaśniej rozumiał, że jest w niebezpieczeństwie i że bez nadzwyczajnej pomocy, znajdzie tu grób pewny.

Nie wiedząc, co począć dalej, patrzył po ludziach bezmyślnie, podczas gdy przed oczami duszy przesuwano się całe jego życie, z wszelkimi szczegółami.

Chwile takie zdarzają się w życiu ludzkim rzadko, wtedy patrzymy na te znane obrazy, jakby one nas nie dotyczyły i sądzimy je sprawiedliwiej niż kiedykolwiek. I Ben-Hur wśród otaczających go ciemności, ujrzał jakby ukrytą rękę, co uchyliła zasłony jego dotychczasowego bytu, zrozumiał, że odtąd wchodzi w nowy okres życia. Dotąd był on ofiarą niewinną, na nim popełniono gwałt; teraz, przeciwnie, on obejmował rolę czynną, on zaczepiał. Dopiero wczoraj znalazł swą pierwszą ofiarę. Chrześcijanin prawdziwy zadrżałby na tę myśl, sumienie przemówiłoby groźnym wyrzutem. Ben-Hur nie doznał nic podobnego, on, uczeń pierwszego, lecz nie ostatniego i najświętszego prawodawcy, nie uważał, aby wymierzenie zasłużonej kary było krzywdą. Zresztą pan dał mu zwycięstwo, a ta pewność i wiara były mu źródłem siły w niebezpieczeństwie. Pełen ufności, widział w świeżym powodzeniu zapewnienie dalszego. Nowe życie, to misja zaledwie rozpoczęta, święta jak świętym oczekiwany król – pewna jak przyście tego króla – sprawiedliwa, już tym samym, że była konieczną. I on miałby się dać pokonać u progu takiej drogi? Nie, i stokroć nie... Wśród tych myśli rozwiązał pas przytrzymujący białą żydowską szatę, a został tylko w spodniej tunice, podobnej do tych, które odziewały jego wrogów. To uczyniwszy, złożył ręce na piersiach i oparł się o kolumnę, czekając z przygotowanym umysłem i ciałem na swych nieprzyjaciół.

– Coście za jedni? – zapytał ich po łacinie.

Norman uśmiechnął się, ale twarz jego nie nabrała przez to łagodniejszego wyrazu i odpowiedział:

– Barbarzyńcy.

– To pałac Iderne. Kogo tu szukacie? Odpowiedzcie!

Słowa te wymówił z wielką powagą; cudzoziemcy stanęli zdziwieni, a Norman zapytał:

– A to co za jeden?

– Rzymianin.

Olbrzym podniósł głowę i przypatrywał mu się szyderczo.

– A to co nowego? Ha, ha, ha! Słyszałem, że jakiś bóg powstał z krowy, co sól lizała; ale nawet bóg nie zrobi z Żyda Rzymianina.

Przestawszy się śmiać, mówił coś do towarzysza i obaj zbliżyli się groźnie w zaczepnej postawie do Ben-Hura.

– Stój! – zawołał tenże, oddalając się od kolumny... Jedno słowo.

Stanęli.

– Słowo – odpowiedział Saksończyk, składając ogromne ręce na piersiach i rozpogadzając twarz, co już się groźniejszą stawała. – Jedno słowo... mów!

– Jesteś Thord Norman.

Olbrzym zdziwiony, otworzył szeroko niebieskie oczy.

– Byłeś lanistą w Rzymie?

Thord potwierdził.

– A ja się uczyłem u ciebie.

– Nie – odrzekł, kiwając przecząco głową. – Na brodę Irmina, nigdy w moim życiu nie próbowałem zrobić z Żyda wojownika.

– Dowiodę ci, że tak jest.

– Jakim sposobem?

– Jesteście tu, aby mnie zabić.

– To prawda.

– Pozwól więc, aby ten człowiek walczył ze mną na pięści, a pokażę ci na jego osobie, że jestem twoim uczniem.

Wesołość rozjaśniła twarz gladiatora, wyrażona propozycja przypadła mu do smaku. Przemówił coś do swego towarzysza, ten zdawał się zgadzać, po czym rzekł z naiwnością rozbawionego dziecka:

– Czekaście, aż dam znak rozpoczęcia.

Uderzeniem nogi przysunął wezglowie, a rozkładając się na nim, zawołał:

– Zaczynajcie!

Ben-Hur przystępując do swego przeciwnika, rzekł: – Broń się!

Przeciwnik wyciągnął ręce, ale bez ochoty i zapału.

Gdy obaj stali naprzeciw siebie, podobnymi byli jak bracia wzrostem i budową. Cudzoziemiec uśmiechał się zwycięsko; Ben-Hur patrzył tak jakoś uroczyście i poważnie, że przeciwnik powinien był zadrzeć, ale nie znał jego zręczności. W każdym razie wiedzieli obaj, że to walka o śmierć lub życie. Ben-Hur nacierał prawą ręką, nieznajomy parował z lekka lewą naprzód wysuniętą; zanim ją cofnął, już Ben-Hur chwycił dłoń przeciwnika z siłą wioślarza. Nie zdołał się szermierz zasłonić, bo równocześnie chwycił go Ben-Hur za szyję i nim odechnął, już z prawego ramienia przemienił rękę prawą na lewą i trzymając go jak martwą masę, dusił nagą szyję koło ucha ręką prawą; w kilka chwil szermierz padł ciężko bez jęku i krzyku, a leżał spokojnie, jak piorunem rażony.

Walka ta trwała krócej niż się da wypowiedzieć, wszystkie zaś ruchy zdały się być zaledwie jednym.

Ben-Hur po skończonej walce zwrócił się do Normana.

– Ha! Na brodę Irmina! – zawołał Norman, śmiejąc się głośno – Ha! ha! ha! nie potrafiłbym lepiej!

Obojętnie przypatrywał się trupowi – a potem zmierzył od stóp do głowy Ben-Hura z rodzajem podziwu.

– Muszę przyznać, że wzięłeś się do roboty, jak należy, a co dziwniejsza, moim sposobem, tym, jakiego dziesięć lat uczyłem w szkołach rzymskich. Teraz widzę, że nie jesteś Żydem. Kimże jesteś?

– Czy znałeś Ariusza duumwira?

– Kwintusa Ariusza? Oczywiście, bo był moim patronem.

– Miał przecież syna?

– Miał – rzekł Norman, przeciągając się leniwo. – Znałem chłopca dzielny był i snadnie mógł zostać królem gladiatorów; sam Cezar nawet chciał się nim opiekować. Ja sam uczyłem go wszelakich tajemnic mej sztuki, co więcej, pokazałem mu nawet sposób mego wynalazku; ależ na Irmina, wszak właśnie użyłeś go w walce z tym biedakiem!

– Jak to i dotąd nie poznałeś mnie? Wszakże jestem owym synem Ariusza.

Saksończyk, zbliżył się z wolna, obejrzał dokładnie młodzieńca, a wyciągnawszy rękę, zawołał z rozjaśnioną twarzą i wesołymi oczyma:

– Ha, ha, ha! A to mnie oszukał! Obiecywał, że tu zastanę Żyda – Żyda – psa żydowskiego, którego śmierć miłą będzie bogom.

– Kto ci to powiedział? – pytał Ben-Hur, ujmując jego rękę.

– On, Messala! – ha, ha, ha!

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem.

– Myślałem, że jest chory z potłuczenia.

– Nie będzie już chodzić, a do mnie mówił wśród jęków leżąc na łożku.

Kilka słów dawały dokładny obraz nienawiści Messali i przekonały Ben-Hura, że póki wróg taki żyć będzie, nie przestanie go prześladować. Zemsta stanie się odtąd jedyną osłodą jego zniweczonego życia i straconego w zakładach z Sanbalatem majątku. Ani chwili nie lekceważył sobie Ben-Hur tego stanu rzeczy, a przede wszystkim widział, jak bardzo on będzie groźny i niebezpieczny dla dzieła, które miał przedsięwziąć. Wobec tak ważnego przedsięwzięcia nie trzeba wybierać w środkach, zresztą, wszak mu przysługuje prawo odwetu. Czemuż by nie miał użyć tego samego, co Rzymianin, sposobu? Człowiek zapłacony po to, aby go zabił, odstąpi od zamiaru, skoro więcej dostanie; a cóż łatwiejszego dla Ben-Hura, jak płacić pieniędzmi? Pokusa była bardzo silna, nagle spojrzął na leżącego bez życia przeciwnika i spostrzegł, że wzrost i postawa podobne były do niego samego, powstał więc w duszy jego nowy zamiar. Pomyślawszy chwilę, zapytał Normana:

– Ile za moje życie obiecał ci Messala?

– Tysiąc sestercji.

– Otrzymasz je; a jeśli uczynisz po mojej woli, dodam ci jeszcze trzy tysiące.

Uradowany obietnicą olbrzym, zaśmiał się głośno, mówiąc:

– Wczoraj wygrałem pięć tysięcy, od Rzymianina tysiąc, to sześć. Daj mi cztery, cztery, zacny Ariuszu, a stanę przy tobie wytrwale; jeśli kłamię, niech mnie mój imiennik stary Thord młotem ubije. Daj mi cztery, a zamorduję tego patrycjusza, co leży w łożku. Nie bardzo się tym spracuję, wystarczy, gdy mu gębę ot tak... zatkam.

Mówiąc to, wykonał obrazowo ruch odpowiedni.

– Rozumiem, czego pragniesz – odparł Ben-Hur – dziesięć tysięcy sestercji to majątek; już widzę, jak wracasz do Rzymu i otwierasz sklep z winem w pobliżu wielkiego cyrku i będziesz żył, jak przystało na wielkiego gladiatora!

Blizny na twarzy szermierza zaświeciły jakimś odblaskiem wewnętrznego rozradowania z obrazu, jaki mu przedstawił Ben-Hur.

– Dam ci cztery tysiące, a co więcej, to co uczynisz dla mnie, nie pokrwawi rąk twoich. Posłuchaj mnie, przypatrz się i powiedz, czy ten twój przyjaciel nie jest do mnie podobny?

– Doprawdy, że tak jest, i mógłbym śmiało twierdzić, że jesteś jabłkiem z tej samej jabłoni.

– To mnie cieszy; co myślisz, gdybym też włożył jego tunikę, jego zaś ubrał w moje suknie i gdybyśmy go tu zostawili? W takim razie otrzymałbyś sesterce Messali, bo cóż łatwiejszego, jak mu wytłumaczyć, żeś mnie zabił. Propozycja ta tak ucieszyła Saksona, że śmiał się do łez.

– Ha, ha, ha! Nikt jeszcze tak łatwo nie zarobił tysiąca sesterceji. Będę mieć winiarnię i to za proste kłamstwo bez przelewu krwi! Ha, ha, ha! Jeśli kiedy przyjedziesz do Rzymu, nie zapomnij pytać o winiarnię Thorda Normana, klnę się na brodę Irmina, dam ci najlepszego wina, choćbym miał je szukać w piwnicach Cezara.

Podali sobie ręce na zgodę, po czym zamieniono suknie, Ben-Hur zaś zobowiązał się przysłać cztery tysiące sesterceji jeszcze tej samej nocy. Po ostatecznym omówieniu sprawy, olbrzym zapukał do wchodowych podwoi, które się otworzyły i przepuściły mordercę i niedoszłą ofiarę. Gdy wyszli z atrium, zaprowadził Norman Ben-Hura do bocznego pokoju, gdzie się młodzieniec dokładnie przebrał w szarą, grubą tunikę nieboszczyka. Rozeszli się w bliskości Omfalusu, a Norman rzekł na pożegnanie:

– Pamiętaj o mnie, synu Ariusza, i nie omiń winiarni w pobliżu cyrku. Ha, ha, ha! Nikt się jeszcze nigdy tak łatwo nie dorobił majątku. Niech cię bogowie strzegą!

Gdy Ben-Hur wychodził z atrium, raz jeszcze spojrzął na gladiatora w żydowskich leżącym sukniach. Podobieństwo było uderzające, a jeśli Thord dotrzyma obietnicy, oszustwo pozostanie tajemnicą.

Tej samej nocy opowiedział Ben-Hur w domu Simonidesa swoją przygodę w pałacu Iderne i ułożył się z kupcem, że zaraz nazajutrz zacznie go szukać. Prawdopodobnie rzecz się wytoczy przed Maksencjusza, a jeśli tajemnica pozostanie w ukryciu, to Messala i Gratus w spokoju i szczęściu będą używać jego majątku; Ben-Hur zaś uda się do Jerozolimy, aby szukać swoich.

Żegnano się na tarasie, Simonides siedząc w krześle, patrzył na rzekę i żegnał Ben-Hura jak syna.

Estera towarzyszyła młodzieńcowi aż do schodów.

– Jeśli odzyskam moją matkę, Estero, połączysz się z nią i będziesz siostrą mojej Tirzy.

Mówiąc to, złożył pocałunek na jej licu.

Byłże to tylko pocałunek brata?

Płynął rzeką aż do ostatniej kwatery liderima, gdzie zastał Araba, który mu miał być przewodnikiem. Gdy wyprowadzono konie, rzekł Arab:

– Oto twój koń.

Ben-Hur spojrzął i zobaczył Aldebarana, najszybszego z synów Miry i najszlachetniejszego z koni szejka po Syriuszu. Był to dar godny serca Ilderima.

Trupa, co leżał w atrium wspaniałego pałacu, sprzątnięto i pochowano natychmiast, korzystając z cieniów nocy. Stosownie do planu Messali, wysłano do Gratusa gońca z radosną o śmierci Hura nowiną, że ta śmierć była już tym razem niewątpliwą.

Niedługo otworzono winiarnię w pobliżu cyrku Maksimusa, a nad jej drzwiami błyszczał napis:

THORD NORMAN

ROZDZIAŁ XXVIII

Trzydzieści dni upłynęło od owej nocy, w której Ben-Hur opuścił Antiochię, aby się udać za szejkiem Ilderimem na pustynię.

W tym krótkim czasie zaszła zmiana o wielkim znaczeniu dla naszego bohatera: Waleriusza Gratusa pozbawiono władzy, a miejsce jego zajął Poncki Piłat.

Trzeba nam wiedzieć, że zmiana ta kosztowała Simonidesa pięć talentów, którymi obdarował Sejana, cieszącego się największymi względami Cezara. Uczynił to kupiec w interesie Ben-Hura, chcąc mu ułatwić poszukiwania w pobliżu Jerozolimy. Na ten cel obrócił wierny sługa pieniądze od Druzusa i jego stronników wygrane! Wszyscy, którzy zapłacili zakłady, już tym samym nienawidzili Messalę, sprawcę ich porażki. W sprawie odpowiedzialności Messali, jako nie wypłacającego zobowiązań, nie nadeszła dotąd z Rzymu odpowiedź.

Zmiana namiestnika dopiero wprawdzie nastąpiła, a już Żydzi wiedzieli, że nie wyjdą na niej dobrze.

Kohortę, mającą objąć fort Antonia i zluzować poprzednią, wysłano i zakwaterowano w nocy, a zaraz nazajutrz spostrzegli mieszkańcy Jerozolimy, że wieże starej warowni przyozdobiono wojskowymi godłami. Wśród orłów i hełmów znajdowało się również olbrzymie popiersie Cezara. Na ten widok oburzył się naród i tłumnie, z wielką wrzawą ruszył do Cezarei, gdzie dotąd przebywał Piłat. Tam otoczono pałac namiestnika i domagano się z wciekłością usunięcia znienawidzonych godeł. Pięć dni oblegały zbuntowane tłumy pałac, nareszcie zdecydował się Piłat udzielić im posłuchania, i wyznaczył cyrk na punkt zborny... Ufając słowu namiestnika, przyszedli tam Żydzi spokojnie; gdy nagle otoczyło ich wojsko, przerażeni udali się w pokorę i zdali się na łaskę i niełaskę. Rozbrojony ich powolnością Poncjusz, postanowił uczynić zadość ich prośbie. Nazajutrz wróciły godła do Cezarei, gdzie je przez lat jedenaście przechowywał rozważniejszy Gratus.

Nie ma tak złego człowieka, który nie uczyniłby czasem coś dobrego i użytecznego. Tak było i z Piłatem, który zaczął swe rządy w obawie odpowiedzialności, nie tylko zbadaniem więzień, ale i ścisłym rozpoznawaniem spraw uwięzionych. Na Żydach, choć to uczynił we własnym interesie, nakaz ten zrobił dobre wrażenie, nabrali doń zaufania i uspokoili się. Mnóstwo zadziwiających faktów odkryto wtedy; setki osób, zamkniętych często bez oskarżenia, uzyskało wolność. Wśród nich było wielu, których zgoła uważano za umarłych.

Co więcej, otworzono więzienia nieznane ludziom, którym straż była oddana. Najdziwniejszym był fakt, jaki się zdarzył w samej Jerozolimie.

Forteca Antonia zajmowała dwie trzecie góry Moria i była niegdyś pałacem zbudowanym przez Macedończyków. Później Jan Hyrkanus zamienił pałac w warownię ku obronie świątyni, która z taką twierdzą stała się niezdobytą. Herod, rozmiłowany w budownictwie, umocnił i rozszerzył mury twierdzy, zaopatrzył ją w baraki, składy, cysterny, a przede wszystkim rozszerzył i pomnożył więzienia. W tym celu kazał zrównać otaczające skały, wykuć w nich głębokie wydrążenia, podzielić na cele, a ponad nimi wznosił pyszną kolumnadę, łączącą tę budowę z samą świątynią. Z dachu tej kolumnady można było widzieć całe podwórze świętego przybytku.

Tak umocnioną i ozdobioną twierdzę otrzymali Rzymianie; szybko ocenili zdobyc i umieli ją wyzyskać. Przez cały okres rządów Gratusa fortecę zajmowało wojsko, zaś więzienia jej przepełnione były buntownikami. Biada gdy spuszczone mosty i otwierano bramy warowni! Nimi wychodziła bowiem kohorta, spiesząc tłumić wszelkie zarzewie buntu! Biada Żydowi, kiedy mu więźniem przyszło mijać te bramy i mosty!

Rozkaz nowego prokuratora, żądający wykazu uwięzionych w fortecy Antonia, wypełniono szybko. Nie minęły dwa dni od chwili, jak przesłuchano ostatniego z nieszczęśliwych, a spis gotowy leży na stole trybuna, obecnie urzędującego. Za chwilę prześlą go Piłatowi, przebywającemu w pałacu na górze Syjon.

Izba, w której przebywa obecnie trybun, jest obszerna i chłodna, urządzenie jej odpowiada godności komendanta i jego ważnemu stanowisku. Już jest późno, bo około siódmej godziny dnia, i nie dziw, że tenże czuje się zmęczony i niecierpliwy. Chciał jak najprędzej wysłać raport i pójść odetchnąć świeżym powietrzem na dachu kolumnady, skąd widzieć można modlących się w podwórzach świątyni Żydów. Podwładni trybuna niecierpliwą się również i radziby spocząć; tymczasem nowe opóźnienie, bo oto wchodzi człowiek z pękiem ciężkich kluczy, a dowódca mimo pośpiechu – zwraca się ku niemu:

– A toś ty, Gejzuszu, chodź bliżej.

Nowo przybyły podszedł do stołu, przy którym siedział trybun w wygodnym krześle; wszyscy obecni spojrzeli i spostrzegli, że na twarzy przybyłego wyrażało się przerażenie i zarazem obawa. Ucieszyli się więc, chcąc słyszeć co powie:

– O trybunie – zaczął mówić, oddając niski pokłon – lękam się powiedzieć.

– Pewno jakie bałamuctwo lub nowa pomyłka.

– Gdybym mniemał, że to pomyłka, obawa moja nie byłaby tak wielka.

– Chodzi więc pewno o zbrodnię lub zaniedbanie obowiązku. Można bezkarnie śmiać się z Cezara, lub kłać bogi, ale znieważyć orły, to by się równało zbrodni. No, mówże!

Dobiega mniej więcej lat osiem, jak Waleriusz Gratus przeznaczył mnie na strażnika więzień fortecznych – mówił z wolna klucznik. – Pamiętam doskonale rano, w którym objąłem obowiązki, a było to w dniu buntu i walki ulicznej. Pobiliśmy oczywiście Żydów, ale nie bez strat z naszej strony; początkiem zaś owego buntu miał być zamach na Gratusa, który spadł z konia, raniony dachówką rzuconą z dachu. Zawołano mnie do niego i zastałem go tu z obwiązaną głową, siedzącego na miejscu, które obecnie, trybunie, zajmujesz. Oznajmił mi Gratus o moim wyborze, oddał te numerowane podług cel klucze i polecił, abym się z tymi godłami mego urzędu nigdy nie rozłączał. Na stole leżał zwój pergaminów. Gratus wziął go w rękę, rozwinął i rzekł: oto są plany trzech cel: ta pierwsza – tu wskazał podział wyższego piętra na jednej z kart – ta druga, a ta najniższego, trzeciego piętra. Oddaję ci je w zaufaniu. Wziąłem je z jego ręki. a on dodał: oto masz klucze i mapy; idź zaraz i rozpatrz się rozporządzeniu, a obejrzyj dokładnie. Gdybyś jeszcze nie był dość siebie pewny, zarządz, jak uznasz za najlepsze, bo po mnie ty sam jesteś panem.

– Skłoniłem mu się i chciałem wyjść, ale prokurator przywołał mnie raz jeszcze i mówił: zapomniałem ci coś powiedzieć, daj mi mapę trzeciego piętra – dałem mu, a on rozłożywszy ją na stole, rzekł: Widzisz tu tę celę? – wskazał palcem na numer V. – W niej zamknięci są trzej ludzie, którzy dowiedzieli się tajemnicy zagrażającej bezpieczeństwu państwa rzymskiego, jakim sposobem... nie wiem, ale muszą cierpieć za swą ciekawość, bo ona w takich przypadkach gorszą jest od zbrodni. Tu spojrzął na mnie surowo i mówił dalej: za karę wylupiono im oczy i wyrwano języki, a skazani są na całe życie. Jeść i pić podawać im będziesz otworem w murze, słyszałeś? – Odpowiedziałem twierdząco, on zaś mówił dalej: Jeszcze jedno, a zapamiętaj to sobie. – Mówiąc to, spojrzął na mnie groźnie. – Oto wejście do ich celi, numer V, słyszysz Gejzuszu? – wskazał palcem na mapę, żebym lepiej zapamiętał – żeby mi go nigdy nie otwierać, żeby tam nikt, nawet ty, nigdy nie chodził.

– A w razie śmierci, to cóż? – spytałem.

- Gdy umrą, cela stanie się ich grobem; na to ich tam zamknięto: cela zresztą jest zakażona trędem.
- Rozumiem – odparłem i posłuchanie skończyło się.

Tu Gejusz wyjął z zanadru swej tuniki zwój pergaminowy, położył od starości i używania, a rozkładając jedną z tych kart przed trybunem, dodał: Oto plan najniższego piętra.

Całe zgromadzenie z ciekawością patrzyło na mapę.

Mapa

Korytarz		Schody		
V	IV	III	II	I

– Taką mapę i taki plan otrzymałem od Gratusa. A tu cela z numerem V – mówił Gejusz.

– Widzę – odparł trybun. – Zatem, jak mówiłeś, cela ta była zakażoną.

– Pragnąłbym zadać jedno pytanie – zauważył pokornie klucznik.

Trybun dał znak przyzwolenia.

– Czy mogłem mapę w takich otrzymaną okolicznościach uważać za prawdziwą?

– Oczywiście, że nic innego nie wypadało.

– Ale ona nie jest prawdziwa. Trybun spojrzął zdziwiony.

– Nie jest prawdziwa – powtórzył klucznik. – Wskazuje ona tylko pięć cel, a tam ich jest sześć.

– Sześć?

– Pokażę ci piętro, jakim jest, a raczej, jakim mniemam, że jest.

Tu Gejusz wyrysował na tabliczce następujący plan i podał go trybunowi:

Korytarz		Schody		
V	IV	III	II	I
VI				

– Dobrze narysowałeś – rzekł trybun, chcąc skończyć rozmowę – każę zrobić nowy plan i dam ci go jutro, gdy przyjdiesz. Dokończywszy słów tych, wstał.

– Racz mnie jeszcze posłuchać, trybunie.

– Jutro, Gejuszu, jutro.

– To, co mam powiedzieć, nie cierpi zwłoki.

Trybun zajął znowu, acz niechętnie krzesło.

– Będę się starał być zwięzłym – rzekł dozorca pokornie – tylko pozwól mi jeszcze na jedno pytanie.

– Miałem nie wierzyć Gratusowi, gdy mówił o więźniach pod liczbą V?

– Ależ zapewne, że winienesz wierzyć; obowiązkiem twoim było wierzyć, iż cela zawiera trzech więźniów ślepych i bez języków.

– Dobrze – odparł dozorca – a jednak rzecz tak się nie miała.

– Nie?... – rzekł trybun z nowym zdziwieniem.

– Słuchaj i osądź. Stosownie do rozkazu obszedłem cele, zaczynając od pierwszego piętra, a kończąc na najniższych. Rozkaz nieotwierania numeru V szanowałem przez całe osiem lat, podając jedzenie i picie otworem na to przeznaczonym.

– Wczoraj, gdy odebrałem nowy rozkaz, nie bez ciekawości zbliżyłem się do tych drzwi, spodziewając się ujrzeć tych nieszczęśliwych, co wbrew wszelkim oczekiwaniom tak długo żyli. Z razu zamki nie chciały puścić i dopiero, gdyśmy je z całą siłą pchnęli, ciężkie drzwi się otworzyły. Wszedłszy zastałem tam jednego tylko człowieka bez oczu, języka i całkiem obnażonego. Włosy nieszczęśliwego posklejane, spadały na piersi i plecy; skóra żółta jak pergamin; a gdy wyciągnął ręce, ujrzałem paznokcie palców zaokrąglone jak szpony ptaka.

Pytałem go o towarzyszy, wstrząsnął przecząco głową; mimo tego zaprzeczenia przeszukaliśmy całą celę. Podłoga była mokra jak i mury, a nigdzie żadnego śladu reszty więźniów. Gdyby tam zamknięto trzech ludzi i dwóch z nich umarło, toć byłyby przynajmniej ich kości.

– Cóż więc przypuszczasz?

– Sądzę, trybunie, że przez całe osiem lat w celi tej tylko jeden znajdował się więzień.

Tu trybun rzucił na klucznika badawcze spojrzenie i rzekł: Miej się na baczności, miałbyś twierdzić, że Waleriusz kłamał?

Gejusz skłonił się i rzekł: Mógł sam być w błędzie.

– Nie, chyba nie – przeczył trybun. – Stosownie do tego co mówisz, wiedział, bo czy nie powiedziałeś dopiero co, że jadła i napoju dostarczano na trzy osoby?

Otaczający przyświadczyli, podziwiając rozumną domyślność swego przełożonego; ale Gejusz, pewny siebie, zdawał się nie zważać na tę uwagę.

– To dopiero połowa historii: skoro się dowiesz całej, podzielisz moje przekonania. Otóż, cóż dalej zrobiłem z owym człowiekiem: posłałem go do łaźni, kazałem oczyścić i odziać, a potem wyprowadziłem przed bramę fortecy i puściłem na wolność, umywając od reszty ręce. Tymczasem dziś on wrócił, a gdy go do mnie przyprowadzono, płakał i dawał mi znakami do zrozumienia, że chce wrócić do celi, na co pozwoliłem. Gdy go wiedziono, wyrwał się i padł mi do nóg, błagając, abym za nim poszedł. W tej chwili tajemnica o trzech ludziach stanęła mi na myśli i tym skorzej uległem jego prośbom. Dziś zaś cieszę się, że uczyniłem, jak żądał.

Całe zgromadzenie słuchało teraz opowiadania z najwyższym zaciekawieniem.

– Gdyśmy się znaleźli w celi, nieszczęśliwy poznał ją po omacku, z czego dziwną okazywał radość; a biorąc mnie za rękę, przywiódł do otworu podobnego do tego, którym się jemu jeść podawało. Był to otwór dość duży, cały hełm mógł się przezeń przesunąć, a przecież dnia poprzedniego uszedł naszej uwagi. Trzymając mnie za rękę, włożył głowę w otwór i wydał krzyk zwierzęcy. Zdziwony odsunąłem nieszczęśliwego, a zajmąwszy jego miejsce, zawołałem do wnętrza: – Hej, jest tam kto? – Zrazu nie odebrałem żadnej odpowiedzi, ale za powtórny zapytaniem usłyszałem taką odpowiedź: – Bądź pochwalony, o Panie! – Zdziwienie moje wzrosło, bo był to głos kobiecy. Pytałem dalej: – Kto jesteś? – Jestem niewiastą. Izraelitką, wraz z córką żywcem pogrzebaną. Pomóżcie nam rychło, bo bliskie jesteśmy śmierci. Zapewniłem je o pomocy i przyszedłem, aby zapytać o twą wolę.

Trybun wstał rozgorączkowany.

– Masz słuszność, Gejuzs: plan był fałszywy, a powieść o trzech więźniach kłamstwem. Zaprawdę, lepszych obywateli od Waleriusza Gratusa potrzeba Rzymowi.

– Tak – odparł klucznik. – Wiem od więźnia, iż co dzień podawał swym towarzyszkom jałdo i napój.

– Oto wyjaśnienie – dokończył trybun, patrząc po zgromadzonych i myśląc, jak to dobrze, że mu nie braknie na świadkach.

- Śpieszmy uwolnić kobiety, chodźmy wszyscy! Gejusz był wielce uradowany.
- Trzeba nam będzie zburzyć mur – zauważył. – Znalazłem miejsce, które było wejściem; obecnie założone jest kamieniami.

Trybun zwrócił się do swego pisarza: Przyślij za mną co rychlej robotników z narzędziami; sprawozdanie jeszcze zatrzymaj, bo trzeba będzie je uzupełnić.

Za chwilę opuścili komnatę.

ROZDZIAŁ XXIX

„Jestem niewiastą izraelską, żywcem wraz z córką pogrzebaną. Pomóżcie nam co rychlej, bo bliskie jesteśmy śmierci”.

Taką odpowiedź usłyszał Gejzusz z celi, którą na swym planie oznaczył liczbą VI, a czytelnik pomyślał sobie:

– Oto nareszcie znaleziono matkę i siostrę Ben-Hura. I tak też było.

Porwano je osiem lat temu, zaprowadzono do fortecy, bo tak chciał Gratus. Nie był to wybór przypadkowy. Jako pan twierdzy, wiedział, że celę VI nie tylko łatwiej było ukryć, ale w dodatku zakażona była trądem. Więzienie nie zdało mu się dostateczną karą, nie starczyły zamki i lochy dla nieszczęśliwych, zasłużyły na śmierć okrutną! Do tej strasznej nory przywlekli je niewolnicy w noc ciemną, wepchnęli w głąb i z okrucieństwem iście barbarzyńskim zamurowali otwór, odbierając wszelką nadzieję powrotu do świata. Ludzie ci nie wydali się Gratusowi dość pewnymi, dlatego wysłał ich w rozmaite strony, aby nie mieli sposobności zdradzić tajemnicy. Takim sposobem pozbył się Gratus rodziny, którą pragnął bezkarnie ograbić. Uczynił to dość zręcznie, bo bez hałasu; a jednak wiedział, że śmierć ich nie ulega wątpliwości. Gdyby zaś niecny czyn ten wyjść miał na jaw, to rzecz przedstawi się jako wymiar sprawiedliwości, nie zaś jako zbrodnia. Skazaniec ślepy i niemy miał im podawać napój i jadło otworem z sąsiedniej celi; zdrady z jego strony nie było potrzeby się obawiać. Messala w znacznej części był autorem tych pomysłów, które im obu ułatwiły zajęcie majątku i dobytku Hurów, bez wzbogacenia kasy cesarskiej. Ostatnim środkiem ostrożności było oddalenie dawnego dozorca więzień, chociaż ten wcale nie wiedział o zaszłych wypadkach; znał jednak doskonale więzienia i oczywiście przed nim sprawa ta nie dałaby się ukryć. Dalej jeszcze, z przebiegłością iście szatańską kazał prokurator sporządzić fałszywy plan z opuszczeniem celi VI i wręczył go, jak wiemy, nowemu dozorczy. Rozkazy dane przy wręczeniu planu były uwieńczeniem dzieła, bo cela i jej mieszkańcy istnieć przestali.

Chcąc sobie wyobrazić życie matki i córki w ciągu owych lat, trzeba nam sobie przypomnieć ich dawniejszy sposób życia. Wszak szczęście nasze lub boleść zależą od tego, jak je odczuwamy w duszy.

Aby choć w przybliżeniu zrozumieć cierpienia matki Ben-Hura, musimy sobie przypomnieć przymioty jej umysłu i serca, jak również okoliczności, towarzyszące jej uwięzieniu i zamurowaniu. Aby to odczuć, trzeba nam przypomnieć sobie spokojne, szczęśliwe życie w książęcym domu, owe wieczory letnie spędzane w gronie rodziny, i porównać z życiem w podziemiach fortecy Antonia.

Cela VI była taką, jak ją narysował Gejzusz na planie. Trudno coś dokładnego o jej rozmiarach powiedzieć; zdaje się jednak, że była obszerna, a ściany jej i podłoga pełne nierównych wklęsłości. Od strony zewnętrznej wchodziło do celi trochę świeżego powietrza, a czasem błysnęła i promień słońca.

Obie kobiety siedzą pod samą ścianą jedna na ziemi, a druga na wpół oparta na tamtej; nic tam nie ma prócz nagiej skały. Białe światło, wpadające otworem, daje im pozór widm, tym straszliwszych, że nie miały żadnego odzienia. A jednak nie są bez pociechy, bo oto obejmują się wzajemnie w miłości. Znikło bogactwo, znikła nadzieja, ale została miłość: Bóg jest miłością!

Miejsce, na którym siedziały, było gładkie od ciągłego używania; bo któż zdoła zliczyć, ile czasu w ciągu ośmiu lat spędziły na tym miejscu, czerpiąc nadzieję wyzwolenia z bladego, ale przecież przyjemnego promyka światła, przedzierającego się przez otwór w murze. Gdy rano zawitał, wiedziały, że dzień świta; gdy bladł, że noc zapada! Przez ową szparę tak małeńką wysyłały myśli w świat daleki, jakby była bramą królewskiego pałacu – i przebiegały go wszerz i wzdłuż, szukając jedna syna, druga brata. Szukały go na morzach i wyspach; zdawało im się, że go widzą to tu, to tam, a wszędzie w przelocie, bo jak same żyły, czekając na niego, tak i on żył, aby je odnaleźć. Jakże często, choć bezwiednie, myśli ich spotkały się na jednej drodze! Jakże często powtarzały sobie słowa, co były jedyną osłodą w cierpieniu: póki on żyje, pamiętać o nas będzie; a póki pamięta, nie traćmy nadziei. Nie myśląc już o tym, czym dawniej były obydwie niewiasty, doznajemy uczucia, że musiała w nich zajść zmiana, której samo długoletnie więzienie spowodować nie mogło.

Matka, gdy tu weszła, była kobietą piękną; córka śliczną dziewczeczką. Dziś nawet miłość temu zaprzeczyć musiała. Włosy ich długie, nieczesane, dziwnej białości, budzą grozę i wstręt. Może to dziwne światło wśród ciemności wywołuje takie wrażenie, a może jest coś w ich twarzach, co przestrasza ścina w żyłach krew? Może cierpią głód i pragnienie... wszak nie jadły i nie piły, odkąd ich niewolny sługa odzyskał wolność, a to było wczoraj.

Tirza w uścisku matki jęczy żałośnie.

– Bądź spokojna Tirzo; przyjdą niewątpliwie. Wszak Bóg jest dobry, a myśmy nigdy nie zapomniały o Nim; zawsze się modliłyśmy, gdy w świątyni odezwała się pobudka do modlitwy. Światło jeszcze jasne, słońce stoi na południowej stronie, z pewnością jeszcze siódmej nie ma. Niedługo ktoś się musi zjawić. Bóg jest dobry, ufajmy Jemu.

Proste te słowa matki nie minęły bez wrażenia. Tirza nie była już dzieckiem, bo do lat trzynastu, które liczyła wówczas, gdy ją więziono, przybyło osiem.

– Chcę być silną! – rzekła. – Wszak cierpisz porównowo ze mną, potrzeba mi żyć dla ciebie i brata. Cóż, kiedy język spieczony, usta spalone! Bezustannie muszę myśleć o tym, gdzie jest i czy kiedykolwiek nas znajdzie?

Głosy ich brzmią cicho, nienaturalnie.

Matka tuli córkę do serca i mówi: śniło, mi się tej nocy – widziałam go tak dokładnie jak ciebie w tej chwili. Czemuż nie miałabym wierzyć w sny, kiedy nasi ojcowie w nie wierzyli, a Pan tak często z nimi w ten sposób rozmawiał. Zdawało mi się żeśmy były w przedsionku niewiast – w świątyni; z nami było więcej kobiet; on przyszedł i stał w cieniu bramy, spoglądając dokoła. Serce biło mi gwałtownie; wiedziałam, że nas szuka; wyciągnęłam ręce ku niemu i biegłam, wołając go po imieniu, ale niestety, nie poznał mnie. W tej samej chwili znikł.

– Któż wie, czy tak kiedy nie będzie; wszak obie tak bardzo jesteśmy zmienione...

– Zapewne, jednak... – tu głowa matki opadła bezwładnie, na twarz wystąpił wyraz boleści, a podniósłszy się, rzekła: jednak możemy mu się dać poznać.

Tirza załamała ręce:

– Wody, matko, wody, choć kroplę wody!

Matka spojrzała wokoło po celi. Tyle razy wzywała Boga, tyle w Jego Imieniu obiecywała pomoc dziecku, że w tej chwili powtarzanie tych samych obietnic zdało się jej gorzkim urąganiem. Na domiar rozpaczy, światło poczęło niknąć, a pod wrażeniem zapadającego zmroku, zdało się jej, że śmierć już się zbliża; siły opuszczają ją i zwątpienie ogarnia silną dotąd duszę. Ostatnim wysiłkiem woli przemawia jeszcze, bo mówić trzeba, aby córkę wzmocnić.

– Cierpliwości, Tirzo, przyjdą... już są...

I oto – zdaje się, że słyszy głosy w pobliżu małego otworu, przez który im podawano napój i jedzenie. I nie myliła się. Za chwilę przebił mury celi krzyk skazańca, Tirza usłyszała go także. Wstały więc obie, wzajemnie się wspierając; a matka zawołała z zapalem pełnym wiary i nadziei.

- Pochwalonym niech będzie Pan po wsze wieki.
- Kto tam? – zapytano, a potem: – Kim jesteście?

Głos to nieznamy. Ale cóż je to obchodzić może? Od ośmiu lat pierwszy to głos, prócz głosu Tirzy, co uderza jej ucho. Oto nagle przejście od śmierci do życia!

- Niewiasta izraelska pogrzebana wraz z córką. Pomóż nam, bo pomrzemy!
- Nie traćcie nadziei, wnet wrócimy.

Kobiety szlochały głośno. – Znalaziono je, ratunek jest bliski. Zwrócone im będzie wszystko, co utraciły: dom, towarzystwo, własność, syn i brat! Światelko tak małe i smutne, wydało im się jakby jasność dnia; zapomniwały o bólu, głodzie, pragnieniu i padły na ziemię we wzajemnym uścisku.

Tym razem oczekiwanie nie trwało długo. Gejzusz opowiadał wprawdzie przewlekłe swą historię, ale skończył ją nareszcie; trybun zaś był energiczny i przedsiębiorczy.

- Hej! Jesteście tam? – krzyknął przez otwór.
- Jesteśmy! – zawołała matka, wstając z ziemi.

Prawie równocześnie usłyszały uderzenia młotów. – Nie mówiły do siebie, ale słuchały i pojmowały, co znaczy ten huk, rozumiały, że robią dla nich drogę do wolności.

Już słyhać rozmawiających robotników; dalej o radości, już przedziera się światło pochodni przez szczelinę w murze. – To on, matko, to oni Znalazł nas nareszcie – wołała Tirza z ożywieniem.

- Bóg jest dobry! – odparła matka spokojnie.

I znów upadł kamień, potem drugi – potem cała masa i zrobił się otwór! W otworze stanął człowiek obsypany pyłem, oświetlając pochodnią wnętrze celi. Jeszcze dwóch innych stanęło po bokach, trzymających również pochodnie, aby przepuścić trybuna.

Uszanowanie dla kobiet nie jest cczą formą, leży ono w głębi prawdziwie męskiej natury. Trybun stanął, gdyż spostrzegł, że kobiety przed nim uciekły – nie z bojaźni, ale ze wstydu. Ale zaprawdę, nie z samego wstydu się chroniły. Z głębi celi usłyszał głos najstraszliwszy, najokropniejszy, usuwający wszelką nadzieję, najboleśniejszy, jaki ludzkim językiem da się wyrazić.

- Uciekajcie! Nie zbliżajcie się, bośmy nieczyste!
- Ludzie, stojący u otworu, spojrzeli po sobie.

- Nieczyste, nieczyste! – rozległ się głos po raz wtóry, jak skarga bólu.

Tak spełniła swe obowiązki wdowa i matka, czując w tej chwili, że wolność, o którą błagała, o której śniła, o której marzyła, zmieniła się w jej ręku na jabłko sodomskie.

Ona i Tirza były dotknięte trędem.

Czytelnik nie zna może znaczenia tego słowa, dlatego przypomnieć trzeba ustawy dotyczącej tej strasznej choroby, o której ludzkość dzisiejsza niewiele wie.

– Tych czworo: „ślepy, trędowaty, ubogi i bezdzietny mają być uważani za umarłych”. Tak mówi Talmud. Stosownie do tego prawa, być trędowatym znaczy – być umarłym. Nie wolno mu mieszkać w rodzinnym mieście; z ukochanymi rozmawia tylko z oddalenia, nie posiada żadnych praw, nie przekracza progu świątyni, z synagogi nawet jest na zawsze wygnany. Za suknie służą mu łachmany, usta jego zamknięte milczeniem przerażenia; gdy je otwiera, to tylko po to, by wyrzec hasło ostrzegające:– nieczysty! nieczysty! – które oddała każdego. Domem jego i mieszkaniem pustynia i opuszczone groby... Był on niby widmem, upiorem dla wszystkich; i cierpienia jego, o tyle straszniejsze, że groziły drugim zarażeniem; drżał jak każdy śmiertelny przed śmiercią, a jednak w niej mógł pokładać nadzieję wyzwolenia.

Pewnego dnia ujrzała matka na prawej dłoni wyprysk, który na próżno zmyć usiłowała. Mało na to zważała i nie zdołałaby zdać sobie sprawy, kiedy to być mogło, w zimnym tym bowiem grobie straciła rachubę czasu. Niestety, niebawem Tirza zaczęła się na to samo skarżyć; wody, która jedynym mogła być lekarstwem, dawano tylko tyle, że używając jej do obmywania, musiałyby cierpieć pragnienie.

Z czasem pryszcz ten rozwinął się na całą rękę, skóra poodpadała, paznokcie odpadały od ciała. Cierpienia ich nie były przecież dojmujące, ale ciągle; usta wysychały, wargi pękały. Pewnego dnia, kiedy matka zajęła się jakim takim oczyszczeniem celi, zapragnęła się przypatrzeć twarzy Tirzy i przekonać, czy straszna choroba nie nadwreżyła rysów twarzy jej ukochanego dziecięcia i z najwyższym przerażeniem ujrzała, że rzęsy jej były białe jak śnieg.

Jakaż boleść ogarnęła duszę matki!

Chwilę stała jakby skamieniała. Nie mogła wymówić ani słowa i usiadła na kamiennej ławie, a umysł jej trapiła myśl: to trąd! to trąd!

Nie o sobie myślała, ale o swoim dziecięciu! Miłość matki zamknęła jej usta, że nie zdradziła tej przygniatającej wiadomości córce. Świadomość nieszczęścia zamknęła więc w swym sercu; sama bez nadziei, nieciła święty płomień w sercu Tirzy i z dziwną przezornością, dziwną cierpliwością, zdołała ukryć przed córką, czym była zagrożona, utrzymując, że to rzecz małej wagi i przemijająca...

Mimo boleści i wewnętrznej trwogi, zdobyła się na wymyślanie jej rozrywek, opowiadając dawne historie i podania, lub tworząc nowe. Zawsze z równą radością słuchała śpiewów Tirzy, a obolałe usta jej samej brzmiały pieśniami Króla psalmisty. – Pienia te koiliły ich boleści, żywiły w sercach pamięć o Bogu, co się zdawało o nich wraz z całym światem zapominać. Wolno, ale straszliwie rozwijała się nieubłagana choroba, pokrywająca ich głowy białością, wyżerająca dziury w ustach i powiekach, a całe ciało pokrywająca bliznami. Potem zaczęła toczyć gardło, odbierając słodki dźwięk głosowi, dalej pozbawiła mięśnie giętkości, wdarła się do płuc, nerwów, kości, a każdy postęp straszliwego wroga czynił je słabszymi. Wśród tej grozy, biedna matka śledziła każdy objaw i wiedziała, że tak będzie aż do śmierci, na którą tylko Bóg wie, jak długo czekać będą?

Nareszcie przyszedł i ten straszny dzień, w którym matka musiała z poczucia obowiązku powiedzieć Tirzy nazwę ich choroby i potrafiła wraz z nią błagać Przedwiecznego o rychły koniec męczarni.

A jednak, jakże wielką jest siła przyzwyczajenia, kiedy i te nieszczęśliwe niewiasty zdołały po jakimś czasie znosić spokojnie swój los, znały swą chorobę, wiedziały, jak postępowała, a jednak – pragnęły żyć. Pragnęły życia, bo jeden jeszcze związek łączył je z ziemią; zapominały o swojej niedoli, krzepiąc w sobie ducha rozmową o Ben-Hurze. Wzajemnie obiecywały sobie, że wnet się z nim połączą; nie wątpiły, że jest im wierny jak dawniej, i podzielać będzie ich radość, gdy się nareszcie zobaczą. Przędąc tę wątłą nić, znajdowały w niej szczęście i nie pragnęły tak gorąco śmierci. W takim znajdowały się usposobieniu duszy, gdy usłyszały wołanie Gejusza, a dobiegała właśnie dwunasta godzina głodu i pragnienia.

Pochodnie rozjaśniły ciemności więzienia, wolność zawitała:

– Bóg jest dobry! – rzekła wdowa, dziękując tymi słowami Bogu. Nie ma zaiste lepszego sposobu okazania wdzięczności, jak zapomnieć minione złe, bo wtedy widzi się i ceni obecną łaskę.

Trybun wszedł, a oto z kąta, w którym się ukryły, zabrzmiało ostrzeżenie, wywołane poczuciem obowiązku:

– Nieczyste! Nieczyste!

Ileż zaparcia się siebie potrzeba było na wypełnienie tej smutnej powinności! Nawet radość z odzyskanej wolności nie zagłuszyła w niej zrozumienia, co obecnie nastąpić może. Dawne szczęśliwe życie ani wróci, ani wrócić nie może. Gdyby się zbliżyły do swego dawnego domu, to tylko do proga i chyba na to, aby zawołać: „nieczyste! nieczyste!” Jednak w pierś żyje i żyć będzie miłość silna i czuła jak zawsze, miłość do syna, o którym myśl była jedyną osłodą w więzieniu. Ileż to razy widziała przed oczyma duszy chwilę, która ich połączyć miała! A teraz? Teraz, gdyby się do niej zbliżył, musiałyby uciekać; gdyby wyciągnął ręce i wołał słodkim, tak dawno nie słyszonym głosem: „matko! matko” – musiałyby go powstrzymać wołaniem: „nieczyste, nieczyste!” A drugie dziecko, które w braku innej odzieży pokry-

wało nagość swoją roztarganymi włosami o nienaturalnej i obrzydliwej białości... Ach! ona już do końca życia pozostanie jej nieodstępna w niedoli towarzyszką. A jednak mężna niewiasta nie zawahała się ani na chwilę, a z ust jej padły słowa, które od wieków jako przestroga brzmiały: „nieczyste! nieczyste!” A odtąd będzie słowa te powtarzała zamiast pozdrowienia. Trybun usłyszał je, ale pozostał.

– Kim jesteście?

– Jesteśmy kobiety, umieramy z głodu i pragnienia, lecz... nie zbliżajcie się i nie dotykajcie się ani murów, ani podłogi... nieczyste!

– Opowiedz swoje dzieje, kobieto, wymień nazwisko, kiedy i kto cię tu zamknął?

– Był niegdyś w mieście Jerozolimie książę Ben-Hur, znali go wszyscy szlachetni Rzymianie, sam Cezar był mu przyjacielem. Jam po nim wdowa, a to jego dziecko. Jak mogę ci powiedzieć, za co tu jestem, gdy sama nie wiem, chyba za to, że byliśmy bogaci. Waleriusz Gratus może powiedzieć, kto był naszym wrogiem i kiedy się zaczęła nasza niewola. Ja nie mogę! Patrz – o patrz, do jakiego stanu nas przywiedziono – patrz i miej litość!

Chociaż powietrze w celi było duszne od zarazy i swądu pochodni, Rzymianin przywołał do siebie jednego z trzymających światło i zapisał dokładnie zeznanie wdowy. Zeznanie było krótkie, ale zrozumiałe; w kilku słowach zawierało jej dzieje, oskarżenie i prośbę. Pospolita kobieta nie byłaby zdolna tak rzecz przedstawić, ani wzbudzić wiary i litości.

– Uczynię według twej prośby, niewiasto – rzekł trybun, składając tabliczki – przyślę wam jeść i pić.

– Pomnij, o panie, o odzieniu i oczyszczającej wodzie!

– Stanie się, jako pragniesz.

– Bóg jest dobry – mówiła, łkając wdowa – pokój Jego niechaj będzie z tobą.

– Nie ujrzę was więcej – dodał – przygotujcie się; wieczorem każę was zaprowadzić do bramy fortecznej i puścić na wolność. Dalej musicie się zastosować do prawa. Bywajcie zdrowe!

Wydawszy rozkaz, wyszedł.

Niebawem weszli do celi niewolnicy, niosąc wielkie konwie wody, wiadra i ręczniki oraz mięso, chleb i szaty niewieście. Wszystko to postawili u wejścia i uciekli.

Gdy noc zapadła, wyprowadzono obie niewiasty do bramy i wskazano ulice. W ten sposób pozbył się Rzymianin ich obecności, a one odzyskały wolność wśród murów rodzinnego miasta.

Opuszczając fortecę, spojrzały w górę na gwiazdy i spytały się:

– Cóż teraz? Dokąd się udać?

ROZDZIAŁ XXX

Prawie o tej samej godzinie, w której Gejzusz, klucznik, stanął przed trybunem w fortecy, wstępował pieszy podróżnik na Górę Oliwną od jej wschodniej strony. Był to czas posuchy w Judei; więc droga to uciążliwa i pełna pyłu; roślinność, spalona od słońca, nie orzeźwiała płuc wędrowca. Podróżny jednak nie zdawał się zważać na trudy, był bowiem młody i silny, a krótkie i lekkie szaty nie przyczyniały gorąca.

Szedł z wolna, spoglądając to w prawo, to w lewo, ale nie okiem niespokojnym wędrownika niepewnego drogi; przeciwnie, zdawało się raczej, jakby witał każdy przedmiot, jakby się zbliżał po długiej rozłące do starych znajomych. Patrzył z rozkoszą i ciekawością, jak gdyby mówił: witam was, witam stare kąty.

W miarę, jak szedł w górę, coraz częściej przystawał, aby popatrzeć poza siebie na nienasycone łańcuch gór Moabu; skoro jednak zbliżał się do szczytu, już mimo zmęczenia przyspieszył kroku i nie oglądał się więcej. Na szczycie stanął, jakby wstrzymany nagle silną ręką. Z rozwartymi oczyma, płonąca twarzą, przyspieszonym oddechem patrzył na widok, który się rozciągał u nóg jego.

Podróżnikiem tym jest Ben-Hur, a u stóp jego Jerozolima.

Ben-Hur usiadł na kamieniu i zdjawszy biały zawój z głowy, przypatrywał się z rozkoszą krajobrazowi.

Słońce już się chyliło ku zachodowi, chwilę zwieszało się za dalekimi szczytami gór, oblewając całe miasto różowym światłem powoli znikając. Panująca wokoło cisza zwróciła myśli Ben-Hura ku rodzinnemu domowi. Wzrok jego spoczął na ciemnym punkcie nieba, na północ od świątyni— tam stał dom ojców jego.

Ciepły i miły powiew wieczornego wietrzyku łagodził uczucia Ben-Hura, usuwając z jego myśli wszelkie plany i zamiary, a zwrócił je do obowiązków, które go do Jerozolimy przywiodły.

Tam, w pustyni, z Ilderimem zapoznawał się z tym wszystkim, co mu było do dalszych planów potrzebne, a szczególnie badał miejscowość i siły, jakimi mógł na wszelki przypadek, jako wódz, rozporządzać. Pewnego dnia przybył goniec, przynoszący wiadomość o usunięciu Gratusa, a zamianowaniu Ponckiego Piłata.

Wobec kalectwa Messali i oddalenia Gratusa, nie miał już Ben-Hur powodu zwlekać dłużej z poszukiwaniem matki i siostry, nie było bowiem żadnej obawy. Gdyby sam nie mógł zwiedzić więzień Judei, to mógł się posłużyć drugimi. Skoro je znajdzie, cóż łatwiejszego, jak wyprosić u Piłata ich wyzwolenie nie żałując zwłaszcza pieniędzy. Gdy je następnie osadzi w bezpiecznym miejscu, będzie mógł się oddać zupełnie sprawie oczekiwanego króla. Takie powziął postanowienie; a gdy Ilderim zgodził się na nie, wyruszył z trzema Arabami do Jerycha, gdzie ich wraz z końmi zostawił, a sam pieszo puścił się w dalszą drogę. W Jerozolimie czekał na niego Malluch.

Ze względu na dalsze zamiary uważał za stosowne nie pokazywać się ludziom, szczególnie Rzymianom. Miał zresztą Mallucha, człowieka bystrego i przebiegłego, który, bez zwrócenia na siebie uwagi, mógł robić dalsze poszukiwania.

Najwięcej zastanawiał się Ben-Hur nad tym, od czego zacząć, tym bardziej, że brakło mu wszelkich śladów. Jakby przecuciem wiedziony, myślał rozpocząć od fortecy Antonia; przemawiały za tym tradycje o labiryncie cel więziennych, które straszyły bardziej wyobraźnię żydowską, niż najsilniejsza załoga. Często przypuszczał, że rodzinę jego pogrzebano w takim lochu, zresztą szedł w tej myśli za naturalnym popędem, przypominającym mu, że ostatni raz widział swoje ukochane, gdy je ciągnięto w stronę fortecy... Może ich teraz tam nie znajdzie, ale jeśli były kiedyś, to zostało ich wspomnienie i pamięć wypadku, co posłużą do dalszego poszukiwania, jako ślad pewny.

Najwięcej jednak w całej tej sprawie liczył Ben-Hur na pomoc jednej jeszcze osoby. Dowiedział się od Simonidesa, że Amra – Egipcjanka żyje w pałacu. W ciągu tych ośmiu lat Simonides wspierał ją i żyła jako jedyna mieszkanka pałacu. Na próżno starał się Gratus sprzedać to gniazdo znienawidzonej rodziny; historia tego domu odstręczała nie tylko kupców, ale i wynajmujących. Przechodnie mijali dom z trwożliwym szeptem i ogólne było mniemanie, że pustkę tę zamieszkują duchy. Powodem tych wieści była zapewne Amra, którą od czasu do czasu widywano to na dachu, to w oknach pałacu. Duchem była więc rzeczywiście kobieta, ale zaprawdę, trudno by znaleźć stosowniejsze dla upiorów siedlisko nad opuszczony pałac prześladowanej rodziny. Nic więc naturalniejszego, że Ben-Hur spodziewał się od niej czegoś dowiedzieć się, co rzuci światło na całą sprawę i pomoże w poszukiwaniach. Nie mało cieszył się na chwilę ujrzenia pocziwej niewiasty w miejscu tak miłym i drogim.

Tą nadzieją wzmocniony, spieszył do rodzinnego domu i Amry, a spuszczać się z góry, szedł drogą na północny wschód.

Na samym prawie skrócie, tuż przy korycie Cedronu, wszedł na drogę, wiodącą do wioski Siloam i stawu tej nazwy. Tu spotkał pasterza, wiodącego owce na jutrzejszy targ, wszczął z nim rozmowę i szli razem, mijając Getsemani przez Bramę Rybią do miasta.

Ciemno już było, gdy Ben-Hur, rozłączywszy się u bramy z pasterzem, skręcił w wąską ulicę, która wiodła ku południu. Nieliczni przechodnie pozdrawiali go; odgłos jego kroków rozlegał się głucho po ulicy. Domy po obu stronach były niskie, ciemne i smutne; prawie wszystkie drzwi już pozamykano i tylko gdzieś dołatywał go z poddasza śpiew matek, usypiających niemowlęta. Samotność, noc, niepewność powodzenia, wszystko usposabiało go posepnie. Raz nabierał odwagi, to znów ją tracił. W takim sianie duszy doszedł do głębokiego stawu Belesda, w którego wodach odbijały się ciemne chmury. Spojrzawszy w góry, ujrzał na północy rysującą się na popielatym tle wieczornego nieba fortecę Antonia, ciemną, posepną. Nikt go nie zatrzymywał, nie było straży, a jednak przystanął, jakby ulegając niewidzialnej sile.

Ogromna forteca przedstawiała się w całej swej okazałości. Ben-Hur. zrozumiał, że nie jest do zdobycia i zdrzął pod tym wrażeniem. Myśl, że jego matka i siostra mogą tam być pogrzebane, zmroziła mu krew w żyłach. Cóż zdoła dla nich uczynić? Siłą oręza nic, cała armia mogłaby tu walczyć i zdobywać ją przyrządami oblężniczymi – wszystko nadaremno.

Wobec tego pozostaje tylko jedna droga, droga podstępu, ale tak często zawodna. Bóg, ostatnia ucieczka człowieka, pozbawionego wszelkiej pomocy – ucieczka pewna, ale często każe nam długo na pomoc czekać!

Znękany zwątpieniem, zwrócił się ulicą poniżej wieży i szedł nią ku zachodowi.

Wiedział, że po drugiej stronie w Bezecie jest gospoda; tam chciał zamieszkać, póki tu pozostawał. Ale zbliżając się do tego miejsca, dał się opanować pragnieniu odwiedzenia rodzinnego domu – serce domagało się silnie o swoje prawa.

Stare zwykle pozdrowienie, którym go kilku powitało przechodniów, nigdy mu się tak miłym nie wydało. Nagle zeszyły gwiazdy osrebrzyły całą wschodnią część nieba, a na tym jasnym tle wystąpiły przedmioty w ciemnościach niewidziane, a szczególnie smukłe wieże na górze Syjon; wyłoniły się one z głębokich cieni z jakąś niezwykłą dokładnością, niby groźne napowietrzne widma.

Pod wrażeniem dziwnej grozy stanął nareszcie młodzieniec u progu rodzinnego domu.

Wśród czytelników zapewnię nie znajdzie się taki, któryby nie odgadł uczuć miotających sercem Ben-Hura. ale z pewnością będą tacy, którzy w swej młodości używali również szczęścia u ogniska rodzinnego jak nasz bohater, i tak samo jak on stracili je na zawsze. Zwracają się myślą do owych szczęśliwych chwil, spędzonych w domu rodzicielskim, który był im rajem, a który opuścili wśród łez, choć w nim niegdyś rozbrzmiewała wesoła pieśń i panowała niczym nie krępowana swoboda. Czemuż, niestety, powrót do każdego raję jest tak trudny!

Stał Ben-Hur u bramy starego domu i widział jeszcze ślady wosku, użytego do pieczętowania; nawet karta widniała z napisem:

„TO JEST WŁASNOŚĆ CEZARA”

Od owego strasznego dnia nikt ani wszedł, ani wyszedł tą bramą. Miałby zapukać jak dawniej? Nie, wie on dobrze, że byłoby to na próżno, a jednak nie może oprzeć się pokusie. Któż wie... może Amra usłyszy i wyjrzy jednym z okien. Myśląc tak, wstąpił na szerokie stopnie i wzięwszy kamień, uderzył trzy razy. Głuche echo odpowiedziało mu złowrogo. Spróbował raz jeszcze i uderzył silniej niż poprzednio i znów nasłuchiwał. Nic, prócz echa nie przerwało ciszy. Cofnął się więc w ulicę i przypatrywał się oknom, ale były puste i ciemne. Widok dachu odcinał się ostro na pogodnym niebie, jasno było, jak w dzień i nic nie mogło ujść jego oku – lecz nic nie ujrział.

Z północy przeszedł na zachód, gdzie bacznie obejrzał cztery okna – i to na próżno. Chwilami serce jego pełne było bezowocnych życzeń, tak że drżał z obawy i rozczarowania. Amra nie dawała znaku życia.

W milczeniu udał się na stronę południową, gdzie również zastał bramę opieczętowaną i w napis zaopatrzoną. Gniew go ogarnął na ten widok; przeczytał napis, zerwał tablicę i rzucił ją na środek ulicy. Potem usiadł na stopniu i modlił się, aby Pan zesłał rychło przez wszystkie narody oczekiwanego Mesjasza. Pokrzepiwszy się modlitwą, znalazł trochę spokoju a znużony podróżą i upałem dnia, pochylał się i wkrótce zasnął twardym snem.

Prawie w tym samym czasie wyszły z ulicy prowadzącej od fortecy Antonia dwie kobiety i zwróciły się ku pałacowi Hurów. Szły wolno i nieśmiało, co chwilę przystając i nasłuchując. U rogu starożytnej budowy jedna z nich rzekła:

– Oto nasz dom, Tirzo!

Dziewczyzna konwulsyjnie chwyciła rękę matki, a wsparłszy się na niej ciężko, płakała w milczeniu.

– Chodźmy, dziecię moje, bo – tu matka zawahała się i dreszcz przebiegł po jej ciele; potrzebowała chwili, aby opanować swe uczucia, po czym dodała spokojniej: – bo gdy ranek zaświta, wyrzucą nas z miasta na zawsze.

Pod ciężarem tych słów Tirza zatoczyła się i padła na kamienie.

– Ach, prawda! rzekła łkając. – Zapomniałam... zdało mi się, że wracam do domu. Tymczasem jesteśmy trędowate, nie mamy domu, policzone jesteśmy między umarłych.

Matka podniosła ją czule z ziemi, mówiąc: Nie lękaj się. chodź.

Zaprawdę, dość im było wyciągnąć ręce, aby całe wojsko poszło w rozsypkę. Idąc wzdłuż muru, podobne były do straszliwych widm. Doszedłszy do bramy, stanęły; ujrzwały napis i przeczytały go, jak to przed chwilą uczynił Ben-Hur: „To jest własność Cezara”. Matka załamała ręce, a wzniósłszy oczy, jęknęła od niewysłowionego bólu i przerażenia.

– Co ci to, matko?

– Nieszczęśliwy, umarł chyba! Nie żyje! – wołała.

– Kto, matko?

– Twój brat! Ogołocili go ze wszystkiego, nawet ten dom mu zabrali.

– Biedny mój brat!

– Nigdy nie zdoła nam dać pomocy.
– I cóż poczniemy, matko?
– Jutro, jutro, moje dziecko, musimy poszukać schronienia przy drodze i żebrać, jak to czynią trędowaci, błagać o litość przechodniów...

Tirza wsparła się tkliwie na rękę matki, mówiąc po cichu: – Pozwól mi umrzeć, matko moja.

– Nie – rzekła matka stanowczo – Pan oznacza kres życia ludzkiego, myśmy Jego wierne sługi, i posłusznie czekać na Niego będziemy. Chodź!

Mówiąc to, ujęła rękę Tirzy i spiesznie przeszły na zachodnią stronę domu; nie spotkawszy nikogo, obeszły narożnik, gdy nagle przeraziło ich jasne światło księżyca, co oświecało południowy front pałacu i część ulicy. Mimo obawy nie cofnęła się matka: spoglądając na zachodnie okna, prowadziła ociągającą się Tirze. Teraz można już było w blasku księżyca dostrzec straszliwe ślady ich choroby na ustach, licach, zbielejących oczach i poranionych rękach, a zwłaszcza po długich splotach włosów i brwiach zupełnie białych. Na próżno chciałby patrzeć na nich odgadnąć, która z nich matką, która córką; obie zdawały się być w równym wieku.

– Cicho! – przemówiła matka. – Ktoś leży u stopni wejściowych... jakiś człowiek.

Przeszły na drugą stronę ulicy i w cieniu podeszły aż pod bramę, u której stanęły.

– Śpi. Tirzo.

Mężczyzna leżał nieruchomo.

– Czekaj, spróbuję otworzyć.

Mówiąc te słowa, przesunęła się matka cicho koło śpiącego i spróbowała ruszyć furtkę; czy furtka się poruszyła, nie spostrzegła wcale, bo w tejże chwili śpiący człowiek westchnął i obracając się niespokojnie, zsunął z głowy zawój w ten sposób, że odsłonił twarz obróconą do księżyca... Spojrzała na tę twarz i zdjęło ją trwożliwe zdziwienie; jeszcze raz spojrzała dokładniej. Nagle podniosła się, załamując ręce i w niemej boleści utkwiała w niego oczy. Po chwili zbliżyła się do Tirzy, mówiąc szeptem:

– Żywie Pan, bo oto syn mój, a brat twój.

– Mój brat... Juda?

Matka chwyciła ją za rękę.

– Chodź – rzekła znowu cichym szeptem. – Spójrzmy na niego razem – raz – raz jeden – a potem wesprzyj, o Panie, sługi twoje!

Trzymając się za ręce, przeszły na drugą stronę ulicy, biegły, a raczej sunęły szybko i milcząco jak widma. Gdy cień ich postaci padł na śpiącego, przystanęły i spostrzegły, że jedna jego ręka, dłonią odwrócona, leżała na stopniu. Tirza padła na kolana i chciała tę rękę pocałować, ale matka wstrzymała ją:

– Co chcesz uczynić, nieszczęsna! Wszak my nieczyste! – szepnęła.

Tirza odskoczyła, jakby on był trędowaty. We śnie pogrążony, pięknym był Ben-Hur, prawdziwie męską pięknnością. Policzki i czoło opaliło słońce pustyni. pod małym wąsem jaskrawą barwą wabiły usta, ukrywające białe zęby. a miękka broda nie zakrywała okrągłości podbródka i szyi. Jakże pięknym wydał się oczom matki! Jakże pragnęła ująć go w swe ramiona, położyć jego głowę na swoim łonie i ucałować, jak to czyniła, gdy był dzieckiem! Gdzież źródło siły, która ją wstrzymać zdołała? W miłości, w miłości macierzyńskiej, co się różni od każdej innej. Za nic, ani za cenę mienia, ani za szczęście całego żywota, ani wobec groźby śmierci nie złożyłaby swych trędowatych warg na jego policzkach. Jednego tylko wyrzec się nie chciała; tak, nie może odejść nie dotknawszy go – wszak ujrzała go po tylu latach i pożegnać musi na wieki. Jak to ciężko i gorzko, niech poświadczą matki! Ukłękła, i czołgając się do jego nogi, ustami dotknęła podeszwy sandału, chociaż był cały pyłem okryty – pocałowała ten martwy przedmiot kilkakrotnie, a cała jej dusza była w tych pocałunkach.

We śnie obrócił się parę razy, kobiety pierzchły w bok, ale usłyszały, jak mówił wyraźnie:

– Matka! Amra! Gdzie jest...

I znów zasnął silniej.

Tirza rzuciła na niego tęskne spojrzenia. Matka schyliła głowę, usiłując stłumić łkania, co szarpały jej serce i duszę. Była chwila, w której pragnęła, aby się zbudził.

Było to tylko przelotne życzenie. Czyż to nie dosyć, że nie była zapomniana! Śpiąc, myślał o niej! Czyż to nie dosyć?!

Na dany przez matkę znak Tirza powstała i obie rzuciły jeszcze jedno spojrzenie, pragnąc obraz jego w wiernej przechować pamięci. Gdy przeszły w cień ulicy, ukłękły i patrząc na niego, czekały, czy się nie przebudzi – czy może co innego się nie zdarzy; w ogóle same zapewne nie umiałyby powiedzieć, czego się spodziewały. Wstrzymywała je miłość.

On spał ciągle, a tymczasem inna znów niewiasta zbliżyła się do pałacu. Kobiety widziały ją dokładnie przy blasku księżyca; małego wzrostu, pochylona, o ciemnej płci i siwych włosach, ubrana była odpowiednio do służebnego stanu, ale czysto, a niosła kosz z jarzynami.

Gdy ujrzała leżącego człowieka, zatrzymała się; potem, jakby powziawszy postanowienie, poczęła się zbliżać bardzo ostrożnie. Minęła śpiącego, poszła ku bramie, a pocisnąwszy furtkę lekko jedną ręką, drugą odsunęła zasuwkę bez hałasu i gdy się lewa połowa bramy otworzyła, wsunęła kosz i już miała wejść, gdy nagle, ulegając ciekawości, spojrzęła ku nieznanemu, którego twarz widniała w świetle księżyca. Kobiety przypatrując się z drugiej strony ulicy, usłyszały okrzyk, potem widziały, jak kobieta przecierała oczy, chcąc lepiej ujrzeć twarz leżącego, jak pochylała się, składała ręce i wzrok natężony wlepiła w niego. Na koniec pochwyciła rękę młodzieńca i całowała ją z uczuciem. Uczyniła więc to, czego one na próżno pragnęły całą gorącością serc kochających!

Zbudziwszy się Ben-Hur, instynktownie cofnął rękę, ale wnet oczy jego padły na kobietę.

– Amro! O Amro! Czy to ty? – wołał.

Ona nie znalazła słów odpowiedzi, ale padła na kolana, płacząc rzewliwie.

Łagodnie podniósł ją, ucałował twarz jej, łzami oblaną, i zdawał się podzielać jej radość. Niewiasty w cieniu stojące usłyszały pierwsze między nimi zamienione wyrazy, a były to:

– Matka!– Tirza!– o Amro, powiedz mi, co wiesz o nich! mów, na Boga!

Amra płakała coraz rzewliwiej.

– Dawno ich nie widziała, Amro? Wiesz, gdzie się znajdują? Powiedz, czy są w domu?

Tirza podniosła się, matka odgadując jej myśli, chwyciła ją za rękę, szepcząc:

– Nie wąż się zbliżać: nieczyste, nieczyste!

Miłość jej miała jakby odbłysek tyranii, choćby oba ich serca popękać miały, on się nie dowie, w jakim znajdują się położeniu. Straszna była ta miłość w swej wielkości, która takie odniosła zwycięstwo.

Tymczasem Amra coraz głośniej płakała.

– Wszak miałaś zamiar wejść? – pytał wskazując drzwi otwarte.

– Chodź, pójdę z tobą:

– Rzymianie, o Rzymianie! Przekleństwo Pana niechaj was ściga. Kłamaliście jako psy, bo dom ten moim jest! Wstań Amro, wejdźmy.

I poszli... a tamte dwie niewiasty zostały... Patrzyły one na bramę, na progi, których już nigdy nie przestąpią.

Spełniły swój obowiązek.

Miłość ich przebyła najcięższą próbę.

Gdy dzień zaświtał, spostrzeżono je i wypędzono, obrzucając kamieniami, poza mury miasta.

– Precz! Umarłe jesteście, idźcie do umarłych! Poszły na tułaczkę.

ROZDZIAŁ XXXI

Podróżny, zwiedzający dzisiaj Ziemię Świętą, a chcący zobaczyć tak zwane „Królewskie groby”, zdąży łożyskiem Cedronu lub zakrętami Gehonu i Hinonu aż do starego źródła Enrogel. Tutaj zazwyczaj pokrzepia się kubkiem świeżej wody i odpoczywa. Wzrok jego spocznie na wielkich nieobrobionych głazach otaczających studnię; spojrzy do jej wnętrza, aby zobaczyć, czy głęboka, uśmiechnie się z prymitywnego sposobu czerpania wody i da z litości jałmużnę obdartemu biedakowi, który tu siedzi na straży. Bardziej od tych szczegółów zajmie go jednak wspaniały widok, co się przed oczami jego roztacza, bo oto ma przed sobą góry Moria i Sion, ciągnące się ku północy, a na ich końcach Omfal i stare miasto Dawida. W oddali spostrzeże po prawej stronie górę „Zgryzoty”, a po lewej wzgórze „Dobrej rady”; na obu znajdują się cenne pamiątki wielkiej wagi dla pisarzy i badaczy starożytności.

U ich stóp znajduje się dolina zasiana grobami – było to cmentarzysko dla żydowskich mieszkańców Jerozolimy.

W pochylonych nad doliną skałach znajdują się grobowce i jaskinie – częściowo naturalne, częściowo wykute ręką ludzką. W czasach Chrystusowych zajmowali je trędowaci, którzy tutaj tworzyli niejako osobną gminę. Żyli tu zupełnie odłączeni od świata.

W dwa dni po opisanych w poprzednim rozdziale wypadkach przyszła Amra do źródła Enrogel i usiadła na leżących w pobliżu kamieniach. Ktokolwiek ją ujrzał, wzięłby ją za ulubioną służebnicę jakiejś zamożnej rodziny. Przyniosła z sobą dzban do wody i kosz nakryty białym jak śnieg obrusem. Złożywszy przedmioty obok siebie na ziemi, rozwiązała zawój tak, że spadł jej na ramiona; złożyła ręce na kolanach i patrzyła w stronę, gdzie wzgórze pochyła się ku „roli garnarzewej”, zwanej później Haceldama.

Był to bardzo wczesny poranek, Amra pierwsza była u źródła, niebawem zjawił się także człowiek z liną i bukłakiem. Pozdrowiłszy małą, zgrzybiałą niewiastę, rozplatał przyniesioną linę, przytwierdził bukłak i oczekiwał gości. Kto chciał, mógł sam zaczerpnąć wody, ale czynność ta była właściwie jego zawodem i chętnie napełniał największe dzbany, jakie tylko udźwignąć mogła kobieta, za cenę jednej gery.

Amra siedziała w milczeniu, człowiek zaś widząc dzban, zapytał, czy ma go napełnić wodą. „Nie teraz”, odparła krótko i pogрузzyła się w zadumie, a przybyły nie zwracał już na nią uwagi. Za ledwie jutrzeńka ozłociła niebo nad Oliwetem, poczęli się schodzić goście i miał już komu posługiwać. Amra przez cały ten czas patrzyła na wzgórze w milczeniu; słońce już wysoko stało na widnokręgu, a ona czekała ciągle; widocznie przyszła tu w celu nie trudnym do odgadnięcia.

Zwyczajem jej było wychodzić na targ o zmroku, odkąd sama, potajemnie, zamieszkiwała pałac swych panów. Niepostrzeżenie wślizgiwała się między sklepy Tyropeum lub do pobliskich Rybiej Bramy kramów; spieszenie zwykle załatwiała zakup mięsa i jarzyn, i powracała do swej kryjówki.

Im większa była jej radość z powrotu Ben-Hura pod dach rodzinnego domu, tym boleśniej czuła nieświadomość o losie jego matki i Tirzy i tym serdeczniej pragnęła ulżyć jego cierpieniu.

Jej przywiązany wychowanek namawiał ją do opuszczenia samotnego mieszkania; ona, przeciwnie, pragnęła, aby on zajął napowrót swą dawną, znaną nam komnatę; sama zaś za żadną cenę nie opuściłaby tych drogich murów. Młodzieniec musiał się pogodzić z jej wolą, lecz lękając się przesładowań, przestał na obietnicy, że będzie ją często odwiedzał. Postanowił przychodzić i odchodzić w nocy. Gdy tak rzeczy stały, pocziwa wierna sługa wysilała całą swą gospodarską zdolność, ażeby dogodzić swemu ulubieńcowi. Nie pamiętała wcale, że jej wychowanek, to nie dziecko, ale mąż wiekiem, a bardziej przebytymi dojrzały kolejami i sądziła, że Juda ma jeszcze te same chłopięce upodobania, które zadowalały go w dzieciństwie i jednały jej przywiązanie i pieszczoty, postanowiła więc zrobić zapas słodczy, by je miała pod ręką, gdy przybędzie.

Już w myśli cieszyła się, że zadowoli kochanego chłopca i zaraz następnego wieczoru, jeszcze rychlej niż zwykle, pospieszyła po zakupy do Rybiej Bramy. Właśnie zajęta była poszukiwaniem najlepszego miodu, gdy o jej uszy obilo się nazwisko jej państwa. Przystanęła i usłyszała opowiadanie jednego z tych ludzi, którzy trzymali pochodnie przed komendantem fortecy Antonia, gdy w celi VI odmurowali rodzinę Ben-Hura. Człowiek ten opowiadał dokładnie, nie opuścił najmniejszego szczegółu i zapamiętał słowa wdowy i jej nazwisko.

Próżno powtarzać, z jakim uczuciem i żalem słuchała opowiadania Amra. Całe to zdarzenie wydało jej się niby straszny sen, a jednak było prawdziwe. Spiesznie załatwiła sprawunki i powróciła do domu. Z razu nie posiadała się z radości, że będzie mogła podzielić się z wychowankiem swoim tak radosną nowiną.

Przeglądała zapasy koszyka, to śmiejąc się, to płacząc; nagle zatrzymała się i zamyśliła. Mam mu powiedzieć, że matka i siostra trędowate? Zrobić to, znaczy to samo, co go zabić, bo nic nie wstrzyma syna w jego powinności. Już widzi biedna, przywiązana kobieta, jak opuściwszy miasto, dąży przez wzgórze „Dobrej rady” i szuka matki i siostry po wszystkich jamach, pieczarach i grobach – dalej... ach, dalej widzi go już zarażonym i los Judy będzie równy ich losowi. Na myśl tę załamała ręce i pytała sama siebie, co począc.

Czerpała natchnienie nie w mądrości, ale w przywiązaniu swego serca i doszła do właściwego rozstrzygnięcia wątpliwych myśli.

Wiedziała, że trędowaci co rano wychodzą ze swych kryjówek do źródła En-rogel po wodę na cały dzień. Przynoszą dzbany, stawiają je na ziemi i czekają w oddaleniu, aż je kto napełni. Jej pani i Tirza przyjdą tam niewątpliwie, bo prawo jest nieubłagane, a trędowaty bogaty nie różni się niczym od trędowatego ubożego.

W tej pewności, że głód i pragnienie przywiodą je do źródła, spodziewała się je ujrzeć i poznać, a może one ją poznają. W tym postanowieniu znalazła uspokojenie, Ben-Hurowi zaś nic nie rzekła o odkryciu jakie uczyniała.

Wkrótce nadszedł Ben-Hur i spędzili wieczór na poufnej rozmowie: mówił jej, że nazajutrz spodziewa się przybycia Mallucha, po czym zaraz rozpoczną poszukiwania; tymczasem zaś pragnie zwiedzić święte miejsca w okolicy. Łatwo pojąć, jak bardzo ciążyła starej kobiecie tajemnica, zachowała ją jednak w swym sercu.

Zaraz po odejściu Ben-Hura, tegoż wieczora, wzięła się do roboty i przygotowania różnych przysmaków do jedzenia; zbytecznym mówić, że dołożyła wszelkich starań, by zadowolić te, którym służyła. Skoro noc miała się ku końcowi, wypakowała swój kosz zapasami, wzięła dzban i udała się. minąwszy Bramę Rybną, którą właśnie otworzono, drogą do En-rogel.

Wkrótce po wschodzie słońca cisnęły się tłumy ludu po wodę do studni; wielu śpieszyło się, aby jeszcze przed południem móc wrócić do miasta. Zanurzano też po pół tuzina dzbanów równocześnie, z tym większym pośpiechem, że mieszkańcy naprzeciwnych wzgórz zaczęli się ruszać około swych jam i pieczar jakby widma koło grobów. Coraz to więcej ich przybywało i Amra widziała już całe gromady, wśród których było dużo dzieci i młodzieży. Mnóstwo ich wychodziło z grobów; kobiety niosły dzbany na ramionach, starcy opierali się na laskach i kulach, często jedni prowadzili drugich, a nie rzadko można było widzieć takich, co

nieśli na noszach najbardziej chorobą zmarnowanych, którzy już do ludzkich istot nie byli podobni. Tak i w tym społeczeństwie najstraszliwszej nędzy rodziła się miłość, otaczająca cierpienie ciepłymi promieniami. Nędzę tych nieszczęśliwych łagodziło wzajemne przywiązanie.

Siedząc u studni śledziła Amra baczny okiem ten korowód strasznych widm. Z obawy niedopatrzenia swoich, prawie się nie ruszała, a często zdawało się jej, że je spostrzeża. Nie wątpiła, że one są między mieszkańcami tych wzgórz i że przyjdą, skoro wszyscy już obsłużeni będą.

Całkiem nisko, prawie poniżej wzgórza, była pieczara, która już nieraz zwróciła uwagę Amry swoim otworem, bo blisko niego leżał ogromny kamień. Słońce oświecało ją w czasie najgorętszych godzin dnia, musiała więc być niezamieszкана. A jednak ku swemu zdziwieniu ujrzała wychodzące stamtąd dwie kobiety wzajemnie się podtrzymujące. Gdy tak patrzyła, zdało się jej, że zadrżały na widok wstrętnego zgromadzenia, do którego niestety same należały. Widok ten był więc dla nich widocznie nowy, nie było w tym nic nadzwyczajnego, a jednak serce poczciwej Amry poczęło bić tętnem przyspieszonym.

Dwie kobiety przystały chwilę u kamienia, potem z wolna, spokojnie, ale nie bez obawy skierowały się ku źródłu, skąd ozwało się kilka ostrzegających głosów, na co one nie zdawały się zważać. Człowiek, strzegący źródła, podniósł kamień, aby je postraszyć. Zgromadzeni u studni, a nawet i trędowaci sami, wołali: precz nieczyste! Nie wazcie się zbliżać, nieczyste!

Oczywiście – myślała Amra – to jakieś, co nie znają zwyczajów trędowatych.

Wstała i poszła ku nim, niosąc kosz i dzban. Hałas u źródła ustał, a w zamian ktoś, śmiejąc się, rzekł:

– Jaka głupia, któż takie dobre pożywienie daje umarłym?

– I chciało się jej iść tak daleko! – rzekł inny – kazałbym im raczej przyjść do bram miasta po jałmużnę.

Amra głucha była na te uwagi i szła za popędem swego serca. A jeśli się myliła! W miarę jak szła, wątpliwości rosły. Gdy nie więcej jak pięć metrów dzieliło ją od miejsca, na którym stały nieszczęśliwe, zatrzymała się.

Toż to ma być jej ukochana pani, której rękę tak często wdzięcznymi okrywała pocałunkami? Jej pani, której szlachetną postać przechowywała w żywej pamięci! A to, toż ma być Tirza, którą piastowała, gdy była dziećciem? Ona to być miała, owa śmiejąca się łagodna i śpiewająca Tirza! Ona, światło wielkiego domu, błogosławieństwo jej starości! To ona? Czyż to być mogą jej pani i jej ukochane dziecię! Czy to one?

– Ależ to stare niewiasty! – rzekła do siebie. – Nie widziałam ich nigdy. I odwróciła się.

– Amro!.. – rzekła jedna z trędowatych.

Egipcjanka na te słowa upuściła dzban i drżąc cała, spojrzała na nie.

– Kto mnie wołał? – spytała.

– Amro!..

Zdziwione oczy sługi spoczęły na twarzy mówiącej.

– Kto wy jesteście? – krzyknęła, nie wierząc, aby to mogły być jej panie.

– Jesteśmy te, których szukasz.

Amra padła na kolana.

– O moja pani, moja pani! Niech będzie pochwalonym Bóg twój. Bóg, którego moim uznałam, niech będzie pochwalonym za to, iż mnie tu przywiódł.

Mówiąc te słowa, zbliżała się, czołgając na kolanach.

– Stój, Amro! Nie zbliżaj się do nas – nieczyste, nieczyste!

Ostrzeżenie wystarczyło, Amra padła na twarz, łkając tak głośno, że ludzie u źródła słyszeli ją. Nagle podniosła się, pytając:

– O moja pani, a gdzie Tirza?

– Tu jestem, Amro.

Wyrazy te przypomniały Amrze jej obowiązki służby. Osuwając włosy, co jej na twarz spadały, poszła i odkryła kosz, mówiąc:

– Oto chleb, i mięso.

Chciała rozłożyć obrus na ziemi, ale pani rzekła:

– Nie czyn tego, obrzuciliby cię kamieniami, którzy stoją u źródła, a nam odmówiliby wody. Zostaw kosz, a dzban napełnij wodą i przynieś go nam. Zapasy zabierzemy do jaskini. Na dziś oddałaś nam wielką przysługę. Śpiesz się.

Ludzie, którzy patrzyli na to, co się stało, pomogli słudze napełnić dzban, bo litość nad jej boleścią wzruszyła ich serca.

– Co to za jedne? – pytała jakaś kobieta.

– Wyświadczyły mi niegdyś wiele dobrego – odparła Amra.

Wziąwszy dzban na ramię, szła ku nim spieszenie i byłaby w zapomnieniu całkiem się zbliżyła, gdyby ją nie wstrzymał okrzyk: „Nieczyste, strzeż się!”

Pozostawiła więc kosz i dzban, zatrzymując się opodal.

– Dzięki ci, Amro! rzekła pani. – Jakże dobrą jesteś!

– Powiedz, o pani, czy mogę co więcej dla was uczynić? – pytała Egipcjanka.

Ręka matki spoczęła na dzbanie, a choć pragnienie dokuczało jej, przecież wstrzymała się, mówiąc:

– Tak, wiem, że Juda wrócił w domowe progi. Przeszłej nocy widziałam go śpiącego na stopniach u bramy. Widziałam, gdyś go zbudziła. Amra załamała ręce.

– Ty, pani moja, byłaś tam i zdołałaś nie dać się poznać?

– Uczynić to. było to samo, co go zabić! Nigdy, o nigdy nie uścisknę go więcej! Nigdy nie dotknę ust jego! O Amro, Amro, wiem jak go miłujesz!

– Tak – odparła kobieta i padłszy na kolana, wybuchnęła płaczem.

– Dla niego oddałabym życie z rozkoszą.

– Daj dowód tego, co mówisz.

– Jestem na wszystko gotowa.

– Nie waż się powiedzieć, gdzie jesteście i że nas widziałaś; tego żądam – nic więcej.

– Ależ on was szuka, przybył po to z daleka.

– Niechaj nas nie znajdzie, o wielki Boże! Nie może się stać takim, jakimi my jesteśmy. Słuchaj, Amro. usłużysz nam co dzień, przynosząc tę odrobinę niezbędnego pożywienia. Zaprawdę – niedługo już, niedługo. Co rano i co wieczór przyjdiesz tu i... i... – głos drżał silną powstrzymywaną wolą – i będziesz nam opowiadała o nim, o nas nie waż mu się wspominać. Słyszysz?

– Jakże to będzie ciężko słuchać, gdy o was mówić będzie. Widzieć całą jego miłość i nie móc powiedzieć, że żyjecie!

– Albo będziesz mogła mu powiedzieć, że nam dobrze?

Sługa spuściła głowę w milczeniu.

– Widzisz sama, że nie, dlatego milcz. Teraz idź, a wróc wieczorem. Będziemy czekały na ciebie. Bądź zdrowa!

– Ciężki wkładasz na mnie. pani, ciężar i nie wiem, czy go udźwignę – rzekła Amra i padła na twarz.

– Czy nie ciężiej ci byłoby ujrzeć go nieszczęśliwym jak my? – odparła matka, oddając Tiry kosz. Przyjdź wieczorem! – I poszła ku pieczarze.

Amra klęczała, pokąd nie znikły; po czym zamyślona poszła ku domowi. Wieczorem wróciła znowu, a odtąd co rano i wieczór przynosiła, co było najniezbędniejszego. Jaskinia, a raczej grobowiec, który obie kobiety zajmowały, był kamienny i opuszczony, jednak mniej smutny, niż cela więzienna, bo widziały przynajmniej słońce, niebo i gwiazdy.

ROZDZIAŁ XXXII

Rano w pierwszy dzień siódmego miesiąca, zwanego po hebrajsku Tisri, odpowiedniego naszemu październikowi, wstał Ben-Hur ze swego posłania w gospodzie, niezadowolony i zniechęcony do całego świata.

Po przybyciu Mallucha nie tracono czasu na naradach, ale zabrano się zaraz do czynu. Poszukiwania zaczął Malluch od twierdzy Antonia, gdzie się udał do komenderującego trybuna. Opowiedział znane szczegóły z historii rodziny Hurów, przygodę Gratusa, przypisując wszystko, jak rzeczywiście było, przypadkowi. W końcu dodał, że szuka tej nieszczęśliwej rodziny i zamierza podać petycję do Cezara o zwrot majątności i praw obywatelskich należnych Hurom. Taka petycja pociągałaby niezawodnie śledztwo za sobą, a o wynik tejże przyjaciele pokrzywdzonej rodziny bynajmniej się nie obawiali.

Trybun poinformował go o wszystkim, co sam wiedział, mianowicie o znalezieniu kobiet trędowatych w więzieniu, dał przeczytać zapiski, jakie poczynił z ich zeznań, co więcej, na żądanie Mallucha, pozwolił je odpisać.

Malluch pospieszył z tymi smutnymi nowinami do Ben-Hura.

Próżno byłoby silić się na opisanie wrażeń, jakie ta wieść wywarła na młodzieńcu. Nie ulżył on swej boleści ani łzami, ani głośną skargą, ogrom nieszczęścia był za wielki, by go wyrazami określić można. Całymi godzinami siedział w milczeniu, z twarzą bladą i bijącym sercem. Czasem, usta jego otwierały się, jakby przemocą i wtedy wydzieriała się z nich skarga.

– Trędowate, trędowate! One, moja matka i siostra, trędowate!

Chwilami rzucał nim gniew wściekły, potem przejmowała go litość nad nieszczęśliwymi, to znów owładało nim nienasycone pragnienie zemsty. Na koniec zerwał się, wołając:

– Muszę iść do nich! Któż wie, czy nie są bliskie śmierci!

– Gdzież ich szukać będziesz? – pytał Malluch.

– Wszak tylko w jednym miejscu być mogą.

Wierny towarzysz sprzeciwił się temu zamiarowi i wpłynął na swego pana przynajmniej o tyle, że bez jego porady nie przedsięwziął żadnego kroku. Poszli więc razem do bramy naprzeciw wzgórza „Dobrej rady” – gdzie się od niepamiętnych czasów zbierali żebrzący trędowaci. Tam stali dzień cały, rozdając jałmużnę, pytając o dwie kobiety, ofiarując znaczne nagrody za ich odszukanie. Czynności te powtarzali przez cały piąty i szósty miesiąc codziennie. Raz po raz przeszukiwano za ich staraniem wzgórze i miasto trędowatych, a czynili to ludzie, ze względu na wysokie nagrody, niebaczący na niebezpieczeństwo trądu.

Nie pominięto jaskini przy źródle, ale miłość matki i siostry najlepiej strzegła tajemnicy. Tak więc poszukiwania nie doprowadziły do niczego, aż wczoraj właśnie, pierwszego dnia siódmego miesiąca, rozeszła się wiadomość, że przed niedawnym czasem dwie trędowate kobiety zostały z rozkazu urzędu kamieniami wypędzone za Bramę Rybią. Dalsze badanie i zestawienie okoliczności doprowadziły do smutnego przekonania, że tymi nieszczęśliwymi były kobiety, których szukano. Gdzież się podziały? Cóż się z nimi stało? Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa.

– Nie dość, że je trędem zarażono – powtarzał Juda z goryczą – ale wygnano je z rodzinnego miasta. Droga matka moja pewnie już nie żyje! Tirza nie żyje również, zabłąkały się na pustyni – zostałem sam. I po co? Pókiż, o Boże, Panie mych ojców, pókiż Rzym trwać będzie?

Wszelkiej pozbawiony nadziei, dyszący zemstą, wyszedł na podwórze gospody, gdzie stał tłum ludzi, przybyłych w nocy. Przysłuchiwał się gwarnej rozmowie. Szczególnie zajmowała go jedna gromadka, złożona z ludzi młodych, ruchliwych, silnych. W ich całym zachowaniu się poznać było ludzi z prowincji. Dowiedział się wnet Ben-Hur, że byli to Galilejczycy, którzy przybyli do świętego grodu w rozmaitych celach. Przyszły wódz przypatrywał się tym ludziom z wielkim zajęciem, gdyż należeli do sfery, od której głównie mógł się spodziewać poparcia i pomocy w przyszłym wielkim dziele.

Patrząc na nich, rozmyślał, czego by mógł dokonać na czele wojska, złożonego z takich, lecz wyćwiczonych na sposób rzymski ludzi; myśl ta uniosła go i rozgrzała w nim duszę zapalem i pragnieniem czynu.

– Po coście tu przybyli? – zapytał Galilejczyków.

W tej właśnie chwili, zanim zdążyli odpowiedzieć, wszedł szybko jakiś mężczyzna i zbliżywszy się do znajomej gromadki, rzekł żywo:

– Rabini i starsi ze świątyni idą do Piłata. Chodźmy, połączmy się z nimi.

Otoczono go natychmiast.

– Do Piłata, a to po co?

– Odkryto spisek. Piłat chce zbudować nowy wodociąg za pieniądze ze skarbu świątyni.

– Co? Za pieniądze ze świętego skarbu?

Powtarzali po tysiąc razy pytanie, a oczy ich błyskały gniewnie.

– To jest Korban, skarb Jehowy! Niech spróbuje dotknąć się choć sykla!

Niech się ośmieli! – wołano groźnie.

– Chodźcie! – wołał posłaniec. – Pochód jest już za miastem, całe miasto tam spieszy. Może się na coś przydamy... spieszcie się!

Galilejczycy jednym porwani pragnieniem bronięcia świętych skarbów, zrzucili długie, zawadzające im szaty, i w mgnieniu oka całe zgromadzenie stało z gołymi głowami, w krótkich spodnich tunikach bez rękawów. Takich sukien używali żniwiarze, wioślarze, pasący na wzgórzach trzody, lub zbierający wino. Stali w gotowości, a zaciskając pasy, wołali:

– Otośmy gotowi!

W tej chwili przystąpił do nich Ben-Hur, mówiąc z zapalem:

– Mężowie galilejczy! Otom syn Judy, czy weźmiecie mnie ze sobą?

– Może przyjsć do bójki... – odparli.

– W takim razie nie zemknę pierwszy!

Odpowiedź im się podobała, a posłaniec mówił dalej:

– Zdajesz się być dość silnym, więc chodź!

Ben-Hur zrzucił również wierzchnie suknie.

– Myślicie, że przyjdzie do bójki? – rzekł spokojnie, przyciągając pasa?

– Tak.

– Z kim?

– Ze strażą.

– Czy na straży stoją legionieści?

– Komuż, jeśli nie im mogliby Rzymianie straż powierzyć?

– Czymże walczyć będziecie?

Spojrzeli na niego, nic nie odpowiadając.

– Dobrze – mówił – i tak damy sobie radę, będziemy robić, co będzie w naszej mocy; powinniśmy jednakże mieć dowódcę, legionieści mają zawsze wodza i dlatego działają zgodnie.

Galilejczycy patrzyli ciekawie i wydawało się, że ta myśl była dla nich nową.

- Przynajmniej trzymajmy się razem – rzekł – jestem gotów, a wy?
- Także, chodźmy!

Trzeba nam pamiętać, że gospoda była w Bezeta, czyli w nowym mieście, i że, aby dojść do pretorium, jak Rzymianie nazywali pałac Heroda na górze Syjon, trzeba było przejść ciasne i brudne zaułki, otaczające od północy i zachodu Świątynię. Uliczkami – jeśli je tak nazwać można – wiodącymi z północy na południe przeszli drogę, okrążyli wzgórek Azra i doszli do wieży Mariamne, skąd już prosta droga wiodła do bramy pałacu. Po drodze rosła gromadka, bo przyłączyli się do niej i inni, oburzeni wieścią o zamierzonym świętokradztwie.

U bramy w pretorium dowiedzieli się, że pochód rabinów i starszych świątyni tylko co przeszedł; wielki i głośno lamentujący tłum ludu pozostał na zewnątrz.

Wejścia pilnował setnik z dobytym mieczem, w pełnej zbroi, stojąc u stóp pięknej marmurowej strażnicy, zaopatrzonej, blankami i piętrowymi krużgankami. Na takim właśnie krużganku stały dwa szeregi wojska, spoglądającego obojętnie na wrzaskliwy, gromadzący się dokoła tłum. Ich hełmy i tarcze pobłyskiwały w promieniach słonecznych rażącym światłem. Otwartymi podwojami brązowej bramy wchodziły całe gromady obywateli, podczas gdy dużo mniej wracało stamtąd.

- Co się tam dzieje? – zapytał jeden z Galilejczyków kogoś z wychodzących.

– Nic – odparł ten. – Rabini stoją u bramy pałacu, pragnąc się dostać do Piłata. On się wzbrania wyjść, chociaż oświadczyli przez jednego spośród siebie, iż nie ustąpią, póki wysłuchanymi nie będą. Czekają więc.

– Wejdźmy – rzekł Ben-Hur spokojnie, chociaż wiedział, czego zapewne nie spostrzegli jego towarzysze, że tu nie tylko chodzi o nieporozumienie między przełożonymi świątyni a rządem, ale o zwycięstwo tych lub owych.

Poza bramą cały szereg drzew liściastych ocieniał liczne siedzenia, mimo to ludzie wchodzący i wychodzący wymijali umyślnie cień od drzew padający na czyste białe kamienie bruku, gdyż dziwaczne prawo rabinów nie dozwalało na jakąkolwiek zieloność wewnątrz murów Jerozolimy. Twierdzono, że nawet najmędrzy z królów, pragnąc mieć ogród dla swej egipskiej narzeczonej, musiał go szukać poniżej łączących się dolin nad En-rogel.

Wśród drzew widać było front pałacu. Towarzysze Ben-Hura skierowali się na prawo ku dużemu czworobokowi, na którego zachodniej stronie wznosiła się rezydencja namiestnika.

Wzburzony tłum zajął całą przestrzeń, a oczy wszystkich zwróciły się na zamknięte podwoje umieszczone w obszernym przedsionku. Przedśionek ten zajmowali legionieści. Tłum stanowił tak zbitą masę, że nowo przybyli nie mogli się mimo usiłowań, naprzód przecisnąć i musieli pozostać na uboczu, śledząc tylko z daleka, co dalej nastąpi. Najbliższej przedśionka, na czele tłumu, widać było wysokie turbany rabinów, których niecierpliwość udzielała się od czasu do czasu tłumowi.

- Piłacie, wołali – jeśli chcesz być naszym namiestnikiem, ukaż się, wyjdź!

Jakiś człowiek z pałającą od gniewu twarzą zdołał się naprzód wydostać i zawołał głośno:

- Izrael nic tu nie znaczy, na tych świętych miejscach uważają nas za psów!

- Czy się wzbrania wyjść?

- Tak, już trzy razy odmówił.

- Cóż poczną rabini?

- Zapewne uczynią, jak w Cezarei – będą póty stać, póki ich nie wysłucha.

- Czyż ośmieli się naruszyć skarb? – spytał jeden z Galilejczyków.

– Czemużby nie? Alboż to Rzymianin nie zbeczczył najświętszego miejsca? Alboż jest co świętego dla Rzymianina?

Minęła godzina, Piłat ani się ukazał, ani dał odpowiedź; rabini i tłum czekali dalej. Nadeszło południe, a z nim deszcz; nie zmieniło to stanu rzeczy; tłum wzrastał z każdą chwilą i stawał się coraz groźniejszy. Krzyki brzmiały ciągle, a zewsząd wołano: „Wyjdź, wyjdź!” Słowa te brzmiały coraz gwałtowniej; dodawano do nich wyzwiska coraz to obelżywsze. Ben-

Hur trzymał swych przyjaciół razem i przypuszczał, że duma Rzymianina ustąpi i że koniec sprawy już bliski. Mylił się, bo Piłat pragnął, aby mu lud dał sposobność zbrojnego wystąpienia.

Nareszcie nadeszło rozwiązanie. Naraz wśród tłumu słychać było wrzawę, bójki, krzyki bólu i wściekłości, słowem gwałtowne zamieszanie. Rabini zbledli i z przerażeniem spoglądali wkoło siebie. Lud w głębi zgromadzony zaczął się cisnąć naprzód; ci, co byli w pośrodku, usiłowali się zeń wydostać, na krótką chwilę nacisk sił przeciwnych był straszliwy. Tysiąc głosów pytało naraz, co się dzieje? Lecz nikt nie dosłyszał odpowiedzi.

Ben-Hur nie traci przytomności.

– Czy nie możesz dojrzeć, co się właściwie stało? – pytał jednego z Galilejczyków.

– Nie.

– Poczekaj, podniosę cię.

Mówiąc to, schwycił wpół człowieka i dźwignął go w górę.

– Cóż tam?

– Widzę – mówił podniesiony – kilku ludzi po izraelsku ubranych bije lud batami.

– Co to za jedni?

– Przebrani Rzymianie! Rzymianie z pewnością. A to machają batami jak cepami! Ach! Przewrócili jednego rabina. – Biedny starzec! Nie oszczędzają te psy nikogo!

Ben-Hur posadził człowieka na ziemię.

– Mężowie galilejscy! To podstęp Piłata. Jeśli mnie zechcecie słuchać, pozbędziemy się tych batożników.

Właściwa Galilejczykom odwaga nie zawiodła; krzyknęli więc razem: Dobrze! dobrze! Słuchamy!

– Zawróćmy do bramy i stańmy pod drzewami a okaże się, że choć one wbrew prawu posadzone, przydadzą się na coś! Chodźmy! Zachęcał Ben-Hur.

Biegali co sił ku drzewom i wnet ogołocili je z gałęzi; silniejsi powyrywali je nawet z korzeniami. Tak uzbrojeni ruszyli do boju. Tłum uciekających przed batożnikami leciał na osłepku ku bramie, a z podwórza słychać było wrzask, zamieszanie, krzyk, jęki, przekleństwa.

– Na mur! – wołał Ben-Hur. – Skaczcie na mur! Pozwólcie ludziom wyjść.

Wspinając się na mur, uszli towarzysze Ben-Hura tłoku i powoli zbliżali się do przedsionka.

– Trzymajcie się razem! Za mną!

Chętnie uznali dowództwo Ben-Hura i byli mu posłuszni. Rzymianie pędzący lud, wielce się zdziwili, spotkawszy Galilejczyków uzbrojonych w drągi, które w rękę ludzi zwinnych stawały się istotnie niebezpieczne. Gdy się spotkali, zawrzała zacięta walka. Ben-Hur dokażywał cudów waleczności. Przewaga jego pobudzała do tym zacieklejszej walki towarzyszy; wnet też Rzymianie uciekli do przedsionka. Zapaleni Galilejczycy chcieli ich tam ścigać, ale roztropny wódz powstrzymał ich.

– Stójcie! – zawołał. – Setnik stoi tam ze strażą; uzbrojeni są w miecze i tarcze, próżna byłaby walka. Spełniliśmy naszą powinność, a teraz uchodźmy, póki droga do odwrotu otwarta.

Posłusznie poczęli się cofać, ale z wolna, bo zawadzały im stosy leżących współbraci: jedni jęczeli, drudzy błagali o pomoc, innych zmusiła śmierć do wiecznego milczenia. Między tymi nie wszyscy byli jednak Żydami i to było pociechą obrońców nieszczęśliwego ludu.

Setnik lżył ich pogardliwymi słowami, ale Ben-Hur śmiał się i odpowiedział w swoim języku;

– Jeśliśmy żydowskimi psami to wy rzymskimi szakalami. Poczekajcie tu na nas, zaraz wrócimy!

Galilejczycy uradowani, szli śmiejąc się za nim.

Poza bramą ujrzeni tłum, jakiego Ben-Hur nie widział nawet w antiocheńskim cyrku. Szczyty domów, ulice, wzgórze roiły się ludźmi modlącymi się i oczekującymi tych, którzy dotąd nie wrócili a może.... nie wrócą. Powietrze drgało krzykami i przekleństwami.

Gromadka Galilejczyków przeszła przez bramę zewnętrzną furtką bez przeszkody, ale za ledwie ją minęła, ukazał się zelżony wpiern setnik z przedsionka, wołając na Ben-Hura:

– Ty zuchwalcze! Powiedz, czy jesteś Żydem, czy Rzymianinem?!

Ben-Hur odparł: Synem Judy jestem i urodziłem się w tym mieście. Czego chcesz ode mnie?

– Zostań i walcz!

– Pojedyńkiem?

– Jak chcesz!

Ben-Hur rozśmiał się wzgardliwie.

– O dzielny Rzymianinie! Godny synu rzymskiego Jowisza! Nie mam broni!

– Dam ci swoją – odpowiedział setnik – a sam wezmę od kogoś z żołnierzy.

Bliżej stojący słyszeli to i umilkli, wnet milczenie ogarnęło cały tłum, a Ben-Hurowi różne myśli sunęły się po głowie. Niedawno w antiocheńskim cyrku pobił Rzymianina w obliczu pysznego miasta i całego Wschodu; miałoby mu być dane odnieść nowe zwycięstwo w oczach zgromadzonej Jerozolimy? Cóż by to był za tryumf! Co za zaszczyt dla niego! Jaka korzyść dla nadejść mającego króla! Myśl ta była mu bodźcem, przystąpił więc do setnika i rzekł:

– Uczynię zadość twemu żądaniu, daj miecz i tarczę.

– A hełm i pancerz? – zapytał Rzymianin.

– Zostaw je sobie. Nie potrzebuję ich.

Broń wydano prędko, wnet i setnik był gotów.

W ciągu tych przygotowań żołnierze stojący w bramie prawie się nie ruszali, lecz zaciekawieni czekali walki.

Wśród tłumu zaś, otaczającego walczących, rozległy się pytania:

– Co to za jeden? – I nikt nie dał odpowiedzi, bo nikt nie wiedział.

Wyższość Rzymian w sztuce wojennej polegała na trzech rzeczach, będących jej podstawą: w karności, w formowaniu legionów i w umiejętnym używaniu krótkiego miecza. W walce nigdy nie uderzali nagle; od początku do końca szli naprzód – postępowali, posuwając się z wolna i cofali się również z wolna. Ben-Hur wiedział to wszystko. Gdy mieli zaczynać, rzekł:

– Powiedziałem, że synem Judy: ale nie rzekłem, że się uczyłem u fehmistrza gladiatora.

Broń się!

Wymówiwszy te słowa, stanął w postawie zaczepnej; obaj zapaśnicy przypatrywali się sobie przez chwilę poprzez tarcze, następnie Rzymianin pomknął naprzód i spróbował cięcia od tyłu; Żyd roześmiał się z niego. Dalej zamierzył się na głowę. Żyd usunął się na lewo, a jakkolwiek uderzenie było prędkie, on jeszcze szybciej uskokzył. Teraz pod podniesioną rękę przeciwnika wsunął Ben-Hur tarczę, podnosząc ją, dopóki ręka miecz dzierżąca nie została na jej wyższej części, jeszcze jeden krok naprzód, w lewo, a cała prawa strona Rzymianina odsłoniła się. Błysk miecza... i setnik padł ciężko na piersi. Ben-Hur zwyciężył. Z nogą na plecach pokonanego, podniósł tarczę nad głowę, jak zwykli czynić gladiatorowie i skłonił się obojętnie żołnierzom u bramy.

Ludność zgromadzoną i patrzącą ogarnął szal podziwu. Na najdalszych domach, nawet poza Ksystem, gdzie tylko słowo dolecieć mogło, powiewano chustkami, szalami i zawojami; uwielbienie dla zwycięzcy zamieniło się w zapał. Galilejczycy byliby ponieśli Ben-Hura na ramionach, gdyby na to pozwilił.

Zanim się oddalił, zbliżył się do dowódcy straży, mówiąc:

– Towarzysz twój poległ śmiercią żołnierza! Zostawiam jego zwłoki, biorę miecz i tarczę, bo są moją własnością.

To rzekłszy, odszedł; a gdy się znacznie od Rzymian oddalił, rzekł do swoich towarzyszy:

– Bracia, spełniliście dobrze waszą powinność. Musimy się rozłączyć, bo wnet zaczną was ścigać Rzymianie. Wieczorem spotkamy się przy gospodzie w Betanii. Wiele rzeczy ważnych, dotyczących izraelskiego ludu, pragnę wam opowiedzieć.

– Kim jesteś? – pytali.

– Synem Judy – odparł krótko.

Tłum ciekawy zobaczyć dowódcę i jego towarzyszy, otoczył ich wokół, a Ben-Hur zapytał:

– Mam was oczekiwać w Betanii?

– Przyjdziemy.

– Przynieście mi na znak ten oto miecz i tarczę, abym was poznał.

Mówiąc te słowa, zmieszał się z tłumem i znikł z ich oczu.

Na rozkaz Piłata sprzątnięto rannych i zwłoki. Wielka żałoba zapanowała między Żydami; jedyną ulgą i pociechą stały się czyny nieznanego męża. Szukano go i wielbiono wszędzie, a słabnący duch narodu dźwignął się z upadku tym szybciej, że wnet po ulicach Dawidowej stolicy i w podwórzach świątyni poczęły krążyć na nowo cudowne legendy o Machabeuszach i bohaterach Judei. Tysiące przybyłych na uroczystości krzepiło ducha, tysiące szeptało:

– Maluczko, maluczko, bracia, a Izrael wróci do praw swoich. Miejmy cierpliwość i ufność w Panu.

W ten sposób otrzymał Ben-Hur przewagę w Galilei, torując sobie drogę do większych czynów w służbie przyszłego króla. O ile i z jakim skutkiem to osiągnął, zobaczymy.

ROZDZIAŁ XXXIII

Stosownie do umowy, zgromadzili się mężowie galilejscy w gospodzie w Betanii, skąd udał się Ben-Hur ze swoimi towarzyszami do Galilei, gdzie poprzedziła go sława czynów na starym rynku jerozolimskim. Jeszcze w zimie zgromadził i wyćwiczył na sposób rzymski trzy legiony żołnierzy. Byłby mógł uczynić i zebrać znacznie więcej ludzi, bo duch narodu wielce był ożywiony, ale obawiał się gromadzeniem większych mas ludzi zbudzić czujność Rzymu i Heroda. Poprzestał na razie na tych trzech legiach, dokładając wszelkich starań, aby je jak najlepiej wyćwiczyć i do systematycznej działalności przysposobić. W tym celu zgromadził naczelników w okręgu Trachonitis, z powodu pokładów lawy mniej zaludnionym, i tam sam ich uczył robić broń, dzirytem, mieczem, jak też ruchów i zwrotów używanych w kierowaniu legionem. Tak wyćwiczonych i przygotowanych żołnierzy rozesłał wódz po całym kraju, aby z kolei oni byli nauczycielami.

Wkrótce Galilea upodobała sobie wojenne rzemiosło. Któż zdoła wypowiedzieć, ile cierpliwości i zręczności rozwinął Ben-Hur. Kto oceni jego zdolności i poświęcenie! A jednak bez tych przymiotów nikt wielkiego dzieła nie zdolny dokonać.

Nikt też nie sprostą młodemu wodzowi ani w pracy, ani w zaparciu się samego siebie. Nie zmniejszy też jego zasługi, gdy przyznamy równie wielkie znaczenie pomocy Simonidesa, dostarczającego, czy to pieniędzy, czy broni, nie mówiąc już o Ilderimie, który wiernie stróżował na granicy, i dostarczał żywności... Gdy tak dzielnymi byli dowódcy, nie mniejszy musiał być zapał podwładnych.

Galileą nazywano ziemię rozdzieloną między cztery pokolenia: Azer, Zabulon, Izacher i Neftali. Żyd w pobliżu świątyni urodzony gardził swymi współbraćmi z dalszych okolic, a nawet Talmud tak się wyraża: „Galilejczyk kocha sławę. Żyd pieniądze”.

Mieszkańcy Galilei o tyle nienawidzili Rzymian, o ile miłowali swą ojczyznę; nic więc dziwnego, że pierwsi zwykle podnosili sztandar powstania i ostatni opuszczali. Sto pięćdziesiąt tysięcy galilejskiej młodzieży padło w ostatniej wojnie z Rzymem. W praktykach religijnych byli swobodni i wolnomyślni; nie unikając stosunków z poganami, nie zaniebdywali jednak przepisów Mojżesza i tłumnie przybywali do Jerozolimy na uroczystości. Wtedy rozpinali namioty i palili ogniska na wzgórzach, na podobieństwo wojennego obozu. Szczycili się pięknymi miastami jak Seforis i Tiberias, które Herod na sposób rzymski urządził, w czym mu mieszkańcy Galilei chętnie pomagali. Z resztą świata żyli w zgodzie, uważając wszystkich za współobywateli. Nie brakło też tej prowincji wielkich ludzi i proroków, co się do chwały hebrajskiego imienia przyczynili, jak śpiewak „Pieśni nad pieśniami” i prorok Hozeasz. Że wielkie wrażenie na taki naród żywy, dumny, odważny i pełen poświęcenia, wyrzucić musiała wieść o nowym królu, łatwo sobie wyobrazić można. Dość im było wiedzieć, że przyjdzie zburzyć i pokonać Rzym, aby szli pod chorągiew Ben-Hura; a cóż dopiero, gdy się dowiedzieli, że przyjdzie rządzić światem i będzie potężniejszy od Cezara, wspaniałomyślniejszy od Salomona, panowanie zaś jego trwać będzie wiecznie. Na takie wezwanie spieszyli wszyscy, oddając się duszą i ciałem sprawie. Gdy pytali Ben-Hura, skąd wie to wszystko, odwoływał się do proroków i opowiadał o Baltazarze, który w Antiochii oczekuje Mesjasza.

To było dość dla serc gorących, którym stara tradycja o Mesjaszu równie była znana i droga jak Imię Pana. Dusze ich drgały świętą radością na myśl, że nadzieje ich spełnią się wkrótce, bo oto Król nie tylko ma przyjść, ale jest już blisko.

Tak minęła zima, i nadeszła wiosna wraz z łagodnymi powiewami od morza. Czas ten zeszedł wodzowi na ciężkiej pracy i śmiało mógł powiedzieć: Niech przybywa król, dość będzie zaprawę, gdy powie, kędy chce tron postawić, starczy nam mieczy, aby mu go zdobyć.

Cały ten czas, znano go tylko pod imieniem syna Judy.

Pewnego wieczoru w Trachonitis siedział Ben-Hur wraz z kilku Galilejczykami u wejścia pieczary, którą zamieszkiwał.

Od pustyni nadjechał goniec arabski i oddał mu list. Otworzywszy zwój, czytał:

Jerozolima IV Nisan

Powstał prorok, którego mienią Eliaszem. Długie lata przebył na pustyni, a oto w naszych oczach urósł na proroka, bo świadczy o nim mowa jego. Zapowiada przyjście większego od siebie, co ukaże się w niewiele dni, a on Go czeka u wschodnich brzegów Jordanu. Widziałem i słyszałem Go mówiącego. Ten, którego się spodziewa, nie jest-li królem, którego oczekujesz?– Przybądź i osądź.

Cała Jerozolima spieszy do proroka, a gdy spojrzysz na tłumy, to miejsce jego przebywania zda ci się jakby Góra Oliwna czasu Wielkiejnocy.

Malluch

Twarz Ben-Hura zajaśniała radością.

– Przyjaciele! Oto wiadomość, na którą tak długo czekaliśmy: Oto zjawił się posłaniec Króla i oznajmia Go.

Przeczytał im list, a serca wszystkich napełniły się radością.

– Bądźcie w pogotowiu! – dodał. – Jutro rano udajcie się w drogę do domu; skoro tam staniecie, poślijcie po waszych podwładnych i każcie im być w pogotowiu. Ja zaś pójdę zobaczyć, czy król bliskim jest, i zdam wam sprawę.

Wszedłszy do pieczary, napisał listy do Ilderima i Simonidesa, opisując, co widział i donosząc o swej podróży do Jerozolimy. List wyprawił przez gońców, a gdy noc zapadła i zeszyły gwiazdy, co mu drogę wskazywać miały, dosiadł konia i z przewodnikiem Arabem ruszył ku Jordanowi traktem między Damaszkiem i Rabbat Amon.

Przewodnik był pewny, Aldebaran szybki, toteż około północy byli daleko poza krainą lawy i spieszyli ku południowi.

Życzeniem Ben-Hura było zboczyć przed świtem z drogi, aby odpocząć gdzie w zacisznym miejscu; tymczasem brzask poranny zastał go jeszcze w pustyni i zmusił do dalszej podróży. Przewodnik pocieszał go obietnicą doliny, otoczonej skałami, ze źródłem, drzewami morwowymi i paszą dla koni.

jechał, rozmyślając nad cudownymi zdarzeniami, które wkrótce stać się miały rzeczywistością, o zmianach, jakie musiały nastąpić w sprawach ludzi i narodów. Wtem przewodnik, zawsze niezmiernie baczny, zwrócił jego uwagę, że za nimi w niedalekiej odległości ktoś jedzie. Wkoło nich ścieliła się pustynia falami piasku, co się od światła lekkim złościły odbłaskiem, zresztą nigdzie krzewu, ni zieloności. Po lewej stronie, w oddali, widać było długi łańcuch gór. Na takiej przestrzeni nic nie mogło ujść wzroku podróżnych.

– To wielbłąd i jeźdźcy – rzekł przewodnik.

– Czy jest ich więcej? – zapytał Ben-Hur.

– Nie, tylko jeden wielbłąd i jeden człowiek konny – to zapewne przewodnik.

Wkrótce już i Ben-Hur zobaczył białego wielbłąda, a ten przypomniał mu cudowne zwierzę, które Baltazara i Iras przyniosło do źródła w gaju Dafny.

Wszak trudno by znaleźć drugie takie zwierzę. Myśl jego zwróciła się do pięknej Egipcjanki, a bieg konia mimowolnie stał się o tyle powolniejszy, że niebawem mógł rozpoznać zasłonięty baldachim i dwie w nim siedzące osoby.

Jeśli to Baltazar i Iras, cóż mu uczynić wypada? Czy ma się dać poznać? Nie, to niepodobna, wszakże to pustynia, a oni sami. Gdy tak gubi się w domysłach, zwolnił biegu i wnet kołyszący się wielbłąd zbliżył się dzwoniąc dzwoneczkami. Ben-Hur rozpoznał ten sam bogaty namiot, co niedawno u kastalskiej krynicy tak zachwycał tłumy. Nic nie brakowało do całości wspomnienia, bo oto i Etiopczyk, sługa Egipcjanki; a gdy podniósł oczy, ujrzał Iras patrzącą z namiotu wzrokiem zdziwionym i pytającym.

– Błogosławieństwo prawdziwego Boga niech będzie z tobą! – rzekł Baltazar drżącym głosem.

– Pokój Pana niechaj towarzyszy tobie i twoim! – odparł Ben-Hur.

– Oczy moje osłabiły lata – rzekł Baltazar – ale przecież poznaję w tobie syna Hurów, znajomego gościa z namiotu Ilderima Dobrotliwego!

– A tyś Baltazar, mądry Egipcjanin, którego opowiadanie, dotyczące w przyszłości rzeczy świętych, ma związek z moją na tych miejscach obecnością. Powiedz, co ciebie tu sprowadza?

– Kto z Bogiem, ten nigdy nie jest samotnym ani opuszczonym, bo Bóg jest wszędzie – odparł Baltazar. – W odpowiedzi na twoje pytanie dodam, że za nami idzie karawana, udająca się przez Jerozolimę do Aleksandrii, dokąd także podążam. Przyłączyłem się do owej karawany, lecz dziś, znudzony jej wolnym pochodem, gdyż ma eskortę rzymskiej kohorty, wstaliśmy wcześniej i puścili się naprzód. Rabusiów nie potrzebujemy się lękać, mając sygnet Ilderima, a opieka Boga chroni od dzikich zwierząt.

Ben-Hur skłonił się i rzekł: Sygnet Ilderima zapewnia ci bezpieczeństwo na całej pustyni, a jakże chyżym musiałyby być lew, który doścignąłby tego króla wielbłądów.

Mówiąc to, głaskał szyję wiernego zwierzęcia.

– Przecież – ozwała się Iras z wdzięcznym uśmiechem – przecież i jemu byłoby przyjemniej zakończyć post; wszak i królowie bywają głodni. Jeśliś, młodzieńcze, jest Ben-Hurem, o którym ojciec mój wspominał, a je we wdzięcznej przechowuję pamięci, to wskaż nam drogę do źródła, gdzie będziemy mogli spożyć śniadanie.

Ben-Hur nie opóźnił się z odpowiedzią.

– Cierpię wraz z tobą, piękna Egipcjanko. Jeszcze chwilę cierpliwości, a będziemy u źródła, u którego pragniesz spoczynku; znajdziesz tam napój równie miły i chłodzący, jako u źródła Kastalii, a teraz spieszymy po twojej woli.

Ben-Hur sunął naprzód wraz z przewodnikiem, bo jedną z nieprzyjemności jazdy wielbłądem jest konieczność przzerwania rozmowy. Po jakimś czasie spuściło się całe grono podróżnych do wilgotnego parowu, którym przewodnik sprowadził ich aż na dół. Dno parowu było wilgotne od niedawnego deszczu, a ściany zrazu bardzo spadziste; z wolna parów się rozszerzał, a ze skalistych jego ścian spadały bystre potoki. Wreszcie, przeszedłszy wąski przesmyk, weszli podróżni w piękną dolinę, a tym piękniejszą dla tych, co dopiero opuścili krainę żółtego piasku. Dla nich ta zielona przystań miała urok odnalezionego raj! Białe wstęgi wijących się tu i ówdzie potoków, niby siatka przejrzysta, tworzyły wyspy pełne świeżej zieloności. Kilka oleandrów zabłąkało się tu z doliny Jordanu, zdobiąc to ustronne miejsce przepychem swych kwiatów. Jedna, samotna palma królowała nad całym otoczeniem; podnóża jednak skał obrosły dzikim winem, w szczelinie zaś wyrosło drzewo morwowe osłaniając tak upragnione źródło. Do tej krynicy wiódł przewodnik podróżnych, na zważając na pisk kuropatw i mniejszych świetniej upierzonych ptaszków, co przed nim pierzchały.

Woda tryskała ze szczeliny w skale; wyraźnie jednak otwór ten pogłębiła czyjaś ręka, zapewne ta sama, co powyżej źródła wyłobiła hebrajskimi literami słowo „Bóg”. Woda płynęła z szumem po głazach mchem obrosłych, tworząc poniżej niewielką sadzawkę, czystą jak kryształ. Z tego małego zbiornika wyrwał się potok, co długą wstęgą przepływał dolinę, orzeźwiając trawy i drzewa, póki nie wsiąknął w suchy i spragniony piasek sąsiedniej pustyni. Koło sadzawki znać było kilka wydeptanych ścieżek, zresztą całą przestrzeń pokrywała bujna trawa, którą przewodnik tak dawno obiecywał i której świeżość upewniała o zupełnym bezpieczeństwie tego ustronia. Konie puszczono na paszę, Etiopczyk pomógł zsiąść Baltazarowi z kłęzącego wielbłąda, a starzec zwróciwszy się ku wschodowi, złożył ręce na piersi i gorąco się modlił.

– Przynieś kubek – rzekła niecierpliwie Iras, zwracając się do Etiopczyka.

Niewolnik przyniósł wnet z namiotu kryształowy kubek, po czym kobieta ozwała się do Ben-Hura:

– Usłużę ci.

Poszli razem do źródła, a gdy młodzieniec chciał dla niej zaczerpnąć wody, nie pozwoliła na to... lecz sama napełniła kubek wodą, po czym go podała Ben-Hurowi.

Nie wypiję – rzekł zarumieniony. Zanim zdołał coś więcej powiedzieć, zbliżył się Baltazar.

– Wiele wdzięczności winniśmy ci, synu Hurów – rzekł poważnie. – Dolina ta jest piękna; trawa, drzewa, cień zapraszają do spoczynku a źródło lśni jak poruszony diament, sławiąc miłość Boga. Nie poprzestanę na samej podzięk; chodź, usiądź z nami i spróbuj naszego chleba.

– Pozwól, niechaj ci posłużę – rzekł Ben-Hur, napełniając kubek i podając go Baltazarowi, który wzniosł oczy z dziękczynieniem.

Niewolnik przyniósł obrusy. Obmywszy ręce, usiedli wschodnim sposobem pod tym samym namiotem, co przed laty służył mędrcom na pustyni. Spożywali w dobrej myśli przysmaki wyjęte z pakunków zawieszonych po bokach wielbłąda.

Namiot rozłożono u stóp drzewa w pobliżu szumiącego strumienia, cisza była w przyrodzie, liście nie drgały, czerwone pnie stały bez ruchu, a wszystko ómiła perłowa mgła, niby zasłona rozścielona i wzywająca do spoczynku. Czasem tylko zabręczała pszczoła, lub zapiszczała kuropatwa, szukając swych piskląt. Uroczy spokój doliny, świeżość powietrza, piękność otoczenia i jakaś jakby świąteczna i uroczysta cisza wpłynęły widocznie na umysł starca; głos, jego ruchy i cały sposób obejścia tchnęły łagodnością; ile zaś razy zwrócił oczy na młodzieńca rozmawiającego z Iras, znać w nich było odbłyśk litości.

– Gdyśmy cię spotkali, synu Hura – rzekł przy końcu uczyty – twarz twoja zdała mi się być zwróconą ku Jerozolimie. Mogę się spytać, czyli tam wiedzie cię droga?

– Tak jest, celem mej podróży jest święte miasto.

– Muszę szczerzyć sił moich i dlatego zapytuję cię, czy nie znasz jakiej krótszej drogi jak na Rabbath-Ammom?

– Jest krótsza, przez Gerasę na Rabbath Gilead, ale gorsza; jednak, co do mnie, to ją obieram.

– Pełen jestem niecierpliwości – rzekł Baltazar – bo od jakiegoś czasu nawiedzają mnie sny, a raczej jeden sen, który się często powtarza. Głos jakiś woła na mnie: Spiesz, wstawaj! Ten, którego od tak dawna oczekujesz, jest blisko.

– Myślisz, ojcze, o tym, który się urodził Królem Żydowskim? – pytał młodzieniec, patrząc ze zdziwieniem na Egipcjanina.

– Tak.

– Nie słyszałeś nic o nim?

– Nic prócz głosu we śnie.

– Tymczasem są wiadomości, które cię ucieszą, jako mnie ucieszyły.

Mówiąc to, wyjął Ben-Hur zza sukni list Mallucha, a Egipcjanin wyciągnął po niego drżącą rękę. W miarę czytania wzruszenie jego rosło, żyły na szyi krwią nabiegały. Gdy skończył, wznosił dziękczynne oczy ku niebu i modlił się ani pytając, ani wątpiąc.

– Jakże łaskawym jesteś dla mnie, o Panie! – mówił. – Pozwól, abym jeszcze mógł ujrzeć Zbawiciela, oddać Mu cześć, a potem sługa Twój odejdzie w pokoju!

Słowa, zachowanie, dziwna i uroczysta postać modlącego się wywarły na Ben-Hurze podniosłe wrażenie. Nigdy nie czuł Boga tak rzeczywistym i bliskim; była chwila, w której go czuł jakby obecnym. Wydał mu się to przyjacielem, którego dość prosić, aby wysłuchał; to ojcem kochającym swe dzieci zarówno, – ojcem tak Żydów, jak pogan, ojcem, który czyni zadość prośbom wszystkich ludzi. Myśl, że ten Bóg zsyła dla świata Zbawiciela zamiast króla, ukazała się teraz młodzieńcowi w innym i zupełnie nowym świetle, tak jasno i wyraźnie, że zdawał się pojmować znaczenie nie tylko poselstwa, ale nawet naturę Bóstwa. Nie mógł więc powstrzymać się od zapytania:

– Czy i teraz, kiedy Król już jest, sądzisz, iż jest raczej Zbawicielem niż Królem?

Baltazar spojrział nań poważnie, ze wzruszeniem, potem rzekł:

– O co właściwie mnie pytasz Ducha, co był Gwiazdą i wiódł mnie niegdyś, nie widziałem od dnia, w którym cię spotkałem pod namiotem Ilderima; to jest, anim go widział, ani słyszał zmysłami moimi. Wierzę mimo to, że głos słyszany we śnie pochodzi od Niego, innego objawienia nie mam.

– Pozwól, abym ci przypomniał ów spór, który między nami powstał – odezwał się Ben-Hur z głębokim uszanowaniem. – Twierdziłeś wówczas, iż będzie Królem, ale nie takim jak Cezar; wierzyłeś również, że Jego władza będzie raczej duchową niż światową.

– Jest, jak rzekłeś – odparł Egipcjanin – i dziś wierzę tak samo. Jest różnica w naszym zapatrywaniu, ty oczekujesz króla według pojęcia ludzi, ja króla dusz.

Zatrzymał się jak człowiek, który nie dość jasno, nie dość wyraźnie myśl pewną może wyrazić.

– Pozwól, synu Hura, abym ci moją wiarę objaśnił, a może pojmiesz łatwiej, czemu ta Istota, ten Założyciel królestwa, którego pragnę i oczekuję, taki we mnie zapal roznieca. Wyobrażam sobie, że to Królestwo będzie najdoskonalszym dziełem, wyższym nad wszelkie ziemskie i cesarskie królestwa i władze.

Kiedy powstało pojęcie duszy, nie mogę ci powiedzieć, prawdopodobnie wynieśli je pierwsi nasi rodzice z owego ogrodu, co był ich pierwszym mieszkaniem. Wiemy też wszyscy, że to pojęcie nigdy się całkowicie nie zatarło. Były narody, które je zatraciły; były chwile dziejowe, w których bladło, słabło; były inne, w których otoczyły je ciemności i mgły. Wtedy Pan w Swej niezmierzonej dobroci zsyłał nam nadzwyczajnych ludzi, by ożywili naszą wiarę i nadzieję.

Dlaczego każdy człowiek otrzymał duszę? Przypatrz się, synu Hura, i zastanów chwilę nad koniecznością istnienia duszy. Nie było nigdy czasu, w którym by ludzie myśleli, że dość się położyć, umrzeć i nie istnieć więcej; co ważniejsza, nigdy ludzie nie pragnęli takiego zakończenia bytu. Dalej, nie było nigdy człowieka, który by nie marzył, nie obiecywał sobie jakiejś lepszej doli. Pomniki wszystkich narodów protestują przeciw takiemu pojmowaniu śmierci; posągi, napisy, dzieje, słowem – wszystko. Najpotężniejszy z naszych egipskich króli kazał wykuć w skale podobiznę postaci; dzień w dzień jeździł wraz z orszakiem oglądać, o ile postępuje dzieło. Nareszcie skończono je, a żaden pomnik, ludzką ręką wykonany, nie był tak trwały, wielki i nie podlegający zniszczeniu. Co więcej, olbrzymi kolos miał rysy i wyraz króla. Czyż nie możemy przypuszczać, iż ten potężny władca mógł wówczas powiedzieć: Niech przyjdzie śmierć! Bo zaiste i za grobem żyć będę.

– Życzenie to spełniło się, a pomnik stoi do dziś, jak stał wówczas.

I jakim jest to życie pozagrobowe, które sobie tak zapewnił? To tylko pamięć ludzka! Sława tak przemijająca, jak światło księżyca, co ten pomnik oświeca; historia wykuta w kamie-

niu i nic więcej. A z królem... cóż się stało z królem? W grobach królewskich jest zabalsamowane ciało, co niegdyś było jego ciałem. Nie jest to zaprawdę obraz tak piękny, jak ten, co stoi w pustyni. Gdzież jednak synu Hura, jest król? Dwa tysiące lat temu, jak żył, tak jak i ja. Czyliż ostatnie jego tchnienie było jego końcem?

Gdybym na to pytanie śmiało odpowiedzieć twierdząco, obraziłbym Boga. Wierzę więc w życie po śmierci, będące dalszym ciągiem naszego życia na ziemi, w życie rzeczywiste nie tylko w pamięci śmiertelnych; słowem, otrzymujemy, gdy żyć zaczynamy, duszę nieśmiertelną. W tym jest konieczność rzeczy.

Ale na teraz zostawmy na uboczu to pojęcie o konieczności, a zastanówmy się raczej, jak myśl nieśmiertelności słodką jest pociechą temu, co żegna tę ziemię. Wobec niej, gdzież jest strach przed zgonem? Wszak zmienimy gorsze na lepsze; pogrzebanie zaś, to nasienie, z którego nowe wyrosnie życie. Patrz na mnie. wiek osłabił moje siły, jestem zmęczony, stary, znękany. Przypatrz się zniszczonej twarzy, posłuchaj ostrego i chrypliwego głosu, ileż szczęścia dla mnie w obietnicy, że gdy grób się otworzy, aby pokryć zniszczoną duszę moją powłokę, otworzą się niewidzialne podwoje, który jest pałacem Boga. otworzą się szeroko, aby przyjąć mnie, moją uwolnioną, nieśmiertelną duszę!

Czemuż nie jestem zdolny wypowiedzieć zachwyty, która z doczesności przejdzie w wieczność! Nie waz się mówić mi, że tej wieczności nie znam, bo tyle wiem, i to mi wystarcza, że mieć duszę, to mieć udział w boskich przymiotach, to stać się doskonałą istotą, która już nie popełni nic niegodnego, pył ziemskiej zmayı nie dotknie jej, lżejszą jest od powietrza, przezroczystsza niż światło, a życie jej – czystością.

Po cóż, wiedząc tyle, synu Hura, mam dalej z sobą czy z tobą wieść spór o resztę, o kształt duszy, jej mieszkanie, czyje i pije, czy ma skrzydła, a ubiera się w to lub owo? Zaiste? Po co to czynić? Czemu raczej nie wierzyć Bogu? Wszelkie piękno tego świata z Jego pochodzi ręki, świadcząc o doskonałości Jego samego. On jest twórcą wszelkiego kształtu. On stroi lilię, ubarwioną różę. skrapla kwiaty rosą. jego dziełem jest harmonia w przyrodzie, bo on ją z tysiąca dźwięków złożył. Jednym słowem, On stworzył nasze życie doczesne i dał mu pewne warunki, które dla mnie są doczesnym zadatkiem przyszłości, której oczekuję z zaufaniem dziecięcą; Jemu polecam mą duszę i jej życie po śmierci, gdyż On kocha mnie.

Tu zatrzymał się czcigodny starzec, pijąc podaną wpiern przez Ben-Hura wodę, a ręka, którą podnosił kubek do ust, drżała; Iras i młodzieniec dzielili jego uczucia w milczeniu. Światło zaczęło działać na umysł Izraelity, zaczynał lepiej pojmować, że królestwo czysto duchowe mogło być ważniejsze dla ludzkości niż ziemskie, a zesłanie Zbawiciela było stokroć godniejszym darem Bożej ręki, niż gdyby dał ziemi najpotężniejszego króla.

– Mógłbym cię jeszcze zapytać – mówił Baltazar dalej – czy to życie tak krótkie i pełne utrapień, lepsze jest od życia doskonałego i wiecznego duszy? Zadaj sobie to pytanie i pomyśl nad nim, a mianowicie zapytaj, które z nich lepsze, choćby oba równie były smętnymi, czy życie, co trwa godzinę. czy to, co trwa rok. Idąc dalej, zwróć się do ostatecznego pytania: czymże jest siedem lub osiem dziesiątek lat w porównaniu z wiecznością?

Rozmyślając w ten sposób, dojdiesz do zrozumienia tego rzeczywistego faktu, o którym chcę mówić i który mi się najsmutniejszym w swych skutkach wydaje. Faktem tym jest zupełne zapomnienie ludzkości o życiu duszy. Gdziekolwiek spotkasz filozofa, który mówić będzie o duszy i postawi prawidło, które nic z wiarą nie mając wspólnego, nie uzna duszy za odrębną od ciała istotę, a tak on sam jak i jego zwolennicy pozostaną w ciemnościach.

Wszelkie żyjące stworzenie ma umysł stosownie do swych potrzeb rozwinięty; zastanowiłeś się kiedy nad tym szczegółem, że jeden tylko człowiek może obmyślić swą przyszłość? Wierzę, że Bóg dając nam tę zdolność, chciał wskazać, żeśmy do lepszego stworzenia życia, i właśnie nadzieja jest największą potrzebą naszego bytu. naszej natury. A jednak, jakże, niestety, upadła ludzkość! Żyją z dnia na dzień, jak gdyby terażniejszość wszystkim była i mówią: „nie ma życia po śmierci; zresztą, gdyby nawet było. to nic o nim nie wiemy, czegoż się

troszczyć?” Toteż, gdy śmierć ich zaskoczy, wołając: „chodź!” nie posiadają zaprawdę zagrobowej rozkoszy dla swej niegodziwości. Biada im, bo ostatnią szczęśliwością człowieka, to wieczne życie z Bogiem. Ach! Czemuż, synu Hurów. mówić to muszę! Czemuż ludzie oddani ziemskiemu życiu, zapominają o niebieskim i przyszłym i chcą być jak zwierzęta? Na koniec, powiem ci jeszcze, a może zrozumiesz, co znaczy być zbawionym; powiem z całym przeświadczeniem, że nie dałbym jednej godziny życia wiecznego za tysiąc lat życia na ziemi.

Egipcjanin, mówiąc to, zdawał się zapominać o swym otoczeniu i oderwał się od wszystkiego, co ziemskie.

Życie na ziemi ma swoje zagadnienia – mówił po chwili odpoczynku – i są ludzie, co trawia dni żywota swego nad ich rozwiązaniem – czymże są one wobec zagadnień późniejszych? Cóż się równać może ze znajomością Boga? Wnet dla mnie nie będzie tajemnic! Najsubtelniejsze i najstraszniejsze zostaną odsłonięte! Potęga, przed którą drżymy, puste miejsca napełnione ciemnością i nicością, co trwożą świat, przestaną być straszliwe. Wszystkie przepaści będą otwarte, napełni je Boża wiedza, ujrzą chwałę Boga, dotknę się wszelkich rozkoszy i odrodzę się w mej istocie. Skoro godzina nadejdzie, powie Pan: Pójdź w moja służbę na zawsze! – Spełnią się me pragnienia, wszelkie marzenia i rozkosze tego życia nie zaważą tyle, co brzęk małych dzwoneczków.

Tu wstrzymał się Baltazar, jakby dla odpoczynku i jakby zapomniał o wszystkim.

– Daruj, synu Hurów – ciągnął dalej, pochylając głowę z powagą – daruj, zem zbyt długo mówił. Chciałem cię pobudzić do rozmyślenia nad życiem duszy, nad warunkami tego życia, jego pięknnością i dostojnością. Radość, co takiej myśli towarzyszy, uniosła mnie i zapragnąłem choć nieudolnie odkryć powód mej wiary. Czemuż nie dano mi lepiej tego uczynić?! Tak, synu Hurów, szukaj sam prawdy, zważ najpierw doskonałość istnienia, które nam po śmierci zgotowano; rozważ uczucia i postanowienia, które myśl ta wzbudzi w twym serce. Rozważ je, mówię, gdyż będą one drzeniem twej własnej duszy, usiłującej cię naprowadzić na prawdziwą drogę. Rozważ, że życie po śmierci jest dlatego tak ciemne, aby usprawiedliwić nazwę, którą mu dajemy, zwąc je utraconym światłem. Tak, szukaj tego światła; a gdy je znajdziesz, ciesz się, synu Hurów, ciesz się, jak ja się raduję, choć jestem nieudolny. Wtedy bowiem, wtedy dopiero zrozumiesz, że większym będzie darem przyjście tego Zbawiciela dusz, niż zesłanie Króla. Wtedy Ten, na którego spotkanie dążymy, będzie w twych myślach obecny niejako wojownik z mieczem, ani monarcha z koroną. A teraz pozwól, że zadam jeszcze jedno proste pytanie: Jakże Go poznamy? Jeśli dotąd myślisz, że będzie królem jak Herod, to będziesz oczekiwał człowieka odzianego w purpurę i z berłem w ręku. Innym jest Ten, którego z utęsknieniem oczekuję. Postać Jego skromna, podobna do innych ludzi we wszystkim, a znak, po którym Go poznam, nie będzie również nadzwyczajny, ale wskaże mnie i całemu rodowi ludzkiemu drogę do żywota wiecznego, do żywota czystego, pięknego, żywota duszy!

Cisza panowała wokoło; przerwał ją po chwili Baltazar, mówiąc:

– Wstańmy i idźmy dalej. Słowa, które rzekłem, zbudziły niecierpliwość ujrzenia Tego, o którym zawsze myślę; a jeżeli zanadto was nagłę, ciebie, synu Hurów, i ciebie, córko moja, darujcie mi i zrozumcie mą tęsknotę.

Na znak starca, niewolnik przyniósł wino w bukłaku. Napiwszy się strzepnęli serwety i wstali. W czasie, kiedy niewolnik rozbierał namiot i pakował rzeczy, umyli ręce i wkrótce ruszyli w drogę ku głównemu traktowi. Wnet też dogonili karawanę i przyłączyli się do niej. Jednakże Baltazar począł się wolnym jej pochodem niecierpliwić i postanowił ze swoim towarzystwem ruszyć naprzód.

ROZDZIAŁ XXXIV

Trzeciego dnia drogi, znajomi nam podróżni zatrzymali się w samo południe u rzeki Dżabok, gdzie już zastali ze stu lub więcej ludzi odpoczywających wraz ze zwierzętami. Zaledwie usiedli, zbliżył się do nich jeden z podróżnych z dzbanem wody i częstował ich. Przyjęli i podziękowali za uprzejmość, ale nieznajomy przypatrując się wielbłądowi, zagadnął: Wracam od Jordanu, gdzie zebrało się wielu ludzi z dalekich stron przybyłych, ale na próżno by tam szukać równie pięknego zwierzęcia. Szlachetne to zwierzę: czy mogę zapytać, jakiej rasy?

Baltazar zaspokoił ciekawość podróżnego, po czym szukał kędy by spocząć:

Ben-Hur, ciekawszy i żywszy pytał dalej: gdzie gromadzi się lud nad Jordanem?

– Pod Betabara.

– To odludne pustkowie – rzekł Ben-Hur – nie wiem co tam może przyciągać ludzi.

– Widzę – odparł nieznajomy – że z daleka jesteście, kiedy wam obca dobra nowina.

– Jaka nowina?

Przybył człowiek z pustyni – święty to mąż – na ustach jego dziwne brzmią słowa, a głosi naukę, którą zachwyca wszystkich. Mieni się synem Zachariaszowym i mówi, że jest wysłannikiem Mesjasza.

Nawet Iras słuchała z zajęciem tej mowy.

– Mówią o tym Janie, że całe dzieciństwo przebył na pustyni, w jaskini koło Engadi, modląc się i żyjąc wstrzemięźliwiej od Eseńczyków. Ponieważ tłumy idą go słuchać, gdy mówi, i ja tam poszedłem z innymi.

– Czy ci, których tu widzimy, byli z tobą?

– Wielu wraca stamtąd, wielu tam dąży.

– Czego ów mąż naucza?

– Głosi nową naukę, naukę, której nigdy nie słyszano w Izraelu – tak mówią wszyscy. On zwie ją wezwaniem do pokuty i chrztu. Rabini nie wiedzą, co z nim począć, a cóż my wiedzieć możemy? Jedni pytali go, czy jest Chrystusem? Inni, czy Eliaszem? On zaś wszystkim odpowiada: Jam głos wołającego na puszczy. Czyńcie prostymi ścieżki Pana.

Gdy nieznajomy chciał odejść, towarzysze podróży wstrzymali go, a Baltazar rzekł: Cny mężu, powiedz nam, kędy znajdziemy kaznodzieję, a raczej, kędyś go zostawił?

– Tam, w pobliżu Betabara.

– Kimże może być ten kaznodzieja – mówił Ben-Hur do Iras – jeśli nie wysłannikiem naszego króla?

Baltazar wstał z błyszczącymi oczami, jakby nowe wstąpiło w niego życie.

– Spieszmy, nie czuję zmęczenia.

Wstali i spiesz yli, aż zatrzymali się na nocleg na zachód od Ramath-Gilead.

– Jutro wstaniemy rychło, synu Hura – rzekł starzec, idąc na spoczynek. – Zbawiciel przyjść może, a nas tam nie będzie.

Nazajutrz około trzeciej godziny, wyszli z wąwozu, który się ciągnie wzdłuż góry Gilead i znaleźli się na pustym stepie, na wschód od świętej rzeki. Po drugiej stronie ujrzeni górną

część wzgórz jerozolimskich, porośniętych drzewami palmowymi, ciągnących się aż do wzgórz Judei. Serce Ben-Hura zabiło żywiej, bo spostrzegł, że już są w pobliżu brodu.

– Ciesz się Baltazarze – rzekł – bo prawie już jesteśmy u celu.

Przewodnik przynaglał wielbłąda i wnet ujrzeni namioty, chaty i powiązane juczne zwierzęta; u rzeki po obu brzegach stało mnóstwo ludzi. To zgromadzenie znaczyło, że kaznodzieja mówi właśnie. Nasi podróżni pragnęli nie opuścić sposobności i pospieszali, o ile się dało. Niestety, zaledwie się zbliżyli, tłum słuchający zaczął się w różne rozpierzchać strony.

Czyżby przybyli za późno?

– Staśmy tu – rzekł Ben-Hur do Baltazara, załamującego z rozpaczy ręce – może prorok tędy pójdzie.

Ludzie, którym dane było słyszeć kazanie, tak byli tym, co słyszeli, zajęci, że albo o tych wzniosłych rzeczach myśleli, lub o nich rozmawiali, nie zwracając bynajmniej uwagi na nowo przybyłych. Setki ludzi minęły naszych znajomych obojętnie, którzy poczęli już wątpić, czy tym razem usłyszą lub ujrzą kaznodzieję, gdy nagle zobaczyli przed sobą idącego ku nim człowieka tak dziwnie wyglądającego, że na jego widok zapomnieli o wszystkim.

Postać ta zdawała się zrazu pospolita, niezgrabna, nawet dzika. Bujne, w zgmatawanych kędziorach spadające włosy przysłaniały twarz wychudłą i żółtą jak pergamin. Oczy jego dziwnym pałały blaskiem. Suknia, z wielbłądziej sierści utkana, zwieszała się z lewego ramienia aż po kolana, odsłaniając ramię prawe. Pas z niewyprawionej skóry ugniatał mu biodra, a bosymi nogami stapał po skalistym gruncie. Od pasa wisiał skórzany woreczek, w rękę trzymał sękaty kij, co mu służył do podpierania się. Ruchy jego były szybkie, pewne i dziwnie ostrożne, a raczej przezorne. Co chwilę odgarniał z czoła grube i twarde włosy, jakby mu przeszkadzały w widzeniu kogoś, kogo oczekiwał.

Piękna Egipcjanka przypatrywała się synowi puszczy ze zdziwieniem, jeśli nie ze wstrętem. Podnosząc zasłonę hondahu, rzekła do Ben-Hura, jadącego tuż na koniu:

– Czyżby to był wysłannik twojego króla?

– To nazarejczyk – odparł, nie podnosząc wzroku.

Prawdę rzekłszy, sam był od niej nie mniej rozczarowanym. Znał on wprawdzie ascetycznych mieszkańców En-gadi, znał ich obojętność na światowe względy i stosunki. Wiedział, że zwykli robić śluby, odprawiać pokuty dręczące ciało i oddzielać się zupełnie od reszty ludzi, jakby zgoła innej byli natury. Wiedział zresztą i był przygotowany, iż ujrzy kaznodzieję, który sam siebie zwał „Głosem na puszczy”, spodziewał się jednak, że wysłaniec króla będzie nosił jakiś znak jego potęgi. Teraz patrząc na tę dziwaczną postać, przypomniał sobie mimowolnie owe szeregi wytwornych dworaków w pałacach Cezara. Nic więc dziwnego, że zakłopotany, zmieszany, zawstydzony, zaledwie zdołał odpowiedzieć:

– To nazarejczyk!

Całkiem inne były uczucia Baltazara. On wiedział dobrze, że drogi boskie nie są drogami ludzkimi, ani takimi, jakby je ludzie mieć chcieli. On widział Zbawiciela jako dziecię w żłobku położone, a silna wiara przygotowała jego umysł na pojęcie prostoty i ubóstwa obok boskości... Siedział więc starzec w milczeniu i jakby w zachwycie, ze złożonymi na piersiach rękami, a czasem tylko cichą modlitwą poruszały się jego wargi. Nie, on nie oczekiwał króla!

W chwili tak dla nowo przybyłych ważnej i tak w rozmaity sposób wzruszającej ich serca, opodal od nich nad rzeką siedział na kamieniu jakiś zamyślony człowiek – może rozmyślał o zasłyszanej nauce. Teraz wstał i zdawał się dążyć ku nazarejczykowi, który zbliżał się ku wielbłądowi Baltazara.

Obaj, kaznodzieja i nieznajomy, szli ku sobie, a gdy jakieś dwadzieścia kroków ich rozdzielało, wtedy pierwszy zatrzymał się, odsunął ręką włosy z oczu, a spojrzawszy na nieznajomego, wyciągnął ku niemu rękę, jakby dla zwrócenia nań uwagi obecnych. Idąc za tym ruchem, tłum począł gromadzić się na nowo, zapanowała cisza, co widząc nazarejczyk, z wolna podniósł laskę, którą trzymał w rękę i wskazał nią zbliżającą się postać.

Wszyscy, którzy dotąd tylko słuchali, zwrócili oczy we wskazanym kierunku. Baltazar i Ben-Hur ulegli bezwiednie temu samemu natchnieniu i utkwili wzrok w nieznanym mężu. Obaj odnieśli silne wrażenie, ale każdy w innym stopniu i odmiennym znaczeniu.

Zbliżał się ku nim z wolna; wzrost jego średni, postawa szczupła i delikatna; ruchy spokojne, jak zwykle u tych, co się ważnymi zajmują myślami. W szczególnej harmonii z jego całą postacią było ubranie, składające się z szaty spodniej, do kostek sięgającej, o długich, obszernych rękawach, i z drugiej wierzchniej sukni, zwanej talitem. Na lewym ramieniu niósł zawój, a czerwona opaska, służąca do przytrzymywania zawoju na głowie, zwieszała się po boku. Prócz opaski, czyli zawiązki, i niebieskiej wąskiej obwódki u dołu talitu, całe ubranie było z płótna, pożółkłego od pyłu z drogi. Zdobiał je jeszcze sznur z kutasami, stosownie do zwyczaju rabinów, prawem przepisanego, również niebieskiego koloru, oznaczającego godność rabina, czyli nauczyciela. Zwykle sandały chroniły nogi, i nie miał ani pasa, ani worka, ani nawet laski.

Na te zewnętrzne odznaki patrzyli trzej widzowie przelotnie, o ile nie dotyczyły głowy i oblicza, szczególnie oblicza, co było niejako źródłem uroku, któremu mimo woli ulegli wszyscy.

Głowa zdawała się być otoczona światłem pogodnego nieba; okrywały ją długie, w łagodnych kędziorach spadające włosy, przedzielone ponad czołem, a mieniające się barwą orzechową ze złotawym odbłaskiem. Pod szerokim czołem, otoczone ciemnymi brwiami świeciły oczy, duże, ciemno niebieskie, a długie rzęsy, jakie tylko u dzieci widzimy, nigdy u mężczyzn, dodawały spojrzeniu niewypowiedzianie łagodnego i tkliwego wyrazu. Czy rysy tego oblicza były greckie, czy izraelskie, trudno rozstrzygnąć. To tylko pewna, że łagodność oczu, bladość cery, odbłysek włosów i miękka, falisto na piersi spadająca broda, dziwnie ludzkie przyciągały serca. Cała jego postać była przyjemna, wzbudzająca zaufanie i robiła wrażenie skończonej piękności.

Z wolna zbliżał się nieznajomy ku trzem znanym nam osobom. Ben-Hur konno, z włócznią w ręku. mógł być najpierw zwrócić uwagę Króla; tymczasem zbliżający się patrzył w niebo, nie zdawał się spostrzegać ani jego, ani Egipcjanki, lecz gdy się zbliżał, wzrok Jego spoczął na Baltazarze.

Cichość panowała wokoło, przerwał ją jedynie nazarejczyk, który z ręką wyciągniętą ku nadchodzącemu, zawołał uroczystym i donośnym głosem:

Oto Baranek Boży, oto który gładzi grzechy świata! (J I 29)

Głos ten wstrzymał odchodzących; stanęli jak wryci i czekali, co nastąpi. Dziwne i niezrozumiałe wyrazy przejęły obecnych mimowolnym szacunkiem. Baltazara zaś wzruszyły do głębi. Starzec czuł to wyraźnie, że dane mu było ujrzeć raz jeszcze Zbawiciela świata. Niezłomna wiara, która go już tylu łaskami obdarzyła, zamieszkując w jego sercu, dała mu w tej chwili łaskę widzenia Tego, którego niedołęzne oczy jego towarzyszy nie były godne podziwiać; słowem, widział i poznał tego, którego szukał. Byłże to cud? Wolno go nazwać zdolnością duszy, co wyrosła wśród innych okoliczności, a tym samym wniknęła w zaświatowe krainy; wolno przypuszczać, że zasłużył na taką nagrodę życiem przykładnie świętym, życiem zaprawdę cudownym. Dość, że dane mu było oglądać ideał swej wiary w doskonałym kształcie, z obliczem, w wieku i ubraniu, jakie temu ideałowi odpowiadały. Co za szczęście, co za radość! Do spełnienia wszelkich marzeń starca potrzeba tylko jeszcze wzajemnego spojrzenia i zrozumienia.

Jedno już się stało, bo wzrok nieznanego spoczął na sędziwym obliczu Mędrca, gdybyż jeszcze znalazło się drugie, co by zarazem było potwierdzeniem jego wiary. Życzeniu stało się zać dość, bo właśnie, jakby dla upewnienia drżącego Egipcjanina, nazarejczyk powtórzył okrzyk:

– Oto Baranek Boży, oto który gładzi grzechy świata!

Na te słowa padł Baltazar na kolana, nie potrzebując innego tłumaczenia. Nazarejczyk zdawał się to wiedzieć, bo odwrócił się do otaczających i mówił dalej: Ten to jest, o którym

powiadałem. Idzie za mną Mąż, który stał przede mną, i pierwaj był niż ja. A jam Go nie znał; ale aby był objawiony dla Izraela, dlatego ja przyszedł, chrzcząc wodą. I widziałem Ducha zstępującego jako gołębia z Nieba i został na Nim. A jam Go nie znał; ale który mię posłał chrzcić wodą. Ten mi powiedział: Na którego ujrzysz Ducha zstępującego i na nim zostającego, Ten jest, który chrzci Duchem Świętym. A jam widział i dałem świadectwo, że Ten jest Syn Boży. (J I 30– 34)

– To On! To On! – wołał Baltazar z załzawionymi oczyma i padł w omdleniu.

Cały ten czas przypatrywał się Ben-Hur nieznanemu z całkiem innym uczuciem. Podziwiał delikatność i czystość rysów jego twarzy, zamyślony wyraz, czuły, pokorny i święty. Nie był w tej chwili zdolny pochwycić innej myśli, innego pytania, jak tylko: kto jest ten człowiek? Mesjasz, czy król? Nigdy dotąd nie widział człowieka, który by mniej po królewsku wyglądał, jak ten. Czyż można, patrząc na tę spokojną, łagodną postać, myśleć o wojnie, o zdobyczach? Sama myśl o tym zdawałaby się Mu ubliżać! Pod wpływem tych myśli rzekł w swym sercu: tak, widzę dziś wyraźnie, że Baltazar miał słuszość, a Simonides był w błędzie. Człowiek ten nie przyszedł wznieść tronu Salomona, brak mu zdolności Heroda, a gdyby miał nawet być królem, to nie większego od państwa rzymskiego.

W tych myślach Ben-Hura nie było jeszcze postanowienia, były one raczej wrażeniami i nie przeszkadzały dalszemu przypatrywaniu się tak pięknej i cudownej bądź co bądź postaci. Po chwili pamięć jego zbudziła się i prawie mimo woli pomyślał: Gdzieś, kiedyś widziałem to oblicze, ale gdzie? – Spojrzenie to, tak pełne litości i miłości, spoczywające teraz na Baltazarze, kiedyś spoczęło już i na nim. Zrazu mglisto, drżąco, wreszcie jasno, jakby odbłask słońca, stanęła mu przed oczami owa chwila, gdy go straż rzymska wiodła przez Nazaret na galerię; drgnął cały, a tajemniczy głos wołał mu w duszy: Oto ręce, co mnie dźwignęły, gdym ginął! – Tak, twarz ta, to jedna z tych co mu towarzyszyła zawsze, co zawsze tkwiła mu w pamięci. Wzruszenie owładnęło nim i nic nie słyszał ze słów kaznodziei, prócz tych ostatnich, cudownych wyrazów, które po wszechświecie brzmiały dotąd:

– Ten jest Syn Boży!

Ben-Hur zsiadł z konia, chcąc oddać cześć swemu dobroczyńcy, wtem zatrzymał go głos Egipcjanki, wołającej: pomóż, synu Hura bo ojciec mój umiera!

Stanął, spojrział wokoło i pospieszył na ratunek. Podała mu kubek, z którym pobiegł po wodę do rzeki, zostawiając niewolnikowi trud dźwignięcia Baltazara i skłonienia wielbłąda, aby ukląkł.

Po jakimś czasie odzyskał Baltazar przytomność, a wyciągnąwszy ręce przed siebie, pytał słabym głosem: Gdzie On?

– Kto? – zapytała Iras.

Twarz Baltazara świeciła błogością zaspokojonego życzenia, gdy mówił:

– On, Zbawiciel, Syn Boga, którego znów oglądałem.

– Czy i ty temu wierzysz? – pytała Ben-Hura.

– Czas to pełen cudów, czekajmy! – odparł.

Dnia następnego słuchali znów kazania Chrzciciela, gdy nagle przerwał mąż puszczy tok swej mowy i zawołał, schylając głowę:

– Oto Baranek Boży!

Wszyscy spojrzeli w stronę wskazaną, a tam stała ta sama co wczoraj postać. Gdy Ben-Hur patrzył na tę wiotką istotę, cudne oblicze, tchnące miłosierdziem i słodyczą, pełną smutku, pomyślał:

– Ma słuszość Baltazar, ale może nie myli się Simonides. Czy Zbawiciel nie mógłby być i królem?

Wśród tych myśli zapytał swego sąsiada: – Kim jest ten człowiek?

Zapytany roześmiał się szydlerczo i rzekł:

– To syn cieśli z Nazaretu.

ROZDZIAŁ XXXV

– Estero, Estero! każ mi przynieść wody!

– Nie wolałbyś wina, ojcze?

– Niech dadzą jedno i drugie.

Działo się to w letnim domu na dachu pałacu Hurów w Jerozolimie. Stojąc przy balustradzie, patrzyła Estera na podwórze; wnet spełniła polecenie ojca, powierzając je stojącemu tam słudze.

Tymczasem drugi sługa wszedł na dach i kłaniając się z szacunkiem, rzekł:

– Oto pismo dla pana – i oddał zwój płótnem obciągnięty i zapieczętowany.

Działo się to 21 marca, prawie trzy lata od owej chwili, kiedy Chrzciciel dał świadectwo Synowi Bożemu w Betabera.

W przeciągu tego czasu Malluch odkupił od Pontskiego Piłata dom rodziny Hurów, na wyraźne żądanie Judy, który nie mógł dłużej znieść, aby gniazdo rodzinne stało pustką. Naturalnie, że cały gmach musiał ulec przebudowaniu, zmieniono drzwi, podwórza, schody, pokoje i dachy. Tak więc pałac przybrał nowe kształty, a nie tylko, że nie zostało żadnych śladów owych tak zgubnych dla rodziny okoliczności, ale jeszcze urządzono go piękniej i zbytkowniej niż dawniej. Wszędzie znać było gust właściciela wykształcony pobylem w willi pod Misenum i w rzymskiej stolicy.

Nie trzeba z tego wnioskować, że Ben-Hur publicznie ogłosił się właścicielem, czas bowiem nie był jeszcze po temu.

Dotąd zajmował się pracami przygotowawczymi w Galilei, czekając zawsze na Nazarejczyka, który mu się co dzień więcej zagadkową wydawał istotą. Cuda, niemal w obecności młodzieńca spełniane, budziły w jego sercu ciągle wątpliwości, tak co do charakteru, jak posłannictwa tego, co miał być królem. Czasem dla wytchnienia przybywał tajemnie do świętego miasta i ojcowskiego domu, ale zawsze jako obcy i gość.

Odwiedziny te nie były tylko odpoczynkiem po pracy, Baltazar i Iras zajmowali bowiem jedno ze skrzydeł pałacu. Córa mędrca jeszcze trzymała go w więzach uczucia, co wyglądało jak czary, podczas gdy Baltazar, coraz słabszy fizycznie, porywał go jak dawniej zapałem wymowy, ile razy mówiono o bóstwie Cudotwórcy, od tak dawna oczekiwanego.

Simonides i Estera przybyli przed kilku dniami z Antiochii; ciężka to była podróż dla kupca, bo przebył ją w lektyce, do dwóch umocowanych wielbłądów, te zaś nie zawsze szły równo. Mimo przebytych trudów, zdawał się teraz nie posiadać z radości, że dane mu było ujrzeć raz jeszcze rodzinne strony. Zachwycał się widokiem z dachu i większą część dnia tam przepędzał w krześle podobnym do tego, co zostało w domu na wybrzeżu Orontesu. Lekki wietrzyk przynosił mu tu wonie wzgórz, które znał tak dobrze, oddychał nimi z całych piersi, przypatrując się biegowi słońca od wschodu do zachodu. Esterę miał przy boku, czuł się więc szczęśliwym i jakby w pobliżu nieba i tych miejsc, gdzie przebywała kiedyś nigdy niezapomniana pierwsza Estera, kochanie jego młodości, a z biegiem lat coraz droższa żona. Mimo tylu wspomnień nie zapomniał spraw handlowych, co dzień goniec przynosił raporty od Sanbalata, który prowadził dom w Antiochii. Co dzień wyjeżdżał drugi goniec z Jerozolimy i

wiół najdrobniejsze wskazówki, usuwające zachodzące wątpliwości, bo Simonides umiał przewidzieć wszelkie wypadki, prócz tych, które Wszechmocny zakrył przed oczami ludzi.

Gdy Estera, spełniwszy polecenie, wracała ku ojcu, promień słońca, padający ukośnie na błyszczącą posadzkę dachu, oświecił ją łagodnie i niepodobna było nie przyznać, że była piękną w rozkwicie kobietą. Wzrost jej był wprawdzie niewielki, ale kibić nader kształtna, główka zgrabna, twarz o regularnych rysach i cerze różowej z wyrazem pełnym rozumu i odblaskiem poświęcającego się serca – jednym słowem, była to kobieta godna kochania, bo miłość była tłem jej życia.

Spojrzała na zwój, przystanęła i przypatrzyła się drugi raz dokładnie; krew uderzyła jej do twarzy, gdy spostrzegła pieczęć Ben-Hura i spiesznie odeszła w przeciwną stronę.

Simonides trzymał zawiniątko chwilę; obejrawszy pieczęć, złamał ją i oddał pismo córce.

– Czytaj! – rzekł.

Patrzył na nią w tej chwili, a wyraz niepokoju przebijał na jego twarzy.

– Widzę, Estero, że wiesz od kogo to pismo.

– Tak, od naszego pana.

Mimo nieśmiałości patrzyła mu w oczy szczerze.

– Kochasz go, Estero? – rzekł spokojnie.

– Tak.

– Pomyślałaś nad tym, co robisz?

– Chciałam o nim nie myśleć inaczej, mój ojczu, jak o panu, z którym wiązać mnie powinności, ale było to nad moje siły.

– Dobra jesteś, dobra jesteś, jak była matka twoja – rzekł, zapadając w myślach; po chwili dopiero wyrwał go z zamyślenia szelest rozwijanego pergaminu.

– Niech mi przebaczy Pan, iż złorzeczę Jego natchnieniu – ale miłość twa nie byłaby wzgardzona, gdybym utrzymał w mym posiadaniu wszystko, jak miałem do tego prawo – bo wielka jest siła pieniędzy.

– Gorzej byłoby dla mnie, gdyż nie będąc godną jego spojrzenia, nie miałabym na pocieszenie tej słusznej dumy, którą mnie twe postępowanie natchnęło. Mamże czytać?

– Wstrzymaj się – rzekł – pozwól, abym dla twego dobra powiedział nawet i to, co ci może być najboleśniej. Gdy razem dźwigniemy, lżejszym stanie się ciężar. Serce swoje oddał pewnej kobiecie!

– Wiem – odparła spokojnie.

– Usidliła go Egipcjanka – mówił dalej – posiada przebiegłość swego narodu, jest piękną, chytrą i zalotną; serca nie ma wcale, jak nie mają go jej rodaczki. Córka, która urąga ojcu, napelni zgryzotą dni męża.

– Albo tak czyni?

– Baltazar jest mądrym i chociaż poganin, dziwnych łask dostępuje od Pana; zapal jego wiary zaszczyt mu przynosi, córka zaś szydzi z niego. Słyszałem jak o nim mówiła wczoraj: „Błędy młodości się przebacza, starcom przystoi mądrość, ale gdy jej się pozbędą, niech zstępują do grobu”. Okrutna to mowa, godna Rzymianki; słysząc ją, mimo woli pomyślałem, iż osłabienie podobne jak u Baltazara przyjdzie kiedyś i na mnie – kto wie, czas ten może już bliski. – Ale ty, Estero, nigdy słów podobnych nie powiesz o mnie – nie. nigdy nie rzeczesz:

niech zstępuje do grobu. Nie darmo matka twa była córką Judy.

Estera słuchała tych słów ze łzami, a upewniając go, rzekła:

– Jam mej matki dziecię.

– Tak, jesteś jej godna boś dla mnie tym, czym świątynia Salomonowi.

Po chwili milczenia położył rękę na jej ramieniu i rzekł:

– Gdy Egipcjanekę pojmie za żonę, wnet pomyśli o tobie z zalem i tęsknotą, bo wtedy zrozumie, czego dziś nie widzi, że jest tylko narzędziem w jej ręku. Ona marzy o wielkości, Rzym zaś jest celem tych marzeń; on jest dla niej synem duumwira Ariusza, nie Hura, księcia Jerozolimy.

Estera nie próbowała nie wierzyć tym słowom, tym mniej zaprzeczyć; przeciwnie, czując iż są sprawiedliwe, zawołała:

– Ratuj go, ojczu! jeszcze nie za późno!

Kupiec uśmiechnął się z powątpiewaniem i rzekł:

– Tonącego można ocalić, ale zakochanego nie uratuje nikt i nigdy.

– Mój ojczu, masz wpływ na niego. Zważ, że on sam na świecie. Ostrzeż go przed niebezpieczeństwem; powiedz mu, jaką jest.

– Być może, że zdołałbym go od niej odwrócić, czyż przez to zwróci się ku tobie? Nie! – tu przymknął powieki. – Jam sługa, jak byli pokoleniami całymi ojcowie moi, a przecież nie miałbym dość pokory, aby rzec: Patrz, panie, oto moja córka! Piękniejszą jest niż Egipcjanka i tkliwiej cię kocha. – Na to za wiele żyłem i za dużo miałem znaczenia. Słowa te spaliłyby mi język, odwieczne kamienie na wzgórzach odwróciłyby się ode mnie. Nie, jeszcze raz nie! Na Patriarchów, wołałbym raczej spocząć wraz z tobą tam, gdzie matka twoja śpi snem nieprzerwanym!

Rumieniec oblał twarz Estery.

– Nie myślałem, abyś mu to miał powiedzieć, mój ojczu. Jam się troszczyła o niego i jego szczęście, a nie o siebie. Gdym miała śmiałość pokochać go, chcę być godną jego szacunku, to jedno może moje zuchwalstwo usprawiedliwić. Teraz pozwól, niech przeczytam pismo.

– Prawda, że należy przeczytać.

Zabrała się tym spieszniej do czytania, że chciała jak najprędzej urwać rozmowę tak drażliwą.

8. Nizan.

Na gościńcu co wiedzie z Galilei do Jerozolimy.

Nazarejczyk przybywa. Z nim, choć bez jego wiedzy, prowadzę mój legion – drugi podąża w niewielkiej odległości. Uroczystości wielkanocne dają powód do zebrań, ujdziemy uwagi. Gdyśmy wyruszyli, mówił: „Idziemy do Jerozolimy, aby się wypełniło, co jest napisane przez proroki”

Oczekiwanie nasze bliskie jest końca.

Życzę ci spokoju, Simonidesie.

Ben-Hur

Przeczytawszy, oddała pismo ojcu, a łkanie ścisnęło jej gardło, bo i jakżeś mogło być inaczej, gdy w liście nie było słowa dla niej? Wszak tak łatwo było powiedzieć: „pokój twoim!” Pierwszy raz w życiu uczuła zazdrość.

– Pisał to nasz pan ósmego dnia – mówił Simonides – ósmego, a dziś Estero, dziś?

– Dziewiąty – odparła.

– W tej chwili mogą już być w Betanii.

– Prawdopodobnie ujrzymy go dziś wieczór – dodała, zapominając urazy.

– Może. może jutro; wszak jutro święto przasnego chleba, może zechce je święcić z nami. a z nim może i Nazarejczyk. Zapewne ujrzymy ich obu.

Właśnie przyniesiono wodę i wino, Estera podawała je ojcu, gdy weszła na dach Egipcjanka.

Dziwna rzecz, nigdy się Izraelitce nie wydała tak piękną jak w tej chwili. Przejrzyste szaty osłaniały jej postać niby mgłą; czoło, szyja i ręce świeciły klejnotami tak cenionymi w jej ojczyźnie. Twarz jaśniała wyrazem zadowolenia, a szła pewnym, elastycznym krokiem, wolnym od wszelkiej niesmacznej przesady. Widok jej buddził w Esterze lęk nieokreślony i pod tym wrażeniem zbliżyła się ku ojcu, jakby u niego szukając opieki.

– Pokój tobie, zacny Simonidesie, i tobie, piękna Estero – rzekła Iras z lekkim ku ostatniej pochyleniem głowy. – Gdy na cię patrzę, zacny przyjacielu, jeśli mi wolno tak cię nazywać, przypominasz mi owych wspaniałych perskich kapłanów, co z końcem dnia; spieszą na dachy świątyń, aby swe modły ku zachodzącemu wysłać słońcu. Jeśliś ciekaw poznać te obrzędy, zawołam ojca, on cię zdoła objaśnić, bo ród swój wie od Magów.

– Piękna Egipcjanko – odrzekł kupiec, kłaniając się z powagą – ojciec twój szanownym jest i z pewnością wzięłby mi za złe, gdybym mu powiedział, że jego perska mądrość jest najmniejszą częścią jego wiedzy.

Usta Egipcjanki przebiegł wyraz niezadowolenia.

– Jeśli mam mówić równie uczenie, jak ty – rzekła – to muszę zauważyć, że przymiot mniej cenny każe się domyślać więcej cennego... Racz mi odpowiedzieć, który to cenniejszy przymiot uznajesz w moim ojcu.

Simonides zwrócił się do niej, mówiąc z powagą.

– Prawdziwa mądrość dąży do Boga; prawdziwą mądrością jest znajomość Boga; zaprawdę, nikt spomiędzy znanych mi ludzi nie posiada tej mądrości w wyższym stopniu od Baltazara i nikt od niego lepiej nie umie jej wypowiedzieć ani słowami, ani czynami.

Chcąc skończyć rozmowę, podniósł kubek do ust i pił.

Iras zwróciła się znów ku Esterze.

Cóż dziwnego, że mąż, co posiada miliony i całe floty na morzach, nie rozumie co lubią i w czym się kochają kobiety. Usuńmy się na chwilę i tam przy murze porozmawiamy trochę.

Poszły ku balustradzie i stanęły na tym samym miejscu, skąd Ben-Hur zrzucił niegdyś dachówkę na Gratusa.

– Byłaś kiedy w Rzymie? – pytała Iras, bawiąc się swym naramiennikiem.

– Nie – odparła krótko Estera.

– I nie pragnęłabyś tam być kiedy?

– Nie.

– Ach! Jakże życie twe jest puste.

Po tym wykrzykniku nastąpiło westchnienie tak litościwe, że nie mogło być czulsze, gdyby los równie ciężki przypadł jej samej. Za chwilę wybuchła znów tak głośnym śmiechem, że mógł być słyszany na ulicy i mówiła: O ty święta prostoto!

– Drobne ptaszęta, co się gnieźdzą w uchu Sfinksa na piaskach pustyni, w pobliżu świętego grodu Memfis, równe ci świadomością.

Widząc, że Estera się zmieszala, zmieniła ton mowy i rzekła poufale: Daruj mi, to żarty; wnet zagoję ranę niby pocałowaniem, bo ci powiem coś... coś, czego bym nie powiedziała komu innemu.

I znów zaśmiała się, a śmiechem tym pokryła spojrzenie badawcze, które rzuciła na Esterę: Król przybywa! – Estera patrzyła ze zdziwieniem.

Nazarejczyk, ten sam, o którym ojcowie nasi tyle sobie umiejają opowiadać, ten sam, któremu Ben-Hur służył tak wiernie i tak długo – tu głos jej zniżył się o kilka tonów – Nazarejczyk przybędzie jutro, on dziś...

Estera na próżno walczyła, aby zachować spokój; spuściła oczy, zdradziecki rumieniec pokrył jej twarz i czoło. Nie spostrzegła zwycięskiego uśmiechu, co niby promień oświecił twarz Egipcjanki.

– Oto jego obietnica.

Tu zza pasa wyjęła zwój pisma, mówiąc:

– Raduj się ze mną, przyjaciółko, on przybędzie tu dziś jeszcze! Nad brzegiem Tybru stoi dom prawdziwie królewski, który czeka na mnie, a który pani moja swoim nazywać może.

Odgłos szybkich kroków dał się słyszeć z ulicy, spojrzała poza balustradę, lecz się wnet cofnęła, wznosząc ręce nad głową i mówiąc: Błogosławioną bądź Izyno! To Ben-Hur, a że się

zjawiał, gdym o nim myślała, to już wróżby nad wróżby! Nie byłoby chyba bogów, gdyby mnie zawieść miała! Spójrz na mnie, Estero, i pocałuj szczęśliwą.

Izraelitka spojrzała, a Iras spostrzegła policzki gorejące jak płomienie, oczy zaświeciły odbłyskiem złości, o którą by jej nikt nie posądził, bo też dobroć jej na zbyt wielką wystawiona była próbę. Nie dość, że zabronione jej było myśleć o człowieku tak gorąco kochanym, o którym zaledwie myśleć jej wolno jak w półsennym marzeniu, jeszcze trzeba, żeby rywalka szczyła się przed nią swym powodzeniem i żądała jej zaufania, mówiąc o swym szczęściu, które on dla niej obmyślił. O niej, córce niewolnika, nie wspomniał, podczas gdy szczęśliwa współzawodniczka może się chlubić listem, którego treść pozwala na rozmaite domysły. Tak, to było za wiele na jej biedne serce i dlatego nie dając żadnego pocałunku, spytała:

– Nie wiem, czy kochasz więcej jego, czy Rzym?

Egipcjanka cofnęła się, a zbliżając z dumą głowę ku twarzy Estery, zapytała nawzajem:

– Czymże jest on dla ciebie, Simonidesowa córko?

Izraelitka drżąc cała, zaczęła mówić: Jest moim...

Myśl, co jej teraz przeleciała przez głowę, wstrzymała dalsze słowa, a błędąc rzekła:

– Jest przyjacielem mego ojca.

Język odmówił jej posłuszeństwa, nie przyznała się do niewolnictwa.

Iras zaśmiała się szyderczym śmiechem.

– To nie za wiele – mówiła – na bogi egipskie, co sprzyjają kochającym się, zatrzymaj swe pocałunki, zatrzymaj, od ciebie dowiedziałam się, że mogę tu w Judei innych, stokroć cenniejszych oczekiwać pocałunków. Odwróciwszy się, dodała: – idę po nie... zostań w pokoju.

Estera powiodła za nią wzrokiem aż do schodów; gdy znikła, zakryła twarz dłońmi i wybuchła płaczem; łzy wstydu, tak długo powstrzymywane, spływały po jej pięknej twarzy. Mimo woli, jakby dla dodania siły wybuchowi namiętności, tak wstrętnej jej naturze, przyszły jej na myśl słowa ojca: miłość twoja nie byłaby bez nadziei, gdybym zatrzymał wszystko, jako byłem w prawie.

Długo sercem jej miotała boleść, już wszystkie gwiazdy zeszły i świeciły ponad miastem i czarnymi liniami gór, a ona jeszcze się na tyle nie opanowała, by wrócić do letniego domu i zająć w milczeniu zwykłe miejsce przy ojcu. Nareszcie przemogła się, poszła po rozkazy i wróciła do obowiązku, któremu poświęciła młodość, a może i całe życie. Co więcej, gdy namiętność przycichła, obowiązki zdały jej się jaśnieć jakąś świetną i uroczystą aureolą.

ROZDZIAŁ XXXVI

W godzinę po opisanej scenie na dachu, zeszli się Baltazar, Simonides i Estera w wielkiej sali pałacu; wnet powiększyli ich grono Ben-Hur i Iras.

Poprzedzając swą towarzyszkę, wszedł Ben-Hur do pokoju i powitał najpierw Baltazara, skłonił się przed starcem, a zwróciwszy się do Simonidesa, spostrzegł Estere... i zawahał się.

W chwili, gdy ujrzał Estere, stanął zdziwiony widokiem tak pięknej kobiety; równocześnie głos wewnętrzny przypominał mu złamane śluby i niespełnione obowiązki; tak, dość było chwili, by dawne myśli wróciły.

Stał zrazu zdziwiony, wreszcie zapanował nad sobą, zbliżył się do Estery i rzekł: Pokój tobie, słodka Estero; pokój i tobie, Simonidesie, błogosławieństwo Pana niech będzie z tobą, bo oto byłeś dobrym ojcem temu, który ojca już nie miał.

Estera spuściła głowę w milczeniu, Simonides zaś rzekł:

– Witaj, synu Hurów, w domu ojców twoich; bądź pozdrowiony w domu twych ojców, siadaj i powiedz o twoich podróżach, pracach, a nade wszystko o cudownym Nazarejczyku. Powiedz nam, jakie są jego przymioty i kim jest... Mów swobodnie, bo kto w tym domu ma większe od ciebie prawa do swobody? Usiądź między nami, abyśmy wszyscy słyszeć mogli cię mówiącego.

Estera szybko przyniosła rzeźbione ozdobnie krzesło i podała mu je.

– Dzięki ci – rzekł z wdzięcznością.

Usiadłszy, zwrócił się do mężczyzn.

– Przybyłem umyślnie wcześniej, aby wam o Nazarejczyku opowiedzieć.

Obaj słuchali w skupieniu ducha.

– Wiele dni towarzyszyłem Mu, strzegąc Jego czynów i kroków z jak największą troskliwością i bacnością; widziałem Go wśród okoliczności, które słusznie uważane bywają za próby i doświadczenia, a świadczyć mogą o człowieku. Rozważając to wszystko, doszedłem do wniosku, że chociaż jest równym mnie człowiekiem, to jednak nie mniej przeświadczonym jestem, iż jest czymś więcej.

– Czym więcej? – pytał zdziwiony Simonides.

– Wytlumaczę wam to.

Wnet drzwi się otworzyły i wszedł ktoś do komnaty: Ben-Hur obrócił się ku wyjściu i wstał z otwartymi rękoma:

– Amro! Droga, stara Amro! – wołał.

Zbliżyła się, wszyscy zaś obecni zapomnieli, jak była starą, czarną, pomarszczoną wobec radości, co jej biła z oblicza. Uklękła u nóg swego wychowanka, objęła kolana i całowała ręce, on odsunął siwe jej włosy z policzków i całował je, mówiąc: Dobra Amro, czy nie wiesz co o nich – ani słowa, ani znaku?

Pocziwa sługa wybuchnęła głośnym płaczem, będącym wymowną odpowiedzią.

– Niech się dzieje wola Boża – rzekł uroczyście; z dźwięku głosu zrozumieli słuchacze, że stracił wszelką nadzieję odnalezienia swoich. W oczach błyszczały łzy, które wstrzymywał, jak na męża przystało.

Po chwili milczenia, zdoławszy pokonać wzruszenie, usiadł znowu i mówił: pójdź Amro, usiądź podług nas, u nóg moich, gdyż mam wiele do opowiadania o nadzwyczajnym człowieku, który przyszedł na ten świat.

Pomna swego stanowiska Amra, odeszła dalej i przy ścianie ze złożonymi na kolanach rękoma usiadła, ciesząc się widokiem swego pana. Ben-Hur zaś, pochyliwszy przed starcami głowę, mówił dalej:

– Lękam się odpowiedzieć wprost na twoje pytania o Nazarejczyka, wolę raczej mówić o tym, co widziałem i co czynił, aby was przygotować na jego przyjęcie, jutro bowiem przybywa do miasta, uda się do Świątyni, którą zwie domem ojca swojego. Tam, jak mówi, oznajmi sam siebie światu i dowiemy się przy kim słuszność, przy tobie, Baltazarze, czy przy tobie, Simonidesie?

Egipcjanin, słysząc tę mowę, złożył na piersiach drżące ręce i pytał skwapliwie: Gdzież mam pójść, aby Go ujrzeć?

– Będzie mnóstwo ludu i ścisk; najlepiej byłoby, gdybyście poszli na dach klasztorny, czyli ponad portyk Salomona.

– Czy będziesz mógł nam towarzyszyć?

– Nie – odparł Ben-Hur – muszę być z przyjaciółmi, mogę im być przydatny w czasie procesji.

– Procesji – zawołał Simonides z radością – podróżuje więc z okazałością?

Ben-Hur, zrozumiałwszy myśli kupca, odparł:

– Przybywa z dwunastu ludźmi; są to po większej części rybacy, rolnicy, jeden nawet celnik, a wszyscy z pospólstwa. Podróżują pieszo, nie straszy ich zimno, wiatr, deszcze lub słońce. Gdybyś ich ujrzał, jak się zatrzymują przy gościńcu, aby łamać chleb lub odpocząć, rzekłbyś, gromada pasterzy, wracających z targu, ale ani chwili nie miałbyś na myśli króla i jego orszaku. Za to, gdy zsunie zawój z głowy, by spojrzeć na kogo, lub strząsnąć pył podróży z głowy, zaprawdę pozna każdy, że on ich panem, władcą, nauczycielem i towarzyszem.

– Mądrość wasza jest wielką – mówił dalej Ben-Hur – wiecie więc, że główną żądzą, nieledwie drugą naszą naturą, jest pragnienie wszystkiego, zysków. Cóż powiecie o człowieku, który mógłby mieć bogactwa, który mógłby kamienie w złoto zamieniać, woli jednak żyć w ubóstwie?

Grecy nazwaliby takiego męża filozofem – zauważyła Iras.

– Nie, córko – przerwał Baltazar – filozofowie nie mieli mocy robienia podobnych rzeczy.

– Skądże wiesz, że on taką siłę posiada?

– Widziałem – odparł Ben-Hur szybko – jak wodę zamieniał w wino.

– To dziwne, dziwne – rzekł Simonides – przecież dziwniejsze mi się zdaje, że woli żyć biednym, mogąc być bogatym. Jest tak ubogim?

– Nie posiada nic i nie zazdrości nikomu jego własności, co więcej, lituje się nad bogaczami. Lecz pomijając to na razie, powiedzcie mi raczej, co byście rzekli o człowieku, który zdołał rozmnożyć dwanaście bochenków chleba i dwie ryby, tak że tym małym zapasem nakarmił pięć tysięcy ludzi i zostały jeszcze pełne kosze ułomków. Widziałem to na własne oczy.

– Widziałeś? – zawołał Simonides.

– Co więcej wam powiem, jadłem chleb i ryby.

– Na tym nie koniec – ciągnął rzecz swoją Ben-Hur – cóż byście rzekli o człowieku, mającym taki dar leczenia, że dość choremu dotknąć się kraju Jego szaty lub z dala, gdy przechodzi, zawołać o pomoc, aby być uzdrowionym? I tego czynu byłem naocznym świadkiem i to nie raz. Gdyśmy wracali drogą od Jerycha, dwaj ślepi błagali Go o pomoc: On dotknął ich oczu, a przejrżeli. Niebawem przyprowadzono paralytyka; spojrzął i rzekł: Idź do domu twego – chory wstał i poszedł. Cóż wy na to?

Kupiec nie miał odpowiedzi.

– Sądźcie może, że to są omamienia i sztuki kuglarskie? Słyszałem i takich, dlatego pozwólcie, abym wam w odpowiedzi jeszcze większe przytoczył cuda. Znacie wszyscy tę straszną plagę ludzkości, ową chorobę nieuleczalną, bo jedna śmierć ją leczy – trąd.

Na te słowa Amra opuściła ręce; podniosła się na wpół, aby i słowa nie uronić.

– Cóż byście rzekli – mówił ze wzrastającym przejęciem – cóż byście rzekli, widząc zdarzenie, które zaraz opowiem. Gdy byłem z Nazarejczykiem w Galilei, wyszedł do Niego trędowaty i rzekł:

– Panie, gdy zechcesz, będę oczyszczonym.

– Usłyszawszy te słowa mąż ów, dotknął ręką trędowatego i rzekł: Chcę, bądź oczyszczonym – a człowiek był zdrow, jak każdy z nas, a była nas wielka rzesza.

Tu Amra powstała, włosy odgarnęła z twarzy wyschłymi rękami, cała krew biedaczki zbiegła do serca i zaledwie mogła dosłuchać dalszego opowiadania.

– Potem – mówił dalej Ben-Hur – dziesięciu trędowatych przybyło naraz; ci, padłszy do nóg jego, wołali: Mistrzu, mistrzu, ulituj się nad nami! A On im odpowiedział: Idźcie, pokażcie się kapłanom, jak każe prawo, a nim tam zdążycie, będziecie uzdrowieni. – Sam to widziałem i słyszałem.

– I stało się, jak rzekł?

– Tak, wśród drogi opuściła ich niemoc i tylko łachmany przypominały nam ich chorobę.

– Nigdy rzeczy takich nie słyszano w Izraelu – mówił Simonides niskim, wzruszonym głosem.

Tymczasem Amra niepostrzeżona opuściła komnatę.

– Jakich uczuć, jakiego doznawałem wzruszenia, łatwo pojmiecie – opowiadał dalej Ben-Hur – ale wiercie mi, nie tu koniec moich wątpliwości i niepokoju. Jak wiecie, lud galilejski jest namiętny i prędki do czynu, po latach oczekiwania miecze paliły ich dłonie, serca i dusze rwały się do walki i działania, mówili więc; – za wolno czyni, nie daje się poznać, dozwól, abyśmy go zmusili do wystąpienia. Ja sam niecierpliwilem się, myśląc, że jeżeli ma być królem, czemuż nie teraz? Wszak legiony i wszystko w pogotowiu? Uległem ich namowom i raz, gdy nauczał u morskiego wybrzeża, chcieliśmy go ukoronować. Wtedy znikł nam z oczu i ujrzyliśmy Go, jak w czólnie odpływał na morze. Cóż rzekniesz na to, czcigodny Simonidesie? Wszystko, czego szalenie pragną inni ludzie: bogactwo, znaczenie, korona królewska, nawet miłość poddanych; niczym są dla Niego – niczym, rzeczami bez ceny i wartości. Cóż mówisz?

Zamyślił się Simonides, głowa opadła mu na piersi – po chwili milczenia ozwał się: żyje Pan, żyją słowa proroków. Już czas w zieloności, jutro nam odpowie.

– Niech się stanie, jak rzekłeś – rzekł Baltazar z lekkim uśmiechem.

Ben-Hur powtórzył słowa starca: niechaj się stanie, potem dodał: – Nie sądźcie, abym już wszystko wypowiedział, gdym wspominał rzeczy, które acz wielkie, przecież każdy, choćby ich nie widział, uwierzyć może. Ale nie tu kres dziwów i powiem wam rzeczy nierównie trudniejsze do spełnienia, a dla człowieka iście niemożliwe. Powiedzcie tylko, czy zdołał kto kiedy wyrzucić śmierci to, co już było jej łupem? Kto kiedy zdołał w umarłego nowe tchnąć życie? Kto?

– Jeden tylko Bóg – rzekł pobożnie Baltazar.

Ben-Hur skłonił się.

– O mądry Egipcjaninie! Nie śmiem zaprzeczyć słowom twoim, bo zaiste, cóż moglibyście rzec, gdybyście widzieli człowieka, co pokonał dzieło śmierci, a tak spokojnie, jak to czyni matka, gdy budzi ze snu swe dziecię. Było to w Naim. Właśnie wchodziliśmy w bramę miasta; nagle wstrzymał nas wychodzący z niej orszak pogrzebowy. Nazarejczyk stanął, czekając by przeszli, gdy postrzegł wśród tłumu kobietę żałośnie zawodzącą, wdowę, której jedynaka chowano.

Stałem w pobliżu i widziałem twarz cudownego męża, litością zdjętą; użalił się nad nią, potem podszedł, dotknął mar i rzekł do leżącego na nich w śmiertelnych szatach nieboszczyka: Młodzieńcze, tobie mówię wstań! – Jeszcze nie przebrzmiały słowa, a umarły już usiadł i począł mówić.

– Takie rzeczy Bóg tylko działać może – rzekł Baltazar do Simonidesa.

– Zważcie – dodał Ben-Hur – że mówię tylko to, czego sam byłem świadkiem wraz z mnóstwem ludu. W ostatniej naszej podróży tu do Jerozolimy, widziałem czyn podobny, ale jeszcze wspanialszy i potężniejszy. W Betanii żył człowiek nazwiskiem Łazarz, umarł i pochowano go; cztery dni leżał już w zamkniętym grobie, gdy przyprowadzono Nazarejczyka na miejsce. Kazał odwalić kamień, zamykający wejście do grobu, i ujrzeliśmy wszyscy leżącego i związanego chustami człowieka, co więcej, zwłoki już się psuć zaczęły. Wielu ludzi stało wokoło i wszyscy słyszeliśmy jak Nazarejczyk wielkim głosem zawołał: „Łazarzu, wyjdź!” Próżno bym się silił opisać uczucia, jakich doznawałem, gdy człowiek wezwany wstał i wyszedł w śmiertelnych szatach. – Rozwiązać go i puścić, aby szedł. – A gdy rozwiązano całun i chusty, to krew płynęła w ciełe wskrzeszonego i wierście mi, przyjaciele moi, był takim, jak za życia przed chorobą, co go zabrała z tej ziemi. Odtąd żyje, można z nim rozmawiać, a jutro będziecie mogli go oglądać. Teraz, kiedy wam wszystko powiedziałem, zadaję wam raz jeszcze toż samo pytanie i żądam odpowiedzi, po którą przyszedłem. Pytanie to jest raczej powtórzeniem twojego własnego pytania, Simonidesie, bo pytam: Czymże więcej niż człowiekiem jest Ten, którego zowią Nazarejczykiem?

Słowa te wymówił z pewną uroczystością. Długo w noc roztrząsali trzej mężowie to pytanie. Simonides trwał przy swoim rozumieniu proroków; Ben-Hur przyznawał, że obaj starcy mają słuszość, bo Nazarejczyk jest Odkupicielem, jak go pojmował Baltazar, ale zarazem i Królem, którego oczekiwał Simonides.

– Jutro dowiemy się, pokój wam wszystkim. – Wyrzekłszy te słowa, odszedł Ben-Hur z powrotem do Betanii.

ROZDZIAŁ XXXVII

Pierwszą osobą, która nazajutrz wyszła z miasta, skoro otworzono bramy, była Amra z koszem w ręku. Strażnicy nie zadawali jej pytań, bo wychodziła zwykle, zanim słońce na niebie zeszło. Nie zwracała zresztą niczyjej uwagi, bo łatwo się było domyślić, że jest czyjąś wierną służką.

Szła drogą ku wschodniej dolinie, ale wzrok chętnie zwracała na szczyt Góry Oliwnej, gdzie widniały białe namioty przybyłych na święta. Było jeszcze tak wcześnie, że nikogo obcego, kto by ją mógł zaczepić, nie spotkała. Doszła do Getsemane, koło grobów, gdzie się krzyżują drogi do Betanii i Siloa. Biedna, wiekiem pochylona staruszka, potykała się często, czasami usiadłszy, odpoczywała, aby zaczerpnąć sił, i po chwili znowu wstawała. Gdyby skały piętrzące się po drugiej stronie miały oczy, pewnie by zauważyły, że często spoglądała ku górze z obawą na jutrzeńkę, co zbyt wcześnie mrok rozpraszała; gdyby słyszeć i mówić mogły, pewnie by rzekły: „przyjaciółka nasza spieszy się dzisiaj, a te, które pragnie nakarmić, głodne być muszą”.

Gdy nareszcie doszła do Królewskich grobów i zobaczyła przed sobą miasto trędowatych, ciągnące się wzdłuż Hinonu, zwolniła kroku. Szła do swej pani, której jaskinia tak bliska była źródłom En-rogel i ucieszyła się widząc, że mimo wczesnej pory, nieszczęśliwa kobieta siedziała już u wejścia, używając świeżego powietrza, podczas gdy Tirza jeszcze spała. Choroba w ciągu ostatnich trzech lat olbrzymie zrobiła postępy, wiedziała o nich wdowa Hura i dlatego okrywała się zawsze starannie: nawet Tirza rzadko kiedy widziała odsłonięte oblicze matki.

Tego poranka, wiedząc, że nie było w pobliżu nikogo, kto by się strasznej mógł przerazić powierzchowności, zdjęła osłonę z głowy, by świeżym odetchnąć powietrzem. Mimo mroku, można już było ujrzeć, jak straszemu zniszczeniu uległa jej postać. Włosy, białe jak śnieg, straciły wszelką miękkość i spadały na plecy jak zwoje srebrnych drutów. Powieki, usta, nozdrza, policzki – zniszczone, była to masa zepsutego ciała. Szyję pokrywały sine blizny. Jedna ręka, na sukni spoczywająca, była sucha jak u szkieletu, palce bez paznokci, a członki albo nagie aż do kości, albo spuchnięte i czerwone. Sądząc z tak zeszpeconej głowy, ręki i szyi, łatwo się domyślić można, w jakim stanie znajdowało się całe ciało i zrozumiemy także, dlaczego piękna niegdyś wdowa Hura tak długo mogła się ukrywać przed poszukiwaniami syna.

Zapytasz się może, czemu, tak straszne przechodząc katusze, nie skróci życia swego?

Bo zabrania tego święte przykazanie.

Może uśmiechnie się na to poganin, ale nie uczyni tego żaden syn, w którego duszy płonie żywym ogniem wiara.

Siedząc pogrążona w samotnych myślach, ujrzała nagle zbliżającą się ku sobie niewiastę, wstaje więc szybko, okrywa głowę i woła oschłym, chrypliwym głosem:

– Nieczyste! Nieczyste!

Za chwilę Amra nie zważając na ostrzeżenie, już u nóg jej leży, cała miłość tej prostej kobiety, tak długo powstrzymywana, wybuchła w tej chwili; ze łzami całuje suknie swej pani. Ta chciała się wydrzeć jej pieszczotom; nareszcie uległa mimo woli ich natarczywości.

– Cóż uczyniłaś, Amro? – rzekła. – Czyż takie nieposłuszeństwo chcesz nazwać miłością? Szalona, zgubiłaś siebie i jego – twego pana – już go nigdy nie zobaczysz! Jesteś już pod wy-

rokiem prawa, nie wolno ci wrócić do Jerozolimy. A cóż się z nami stanie? Któż nam przyniesie chleba? O szalona Amro! Jesteśmy wszystkie zgubione!

– Litości! – wołała Amra, wznosząc ręce ku niej.

– Czemuż, o czemu nie miałaś litości nad sobą, wtedy zaiste byłabyś i dla nas litościwszą. Teraz, dokąd się udamy? Nie ma dla nas żadnej pomocy. O wiarołomna slugo, czy gniew Pana nie dość na nas zaciążył?

Zbudzona wrzawą Tirza, ukazała się teraz, a widok jej był przerażający. Pióro wzdryga się przed opisem jej postaci. Na wpół odziana, bliznami okryta, prawie ślepa, z opuchniętymi członkami, niczym nie przypominała owej istoty pełnej dziecinnej wdzięku, którąśmy poznali na dachu pałacu Hurów.

– Czy to Amra, matko?

Amra próbowała przyczołgać się do niej.

– Stój Amro! – wołała matka rozkazująco. – Zakazuję ci dotykać się jej. Wstań i idź, póki cię nikt u źródła nie widział. Ale zapomniałam – to już za późno! Musisz zostać i los nasz dzielić będziesz. Wstań, mówię!

Amra uklękła, mówiąc ze złożonymi rękoma:

– O dobra pani! Jam ani szalona, ani wiarołomna. Przynoszę dobre wieści.

– Od Judy? – pytała wdowa odsunawszy płótno z twarzy, ale Amra nie słyszała pytania.

– Ukazał się cudowny mąż – mówiła Amra – który może was uleczyć. Dość mu rzec słowo, aby chory był zdrowym; nawet umarły wraca do życia. Przychodzę, aby was do niego zaprowadzić.

– Biedna Amro! – rzekła litościwie Tirza.

– Nie – wołała Amra, rozumiejąc powątpiewanie zawarte w tych wyrazach. – Nie, nie, jam nie szalona, ale to co mówię, prawdą jest, jako żywię Pan, Pan Izraela, Bóg mój i wasz. Chodźcie ze mną, nie tracąc czasu. Dziś, może wkrótce przechodzić będzie ów mąż do miasta. Patrzcie, oto blisko dzień. Pożywcie się i chodźmy.

Matka słuchała z najwyższym zajęciem. Zdaje się, że już wcześniej słyszała o cudownym mężu, bo sława Jego brzmiała już wówczas po wszystkich zakątkach Judei.

– Kim On jest? – pytała.

– Nazarejczyk.

– Kto ci mówił o Nim?

– Juda.

– Juda? Czy jest w domu?

– Przybył wczoraj.

Wdowa chcąc swoje serce do równowagi przywrócić, milczała chwilę.

– Czy Juda cię przysłał, abys nam to powiedziała? – spytała.

– Nie on sądzi, że już nie żyjecie.

– Żył niegdyś prorok, który uzdrowił trędowatego – rzekła matka poważnie do Tirzy – władzę uczynienia tego otrzymał od Boga. Skądże syn mój wie, że mąż ten posiada taką władzę? – spytała, zwracając się do Amry.

– Szedł za Nim, słyszał trędowatych, wzywających Go, i widział jak odeszli zdrowi. Najpierw przybył jeden chory, potem dziesięciu, a wszyscy odeszli uzdrowieni.

Wdowa słuchała w milczeniu; wyszła jej ręka drżała od wzruszenia, widocznie walczyła z sobą. Nie pytała, jak to było, bo jej starczyło świadectwo syna; ale usiłowała zrozumieć potęgę, z której pomocą człowiek mógł takich dokonać rzeczy. Rzekła nareszcie do Tirzy:

– To chyba Mesjasz!

Nie rzekła tych słów obojętnie, ale jak ktoś, co nie wątpi, chociaż zwykł rzeczy sądzić rozsądnie. Jako niewiasta izraelska, oswojona obietnicami, które Bóg dał jej narodowi, i jako kobieta rozumna, gotowa była cieszyć się choćby najmniejszym znakiem spełnienia tych obietnic.

– Był czas, kiedy Jerozolima i cała Judea brzmiały powieściami o Jego narodzeniu – pamiętam to dobrze i zaprawdę, w obecnej chwili mógł dobiec wieku męskiego. Tak, to musi być On. Tak – rzekła do Amry – pójdziemy z tobą. Przynies wodę, która jest w dzbanie i przygotuj jedzenie. Pokrzepiwszy siły, pójdziemy.

Niewiele, wśród tak wielkiego wzruszenia, potrzebowały czasu na pokrzepienie się i wnet wszystkie trzy kobiety puściły się w drogę. Tirza podzielała wiarę matki, jedna przecież myśl trwożyła je. Z Betanii, jak mówiła Amra, miał przybyć, a z wioski tej do Jerozolimy wiodły trzy drogi – jedna przez szczyty Góry Oliwnej, druga krajem tychże wzgórz, trzecia między szczytem a górą „Gniewu”. Wszystkie trzy ścieżki nie były od siebie oddalone, jednak mogły go nie spotkać, gdyby inną nie tę, którą szły, obrał drogę.

Po kilku pytaniach spostrzegła matka, że Amra nie zna okolicy po drugiej stronie Cedronu, ani zamiarów Tego, którego pragnęły spotkać. Zrozumiała też, że Amra z Tirzą spuszcza się na jej kierownictwo, pierwsza już ze względu na swe podrzędne stanowisko, druga z naturalnego uczucia uległości.

– Pójdziemy najpierw do Betfagi – rzekła do nich – tam, za łaską Bożą, dowiemy się, co nam czynić należy.

Szły więc wzgórzami ku Tofetowi i „Królewskim ogrodom”, a gdy weszły na gościńiec, stanęły.

– Lękam się iść gościńcem – rzekła wdowa. – Trzymajmy się na uboczu. Dziś święto, wielkie tłumy ludu podążą do miasta, jeśli pójdziemy wprost przez górę „Obrazy”, unikniemy ich.

Tirza szła z trudnością; słysząc zamiar matki, przestraszyła się.

– Góra to bardzo stroma, moja matko, nie zdołam wejść.

– Pomnij, że idziemy po zdrowie i życie. Patrz, dziecię moje, jak cudny dzień się zapowiada. Tam spieszą kobiety do źródła; gdybyśmy tu pozostały, gotowe nas ukamienować. Chodź, bądź odważna!

Tymi słowy biedna matka, sama cierpiąca, usiłowała wzmocnić córkę. Amra, która dotąd nie ważyła się ich dotknąć, teraz, nie zważając już na nic, podeszła do Tirzy, a obejmując ją w pól, szepnęła jej w ucho; oprzyj się na mnie, dziecię moje, jam silna, choć stara, a droga niedaleka. Chodź, tak – pójdziemy razem.

Góra, na którą się wspinały, była istotnie stroma, nierówna, zasypana rumowiskami i gruzami starych budowli, pełna wyboi; gdy jednak nieszczęśliwe stanęły, aby odpocząć i spojrzeć na widok z północno-zachodniej strony – na świątynię, jej tarasy, na Syjon i jego wspaniałe wieże, rysujące się na tle niebios, uczuła matka budzące się na nowo pragnienie życia.

– Patrz, Tirzo – mówiła – patrz, jak złote płyty lśnią na „Bramie pięknej”. Czy widzisz, jak się w nich odbijają promienie słońca? Pamiętasz, jak tam chodziłyśmy? Pomyśl, jak błogo będzie chodzić tam znowu. Patrz, jak blisko dom nasz! Widzę go poza dachem Świątyni. Ach! jakże w tym starym domu witać nas będzie Juda nasz ukochany!

Nareszcie poczęły po drugiej stronie góry schodzić.

Mimo poświęcenia wiernej służki, biedna Tirza jęczała z boleści, co krok uczyniła, to krzyk z nadmiaru bólu przeszywał serce matki i wiernej Amry. Gdy zeszły na dół padła biedna z sił wyczerpana i słabym rzekła głosem:

– Idź, matko, z Amrą; mnie tu zostawcie.

– Nie, nie mów tak, Tirzo. Czymże by mi było zdrowie bez ciebie? Cóż bym powiedziała Judzie, gdyby pytał, gdzie cię zostawiłam?

– Powiedz mu wtedy matko, żem go kochała.

Nieszczęśliwa matka pochyliła się nad córką i spojrzała bezwiednie wokoło, bo myśl swego uzdrowienia była nierozłączna z uzdrowieniem córki. Postanowiła zaniechać dalszej drogi, zaczekać i zlecić wszystko opatrności Boskiej.

– W tej stanowczej chwili ujrzała zbliżającego się szybko człowieka.

- Odwagi, Tirzo! Oto zbliża się ktoś, co nam może powie coś więcej o Nazarejczyku.
- Matko, zapominasz w twojej dobroci, w jakim znajdujemy się stanie. Nieznajomy, który nadchodzi, wyminie nas, będzie nas przeklinać i rzuci na nas kamieniem.
- Zobaczmy.

Cóż innego mogła odpowiedzieć biedna matka, wszakże wiedziała, jak się obchodzą ludzie zdrowi z trędowatymi.

Droga u zakrętu, gdzie właśnie spoczywały znajome nam niewiasty, była raczej ścieżką niż gościńcem; idący nią przechodzień nie mógł ich wyminąć. Jakoż stało się, iż przyszedł tak blisko, że mógł usłyszeć zwykłe ostrzeżenie, do którego obowiązywało prawo każdego trędowatego. W tak strasznej chwili nie zapomniała wdowa Hura swego obowiązku i okrywając również podług prawa głowę, zawołała:

- Nieczyste, nieczyste!
- Jakież było jej zdziwienie, gdy człowiek nie zawahał się ani chwili i szedł prosto ku nim.
- Czego chcecie? – spytał, zatrzymując się w oddaleniu kilka stóp.
- Widzisz, kim jesteśmy, miej się na baczności! – rzekła matka z godnością.
- Kobieto, jam wysłaniec Tego, który jednym słowem uzdrawia takich jak ty. Nie lękam się.
- Nazarejczyka?
- Mesjasza – poprawił.
- Czy prawdą jest, że dziś przybywa do miasta?
- Jest teraz w Betfage.
- Którą drogą pójdzie?
- Tędy.
- Złożyła ręce do modlitwy i dziękczynne ku niebu wysłała spojrzenie.
- Kim mniemasz, że On jest?
- Synem Bożym.

– Zostań więc tu niewiasto, albo, ponieważ towarzyszy mu wielka rzesza, stań tam u skały, co bieli się z daleka w cieniu drzew. Gdy będzie przechodzić, wezwij Go, wołaj śmiało i nie lękaj się. On cię usłyszy. Idę głosić Izraelowi, co się w mieście i poza miastem zgromadził, że się zbliża Mesjasz, aby mu zgotowali przyjęcie. A teraz pokój tobie i twoim! – To rzekłszy, oddalił się.

– Słyszysz, Tirzo? Nazarejczyk idzie i wysłucha nas. Zbierz siły, jeszcze jeden krok, jeden tylko, moje dziecko, a będziemy u skały.

Słowa te dodały Tirzy odwagi, ujęła ramię Amry i podniosła się z ziemi; gdy uszły parę kroków, wstrzymała ją Amra, mówiąc: Zaczekaj, bo oto człowiek ów wraca. – Czekaj chwilę; gdy się zbliżył, rzekł:

– Proszę cię, niewiasto, przyjmij ode mnie tę wodę; skorom odszedł, zrozumiałem, że wnet słońce doskwierać pocznie, Chrystus zaś nie prędko tu przybędzie. Weźcie więc, woda wam się przydać może i miejcie nadzieję. Gdy przyjdzie, wołajcie!

Mówiąc te słowa, ofiarował im tykwę wody, jaką zwykli brać w drogę podróżni, a nie postawił jej na ziemi, ale oddał im w ręce.

- Jesteś Żydem? – spytała zdziwiona tym postępowaniem matka.
- Jestem, ale co więcej, jestem uczniem Chrystusa, a On naucza słowem i przykładem czynić, jak ja wam uczyniłem. Świat znał od wieków wyraz miłość, ale nie rozumiał jego znaczenia. Powtarzam raz jeszcze: nie trwóźcie się! Pokój tobie i twoim.

Odszedł. One zaś z wolna posuwały się ku skale, którą im wskazał opodal drogi. Gdy doszły do upragnionego celu, spostrzegła matka z zadowoleniem, że przechodzący drogą mogą je ujrzeć i usłyszeć. W cieniu drzewa usiadły więc, a orzeźwiwszy się wodą z tykwy, czekały z wiarą i ufnością; Tirza zasnęła niebawem, obie starsze kobiety, aby jej nie obudzić, milczały.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Okolo trzeciej godziny pobliska droga poczęła się roić pielgrzymami idącymi do Betfagi; koło czwartej wielki tłum ukazał się na szczycie Góry Oliwnej. Całe tysiące się zbliżały, a dwie przypatrujące się kobiety spostrzegły ze zdziwieniem, iż każdy z idących niósł w rękę gałązkę palmową, świeżo zerwaną. Gdy tak siedzą i patrzą, gwar zbliżającego się tłumu od wschodu zwrócił ich uwagę w przeciwną stronę, a matka zbudziła Tirze.

– Co to znaczy? – zapytała zbudzona na wpół jeszcze we śnie.

– On nadchodzi – odpowiedziała matka. – Ci oto idą z miasta naprzeciw Niemu; tamci, których słyszymy, to jego zwolennicy, przyjaciele, co Mu towarzyszą; prawdopodobnie, że się tu, blisko nas, spotkają.

– Boję się, aby tak nie było, bo wtedy nie usłyszy naszego wołania.

Ta sama myśl nękała również starszą niewiastę. – Amro – pytała – gdy Juda mówił o uzdrowieniu dziesięciu trędowatych, jakimi słowy wzywali Nazarejczyka.

– Mówił, że wołali: „Panie, miej litość nad nami” albo „Mistrzu, ulituj się!”

– Tylko tyle?

– Nic nadto nie wspomniał.

Zaprawdę, to wystarczy – pomyślała matka.

– Tak – mówiła Amra – Juda mówił, że widział, jak odeszli uzdrowieni.

Tymczasem ludzie, którzy szli ze wschodu, zbliżali się z wolna; a gdy idących na czele już można było rozpoznać, wzrok trędowatych padł na postać jadącą pośrodku i otoczoną śpiewającymi i tańczącymi wkoło Niego z nadmiaru radości. Jadący miał odkrytą głowę i był w bieli. Skoro nadjechał, ujrzały twarz bladą, osłoniętą ciemnoorzechowymi ze złotym odbłaskiem włosami, spadającymi na ramiona i rozdzielającymi się nad czołem.

Zdawał się nie podzielać hałaśliwej radości orszaku: ich podziw i uniesienie ani Go zachwycały, ani wyrwały z głębokiej zadumy, w której był pogrążony. Promienie słońca padały na Jego głowę, a oświecając rozwiane włosy, tworzyły jakby aureolę dookoła oblicza. Za Nim szło mnóstwo ludu, że końca przejrzeć nie było podobnym, a wszyscy śpiewali radośnie. Nikt nie oznajmił trędowatym, że to On idzie cudowny Nazarejczyk! A przecież Go natychmiast odgadły. – Oto On, Tirzo! – mówiła matka. – Jest tu w pobliżu, chodź, dziecko. – Mówiąc to, padła na kolana u stóp białej skały.

Córka i sługa znalazły się wnet przy niej. W tejsze chwili ci, co dążyli ku Niemu z miasta, zatrzymali się, a powiewając gałązkami palm, śpiewali.

– Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który idzie w Imię Pana!

Cała rzesza, która Go otaczała, i ta, która szła ku niemu, podniosła okrzyki, a powietrze drgało, odbijając echem do grzmotu podobnym o skały i wzgórze. Nic dziwnego, że głos trędowatych ginął w ogólnym zgiełku jak świergot wróbli.

Chwila spotkania już się zbliża, minie chyżo a z nią sposobność tak bardzo przez nieszczęśliwe oczekiwana.

– Chodźmy bliżej, dziecko, stąd nie usłyszy nas! – mówiła matka.

Wstała i uszła kilka kroków naprzód; z wzniesionymi w górę rękoma wołała głosem chrypliwym i ostrym. Lud ujrzał ją, ujrzał jej straszną twarz i zatrzymał się. Ostateczna nęcza

ludzka wywiera prawie zawsze równie potężne wrażenie jak majestat w purpurze i złocie. Tirza została za nią i padła opadał, nie mogąc iść dalej.

- Trędowate, trędowate!
- Kamieniem je.
- Przeklął je Pan! Zabijcie je!

Podobne okrzyki zmieszały się z okrzykami hosanny, co nieustannie brzmiały. Ci, co byli w pobliżu jadącego i obcując z Nim czas dłuższy, znali jego sposób myślenia i serce pełne litości, tych oczy do Niego tylko były zwrócone i milczeli. Gdy się zbliżył i ona ujrzała to oblicze spokojne, pełne litości, nadzwyczaj piękne, z wyrazem nieokreślonej łagodności i uczucia. – Stała jakby w podziwieniu i dopiero po upływie pewnej chwili zdołała zawołać:

- Mistrzu i Panie! Widzisz, jak nędzne jesteśmy; możesz nas oczyścić.
- Miej litość nad nami, zmiłuj się!
- Czy wierzysz, że mogę to uczynić? – zapytał.
- Jesteś przepowiedzianym przez proroki, jesteś Mesjaszem!
- Niewiasto – rzekł – wielką jest twoja wiara, niechaj ci się stanie, jak chcesz!

Zdawać by się mogło, że zapomniał o tłumie, który mu towarzyszył, przystanął chwilę, chwilę tylko, i odjechał.

Jakże słodko odbiło się w sercu Jego błogosławieństwo i wdzięczność tej, co wołała z nim: „Chwała Bogu na wysokości, chwała! Po trzykroć błogosławionym Syn, którego nam dał”.

Zaledwo postąpił kilka kroków, oba orszaki: ten, który szedł z miasta i ten, który szedł z Betfagi, otoczyły go, powiewając palmami i wznosząc radosne okrzyki: hosanna! I tak znikł z oczu trędowatych.

Spiesznie nakrywszy głowę, pobięła matka do córki, a obejmując ją, wołała: Córko, mam obietnicę, dotrzyma jej, bo jest Mesjaszem! Otośmy ocalone! – Obie klęczały pogrążone w modlitwie, póki procesja nie przeszła i nie znikła za górą.

W miarę, jak gwar cichnął i cisza zalegała te ustronne miejsca cud spełniać się zaczynał. Najpierw dotknięte chorobą uczuły jakieś odświeżenie krwi w sercu, potem prędsze i silniejsze jej krążenie, które napełniło ich uciśnione ciało słodkim uczuciem uzdrowienia bez bóleści. Każda czuła, że choroba ją opuszcza, siły się wzmacniają i wracają do pierwotnego stanu. Wnet, jakby dla dokonania oczyszczenia, tchnienie ożywcze przeszło z ciała do duszy, która zadrgała nadzwyczajnym zapałem. I zdała im się ta siła, uzupełniająca cudowne przeobrażenie, niby czarodziejskim nektarem, działającym szybko i szczęśliwie.

A jednak silniejsza niż napój była władza uzdrawiająca i oczyszczająca, bo wzniosła ich dusze ku niebu, napełniając je dziękczynieniem.

Świadkiem tego przeobrażenia – gdyż tak raczej nazwać należy uzdrowienie trędowatych – był jeszcze ktoś prócz Amry. Jak wiemy, szedł Ben-Hur ze zwykłą sobie wytrwałością za Nazarejczykiem, towarzysząc mu we wszystkich wędrówkach i podróżach; a jeśli przypomnimy sobie jego ostatnie postanowienie, to nie zdziwimy się wcale, gdy ujrzymy go wśród rzeszy towarzyszącej wjazdowi. Był on tuż przy drodze, gdy trędowata kobieta ukazała się wśród tłumu, słyszał jej prośby i widział straszne oblicze. Również nie uszła jego uwagi odpowiedź Nazarejczyka, a choć przypadki tego rodzaju były wówczas dość liczne, przecież jeszcze nie oswoił się z nimi na tyle, by nie wzbudzały w nim podziwu.

Że każdy taki nowy dowód siły i potęgi Nazarejczyka budził na nowo w sercu wodza wszelkie sprzeczne myśli, dotyczące się misji tajemniczego człowieka, jest rzeczą całkiem naturalną. To na nowo budzące się myśli wstrzymały Ben-Hura na miejscu, wysunął się z orszaku i usiadł na kamieniu, czekając, aż cały pochód przejdzie.

Tak siedząc, pozdrawiał przechodzących znajomych Galilejczyków, co pod długimi sukniami ukrywali krótkie miecze. Po chwili zbliżył się Arab, prowadzący dwa konie, lecz Ben-Hur dał mu znak, aby się zatrzymał, mówiąc:

- Zatrzymaj się tutaj, wnet ruszę do miasta, a Aldebaran musi mi oddać przysługę.

Mówiąc to, głaskał konia, który był właśnie w chwili rozwoju swej siły i piękności, lecz widząc, że uzdrowione kobiety zatrzymały się opodal, zwrócił ku nim oczy.

Były mu te kobiety całkiem nieznanne, zajmowały go więc jedynie jako okazy, które mu miały pomóc do rozwiązania tajemnicy, tak dawno gnębiącej jego niepewny umysł. Nagle spojrzął na osobę, stojącą u białej skały i zakrywającą twarz rękoma.

– Na Boga, czyżby to była Amra? – rzekł sam do siebie.

Z tą myślą minął matkę i siostrę, nie poznawszy ich, i stanął przed sługą.

– Amro! – rzekł – Amro! Co tu robisz?

Pobiegła ku niemu, padła na kolana, a łkając, nie zdołała wymówić słowa z bojaźni i radości.

– O panie, panie! Jakże dobrym jest Bóg twój i mój.

Trudną do określenia jest siła współczucia, która sprawia, że bierzemy udział w próbach i doświadczeniach, co szamocą dolą drugich: Ona to zespala nas z nimi, że ich cierpienia i radość stają się naszymi. Tak i Amra, choć twarz zakryła rękoma, choć trędotate nie rzekły i słowa, dzieliła ich uczucia. Jej zachowanie, słowa, wszystko to pozwoliło odgadnąć Ben-Hurowi jakby przecuciem, że jej obecność łączy się z obecnością kobiet, które właśnie co minął. Czuł, że jest między nimi jakiś związek, obrócił się ku nim w chwili, gdy powstały z ziemi. Tu – serce jego stanęło, jakby wrósł w ziemię – oniemiał z przerażenia.

Kobieta, którą ujrzał przed Nazarejczykiem, stała z rękoma złożonymi i oczyma wzniesionymi ku Niebu. Samo przeobrażenie już było dostateczną niespodzianką, przecież powód jego wzruszenia, jakże był inny! Czyż mógł się mylić? Nigdy nie zdarzyło mu się widzieć kogoś podobniejszego do matki, takiej, jaką była w chwili, gdy mu ją Rzymianie wydarli. Jedna tylko zachodziła różnica – włosy jej przyprószyła siwizna, przypominając minione lata, których cud zatrzeć nie potrzebował. Kogóż widzi obok niej? – Wszak to Tirza, piękna, rozwinięta, ale prawie ta sama, co z nim stała przy balustradzie w owym pamiętnym dniu. Sądził, że nie żyją, z czasem przyzwyczaił się do tej myśli, oplakiwał je, ale w snach i marzeniach nie miały już wyraźnego kształtu. Zaledwie swym oczom wierząc, położył rękę na głowie sługi i spytał drżącym głosem:

– Amro, Amro, moją to matka? Tirza to?... Powiedz, czy mnie wzrok nie myli?

– Mów do nich, panie mój, mów do nich! – rzekła.

Nie czekał już dłużej, pobiegł z wyciągniętymi rękoma, wołając: Matko, matko! Tirzo! Oto jestem.

Słyszały jego wołanie, biegną ku niemu z okrzykiem! Nagle stanęła matka, w chwili gdy z ust jej dobyło się słodkie imię: – Juda, synu! – i dodała dawną przestrożę: „cofnij się, bo nieczyste! nieczyste!”

Nie był to wyraz przyzwyczajeniem wywołany, raczej płynący z obawy macierzyńskiej miłości. W swoje uzdrowienie wierzyła najzupełniej, ale bała się, czy w szatach nie ukrywa się zaraza. Myśl ta daleką była od serca syna, nikt nie byłby go powstrzymał, i za chwilę wszyscy troje, tak długo rozłączeni, padli sobie w objęcia.

Pierwsza ocknęła się matka, mówiąc:

– Niech nas nie kala niewdzięczność: wśród szczęścia pomnijmy o Tym, który nam je darował i złożmy podziękę Jemu, któremu tyle zawdzięczamy!

Upadli wszyscy wraz z Amrą na kolana, a modlitwa matki była jako psalm dziękczynny. Tirza z głębokim przejęciem powtarzała każdy wyraz, czynił to i Ben-Hur, ale nie z tak czystym umysłem i nie z taką wiarą. Wstawszy, zapytał:

– W Nazarecie, kędy się urodził mienią Go ludzie synem cieśli. Kimże jest? Oczy matki spoczęły na synu z dawną tklivością, i odparła mu, jak to uczyniła przed chwilą na pytanie Nazarejczyka:

– Mesjaszem.

– Skądże Jego moc?

- Skąd? – Czy nie widzisz, jaki z niej robi użytek? Czy widziałeś, aby kiedykolwiek robił co złego?
- Nie.

– Oto dowód, że siła i moc Jego od Boga jest!

Niełatwo to pozbyć się wszystkich nadziei, dla których się od lat pracowało i które się w duszy pieściło; a chociaż przyznawał, że próżność tego świata niczym jest dla Chrystusa, pragnienie chwały nie pozwalało mu poddać się. Chciał wierzyć w Chrystusa podług siebie, jak to tylu ludzi robi po wsze czasy, mimo że stokroć byłoby lepiej, gdybyśmy podług Chrystusa, a nie podług siebie wierzyli.

Matka pierwsza pomyślała o obowiązkach życia codziennego, pytając:

- Cóż dalej czynić mamy? Dokąd pójdziemy, synu mój?

Ben-Hur, napomniany tymi słowami, jał się przypatrywać ich postaciom i zauważył, że znikły wszelkie ślady trądu, a ciało ich było podobne ciału zdrowego dziecięcia, jak niegdyś ciało Naamanowe – słowem, wróciły do dawnego stanu. Widząc Juda, że szata Tirzy nie dobrane okrywa jej wdzięki, zdjął swój płaszcz, a osłoniwszy nim Tirze, rzekł z uśmiechem:

– Weź go! Jeśli wpierv oko patrzącego obrażała twoja choroba, to niechaj teraz wzrok ciekawych nie obraża ciebie.

Ruchem tym odkrył miecz u boku.

- Czy żyjemy czasu wojny? – spytała trwożnie matka.

– Nie.

– Czemuż więc nosisz broń?

– Broń ta może być potrzebną w obronie Nazarejczyka.

Ben-Hur nie rzekł całej prawdy, ale i nie ukrywał nic.

– Cóż, ma nieprzyjaciół... kto oni?

– Niestety, matko, nie są to sami Rzymianie!

– Nie jesteście synem Izraela i czyni co przeciw pokojowi?

– Nikt inny, jak On, może być zwany mężem pokoju; ale w przekonaniu rabinów i nauczycieli winien jest wielkiej zbrodni.

– Jakiej?

– Nową głosi naukę, a stosownie do jej zasad i poganin równy jest Żydowi i godzien wszelkich łask nieba.

Matka milczała i poszli w cień drzew u skały. Powstrzymując niecierpliwość zabrania ich do domu i ciekawości słuchania dziejów strasznej przeszłości, przypomniał im Ben-Hur sam, potrzebę zastosowania się do prawa obowiązującego w podobnym wypadku. Kończąc swe rozporządzenia, kazał Arabowi zaprowadzić konie do bramy przy Betesda i tam na niego czekać. Jakże innym był powrót niewiast do miasta! Szły razem u ukochanym Juda, szły prędko, swobodnie, wolne od wszelkich obaw. Stanąwszy u wejścia nowego grobowca w pobliżu grobu Absalona i tuż przy Cedronie, ujrzały ze pustki i zajęły go, podczas gdy Ben-Hur udał się do miasta, aby wszystko przygotować do nowego życia.

Wkrótce wrócił i zbudował dwa namioty w pobliżu „Ogrodów królewskich” i urządził je jak najwygodniej, gdyż obydwie kobiety musiały tam pozostać, dopóki kapłan nie sprawdzi ich oczyszczenia.

Przebywając z trędowatymi, spełniając swe względem nich obowiązki, stał się Ben-Hur, stosownie do brzmienia prawa, równie nieczystym, wskutek czego nie mógł brać udziału w zbliżających się uroczystościach. Nie mógł wejść nawet w najodleglejsze podwórze świątyni. Zmuszonym więc był niejako pozostać ze swymi ukochanymi w namiocie. Był to jednak miły przymus, gdyż wiele miał do słuchania i wiele do opowiadania.

Dzieje takie, jak ich, tylu lat przebytych wśród cierpień, tylu bolesnych doświadczeń, nie da się opowiedzieć krótko. Toteż opowiadały powoli, a on słuchał cierpliwie, walcząc o spokój, równowagę, ile razy uczucia poczęły go unosić. Nic dziwnego, że pod wpływem tych opowiadań nienawiść do Rzymu i Rzymian dosięgła najwyższego punktu. Pragnienie zemsty

porywało go, gorycz napełniała duszę jego, chciałby biec, bić, mordować, mścić się za wszystkie krzywdy. Raz zdało mu się, że najlepiej by było zebrać Galilejczyków, wywołać powstanie i rozbijać po drogach. Innym razem myślał już o morzu – choć drżał na myśl o nim. Widział w duchu rzymskie statki naładowane bogactwami, które można by łupić. Były to wszystko mrzonki, ale gdy je rozważył, pokój brał nad nimi górę. Każde usiłowanie użycia nowych środków przypomniało mu dawne postanowienia i widział wyraźnie, że tylko połączenie całego Izraela w jedną całość i walka z Rzymem wywołać mogą zmiany i posłużyć jego zemście. Tak wszelkie rozmyślania, wszelkie badania, wszelkie nadzieje kończyły się tam, gdzie się zaczęły... na Nazarejczyku i Jego celach.

W dziwnych chwilach nadzwyczajnego uniesienia zdawało się twórcy tych wspaniałych planów, że słyszy Nazarejczyka mówiącego: Słuchaj, Izraelu! Jam jest obiecany przez Pana, Ten, który się urodził – Król Żydowski. Przyszedłem jak jest przez proroki przepowiedziane. Powstań Izraelu jako jeden mąż, a zwyciężysz i podbijesz świat!

Były to słowa układu Ben-Hura i gdyby je wypowiedział Nazarejczyk, tłum poszedłby za nim niewątpliwie.

W zapale, co go popychał do dzieła, po światowemu pojętego, zapomniał Ben-Hur o podwójnej naturze męża, który miał te szyki sprawować. Nie powstało mu w myśli, że natura boska może przeważać ludzką. W tym cudzie, o którym jego matka i siostra najdoskonalsze miały wyobrażenie, widział i odróżniał tylko potęgę, co zdolna zbudować tron Izraela na rumowiskach państwa Cezarów, zmienić świat i całą ludzkość, stwarzając jedną kochającą rodzinę. Czyżby dzieło tak przeprowadzone i tak pojęte nie było powołaniem godnym Syna Bożego? Czyżby to nie było dziełem odkupienia? Gdyby nawet nie zważać na polityczne następstwa, ileżby stąd spadło chwały na Niego, jako na człowieka! Nie, zaiste, nie znalazłby śmiertelnika, który by takim powołaniem śmiał wzgardzić.

Tymczasem wzdłuż Cedronu i w stronę Bezety, zwłaszcza wzdłuż drogi ku Bramie Damascyjskiej, rosły w oczach namioty i szalasy, co miały być tymczasowym schronieniem pielgrzymów ciągle jeszcze przybywających na Wielkanoc. Ile razy Ben-Hur wyszedł przypatrzyć się i porozmawiać z cudzoziemcami, tyle razy wracał do swoich namiotów zdziwiony liczbą i różnorodnością napływającego ludu. Później przekonał się, że każda część świata ma wśród tych tłumów swoich przedstawicieli. I tak wszystkie miasta obu wybrzeży Morza Śródziemnego, aż po słupy Zachodu, dalej grody rozsiadłe nad rzekami dalekich Indii, a nawet ziemie północnej Europy.

Gdy chodząc wśród namiotów, słyszał jako mówili różnymi językami, niepodobnymi do starego Hebrajczyków języka i wiedział, że wszyscy przybyli w jednym celu obchodzenia uroczystego święta, powstała w jego umyśle dziwnie fantastyczna myśl. Czyżby źle zrozumiał zamiary Nazarejczyka? Któż wie, czy nie czekał cierpliwie, a tą cierpliwością pokrywał przygotowania i tym sposobem właśnie dał poznać wielkie zdolności godne tak wielkiego zadania? Bo czy nie była obecna chwila daleko odpowiedniejsza niż nad jeziorem Genezalet, gdzie Mu Galilejczycy chcieli włożyć koronę na głowę? Wtedy jego stronnictwo liczyło jakieś kilka tysięcy, dziś na Jego wezwanie odpowiedziałyby miliony. Któżby ich policzyć zdołał? Snując swoje przypuszczenia Ben-Hur obracał się wśród świętych nadziei i przyszedł do przekonania, że ten spokojny człowiek pod łagodną powierzchownością i dziwnego zaparcia samego siebie, ukrywał subtelny umysł polityczny i zdolności wodza.

Wśród tych zajęć i myśli nawiedzali go często krępi ludzie, o ciemnych włosach i brodach, a bez zawoi na głowach: rozmawiał z nimi długo i tajemniczo, gdy matka pytała go, kim byli, odpowiadał:

– Moi dobrzy przyjaciele z Galilei.

Oni donosili mu o postępowaniach Nazarejczyka i planach Jego nieprzyjaciół – tak rabinów, jak i Rzymian.

Że życie tego męża było w niebezpieczeństwie, wiedział, ale nie przypuszczał, aby mieli odwagę targnąć się na nie w czasie świąt. Zdawało mu się, że to życie zanadto już było otoczone sławą i popularnością, a w części sądził, że sam najbliższy mu towarzyszący orszak nie dopuści niebezpieczeństwa, nade wszystko zaś pewność jego polegała na cudownej władzy Chrystusa. Po ludzku rozumując, nie mógł pojąć, aby ktoś, posiadający taką władzę nad życiem i śmiercią, władzę której tak często używał dla dobra innych, nie używał jej dla siebie.

Wszystkie te wypadki zdarzyły się między 21 a 25 marca podług naszej rachuby. Wieczorem ostatniego dnia (25) nie zdołał już Ben-Hur wytrzymać w namiocie i postanowił udać się do miasta, obiecując wnet wrócić.

Koń był wypoczęty, mknął więc rażno, nikt go nie widział, ulice był puste.

Wjechał do Jerozolimy północną bramą.

ROZDZIAŁ XXXIX

Ben-Hur zostawił konia przed gospodą, z której przed trzydziestu laty wyjechali trzej Mędrzy do Betlejem. Towarzyszącemu Arabowi poruczył pieczę nad Aldebaranem, sam zaś pośpieszył do rodzinnego domu i jego wielkiej komnaty. Najpierw pytał o Mallucha, a nie znalazłszy Go w domu, pragnął pozdrowić swoich przyjaciół: kupca i Egipcjanina. I to mu się nie udało, bo obaj kazali się zanieść do miasta na uroczystość. O Baltazarze mówiono, że jest słaby i wzruszony.

Gdy Ben-Hur dowiadywał się o Baltazarze, w drzwiach poruszyła się zasłona i weszła Iras. Stała na samym środku komnaty, gdzie światło lamp siedmioramiennego świecznika najsilniej padało.

Sługa oddalił się, zostawiając ich samych.

Wśród wzruszeń i zdarzeń ostatnich dni, Ben-Hur poświęcał Egipcjance ledwie myśl przelotną, jaką się przeznacza przyjemności, co może poczekać, być odłożoną na czas sposobniejszy. Teraz, gdy ujrzał tę kobietę, wpływ jej odżył z całą siłą.

Do obecnej chwili używała ona wszelkich sposobów, aby go usidlić; obecnie nie mogłaby nikogo obojętniej przyjąć. Stała spokojna i zimna jak posąg, tylko głowę przechyliła wstecz.

Tak niejako odporne zajmując stanowisko, przemówiła pierwsza:

– W sam czas przybywasz, synu Hurów – rzekła głosem zimnym – bo właśnie chcę ci podziękować za gościnność, pojutrze mogłoby być za późno.

Ben-Hur skłonił się lekko, nie spuszczać z niej oczu. – Słyszałam, że grający w kości zwykli po skończonej grze przeliczać wzajemnie swe tabliczki i podsumowywać liczby – wychodzi im to na dobre, bo potem czynią libacje i wieńczą zwycięzcę. Myśmy również grali – trwało to wiele dni i nocy – teraz gdy gra skończona, czas zobaczyć, komu się wieniec należy?

Ben-Hur przezorny jak zwykle, odparł lekko: Mężczyzna powinien kobiecie zawsze zostawić wolną wolę.

– Powiedz mi – mówiła, zwracając ku niemu głowę z wyrazem ironii – powiedz mi, księżu Jerozolimy, gdzie jest ów syn cieśli z Nazaretu, a zarazem Syn Boży, po którym tak wielu spodziewałeś się rzeczy.

Ben-Hur poruszył niecierpliwie ręką i odpowiedział: Nie jestem przecież jego stróżem.

Piękna twarz pochylała się jeszcze bliżej.

– Czy zburzył Rzym?

Ben-Hur podniósł rękę, w ruchu tym był już cień gniewu.

– Gdzież Jego stolica? – pytała. – Czyż nie ujrzę Jego tronu i lwów ze spiżu, co go strzegą? A jego pałac? – wskrzeszał umarłych, to zaiste trudniej, niż zbudować dom ze złota? Jednym skinieniem, wymówieniem jednego słówka, wszak może zbudować równie wspaniałe gmach, jak sławny, prastary Karnak!

Teraz zrozumiał już jej grę; a że pytania były obrażające, całe zachowanie znamionowało niechęć, brak ufności, stał się przezorniejszym i rzekł z odcieniem dobrego humoru: Któż wie, któż zgadnie co będzie, poczekaj jeszcze, jeszcze dzień lub tydzień, może ujrzysz pałac i lwy.

Nie zważając na przerwę, mówiła dalej:

– Dziwi mnie twe przebranie, wszak nie jest ono szatą odpowiednią dla namiestnika Indii lub jakiegokolwiek wicekróla. Widziałam raz satrapę Teheranu, nosił turban z jedwabiu, a szatę ze złotej tkaniny; rękojeść jego miecza świeciła klejnotami i myślałam, że Ozyrys użył mu wspaniałości słońca. Widząc cię w tak skromnym przybraniu, lękam się, że nie otrzymałeś królestwa, które z tobą dzielić miałam!...

– Córa mego czcigodnego i mądrego gościa uprzejmiej sja jest niż sama przypuszcza, bo przekonuje mnie, że w pięknym ciele może mieszkać serce pełne goryczy.

Ben-Hur mówił grzecznie, Iras zaś, pobawiwszy się chwilę naszyjnikami z monet, mówiła dalej: Jak na Żyda, mądrym jesteś, synu Hura. Wiesz, widziałam tu wjazd twego wymarzonego cezara do Jerozolimy. Mówiłeś nam, że dnia tego ogłosi się królem Żydów, u stóp Świątyni, poszłam więc naprzeciw, widziałam uroczysty pochód prowadzący Go, gdy schodził z góry. Słyszałam śpiewy i wołanie: „Hosanna!”. Widziałam, jak powiewano mu palmami; wyglądało to wspaniale. Ale gdy szukałam tam między tłumem postaci po królewsku wyglądającej, cóżem ujrzała? Czy jeźdźca w purpurze, czy wóz lśniący od złota, czy rycerza z tarczą, czy choćby uzbrojoną włóczniami kohortę? Na próżno! – Pragnęłam ujrzeć bodaj księcia Jerozolimy na czele swych Galilejczyków. – Tu rzuciła na słuchającego spojrzenie pełne pogardy, potem zaśmiała się szyderczo, jak gdyby na wspomnienie takiego obrazu, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Zamiast Sesostrysa wracającego z tryumfem, lub cezara w zbroi, cóżem ujrzała – ha, ha, ha! Ujrzałam mężczyznę z twarzą i włosami kobiety, jadącego na źrebięciu oślicy i płaczącego. Toż to król! Toż to syn Boży! Odkupiciel świata! Ha,ha, ha!

Mimo, że Ben-Hur umiał panować nad sobą, była chwila, w której o mało nie dał się unieść gniewowi.

– Nie myśl jednak, księżę Jerozolimy, abym tak łatwo dała za wygraną, pozostałam na miejscu – mówiła dalej, zanim zdołał się opamiętać. – Nie śmiałam się bynajmniej, lecz pomyślałam sobie: – Czekaj, w Świątyni ukaże się jak przystało na bohatera, co cały świat ma zdobyć! Widziałam dalej jak wchodził w bramę Shushan i w podwórze niewiast. Prócz mnie ileż ludzi czekało tak samo jak ja z zapartym oddechem na głoszenie, ileż tysięcy w portykach, podwórzach, w klasztorach i na stopniach z trzech stron Świątyni – tysiące tysięcy, co mówię, miliony! Wszystko czekało. I o dziwo! Ha, ha, ha, już zdało mi się, że słyszę trzask upadającego Rzymu. Ha, ha, ha, klęę się na duszę Salomona, twój Król wszechwładny nie ogłosił swej królewskiej władzy, choć Świątynia zdawała się drżeć odgłosem „Alleluja!” co wydzierał się z piersi Jego dzieci! A i Rzym stoi jak stał!

Ani wywody Baltazara, ani cuda Chrystusa, które widział własnymi oczami, nie podziały na niego tak, jak słowa stojącej przed nim kobiety. Łuski spadały mu z oczu – posłannictwo Nazarejczyka nie było polityczne; zwykły człowiek nie oparłby się takiemu hołdowi jaki Jemu złożono.

– Córko Baltazara – rzekł z godnością – jeśli gramy jeszcze, to weź wieniec, godło zwycięstwa – przyznaję ci go chętnie. Teraz porozumiemy się; że masz wytknięty cel, nie wątpię, wymień go, proszę, a odpowiem ci. Potem idźmy każde w swoją drogę i zapomnijmy, żeśmy się kiedy spotkali. Mów, słucham dalej, ale uważaj, abyś za daleko nie zaszła!

Patrzyła na niego przez chwilę, jakby się namyślała, co czynić – może ważyła siłę swej potęgi, potem rzekła zimno: Możesz odejść – idź!

– Pokój tobie – odpowiedział i zwrócił się do odejścia. Gdy był u drzwi, zawołała:

– Jeszcze słowo!

Stała i obejrzała się:

– Zważ wszystko, co wiem o tobie.

– O najpiękniejsza z Egipcjanek – mówił, zwracając się, cóż wiesz o mnie?

Patrzyła jakby nieprzytomnie.

– Ty, synu Hura, jesteś więcej Rzymianinem niż którykolwiek z twych rodaków.

- Jestem tak mało do swych współpracowników podobny? – zapytał obojętnie.
- Wszak wszyscy bohaterzy są Rzymianinami – dodała grzeczniej.
- Spodziewam się, że dlatego powiesz mi, co więcej jest ci o mnie wiadomym.
- Podobieństwo to dużo dla mnie znaczy i za nie gotowam cię uratować.
- Mnie uratować? To dziwne!... Od czego, przed czym?

Głos jej stał się cichy i słodki; tylko gwałtowny ruch małej, w jedwabny trzewik obutej nóżki przypominał, że trzeba się mieć na baczności.

– Znałam Żyda, zbiegłego galernika, który zabił człowieka w pałacu Iderne... – zaczęła wolno.

Ben-Hur słuchał zdziwiony.

– Ten sam Żyd zabił rzymskiego żołnierza tu w Jerozolimie; ten sam Żyd ma trzy legiony złożone z Galilejczyków, gotowych do pochycenia mieczy przeciw namiestnikowi rzymskiemu. Szejk Ilderim jest jednym z jego stronników.

Tu przysunęła się bliżej i mówiła dalej, prawie szeptem.

– Żyłeś w Rzymie... przypuścimy, że powtórzę to komuś, kogo znasz... Ha! – błędniejsz?

Cofnął się z wyrazem, który łatwo wyobrazić sobie możemy na twarzy człowieka, co mniemał, że bawi się, ze swawolnym kotkiem, tymczasem trafił na tygrysa. Ona zaś mówiła dalej.

– Znają cię w przysionkach pałacu cesarskiego i znasz Sejana. Przypuść, proszę, że mu się to powie i poprze dowodami w rękę – choćby i bez dowodów – dość będzie, gdy usłyszysz, że ten Żyd jest najbogatszym człowiekiem Wschodu, ba, raczej całego państwa. Jak mniemasz, czy ryby Tybru miały kiedy lepszą ucztę? – A jakież igrzyska byłyby w cyrku! Wielką sztuką rzymskiej polityki jest bawić Rzymian, drugą sztuką – mieć czym bawić, a był kiedy artysta, co by w sztukach dorównał Sejanowi?

Ben-Hur starał się zachować spokój.

– Pragnąc ci zrobić przyjemność, piękna córo Egiptu, uznaję twą przebiegłość, co więcej, czuję się w twej mocy. Wiem, że względu dla mnie mieć nie będziesz – mógłbym cię zabić, ale jesteś kobietą i pod moim dachem. Przede mną, na moje przyjęcie, otwarta pustynia, a zaprawdę, choć Rzym umie ścigać ludzi, tam nie dosięgnie lub długo szukać może. Piaszczyście morze w swych głębinach chowa tysiące włóczy i dzielnych serc, a i niepokonani dotąd Partowie nie zaniedbują sposobności dokuczenia swym prześladowcom. Wśród sieci, w które, z pokorą wyznaję, sam się uwikłać dałem, mam prawo żądać od ciebie odpowiedzi na jedno pytanie – tę odpowiedź winną mi jesteś i pytam cię, od kogo wiesz te rzeczy o mnie? Niech wiem w ucieczce, czy niewoli, niech wiem nawet przy skonaniu, kogo mam przekląć? Niech mi przekleństwo, które zostawię zdrajcy, będzie pociechą, jako przekleństwo człowieka, który w życiu niczego prócz niedoli nie zaznał! Teraz raz jeszcze powtarzam: Kto ci powiedział to, co wiesz o mnie?

Nie wiedzieć czy szczerze, czy nie – dość, że twarz Egipcjanki zajaśniała współczuciem.

– Są w mej ojczyźnie, o synu Hura – rzekła – ludzie, którzy tworzą obrazy z różnokolorowych muszli, zbieranych na morskich wybrzeżach po burzy. Te muszle pocięte w kawałki, układają na taflach z marmuru. Czy ci to porównanie nie daje wskazówki? Dość będzie, gdy powiem, że od jednego zebrałam pełną dłoń głównych okoliczności, od drugiego garść drobnych szczegółów, to wszystko złożyłam w całość i byłam szczęśliwa, jak nią może być kobieta, która ma w swym ręku mienie i życie człowieka, z którym – tu zatrzymała się, tupiąc nogą i odwracając się, jakby dla ukrycia nagłego wzruszenia; po czym z wyrazem pełnym ciężkiego postanowienia dokończyła zdanie – z którym nie wie, co zrobić.

– Nie mogę na tym poprzestać – rzekł Ben-Hur niewzruszony jej zuchwalstwem – to nie dosyć. Jutro możesz postanowić, co ze mną zrobić, a ja dziś umrzeć mogę.

– To prawda – dodała szybko z pewną przesadą – zresztą mogę ci powiedzieć: coś wiem od szejka Ilderima, gdy wraz z moim ojcem mieszkał w jaskini na pustyni. Noce tam spokojne, ściany namiotu cienkie i łatwo przez nie słyszeć mogą ptaki i chrząszcze, co latają w przestworzu.

Śmiała się z swego zakończenia i mówiła znowu:

– Inne materiały, niby odłamki muszli, przydatne do całości, mam od...

– Od kogo?

– Od syna Hura.

– I nikt więcej nie dostarczył ci treści?

– Nikt – odparła.

Hur odetchnął i rzekł swobodnie:

– Przyjm me podziękowanie. Nie dobrze kazać czekać Sejanowi. Pustynia umie strzec tego, co raz pochwyti. Pokój tobie Egipcjanko!

Dotąd stał z odkrytą głową, teraz wziął zawój, co mu się zwieszał z ramienia i wkładając go, miał się ku odejściu. Ale ona wstrzymała go, a w zapale wyciągnęła nawet rękę ku niemu.

– Zostań – rzekła.

Spojrzał na nią, ale nie ujął dłoni, choć blaskiem klejnotów wabiła, bo poznał z jej obejścia, że główny powód tej dziwnej sceny dopiero teraz na jaw wyjdzie.

– Zostań i nie przerywaj; gdy się dowiesz, synu Hura, że wiem, dlaczego szlachetny Ariusz zrobił cię swym dziedzicem. Na Izis! Na wszystkie bogi Egiptu, przysięgam ci, że drzę, gdy myślę o tobie, tak walecznym i szlachetnym, i widzę w ręku dostojnika, który nie zna, co to wyrzut sumienia. Część twojej młodości upłynęła w wielkiej stolicy, czymże będzie dla ciebie pustynia jako przeciwieństwo dawnego życia? Zważ, jak to czynię, bo wierzaj mi, żal mi cię, żal! Więc zrób, co chcę, a uratuję cię, klnę się na naszą świętą Izydę! – Słowa prośby wymówiła tak miękko i poważnie, zresztą tak była piękna, że niepodobna było się całkiem oprzeć urokowi.

– Ja wierzę ci prawie – odparł Ben-Hur głosem pełnym wahania, niskim i niewyraźnym. Nie umiał się jej sprzeciwić, a jednak podejrzewał ją.

– Doskonale szczęście może kobieta znaleźć tylko w miłości, ale najwyższe zwycięstwo męża polega na pokonaniu samego siebie, o to pokonanie, o to zwycięstwo, o to szczęście – ja dziś chcę błagać ciebie, księżu!

Mówiła te słowa szybko i z wielkim ożywieniem; naprawdę nigdy nie wydała mu się tak piękna, ani tak czarująca.

– W dzieciństwie twoim miałeś przyjaciela. Kłótnia rozdzieliła was na zawsze – jesteście sobie wrogami. Zrobił ci krzywdę. Po wielu latach spotkałeś go w cyrku w Antiochii.

– Messala...

– Tak, Messala. Tyś jego wierzycielem. Zapomnij przeszłości, przyjmij go jak przyjaciela, wróć majątek, który stracił w zakładzie, ratuj go. Cóż sześć talentów dla ciebie? To drobnostka, nawet nie tyle, co pączek spadający z krzewu pełnego liści. A dla niego... ach, on kaleka! Jeśli go spotkasz kiedy, już tylko z ziemi ku tobie wznosić będzie oczy. O synu Hurów, szlachetny księżu! Dla Rzymianina jego pochodzenia, nędza gorsza od śmierci! Ratuj go, panie, od nędzy. Niechaj nie zebrze, o panie!

Jeśli szybkość z jaką mówiła, była przebiegłością obliczoną na to, aby mu nie dać czasu do namysłu, to myliła się, nie pamiętając, że są przekonania, co się nie liczą z myślami. Jemu zdało się, gdy nareszcie wstrzymała potok słów i czekała na odpowiedź, że spoza jej ramienia widzi Messalę, a wyraz twarzy Rzymianina nie nosił śladów nędzy, tym mniej nie miał nic przyjacielskiego; widniała w nim ta sama patrycjuszowska ironia i duma, równie oburzająca jak dawniej.

– Messali nie dam nic. Postanowienie moje jest niezmiennie – postępuję jako Rzymianin przeciw Rzymianinowi! Ale powiedz, czy to on – czy to Messala przysłał cię do mnie z tą prośbą?

– On jest szlachetny i ma cię za wielkodusznego.

Tu Ben-Hur położył rękę na ramieniu kobiety.

– Kiedy go znasz tak dobrze, piękna Egipcjanko, powiedz mi, proszę, czy zrobiłby dla mnie to, czego ode mnie żądasz? Odpowiedz, zaklinam cię na Izis! Odpowiedz, jeśli kochasz prawdę!

W dotknięciu ręki, w spojrzeniu oczu tkwiło naleganie, prawie rozkaz.

– Och! – zaczęła – on jest...

– Rzymianinem, chciałaś powiedzieć, mówiąc, że jeślim Żydem, to inna jest miara naszych wzajemnych powinności; ja dlatego, że Żyd, mam mu darować wygraną, bo on Rzymianin. Jeśli masz jeszcze co do powiedzenia, córko Baltazara, to mów prędko, prędko; bo na Boga Izraela, gdy się krew we mnie rozgrzeje, zapomnę, żeś kobietą i piękną! Zaprawdę, mogę ujrzeć tylko szpiega, co tym dla mnie wstrętniejszy, że jego panem Rzymianin! Mów więc, co masz mówić!

Odrzuciła jego rękę, stanęła w świetle i z niepohamowaną złością w oczach i głosie wołała:

– Ty, co pijesz drożdże, a jesz strączki! Ty mogłeś przypuścić kiedy, że cię kochać będę, gdy pierwej ujrzała Messalę? Tyś z tych co zrodzeni, by jemu służyć! On żądał tylko sześć talentów, ale nie ja, ja ci mówię, musisz do sześciu dołożyć dwadzieścia – czy słyszysz? – Dasz dwadzieścia! Tak, tak, musisz zapłacić za to, żeś bez jego pozwolenia mój mały pocałował palec. I to wchodzi w rachunek, żeś szła z tobą, udając uczucie, chociaż czyniłam to w jego służbie. Słuchaj dalej, jeśli jutro o dziewiątej ten kupiec, co jest zarządcą twych pieniędzy, nie będzie miał rozkazu wypłaty dwudziestu sześciu talentów Messali – pamiętaj, że tyle! – jeśli nie, to będziesz miał do czynienia z Sejanem. Radzę ci, bądź roztropnym i bywaj zdrow!

Szła ku drzwiom, lecz zastąpił jej drogę.

– Iście, stary Egipt żyje w tobie – rzekł. – Jeśli ujrzysz Messalę jutro, czy pojutrze, tu, czy w Rzymie, powiedz mu... tak, powiedz mu, że mam z powrotem wszystko, co miałem, wszystko, czego mnie pozbawił, nawet te sześć talentów. Powiedz mu, że przeżyłem galery, na które mnie wysłał i raduję się jego nędzą i niesławą; powiedz mu, że niemoc ciała, której ja byłem sprawcą, jest przekleństwem Boga Izraela, zesłanym na niego za to, że uciskał słabe i niemocne; powiedz mu, że moja matka i siostra, które zamknął w więzieniu w Antonii, by tam były łupem trądu i śmierci, żyją i są zdrowe, dzięki mocy tego Nazarejczyka, z którego się naigrawasz i którym gardzisz; powiedz mu, że na dopełnienie mego szczęścia są mi zwrócone, i że żyć będę otoczony ich miłością, ta zaś stokroć zastąpi mi te podłe namiętności, któreś ty we mnie wzbudziła; powiedz mu, przewrotna istoto, dla swego i jego spokoju, że gdy Sejan zechce mnie ograbić, nie znajdzie nic, bo dziedzictwo po duumwirze sprzedane wraz z willą pod Misenum, a pieniądze za nie, nie do pochwycenia, bo zmienione na inną monetę. Wiedz dalej, że domy, towary, okręty i karawany, którymi zarządza Simonides i książęce gromadzi zyski, są uprawnione listem bezpieczeństwa z podpisem Cezara. Niech wie Messala, że go mądra głowa kupca z Antiochii uprzedziła, a Sejan był tak rozsądny, że wolał coś otrzymać drogą daru, niż wielki zysk zebrany krwią i krzywdą. W końcu powiedz mu, że gdyby rzeczy stały inaczej i cały majątek był w mym ręku, jeszcze potrafiłbym się obronić i znalazł drogę, aby on nic nie dostał – bo darowałbym mienie moje Cesarowi! Tego, Egipcjanko, nauczyłem się w Rzymie! Powiedz mu jeszcze, że nie posyłam mu przekleństwa w słowach, ale jako uosobienie mej niewygasłej nienawiści daję mu kogoś, co jest zbiorem wszelkich przekleństw i złożeń. Gdy spojrzy na ciebie, córo Baltazara, a ty mu to poselstwo powtórzysz, jego rzymska przebiegłość odgadnie, co myślę. Idź – teraz i ja odchodzę.

Przeprowadził ją do drzwi i z ceremonialną grzecznością przytrzymał kotarę, póki nie przeszła progu.

– Pokój jej – rzekł, gdy znikła.

Gdy Ben-Hur wychodził z gościnnej komnaty, siedł z głową spuszczoną na piersi, dziwiąc się, że człowiek z połamanymi krzyżami może jeszcze mieć tak zdradne zamiary i tak zgrabne narzędzia.

Pycha młodzieńca wiele ucierpiała, gdy spojrzawszy wstecz, przypomniał sobie, że nigdy nie posądzał Egipcjanki o związki z Messalą i że przez parę lat szedł ślepo za nią, oddając na jej łaskę i niełaskę siebie, swoich przyjaciół, a co najgorsza – wielki cel, któremu się miał poświęcić. Ciężkie nie do zniesienia było upokorzenie Ben-Hura i mówił do siebie: „nie oburzyła się na Rzymianina, gdy jej o mało nie przejechał u kastalskiej krynicy!” Rozważając to wszystko, tarł ręce z zakłopotaniem, a w końcu dodał: i tajemnicze wezwanie do pałacu Iderne przestaje być tajemnicą.

Chwała Bogu, że mnie ta kobieta bardziej nie usidliła! Widzę wyraźnie, że jej nie kochałem wcale.

Zdało mu się na razie, jakby się zbył ciężaru i z złejszym sercem wyszedł na taras; znalazłszy się w miejscu, z którego jedne schody wiodły w dół, a drugie na dach, obrał drugie, i stanął na najwyższym stopniu.

– Byłżeby Baltazar uczestnikiem zdrady? Nie, w jego wieku rzadko się spotyka obłudę; nie, on jest mężem czciogodnym.

Z tym wewnętrznym przekonaniem spojrzął wokoło. Księżyc świecił w pełni, a jednak niebiosy, gorzały łuną palących się ognisk na ulicach i otwartych podwórzach miasta. Powietrze brzmiało chóralnymi śpiewami prastarych psalmów Izraela, pełnych żalostnej i płaczliwej melodii. Z rozkoszą słuchał ich Ben-Hur, niezliczone głosy zdawały się mówić; – Słuchaj, synu Judy, jak czcimy Pana i Boga, dowodząc zarazem miłości dla tej ojczyzny, którą nam dał. Czemuż o Panie, nie ześlesz Gedeona, Dawida lub Machabeusza, bo otośmy gotowi.

Był on w wyjątkowym usposobieniu, a w takich chwilach umysł zdolny jest sobie wytworzyć najnieprawdopodobniejsze fantazje, toteż powyższe słowa były niejako wstępem, po którym ujrzał oblicze Nazarejczyka.

I dziwna rzecz! Oblicze to w łzach skąpane, pełne niewieściej słodyczy, widział tuż przed sobą, gdy przechodził dach, idąc ku balustradzie z północnej strony. W wyrazie tej twarzy nie było nic wojennego, przeciwnie opromieniał ją majestat niebios, co w ciszy wieczoru patrzy na wszystko z niczym niezmaconym spokojem. Zjawisko to przywiodło wszystko na pamięć i znów zapytał: Kimże On jest?

Machinalnie spojrzął Ben-Hur poprzez balustradę na dół w ulicę, a potem zwrócił się ku letniemu domowi.

– Niech czynią, co chcą. Niech się odważą na najgorsze i najniebezpieczniejsze rzeczy – rzekł idąc z wolna – nie przebaczę nigdy Rzymianinowi, nie podzielę się z nim; ani nie porzucę miasta ojców moich. Raczej zwołam Galilejczyków i stoczę bitwę. Nasze bohaterskie czyny zgromadzą wszystkich, a Ten, co dał niegdyś Mojżesza, da i teraz wodza, jeśliby mnie zabrakło. Gdyby nie chciał ich wieść Nazarejczyk, to pewnie nie brak jeszcze takich, co pragną śmierci za wolność.

Letni dom mało był oświetlony, gdy Ben-Hur zbliżył się, zajrzał do wnętrza. Cień padał na podłogę od kolumn podpierających namiot; spojrzawszy do środka, ujrzał krzesło Simonidese ustawione w miejscu, z którego najlepiej było widać plac targowy. – Zaczny mąż wrócił – pomyślał – pomówię z nim, jeśli nie śpi i zbliżył się ostrożnie do krzesła. Gdy się pochylił przez poręcz, ujrzał Esterę wciśniętą w krzesło i pogrążoną we śnie. Włosy rozwiane spadały jej na twarz, oddychała wolno, lecz nierówno – raz nawet, zdało mu się, że westchnęła i załkała. Może westchnienie – może samotność, w jakiej ją znalazł, nasunęła mu myśl, że sen jej. to wypoczynek po cierpieniu, a nie po pracy. Natura zsyła dzieciom taką ulgę, Estera zaś była dla niego zawsze dzieckiem.

Położył rękę na poręczu krzesła i myślał:

– Nie zbudzę jej. Cóż bym jej powiedział... nic, prócz tego chyba, że ją kocham... Tak, jest córką Judy i w niczym nie podobną, Egipcjanki, tam próżność – tu prawda, tam pycha – tu obowiązek, tam samolubstwo – tu poświęcenie. Po cóż mam pytać, czyją kocham, raczej drzę, czy ona mnie kocha? – Jednak, od początku okazywała mi przyjaźń. Pomnę owego wie-

czora w Antiochii, gdy stojąc na tarasie, tak mnie rzewnie prosiła, bym nie zaczął Rzymu i dopytywała o willę pod Missenum i życie, które tam pędzić można. Aby jej dać poznać, iż rozumiem jej myśli i uczucia, pocałowałem ją. Czy też pamięta to pocałowanie? Może zapomniała – ja nie... i kocham ją... Nikt jeszcze nie wie, że odzyskałem moich. Egipcjance wzdrygałem się to powiedzieć, ale ona, ta maleńka, ucieszy się wraz ze mną, przyjmie je z miłością i usłuży sercem i ręką. Dla matki mojej będzie córką; w Tirze znajdzie siostrę. Zbudzę ją i powiem... nie, jeszcze nie... niech wpierw przepadnie czarodziejka Egiptu! Poczekam na lepszą chwilę, a ty śnij słodko, piękna Estero, dziecię obowiązku, córo Judy!

I wyszedł równie cicho, jak wszedł.

ROZDZIAŁ XL

Na ulicach świętego grodu roilo się od ludzi. Jedni szli w tę stronę, drudzy wracali, inni znów, i tych było najwięcej, gromadzili się u ognisk, gdzie pieczono mięso, śpiewano i rozmawiano. Zapach pieczystego, palmowego i cedrowego drzewa, napelnia powietrze, a że to chwila, w której wszyscy Izraelici są sobie braćmi, to i gościnność nie ma granic. Ben-Hura pozdrawiano co kroku i zapraszano do ognisk. On jednak dziękował uprzejmie, bo spieszył, by dosiąść konia i wrócić do namiotów nad Cedronem.

By tam stanąć, trzeba mu było przejechać drogę, co się wkrótce stać miała widownią najsmutniejszego w chrześcijaństwie zdarzenia. I na tej drodze uroczystości właśnie dochodziły najwyższego punktu, bo oto patrząc na górę ulicy, dojrzał Ben-Hur poza ogniskami, rząd zapalonych pochodni; gdziekolwiek pochód zbliżał się do gromady świętujących, milkły śpiewy i uciszyły się wrzawy. Zdziwienie patrzącego wzrosło, gdy dostrzegł wśród dymu i płomieni świecące tarcze i końce włóczni, zdradzające obecność rzymskich żołnierzy. Co oni tu mają do czynienia, rzymscy legioniści, wśród świątecznej procesji żydowskiej? Było to coś tak niesłychanego, że zgola nikt nie mógł pojąć znaczenia tego wypadku.

Chociaż księżyc świecił jasno i rozniecono na ulicach ogień, kilku z orszaku niosło zaświecone latarnie. Wyobrażając sobie, że pochód ten miał jakiś osobny cel, postanowił Ben-Hur stanąć tak blisko, aby rozpoznać wszystkich w orszaku. Pochodnie i latarnie niosła służba uzbrojona w maczugi i ostro okute kije. Przyświecali oni starannie, bo w pochodzie szli starsi kapłani, rabini z długimi brodami, gęstymi brwiami i sępimi nosami, potykając się nieraz po nierównym bruku. Idący tak uroczyście i wspaniale, to wszechwładni skrybowie w radzie Kajfasza i Annasza. Dokąd podążali? Nie do świątyni, bo do niej droga z Syjonu, skąd prawdopodobnie wychodzili, wiodła na Ksystus. Jeśli to procesja na cześć Pana, po cóż żołnierze?

W jaskrawym tym świetle zwróciły uwagę Ben-Hura trzy postacie idące razem! Szły one na czele, służba zaś, niosąca latarnie, szczególnie nimi się zajmowała. Pierwszego, co szedł po lewej stronie, poznał z łatwością, był to dowódca straży, której powierzona była świątynia. Drugi, po prawej, to kapłan równie wszystkim znany: za to człowieka, idącego pośrodku, nikt nie znał. Szedł on, opierając się na swych towarzyszach, głowę spuścił na piersi i zdawało się, jakby chciał ukryć oblicze. Wyglądał jak więzień jeszcze nieoprzytomniały ze strachu, którego nabawiła go chwila schwywania lub zbrodniarz prowadzony na tortury, lub śmierć. Wiedli go dygnitarze, otaczano go staranną uwagą, wszystko to dawało poznać, że musi on być albo głównym powodem poruszającym pochód, albo jest z nim w jakiś sposób złączony – może to świadek lub przewodnik? Gdyby Ben-Hur wiedział, kim był ów człowiek, to reszty mógłby się szybko domyślić. Chcąc więc koniecznie zobaczyć, przybliżył się odważnie do kapłana po prawej stronie i szedł z nim po równi. Wtem nieznajomy podniósł trochę głowę, światło latarni padło na twarz bladą, zmienioną, przerażoną; broda potargana, oczy zapadnięte, patrzyły niepewnie i z rozpaczą. Przebywając ciągle w pobliżu Nazarejczyka, znalazł Ben-Hur wszystkich jego uczniów równie dobrze jak samego Mistrza; na widok zmienionej twarzy prowadzonego zawołał:

– Iskariota!

Zawołany zwrócił się, oczy jego padły na Judę, a usta zdały się poruszać, jakby chciał mówić; kapłan widząc to, uprzedził go i rzekł do Ben-Hura groźnym głosem; Coś za jeden? Idź stąd! – Juda ustąpił na chwilę, ale przy pierwszej sposobności wmieszał się znów w pochód. Tak idąc, przeszedł zaludnioną część miasta między wzgórzem Bezeta a fortecą Antonii, potem minął sadzawkę Betesda i Bramę Owiec. Wszędzie mnóstwo było ludzi świętujących, a ci chętnie przyłączali się do pochodu, nie wiedząc wcale, dokąd dąży. U bramy łączyły się dwie drogi, jedna z nich szła na północ, druga do Betanii. Zanim Ben-Hur zdołał się zastanowić, czy iść dalej lub którą obrać drogę, już go wepchnięto w ciasny wąwóz, a on jeszcze nie domyślał się po co i dokąd zdążają.

Wzdłuż wąwozu i na moście, panował wielki zgiełk, gdyż gromada, z której się składał pochód, urosła w tłuszcze, która idąc, tłukła o kamienie kijami i maczugami. Jeszcze parę stajań, a pochód zwrócił się na lewo ku gajowi oliwnemu, którego kamienne ogrodzenie widać było z daleka. Ben-Hur wiedział, że to było miejsce ustronne i puste, prócz kilku starych, spróchniałych drzew oliwnych i kamiennego ocembrowania, co służyło do wyciskania oliwy, jak to zwyczajem w tym kraju, nie było nic więcej. Dziwiło to Ben-Hura i ważył w myśli, co tych ludzi o tak późnej porze w tak ustronne sprowadza miejsce, gdy nagle stanęli wszyscy. Na przedzie słychać było wrzawę zmieszanych głosów, mimo woli jakieś drzenie opanowywało wszystkich, szybko cofano się, a jedni na drugich padali. Żołnierze z trudnością utrzymywali porządek.

Nareszcie zdołał się Ben-Hur przebić przez tłum i wydostać naprzód do wrót, bez kołowrotu, które wiodły do gaju i stamtąd przypatrzył się temu, co się działo.

U wejścia stał człowiek biało ubrany, z odkrytą głową i skrzyżowanymi na piersiach rękoma – była to postać szczupła z długimi włosami i wąską twarzą, isticie obraz najzupełniejszego poddania i oczekiwania.

Był to Nazarejczyk!

Za Nim, u wrót, stali wzruszeni uczniowie; On, przeciwnie, był jakby uosobieniem spokoju. Światło pochodni padało na Jego wyniosłą postać czerwonawym blaskiem, nadając włosom odcień rudawy; oczy patrzyły smutno, wyraz ich był pełen łagodności i litości.

Przed tą postacią, pełną spokojnego majestatu, stał motłoch milczący – przerażony, gotów za jednym znakiem rozsypać się i uciec. Ben-Hur objął okiem Jego, tłuszcze Judasza, i odgadł wszystko bo... tu był zdrajca, a tam zdradzony – ci zaś, co tu stoją z maczugami i kijami, to motłoch i rzymscy żołnierze – przyszli, aby go pojmać.

Nigdy nie może człowiek rzec, co uczyni, zanim przyjdzie nań czas próby. Oto nadarzyła się sposobność, na którą Ben-Hur czekał lata całe; człowiek, dla którego bezpieczeństwa poświęcił się, życie tak dla niego drogie było w niebezpieczeństwie, a on cóż czynił? Stał nieruchomy. Takie to bywają sprzeczności w ludzkiej naturze! Zresztą... nie zapomniał on jeszcze obrazu Chrystusa, jaki mu przedstawiła Egipcjanka, i miał żal do Niego za opuszczenie sposobności pochwylenia w Swe ręce władzy. Dalej oddziaływał na niego spokój, z jakim ten tajemniczy Mąż stał przed tłumem i wstrzymywał go; spokój ten uspokajał Ben-Hura, widział w Nim tę moc, jaką mógł rozporządzać. Wprawdzie zalecał On nigdy w swych naukach pokój, dobrą wolę, miłość i uległość, miałyby tę naukę w życie wprowadzić? Czuł Ben-Hur, że On Panem życia i śmierci, rozporządzał nim podług swej woli, czy w tej chwili użyje tej siły? Będzie się bronił? Wszak słowo, myśl – byłaby wystarczająca.

Ben-Hur wiedział i wierzył, że użyje tej zadziwiającej siły w jakikolwiek sposób i z tą wiarą czekał cudu, a mierzył Nazarejczyka podług siebie – miarą ludzką.

Nagle ponad zgiełk i wrzawę wzniósł się czysty głos Chrystusa:

– Kogo szukacie?

– Jezusa Nazareńskiego.

– Jam ci jest.

Na te proste słowa, wymówione bez gniewu ni strachu, napastnicy cofnęli się kilka kroków, mniej zuchwali padli na ziemię. I na tym może wszystko by się skończyło i tłuszcza odeszłaby spokojnie, lecz Judasz przystąpił do Niego i rzekł:

– Bądź pozdrowień. Mistrzu.

Mówiąc to, pocałował Go.

– Judaszu – rzekł spokojnie Nazarejczyk – pocałowaniem wydawasz syna człowieczego. Po co tu przyszedłeś!

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, rzekł Mistrz do zgrai:

– Kogo szukacie?

– Jezusa Nazareńskiego.

– Powiedziałem wam, to Ja jestem. Jeżeli tedy mnie szukacie, pozwólcie tym odejść.

Na to wezwanie zbliżyli się rabini, równocześnie z nimi postąpiło ku Niemu kilku uczniów, za którymi się właśnie ujmował. Jeden z nich, chcąc przeszkodzić zamiarowi pochwycenia Go, uciął ucho słudze książeccia kapłanów, ale nie obronił tym Mistrza. Cóż na to Ben-Hur? On, ów wyćwiczony żołnierz i wódz, stał spokojnie! Podczas, gdy przygotowywano sznury, którymi Go związać miano, Nazarejczyk czynił miłosierdzie. Czyn ten nie był najcudowniejszym z cudów, ale największym jako dowód przebaczenia, przechodzącego ludzkie pojęcie.

– Zaniechaj tego – rzekł bowiem do ucznia, który użył miecza, a dotknąwszy ucha zranionego uzdrowił je.

Widząc to, dziwili się zarówno przyjaciele i nieprzyjaciele. Jedni temu, że mógł uzdrowić, drudzy – że chciał.

– Chyba nie pozwoli im się związać – myślał Ben-Hur.

Tymczasem Chrystus mówił dalej do ucznia:

– Włóż twój miecz do pochwy. Czyż kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę? A odwróciwszy się do napastników, rzekł:

– Jakoby na zbójcę wyszliście z mieczami i kijami. Gdym w każdy dzień bywał z wami w kościele, nie ścigaliście mnie, ale ta godzina jest wasza i moc ciemności.

Słyszając to żołnierze, nabrali odwagi i otoczyli Go, a gdy Ben-Hur obejrzał się za uczniami, nie było ich.

Tłok około opuszczonego człowieka wzmagął się; jedni krzyczeli, łajali, inni wiazali ręce i nogi, biegnąc i tłocząc się. Ponad ich głowami, pomiędzy pochodniami, wśród dymu, czasem przez szpary tworzące się między ruchliwymi ludźmi, zdołał Ben-Hur zobaczyć więźnia. Nigdy nikt nie wzbudził w jego sercu takiej litości, jak Ten opuszczony i zapomniany! A przecież człowiek ten mógł zwyciężyć swych nieprzyjaciół jednym tchnieniem, ale nie chciał. Cóż to był za kielich, który mu ojciec dał do wypicia? Kimże ten Ojciec, któremu syn tak posłuszny? Tajemnice nad tajemnice – wciąż się mnożące.

Tłum, wiodący więźnia, zawracał teraz do miasta, żołnierze szli na czele. Ben-Hur stał się niespokojny, nie był z siebie zadowolony. Tam, gdzie pochodnie, w samym środku tłumu szedł Nazarejczyk; nagle w umyśle Judy błysnęła nowa myśl. Postanowił zobaczyć Go i zadać mu jedno pytanie.

Zrzucając wierzchnie ubranie i zawój z głowy, cisnął je poza ogrodzenie Oliwnego Gaju i puścił się za orszakiem, który wnet dopędził. Przepychając się przez tłok, dotarł nareszcie do człowieka, trzymającego końce sznurów, co kępowały więźnia.

Nazarejczyk szedł wolno ze spuszczoną głową, związanymi w tył rękoma: włosy spadały mu na twarz, przystawał często: zdawał się zapominać o całym otoczeniu. Kilka kroków przed Nim szli starsi kapłani, rozmawiając i spoglądając poza siebie.

Gdy już prawie wszyscy byli blisko mostu przed wąwozem, Ben-Hur śmiało pochwycił za sznur, który trzymał sługa i stanął przy Nim.

– Mistrzu, Mistrzu! – mówił prędko wprost w ucho Nazarejczykowi.

– Czy słyszysz, Mistrzu?... rzeknił słowo... tylko słowo... Powiedz mi...

Tu pacholek, któremu sznur odebrał, ujął Ben-Hura za rękę.

– Powiedz mi – mówił mimo to – idziesz dobrowolnie?

Tymczasem otaczający już go spostrzegli i ktoś gniewnie zapytał: – Coś za jeden?

– O Mistrzu! – mówił szybko ostrym z obawy głosem: Jam Twój przyjaciel i zwolennik: powiedz, przyjmiesz pomoc, gdy z nią pospieszę?

Ani nań spojrział, ani zdawał się go poznawać, przecież to współczucie, co się budzi w ludzkim sercu na widok cierpienia, zdawało się opuszczać Ben-Hura, bo przychodziły mu myśli: Zostaw Go, opuścili Go przyjaciele, świat się Go zaparł, żegna ludzi z goryczą, idzie sam nie wie gdzie i nie dba o to. Zostaw Go!

Kilkadziesiąt rąk usiłowało pochwycić natręta, ze wszystkich stron krzyczano: On do nich należy. Łapcie go – bijcie – zabijcie! – Silnym ruchem, sobie właściwym, wyprostował się Ben-Hur, obrócił ręką tego, co mu sznur wydzierał, strącił silnym ramieniem rękę, co go chwyciły, pozostawiając w nich strzępy odzienia i tak nagi zdołał ujść w ciemnościach wąwozu.

Zawrócił w stronę muru po odzienie i zawój i wrócił do miasta, potem do gospody, skąd wzięwszy konia, wrócił do namiotów „Królewskich grobów”.

W drodze poprzysiągł sobie, że nazajutrz odszuka Nazarejczyka, nie wiedząc, że Mesjasza, którego opuścił, zawiedziono wprost na przesłuchanie do domu Annasza.

Próżno szukał Ben-Hur spoczynku, bijące serce nie dopuszczało snu na oczy i widział jasno, że jego odbudowanie królestwa Judy było snem – na jawie.

Stanął na przełomie życia.

ROZDZIAŁ XLI

Dnia następnego, około godziny drugiej, przybyło dwóch ludzi do namiotu Ben-Hura, zsiadli z koni i pytali o niego. Ben-Hur nie wstał jeszcze, ale kazał ich wpuścić.

– Pokój wam, bracia – rzekł, bo byli to jego zaufani Galilejczycy.

– Spocznijcie!

– Nie – rzekł starszy – niepodobna nam siedzieć i odpoczywać, jeśli chcemy ocalić Nazarejczyka. Wstań, synu Hura, i chodź z nami, gdyż wyrok ogłoszony i drzewo krzyża już na Golgocie.

Ben-Hur zdumiał.

– Krzyż! – To jedno słowo zdołał wymówić.

– Wczoraj go wzięli i pytali, dziś o wschodzie zaprowadzono go do Piłata. Rzymianin po dwakroć oświadczył, że w Nim żadnej nie znajduje winy. W końcu umył ręce, mówiąc: Nie jestem winien krwi Tego sprawiedliwego, róbcie co chcecie – a oni odpowiedzieli...

– Kto odpowiedział?

– Oni – kapłani i lud. – Krew Jego na nas i na syny nasze!

– Święty ojcie Abrahamie! – zakrzyknął Ben-Hur – Rzymianin miłociwszy jest dla Izraelity, niż Jego własni rodacy! A gdyby On był rzeczywiście Synem Bożym, któż zdoła zmyć krew za nas i nasze dzieci? Nie, nie możemy na to pozwolić, czas do walki.

Twarz mu zajaśniała postanowieniem i złożył ręce.

– Konie, a prędko! – wołał na Araba. – Powiedz Amrze, niech mi da świeże suknie i przynieś miecz. Czas ponieść śmierć dla Izraela! Poczekajcie na mnie przed namiotami, wnet przyjdę.

Zjadł suchar, wypił kubek wina, a za chwilę był już w drodze.

– Gdzie pójdziesz najpierw? – spytał Galilejczyk.

– Zebrać legiony.

– Niestety! – rzekł człowiek podnosząc rękę.

– Dlaczego Niestety?

– Panie – mówił zawstydzony – panie, ja i ci przyjaciele moi, oto wszystko, co ci wiernym pozostało. Inni poszli za kapłanami.

– Dlaczego?

– Aby go zabić!

– Kogo?

– Nazarejczyka!

Ben-Hur spojrział po nich jakby obłąkanym wzrokiem, w duszy słyszał znowu pytanie, ubiegłej zasłyszane nocy: Czy kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę? – Potem brzmiały mu w uszach jego własne pytania: powiedz, przyjmiesz pomoc, gdy z nią pospieszę? – Po tych wspomnieniach, pomyślał w głębi swej duszy: nie, tej śmierci nic nie odwróci. Człowiek ten szedł ku niej z całą świadomością od samego początku wystąpienia; siłę, którą posiada, daje Mu mocniejszy od Niego, któż jeśli nie Pan? Gdy On dobrowolnie idzie za wolą mocniejszego, cóż ja dla Niego uczynić mogę? – Obok tych rozmyślań dręczył go upadek planu,

opartego na wierności Galilejczyków, ich rozsyпка udaremniała wszelką akcję, gdyby taką chciał przedsięwziąć. Jakie to dziwne, że się to wszystko właśnie tego zdarzyło poranka. Ten zbieg okoliczności nappełnił serce Ben-Hura lękiem i trwogą nieokreśloną. Począł pytać sam siebie, czy jego zamysły, praca, rozdawanie pieniędzy nie było grzesznym współzawodnictwem z wolą Najwyższego? Wśród tych wątpliwości i walk dosiadł konia i ująwszy lejce, rzekł: Chodźmy bracia! – ale w duszy jego było wszystko niejasne i mgliste. Zdało się, że zdolność szybkiego postanowienia, tak potrzebna każdemu bohaterowi wśród rozstrzygających okoliczności, zamarła w duszy Ben-Hura.

– Spieszmy, bracia, na Golgotę!

Całe tłumy szły na południe, wszystkie ulice z północy rojły się ludźmi, całe miasto było w ruchu.

Słyszając, że mogą spotkać procesję, wiodącą Skazanego w pobliżu białych wież Heroda, trzech przyjaciele postanowili tam się z pochodem połączyć. Tymczasem w dolinie, poniżej stawu Hezekia, niepodobna było przecisnąć się przez tłumy, musieli więc zsiąść z koni i zatrzymać się na rogu jednego z domów przydrożnych.

Stali już pół godziny, godzinę, a tłumom nie było końca. Widzieć tam było można Żydów z Libii, z Egiptu, ze wszystkich krain Wschodu i Zachodu, z wysp mórz, wszystkie sekty Judei, wszystkie pokolenia Izraela i najrozmaitsze inne narodowości. Ludzie ci postępowali pieszo, konno, na wielbłądach, w lekykach i na noszach, w szatach wielce rozmaitych, ale rysy ich miały zawsze tę samą wspólność, odznaczającą wówczas, jak dziś synów Izraela, mimo zmienności klimatu i sposobu życia, mimo że mówili nawet rozmaitymi językami. Wszyscy spiechli się, pchali, a wszystko dlaczego? – Aby zobaczyć biednego Nazarejczyka, uznanego za złoçyncę, mającego umrzeć wśród złoçynców.

Wśród tego wezbranego tłumy, byli i inni, którzy Żydów nawiedzili – Grecy, Rzymianie, Arabowie, Syryjczycy, Egipcjanie, Hindusi. Przypatrując się temu różnorodnemu tłumowi, pomyśleć było można, że świat cały zgromadził się, aby być obecnym przy ukrzyżowaniu.

Mimo takiej liczby narodu pochod postępował w dziwnie złowrogim milczeniu, czasem tylko dały się słyszeć: tętent koni, uderzenie podków o kamienie bruku, czasem jakieś wołanie w oddali, i to wszystko! Na każdej twarzy za to wyczytać było można gorączkowość, z jaką oczekuje się jakiegoś straszliwego wypadku lub nieszczęścia. Te spostrzeżenia naprowadziły Ben-Hura na myśl, że ten napływ cudzoziemców na uroczystości wielkanocne nie był może przypadkowy, może to nie sami nieprzyjaciele? Niepodobna przypuszczać, aby ich zgromadziła śmierć biednego Nazarejczyka, może to więc jego przyjaciele i zwolennicy.

Nareszcie od strony wież posłyszał Ben-Hur najpierw niewyraźne z powodu oddalenia krzyki.

– Słuchajcie, idą – rzekł jeden z jego przyjaciół.

Ci, co szli, wstrzymali się, stanęli nasłuchując, w miarę jednak, jak uszu ich dochodził zgiełk, szli dalej spieszenie, jakby uciekając przed krzykiem.

Wrzawa zbliżała się z każdą chwilą, powietrze drgało od krzyków i nawoływań, wtem Ben-Hur ujrzał służbę Simonidesa, zbliżającą się i niosącą swego pana: obok szła Estera, za nimi dźwigano zasłoniętą lekykę.

– Pokój tobie, Simonidesie, i tobie, Estero – rzekł Ben-Hur, spotykając ich. – Jeśli spieszy-cie na Golgotę, to zaczekajcie, aż przejdzie procesja, pójdziemy razem; tu na rogu możemy przystanąć.

– Mów z Baltazarem, jego wola moją wola – odparł kupiec, jakby w głębokim zamyśleniu.

– Niosą go w lekyce.

Ben-Hur szybko odsunął zasłonę i ujrzał Egipcjanina, leżącego z twarzą tak żółtą, że raczej na umarłego, niż na żywego wyglądał. Gdy mu Ben-Hur plan swój wyłożył, pytał z cicha:

– Mów czy ujrzymy Go?

– Myślisz o Nazarejczyku? Tak, musi przejść o kilka kroków od nas.

– O Panie! – wołał starzec z zapalem. – Pozwól, o Panie, jeszcze raz! Jakiegoż doczekałem dnia! Straszny on będzie dla całego świata!

Tak więc znajomi nasi stanęli na rogu ulicy i czekali w milczeniu, strzegąc się mówić wśród ogólnej niepewności przekonań i uczuć. Baltazar opuścił lektykę i stał oparty na słudze, Estera i Ben-Hur dotrzymywali towarzystwa Simonidesowi.

Tymczasem tłumy szły nieprzerwanie, może liczniejsze niż przedtem, krzyki, nawoływania chrypliwe coraz się zbliżały, powietrze drgało, a ziemia jęczeć się zdawała. Nareszcie nadszedł pochód.

– Patrzcie – rzekł Ben-Hur z goryczą – teraz, to idzie cała Jerozolima.

Straż przednią pochodu stanowiła armia uliczników, krzyczących i naigrawających się wołaniem:

– Król Żydowski! Ustępujcie, róbcie miejsce, bo oto Król Żydowski!

Simonides przypatrywał się ich podskokom i harcom, podobnym do chmury letnich owadów i rzekł poważnie: gdy ci obejmą swe dziedzictwo, biada Salomonowemu miastu!

Dalej szła rota żołnierzy w pełnym uzbrojeniu, świecąca zbrojami, obojętnie, miarowym krokiem.

Za nimi szedł Nazarejczyk!

Zdawał się być bliski śmierci – co kilka kroków chwiał się i mało nie upadł. Szata wierzchnia podarta i poplamiona opadała z ramion na spodnią tunikę. Bose nogi krwią znaczyły kamienie. Na szyi niósł tablicę drewnianą z napisem. Korona z cierni raniła głowę ostrymi kolcami, a krew z ran płynęła po twarzy i szyi. Długie splecione włosy przesiąkły krwią, skóra zaś, co gdzieniegdzie wśród plam krwi przeglądała, miała białosć nadprzyrodzonego zjawiska. Ręce powrozem związane, trzymał przed sobą. Gdzieś, jeszcze w mieście padł pod ciężarem krzyża, który Mu nieść, według zwyczaju, aż na miejsce ukrzyżowania kazano: teraz wieśniak jakiś pomagał Mu dźwigać ten ciężar nad siły. Tuż przy Nim szło czterech żołnierzy, co Go chronili od tłumu; mimo to od czasu do czasu przedzierali się poprzez nich najgorsi z napastników, bijąc ofiarę swego zaślepienia kijami, plwając w twarz i naigrawając się z Jego boleści. Mimo to wszystko więzień nie wydał żadnego głosu, ni skargi, ni jęku, ni prośby; zdawał się nic nie widzieć i na nic nie patrzeć. Gdy szedł około domu, co zasłaniał Ben-Hura i jego przyjaciół głęboką litością zdjętych, Estera z płaczem rzuciła się na piersi ojca, który mimo swego hartu zadrzał do głębi duszy. Baltazar padł na twarz nie wymówiwszy słowa, Ben-Hur zaś powtarzał nieustannie: mój Boże! mój Boże! – Wtedy, czy Nazarejczyk odgadł ich uczucia, czy odczuł ból ich serc, dość, że zwrócił twarz ku nim, spojrział na każde z osobna, spojrzenie zaś to stało się najdroższą pamiątką ich życia, skarbem przechowywanym i pielęgnowanym. W spojrzeniu tych gasnących oczu było błogosławieństwo wymowne, choć milczące, pełne miłości drugich, a zapomnienia o Sobie.

Na ten widok zapytał Simonides: Gdzie są legiony, synu Hura?

– Annasz wie o nich najlepiej.

– Czyżby się sprzeniewierzyli?

– Wszyscy, prócz tych dwóch.

– A więc wszystko stracone i Ten Sprawiedliwy umrzeć musi! – Tu twarz kupca skurczyła się boleśnie, a głowa opadła jakby bezwładnie na piersi. Podzielając zabiegi Ben-Hura, dzielił też i rozczarowanie na widok zniweczonych nadziei.

Za Nazarejczykiem postępowało dwóch ludzi niosących krzyże.

– Co to za jedni? – zapytał Ben-Hur Galilejczyków.

– Złoczyńcy, co wraz z Nim śmierć poniosą?

Gdy ci minęli, zbliżyła się postać wysoka uwieńczona mitrą, cała w złotogłowie i z godłami arcykapłana. Straż Świątyni zasłaniała go, za nim z wolna postępował Sanhedryn i szeregi Lewitów w długich, białych, powłóczyстых sukniach, nakrytych różnobarwnymi płaszczami, w bogate ułożonych zwoje.

– To więc Annasza – rzekł cicho Ben-Hur.

– Tak. widzę, to Kajfasz – odparł Simonides przypatrując się tej wspaniałej procesji. Po chwili rzekł z głębokim smutkiem: – widzę, co więcej, przekonany jestem w głębi duszy, że Ten, co tam idzie z deszczułką na szyi, jest Tym, czym Go napis głosi: tak, to Król żydowski. Zważ tylko, czyżby złoczyńca mógł mieć tak wspaniałe orszak! Patrz i podziwiaj! Czy nie towarzyszą mu narody całe – czyż to nie Jeruzalem i Izrael? A tu! Wszak to efod, niebieskie szaty z oszyciami, a tam arcykapłan z purpurowymi jabłkami granatu i srebrnymi dzwonkami! Nie zbywa żadnego zaszczytu, i zaprawdę nie widzieliśmy tych wszystkich godeł od chwili, w której Judea spieszyła na powitanie Wielkiego Macedończyka. Czyż te zaszczyty i godła nic nie znaczą? Nie są dowodem, że Ten, którego wiodą, to Król żydowski! O gdybym mógł wstać i iść za nim!

Ben-Hur słuchał słów tych ze zdziwieniem wielkim: Simonides zaś, jakby czując, że się dał unieść uczuciom, rzekł niecierpliwie:

– Pomów z Baltazarem i spieszymy za Nim. Upadek Jerozolimy zbliża się. Tu zauważyła Estera:

– Patrzcie, widzę płaczące niewiasty. Któż one?

I rzeczywiście we wskazanym kierunku ujrzeli cztery płaczące niewiasty; jedna z nich opierała się na ramieniu mężczyzny, podobnego do Nazarejczyka. Objasniając Esterę, rzekł Ben-Hur:

– Ten człowiek, to ukochany uczeń Mistrza; ta, którą wiedzie, to Jego matka, a towarzyszą Jej przywiązane kobiety galilejskie.

Estera załzawionymi oczyma patrzyła za płaczącymi, póki nie znikły w tłumie.

– Chodźmy, chodźmy – wołał Simonides, skoro Baltazar usiadł w lektyce.

Ben-Hur stał pogrążony w głębokiej zadumie, zdawał się nie słyszeć wrzawy.

Pochód ten dziki i zwierzęcy przywiódł mu przed oczy Nazarejczyka: Jakże był łagodnym i miłosiernym dla tych, co cierpieli! A dla niego, nie był najłaskawszym! Ileż długów wdzięczności wiąże Go z Tą ofiarą podłego motłochu! Nagle wspomniawszy ową straszną chwilę, gdy chłopcem szedł pod strażą rzymskich siepaczy na śmierć prawie równą okropną jak ukrzyżowanie, któż mu wtedy podał napój chłodzący, kto spojrzawszy tym spojrzeniem, co mu dodawało otuchy i wiary w przyszłość? Kto – czyż nie On? I wydało mu się, że te oczy pytają go teraz: napoiłem cię spragnionego, a ty coś uczynił? Nie dość na tym, bo oto nowym obdarzył go cudem w niedzielę palmową... Za tyle dobrodziejstw jakże on, Ben-Hur, zdołał się odwdziżyć? Niestety, musiał sam siebie oskarżyć. Tak zaprawdę, nie uczynił zadość swym obowiązkom, nie dopilnował Galilejczyków nie trzymał ich w pogotowiu, bo to chwila sposobna do walki, a ich nie ma. Gdyby ich mieć teraz, można by wpaść między tłumy, uwolnić Nazarejczyka czyn ten stałby się zaprawdę hasłem zwołującym Izraela do boju za wolność. Oto sposobność, jak nigdy, lecz minuty uciekają, a gdy je traci!... Boże, Boże Abrahama! Czyż jeszcze nie da się co uczynić?

Gdy tak walczył z myślami, zwróciła jego uwagę gromadka Galilejczyków w jednym mgnieniu oka zrównał się z nimi i rzekł:

– Za mną, muszę się z wami rozmówić!

Ludzie zawsze jeszcze jemu posłuszni, poszli za nim, a gdy stanęli pod osłoną domu, mówił:

– Wraz ze mną chwyciliście za miecze i zgodziliście się razem walczyć za wolność i króla, który nadchodzi. I dziś macie miecze, a oto i czas do walki. Spieszcie połączyć się z braćmi i powiedzcie im, aby co do jednego stanęli u krzyża, na którym ma być umęczonym Nazarejczyk. Spieszcie, albo raczej wstrzymajcie się chwilę, abym wam oznajmił, że Nazarejczyk to wasz król, a wraz z Nim umiera wolność!

Patrzyli na mówiącego z uszanowaniem, ale nie ruszyli się z miejsca. Wtedy zniecierpliwiony wódz zapytał ostro:

– Czy słyszycie mój rozkaz?

– Synu Judy – odparł jeden z nich, gdyż pod tym tylko nazwiskiem znał go. – Synu Judy, mylisz się, ty jesteś w błędzie, a nie my lub nasi bracia. Nazarejczyk nie jest królem, ani umysł Jego jest królewskim. Wszak przywieśliśmy Go do Jerozolimy, wstąpił w mury świątyni i cóż uczynił? Oto zawiódł nas, wzgardził tronem Dawida. Nie, nie jest on królem, ani chce go Galilea. Nic nie zmieni Jego losu – niechaj umiera. Ale ty, synu Judy, masz miecz, a i my nosim miecze, gotowiśmy je dobyć, byleś nas wiódł do wolności. Wolności pragnie Galilea, choćby za to zginąć, jeśli nam to przyrzeczesz, zastaniesz nas u krzyża.

I nadeszła chwila stanowcza dla Ben-Hura. Gdyby uczynił zadość żądaniu i jedno wyrzekł słowo, inną byłaby historia ludzkości... ludzką, a nie Boską kierowana ręką, coś, co się nigdy nie zdarzyło, ani nigdy zdarzyć nie może.

Zmieszał się ów wódz nieustraszony, sam nie wiedząc dlaczego; później przypisywał to obez władnienie Nazarejczykowi, bo po Jego powrocie do życia zrozumiał, że do wiary w zmartwychwstanie, która jest podstawą chrześcijaństwa, potrzeba było, aby umarł. Po chwili odzyskał przytomność, ale nie siłę i sprężystość woli, stał bezradny i niemy, zakrył twarz rękoma, drżąc od walki wewnętrznej, która go popychała do czynu wbrew potężnej władzy, ubezwładniającej jego wolę.

– Chodź, czekamy na ciebie – powiedział Simonides po raz czwarty.

Ruszył się machinalnie za wezwaniem i szedł już za krzesłem i lektyką. Estera towarzyszyła mu. Szedł, ulegając tajemniczej władzy, jako szli niegdyś Baltazar i jego towarzysze.

ROZDZIAŁ XLII

Ben-Hur wiódł na miejsce ukrzyżowania Baltazara, Simonidesa, Esterę i dwóch Galilejczyków. Kiedy stanął na przedzie, nie wiedział jakim sposobem zdołał się przez wzburzone tłumy przedostać; nie wiedział również, jaką teraz szli drogą, ani ile im to czasu zabrało. Szedł jakby nieprzytomny, nie słyszał, nie widział, ani myślał, dokąd idzie, jednak przyszedł. W stanie, w jakim się znajdował, nie mógł się zdobyć na żaden czyn, wola jego zmaląła i stał się jak dziecię niedołęzne? Postanowienia Boże są dla nas ludzi zawsze niepojęte, niemniej i środki, którymi Bóg te postanowienia przeprowadza i nam do wierzenia podaje.

Ben-Hur z towarzystwem swoim stanął. W tejże chwili, jak gdyby się ocucił, widział i rozpoznawał wszystko, co się dzieje z zupełną dokładnością.

Szczyt Golgoty był nieco przyplaszczony, piaszczysty bez żadnej roślinności; gdzieniegdzie sterczały nędzne łodygi hyzopu. Miejsce, które wybrano, na ukrzyżowanie, znajdowało się na najwyższym punkcie góry, podobne do czaszki. Dokoła utworzył się żywy mur z widzów, wstrzymywany od miejsca egzekucji przez szpaler rzymskich żołnierzy, którymi dowodził setnik. Ben-Hur dotarł aż do szpaleru żołnierzy i tu stanął.

Wzgórze to zwało się w starym aramickim języku Golgotą – w łacińskim je nazywano Kalwarią, co znaczyło czaszka. Patrząc wokoło, nie ujrzeć ani piędzi wolnej ziemi, ni skały, ni zieleni, tylko tłumy, nieprzeliczone tłumy, tysiące – setki tysięcy narodu.

Trzy miliony serc biło obojętnie dla mających być ukrzyżowanych łotrów – ale z natężoną uwagą oczekiwało, co się stanie z Nazarejczykiem – jedni byli pełni obawy, inni ciekawości, inni zaś nienawiści, gdy tymczasem Jego serce obejmowało wszystkich bez wyjątku miłością Boską i dla nich śmierć poniesie.

Na wzgórzu stał dumnie we wspaniałym stroju arcykapłan. Postać jego górowała ponad wszystkich.

Na szczycie, jeszcze wyżej, stał widziany przez wszystkich Nazarejczyk, milczący, cierpliwy, pokorny. Jakiś żołdak dał mu na urągowisko w rękę trzcinę, aby wyobrażała berło i dokończyła królewskiego stroju. Widok ten wywołał dookoła śmiechy, żarty i naigrawania. Gdyby to był tylko człowiek, jużby w sercu jego wygasła wszelka miłość dla swych współbiiżnich.

Oczy wszystkich zwrócone były na Nazarejczyka: w umyśle Ben-Hura zachodziła wielka zmiana, czy płynęła z litości, czy miała źródło w innym uczuciu? Dość, że zaczynał pojmować, iż jest coś wzniosłego nad wszelkie dobra świata, coś, co może dać słabemu człowiekowi siłę zniesienia udręczeń tak duszy, jak ciała; co więcej, to coś mogło wzbudzić nawet pragnienie śmierci. Cóżby to było? – pytał sam siebie i przyszło mu na myśl, że to może owe życie duszy, które głosił Baltazar i zaczął je jaśniej pojmować, a w tym świetle zrozumiał, że powołaniem Nazarejczyka było zaprowadzenie tych, co Go kochali, poza świat, do Królestwa, które Jego i ich czekało. Równocześnie z tą myślą zdało mu się, że gdzieś w powietrzu, czy w chmurach, brzmiały wyrazy tyle razy z ust Jego słyszane:

– Jam Zmartwychwstanie i Żywot.

Słowa te dźwięczały ciągle, przybrały kształt, nabrały jasności i nowego znaczenia. Ludzie zwykli powtarzać pytanie, gdy pragną lepiej ująć i utrwalić odpowiedź, tak czynił Ben-Hur, patrząc na postać, stojącą na wzgórzu.

Kto jest Zmartwychwstaniem i Żywotem?

– Jam jest, zdawała się mówić postać – mówić dla niego samego i natychmiast poczuł w swym sercu pokój, jakiego nigdy nie zaznał – pokój, który jest końcem wątpliwości i tajemnic, początkiem miłości i jasnego zrozumienia.

Z tego usposobienia, pełnego cudnych marzeń, wyrwały Ben-Hura nowe odgłosy i uderzenia młotów. Wtedy ujrzał na szczycie wzgórza to, czego dotąd w swym zamyśleniu nie zauważył, ludzi i żołnierzy, przygotowujących krzyże. Doły na wbicie tych krzyży były już gotowe, a teraz przytwierdzano poprzeczne belki.

– Każ się ludziom spieszyć – rzekł arcykapłan do setnika, a wskazując na Nazarejczyka, dodał, musi umrzeć przed zachodem słońca i być pogrzebanym, aby ziemia nie została skalana. Tak nakazuje prawo.

Jeden z żołnierzy, litościwszy od innych, zbliżył się do Nazarejczyka i podał Mu napój, którego ten nie przyjął; drugi z żołnierzy zdjął Mu z szyi kartkę z napisem i przybił ją do krzyża – na tym skończyły się przygotowania. – Krzyże są gotowe! – rzekł setnik do arcykapłana.

Niech bluźnierca pierwszy umiera – powiedział. – Kiedy jest Synem Bożym, niech sam siebie zbawi... zobaczymy.

Tłum, który dotąd patrzył z niecierpliwością na przygotowania, i cały ten czas domagał się ukrzyżowania, w tej chwili umilkł nagle. Zbliżała się chwila, najstraszniejsza – przybijania skazanych do krzyża.

Skoro żołnierze ujęli Nazarejczyka. dreszcz przeszedł widzów, najokrutniejsi zadrżeli. Wielu mniemało, że powietrze się oziębiło. Tak tłumaczono sobie mróz. co przechodził po ciele.

– Jakaż okropna cisza! – mówiła Estera, obejmując ojca za szyję; ten zaś przypominając sobie własne tortury, przysunął jej twarz do piersi i mówił z drzeniem:

– Nie patrz, Estero, nie patrz; zdaje mi się, że gdy to widzę winni czy niewinni pospołu przeklętymi będą.

Baltazar padł na kolana.

Synu Hura mówił Simonides coraz więcej wzruszony. – Synu Hura, jeżeli Jehowa miłośnie nie wyciągnie Swej ręki, Izrael stracony, a i my z nim.

Ben-Hur odparł uspokajająco: Śniłem, czy widziałem, dość, że wiem, dlaczego tak się stać musi: taką jest Boga i Nazarejczyka wola. Czyńmy więc, jak to czyni Egipcjanin, bądźmy spokojni i módlmy się.

Gdy podniósł oczy ku wzgórzu, znów usłyszał te same słowa:

– Jam jest Zmartwychwstanie i Żywot.

We czci i pokorze skłonił głowę, jakby nadsluchując.

Tymczasem na szczycie postępowało dzieło. Straż zdjęła suknie z Nazarejczyka i stał obnażony pod milionem spojrzeń, na całym ciele było znać krwawe pręgi od odebranych dzień rano plag. Położono Go bez litości na krzyżu, najpierw rozciągnięto ręce na poprzecznej belce, gwoździe były ostre, kilka chwil starczyło, aby przebić dłonie. Ale jeszcze nie koniec, trzeba było spłaszczyć kolana, płasko rozciągnąć stopy na drewnie, po czym założono jedną nogę na drugą i jednym gwoździem przytwierdzono obie. Głuchy odgłos przybijania rozległ się daleko; wszyscy drżeli na sam widok spadającego młota. Ofiara złości ludzkiej nie wydała ni jęku bólesci, ni skargi; głuche panowało milczenie, nie pozwalające wrogom tryumfować, ani zwolennikom rozpaczać lub bronić.

– W którą stronę chcesz, aby patrzył? – zapytał surowy żołdak.

– Zwróćcie mu twarz ku Świątyni – odparł arcykapłan – niech umierając, patrzy na święty przybytek, który znieważył.

Żołnierze pochwycili krzyż i zanieśli na miejsce przeznaczenia. Tam go spuścili w dół. Ciało Nazarejczyka zawisło między niebem a ziemią; całym ciężarem opadło i wisiało tylko

na skrwawionych rękach. Mimo strasznej męczarni nie wydał jęku, ani skargi – a usta Jego wymówiły prośbę, świadczącą o Jego bolesti:

– Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią.

W tej chwili krzyż, widniejąc na tle nieba, panował ponad otoczeniem, mnóstwo zgromadzonego ludu powitało go okrzykiem radości, a wszyscy bliżej stojący i umiejący czytać, głośno odczytywali napis nad głową Nazarejczyka, podając treść jego drugim, tak że wzgórza całe brzmiały szyderczym okrzykiem:

– Bądź pozdrowień. Królu Żydowski! Cześć Tobie, Królu Żydowski!

Arcykapłan, zrozumiałwszy treść napisu, sprzeciwiał się jego umieszczeniu, ale na próżno, więc utytułowany i uznany król patrzył gasnącymi oczyma na spokojny u stóp rozłożony gród, co go tak zdradził haniebnie.

Słońce szybko dochodziło południa, wzgórza świeciły blaskiem, góry kapały się w świetle. Miasto, jego Świątynia, pałace, wieże, szczyty, odbijały jego jasne promienie. Nagle zaczęło się ściemniać, jak gdyby wieczór zapadał; gdy jednak ciemności się wzmagaly, nie uszło to uwagi zgromadzonych. Umilkły śmiechy i krzyki, ludzie nie wierząc swym własnym oczom, patrzyli jedni na drugich ciekawie; widząc na swych twarzach zdziwienie, patrzyli znów w niebo ku słońcu, potem na znikające w ciemnościach wzgórza i okolicę. Na koniec każdy zwracał znów wzrok na pagórek, na którym się odgrywała straszna scena, a potem po sobie, blednąc pod grozą straszego zjawiska.

– Ależ to chmura zakryła słońce i wnet przejdzie – mówił uspokajająco Simonides do przestraszonej Estery. – Zresztą może to mgła, ale i ta rychło się rozproszy.

Ben-Hur inaczej myślał.

– Ani to mgła, ani chmura – mówił – ale żywe duchy proroków i świętych, co z miłosierdzia dla siebie i przyrody zasłaniają słońce, by nie patrzyło na taką zgrozę. Zaprawdę, mówię tobie, Simonidesie, iż Ten ukrzyżowany jest Synem Boga.

Zdziwienie padło na kupca, gdy słyszał te słowa; Ben-Hur zaś zbliżył się do klęczącego Baltazara i kładąc rękę na ramieniu czcigodnego starca, rzekł:

– O mądry Egipcjaninie, słuchaj, gdyż przyznaję, że tylko Ty miałeś słuszność, bo Nazarejczyk jest zaprawdę Synem Boga!

Baltazar przyciągnął go do siebie, mówiąc: Nie dziw, że Go poznał pierwej od Ciebie, gdyż Go widziałem dziecięciem w żłóbku, co Mu był pierwszym posłaniem. Czemuż jednak dane mi było dożyć tego straszego dnia, czemu nie umarłem wraz z braćmi? Jakże szczęśliwi Melchior i Kasper!

– Uspokój się – mówił Ben-Hur – niezawodnie są oni tu w pobliżu.

– I oto mrok stawał się ciemnością, która się coraz wzmagala; mimo to nie zaprzestano dalszej roboty na wzgórzu. Już obu złoczyńców jednego po drugim na krzyż przybito i krzyże wpuszczono w wykopane ku temu doły, po czym straż się usunęła, a przystęp do wzgórza i krzyży był wolny.

Tłum rzucił się niby fala przybywająca, co jeden odszedł, drugi już zajął jego miejsce i znów go wyparto – wśród tego pełno śmiechu i naigrawania z Nazarejczyka:

– Ha! ha! – wołali żołnierze – jeśliś królem żydowskim, ratuj sam siebie.

– Ej! – mówił arcykapłan – jeśli teraz zejdziesz, uwierzemy w Niego.

Inni wstrząsając głowami, mówili: Może zburzyć świątynię i odbudować ją w trzech dniach, a siebie nie może wyratować.

Nikt nie zastanowił się nad Nazarejczykiem, nikomu nie wyrządził krzywdy, większa część po raz pierwszy w tej go widziała godzinie, przecież obrzucano Go złorzeczeniami, a litowano się nad złoczyńcami – bo taką bywa siła uprzedzenia.

Ta noc z nieba zesłana przerażała Esterę i wielu innych. – Chodźmy do domu! błagała po wiele razy, dodając:

– Czyż nie widzicie gniewu Bożego? Jakież okropności zdarzyć się jeszcze mogą! Lękam się. Simonides nie zwracał uwagi na prośby córki, mówił mało, ale był bardzo wzruszony.

Widząc, że po pierwszej godzinie tłum znacznie się zmniejszył na samym wzgórzu, Simonides wraz ze swoimi postanowił się zbliżyć do krzyża. Ben-Hur wspierał Baltazara, który z wolna począł wstępować... Z tego nowego miejsca mniej wyraźnie widzieli Nazarejczyka, wydał im się ciemną postacią, zawieszoną w przestrzeni, ale za to mogli Go lepiej słyszeć. Zrazu słyszeli tylko stłumione westchnienia dowodzące większej wytrzymałości od towarzyszy, których jęki i wrzaski wypełniały każdą przerwę w ogólnym zgiełku.

I druga z kolei godzina od ukrzyżowania minęła, a były to godziny obelg, naigrawań, szyderstw i straszego konania. W ciągu tego czasu raz jeden przemówił, gdy kilka kobiet ukłękło pod krzyżem i wśród nich poznał matkę i ukochanego ucznia. – Niewiasto – rzekł podniesionym głosem – oto syn twój! – A do ucznia: oto matka twoja.

Nadeszła wreszcie trzecia godzina, tłum oblegał jeszcze ciągle wzgórze, trzymała go tam mimo ciemności jakaś niepojęta siła; w ogóle jednak zdawał się spokojniejszym, choć słychać było głosy nawołujących się wśród ciemności. Do krzyża jednak zbliżali się w milczeniu, nawet straż, która tak niedawno rzucała losy o suknię Ukrzyżowanego, stała teraz w cichości i rozmyślaniu wraz z dowódcą i więcej na krzyż, niż na tłum, zwracała uwagę. Każde westchnienie lub pochylenie głowy nie uszło ich bacności, najdziwniejsza jednak zmiana w arcykapłanie i jego orszaku, wśród którego było kilku, którzy brali udział w śledztwie i przesłuchaniu dzisiejszej nocy. Przez cały czas pochodu i ukrzyżowania zachowywali wspaniały spokój, ale gdy ciemności zaległy ziemię, stracili swą pewność. Byli wśród nich uczeni w astronomii i obeznani ze zjawiskami przyrody tak wówczas strasznymi dla tłumu; im porządek świata od pradziadów dobrze był znanym, poczynili nawet wielce znaczące odkrycia, a służba zaś w Świątyni wspierała ich umiejętności. Gdy słońce ćmić się zaczęło, obstąpili astronomowie arcykapłana, radząc nad tym zjawiskiem. – Nie może to być zaćmienie, bo jest właśnie pełnia! – Gdy nikt na to nie znalazł odpowiedzi, ciemności trwały dalej i nikt ich wyjaśnić nie mógł, zaczęli przypuszczać, iż są w związku z Nazarejczykiem. Myśl ta przeraziła ich niewymownie, a stojąc poza szeregiem żołnierzy, słyszeli każde słowo Nazarejczyka i z najwyższą obawą liczyli jego westchnienia, szepcząc z przerażeniem: Człowiek ten jest Mesjaszem – biada nam!

Ben-Hurem nie szarpały już wątpliwości, spokój panował w jego umyśle i sercu, modlił się tylko gorąco o przyspieszenie końca. Drugim przedmiotem jego myśli był Simonides, znał dobrze jego usposobienie i czuł, że się waha na progu wiary. Widział tę niepospolitą głowę w uroczystym zamyśleniu, schyloną lub wznoszącą się ku słońcu, jakby je pytając o przyczynę ciemności. Żal mu nareszcie było Estery, która tuliła się do ojca, tłumiąc bojaźń, aby nie przerywać mu wątku myśli, w których był pogrążony. Uspokajał ją od czasu do czasu, mówiąc: Nie lękaj się, ale patrz wraz ze mną, bo zaprawdę możesz żyć dwa razy tak długo jak ja, a nie ujrzysz nic tak ważnego dla ludzkości, jak ta sprawa; zresztą czekajmy na objawienia, wszak mogą być jeszcze. Zostańmy do końca.

Trzecia godzina dochodziła połowy, aliści kilku nędzarzy, wyrzutków społeczeństwa, zamieszkujących jaskinie i stare groby w pobliżu miasta, stanęło u stóp krzyża, mówiąc:

– Oto nasz nowy Król żydowski! Inni wołali wśród śmiechu i naigrawań:

– Uzdrów nas! uzdrów. Królu żydowski!

Gdy nie było odpowiedzi, zbliżyli się jeszcze więcej:

– Jeśliś jest Królem żydowskim, lub synem Boga, zejdź! – mówili głośno. Wtedy jeden ze złoczyńców zaprzestał jęczeć i wołał urągając:

– Jeśliś jest Chrystusem, pomóż nam i Sobie. Lud śmiejąc się, przyklaskiwał bluźnierstwom; tymczasem drugi odrzekł pierwszemu:

– Czyż nie boisz się Boga? My cierpimy zasłużenie, ale Ten sprawiedliwy czymże zawinił, że Go potępiono? A my sprawiedliwie, bo godną zapłatę za uczynki nasze ponosimy, lecz ten nic złego nie uczynił.

Słowa te zdziwiły otaczających; jakież zaś było ich przerażenie, gdy tenże sam łotr wśród ciszy, co zaległa wokoło, zwrócił się do Nazarejczyka, mówiąc błagalnie:

– Panie, pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa Twego.

Zdumiał się na te słowa Simonides. „Gdy przyjdiesz do królestwa Twego” – wyrazy te odpowiadały na jego wątpliwości i rozmowy z Baltazarem.

– Słyszałeś? – pytał Ben-Hur. – Oto ten złoczyńca poświadcza, że królestwo Jego nie jest z tego świata, gdy do innego idzie; to się zgadza z tym, co ja we śnie widziałem.

– Cicho – odrzekł Simonides, głosem więcej niż kiedykolwiek stanowczym – cicho, proszę cię, bo mógłbym niedosłyszeć odpowiedzi Nazarejczyka.

Jakoż równocześnie od krzyża dał się słyszeć głos dziwnie słodki i dźwięczny:

– Zaprawdę mówię tobie: dziś ze Mną będziesz w raju.

Simonides czekał słów dalszych w milczeniu, a gdy nic nie zakłócało ciszy, złożył ręce mówiąc:

– Dostyc, dosyc, o Panie! Ciemności ducha mego rozproszyły się, patrzę jak Baltazar, oczyma wiary.

Nareszcie znalazła zapłatę wierność zacnego sługi, bo choć połamane jego ciało nigdy już zdrowym nie będzie, choć pamięć tych strasznych boleści nie zatrze się nigdy wraz ze wspomnieniem ciężkich lat. to nowe życie otworzyło się przed nim – życie, które się zowie rajem. Tam znajdzie królestwo, o którym marzył i króla, którego tak gorąco oczekiwał. Wobec tej pewności spokój zapanował w jego duszy.

A tam w pobliżu krzyża rozpacz i przerażenie. Przewrotni i chytry kazuiści w trudnym byli położeniu, bo oto Nazarejczyk, którego na śmierć skazali za to, że głosił się Mesjaszem, powtórzył to bardziej stanowczo niż kiedykolwiek wobec majestatu śmierci i tłumu, obiecując raj złoczyńcy! To okropne! Drżeli z przerażenia, a arcykapłan mimo swej pychy, czuł obawę i lęk. I nic dziwnego! Skądże człowiek czerpie zaufanie, jeśli nie z prawdy? A cóż prawda, jeśli nie Bóg? W lej chwili omal, że nie uciekli.

Oddech Ukrzyżowanego stawał się trudniejszym, westchnienia coraz to głębsze i rzadsze. Tylko trzy godziny na krzyżu i już kona!

Wiadomość ta obiegnęła tłumy i wnet wiedzieli ją wszyscy.

Ucichły gwary: złowroga cisza zaległa w powietrzu, czyniąc je dusznym i parnym wśród strasznej ciemności. Można było zapomnieć, że na wzgórzach stały tysiące ludu, oczekując czegoś straszego taka panowała cisza!

Wtem od krzyża ponad tłumy dał się słyszeć krzyk boleści, jeśli nie skargi i wyrzutu:

– Boże mój. Boże, czemuś mnie opuścił?

Głos ten przeraził wszystkich, a w szczególności wzruszył niejednego. Żołnierze przynieśli dla siebie wino i wodę w kadzi, stawiając ją niedaleko Ben-Hura. Umoczywszy w płynie, co już był raczej octem, gąbkę do długiego kija przymocowaną, można było zwilżyć język cierpiącego. Ben-Hur przypomniał sobie studnię w Nazarecie, ów napój, co go pokrzepił na całe życie, i uległszy popędowi serca, zmoczył gąbkę i zbliżył się do krzyża.

– Co czynisz? Nie czyn tego! – wołano zewsząd, a choć głosy były pełne złości, nie dał się Ben-Hur odstraszyć i przyłożył gąbkę do ust Nazarejczyka.

Za późno, za późno!

Oblicze, na które w tej chwili patrzył Ben-Hur, jaśniało dziwnym światłem, choć całe krwią i pyłem ziemi pokryte, oczy rozwarły się szeroko, jakby utkwione w jakiś przedmiot niewidzialny i oddalony, usta wpółotwarte, wymówiły z wyrazem zadowolenia, ulgi, zwycięstwa, wielką odniesionego ofiarą:

– Wypełniło się!

Oto jak bohater poświęcenia obchodził zwycięstwo i tryumf! Wnet oczy zgasły, głowa opadła na piersi. Ben-Hur sądził, że już walka skończona, ale dusza, co już rozpoczęła swój zwycięski pochód ku niebu, zdobyła się jeszcze na ostatnie wysilenie, a wszyscy otaczający usłyszeli słowa, wymówione serdecznym głosem. Jakby do kogoś będącego w pobliżu:

– Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha mego!

Ostatnie drgnienie wstrząsnęło ciałem, krzyk trwogi rozdarł powietrze i posłannictwo skończyło się wraz z życiem.

Pomnij, czytelniku, że z miłości pękło serce Twego Zbawiciela!

Gdy Ben-Hur wrócił do swych przyjaciół, rzekł z prostotą:

– Skończyło się. nie żyje!

Z niepojętą szybkością wieść ta obiegła tłumy, nikt nie śmiał wyrzec jej głośno, szeptem biegła od wzgórza do wzgórza, a zawierała jeden wyraz: – umarł! umarł! – I nic więcej. Stało się zadość życzeniom tłumów; czemuż zamiast się cieszyć, stoją w niemym przerażeniu? Czyżby krew Jego do nich przyległa? Stoją tak chwilę, spoglądając po sobie, jakby szukając śladów tej krwi, wtem ziemia wśród straszego łoskotu drzeć poczęła, ludzie w trwodze opierali się jedni na drugich, bezwiednie chwytając się wzajemnie. Chwila, a tracą świadomość wszystkiego; nagle ustąpiła ciemność i cudne słońce Wschodu oświeciło smugą trzy drzące od wstrząśnień ziemi krzyże! Każdy z obecnych objął spojrzeniem trzy krzyże, przecież najwidoczniejszym, najwyraźniejszym był krzyż środkowy, jakby całym ciężarem przygniatał ziemię, a rósł coraz wyżej w niebiosa. Wobec grozy tego krzyża, każdy, co się naigrawał z Nazarejczyka, każdy, co śmiał Go uderzyć, każdy, co wołał: ukrzyżuj Go: – każdy, co Go prowadził na śmierć okrutną i pragnął w głębi serca tej śmierci, czuł się jakby sam jeden winowajcą w tłumie. A takich ilu było? Jeden przeciw dziesięciu. Cóż więc czynią? Biada im! strach pędzi i zda im się, że uciekać muszą, gdyż niebo groźne, a ziemia spod stóp się usuwa. Uciekają, biegają, wytężając wszystkie siły, popłoch rośnie z każdą chwilą, spieszą konno, na wielbłądach, wozami i pieszo. A z nimi pędzi trwoga, a ziemia zda się ścigać okrutników, co krew niewinną przelali, bo drży złowrogo, wywracając ich i wstrzymując straszliwym grzmotem, co łono gór przedziera i pod ich stopami ściele przepaście. Tłuszcz morderców trwoży się i w nagłej skrusze bijąc się w piersi, krzyczy z bojaźni, że krew Sprawiedliwego padła na nich. Mieszkańcy świętego grodu i cudzoziemcy, kapłani i świeccy, żebracy. Saduceusze, faryzeusze, pędzą, padają na ziemię, wikłają się jedni z drugimi, a wśród ogólnego przerażenia, wzywają Boskiej pomocy. Na próżno! Biada im! Ziemia straszliwym hukiem odpowiada im gniewnie, nie odróżniając nikogo. Jakież wśród tego los arcykapłana? Okropność spustoszenia, co sieje grozę i przerażenie, nie zważa na godności, ani odróżnia władcy od braci; oto padł pyszny Annasz w pył ziemi jako inni, odpadają hafty i ozdoby jego szat, srebrne dzwonki nabite ziemią nie wydają głosu, usta nawet pełne pyłu, nie zdolne wymówić słowa. On i naród jego pospołu jednemu ulegli losowi. Krew Nazarejczyka spadła na nich!

Gdy nowy promień słońca oświecił miejsce Ukrzyżowania, u stóp krzyża stała Matka Nazarejczyka. ukochany Jego uczeń, wierne niewiasty z Galilei, setnik wraz z żołnierzami i Ben-Hur ze swoimi. Ci nie brali udziału w ucieczce, bo myśli ich nie były na ziemi.

Usiądź tu – rzekł Ben-Hur do Estery, wskazując jej miejsce u nóg ojca.

– Zasłoń oczy i nie patrz w górę, a zaufaj Panu i duchowi Tego Sprawiedliwego, który niewinnie śmierć poniósł.

– Winniśmy Go odtąd zwać Chrystusem – rzekł uroczyście Simonides.

– Niech się stanie, jak rzekłeś – odparł Ben-Hur.

Nowe wstrząśnienie ziemi zatrzęsło pagórkami, złoczyńcy na krzyżach podnieśli straszliwy wrzask, a Ben-Hur choć hukiem ziemi ogłuszony, spojrzawszy w stronę Baltazara i ujrzał, że starzec leży na ziemi. Pospieszył ku niemu, wołając go, ale wołał na próżno, bo czcigodny mąż nie należał już do żyjących. Teraz przypomniał sobie Juda, że w odpowiedzi na ostatnie

słowa Zbawiciela, słyszał jakiś okrzyk. Wtedy nie zastanowił się nad tym, z czyjej on wydarł się piersi, teraz słusznie wierzył, że duch Egipcjanina towarzyszył Panu w chwili, gdy swe rajskie Królestwo odbierał w posiadanie.

W myśli tej było słuszne poczucie nagrody, należącej się wiernemu słudze. Jeśli Kasper odebrał zapłatę swej wiary, Melchior miłość, to zaprawdę zasłużył na nią i ten, którego długie życie zdobiły nieśmiertelnym odbłaskiem silna wiara, miłość i dobre uczynki.

Słudzy Baltazara uciekli w popłochu i dopiero, gdy się wszystko uspokoiło, zanieśli obaj Galilejczycy zwłoki jego w lektyce do miasta.

Smutny to był orszak, co w owym dniu, na zawsze pamiętnym, wstępował w południową bramę pałacu Hurów przy blasku zachodzącego słońca. Prawie równocześnie zdjęto ciało Mesjasza z krzyża.

Zwłoki Baltazara zaniesiono do gościnnej komnaty, służba płacząc otaczała jego łożo, bo był kochany przez wszystkich, gdy jednak ujrzeli twarz zmarłego, jakby uśmiechniętą i rozpromienioną, otarli łzy, mówiąc:

– Zaprawdę, błogo mu jest – szczęśliwszym dla niego wieczór, niż poranek dnia dzisiejszego.

Nie chciał Ben-Hur powierzyć słudze obowiązku zawiadomienia Iras o losie jej ojca; poszedł więc po nią sam, aby ją przyprowadzić do zwłok starca.

Idąc, wyobrażał sobie jej rozpacz, gdy się dowie, że została sama na świecie; wobec tej myśli gotów był jej przebaczyć i litować się nad nią. Przypomniawszy sobie, że dotąd nie pytał, czemu jej z nimi nie było i gdzie się mogła znajdować; wyrzucał sobie to zapomnienie, szczególnie wobec tej strasznej wieści, której był wysłańcem.

Doszedłszy do jej komnat, uchylił zasłony, co stanowiła wejście, nie odebrał odpowiedzi na swe wołanie, chociaż słyszał odgłos otwieranych dalszych drzwi. Powtórzywszy wołanie, podniósł zasłonę i wszedł do pustej komnaty, stamtąd poszedł jej szukać na dachu, a nie znalazłszy, pytał służbę. Nikt w ciągu dnia nie widział pięknej Egipcjanki, a po dalszym, próżnym poszukiwaniu, wrócił Ben-Hur do gościnnej komnaty, gdzie u zwłok starca zajął miejsce nieobecnej córki. Wtedy to patrząc na uśpione snem wiecznym oblicze starca, myślał, jak miłosiernym dla swego starego sługi był Chrystus. U bram Królestwa ustają boleści tego żywota, choćby się nawet z braku miłości rodziły.

Po odbytych pogrzebie i po upływie dziesięciu dni prawem przepisanych, sprowadził Ben-Hur matkę i Tirze do domu; od owego dnia pod tym dachem wymawiano z czcią należną najdroższe sercu ludzkiemu imiona:

BÓG OJCIEC I CHRYSYTUS SYN

DOKOŃCZENIE

Pięć lat minęło od Ukrzyżowania. Estera, żona Ben-Hura, siedziała w jednej z komnat pięknej willi pod Misenum. Było to południe; gorące słońce Italii rzucało promienie na róże i winnice ogrodu. Wszystko, co otaczało Esterę, było rzymskie, prócz jej ubrania – zachowała bowiem strój izraelski. Tirza igrała z dwojgiem pięknych dzieci na rozciągniętej u stóp Estery lwiej skórze; dość było im się przypatrzeć, aby odgadnąć, czyje to dzieci.

Czas obchodził się z urodą córy Simonidesa wspaniałomyślnie, dziś była piękniejsza niż kiedyś – odkąd stała się panią willi i osiągnęła szczyt marzeń.

Gdy patrzymy na ten obraz świętości ogniska domowego, wchodzi służebny i rzecze:

– W atrium jest kobieta, która pragnie mówić z panią.

– Niech wejdzie.

Nieznajoma ukazała się; Estera wstała na jej spotkanie, chciała przemówić, zawahała się chwilę, a potem cofając się, rzekła:

– Niegdyś znałam cię.... Jesteś...

– Iras, Baltazarowa córka.

Zdziwiła się Estera jej śmiałości, niemniej kazała podać jej ławeczkę.

– Nie mam zamiaru odpoczywać – rzekła Iras chłodno – odchodzę zaraz.

Przypatrywały się sobie wzajemnie. Wiemy już, że Estera była piękną kobietą, szczęśliwą żoną i matką. Wspaniała postać Egipcjanki zachowała coś ze swego wdzięku, ale twarz jej zmieniła się, oczy straciły blask i życie, rumieńce znikły. Usta z wyrazem cynizmu i pewnego okrucieństwa wraz z ogólnym zaniedbaniem, zrobiły ją przedwcześnie starą. Ubranie ani staranne, ani czyste, sandały pyłem okryte, wszystko mówiło, że ciężkie przechodziła koleje.

– Twoje to są dzieci?

Estera spojrzała na nie z uśmiechem macierzyńskim.

– Nie chcesz się pobawić z nimi?

– Przestraszyłabym je – odparła Iras, przysuwając się do drżącej Estery. – Nie lękaj się – dodała. – Powiedz mężowi ode mnie, że nieprzyjaciel jego nie żyje, że go własną zabiłam ręką, mszcząc się za niedolę, w jaką mnie pogrążył.

– Jego nieprzyjaciela... zabiłaś?

– Tak, Messalę – powiedz mu, że za zło, które jemu wyrządzić chciałam, spadła na mnie kara tak ciężka, że on sam ulitowałby się mej nędzy.

Oczy Estery zalały się łzami i chciała ją pocieszać.

– Nie chcę ni łez, ni litości; powiedz mu jeszcze, że zrozumiałam, niestety, za późno, iż Rzymianin może się stać potworem. Bądź zdrowa.

Mówiąc to, opuściła komnatę.

Estera wybiegła za nią wołając:

– Zostań, proszę, zaczekaj na mego męża; on nie chowa urazy do ciebie i szukał cię wszędzie. Zostań, będziemy ci przyjaciółmi – myśmy chrześcijanie.

Ale Iras odmówiła.

– Zostaw mnie – rzekła – jestem, czym być chciałam, wnet się wszystko skończy...

– Nie masz – pytała dalej Estera – jakiego życzenia, które bym spełnić mogła?

Egipcjanka łagodniała za każdym jej słowem, coś niby uśmiech zabląkało się na jej ustach i jakoś dziwnie spojrzała na dzieci.

– Pragnęłabym czegoś – rzekła.

Estera ściagała jej wzrok i szybko odparła:

– Uczyni, jak pragniesz.

Iras zbliżyła się do dzieci, uklękła na lwiej skórze i okrywała je pocałunkami. Wstając z wolna, patrzyła na nie z uczuciem, potem opuściła komnatę bez słowa pożegnania. Szła szybko i cicho, a znikła, zanim się Estera spostrzegła.

Gdy to opowiedziano Ben-Hurowi, przekonał się, że jego domysły były prawdziwe i że Iras opuściła ojca dla Messali. Wiedząc, że jest nieszczęśliwa, szukał jej wszędzie, ale na próżno, odtąd ani ją widziano, ani o niej słyszano. Niebieskie fale morza, co tak rozkosznie wdzięczą się do słońca, miewają swe tajemnice. Gdyby mowa dana im była, może by umiały powiedzieć o losie Egipcjanki.

Simonides doczekał się późnej starości; dopiero w dziesiątym roku panowania Nerona skończył handel tak długo prowadzony w Antiochii; do ostatka zachował dobre serce i dobrze mu się wiodło.

Pewnego wieczora wyżej wymienionego roku, siedział Ben-Hur wraz ze swoją rodziną na dachu owego znanego nam tak dobrze składu towarów w Antiochii i ściagał wzrokiem ostatnie, jeszcze nie sprzedane okręty, co się kołysały na falach Orontesu. W ciągu tylu lat, od dnia Ukrzyżowania po dziś, ileż łask otrzymał! A i jedną ciężką boleść, która dotknęła tę szczęśliwą rodzinę, jeszcze ozłociła wiarę w Zmartwychwstanie, bo gdy matka Hura musiała odejść do ojców, nie żalowali jej, jak to czynią poganie, co nie mają nadziei.

Okręt, stojący u wybrzeża, przywiódł świeżo wieść o rozpoczętym prześladowaniu Nerona w Rzymie; właśnie rozmawiali o tym, gdy wszedł Malluch, jeszcze w ich służbie będący i wręczył Ben-Hurowi paczkę.

– Kto to przyniósł? – pytał tenże po odczytaniu.

– Arab.

– Gdzież jest?

– Słuchajcie – rzekł Ben-Hur do Simonidesa, czytając:

Ja Ilderim, syn Ilderima Dobrotliwego, szejka mego pokolenia, do Judy, syna Hura.

Dowiedz się, przyjacielu ojca mego, jako cię miłował ojciec mój, skoro przeczytasz załączone pismo. Jego wola moja jest, co on dał, twoim jest. Cokolwiek zabrali mu Panowie w straszliwej bitwie, w której mu śmierć zadali, odebrałem wraz z tym pergaminowym zwojem i całym pokoleniem owej Miry, co tylu gwiazd była matką. Pokój tobie i twoim. Ten głos z pustyni jest głosem

Szejka Ilderima.

Następnie rozwinął Ben-Hur zwój żółtkłego jak liść morowy papirusu, a czynił to z wielką ostrożnością, by nie uszkodzić pisma, i przeczytał, co następuje:

Ilderim, Dobrotliwym zwany, do syna, który po nim nastąpi. Powiedziesz wszystko, co posiadam w dniu, w którym obejmujesz dziedzictwo, prócz posiadłości zwanej Gajem Palmowym, podle Antiochii: tę otrzyma Ben-Hur, który nam tyle przysporzył sławy zwycięstwem w cyrku. Gaj ten będzie jego i jego rodziny po wsze czasy. Nie czyni wstydu ojcu swemu.

Szejk Ilderim Dobrotliwy.

- Co rzeczesz na to? – pytał Ben-Hur Simonidesa.
Estera odczytała raz jeszcze papiery, Simonides długo myślał, nareszcie rzekł:
– Dobrym i łaskawym był Pan dla ciebie tych ostatnich lat, czy nie byłaby pora rozporządzić majątkiem, co dzień wzrastającym?
– Dawno już postanowiłem, że część majątku oddam na służbę Dawcy wszelkiego dobra. Pytam cię tylko, jak to mam uczynić, by stąd urosła chwała Najwyższego!
– Wiem, iż wiele uczyniłeś dla Kościoła w Antiochii. Teraz równocześnie ze wspaniałym darem szejka przychodzi wieść o prześladowaniu w Rzymie. Czyż to nie jest zrządzenie Opatrzności i czy nie nowe otwiera się pole działania? Trzeba, aby światło wiary nie zgasło w stolicy.
– Cóż mam czynić, aby je podniecić?
– Słuchaj, są dwie rzeczy, które sami Rzymianie szanują – wiem tylko o dwóch – mianowicie czczą popioły swych zmarłych i miejsca ich pogrzebania. Nie wolno ci wznieść świątyni ku czci Pana na ziemi, zbuduj ją pod ziemią i chowaj tam, chroniąc od zbezczeszczenia zwłoki tych, co umierają w wierze Zmartwychpowstania.
Mowa ta wzruszyła Ben-Hura.
– Wielką jest myśl twoja i nie zwlekam jej wykonać – okręt, co przywiózł te wieści, zabierze mnie jutro do Rzymu. Zwracając się do Mallucha, dodał: Bądź w pogotowiu, bo i ty pojedziesz – niech załadują okręt.
– Uczynisz dobrze – rzekł uroczyście Simonides.
– A ty, Estero, jaką jest myśl twoja?
Zacna niewiasta położyła rękę na ramieniu Hura, mówiąc:
– Tak najlepiej zdołasz podobać się Chrystusowi, pozwól, drogi mężu, abym ci mogła towarzyszyć i pomagać.

*

I stało się tak, jak postanowili. Całym sercem i majątkiem wspomagali swych rzymskich współwyznawców. Z wielką ufnością i wiarą w to, iż to, co czynią jest miłe Bogu, podjęli trud budowy katakumb, które w czasach największego prześladowania stały się miejscem schronienia, modlitwy i ostatniego spoczynku.

Z tych miejsc pogrzebania wzniosło się chrześcijaństwo i zburzyło pogański Rzym cezarów.